3 1761 03570 5201

Purchased for the

LIBRARY *of the*

UNIVERSITY OF TORONTO

from the

KATHLEEN MADILL BEQUEST

Kochanemu

Rektorowi

Albinowi Żabińskiemu,

w dowód szczerej przyjaźni,

w dniu Jego Patrona

1-marca 1950 r.

ofiaruje

Zygmunt Gorayski

Rzeź w Horożanie

I

PAMIĘTNIK WIĘŹNIA STANU

dwa dzieła w jednym tomie

711

PRZEZ

Fr. M. Wł. CZAPLICKIEGO.

WYDANIE DRUGIE.

W KRAKOWIE.
Nakładem Marcelego Lumilskiego.

W DRUKARNI W. KORNECKIEGO.
1872.

MICROFILMED BY
UNIVERSITY OF TORONTO
LIBRARY
MASTER NEGATIVE NO.:
930061

DB
498
C93
1872

LIBRARY
APR 25 1968
UNIVERSITY OF TORONTO

711

Jaśnie Wielmożnemu

MIECZYSŁAWOWI hr. REYOWI

Marszałkowi Mieleckiej Rady powiatowej

w dowód szczerego poważania i zasłużonej czci.

AUTOR.

Digitized by the Internet Archive
in 2010 with funding from
University of Toronto

http://www.archive.org/details/rzewhoroanieipam00czap

WSTĘP.

Dla zajęcia i nauki czytelników częstokroć zmyślone piszą powieści. Ja zamierzam opisać zdarzenia prawdziwe i pochlebiam sobie, że jakkolwiek może nie tyle zdołam zająć czytelników, przedstawienie jednak wydarzeń prawdziwych, więcej niźli powieści przyniesie korzyści.

Przed kilkunastą laty, w dwa lata po owej ciężkiej dla naszego kraju chwili opisałem „Rzeź Horożańską“ dokładnie; po ostatniém jednak wykończeniu téj pracy, ogłoszono u nas właśnie stan oblężenia, i jak rozumié się samo przez się — nie mogłem tego opisu podać do wiadomości publicznéj.

Później zaś nieco, wzięty do wojska i wysłany do Szlązka a następnie aż do Banatu, zostawiłem cały rękopism ś. p. matce mojéj. Gdy atoli w roku 1851 stojąc garnizonem w Krakowie, zostałem przyaresztowany, ś. p. matka moja, z przyczyny licznych, u nas we Lwowie zaraz po mojém aresztowaniu praktykowanych rewizyj po domach, zniszczyła ogniem wspomniony rękopism z obawy, ażeby znaleziony u niéj, nie przyczynił się — jak błędnie mniemała, — do tém większego skompromitowania mię w obec wojennego sądu, przed który mnie postawiono.

Jakkolwiek od owego roku zapisanego w dziejach naszych krwią niewinnych ofiar, już kilkanaście upłynęło lat, pozostała dotąd i pozostanie do skonu mego każda z owych strasznych scen w mojej pamięci, a każde nawet wspomnienie owych dni boleści i jęku, budzi we mnie te same wrażenia, jakich doznawałem w dniu 21 Lutego 1846 r. w owym dniu, który rabunkiem, mordem i pożogą nietylko napiętnował ówczesny dziś po

dwakroć już może zaumarły system rządowy, ale i w dalszém następstwie jakby na przestrogę sprowadził (według mojego zdania) wypadki roku 1848.

Nie do mnie należy sąd o wypadkach roku 1846. Osądziła je dostatecznie nietylko opinia publiczna, ale sama historya. Czy oceniła je także i z wszech miar i pod każdym względem należycie? także nie do mnie należy dowodzić. Pozwalam sobie jednak uczynić tę uwagę, że w pierwszych czasach, po wiadomych wypadkach roku 1846, niekażdy może historyk był w stanie przytłumić pierwsze silniejsze wrażenia do tego stopnia, ażeby zapanować nad sobą i jak powinien, wydawać sąd dopiero po zimniejszéj rozwadze. Jedni może potępiali tylko system a bronili ciemny lud, lub szlachtę naszą, inni zaś odwrotnie i t. d.

Opisanie „Rzezi Horożańskiéj“ rzuci także może niejakie światło na ówczesne wypadki, a przytoczenie niektórych pojedyńczych zdarzeń podczas tej rzezi, przyczyni się jak sądzę także choć w cząstce do wydania sądu na podstawie nagich faktów tak o powodach rzezi téj, jak niemniej o jej sprawcach lub o poległych ofiarach.

Jakkolwiek pierwszy mój powyżej wspomniony rękopism byłby mi może bardzo na rękę, gdyż przypomniałby mi niektóre w pamięci mej wygasłe nazwiska, jednak nie ubolewam nad jego stratą tak mocno, jestem bowiem przekonany, że choć dziś równie żywo czuję i widzę przed sobą ówczesne zdarzenia, powodować się będę dziś więcej rozwagą, niż wówczas, gdy acz niewiele przymięszało się zawsze nieco namiętności.

Pan Maryan Sroczyński skreślił już w roku 1848 w „Postępie“ właśnie te wypadki ale tylko z opowiadania i tak pobieżnie; a wiedeński dziennik „Wanderer“ w Październiku 1861 roku w Nrze 236 tak fałszywie i w tak widocznie nieprzyjaznym dla nas duchu, że dla pisarza dziejów ojczystych opis niniejszy będzie niezawodnie bardzo pożądany — tem bardziej, że ze mną, jakto okaże się z następującego opisu, zginąłby jedyny świadek, któremu dozwoliła opatrzność zachować zupełną przytomność od samego początku aż do końca rzezi wyprawionéj w Horożanie na dniu 21 Lutego 1846 roku.

Nakoniec winienem nadmienić a raczej zapewnić, że opisanie moje będzie w całém tego słowa znaczeniu prawdziwe,

i zupełnie bezstronne, a jakkolwiek sam byłem czynnym i naocznym świadkiem wszystkiego, będę opisywać nagie tylko fakta, a ojca, braci i siebie uważać jako zupełnie mi obce osoby, przyczém niechaj mi wolno będzie odwołać się, tak do żyjących jeszcze świadków niektórych scen, jak niemniej do tych, którzy będąc wówczas w pobliżu Horożany, znają przynajmniej co do saméj rzezi mniej więcej niemal wszystkie szczegóły. Pominę tylko to, co pominąć pewne nakazują mi względy.

I.

Horożana wielka, i jej mieszkańcy.

Horożana wielka, znaczną w roku 1846 odgrywała rolę; do tej wsi, w której była siedziba urzędu dominikalnego, należało jeszcze pięć wiosek, jako to: Ryczychów, Nowosiółki, Podwysokie, Horożanka mała i Saska, wszystkie wówczas do obwodu samborskiego należące.

Horożana leży w pobliżu Dniestru. Po jednej stronie sąsiaduje w odległości jednej tylko mili z Drohowyżem i Mikołajowem, po drugiej o pół mili z Szczercem a o dwie mil z Komarnem, do Lwowa zaś jak i do Gródka, liczą z Horożany półczwartej mili. Horożana wielka nie na próżno taką nosi nazwę; jestto bowiem wieś piękna i wielka; wzdłuż prywatnego gościńca, po jednej i drugiej stronie ciągną się dwa szeregi chałup od północy ku południowi; gościniec poprowadzony środkiem wsi, ma z powodu dwóch dość znacznych pagórków stromych, kształt polskiego M wielkiego; chałupy ponajwiększej części drewniane, lepianek mało.

Lud horożański wówczas był cichy, posłuszny, spokojny, usposobienia łagodnego, i — nie mogę wyrazić się inaczej, bogobojny i cnotliwy; niegdyś pod dziedzicem swoim, hrabią Dulskim, sławnym dziwakiem, bardzo był nieszczęśliwy.

Po zachodniej stronie gościńca, mniej więcej w środku wioski, stał cokolwiek na podniesieniu frontem na wschód okazały gmach, niegdyś obronny zamek, w roku 1846 zaś należący wraz z wszystkiemi powyżej wymienionemi dobrami do masy po ś. p. hr. Dulskim. Uderzająca jego budowa

stylu więcéj średniowiecznego, czarne z starości i grube mury, tudzież ślady wałów i okopów, niemniej odwieczne dęby, lipy i olbrzymie topole nadawały mu wówczas postać i groźną i wzbudzającą poszanowanie. Mieszkał w nim wówczas z żoną i dziećmi pan Marjan Niezabitowski kuzyn a oraz pełnomocnik pana Franciszka Niezabitowskiego spadkobiercy pewnéj części majątku po ś. p. Dulskim.

Na przeciwnej stronie gościńca patrząc ze zamku, znajdował się po lewej, w odległości mniej więcej pięciuset kroków na wzgórzu budynek dość obszerny, w którym mieszkał z familją rządca dóbr, pan Dyttloff, rodem z Litwy, a Polak duszą i ciałem a nie Niemiec, jak w zupełnie fałszywym opisie scen horożańskich podaje wiedeński dziennik Wanderer z dnia 12go października 1861 r. w wieczornem wydaniu Nr. 236. W zapleczu tego budynku stały w półkole oficyny, tudzież gumna i stajnie, za temi zaś ciągnął się a raczej spadał piękny ogród aż na dół w głąb' wioski i aż do brzegów, jednego z tamtejszych trzech stawów.

Za tym stawem wznosiła się góra, na któréj z pomiędzy gęstszej gromadki chałup, sterczała cerkiew, panująca niemal nad całą osadą; obok cerkwi lecz niżej cokolwiek, stał nędzny drewniany domek, mieszkanie tamtejszego proboszcza gr. k., ks. Horodyskiego, ojca licznej rodziny [1]).

Po prawicy zaś zamku, także po drugiéj stronie gościńca, w odległości mniej więcéj stu tylko kroków, stał frontem ku zamkowi skromny lecz schludny, brzozowemi sztachetami otoczony dom murowany, gdzie była kancelarja dominikalna i mieszkanie utrzymującego dominium, Ferdynanda Czaplickiego.

Po prawej stronie tego domu i tuż przy nim, stała stajnia, stodoła i wozownia; po lewej zaś stronie i za temi budynkami ciągnął się tak kwiatowy jak warzywny i owocowy ogród daleko w szerz i wzdłuż i łączył się aż z ogrodem p. Dyttloffa. Naprzeciwko zaś tego domu, zaraz tylko przez drogę, stał mały, ale czysto wyglądający budynek murowany, tamtejszy areszt dominikalny, zawsze prawie próżny. Jedna zatem strona tego budynku, składająca się z dwóch

[1]) Parafja obrządku łacińskiego znajduje się w Rumnie, o ćwierć mili od Horożany.

małych pokoików, służyła za skład na różne mniej potrzebne sprzęty, lub zboże. Na strychu było złożone siano. Ten domek jak powiedziałem dopiero, stał przy samym gościńcu; za nim jednak po lewej i prawej stronie, ciągnął się daleko ogród zamkowy, zwyczajnym płotem opasany, a dalej pola, sięgające pod las horożański.

Ażeby wszyscy czytający mogli w dalszym toku mego opowiadania, tem łatwiej przejąć się wypadkami zaszłemi w Horożanie, uważam za stosowne, a nawet niezbędnie potrzebne, nietylko opisać dokładniej mieszkanie Ferdynanda Czaplickiego, ale nadto obznajomić ich z niektórymi tamtejszymi mieszkańcami i stosunkami jak były w 1846 roku.

Wiem że opis podobny, nudny sam przez się, nie zabawi, ale wyjaśni rzecz, a to właśnie powinno być głównem zadaniem każdego opisującego jakąkolwiek prawdziwą scenę.

Przystępuję zatem do szczegółowego opisania budynku dominikalnego, a następnie jego mieszkańców.

Stojąc przed domem, widziałeś w pośrodku, drzwi wchodowe, i po dwa okna z każdej strony; wchodowe drzwi dwuskrzydłowe, prowadziły do wązkiej i dość krótkiej sieni i wprost do kuchni, gdzie za otworzeniem drzwi, ujrzał wchodzący naprzeciwko jedno, a po lewej ręce w głębi kuchni, niejako w kącie drugie okno. Obadwa okna wychodziły na ogród, jednak tak wysoko, że chcąc wyskoczyć przez nie, łatwo można było narazić się na niebezpieczeństwo. Zaraz zaś przy drzwiach wchodowych, o jeden prawie tylko krok od nich były po prawej ręce drzwi, prowadzące do pokoju bawialnego, a po lewej do kancelarji dominikalnej.

Wszedłszy do bawialnego pokoju znajdowało się po prawej ręce, i zaraz prawie przy drzwiach jedno okno, z którego gdy drzwi z bawialnego pokoju były otwarte, można było z poza okna sięgnąć żerdką przez pokój aż do sieni dalej cokolwiek, po tej samej stronie, było okno drugie także frontowe. Na prost drzwi, znajdowało się trzecie okno, wychodzące na ogród kwiatowy, po lewej zaś ręce były drzwi do małego pokoju, który służył za sypialnię i gdzie znajdowało się jedno tylko okno w tym samym kierunku, jak trzecie w bawialnym pokoju. W kancelarji były po lewej ręce dwa okna frontowe.

W tym pokoju sypiał ojciec Ferdynada, Józef Czaplicki, który na krótki czas właśnie przed temi wypadkami przybył do Horożany, niemniej i ja.

Józef Czaplicki, był-to sędziwy starzec, znany w okolicy Horożany. Będąc bowiem rządcą dóbr ś.p. pani Skulimowskiej, i utrzymując jej dominium w Humieńcu, mieszkał przez kikanaście lat w Dmytrzu, wiosce odległej od Horożany o pół tylko mili.

W 1842 roku, podziękował za swoją posadę, opuścił Dmytrze, i zamieszkiwał we Lwowie z żoną i córką. Traktował to tu, to ówdzie o jakąś posadę lub o dzierżawę, gdy jednak nie mógł znaleźć nic korzystnego dla siebie, przyjechał na prośbę syna swego Ferdynanda, do Horożany, aby z nim wejść w spółkę i td.. Był powszechnie szanowany, a lud go kochał i miał w nim takie zaufanie, że po rady jego przybywał do niego aż do Lwowa, a w ostatnich czasach do Horożany; radził im szczerze, a że nie przyjmował wynagrodzenia, tłumnie garnęli się do niego włościanie.

Ferdynad Czaplicki liczył zaledwie lat 40, nizki krępy, silnie zbudowany, brunet, więcej niż przyjemny na twarzy wyrazistej.

F. Czaplicki utrzymywał od lat kilku dominium w Horożanie. Jednak obok swego urzędowania, czytał i uczył się wiele, aż do ostatniej chwili pracował nad sobą. Zajmował się wiele dziełami o taktyce wojennej, o strategji, i w ogóle literaturą naszą, i miał nawet parę tysięcy mniej więcej doborowych dzieł. Prócz tego, posiadał mały wprawdzie zbiór autografów, ale między temi były niektóre bardzo rzadkie; zbierał także stare monety i wiele na nie łożył pieniędzy. Miał także mały zbiór minerałów które będąc jeszcze młodzieńcem, zbierał skwapliwie podczas swoich wycieczek.

Temperament jego był przeważnie choleryczny, z dodatkowym melancholicznym; energiczny, czynny, przenikliwy, z bystrem i szybkiem pojęciem, czasami, lecz rzadko kiedy melancholiczny, nieczuły na swoje, lecz zanadto może tkliwy na innych cierpienia. Ziemię, na której urodził się kochał nad wszystko, była mu ona najdroższą. Dla ojczyzny gotów był poświęcić wszystko — nietylko życie — co udowodnił dnia 21 lutego 1648 roku. Obczyzny nie nawidził, ale

był względny, rozróżniający prawdziwe źródło złego od ślepego narzędzia, i jak we wszystkiem, tak i w tem zachowywał pewne umiarkowanie. W każdym poczciwym człowieku, bez względu na stan lub wyznanie, widział brata swego, i myślą i mową i uczynkiem dawał mu tego dowody.

Z przeszłości Polski czerpał dla siebie naukę, o przyszłości zaś myślał i tem zajmował się głównie. Pojął on dobrze ważność oświaty ludu, i gorliwie nad tem pracował. Z sąsiadami swymi, księdzem Nahlikiem i księdzem Kinclem, naradzali się często w tym przedmiocie, i pracowali wspólnie — księża głównie w swojej parafii w Rumnie, gdzie wzorową założyli szkółkę, on zaś w swoim obrębie.

Był on skromny w towarzystwie kobiet, żartobliwy z ludźmi tuzinkowymi, poważny z mężami, grzeczny z sługami, spokojny i luby w pożyciu domowem, a łagodny, przyjacielski i sprawiedliwy z ludem.

Ktokolwiek znał go bliżej, nie powie że nakreśliłem za wiele; zresztą dziś jeszcze złoży lud tamtejszy najlepsze o tem świadectwo.

Co do mnie sądzę, że będzie najlepszą i najstosowniejszą charakterystyką, jeżeli powiem, że wówczas liczyłem rok ośmnasty.

Pan Adam Dyttloff, teść Ferdynanda, był to starzec dość jeszcze czerstwy, wiele mówiący, a głównie o swojem urodzeniu i pochodzeniu z Litwy. Był rządcą u hrabiego Dulskiego, i z chłopami obchodził się według zasad i nauk, odziedziczonych po Dulskim. Chłop na sto kroków czapkę przed nim zdejmował, a jakkolwiek z wiekiem łagodniał widocznie, zawsze jednak truchlał chłop, gdy mu wypadło udać się do niego. Mimo tego był panią tylko w domu, a panem żona jego. Jako Litwin według jego mniemania, Rusin z pochodzenia, często przy winie zaśpiewał: Mnohaja lita... Zresztą z sąsiadami był zgodny, gościnny, jakkolwiek nie tyle szanowany, zawsze lubiony.

Pan Marjan N. był może żanadto gościnny, gdyż nikt z jego domu nie mógł wyjechać na trzeźwo. Był niesłychanie ugrzeczniony dla wszystkich, lubiał rozrywki, towarzystwo i piękny powóz, i był kuzynem pana Franciszka N.,

właściciela rozległych włości. Żona jego, była-to kobieta cnót rzadkich.

Bogumił B., syn poczciwego Niemca, lekarza ze Szczerca, chłopak młody, 18 do 19 lat liczący, pełen najlepszych chęci, lecz bez doświadczenia; zakopał się w gospodarstwie u pana Marjana N., i nie miał sposobności kształcić się duchowo, a przynajmniej tak, jak był wykształconym i z pewną siłą charakteru starszy brat jego, wówczas aktuarjusz przy dominjum w Komarnie.

Do osób, z którymi powinien-bym zapoznać czytyjących opisanie niniejsze, należy także i tamtejszy leśniczy, pan Łaszkiewicz, znany pod nazwiskiem pana Leszkiewicza. Był to emigrant z Litwy, należał do powstania w 1831 roku, i po smutnym upadku tegoż, musiał uchodzić. Tułał się z miejsca na miejsce, aż zapoznawszy się z moim bratem, otrzymał za jego wstawieniem się posadę leśniczego. Sam pragnął takiej posady, żeby mniej schodził się z ludźmi, którzyby go zdradzili i wydali moskiewskiej władzy.

Ten człowiek zasługuje, ażebym nieco obszerniej rozpisał się o nim, ażebym — gdy nie mogę inaczej, przynajmniej temi słowy oddał mu zasłużoną cześć. Żonaty, obarczony kikorgiem dzieci, znosił on cierpliwie swój krzyż, a pomimo wychowania jakie odebrał, i pomimo wysokiego wykształcenia intellektualnego, nie usłyszałem nigdy z ust jego najmniejszej nawet skargi, chociaż żyjąc z nim bliżej, przypatrywałem się z bólem w sercu, z łzą w oku, niedostatkowi, jakiego doznawał wraz z żoną swoją, cnót prawdziwie bohaterskich, i z dziećmi swoimi, a znana w tamtej okolicy rzetelność i prawość jego obok takiego niedostatku i nędzy prawie, czyż nie podnosi tem wyżej jego harakteru? Włościanie go szanowali i kochali, a my wszyscy poważaliśmy go wysoko. Cały dzień w lesie przy ciężkiej pracy, przychodził późno dopiero do domu na lichy, biedny obiad i odpoczynek. Ale on nie należał do rzędu tych ludzi, którzy mniemają, że już dość uczynili, jeżeli jak pańszczyznę odbyli swoją godzinę kancelaryjną, lub inne czynności do których z obowiązku służby są niejako zmuszeni. Łaszkiewicz posiliwszy się nieco, pomimo znużenia największego, pomimo potu, który w wielkich kroplach spływał po jego wyrazistej

twarzy, nie udawał się zaraz na spoczynek ani nie pieścił się widokiem swej żony, takiej piękności, że zdziwiłby się każdy, ktoby ją ujrzał w nędznej leśniczówce, stojącej śród starego boru — nie, — Łaszkiewicz przyjacielskim wzrokiem pogląd nął na nią, — ona — zrozumiała go — odpowiedziała miłym uśmiechem, on wąsa podkręcił, serdeczny na jej czole złożył pocałunek, nareszcie dzieci z kolei przycisnął do serca i — do innej zasiadał pracy. A ta praca, jakkolwiek milsza, i droższy niż inna przynosi plon, jednak mozolniejsza i trudniejsza od tej, jaką ukończył był w lesie.

Była to bowiem praca nad ludem, nad jego oświatą.

Tam schodziło się co wieczór po kiku ludzi, najczęściej młodszych parobczaków, czasem kilku starszych, i dopiero rozpoczynała się pogadanka...

I ja tam czasem wtrąciłem swoje trzy grosze, i ja uczyniłem nieraz jakąś uwagę, bo to przecież i ja nie byłem chęci najgorszych; ale gdy mówił Łaszkiewicz, jak w tęczę patrzałem w jego oblicze, i żadne słowo nie uszło mojej uwagi. Chłopi słuchali także z uwagą. Często widać było na ich twarzy zadziwienie, czasem mocniejsze jakieś uczucie zadrgało w ich piersi, i nagle powstali lub tylko rzucili sobą, niby poprawiając się na miejscu, a z pod powieki błysnął promień ognisty, promień wewnętrznego, duchowego życia, rozbudzonego jego gorącemi słowy.

Łaszkiewicz umiał przemawiać do ludu, mowa jego płynęła szybko, nie przystanął, nie zawahał się nigdy, bo mówił prawdę i trafiał do przekonania; a że mówił co czuje, że słowa jego płynęły z serca, zatem i trafiały do serca słuchaczów, a przez nich dalej do serca ludu.

Zapytania i uwagi jakie nam czasem dawali, były często tak trafne, że wprowadzały nas w zadziwienie; a gdyśmy spostrzegli że nas zrozumiano, nie czuliśmy naszego znużenia, i z radością i rozkoszą w duszy, oczekiwaliśmy następnego wieczora, ażeby dalej pracować nad rozpoczętem dziełem. Tym sposobem spędzałem u niego często całe dnie i noce.

Jeżeli nic miał co innego robić, zasiadał do rysowania lub malowania, a ja przypatrywałem się z radością, jak swoją ciężką na pozór ręką, zręcznie rzucał na papier lub płó-

tno piękne naszego kraju okolice, jak zręcznie tworzył ołówkiem lub pendzlem góry, lasy, rzeki, kwiaty, domy, wsie całe i t.d.

Oprócz tego, sam uczył czytać lub pisać dzieci swoje, ale wówczas przyłączało się zawsze kiku wiejskich chłopaków lub dziewcząt.

Łaszkiewicz nie należał do rzędu ludzi, co to chętnie, pilnie i gorliwie pracują nieprzerwanie godzin kilka, lub dni kilka, a potem ostyga ich zapał, nie — Łaszkiewicz był w pracy niezmordowany. On niezrażony trudami, nareszcie nędzą i niedostatkiem, oraz niepewną dla kochanej żony i dzieci przyszłością — pracował lata całe, nieznany i bez żadnej sławy lub innych zaszczytów; i dla tego-to właśnie tak wielką dla niego przejęty jestem czcią. A jeżeli istnieje jeszcze w tamtych stronach jaki promień światła między naszym ludem, to jemu należy się główna zasługa, bo on z całem poświęceniem był prawdziwym apostołem naszego ludu.

— Zacny mężu! smutno i żal mi rozstać się z tobą, ale w przekonaniu, że w dalszym moim opisie wrócę jeszcze do ciebie, by cię pożegnać na zawsze, przystępuję do opisania osoby, odgrywającej ważną w Horożanie rolę.

Ksiądz Horodyski, gr. kat. proboszcz w Horożanie, była to mała a gruba figura, z pod dłuta niezgrabnego mistrza. Niski, tłusty, równy od góry do dołu, o długich, niezgrabnych, i z wielką trudnością poruszających się obwisłych rękach, o nabrzmiałych czerwonych palcach, tworzących pięść, ściskającą bezustannie wielki palec tak jednej jak drugiej ręki; z pomiędzy ramion skulonych ku piersiom, zaledwie można było dojrzyć krótki a gruby, w brudny, zatłuszczony obojczyk ubrany kark, nad którym ogromna jak księżyc wznosiła się głowa o bardzo niskim, pomarszonem czole. Ócz trudno było dopatrzyć, schowały się bowiem w tłuszczu ledwie niecałkiem, nosek maleńki, usta jak sznureczek, złożone były zawsze do uśmiechu, któremu obok zacierania rąk, towarzyszyły niskie ukłony.

Pozostaje mi zatem jedna tylko jeszcze osoba. Jest nią Dutka (podobno Marcin) wójt z Ryczychowa. Wzrost jego mierny, postać smukła, i mimo lat najmniej 65, giętka i niezwyczajnie ruchliwa. Cały chudy jak to mówią, jak kościany

dziadek, ale nadzwyczaj ostre rysy twarzy, głęboko zmarszczkami poorane, czoło miernej wysokości, na które cienki, szpakowaty spadał dość długi lecz rzadki włos, niemniej ostre zagięcie pod czołem, nos orli, szpiczasty, oczy czarne i ogniem ziejące, nakoniec zacięte sine usta, i długa, szpiczasta broda naprzód wystająca, to wszystko przekonywało znawcę na pierwszy rzut oka, że ten człowiek obok niezwykłej energji, jest przenikliwy, mściwy i namiętny.

I tak skończyłem opis osób znajdujących się w Horożanie. Nie opisywałem dokładnie ich rysów, bo to było-by właściwe w powieści, nie zaś przy opisywaniu historycznej sceny; opisywałem tylko o tyle, o ile uważałem niezbędnie potrzebnem.

II.

Kilka dni przed powstaniem.

Przygotowania do powstania, odbywały się w całym kraju. O niczem nie mówiono, ani nie myślano, tylko o przyszłej organizacyi ojczyzny. Nareszcie uczuliśmy, że dzień ten zbliża się szybkiemi kroki, pomimo że jeszcze niewiedzieliśmy — dnia — ani godziny.

Potajemne schadzki, zjazdy, szepty, kończyły się, i nastąpiło działanie prawie już jawne, a przynaimniej nie czyniono wszystkiego z taką jak dawniej tajemniczością.

Bratu mojemu, Ferdynandowi Czaplickiemu, powierzone było naczelnictwo naszego okręgu. Pierwotnem jego zadaniem było, uderzyć z silnym oddziałem na Lwów, w którym równocześnie wybuchnąć miało powstanie. Gdy jednak we Lwowie uwięziono wielu związkowych, a mianowicie takich ktorzy mieli kierować powstaniem, zostało powstanie we Lwowie odwołane, i Lwów miał być brany szturmem w kilka dni później. Ferdynand zatem otrzymał rozkaz, utworzyć w dniu oznaczonym ile możności jak najsilniejszy oddział ochotników, podzielić go na dwie części, i równocześnie uderzyć

na garnizony huzarów w Rodatyczach i w Gródku. Z tamtąd bez zwłoki, zabierając ze sobą łączących się ochotników, udać się do Sądowej Wiszni, potem wziąć Mościska, nareszcie uderzyć na przygotowany do tego Przemyśl, i po zaprowadzeniu we wszystkich tych miastach prowizorycznych urzędników, oczekiwać w Przemyślu dalszych rozkazów. Takie to śmiałe plany układano na papierze, nie pytając, czy są wykonalne.

W ostatecznym i najgorszym razie, miał Ferdynand rozkaz, odciąć koniecznie garnizony w Gródku i Rodatyczach, a przynajmniej zatrudnić te garnizony do tego stopnia, ażeby nie mogły połączyć się z garnizonem we Lwowie.

Ferdynand chodził zamyślony, często wyjeżdzał, lecz tem prędzej wracał; rozpisywał listy na wszystkie strony, rozsyłał je umyślnymi gońcami — którym można było zaufać. Ja zaś konferowałem często to z Łaszkiewiczem, to z Bredemajerem, to znowu z Baranowskim szewcem, który robiąc po dworach, miał właśnie podówczas zatrudnienie w Horbaczach. Był to warszawianin, liczył zaledwie lat 20, posiadał jednak taki rozum zdrowy, naturalny, miłość ojczyzny tak wielką, oraz tak dobre chęci, a wyobrażenia o powinności poświęcenia się dla ojczyzny tak wzniosłe, że — według dzisiejszego pojęcia rzeczy, — stał się godnym swego pochodzenia z Warszawy, i godnym ażeby choć temi kilką słowy przekazać go potomności.

Nareszcie chodziłem od chaty do chaty, lub wzywałem niektórych do siebie, a mianowicie: wójtów, przysiężnych i sołtysów tamtejszych. Głównie zaś naradzałem się z horożańskim kmieciem Pawłem... który mając wiele bystrego pojęcia i naturalnego rozumu, pojął mię — śmiało mogę powiedzieć — prawie całkiem, i w tym duchu niezwykłą rozwinął czynność.

Był to jeden z zamożniejszych gospodarzy, którego w całej poważano gminie. Dawniej służył w wojsku, gdzie dosłużył się stopnia kaprala, nie będąc przez cały ciąg 14toletniej służby, ani razu karany. Barczysty, wzrostu wysokiego, jasne, długie, nieco kręcone włosy, spadały mu na szerokie ramiona, czoło prawdziwie piękne, wysokie i niepooране namiętnością, oko siwe, łagodne a myślące, nos fore-

mny, usta kształtne, wydatne a nie wykrzywione dzikością uczucia, ani zaciśnięte złośliwością. Wyznania rz. kat. poczuwał się, jak nam mówił do tego, że jest Polakiem, że zatem z nami wspólnie działać powinien. Pamiętam, jak raz mniej więcej w te prawie do mnie odezwał się słowa. [1])

— Ot, wiecie co paniczu, pomówimy sobie raz, tak — od serca, co na myśli, to i z głowy, co myślę, to i powiem. Wy paniczu macie dobre serce, to zaraz wam widać, że wy szczerze mówicie, to widno po waszej twarzy i z oka, w którem nieraz gdy to mówicie o ojczyźnie i o naszej i waszej biedzie i łzę widziałem; ale czy was tylko nie bałamucą, może wam tylko tak powiedzieli, a co innego robić zamyślają, bo — ot, darujcie paniczu — ale taki to pan zawsze panem, i chłopa nigdy nie będzie nawidzić. Gdzieby to panowie chcieli darować pańszczyznę — jużcić — to prawda że i wasz brat paniczu, pan sędzia mi to nieraz sam powiedzieli, a on — co powie, to zawsze prawda, i nikogo u nas nie skrzywdził i nieraz pomoże biedakowi, ależ-to przecie było-by pierwej słychać co o tem, a panicz mówią, że to ma zaraz nastąpić.

A gdy go ponownie zapewniałem o prawdziwości tego co mówiłem, i o szczerych chęciach naszych panów, i gdy przemawiałem do serca jego, gdy mu wystawiałem, że ten co własne życie swoje naraża na nieochybną śmierć, pewnie tego nie robi dla siebie, tylko dla innych, dla dobra kraju całego, nie tyle dla żyjących, ile dla tych, co szczęśliwie wyszedłszy z krwawej walki, pozostaną jeszcze przy życiu: i że to wszystko jeszcze powinniśmy robić dla potomności, ażeby kiedyś nie narzekała na nas, — jak my na naszych narzekamy przodków; — wówczas widoczne widziałem w nim wzruszenie, i Paweł... rzekł do mnie z wielką powagą i stanowczo:

— A więc dobrze paniczu, gdy mię tak zapewniacie, nie będę się ociągać, pomówię z moimi, i ręczę, że oni trzymać będą z tymi, co ciągną do dobrego, a wystąpią prze-

---

[1]) Winienem tu dodać, że mówił do zastanowienia czysto i gładko po polsku, czego miał się nauczyć u jednego oficera, u którego w pierwszych latach swej służby był na posługach.

ciwko tym, co naszej pragną zguby. Na Horożanę możecie liczyć paniczu, za innych nie ręczę.

Tak nieraz mówił do mnie Paweł... a później złożył dowody, że myślał szczerze i że rzeczywiście wiele pracował w tym duchu nad ludem. Potem codzień przychodził do mnie, najczęściej rano, i zdawał mi raport formalny z swoich czynności, a uwagi jego i postrzeżenia były tak trafne i stosowne, że dziś, gdy mi jego słowa żywo staną w pamięci, podziwiam tego poczciwego i mądrego człowieka.

Ferdynand tymczasem wydawał rozmaite polecenia to Łaszkiewiczowi względem przygotowania materjału, jaki z lasu można było wydobyć na potrzeby wojenne: jako-to: faszyny, pale, tarcice i t.d., to kowalowi względem pik, to innym, — lub naradzał się z ojcem. Krótko mówiąc: wszyscy byliśmy w ruchu, w ciągłej czynności, dzień i noc wolne nie były, a jakoś wszystko robiło się tak chętnie, że nikt o odpoczynku nie myślał.

Dzień po dniu przemijał szybko, a jeszcze nie wiedzieliśmy, kiedy uderzy godzina.

Dnia 16go lutego popołudniu, właśnie gdy przed chwilą wyszedł odemnie Paweł... wszedł do mnie Ferdynand, i oświadczył, że wyjeżdża na godzinę, że po jego powrocie, zapewne na dłuższy czas wyjedziemy razem, zatem ażebym przygotował się do podróży.

Sanie już były przed domem, wsiadł, konie ruszyły, i wkrótce zniknął nam z oczu.

III.

Wyjazd do Gródka wśród burzy.

Już zapadł zmierzch a Ferdynanda jeszcze nie było. Bratowa niespokojem jakimś wiedziona, weszła z moim ojcem do mego pokoju. Stanęliśmy wszyscy przy oknie, i wytężaliśmy wzrok w tę stronę, z której miał wracać. W tem ujrzeliśmy wir, czyli raczej całe kłęby śniegu, pędzone wia-

trem, nagle zawył przeraźliwy wicher, zciemniło się całkiem, i straszna powstała burza. Zdawało się, że wydmie szyby wszystkie, i dom cały wzruszy z swych posad.

Niepokój bratowej wzmagał się coraz bardziej. Mały Bolesław przytulił się do niej, i zawołał:

— Mamo! jak tam straszno jakoś na dworze, jabym tam teraz nie poszedł.

Zresztę i na mnie ta burza przykre uczyniła wrażenie, tem bardziej że mieliśmy jechać. A znałem Ferdynanda i wiedziałem dobrze, że gdy idzie o sprawę publiczną, nie odstraszy go żadna pewnie burza. Nie wypowiedziałem jednak głośno mojej obawy, i nic nie wspominałem o nastąpić mającej podróży; wówczas bowiem każde, często nawet niewinne słowo Ferdynanda, wypowiedziane do mnie sam na sam, uważałem za tajemnicę, której nie powinienem był wyjawić nikomu. Milczałem zatem, a ojciec uspakajał bratowę.

Właśnie chcemy wychodzić na drugą stronę, do bawialnego pokoju, gdy otworzyły się drzwi, i wszedł Ferdynand cały obsypany śniegiem.

Żona pobiegła ku niemu, i nie zważając na śnieg i zlodowaciałe wąsy, ucałowała go serdecznie, nim jeszcze powiodło mu się zrzucić z siebie przy mojej pomocy ciężkie niedźwiedzie.

— Czy my jedziemy? — spytałem brata po chwili i po cichu.

— Jedziemy — odrzekł — lecz dla spokoju żony, wstrzymamy się cokolwiek, może ustanie burza, a przynajmniej pierwsza jej siła Zresztą i konie tymczasem przekąszą, a potem — dodał głośno i niby żartem: — marsz, marsz!

— Jakto, co to, o czem mówicie? — spytała szybko bratowa.

— Nic, nic, siostruniu! — odpowiedziałem.

— Nie, nic, — podchwycił Ferdynand i dodał: — pojedziemy moje dziecię, wypada nam jechać koniecznie, i to dziś jeszcze.

— Jakto? zapytała przerażona — dziś jeszcze, wśród takiej burzy?

— Tak jest — odpowiedział Ferdynand — dziś jeszcze, bo dziś jechać musimy. Dla twego jednak Zosiu spokoju, chcę jeszcze zatrzymać się chwilę, może burza ucichnie nieco.

W tej właśnie chwili — przeraźliwiej niż poprzód zawyła burza, wstrzęsły się szyby i przez okno wpada z łoskotem i dźwiękiem szyb gąt do pokoju. Domyśliliśmy się, że to burza wyrwała gdzieś kawałek dachu, z którego i nam przyniosła jeden gąt w udziale, a za to przez wybite okno miotała śniegiem aż na środek pokoju. Tymczasowo zalepiliśmy na prędce okno papierem, a sami, zostawiwszy sługę w kancelarji, udaliśmy się do bawialnego pokoju, gdzie wkrótce zastawiono wieczerzę i dalsza rozpoczęła się pogadanka, a raczej prośby i lekki spór między bratową, popieraną przez ojca z jednej, a między Ferdynandem i mną z drugiej strony.

I rzeczywiście nie szło tu o bagatelę, szło tu o życie lub śmierć.

Drogą prywatną wśród nocy ciemnej, i takiej burzy, jakiej najstarsi nie zapamiętali ludzie, wyjeżdżać w podróż kilkumilową, było w istocie bardzo niebezpiecznem salto mortale! Obowiązek jednak dla kraju, odniósł w końcu— po niemałej utarczce przekonywającej wymowy tak z jednej jak z drugiej strony — zupełne zwycięztwo nad względami osobistemi i obowiązkiem ojca dla żony i dzieci.

Bratowa, przekonana wymową Ferdynanda, ucichła, zdawało się nawet, że przyjęła to z rezygnacją, atoli westchnienie, długo tłumione, wydobyło się z tém większą siłą; strumień łez potoczył się z jéj oka, i z nadzwyczajném wzruszeniem rzuciła się ojcu memu na szyję, jakby u niego szukała ulgi i pociechy.

Ferdynand, kochający swoją żonę, obrócił się do mnie, i także wzruszony, szepnął półgłosem:

— Nie ma nam tu co długo robić, ja ją kocham i moje dziecko, — a nam nie wolno się bawić teraz w czułostki, łzy tych, których kochamy nad życie, nie powinny dzisiaj nas wzruszać i odciągać od sprawy świętszéj nad wszystkie sprawy familijne; — idź i każ Jaciowi zaprzęgać i zaraz zajeżdżać. Trzask z bicza, będzie dla nas hasłem do wyjazdu.

Zarzuciłem płaszcz, po oczy zasadziłem konfederatę, i wyszedłem.

Stajnia była najdaléj o sześćdziesiąt kroków. Otworzyłem drzwi, i chcąc popatrzyć, co się tam dzieje na świecie, przystanąłem w progu, — wicher jednak jak kłosem rzucił mną w głąb sieni, i suchym obsypał śniegiem.

„To mi się podobało. — Co to!“ — pomyślałem, „ja, który wkrótce z orężem w ręku, mierzyć się będę z większą nierównie siłą, miałbym się wiatru nędznego obawiać, — naprzód!“ zawołałem w duchu do siebie, i — wypadłem na drogę.

Ależ o nieba! ledwie wypadłem, już prąd wiatru pochwycił mię wśród téj ciemni w swoje objęcia z taką siłą, że kręcił mną jak wrzecionem, i nim się opamiętałem, byłem już pewnie o kilkadziesiąt kroków od domu, ale gdzie? — tego sam nie wiedziałem.

Burza coraz silniej huczała ponademną, i wyjąc z wszech stron coraz dziwaczniejsze i coraz przeraźliwsze przybierała tony. Popychany ogromną siłą, nie mogłem utrzymać się na nogach, gdyż podnosiło mię tak, że ledwie palcami dotykałem ziemi.

Starałem się obrócić koniecznie, by całemi stopy stanąć naprzeciw wiatru, i tym sposobem stawić tym pewniejszy opór. Nadaremnie, gdzie obróciłem się, wiatr był zawsze w zapleczu, i coraz silniej na wszystkie popychał mię strony.

Wołać, wstydziłem się, — ale cóż robić? — Pomyślałem, i przyszedłem do przekonania, że nie ma innego sposobu, tylko bez ceremonii położyć się w śniegu i raczkiem dostać się do stajni, która przecież nie mogła być daleko.

Ojciec, brat i bratowa tak byli sobą zajęci, że mojéj nieobecności nawet nie postrzegli, byliby bowiem przyszli mi w pomoc. „Mój Boże! — pomyślałem sobie — co się to dziać musi na górze św. Bernarda lub Gottharda, gdy taka powstanie burza!“

Po wielkich trudach i całkiem przeziębnięty, przyraczkowałem nareszcie do stajni.

— Jaciu! — zawołałem głosem tryumfującym.

— A co tam, paniczu?

— Zaprzęgaj zaraz, zajeżdżaj i głośno trzaśnij z bicza, ażebyśmy cię usłyszeli!

— W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego Amen. — wyrzekł żegnając się woźnica, i dodał: — Wszelki duch chwali Pana Boga, a co się to paniczowi stało? przecież taki rozumny, chodził do szkoły, z książki umie się modlić i pisuje w kancelarji, a nie wie tego, że teraz przecież nikt jechać nie może; przecież to panicz, co taki mądry, lepiej powinien wiedzieć odemnie!

— Ależ mój Jaciu! to nic nie pomoże, trzeba jechać koniecznie, zaprzęgaj i zwijaj się prędko.

Chciałem wychodzić, ale zawołał mię jeszcze woźnica.

— A co tam? spytałem.

— A jakiemiż końmi pojedziemy? — zapytał Jać.

— Jakto jakiemi? jużcić nie innemi tylko temi, naszemi siwoszami.

— Et! tabo co panicz mówi — zawołał z gniewem — ta jabym na takie wesele djabl.... — i tego słowa nie dokończył całkiem — jechał mojemi biednemi siwoszami? Ta to paniczu, ot nieprzymierzając jak wy młode, ta to gorące, ta to-by pokaleczało, zmarniało, ta te moje biedne siwosze — głaszcząc je mówił z uniesieniem — zabiłyby się!

A nareszcie dodał:

— A z czyjego to rozkazu ja mam jechać? i kto to pojedzie niemi?

— Ja i brat, — odpowiedziałem, a dorzucając — nie nudź mię dłużéj i zwijaj się szybko, — wypadłem spiesznie, słysząc jeszcze wybuchy gniewu woźnicy:

— Wyjeżdżaj! spiesz się! zwijaj się! zaprzęgaj siwosze! — Otże nie zwijaj się! nie zaprzęgaj! i nie wyjeżdżaj.

Szedłem do domu, ale już ostrożniej; trzymałem się ściany, daléj płotu, i tym sposobem doszedłem do domu. Ledwie zamknąłem drzwi sieni, otrzepałem się z śniegu, i wszedłem do pokoju, już pojawił się i Jacio.

A nuże najpierwéj prosić, a nareszcie sprzeczać się z bratem. Gdy widzi że wszystko nie pomaga, oświadcza że pojedzie, ale końmi cudzemi. Dopiero gdy postrzegł, że to coś ważnego, zdecydował się jechać w Imię Boże.

Wkrótce trzask z bicza wezwał nas do wyjazdu. Smutna to była scena. Nie będę jéj opisywać, czytelnik bowiem pragnący doczekać się już ważniejszych wypadków, skrzywiłby się, a zresztą czytając taką, jakkolwiek prawdziwą scenę, lecz opisaną słabem i niewprawnem mem piórem, zadrzemałby może znudzony. Tyle tylko nadmienię, że bratowa pożegnawszy Ferdynanda, z rezygnacją przyniosła mu jeszcze syna, by go pobłogosławił — potem nie czując się już na siłach, prosiła ojca naszego by nas wyprowadził, a sama padła na kolana przed obrazem Matki Boskiej, by ją błagać o szczęśliwy powrót dla męża.

Muszę jeszcze nadmienić, że gdy doszły nas wieści, iż burza zmiotła śnieg z drogi którą mieliśmy jechać, kazał brat konie zaprzęgnąć do bryczki a nie do sanek.

Ojciec, i stary sługa Mateusz, wyprowadzili nas aż do bryczki z latarnią. Na koźle było dwie latarnie, ale ledwie je zapalono, natychmiast zgasły. Ojciec tłumił w sobie wzruszenie, czułem to przy pocałunku, przy którym stoczona łza zwilżyła mi twarz. Serdecznie uściskał nas ojciec poczciwy, a gdyśmy już wsiedli na bryczkę, pobłogosławił nas znakiem krzyża świętego i głośno a śmiało, jak to było w jego zwyczaju, wyrzekł na pożegnanie:

— No dzieci, Bóg z wami, w Nim nadzieja; jestem pewny, że wrócicie szczęśliwie!

A potem zwróciwszy się do woźnicy, zapytał:

— A co Jaciu, ciemno bardzo, nic nie widzisz?

— Ha ciemno, — niewidać, — ale kto z Bogiem, to Bóg z nim!

Zrobił nareszcie znak krzyża świętego, przed konie, potem na prawo i lewo, zaciął siwosze i wyruszył z miejsca.

Drogę, prowadzącą przez wieś, znały konie dokładnie, zatem przez wieś przejechaliśmy szczęśliwie, pomimo ogromnych zasp. Wyjechawszy jednak za wieś, trudna była przeprawa. A było już dobrze po północy, przytem Jacio, jakkolwiek przyzwyczajony do nocnych podróży — skarżył się że nietylko drogi ale i koni nawet nie widzi. Zresztą było niepodobnem mieć choć krótką tylko chwilę oczy otwarte, bo suchy śnieg z piaskiem czy ziemią miotany w oczy, zmuszał do prędkiego zamknięcia. Za wsią rzeczywiście nie by-

ło śniegu na drodze, i to właśnie było czas jakiś nietyle dla woźnicy ile dla koni jedyną skazówką.

Ale i ta skazówka zniknęła prędko. Coraz częściej napotykaliśmy zaspy śniegowe, aż nareszcie zaczęliśmy bez ustanku brnąć w śniegu głębokim. Młode, pełne ognia siwoszki, rzucały się i szamotały, ażeby dalej wyruszyć z miejsca, ale napróżno, najczęściej w coraz głębszy zapadały śnieg.

Jacio zlazł z kozła i sam szedł po przed konie, tupał nogami i odgartywał śnieg, by rozpoznać, czy jeszcze jesteśmy na drodze. Gdy wyjechaliśmy na jakie wzgórze, to wiatr formalnie o mało nie powyrzucał nas z bryczki, a dwa razy wpakował do rowu; szczęście że śniegu było dużo, zatem obadwa razy wyszliśmy bez szwanku. Gdyśmy tak brnąc w śniegu, jechali ze dwie godziny, wstrzymał woźnica konie i zawołał:

— Ej, coś źle panie, — ponoś zmyliliśmy drogę, a może nawet i z drogi zboczyli.

Pozłaziliśmy z bryczki, i poczęliśmy szukać drogi, rozumie się nie wzrokiem, tylko nogami. Ja zostałem przy koniach. Ferdynand zaś w jedną a Jać w drugą udali się stronę; oni dawali hasło, na które ja miałem odpowiadać, ażeby niezanadto daleko oddalili się od zmęczonych siwoszek.

Po kilkakroć razy odpowiadałem na hasło, tak z jednéj jak z drugiéj strony dawane. Gdy jednak potem czas dłuższy nie byłem wzywany, zawołałem głośno: „hop! hop!“ Czułem jednak sam, że nie mogłem być słyszany daleko, tak bowiem okropnie ryczała burza, że sam ledwie swój własny słyszałem głos.

W tej chwili przykro zrobiło mi się; — niewypowiedziany żal ogarnął całą moją duszę, w jednéj chwili wszyscy najdrożsi przyszli mi na myśl; biedna, tak mocno kochająca mię matka, ojciec, siostra, bracia we Lwowie, bratowa nareszcie Ferdynand i Jacio i ich niechybna śmierć. Przejęła mię dreszcz, znowu krzyknąłem z całego gardła: „hop! hop!“ ale prócz ryku i szumu strasznej burzy, jak gdyby bór gęsty był gdzieś w pobliżu, nic nie słyszałem — żaden nie odezwał się głos. Wyobraźnia moja w najstraszniejszych barwach przedstawiała mi śmierć moją i moich towarzyszy. Złażąc z bryczki, poznałem całą okropność mego położenia,

zapadłem w śnieg świeżo nadęty ledwie nie po pas, z wielką biedą dostałem się do koni, które po brzuch w śniegu stały spokojnie, i jeszcze raz, ale już z wytężeniem wszystkich sił zawołałem: „hop! hop! — hop! hop!“... Szum wiatru całą był odpowiedzią.

Ogarnął mię strach — westchnąłem do Boga i począłem się modlić. Nareszcie czułem, że mi zaczyna być zimno, przystępuję do bryczki, wyciągam z pod kozła siano i podaję koniom. Te jednak powąchały i nie tknęły siana. Nareszcie pierwsza obok mnie stojąca siewoszka zarżała — druga zaczęła parskać.

I zaraz obił się o moje uszy znany głos brata: „hop! hop!“ i tak wielką nie do opisania przejął mię radością, że ze łzami w oku odpowiedziałem czemprędzéj.

Wkrótce zbliżył się Ferdynand do bryczki.

— Czy jest Jacio?

— Nie ma — odparłem, i opowiedziałem mu w jakim byłem strachu.

Jeszcze nie dokończyłem mówić, gdy usłyszeliśmy obadwa wołanie Jacia.

Tak Ferdynand jak Jacio, z powodu niesłychanego szumu i ryku burzy, nagle przestali siebie i mnie słyszeć, i napowrót trafić nie mogli. Rżenie siwoszki dopiero sprowadziło obudwóch, ale żaden z nich nie znalazł ani śladu drogi, a dalej obawiali się zapuszczać.

Wsiedliśmy do bryczki a Jacio na kozioł; po dłuższéj naradzie puszczono koniom lejce, ażeby szły za własnym zwierzęcym instynktem.

Tym sposobem jechaliśmy a raczéj brnęliśmy w śniegu, mniej więcéj jeszcze z godzinę. Nagle zapadły konie głęboko, i ani ruszyć nie mogły z miejsca.

W tém jakby z podziemia słyszymy krzyk!

— A hej! a co tam? a kto tam?

— My podróżni, zbłądziliśmy i nie wiemy gdzie się znajdujemy.

— Ta to moja chałupa, odrzekł chłop, którego nie widząc, poznaliśmy po narzeczu. Wjechaliście na zawiany dach.

Jacio zeskoczył z bryczki, tymczasem i chłop zbliżył się do nas, powitał uprzejmie i zapraszał do chaty. Najpier-

wej jednak prosiliśmy go, ażeby nam pomógł wydobyć konie i bryczkę. Poczciwy chłopisko pobiegł czemprędzej do domu i do sąsiadów i wkrótce z latarniami, kilkunastu przybyło chłopów. Sznurami i drągami powiodło im się dość prędko i zręcznie wydobyć konie i bryczkę.

Z latarniami odprowadzili nas aż do karczmy. Sen nas wprawdzie nie morzył, ale czuliśmy konieczną potrzebę przynajmniej chwilowego odpoczynku i ogrzania się.

Ferdynand kazał im dać wódki i piwa, prócz tego wynagrodził każdego sowicie, i gospodarzowi, któremu załamaliśmy dach, zapłacił kilka reńskich.

Jacio oglądnąwszy konie, wsypał do żłobu obroku, i sam przyszedł się także ogrzać i posilić, i o dalszą wypytać drogę; zbłądziwszy bowiem, znacznie zboczyliśmy z drogi właściwéj.

Zacząłem rozmowę z chłopami, którzy nas ratowali. Opisywać całą naszą rozmowę, byłoby dla mnie dziś trudnem, wiele bowiem wyszło już z pamięci. Tyle jednak śmiało mogę powiedzieć, że usposobienie ludu w tej stronie w ogóle było ówczesnéj sprawie przychylne stanowczo. To tylko wydało im się jakoś bardzo podejrzanem, że jakkolwiek utrzymywali i powtarzali często: „Daj Boże dobrze tym, co naszego pragną dobra, a kiedy panowie mówicie, że wy chcecie dla nas dobrze, to niech wam Bóg błogosławi," rozróżniali nas od Polaków, o których między nimi najdziwaczniejsze obiegały wieści. Zkąd one powstały i kto je rozpuścił, nie mówili, a my uznaliśmy za stósowne, nie wymagaćod nich natarczywie żeby nam wyjawili, boć my przecież — wiedzieliśmy dobrze. Między innemi mówili, że z nami chętnie trzymać będą, bylebyśmy ich tylko bronili od Polaków, którzy mają ich wyrznąć, gdyż wolą oddać się nam w opiekę, niż Moskalom, którzy mają przyjść im na pomoc przeciw Polakom.

Kosztowało nas czasu niemało, nim pytaniami rozmaitemi i ich własnemi odpowiedziami, przekonaliśmy ich, że właśnie tak oni (lud) jak i my — czarno ubrani, jesteśmy Polakami. Po dłuższéj dopiero rozmowie wunurzyli sami przed nami (niewymieniając nazwiska) że tak jak my, prawił im także pewien dobrze im znany i u nich szanowany gospo-

darz z Horożany, i że teraz przekonują się, że on jeden mówił im prawdę. Z opisu wnosiliśmy, że to nie mógł być nikt inny, tylko Paweł.....

Żalili się mocno, na swoje położenie, na uciążliwą pańszczyznę i na wiele innych dolegliwości; w końcu powiodło nam się doprowadzić do tego stopnia, że bez wezwania sami się oświadczyli z gotowością do czynnego udziału w powstaniu.

O szczerości ich oświadczenia przekonało nas ich gorliwe zajęcie się nami, i udowodniona chęć usłużenia nam w dalszéj podróży. Zaledwie brat kazał Jaciowi zajeżdżać i podniósł się z siedzenia, wnet wszyscy powstali, pozapalali swoje latarki, i oświadczyli, że nas wyprowadzą aż za wieś.

Ferdynand wystawiając im, że i tak tyle już natrudzili się z naszéj przyczyny, prosił ich, by się udali na spoczynek, gdyż woźnica wywiedział się już zapewne dokładnie o dalszą drogę i t. d... Ale poczciwi ludziska ani słyszeć o tém nie chcieli, i prosili, ażebyśmy im nie wzbraniali służyć tym, co dla ich dobra podróżą w taką porę, narażają swoje życie, a przynajmniej zdrowie.

— Jeżeli już tak chcecie koniecznie, kochani gospodarze— proponował Ferdynand— to pozwólcie nam ażebyśmy razem z wami szli pieszo koło bryczki, a za wsią pożegnamy się, i w Imię Boże pojedziemy daléj.

Ale ani słuchać tego nie chcieli; musieliśmy zaraz wsiąść na bryczkę, i otoczeni kilkunastą latarniami, byliśmy przez nich konwojowani pomimo wszelkich próśb tak długo, póki nie zaczęło dnieć.

Przy pożegnaniu wyciągnął brat dziesiątkę, i prosił najstarszego z nich, ażeby przyjął to w znak także szczerych jego chęci, i ażeby za te pieniądze uraczył w jego imieniu tych wszystkich gospodarzy.

Wszelkie prośby były bezskuteczne. Żaden z nich nie przyjął, oświadczając, że w karczmie przyjęli zapłatę: wódkę i piwo, za swoją fatygę jako od człowieka nieznajomego, teraz jednak poznawszy go, nic nie mogą przyjąć od niego, bo wiedzą że taki człowiek wiele potrzebuje pieniędzy.

Przeczuciem i naturalnym rozumem, zda się odgadli, jaki jest cel naszej podróży; przy ostatecznem bowiem pożc-

gnaniu, odezwał się jeden z nich (zdaje się, wiekiem najstarszy, w ruskiem narzeczu, mniej więcej w te słowa:

— *Naj was Hospod' Boh prowadyt szczasływe, id'te pany z Bohom, i z Bohom prybywajte a hyżo i w mnoho, — a nasi mołodci i nekotory staryi pijdut na wojaczku z wamy. Hospod' Boh naj wam pomahaje, koły dobra choczete, id'te zdorowi, i wertajte zdorowi!*

Nie posiadałem się z radości, a jakkolwiek i brat był wzruszony, ja do łez byłem rozczulony nietylko ostatniemi ich słowy, ale prawdziwą i nieudaną ich troskliwością, i w ogóle całem ich postępowaniem [1])

Odjechaliśmy z nadzieją w sercu i z prośbą do Boga, by dobrym duchem natchnąć raczył wszystek nasz lud.

Do tego faktu nie dodaję żadnej uwagi, niechaj go rozbierają ci, którzy są kompetentni do tego, i niechaj szerokie o tem rozpisują rozprawy.

Podałem ten fakt nago, jak był w istocie, — nie ująłem mu nic, coby miało większe jakieś znaczenie, zmieniłem może mimo mej woli jakieś słowo, ale wyrazu ducha nie zmieniłem wcale, i starałem się oddać wszystko jakkolwiek pobieżnie, jednak w naturze.

Mocno żałuję, że nie pamiętam nazwiska tej wioski.

---

[1]) Tak jak autor tego pamiętnika, i inni łudzili się wówczas. Dziś łudzić siebie i innych, po takiem doświadczeniu, jest zbrodnią. Opowiadanie to jest dla dzisiejszego pokolenia dobrą nauką. Plany, nadzieje a rzeczywistość w największej wykazał autor sprzeczności. Przypisek Dziennika literackiego.

IV.

Huzary w Lubieniu, i zwiady.

Po nadzwyczajnych nie do opisania trudach, błądzeniach, wywrotach i innych niebezpieczeństwach, przybyliśmy wśród nieustającej a nawet coraz silniej srożącej się burzy koło południa do Lubienia.

Zaraz po naszem przybyciu, nadjechał szwadron huzarów.

Przykro było patrzyć na tych nieszczęśliwych. Niektórzy byli tak formalnie przeziębnięci na wskróś, że nie mieli władzy zsiąść z konia; inni mieli poodmrażane to twarze, to nosy, czoła, brodę, to ręce i t. d.

Gdy jako tako i ile możności zaopatrzyli swe konie, i weszli do izby, to zaledwie władać mogli rękami.

Gorące jednak życie wewnętrzne, wystąpiło wkrótce na jaw. Wesołe, Węgrowi właściwe usposobienie, spiesznie wróciło i rozpoczął się między nimi żywy ruch. Jedni rozmawiali, inni śmiali się, przybywający otrzepywali się z śniegu, ten wołał: Palenka! ów dopytywał się czy jest slanina? krótko mówiąc, jedli, pili, palili, skakali, rozmawiali i t. d.

Jako były wojskowy [1]) przystąpiłem śmiało do jednego z podoficerów, i rozpocząłem całkiem obojętną rozmowę, a mianowicie o srożącej się burzy.

Był to Węgier rodowity, z dobrej familji, w Peszcie ukończył gimnazjum, a potem jako kadet wstąpił do huzarów. Powiedziałem mu, że także służyłem w wojsku, i dopiero niedawno wystąpiłem.

---

[1]) Uważam za stósowne nadmienić tu, że będąc jeszcze dzieckiem prawie, (liczyłem wówczas 14 lat i 5 miesięcy) porwany zapałem uczuć młodocianych, pełen dziecinnych marzeń i skutku niepohamowanej chęci wyświadczenia usługi krajowi, wstąpiłem do wojska w 1842 roku. Na życzenie jednak matki mojej i brata Ferdynanda, uwolnił mię ojciec przy końcu 1845 roku, zatem na kilka tylko miesięcy przed nieszczęsnemi wypadkami 1846 roku.

Zaznajomiliśmy się prędko; — spytałem go o powód konieczności marszu podczas tak strasznej burzy; odpowiedział mi, że z obawy politycznego ruchu w kraju wszędzie ile możności jak najspieszniej wzmacniają załogi, i że oni otrzymali rozkaz udać się niezwłocznie ze Lwowa do Gródka. On wzajemnie zapytał się dla czego ja — nie będąc tak jak on zmuszony — w tak niebezpieczną porę zapuszczam się w podróż.

— Ha — mówiłem z naciskiem i powoli cedząc, — są chwile w życiu człowieka, gdzie mu nie wolno być panem swojej woli i gdzie z rozkoszą naraża swoje życie.

— Rozumię pana odparł młody Węgier o szlachetnych rysach, podał mi rękę, i uściskał.

Jaki był tok dalszej naszej rozmowy, do której przyłączyło się kilku jeszcze podoficerów i szeregowych.... nie pamiętam.

Ferdynand tymczasem poszedł do komendanta szwadronu. Co z nim rozmawiał? nie wiem, — to tylko mi wiadomo, że pozwolił nam przyjmować żołnierzy.

Beczka piwa, kilka garncy wódki, połeć słoniny, kilkanaście kiełbas i t. d. znikło w mgnieniu oka.

Zapewnienia dozgonnej przyjaźni;.... nareszcie — liczne Elien a Lengyel! i z naszej strony Elien a Magyar! zakończyły ucztę poczciwych żołnierzy.

Nakoniec pożegnaliśmy się.

Podziękowawszy dowódzcy szwadronu za udzielone nam pozwolenie przyjmowania żołnierzy, wyjechaliśmy do Gródka, gdy już zmrok zapadał.

Burza nie ustawała wcale; zatem całą drogę z Lubienia do Gródka walczyliśmy z największemi trudami i niebezpieczeństwem życia. Po północy przyjechaliśmy do Gródka, i zajechali do domu zajezdnego naprzeciwko kościoła. Ktokolwiek nas obaczył, objawił największe swoje zdziwienie, żeśmy przyjechali o tej porze i podczas takiej niesłychanej burzy.

W ciągu naszej podróży, wyjawił mi brat powód tak nagłego wyjazdu do Gródka. Został on wezwany, ażeby dnia 17go lutego niemylnie znajdował się w Gródku, gdzie na

oznaczonem miejscu, oczekiwać go miał jeden ze związkowych, z rozkazami, odnoszącemi się do powstania.

Spóźniliśmy się nieco, bowiem było już po północy, zatem już dzień 18go lutego. W nocy jednak nigdzie iść nie wypadało. Zresztą pomimo futer ciepłych, byliśmy tak przeziębnięci, nawskróś prawie wiatrem przewiani i tak strudzeni, że odpoczynek i parę godzin snu, były nam niezbędnie potrzebne.

Rzuciliśmy się zatem na pościel, i w kilka minut skleił już sen głęboki nasze powieki.

Jeszcze przed świtem byliśmy już na nogach. Brat mój wyszedł, poleciwszy mi, ażebym tymczasem wywiedział się o szczegółach, które mogłyby nam być potrzebne, jeżelibyśmy mieli uderzyć na Gródek, oraz ażebym zrobił szkic planu Gródka, a głównie miejsc, na któreśmy mieli nacierać.

Dowiedziawszy się o wszystkiem najdokładniej, wyszedłem na miasto, i obeznany nieco z rysunkami sytuacyjnemi, najdalej w ciągu dwóch godzin wywiązałąm się z mego zadania ku zupełnemu zadowoleniu brata, który czekał już na mnie. Dowiedziałem się, że ów związkowy, który miał czekać na nas dnia 17go, wstrzymany burzą, opóźnił się także, i właśnie przed chwilą dopiero przyjechał, — i oznajmił bratu, że jak przyjedziemy do domu, pewnie już zastaniemy kilku związkowych, którzy między innemi rozkazami, przywiozą także termin powstania.

V.

Powrót do Horożany, i przyjazd związkowych.

Przekąsiwszy nieco, wyjechaliśmy z zajezdnego domu koło godziny pierwszej popołudniu. Niesłychana burza nietylko nieustawała, ale zdawało się że wzmaga się coraz silniej. Wyjechawszy, pozasłanialiśmy się dobrze, i pozamykali oczy, gdyż śnieg formalnie śmigał po oczach.

Jechaliśmy już kilka minut, gdy nagle woźnica wstrzymuje konie, podaje nam lejce, i oświadcza, że musi się rozpatrzyć, gdyż nie może rozpoznać, gdzie się znajdujemy.

— A tam co? wszak pewnie jeszcze nie wyjechaliśmy z miasta! zawołał Ferdynand z zadziwieniem.

— W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego! zawołał żegnając się właśnie już wracający woźnica, — Wszelki duch chwali Pana Boga!

A potem obracając się do nas dodał:

— Ta to proszę jegomości zbłądziliśmy w samem mieście!....

Jakto? — zapytał Ferdynand.

— A jużcić proszę jegomości, zbłądziliśmy. Z bramy austeryi wyjechaliśmy wprost na podwórze kościoła, i po niem kręciliśmy się do teraz.

Przekonaliśmy się że tak było w istocie.

Podróż nasza była tak mozolna, i konie tak strudzone, że w Lubieniu musieliśmy stanąć na nocleg.

Ze świtem wyjechaliśmy z Lubienia, i zaledwie koło południa przybyliśmy do domu, bez żadnego nadzwyczajnego wypadku

Radość bratowej i ojca była nie do opisania.

Po pierwszem przywitaniu spytaliśmy się, czy nie ma w domu jakich gości? a dowiedziawszy się, że jeszcze nie było nikogo, nie wdawaliśmy się w żadne opowiadania naszej podróży, wygłodzeni bowiem i strudzeni pragnęliśmy najpierw posilić się trochę a potem udać się na spoczynek.

Zaledwie jednak nakryto do stołu, usłyszeliśmy w sieni tupanie nogami i pojedyńcze wyrazy, wymawiane głośno. Ferdynand właśnie chciał wyjść, ażeby dowiedzieć się kto przybył, gdy drzwi się rozwarły i weszło do pokoju trzech młodych ludzi w ubraniu podróżnem. Pierwszy z nich wzrostu słusznego, silnie zbudowany a przecież smukły, czarny długi włos rozdzielony nad wysokiem, pięknem czołem, spływał aż na ramiona, twarz ściągła, oko czarne, pełne wyrazu, i lekko przymknięte usta z małym jeszcze wąsikiem, świadczyły dostatecznie tak o jego energji, jak o nieugiętości woli i charakteru — byłto Maksymilian Müller.

Drugi jego towarzysz, był-to pan Józef Waligórski; rysy twarzy jego wypadły mi już z pamięci, tyle tylko jeszcze sobie przypominam, że był wzrostu miernego, zdaje mi się brunet, zresztą i to pamiętam, że był bardzo miły, a cały wyraz jego nadzwyczaj łagodny.

Pierwszy jak drugi, nie mógł liczyć więcej nad lat 25.

Trzeci zaś kolega, był wzrostu małego, ale dosyć krępy, blondyn, cokolwiek łysy, mądre wypukłe czoło, oko siwe, wąs dojrzałego mężczyzny, usta wydatne, twarz cała więcej okrągła niż ściągła; całość okazywała zimną rozwagę i rozum niemniej głęboko myślącego człowieka, w ogóle szlachetnego; — był-to Maurycy Sikorski.

Broń pozostawiali w sieni, pistolety zaś i krucice złożyli dopiero w pokoju.

Zasiedliśmy razem wszyscy w pokoju do stołu, i żywa rozpoczęła się rozmowa, a o odpoczynku nikt już z nas nie myślał.

Opowiadali nam swój wyjazd ze Lwowa, jak krążyli, ażeby zagubić za sobą ślad, — niebezpieczeństwa, z jakiemi z powodu tej sławnej burzy bezustannie mieli do walczenia, a nareszcie jaki już w blizkiem naszem sąsiedztwie wydarzył im się wypadek:

— Już w pobliżu Horożany, — opowiadał jeden z nich— przejeżdżając koło jakiejś karczmy, ujrzeliśmy mnóstwo chłopów pijanych. Zaledwie pominęliśmy karczmę, usłyszeliśmy za sobą wołanie: „stój! stój!“ rozumie się, że żaden z nas na to nawet najmniejszej nie zwrócił uwagi, i jechaliśmy dalej W tem nagle, tuż za uszami, słyszymy znowu powtórne wołanie: „stój! stój!“

Oglądnąwszy się, ujrzeliśmy, że dwóch chłopów pijanych uchwyciło się za sanie, i wloką się za nami, krzycząc bez ustanku:

— Stijte Lachy!

Wówczas zrozumieliśmy co to znaczy; kazaliśmy im puścić sanie, ale widząc, że ani prośby ani groźby nic nie pomagają, staraliśmy się oderwać im palce od sani. Trzymali się jednak tak silnie, że uskutecznić to było niepodobnem. Zmusili nas zatem, żeśmy im potężnie potłukli palce lufką od krucicy, co pożądany odniosło skutek.

Po obiedzie zaprosił ich brat do swojej kancelarji, i tam sam na sam rozmawiał z nimi przez dłuższy czas. Później i ja nadszedłem, i dowiedziałem się, że powstanie wybuchnąć ma dnia 21go lutego, oraz że Lwów później dopiero przy pomocy mieszkańców ma być zdobywany szturmem, przypuszczanym ze wszystkich stron, nakoniec, że broń znajduje się w Rumnie, u księdza N... tamtejszego proboszcza.

Jakie uczucie zawrzało we mnie, młodzieńcu wówczas 18to letnim, na te trzy wiadomości..... czyż potrzebuję opisywać? czy byłbym zdolnym do tego? —

Kogo podobna chwila a raczej podobna wiadomość doszła w tym co ja wówczas wieku i usposobieniu, — zrozumie, — inny nie pojmie mię.

Szybko płynęły godziny — i aniśmy wiedzieli, kiedy się zciemniło. Zapalono świece, ale wkrótce weszła bratowa, i zaprosiła do bawialnego pokoju, gdzie nas czekała wiejska wieczerza. Niechcąc narazić się na zły humor bratowej, która ile możności starała się przyjąć należycie tak zacnych a rzadkich gości, niezwłocznie uczyniliśmy zadość jej wezwaniu, lecz oczekując praktykowanej wówczas często rewizyi, przekonaliśmy się poprzód, czy krucice w porządku.

Przy i po wieczerzy, wesoła toczyła się pogadanka. Każdy opowiadał coś z życia swojego, każdy wynurzał swoją radość, że nadchodzi już dzień tak bliski, wszyscy po kolei wypowiadaliśmy swój sposób zapatrywania się na naszą sprawę, każdy podawał plan jakiś co do szczegółowego wykonania planu ogólnego, każdy z tych planów wzięty był pod ścisłą rozwagę, aż po dłuższych obradach przyjęto jeden, według którego mieliśmy postępować. Nikt jednak nie liczył, jakie zajdą trudności, jakie nadzwyczajne trudności? Przypuszczano wszystkie inne możliwe, a nawet te, że lud zachowa się biernie, i nie zechce brać żadnego udziału. W takim wypadku postanowiono nie nalegać wcale, i przystąpić do dzieła o własnej sile. Nikt jednak nie przypuszczał, że lud rzuci się nas!...

Ferdynand ufny w swoję długoletnią pracę, tembardziej był przekonany o czynnym udziale ludu tamtejszego, gdyż podczas całego swojego kilkoletniego pobytu w Horożanie, obchodził się z tamtejszym ludem jak sprawiedliwy ojciec

z dziećmi swojemi, a jakkolwiek wspomniany powyżej chłop Paweł.... zawiadomił nas, że jacyś podejrzani ludzie wichrzą w sąsiednich włościach i buntują przeciwko wszystkim którzy czarno ubrani, iż w obec takich stosunków ma wielce utrudnioną pracę, nie przypuszczał Ferdynand nic groźnego.

I to także wytoczono przy pogadance ówczesnego wieczora. Rozmaite były o tem zdania, rozmaite obawy i nieobawy, ale nikt nie upatrywał w tem nic takiego, coby naszej całej sprawie zgubny zadać mogło cios. Więcej obawialiśmy się, ażeby przed czasem, nim jeszcze sprowadzimy broń, nie ukazały się w oknach bagnety, a we drzwiach komisarz cyrkularny. Baliśmy się bowiem, ażebyśmy przed czasem nie ulegli przemocy, i nie zostali przyaresztowani, lecz nie z obawy o siebie, ile że z tego powodu cała ucierpiałaby sprawa. Właśnie rozmawialiśmy o tem, a jeden ze związkowych opowiadał o licznych aresztowaniach we Lwowie, gdy pomimo nieustającej jeszcze burzy usłyszeliśmy, że ktoś zajechał przed dom. Każdy z nas powstał ze swego miejsca, sięgnął do kieszeni, i kilka lufek skierowano ku drzwiom, w których ukazał się właśnie mężczyzna tak otulony futrem i poobwijany szalem, że dopiero po przemówieniu poznaliśmy w nim brata naszego, Henryka Czaplickiego, urzędnika przy magistracie we Lwowie. I jak powiada pan Marjan Sroczyński w „Postępie:“ „przybył jeden towarzysz więcej do biesiady śmierci.“

Śmialiśmy się z zbytniej naszej ostrożności i płonnej obawy. Henryk opowiadał wiele o nowych przyaresztowaniach, o duchu jaki panuje we Lwowie, niemniej o zdrowiu naszej matki i siostry, które wówczas bawiły w stolicy Galicji.

Henryk nowego dodał pogadance żywiołu, i może dopiero koło godziny trzeciej po północy, udaliśmy się na spoczynek.

Czy wszyscy jak ja spędzili noc bezsennie, nie wiem, pamiętam tylko to, że myśli nie dozwoliły mi usnąć do białego dnia. Jeszcze przy świecy powstawaliśmy wszyscy, a zaledwie zawitał dzień, wyjechali związków z mym bratem do Rumna, zkąd najdalej w pół godziny, wrócili z dwoma wiel-

kiemi kuframi broni. Były tam dubeltówki, pałasze i pistolety.

Zaraz po powrocie ich, wysłał mię brat do Horbacz, po wymienionego już powyżej szewca, Ignacego Baranowskiego.

Horbacze były od Horożany najdalej o jednę milę odległe; wkrótce zatem przybyłem na miejsce.

Ignacy Baranowski mieszkał wówczas u tamtejszego ekonoma, Mikołaja B., człowieka młodego, silnie zbudowanego, z dobremi chęciami.

Oświadczyłem Baranowskiemu, że przyjechałem po niego, oraz spytałem go, czy nie można-by liczyć i na Mikołaja B., i wziąć go także ze sobą do Horożany.

Baranowski oświadczył mi, że przekonany o duchu Mikołaja B., zawoła go zaraz i powie mu otwarcie.

Co wyrzekł, uskutecznił rzeczywiście. Po chwili bowiem weszli obadwaj do izby, a poczciwy Mikołaj przystąpił do mnie z szczerą wymówką, że nie powinienem był wątpić nawet o nim, że on wie dobrze, jakie są obowiązki każdego Polaka, i miłość ojczyzny wyssał z mlekiem matki, zatem że miłość ta nie tylko płynie w krwi w każdej żyłce jego i sercu, „ale — jak wyraził się — przesiąkła szpik i kości".

Usprawiedliwiłem się przed nim kilką szczeremi słowy, potem podałem mu rękę, którą on uścisnął po bratersku, i nastąpiła zgoda, nastąpiło zupełne porozumienie.

Mikołaj B. musiał uregulować nieco swoje interesa, i zostawić kogoś na swojem miejscu, w godzinę jednak wszystko już było załatwione. Wsiedliśmy zatem we trójkę na sanie, i przy wypogodzonem już niebie, puściliśmy się w drogę ku Horożanie.

Koło jakiejś, nie pamiętam już której karczmy, z daleka wołali już na nas chłopi ażebyśmy stanęli, a że droga nie prowadziła po pod samą karczmę, tylko mniej więcej w odległości 200 kroków, zatem chłopi zajść chcieli nam drogę, ażeby jak to widzieliśmy z groźnej ich postawy, przytrzymać nas zapewne i zaprowadzić do tamtejszego mandatarjusza, nie najlepszej może reputacji.

— Jaciu! — zawołałem na woźnicę — zdaje mi się, że chłopi zajdą nam drogę, i przytrzymają może, bo podobno pijani, a znużone nasze szkapy nie zdołają już prędzej.

— Et, ta bo co też panicz mówią — muskając na konie, odrzekł gniewnie Jacio, urażony takiem poniżeniem koni. — A co? — zapytał potem, gdy konie puściwszy się cwałem, w mgnieniu oka minęły karczmę i chłopów.

— Cóż to? — dodał — czy panicz myślą, że ja chłopski albo dziadowski furman, co to powozi chłopskiemi kociętami? Ta to złoto nie konie, jabym ich nie dał za tysiące innych.

I w tym guście długo rozmawiał, bo aż do samej Horożany, dokąd przybyliśmy wcześnie, jeszcze przed zmrokiem. Jać jak po podróży z Gródka, tak i teraz, sowicie został wynagrodzony przez brata. Wprowadziłem moich towarzyszów i przedstawiłem ich wszystkim zgromadzonym, którzy ich powitali serdecznie.

Tu winienem nadmienić, że gdy do dnia 20go lutego nie wrócił pan M. N... ze Lwowa, w którym to dniu miał już być w Horożanie stanowczo, wysłał brat po niego Bogumiła B... ażeby najdalej w nocy z dnia 20 na 21 stanął w Horożanie niezawodnie.

Wróciwszy z Horbacz, zdałem bratu raport dokładny. Wszyscy dowiedzieli się wówczas o tej małej, jednak mało znaczącej przygodzie naszej. Ale ta wiadomość na nikogo, żadnego nie wywarła niepokoju! Tak byliśmy wszyscy oszołomieni, zaślepieni!

Wieczór wydał Ferdynand wójtom rozkaz, by dnia 21go lutego, o szóstej godzinie rano, stawili się w kilkudziesiąt sami.

VI.

Noc ostateczna.

Jeszcze jedna noc, a miał zaświtać dzień walki... Jeszcze jedna noc tylko, a każdy z nas był gotów znosić wszelkie trudy... Jeszcze jedna noc tylko, a każdy z nas był gotów poświęcić wszystko, co mu było najdroższe, każ-

den z nas był gotów, nietylko swe życie nieść w ofierze, ale nikt nie wahał się porzucić na wieki może i dom rodzinny i bez opieki zostawić ojca i matkę, i osierocić nawet żonę i dzieci..

I gorąco pragnęliśmy, by zaświtał ten dzień; każda minuta zdawała nam się rokiem, każda godzina wiekiem całym. My młodzi wszyscyśmy byli weseli, ojciec nasz dotrzymywał nam kompanii, i wymownem opowiadaniem malował nam męztwo i odwagę naszych ziomków, którzy we wszystkich świata stronach, z wypogodzonem czołem i uśmiechem na ustach, stawali zawsze i przy każdej sposobności do walki w obronie uciśnionych narodów, w obronie niewinności i każdej słusznej sprawy.

Ferdynand, jakkolwiek nazajutrz złożył dowody niezwykłego poświęcenia się i wielkiej odwagi, — widocznie silił się do dobrego humoru. Może przeczuciem jakiemś wiedziony, często poglądał to na żonę, to na mądrzejszą na swój wiek dziecinę, na małego Bolesława, i często tłumił w sobie ciężkie westchnienia, które może mimowoli wydobywały się z piersi.

Bratowa haftowała dla męża swego Ferdynanda na napierśniku, godło wiary, nadziei i miłości. Była to między innemi także wyprawa dla niego na dzień jutrzejszy, i jakieś smutne myśli krążyć musiały po głowie jej, gdyż widzialem często, jak pokryjomu łza spłynęła na jej robotę. W oku jej malował się smutek mięszany z rezygnacją, usta drgały, nie wolno bowiem im było ułożyć się do płaczu, który od dawna groził silnym swoim wybuchem.

Biedna kobieta, dumna z swego męża, nie chciała okazać się niegodną Polką, i siliła się do okazania rezygnacji, a jako kochająca żona, lękała się o męża, nareszcie jako czuła matka drżała na myśl sieroctwa Bolesława i drugiego dziecięcia, którego powicia oczekiwali co chwila. Walka to była straszna, walka między obowiązkiem Polki, a obowiązkiem żony i matki. Nie dziw więc, że taka walka, spłodziwszy tysiące różnorodnych myśli i uczuć, rozdrażniła nerwy i skłoniła do łez, które powstrzymywane długo, wybuchnąć musiały z tem większą gwałtownością. W takim razie spieszyła do sypialnego pokoju, gdzie padłszy na kolana przed

wizerunkiem naszej Królowej, błagała ją o litość dla męża i dzieci, i o siły do zniesienia nieznanej przyszłości.

W takim stanie, zalaną łzami i skruszoną modlitwy szczerością, zastał ją Ferdynand w jej pokoju.

Postrzegłszy Ferdynanda, który tłumiąc wzruszenie, wlepił w nią na pozór obojętny wzrok, pytający niejako: „co to znaczy?“ — zerwała się z ziemi, jakby na zbrodni jakiej schwytana, i rzucając się mu na szyję: „nic — nic!“ łkając mówiła: — Mnie nic nie jest, jam się tylko o szczęście ojczyzny modliła.

Ferdynad przycisnął ją do siebie, pocałował w czoło, i rzekł jej:

— Jak mnie nie stanie, szukaj pociechy w modlitwie, a teraz uspokój się dziecię, pamiętaj na twój stan, i że w tej dla kraju naszego tak ważnej chwili, nie wolno mi być tkliwym na twoje cierpienia.

Poczem wrócił pośród nas, a łza błyszczała mu w oku.

Ojciec mój, w którym bratowa jak i my wszyscy — nieograniczone pokładała zaufanie, uspokoił ją znacznie, i wkrótce wprowadził do nas, gdzie było wesoło i gwarno.

Wniesiono kilka butelek wina, a ojciec nasz wydobył z swego podróżnego kuferka, wielki, rżnięty krzyształowy puhar familijny, który przechodził zawsze z ojca na najstarszego syna, i był używany przy nadzwyczajnych tylko uczta lub familijnych obchodach.

Ferdynand jako gospodarz napełnił kielich, i pierwszy przy słowach: „oby Bóg wysoki pobłogosławił naszej sprawie!“ wychylił go do dna.

Kolejno wypili go wszyscy.

Po niejakiej pauzie, stanął nasz ojciec pośród nas z napełnionym puharem.

— Ferdynandzie! — zawołał ojciec głośno i poważnie, synu mój najdroższy! nie czas nam dzisiaj zasiadać do szklanki, umysł nasz powinien być zdrowy i trzeźwy, niepowinniśmy zatem przebierać miarki, ale przy naszem dzisiejszem zajęciu o sprawie ważniejszej, zapomnieliśmy wszyscy z wyjątkiem twej żony, że dziś obok wilji spełnienia wyroku Boga co do sprawy naszej najdroższej nam ojczyzny, obchodzić powinniśmy także i uroczystość familijną, dzisiaj bo-

wiem jest trzecia rocznica urodzin twego syna Bolesława, pozwól mi zatem wychylić ten kielich za jego zdrowie, i napełniony kielich oddać w twoje ręce!

Ferdynand pospieszył do ojca, ucałował z zapałem jego ręce, i podziękował za pamięć.

Ojciec wypił, nalał i podał go bratu; Ferdynand przemówił także słów kilka, i właśnie chciał wypić zdrowie swego syna, gdy kielich wyślizga się z rąk jego, pada na ziemię i rozpryska się w tysiące czerepów.

Ojciec nasz, nie wierzący nigdy w żadne wróżby, pobladł i obróciwszy się do mnie, powiedział z cicha:

— Zła wróżba moje dziecko!

Wszystkich to jakoś obeszło — dotknęło niemile, gdyż pomimo silenia się, — nie wróciła już poprzednia wesołość.

Zawsze jeden z nas był w kancelarji na straży, gdyż tam znajdowała się broń i amunicja.

Już było dobrze po północy, gdy na mnie nadeszła ponowna kolej zająć miejsce mego brata Henryka. Zaledwie on wyszedł i ja sam zostałem w pokoju, usłyszałem lekkie pukanie do okna, rzuciłem wzrok mój w tę stronę, i przez szybę poznałem twarz wspominanego już chłopa Pawła... Wyszedłem w tej chwili do sieni, i zawołałem brata mojego Henryka, którego prosiłem ażeby jeszcze chwilę pozostał na straży. Henryk uczynił to chętnie, a ja wyszedłem do Pawła...

Skulony, czekał zaraz za drzwiami. — Poznawszy mię, najpierwej dał mi znak, ażebym mówił po cichu, gdyż lęka się zdrady, oraz ażebym się za nim udał do próżnej stodoły. Paweł... skradając się, dostał sie tam prędko, ja przybyłem za nim. Gdy postrzegł i przekonał się, że jesteśmy sami, powiedział mi, że jesteśmy zdradzeni, że chłopi, a głównie wójt z Nowosiółek, nazwiskiem Paliej, i wójt z Ryczychowa, Dutka, niedowierzali jemu i poszli do Drohowyża, pytać się tamtejszego majora (Ekerta, komendanta z wydziału stadniczego) co mają robić. Ze major nakazał im najsurowiej, nie puszczać żadnego z nas ze wsi, i pod własną odpowiedzialnością strzedz nas pilnie, dopóki nie przyjdzie wojsko, po które posłał do Mikołajowa; jeżeliby zaś który chciał uciekać lub jechał pojedyńczo, ażeby go złapać, związać, i do Drohowyża odstawić. Nareszcie, że do tego namówił tych

wójtów ks. Horodyski... W końcu oświadczył Paweł, że on traci już wiarę u swoich, i niewiele może poradzić, jak tylko tyle, ażebyśmy się mieli na baczności, i nie wyrywali się nigdzie pojedyńczo, bo nas wychwytają licznie naokoło nas porozstawiane straże chłopskie, któremi z swego pomieszkania kieruje horożański proboszcz, ks. Horodyski.

Podziękowałem mu serdecznie za udzieloną przestrogę, on wzajemnie upewniał mię o niezmiennem dla mnie przywiązaniu i o dobrych chęciach dla nas, ale jeszcze raz powtórzył, że lęka się, czy będzie mógł nam co pomódz. A mówił to z takiem uczuciem i tak szczerze, że nie mogłem powstrzymać się od serdecznego uściśnięcia go.

Paweł... chyłkiem wysunął się ze stodoły; ja zaś przyszedłszy do domu, wezwałem Ferdynanda, i powiedziałem mu wszystko. Słuchał mię z zajęciem; gdy jednak skończyłem moje opowiadanie, zakazał mi najsurowiej, wspominać o tem komukolwiek — wyraźnie nikomu, przytem zapewnił mię, że nie mamy się czego obawiać.

— Jak im wyłuszczę — rzekł — jutro o co rzecz idzie, ręczę ci, że nic nie pomoże agitacja do kontrarewolucji.

Dopiero koło godziny trzeciej nad ranem, udaliśmy się na krótki spoczynek, a każdy z nas pytał się w duchu a nawet i głośno: „co się z nim stanie do tego czasu w jutrzejszym dniu?“

Tutaj winienem nadmienić, że ks. N... otrzymał tego właśnie wieczora polecenie, ażeby nas uwiadomił, że powstanie zostało odwołane.

Dla czego jednak w tak ważnej sprawie, gdzie chodziło o życie lub śmierć wielu ludzi, nie uskutecznił tego niezwłocznie, nie wiem. Przykro mi i bolesno, że tego męża, którego z każdego innego względu, poważam jako człowieka, który gorliwą pracą około oświaty ludu zasłużył się krajowi, wezwać muszę niniejszem do wytłumaczenia się z tej opieszałości, której ostatecznem następstwem była — rzeź.

VII.

R z e ź.

Nadszedł nareszcie dzień smutnego i zgrozą przejmującego nas wspomnienia, dzień krwawy w dziejach ojczystych, dzień boleści i jęku — strasznego bratobójstwa, i krwawej dla nas nauki...

Był-to dzień 21go lutego, 1846 roku.

Brzask dzienny odsłonił nam zgromadzone masy ludu. Nie ujrzeliśmy jednak sani, które dla podwiezienia nas aż w pobliże Gródka i Rodatycz, kazał brat wójtom dostawić, przyrzekłszy im sowitą nagrodę, a raczej zapłatę.

Zasmuciło to nieco Ferdynanda, ale nie tracił ani otuchy, ani nadziei.

Wszyscy ubraliśmy się żwawo, i każden z nas uzbrojony od stóp do głów, z rewolucyjną kokardą przy rogatywce i rozumie się samo przez się, pałaszem przy boku, pistoletami za pasem a dubeltówką w ręku, był gotów do niecierpliwie oczekiwanej wyprawy.

Jakżeż wówczas byłem szczęśliwym! W tej jednej chwili nabrałem jakiejś odwagi, zdawało mi się, że jestem już nie młodzieńcem, ale dorosłym mężczyzną, człowiekiem zupełnie dojrzałym. Ta jedna chwila wlała we mnie jakąś pewność samego siebie, a że brat oświadczył mi dnia upłynionego, że mnie może powierzy wzięcie Rodatycz, przemyśliwałem przynajmniej, jak Napoleon I. przed bitwą pod Lipskiem, nad wykonaniem ułożonego w mej głowie planu do zdobycia malieńkich Rodatycz, z tem mniejszą tamże znajdującą się załogą wojskową. A jeżeli jak mówię, przemyśliwałem jak Napoleon pierwszy przed bitwą pod Lipskiem, to pewnie w tej chwili czułem się więcej szczęśliwym, niż wielki ten wódz po bitwie pod Austerlitz lub Jeną.

Pewny swojego planu, tem pewniejszy zwycięztwa, głęboko zamyślony, chodziłem poważnie po pokoju, i kiedyś tylko niekiedyś raczyłem się lekko uśmiechnąć, a uśmiech ten, gdyby kto był uważał, znaczył przynajmniej:

— Wszystko jest niczem w obec tego czego ja dokażę.

Tymczasem Ferdynand, który pojechał z pożegnaniem do swojego teścia, pana Dyttloffa, tudzież do księdza Horodyskiego, u którego dnia upłynionego zamówił mszę świętą na intencją naszej wyprawy, wrócił z plebanii, z oznajmieniem, że Dyttloff leży w łóżku, a ksiądz Horodyski mykici widocznie, udaje chorego, i mszy nie chce odprawić, pomimo sollennego przyrzeczenia.

Łaszkiewicz wywiązał się ze swego zadania, i dostawił rzeczywiście na kilku saniach zamówiony materyjał, — donosząc nam o tem dodał jednak, że chłopi Ryczychowscy zatrzymali te sanie za Horożaną i niedozwolili doprowadzić je aż do Horożany.

Do Gródka było daleko, półczwartej czy podobno cztery mile; a gdy sani nie było, musielibyśmy tę drogę odbywać pieszo. Nie było zatem wiele czasu do stracenia, i trzeba było nie czekając na nikogo czemprędzej przystąpić do rzeczy, w nadziei, że ci co przybyć mają, dogonią nas niezawodnie, a zresztą, że po drodze łączyć się miały z nami w każdej prawie wiosce mniejsze lub większe oddziały; tymczasem byliśmy gotowi puścić się w dziewięć osób — ilu wówczas nas było.

Ferdynand jednak, jakkolwiek widział już zuchwalstwo chłopów, i że porozstawiane po wszystkich stronach gromadki chłopów, jakąś złowieszczą przybierają postać, i nieczyste mają zamiary, nie tracił jeszcze nadziei, i był pewny że swoją wymową nietylko przekona ich o prawdziwości i szczerości zamiarów, ale nawet nakłoni ich jeżeli nie do udziału, to przynajmniej do chętnego udzielenia nam tak niezbędnie potrzebnych sani.

Po krótkim namyśle, wziął Ferdynand arkusz drukowanego papieru, wyszedł przed dom, skinął na chłopów ażeby się przybliżyli, i po polsku w następujące do nich odezwał się słowa:

— „Tymczasowy, z dniem dzisiejszym w całym naszym kraju zaprowadzony Rząd nowy, wydaje niniejsze do wszystkich dominiów, a mianowicie do dominium Horożany, na ręce moje, następujące rozporządzenie do niezwłocznego ogłoszenia wszystkim podwładnym gminom: (Tu wziąwszy pomie-

niony papier do ręki, zaczął niby czytać mniej więcej dosłownie, co następuje):

— Ponieważ z dniem dzisiejszym zaprowadzonym został tymczasowy Rząd nowy, zatem Ferdynand Czaplicki, dotychczasowy sędzia dominikalny w Horożanie wielkiej, zostaje mianowany naczelnikiem oddzielnego korpusu, który ma utworzyć z ochotników, na miejsce zaś jego, mianuje się komisarzem tam tejszego okręgu, Józefa Czaplickiego, byłego rządcę dóbr w Humieńcu, który obowiązany jest objąć z dniem 21go lutego b. r. swoje nowe urzędowanie. Zaś dla uświetnienia i wiecznej pamięci tego dla naszego kraju tak ważnego dnia, postanawia i rozporządza podpisany Rząd co następuje:

1) Uiszczana dotąd pańszczyzna, znosi się na wieczne czasy.

2) Z dniem dzisiejszym ustaje wszelkie poddaństwo, a natomiast następuje równouprawnienie wszystkich stanów w obec prawa.

3) Podatki gruntowe i domowe zostaną zmniejszone, i tylko takie wyznaczone, jakie na pokrycie kosztów utrzymania małej liczby wojska, i tem mniejszej liczby urzędników, okażą się niezbędnie potrzebne, a i te tylko za przyzwoleniem sejmu.

4) Inne opłaty, daniny i akcyza, znoszą się.

5) Stęple wszelkiego rodzaju, kasuje się na zawsze.

6) Monopol tytoniu i tabaki, od dnia dzisiejszego ustaje na zawsze, i odtąd wolno każdemu krajowcowi zasiewać, uprawiać i przedawać tytoń, niemniej wyrabiać tabakę.

7) Cena soli zniża się z dniem dzisiejszym, i od dnia dzisiejszego pobierać się będzie tylko tyle, ile kosztuje jej wydobycie, z doliczeniem małego procentu.

8) Źródła solne będą dla gmin tychże i bydła otwarte.

9) Rekruta dostarczać będzie kraj tylko za przyzwoleniem sejmu, w którym zasiadać będą wszystkie bez wyjątku stany.

10) Kapitulacja do służby wojskowej, zniża się z 14 na 3 lata; w czasie wojny liczy się każden dzień podwójnie.

Równocześnie wzywa się wszystkie gminy do szczerego i dobrowolnego udziału w obronie praw wspólnych, i w obronie ojczyzny.

Powyższe rozporządzenie ma być na dniu dzisiejszym, to jest na dniu 21 lutego b r. wszystkim gminom ogłoszone i wysokie znaczenie tych dla kraju wypływających korzyści i na wszystkich bez wyjątku mieszkańców tego kraju zlanych dobrodziejstw mianowicie gminom jasno wytłómaczone.

Przytoczyłem tutaj dosłownie prawie wszystkie korzyści, jakie ówcześni powstańcy przobiecywali włościanom, aby ich pociągnąć za sobą. Chcąc bowiem wynieść prawdziwą naukę z ówczesnych wypadków, nie dość jest znać skutki. Trzeba rozpatrzyć się i w środkach, jakie wówczas spiskowi poczytywali za niemylne.

— „Do mnie zatem — przemówił Ferdynand — należy wytłumaczyć wam ile mych sił, znaczenie tego, co właśnie teraz odczytałem. Najpierwej zatem co do pańszczyzny. Wiem o tem, i jestem przekonany, że każdemu z was wydaje się odrabianie pańszczyzny nieprawnem i niesłusznem przywłaszczeniem panów. Nie dziwi mię to wcale, jestto przyczyną waszej niewiadomości. Zkąd powstała pańszczyzna?

„Pańszczyzna, moje dzieci, pochodzi z tych jeszcze czasów, w których istniała wszędzie na całym świecie, z tych czasów, kiedy wasi przodkowie trudnili się tylko rolnictwem, a panowie wojaczką. W tych to czasach, jeżeli nieprzyjaciel jak to n. p. u nas: Tatarzy, Turcy, Moskale i t. d. i t. d. napadali granice naszego kraju, panowie ot, tak jak my teraz, zbierali ochotników czemprędzej, formowali z nich liczne armie wojska, swoim kosztem ich ubierali, zbroili, żywili i z narażeniem własnego życia na ich czele nacierali na nieprzyjaciela i wypędzali za granicę, by tylko kraj i jego mieszkańców ochronić od strasznych owego czasu skutków wojny, która dawniej odbywała się w ten sposób, że nieprzyjaciel wkroczywszy do którego kraju, niszczył wszystko ogniem i mieczem, palili zatem wsie całe, mordowali starców i tych którzy stawili opór, rabowali wszystko, dzieci i kobiety młode uprowadzali w ciężką niewolę, w której pracować musieli nie jak ludzie, nie jak niewolnicy lub poddani, ale jak bydlęta w ciężkiem jarzmie. Kto nie chciał przyjąć ich religii pogańskiej, ginąć musiał wśród mąk najokropniejszych.

*

A gdy taki wróg, nieprzyjaciel, zbliżał się do jakiejś okolicy, mieszkańcy całych wsi, całych okolic garnęli się wszyscy do zamku pana, i tam sprowadzali i przechowywali całe swe mienie, cały swój majątek, byli bowiem pewni, że tam nie tak łatwo dosięgnie ich okrutna ręka wroga, bo w zamku zgromadzeni byli panowie właśni, co to całe życie spędziwszy na wojaczce, wiedzieli jak się bronić i jak uderzać na wroga. Wówczas, moje dzieci, panowie i za was walczyli lata nawet całe, i za was krew swoją przelewali, wyście się do nich chronili, a oni własną swoją zasłaniali was piersią, w obronie waszej i kraju całego tracili czas, majątki, całe swe mienia, a najczęściej i życie tak własne jak i życie swych żon, dzieci i rodzin całych.

Wśród takich-to czasów powstała pańszczyzna; a panowie także z nieba nie spadli — zkądżeż powstali?

Oto wasi przodkowie niegdyś, wybierali z pomiędzy siebie jednego naczelnika, który był obowiązany w razie napadu pogana, prowadzić ich na swem czele do boju, do walki, i w taki sposób nimi kierować, by odnieśli zwycięztwo. Po odniesionem zwycięztwie, wszyscy którzy pozostali w domu, znosili mu dary, a podczas jego niebytności czuwali nad jego domem i obrabiali mu rolę. Taki naczelnik musiał porozumiewać się często z sąsiednimi naczelnikami, ażeby wspólnie w razie potrzeby uderzyć na wroga, musiał zbierać ochotnika, starać się dla niego o żywność i broń, także czuwać nad tem, ażeby nieprzyjaciel nie napadł niespodzianie tych, którzy go obrali i t. d. Taki zatem naczelnik nie trudnił się rolnictwem i ztąd powstali wojownicy, rycerze a z tymi i konieczność dobrowolnej robocizny. A że czasem trafiało się, że taki naczelnik wróciwszy po dłuższym czasie z krwawej wojny, zastał pola nieobrobione i wszystko u siebie w nieporządku i bezładzie, nastąpiły zatem wyrzuty, gniew, a następnie i oświadczenie, że na przyszłość niechaj sobie innego obierają naczelnika, jeżeli bowiem na ich wezwanie jeszcze raz pójdzie na wojnę, a wróciwszy nie zastanie wszystkiego w porządku, pomści się na nich za taką niedbałość i ukarze surowo. I oto ztąd, moje dzieci powstała już nie dobrowolna, tylko przymusowa pańszczyzna.

Po śmierci takiego naczelnika, takiego rycerza, najstarszy syn odziedziczał jego dom i rolę, a że zwykle przy bo

ku ojca wykształcił się w wojowaniu, także i syn zatem zostawał takim naczelnikiem obierany.

„Później tacy naczelnicy za porozumieniem się z całym narodem, obierali sobie jednego najstarszego naczelnika i nazwali go królem. Ci królowie byli rozmaici, i dobrzy i źli. Bardzo długo musiałbym wam rozprawiać, ażeby wam wszystko wyjaśnić. To tylko wam powiem, że ci królowie rządzili całym krajem, i za wielkie czyny lub odniesione zwycięztwa nagradzali takich naczelników i nadawali im szlachectwa i różne przywileje, a między innemi, prawem ustanowili odrabianie pańszczyzny dla takiej wojującej szlachty i ich spadkobierców.

Z czasem wzrosła taka szlachta w dumę, i ludzi nie umiejących wojować uważała za nic i ztąd powstawały rozmaite nadużycia, pomimo, że nie były nigdy pozwolone a osobliwie u nas za dawnych rządów polskich, tracił taki szlachcic swoje szlachectwo i musiał iść do turmy, czyli po naszemu do aresztu.

Nie wierzcie zatem kochani ludzie złośliwym podszeptom, że jak za dawnych polskich czasów wolno było zabić chłopa, tak i teraz-by było.

Wówczas gdy polskie były rządy, działy się po innych krajach większe niźli u nas nadużycia, i nie były nawet wzbronione. Zresztą zawsze i wszędzie byli i będą źli i dobrzy.

Dzisiaj inny nastał już czas, dziś nie ma już potrzeby, ażebyśmy wszyscy wydalali się na długą wojnę, i wy za nas gospodarowali i nas obrabiali tembardziej, że za robotę może zapłacić każdy, kto sam nie chce pracować. A na dowód, że nowy rząd z dniem dzisiejszym ustanowiony, szczere i dobre ma dla was zamiary, niechaj wam posłuży dopiero co przeczytane rozporządzenie, że z dniem dzisiejszym nie tylko znosi się tę pańszczyznę na zawsze, ale że oraz zaprowadza się równouprawnienie wszystkich stanów, t.j., że w obec prawa wszyscy są równi, że chłop czy pan zarówno korzystać może z dobrodziejstwa prawa, i każden u bez względu czy on chłopem, czy panem, równa — jednakowa wymierzana będzie sprawiedliwość, z dniem dzisiejszym kończy się wszelkie przekupstwo, z dniem dzisiejszym ginie fałsz

i obłuda, a zaczyna się panowanie prawdy według prawdziwej nauki Jezsua Chrystusa.

Tu brat odkrył głowę, a chłopi wydawszy z siebie głośne: „Ach!“ pochylili głowy.

Tak objaśniwszy Ferdynand zgromadzonemu z kilku gromad włościaństwu początek pańszczyzny, przeszedł potem do dzisiejszych czasów i wyświecał im obszernie to wszystko, co się z jego stanowiska, to jest z stanowiska ówczesnego powstania powiedzieć dało. Powtarzać tego ani mi można, ani też potrzeba. Łatwo bowiem wyobrazić sobie, jak ówcześni powstańcy przemawiali do ludu.

Ferdynand był tego przekonania, że mowa jego wielkie na chłopów wywiera wrażenia, i że w miarę treści rozmaitych ustępów jego mowy, rozmaite na ich twarzy malują się wzruszenia, a widząc już niejednę łzę lśniącą w oku niektórych, i słysząc ciężkie z ich piersi wydobywające się westchnienia, nareszcie uważając nadzwyczajne zejęcie z jakiem go słuchali, wpadał w tem większy zapał tembardziej, że tu i ówdzie między masą chłopów zaczęły się odzywać ciche głosy potakujące, potwierdzające niejako jego mowę n. p.

— *Ta każe, może win praudu howoryt...*

albo:

— *Ta to może i prauda buty...* i t.d.

I byłby mówił dalej, gdyby jeden urlopnik pijany — stojący w samym środku licznego, bo z sześciu gromad składającego się tłumu, nie był odezwał się w te słowa:

— *Ta to każe może prauda, szo wy howoryte, ałe szoż, koły nam kazały w Drohowyzi, szobyśmo was wsich pijmały, zwiazały i do pana majora widstawyły, a jakbyśte sia boronyły....*

To wystąpienie urlopnika, było niejako hasłem do wystąpienia wszystkich gromad przeciwko nam, a spadło to tak niespodzianie, że Ferdynand licząc w najgorszym razie tylko na bierne zachowanie się tego ludu, nie mógł zdobyć się na prędką a trafną odpowiedź lub energiczny czyn, który-by był połamał wszystkie ich szyki.

— To zdrajca! — zawołał brat, pokazując na chowającego się za plecami chłopów urlopnika, — nie wierzcie mu, on was zaprzedał, i wziął już pieniądze, aby was zgubić!

Ale w tej chwili z głębi masy usłyszeliśmy tu i ówdzie najpierwej półgłosem a potem coraz głośniej i groźniej odzywające się:

— *My sia toho nepryjmajem!... My sia toho nepryjmajem, szczo pan sędzia howoryły!*

Nareszcie cała kilkutysięczna masa, powtórzywszy za nimi głośno: *My sia toho nepryjmajem!* — poruszyła się z miejsca, i jak straszna powódź w jednej chwili otoczyła dom nasz dokoła.

Ferdynad wkrótce odzyskał zimną krew, ale sądząc, że złe by może zrobiło wrażenie, gdyby on ponownie ukazał się chłopom, prosił ojca, ażeby swoją wymową starał się uspokoić na wpół pijanych już chłopów.

Mój ojciec wyszedł powoli, z flegmą, z powagą. Jak tylko zbliżył się do nich, wszyscy odkryli głowy, i pokłonili się nisko. Pomimo gorączkowego swego usposobienia, nie zapomnieli doznawanych od niego dobrodziejstw, i uszanowali jego poważną, białym już włosem pokrytą głowę.

Ojciec otoczony dokoła, przemawiał do nich łagodnie, i wezwał ich, ażeby rozeszli się do domu. — Odpowiedzieli mu, że uczyniliby to chętnie, ale mając najsurowszy rozkaz dostawić wszystkich do Drohowyża, nie mogą rozejść się, bo muszą wykonać, co im polecono.

Gdy ojciec opowiedział nam jak mają się rzeczy, prosił go Ferdynand, ażeby jeszcze poszedł do pana Dyttloffa, ażeby ten wstał z łóżka, i nakłonił chłopów do rozejścia.

Tymczasem wyszedł Łaszkiewicz, i zaczął z chłopami rozmawiać. Znienacka jednak podskoczył jeden urlopnik, i wyrwał mu z ręki dubeltówkę. — Na to chłopi rzucili się na niego, chcąc go aresztować. Sile tylko swojej miał do zawdzięczenia, że przedarł się do nas z powrotem.

Ojciec nie zważając na to, poszedł, ale na drodze spotkał właśnie ks. N., który zapóźno wiózł do Horożany rozkaz, odwołujący powstanie. [1])

Chłopi dopijali wódkę ciągle dostarczaną, — nie dopuścili go już do pana Dyttloffa, i wraz z księdzem N. przy-

---

[1]) O tem dopiero dowiedziałem się w więzieniu.

trzymali i zaprowadzili do opisanego na wstępie dominikalnego aresztu.

Ten postępek chłopów oburzył nas wszystkich tak mocno, że na widok, jak obudwóch prowadzono do aresztu, zamierzaliśmy uderzyć w tej chwili na chłopów, i nie dopuścić aresztowania. Ferdynand jednak, który wśród tego już inny obmyślił plan, nakłonił nas do odstąpienia od tego zamiaru, oświadczając, że dla własnego nawet ojca, nie wolno mu narażać ogólnej sprawy! Potem oznajmił nam, że będąc pewnym iż chłopi nie będą mieli odwagi uderzyć na nas w domu, postanowił czekać, póki nie nadciągnie wojsko.

Właśnie gdy tak rozmawiamy i naradzamy się co robić, usłyszeliśmy straszne, przeraźliwe wycie pijanego chłopstwa, ktore podszedłszy aż pod sam dom, naraz jakby na komendę, ogromnemi kołami wszystkie wybiło szyby, a grad kamieni i cegieł padał z wszech stron do pokojów bez przerwy — i ujrzeliśmy, że w mgnieniu oka wszyscy już byli uzbrojeni, to w cepy, koły, to sztachety z ogrodu, to w kosy a nawet i strzelby.

Ponabijaliśmy broń palną, i z rozkazu Ferdynanda, pojedyńczo lub we dwóch zajęliśmy stanowiska przy oknach.

Na widok rurek, sterczących z okien, odsunęli się chłopi o kilkanaście kroków.

W tem usłyszeliśmy krzyki, a raczej przeraźliwe wycie, i postrzegliśmy, że kogoś prowadzą. Był to Łagoński, którego po raz pierwszy ujrzałem.

Jakkolwiek to było dosyć zdaleka, dojrzałem że to był mężczyzna tak pięknych rysów i kształtnej męzkiej budowy, że podobnego nie widziałem w mem życiu.

Tak jak Łagońskiego, łapali chłopi wszystkich pojedyńczo nadciągających, rewidowali, i zrabowawszy broń, pieniądze lub co droższego, prowadzili do aresztu naprzeciw nas, i zamykali. Tym sposobem przyaresztowali jeszcze ekonomów: Kuźniaka i Bilińskiego, tudzież dominikalnego aktuarjusza, Jana Bredemajera z Komarna; przejeżdżającego przypadkiem dzierzawcę dóbr Łomżyńskiego; a później już i kasjera ze skarbu komarzańskiego, pana Bielewicza; niemniej Mikołaja B... i Ignacego Baranowskiego, którzy wcześnie rano wyszli na wieś między tamtejszych chłopów.

My wszyscy wyczekiwaliśmy przybycia wojska, gdyż wójt Ryczychowski oznajmił nam, że już posłał po wojsko, i że major E...., komendant wydziału stadniczego w Drohowyżu, przyrzekł mu stanowczo przysłać niezwłocznie pomoc wojskową. Postanowiliśmy zatem czekać z tem niezachwianem przedsięwzięciem, ażeby się nie poddać, tylko bronić się do ostatniej kropli krwi, póki nie poginiemy wszyscy. Wnosiliśmy, że gdy nie ma w pobliżu piechoty, przybyć może tylko jazda, a przeciw tej możemy bronić się długo z domu murowanego, (dach tylko, i powała były drewniane) i że zwycięztwo swoje będą musieli opłacić drogo.

Ciężko płynęły te chwile; żaden z nas najmniejszej nie miał życia nadziei, lecz każdy z spokojną rezygnacją oczekiwał tej chwili, ażeby złożyć dowody swej chęci, i gdy nie można było inaczej wywiązać się z naszego zadania, — przekonać przynajmniej wszystkich, że tylko śmierć mogła być dla nas prawdziwą i jedyną przeszkodą; i z tej to przyczyny odrzuciliśmy warunki, jakie nam dawali wójtowie Ryczychowa i Nowosiółek: Dutka i Paliej.

Ileż to poświęcenia, ileż heroizmu w tych wyrazach, które wkrótce potem sprawdzone czynem nie tylko u nas, ale niemal wszędzie podczas tej katastrofy, nie tylko na najwyższe zasługują uznanie, ale które zarazem powinny nadać przekonanie, że u nas liczne grupy całe przewyższały o wiele sławnych z heroizmu i odwagi mężów starożytnej Helady i Rzymu.

Żądali od nas, ażebyśmy dali się powiązać, a oni nas odstawią do Drohowyża.

Gdybyśmy byli wiedzieli co dzieje się w całym kraju, możebyśmy byli to uczynili, ażeby tylko uniknąć rozlewu krwi.

Jak mocno kochali i poważali mojego ojca chłopi, i to jeszcze może posłużyć za dowód, że wkrótce po jego przyaresztowaniu, przyszli do nas do okna z prośbą, ażebyśmy dla niego wydali płaszcz ciepły, szoby — jak wyrażali się — *kochany nasz jegomość ne zmerzły* — Jest-to oraz dowodem dobrego serca.

Żona Ferdynanda, nadspodziewanie okazała rezygnacją bez granic. Pomimo że w błogosławionym znajdowała

się stanie, nie ujrzał żaden z nas najmniejszej u niej obawy. Głosem stanowczym, przekonywającym o niezachwianej woli i niezłomnem jej postanowieniu, oświadczyła Ferdynandowi w obec nas wszystkich, że go nie odstąpi i gotowa jest zginąć z nim razem, gdyż czuje, że wielkie tak jemu jak i nam zagraża niebezpieczeństwo.

Ona pierwsza i ona jedyna wynurzyła i oświadczyła nam, że znając nasz lud dokładnie, oczekuje po nim wszystkiego najgorszego, — gdyż — jak wyraziła się — jest podburzony, rozdrażniony a głównie pijany.

Starała się udowodnić nam to wszelkiemi sposobami, ale my wszyscy bez wyjątku, mieliśmy takie o naszym ludzie wyobrażenie, że wszystkie jej dowody, braliśmy na karb zbytecznej, gorączkowej wyobraźni, i przesadzonej obawy kobiecej.

Niestety! aż zanadto prędko przekonaliśmy się o prawdziwości tego, co powiedziała.

Ileż to moglibyśmy w naszej przeszłości naliczyć Polek, które jak żona Ferdynanda, złożyły dowody heroicznego poświęcenia, bochatyrskiej odwagi, tudzież przytomności umysłu i bystrego pojęcia.

Godzina mijała za godziną, ale wojsko nie nadciągało. Już parę godzin byliśmy na naszych stanowiskach i z największą niecierpliwością wytężaliśmy nasz wzrok w stronę z której przybyć miało wojsko, ale napróżno.

Przy świecy jeszcze wypiwszy kawę, byliśmy przy nieustannym ruchu tak głodni, a przy wybitych szybach tak przeziębnięci, że prosiliśmy bratowej, ażeby nam coś dała ciepłego.

Stojąc przy oknie wypiliśmy po szklance buljonu, który znacznie pokrzepił nasze siły.

Winienem tutaj nadmienić, że chłopi zaraz po mowie Ferdynanda, uprowadzili konie nasze ze stajni — o ucieczce mowy zatem nie było, tembardziej, że zaspy śniegowe były wszędzie tak wielkie, że idąc pieszo, trzeba było po pas zapadać w śniegu.

Mniej więcej koło godziny dwunastej w południe, przybył Dutka, wójt ryczychowski, pod okno kancelarji, i wezwał nas groźnym tonem do poddania się, i oświadczył, że właśnie

wróciło kilku chłopów z Drohowyża, gdzie major nakazał im wziąć nas przemocą, lub jeżeli będziemy opierać się, użyć wszelkich najsurowszych środków, a w końcu dodał, że zaczną od zapalenia naszego mieszkania.

Odpowiedzieliśmy mu, że wszelkie jego wezwanie jest próżne, że my poddawać się nie myślimy, oraz, że ktokolwiek odważyłby się targnąć na nas, opłaci śmiałość swoją życiem, tem bardziej, że my chłopom nic złego zrobić nie pragnęliśmy, i przeciwnie pragnęliśmy ich dobra. Na koniec że z nimi ucierać się nie będziemy, wyjąwszy gdyby nas do tego zmusili, czy to czynnem wystąpieniem przeciwko nam, czy to złem obejściem się z uwięzionymi, których nie dozwolimy wywozić, gdyż w takim razie naraziliby się na skutki nieobliczone.

Dutka pobladł ze złości, mocniej zaiskrzył oczyma, i bijąc się w piersi oświadczył nam, więcej krzycząc niż mówiąc, że gdy ma taki rozkaz, musi go wykonać, tem bardziej, że jako naczelnik chłopów, na siebie przyjął ten obowiązek i wszelką z niedopełnienia tego rozkazu wynikającą odpowiedzialność.

Wypowiedziawszy to odszedł szybkim krokiem, i widzieliśmy jak na wszystkie strony wydawał rozkazy zupełnie już pijanym chłopom, którym zarówno uzbrojone tak kobiety jak i dzieci, flaszkami i garnkami z pobliskiej karczmy donosiły wódki.

Dutka był trzeźwy. Chłopi którzy na drodze i na około domu pozasiadali całemi gromadami, powstali za zbliżeniem się Dutki, i wkrótce powstał wielki między nimi ruch, potem ponowiły się krzyki i przeraźliwe wycie dzikie, aż na koniec zaczęli się gromadzić koło aresztu i naszego domu, w około którego znosili i składali okłoty słomy.

Zrozumieliśmy co to znaczyło, widzieliśmy że zamierzają przystąpić po czynu, a głównie że zamierzają podpalić dom; groziliśmy im zatem, że jeżeli nie pozabierają z pod domu słomy, sami sobie przypiszą skutki jakie ztąd wynikną.

Wśród tego zamięszania, a właściwie narad naszych — co robić? czy dawać ognia — czy nie? ujrzeliśmy, że z aresztu wyprowadzili związanego Łagońskiego, i bijąc go,

szarpiąc i szturkając, uprowadzają drogą w stronę ku Drohowyżowi.

Henryk zaraz zawiadomił o tem Ferdynanda, wołając: „Ferdynandzie, uprowadzają Łagońskiego, na miłość Boga, ratujmy go! oni go zabiją, oni go zabiją!“

A gdy poprzód już uradziliśmy, że pod żadnym warunkiem nie możemy dozwolić, ażeby kogokolwiek z uwięzionych uprowadzili, zatem na doniesienie Henryka zawołał Ferdynand:

— Nie dać go!

A potem zwróciwszy się do mnie, powiedział rozkazująco:

— Władysławie, masz to wykonać, ucz się uderzać na silniejszego liczbą nieprzyjaciela, a że jesteś z nas najmłodszy, to ci pomożemy, jeżelibyś sam nie wydołał!

Moje stanowisko było we drzwiach, i widziałem, że na odpowiedź i zapytania „jak to wykonać?“ nie było czasu. Wypadłem zatem z podniesionym do góry pałaszem coprędzej na drogę, i krzycząc: „puszczaj!“ w mgnieniu oka byłem przy Łagońskim, od którego pouciekali chwilowo przerażeni chłopi; nim jednak upamiętali się, jedno cięcie pałasza „augustówki“ uwolniło z więzów Łagońskiego. Miał bowiem ręce w tył związane tak że łokieć do łokcia nie dochodził całkiem.

— Broni, broni, pałasza! — krzyknął uwolniony Łagoński.

Henryk podał mu pałasz, i w sam czas, gdyż już zaczęli nas otaczać.

Zaledwie wróciliśmy po małej utarczce do swoich, gdy już ujrzeliśmy, że po przed areszt zajechało kilku chłopów naszemi saniami i naszemi końmi.

Wkrótce wyprowadzono ojca naszego, także związanego, w płaszcz otulonego, i wsadzono go na sanie.

— Puścić ojca! bo strzelę! — krzyknął Ferdynand.

Ale sanie właśnie raźno ruszyły z miejsca, a równocześnie padł strzał — niestety! tylko na postrach. Kto strzelił pierwszy, nie wiem; to mi tylko wiadomo; że jeden z nas trzech braci. Gdyby jednak ten strzał od razu był powalił jednego chłopa, kto wie, czy cała sprawa nie była-by

wzięła zupełnie innego obrotu?... Tak zaś był ten wystrzał dla chłopów, jakkolwiek dany w obronie ojca, hasłem do zaczepnych kroków, tembardziej że naszem jak mniemali niecelnem strzelaniem zostali ośmieleni.

Sanie z ojcem wkrótce zniknęły nam z oczu, a chłopi w groźnej postawie coraz więcej zbliżali się do nas; jedna część otoczyła nasz dom, inne bandy porozrzucały się po drodze i po ogrodach, a przed czoło naszego domu stanęła cała masa chłopów, a ruchy ich zdradzały, że zamyślają rzucić się na nas.

Czuliśmy, że było nas za mało. Trzeba było koniecznie uwolnić uwięzionych, i nimi pomnożyć nasze siły. Ferdynand, który chodził od okna do okna, ażeby przekonać się, czy i z zaplecza nie zagraża nam jakie niebezpieczeństwo, a mianowicie napad chłopów, nie mógł się wydalać, a że wszystkich było nas tylko ośmiu, a samych okien także ośm i jedne drzwi a wszystkie miejsca musiały być obsadzone, zatem właściwie żaden z nas nie powinien się był wydalać, ale nie było czasu namyślać się wiele, trzeba było działać bezzwłocznie.

— Ferdynand kazał ich uwolnić — pomyślałem sobie oraz, kazał mi się uczyć uderzać na silniejszego liczbą nieprzyjaciela, zatem nie namyślałem się długo, wpadłem do kancelarji, gdzie była broń, uchwyciłem w lewą siedm pałaszy, i z wzniesioną do góry augustówką w prawicy, wypadłem z domu jak szalony, krzycząc:

— *Na bik, z dorohy!*

Co działo się ze mną — nie wiem. Później dopiero dowiedziałem się, że za mną wypadli przed dom Henryk, Łaszkiewicz i Łagoński — i wzniesionemi do strzału na chłopów strzelbami, zasłaniali mię od razów, jakie mógłem otrzymać za mój jakkolwiek śmiały, lecz niemniej lekkomyślny krok, z którym nie opowiadałem się nikomu.

Masa chłopów rozstąpiła się przedemną jak bałwany morza za dotknięciem laski Mojżesza. Wpadłem do aresztu, ale drzwi zamknięte.

— Gdzie jesteście? — spytałem.

— Tu, tu! — odezwały się śmiałe i wesołe głosy w obudwóch kaźniach.

Czułem, że w ich głosie przebijała się nadzieja. Sień była wązka, oparłszy się zatem jedną nogą o mur ściany, rzuciłem sobą o drzwi, pocisnąłem, i — o radości! — wysadziłem. Był tam między innymi w tej kaźni ekonom M.B. silnej budowy młodzieniec. Przy jego pomocy powiodło mi się wyłamać drugie drzwi, i tym sposobem uwolniłem wszystkich. Ale właśnie już gromadzili się znowu chłopi, i oblegali areszt. Trzeba było zatem działać energicznie, ażeby nim upamiętają się chłopi, — dostać się już do Ferdynanda i jego towarzyszy.

Rozdałem zatem niezwłocznie przyniesione pałasze, i wzywałem, ażeby trzymając się razem, wyszli wraz ze mną, by ile możności połączyć się z tamtymi.

Już zacząłem ich ustawiać, gdy pan Łomżyński zaczął wszystkim odbierać pałasze.

Nie mogąc pojąć co to znaczy? przypatrywałem się zdumiony, i oczekiwałem końca.

Pan Łomżyński słynął w całej okolicy z olbrzymiej swej siły. Myślałem zatem w mojej młodocianej wyobraźni, że zamierza dokazać coś nadzwyczajnego, w naszej obronie, ale jakżeż okropnie zostałem rozczarowany! — Odebrawszy im pałasze, wyrzucił je chłopom, wołając do nich błagalnym głosem:

— Widzicie ludzie kochani, ja nic nie winien, oto! przekonajcie się! wydaję wam broń, którą tym oto odebrałem! pamiętajcie na mnie, że ja nic nie winien!

Po tych wyrazach zwraca się do mnie, nachyla i chce uchwycić za pałasz.

Upamiętałem się, teraz zrozumiałem.

— Czego pan chcesz? — zawołałem w gniewie.

— Oddaj pałasz! — odpowiedział Łomżyński, i schylił się ponownie, by odebrać mi pałasz.

Oceniając postąpienie pana Łomżyńskiego za zdradę, która nam wszystkim niechybną przyniesie zgubę, może po raz pierwszy w mem życiu wybuchnąłem wówczas takim gniewem, że z całej mej siły rąbnąłem go w głowę pałaszem. Łomżyński zasłonił się rękami, a ja zadałem mu cios drugi, i jeden czy dwa palce potoczyło się po ziemi.

Łomżyński ukląkł, i płacząc zaczął błagać o litość.

— Tak — powiedziałem do niego — tak, nie zasłużyłeś na litość, ale nie zabiję cię, ja nie chcę tego pałasza zbroczyć w krwi zdrajcy, niechaj uczyni to kat!

Wśród tej sceny wyślizgnęli się już tak Baranowski jak Biliński, i chcieli uciekać. Chłopi jednak schwytali ich i zaczęli ich — jeżeli się tak wyrażę: oprawiać. Krzyk i jęki tych nieszczęśliwych obiły się o moje uszy, poznałem, że to nie przelewki, i że tam nie mam co robić. Wezwałem wszystkich ażeby szli ze mną, a gdy nikt nie chciał prócz Bredemajera, wziąłem go po pod lewą rękę, i pomimo trudności, nacierania chłopów i kilku uderzeń kamieniami, które otrzymałem, doprowadziłem go szczęśliwie do naszych, oczekujących nas z niecierpliwością. Mikołaj B.... przybył także za nami.

Gdy opowiedziałem wszystko co się stało, jak haniebnie postąpił sobie Łomżyński, oburzyło to wszystkich, i wszyscy stracili nadzieję, osobliwie gdyśmy ujrzeli, że ledwie wyszedłem z aresztu, zaraz wpadli tam chłopi, wyciągali jednego po drugim, i katowali bez miłosierdzia. Łomżyński zanadto prędko poznał że się przeliczył w samolubnych planach ocalenia samego siebie, poznał że zgubił siebie i wszystkich, i jego bowiem wyciągnęli i pastwili się nad nim, wprawdzie nie więcej jak zdrajca zasłużył, ale zawsze więcej jak nad innymi. Olbrzymiej tylko sile miał do zawdzięczenia, że wytrzymał wszystko, i pozostał przy życiu.

Chłopi tymczasem z wszech stron nacierali na nas, i pchali się drzwiami i wszystkiemi oknami naraz.

Kilka takich napadów odparliśmy skutecznie, nie używając jeszcze palnej broni. W tem przez drugie okno od kuchni, zaczęli wdrapywać się jedni, gdy drudzy do frontowych zbliżali się drzwi.

Miałem krucicę w ręku; zmierzyłem — padł strzał, a gdy Sikorski powiedział: „Jest!“, potoczył się jeden chłop z okna na ziemię.

Chłopi nie ustawali nacierać na nas, i tak nas ciągle zajmowali, że nie mogliśmy myślić nawet o wydobyciu z katowskich ich rąk tych nieszczęśliwych, których wywlekli z aresztu.

— Pali się, pali się! — krzyknęła wpadająca właśnie do domu niańka Bolcia (syna Ferdynanda).

— Dawajcie dziecko! dawajcie dziecko! — wołała blednieją na twarzy, lecz z roziskrzonem okiem w którem niezwykła malowała się odwaga. A ruchy jej i cała postawa przekonywały na pierwszy rzut oka, że była gotowa bronić go do ostatniej kropli krwi, a nawet i życie dla niego poświęcić. Wieśniaczka, chłopka, była ona mu pierwej mamką a teraz niańką — nie dziw więc, że się tak przywiązała do tej dzieciny, która nigdy nie męczyła ją właściwemi innym dzieciom grymasami.

Kłęby dymu, pędzone wiatrem, zaczęły się walić do okien i drzwi. Słychać było trzaskanie palących się gontów i walenie się krokwi, a powała była drewniana, i chłopi coraz liczniej i groźniej kupili się około domu; niebezpieczeństwo zatem było tak wielkie, że Ferdynand nie mógł dłużej się wahać, i wezwał bratowę, ażeby z dzieckiem opuściła dom.

Bratowa zgodziła się na powierzenie dziecka wspomnionej niańce, ale pod żadnym warunkiem nie chciała opuścić Ferdynanda.

— Ja wam nie będę przeszkadzać — mówiła — będę spokojną, nie będę płakać, ale pozwól Ferdynandzie zginąć przy tobie.

Dziecię płacząc wyciągnęło rączęta ku bratu. Ferdynand uścisnął je, i powiedziawszy:

— Niech cię Bóg błogosławi i ma w swojej opiece, już On tylko teraz będzie ci ojcem, podobnoś nie zobaczymy się już na tym świecie — ucałował go serdecznie.

Był to ostatni jego dla syna swego pocalunek!

Niańka szczęśliwie uniosła dziecię do Dyttloffów; a ocaliła go swoją odwagą i poświęceniem. Zaledwie bowiem ukazała się z dzieckiem, hurma chłopów otoczyła ją, i usiłowała wydrzeć go jej z rąk. Chłopi chcieli dziecię zabić koniecznie, ona jednak położyła je na ziemi, i sobą przykryła wołając:

— *Persze zabyjete mene, jak dytynu!*

Chłopi ją odstąpili.

Zaledwie niańka wyszła, chłopi ponowny przypuścili szturm. Ja z bratem moim Henrykiem, i Mikołajem B... broniliśmy drzwi wchodowych, inni byli u okien.

— Rozejść się spokojnie do domów! — zawołaliśmy, bo gdy nas napadacie, będziemy strzelać!

Nasze kilkakrotne wezwanie nietylko żadnego nie odniosło skutku, ale przeciwnie, tem więcej ośmieliło chłopów.

Henryk pierwszy dał ognia. Strzelając celnie, w samo serce ugodził pierwszego śmiałka. Chłop padł. Tem jednak nie zrazili się inni, zrobili mu miejsce ustępując się nieco i z tem większą odwagą posunęli się naprzód, jak gdyby nigdy nic nie zaszło.

Henryk stojąc w sieni obok mnie po prawej stronie, właśnie nabijał strzelbę. Ja zmierzyłem szturmak nabity lotkami, przycisnąłem kurek, i wystrzeliłem. Na szturmak jednak było za daleko, ten zatem wystrzał nie powalił żadnego z naszych przeciwników. Nabijając szturmak ponownie, rzuciłem mimowoli okiem na Henryka, i ujrzałem, że z jego kamizelki dymi się koło lewej kieszonki. Przyduszając mu ogień, powiedziałem dość obojętnie:

— Przepraszam cię bracie! moja panewka z szturmaka, spaliła ci kamizelkę.

— To nic — odpowiedział zakładając kapslę.

Ale zaledwie to wyrzekł, jęknął i potoczył się na ziemię.

Zaniosłem go przy pomocy Mikołaja B... do kuchni. Biedny! prosił mię, — brata swego rodzonego! bym go dobił coprędzej, słusznie bowiem lękał się srogiego pastwienia. Żyjącego jeszcze dostali w swe ręce, i żywcem w prasie od syra powoli rozgnietli mu głowę.

Później dopiero dowiedziałem się, i wziąwszy dokładnie wszystko pod rozwagę przekonałem się, że równocześnie z moim wystrzałem, strzelił z po-za pierwszego okna bawialnego pokoju jeden urlopnik, który do mnie celował, i kula, która mnie zabić miała, przeszyła pierś brata mojego.

Ubył znów jeden towarzysz obrony.

Żaden z nas, — śmiało to mogę powiedzieć, — nie myślał o sobie, a każdemu chodziło o wszystkich. Rana Henryka była śmiertelna, strzał bowiem dany z okna, padł tak z blizka że kula przeszyła bok lewy, i prawym wyszła bokiem, a dymiący się jeszcze kłak ugrzązł w kamizelce.

Widzieliśmy zatem, że wszelki ratunek był bezskuteczny, a głównie że był niepodobny. Tak bowiem gwałtowny

był atak, że ciągle trzeba było być w pogotowiu do odpierania całemi masami nacierającego chłopstwa. Zrobiliśmy w kilka osób wycieczkę, ale ta mało skutkowała, a nawet straciliśmy w niej jednego z naszych towarzyszy. Mikołaj B... bowiem, w swej niepospolitej, szalonej prawie odwadze, sam jeden rzucił się bez naszej wiedzy na masę chłopów, którzy właśnie męczyli Baranowskiego i innych, i tam dostał się w ich ręce, nim my byliśmy w stanie to spostrzedz.

Nacierani ze wszystkich stron wróciliśmy do domu, i dopiero poznaliśmy, że znów utraciliśmy jednego towarzysza.

Dubeltówka w każdem niemal oknie, we drzwiach szturmak, a głównie nasza gotowość do zaciętej obrony, później dopiero poniekąd odstraszyła chłopów. Cofnęli się ku aresztowi, a jedna część poszła rabować pałac w którym z dwojgiem dzieci znajdowała się sama jedna, słaba podówczas pani Niezabitowska.

Równocześnie jednak, pod jeden róg domu, gdzie właśnie nie było zagrażającego im okna, zaczęli składać kupy słomy, ażeby jak utrzymywali, wykurzyć nas z domu i potem tem łatwiej wyłapać nas pojedyńczo i mordować.

Wybiegłem z pokoju, i widząc że własny nasz gumienny, który tyle od nas różnych doznawał dobrodziejstw, właśnie niesie głownię zapaloną, ażeby nią podpalić słomę, wezwałem go, ażeby tego czynić zaniechał. Gdy kilkakrotne moje wezwania nie skutkowały, żagroziłem mu śmiercią. Przytem starałem mu się wystawić smutne z tąd następstwa; przypomniałem mu, że mając żonę i jedno dziecię, nie powinien się narażać na śmierć, która go nie minie, jeżeli się przybliży do słomy. Wahał się, ale widząc że ja nie strzelam, zbliżał się a raczej skradał się powoli, patrząc mi w oczy.

Widziałem, że mowa moja uczyniła na nim wrażenie, zatem ponowiłem moje usiłowania, i znowu zacząłem mu wystawiać, co stanie się z jego żoną i dziećmi, i t.d.

Przystanął na chwilę, ale zachęcony przez innych w dali stojących chłopów, którzy mu mówili:

— *Ne bij sia durny, jemu ne wilno strylaty!* — znowu o kilka kroków postąpił ku słomie.

— Uciekaj! — zawołałem głośno i zmierzyłem się.

Znów stanął chwilę.

Widziałem, że nie było wiele czasu do stracenia, i gdy znowu krok naprzód postąpił, wziąłem go na cel, ale byłem tak dziecinny, że oświadczyłem mu, iż jeżeli narachuję do 10 a on nie cofnie się — dopiero strzelę do niego, ale niezawodnie, i — żal mi go było. Wszyscy nasi stali na swoich stanowiskach, nie mogłem zatem poradzić się nikogo. Jego uważałem wprawdzie za bezbronnego, ale zawsze jako człowieka, niosącego nam zgubę i zniszczenie.

Ręka mi się trzęsła, gdy w mojem liczeniu dochodziłem do 7, dalej powoli do 8, nareszcie po długiej pauzie do 9ciu.

Chłopi przypatrywali się tej scenie, jakby jakiej igraszce, a ja prosiłem Boga, by go natchnął chęcią zaniechania tego zamiaru.

Nareszcie podjudzany energiczniej przez chłopów, właśnie gdy naliczyłem 10, podskoczył, rzucił głownię ku słomie, odwrócił się odemnie, i wymawiając: *strylaj!* zgiął się i uchylił sukmany. W tem ujrzałem, że drugi chłop zbliża się do rzuconej głowni, i chce ją kijem podrzucić na słomę. Wówczas nie namyślałem się dłużej i oburzony nadużyciem mojej łagodności, oraz zawstydzony nieprzyzwoitym jego postępkiem, zmierzyłem się i palnąłem w miejsce odsłonięte sukmaną. Usiadł natychmiast i wijąc się po ziemi, trzymając się za zranione miejsce, zaczął krzyczyć i jęczyć.

Niektórzy z przypatrujących się chłopów, śmiali się z nieszczęścia, jakie dotknęło jednego z ich braci.

Pożar tymczasem wzmagał się coraz bardziej, i coraz dotkliwiej czuć się nam dawało duszące gorąco i duszący dym, ogarniający cały dom dokoła. Belki od powały groziły przepaleniem się, i że nas zasypią.

Jęki mordowanych, dzikie okrzyki chłopstwa, gorąco, dym i ciągłe z wszech stron nacierania chłopów, czyniły niepodobnem wszelkie porozumienie się do dalszego działania, a wojsko — nie nadchodziło.

Kilku z naszych postanowiło uciekać, a że ogród właśnie był nie tak mocno obsadzony chłopami, zamierzyli wymknąć się z domu przez kuchenne okna, wychodzące na ogród. Zaledwie jednak pospuszczali się z okien, ujrzeli się z wszystkich stron obskoczeni taką liczną hurmą chłopów, że było

niepodobieństwem myślić o ucieczce. Oknami jednak wracać było także tak trudnem zadaniem, że przedsięwzięli raczej przebijać się przez całe tłumy chłopów na około do domu, niżeli podczas drapania narażać się na śmierć niechybną.

Po wielkich trudach i krwawej utarczce, powiodło im się nareszcie przebyć drogę naokoło domu, i przybyć aż do drzwi wchodowych, które zastali zamknięte.

Maksymiljan Müller i ja nie chcieliśmy opuszczać Ferdynanda i jego żony, zatem pozostaliśmy przy nich. Widząc jednak, że zaledwie kilku naszych spuściło się z okna, chłopi niezwłocznie nowy z frontu przypuszczają atak, starałem się zatarasować drzwi ile możności i stanąłem przy nich, ażeby pierwszego który je wyłamie, powitać strzałem ze szturmaka. Równocześnie miałem na oku kancelarję. Müller zajął stanowisko w ostatnim, a Ferdynand stał koło okna bawialnego pokoju. — A nie małe to było zadanie, każden, bowiem z nas miał kilka okien do strzeżenia, zatem ze wszech stron był narażony na pociski chłopów. Zaledwie zamknąłem i zasunąłem drzwi, usłyszałem krzyki a nareszcie stukanie do drzwi, i głośne:

— Otwieraj!

Pewny że to chłopi dobywają się do drzwi, odsunąłem się nieco w głąb sieni, i złożyłem szturmak do strzału.

Nagle drzwi wyłamane, rozwarły się z łoskotem, a ja — niebaczny! dałem ognia na swoich!

Los jednak tak zrządził, że prócz odstrzelenia jednego guzika Sikorskiemu, nie uszkodziłem nikogo.

Pożar tymczasem wzmagał się coraz bardziej, a Ferdynand polecił Łaszkiewiczowi, Bredemajerowi i mnie, przerznąć się przez chłopów aż do aresztu, i oglądnąć, czy-by ztamtąd nie była obrona łatwiejsza.

Wykonaliśmy to niezwłocznie, przebiliśmy się przez chłopów, i dostali do aresztu. A przyszło nam to tem łatwiej, gdyż właśnie tej chwili nowa jakaś ofiara dostała się w ręce chłopów, i główną ich w stronę do zamku zwróciła uwagę. Był to jak słyszałem żebrak z wsi dalekiej, którego chłopi mieli za przebranego jak mówili: „Polaka“.

W areszcie zastaliśmy tylko księdza N....., na którego dotąd nie śmieli się targnąć.

Ledwie przybyliśmy do aresztu, masa chłopów otoczyła nas. Bredemajer i Łaszkiewicz wezwali mię, ażebym razem z nimi wracał czemprędzej, nim większa liczba nagromadzi się chłopów. Chciałem z nimi uciekać i wracać do Ferdynanda, ale mnie odcięto już drogę; musiałem pozostać w sieni aresztu.

Waligórski, kołem uderzony w głowę, upadł na ziemię, i zaraz powlekli go ku stajni, gdzie go mordowali.

Chłopi nie mieli odwagi przystąpić do mnie, w lewej bowiem miałem krucicę, a w prawej ręce pałasz.

Na twarzy księdza N... niewypowiedziana malowała się boleść. Ja zaś rzuciwszy okiem przed siebie, ujrzałem koło stajni Ferdynanda, otoczonego chłopami, z którymi sam jeden ucierał się z niewypowiedzianą odwagą, odpierał, odbijał i zadawał ciosy pałaszem. — Chłopi nacierali na niego coraz liczniej, i kilku zbliżało się już w tę stronę z kosami.

Zdaje się, że Ferdynand wypadł w obronie Waligórskiego.

Widząc że mu tak wielkie niebezpieczeństwo, że mu śmierć zagraża, czyż mogłem namyślać się długo, mógł-żem pytać sam siebie: Czy mu pomogę? Czy go ocalę? Czy sam z nim nie zginę?

— Ha! jeżeli zginę, to zginę w obronie brata, którego kochałem nad życie!

To było jedyną moją myślą w tej chwili; równocześnie nastąpiła decyzja, a po niej jak błyskawica i czyn.

Czułem mocno, i byłem przekonany, że tą razą i ja dostanę się w ręce oprawców, czułem, że i mnie jak Waligórskiego męczeńska obok Ferdynanda oczekuje śmierć.

Przypomniawszy sobie przodków naszych, a mianowicie, że oni każdą ważniejszą sprawę zaczynali od Boga, zbliżyłem się do ks. N. ., i z prawdziwie religijną pokorą i ufnością prosiłem go w następujących wyrazach o ostatnie błogosławieństwo:

— Księże! kapłanie! idę na śmierć — racz mię pobłogosławić po raz ostatni!

Ksiądz N... jednak tak był mocno zajęty i głęboko wzruszony wszystkiemi temi scenami i mordami, że nie zrozumiawszy mię, odrzekł mi z pewnym rodzajem niecierpliwości:

— Ach, daj mi pan teraz pokój, gdzie mi tam teraz w głowie błogosławieństwo!

Rozczarowany boleśnie jego odpowiedzią, popatrzyłem na niego zdziwiony, i powiedziawszy:

— Ha! kiedy tak, więc pójdę sam w Imię Boże! — odwróciłem się, i stanąłem w progu budynku, gotując się do dania pomocy zagrożonemu bratu.

Zbadawszy jednym rzutem oka cały stan rzeczy, t. j. moje stanowisko i położenie Ferdynanda, któremu nikt nie przybywał w pomoc, przeżegnałem się, wymawiając powoli a wyraźnie i głośno:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha św. Amen.

Potem zrobiłem przed siebie znak krzyża świętego, i wypadłem z aresztu, krzycząc ile mogłem najgłośniej i najwyraźniej:

— *Wtikajte bo smert'!*

Chłopi, stojący w pobliżu aresztu, słysząc jak się żegnałem i z całą powagą wymawiałem te święte słowa, mimowoli może żegnali się także, a gdy widzieli, że pałaszem robię znak krzyża świętego, rozstąpili się, i tym sposobem dozwolili mi przebyć pierwszą i najtrudniejszą zaporę, jakiej się z ich strony obawiałem najwięcej. Ci bowiem właśnie byli uzbrojeni w pałasze, które im wyrzucił Łomżyński.

Chłopi, otaczający Ferdynanda, nim jedynie zajęci, usłyszawszy tuż za sobą groźne: *wtikajte bo smert'!* oglądneli się bojaźliwie, a ujrzawszy krucicę w jednej mej ręce, a w drugiej pałasz tuż nad ich głowami, tak się przerazili tą niespodzianką, że nim byłem w stanie dosięgnąć któregokolwiek pałaszem, rozpierzchli się na wszystkie strony.

— Dziękuję ci Władysławie! — wyrzekł ocalony Ferdynand, i uścisnął mą dłoń, którą, uradowany mem powodzeniem, pierwszy mu podałem, jak tylko zbliżyłem się do niego.

Chłopi jak powiedziałem, rozpierzchli się, i oparli się dopiero o kilkadziesiąt kroków; swobodnie zatem mogliśmy zbliżyć się do miejsca, gdzie oprawiali Waligórskiego. Udaliśmy się do niego, ażeby mu nieść pomoc. Z daleka już czerwieniła się krew naokoło niego na śniegu. Przyspieszyliśmy kroku, i za parę minut byliśmy pod stajnią.

Waligórski odarty ze sukien, leżał wyciągnięty na śniegu, w około niego krew czerwona, z poranionej i prawie nie do poznania twarzy i całej głowy jednak już nic nie płynęło,— już zastygła krew.

— Józefie! — zawołaliśmy przerażeni.

— Józefie! — zawołaliśmy ponownie, ale niestety! już żadnej nie otrzymaliśmy odpowiedzi.

Uchwyciłem jego poranioną rękę, jeszcze była ciepła, i kilka kropli nawpół ostygłej krwi ściekło mi na rękę.

— Ferdynandzie! — zawołałem — on żyje!

— Nie — odrzekł brat, odsłaniając lewy bok jego — patrz!

I pokazał mi całą pierś jego tak okropnie i głęboko poranioną, że zgrozą przejęty, odwróciłem się coprędzej od tego widoku.

Koło pałacu usłyszeliśmy krzyki i jęki. Tam mordowali zdrajcę Łomżyńskiego, dalej M. B., Baranowskiego, Bilińskiego i Bielewicza. Chcieliśmy iść im na pomoc, ale właśnie tak wielkie nadciągały na nas masy krwią zaprawionych, że było-by oczywistem szaleństwem, uderzać na nich we dwójkę, i tylko z pałaszami i jedną nabitą a drugą próżną krócicą.

Poglądnęliśmy w koło — i straszny naszym oczom przedstawił się widok!

Dom nasz cały był w płomieniach, krokwie już pozapadały się, i zdawało się, że płomień wkrótce już dostanie się do środka budynku. A jak daleko i gdziekolwiek sięgnęło oko, widać było mniejsze i większe, na wszystkie strony porozstawiane gromady chłopów, o wysokich baranich czapkach na głowach. Między nimi były także kobiety i dzieci, a wszystko uzbrojone w widły, kosy, cepy, kije, drągi i sztachety, a nawet w pałasze i strzelby, a wszystko pijane, a wszystko dzikie i groźne wydając okrzyki, uganiało na wszystkie strony, ażeby nową znaleźć ofiarę. Kilku tylko podeszłych wiekiem gospodarzy Horożańskich widziałem bezbronnych, z zagiętemi na krzyż rękoma. Jedni z tych przypatrywali się obojętnie, w drugich zaś widziałem smutek na twarzy, — a na innych znowu widoczna malowała się obawa i niepokój; gdzieniegdzie z po-za chałup wyglądały bojaźliwe wiejskie

dziewczęta; niejedne z tych załamywały ręce z rozpaczy i zalewały się łzami, inne uśmiechały się głupkowato. Niektóre kobiety wiejskie z Horożany, odmawiały chłopów od tych okrucieństw, inne zaś, osobliwie starsze wiekiem, po największéj części pijane, właśnie namawiały do tychże, nawet podjudzały, a nawet same je popełniały. [1])

Dziwne przeciwieństwa. Jedna ostateczność obok drugiéj, dobrzy i źli, jęki i radość, śmiech i rozpacz, białość śniegu obok czerwonej krwi, obojętność mordujących na za dawane przez nich męki, i gorące męczonych serca, które bily dla własnych swych katów.

Jednym rzutem oka dostatecznie oceniliśmy nasze położenie, przekonaliśmy się, że jesteśmy zgubieni.

— *Chodźmy Władysławie do domu — powiedział brat smutno — muszę jeszcze żonę ratować, ona jest matką i powinna żyć. Bóg łaskaw, i pozwoli jéj przeżyć to wszystko, mam przeczucie że ty nie zginiesz. Pamiętaj! pamiętaj! powiedz wszystkim — każdemu kto pragnie dobra wspólnego, dobra naszego kraju, niechaj zajmuje się oświatą ludu, bo pierwéj nie doczekacie się dobra na naszéj ziemi!*

Kończąc te słowa, weszliśmy do domu. Bratowa, którą przez ten czas Müller wstrzymywał w pokoju, właśnie szukając Ferdynanda, wybiegła z bawialnego pokoju, i w sieni spotkała się z nami.

Gdy tak stoimy w sieni jeszcze, głośny tuż obok nas rozległ się huk, i w mgnieniu oka ogarnął nas wszystkich duszący dym prochu.

Czy chłop może wrzucił głownię zapaloną, czy z palącej się już powały wpadła iskra lub węgiel do prochu, leżącego w kancelaryi i wysadziła go w powietrze? nie wiem; gdyby nie pootwierane a raczej powybijane drzwi i okna, pewnie-by nas wszystkich było wysadziło w powietrze.

Podczas tego, gdyśmy się zajmowali Waligórskim, a raczej zaraz gdy przybyłem w pomoc Ferdynandowi, inna, — także smutna odbyła się scena.

---

[1]) Brata mojego Henryka (jak słyszałem z opowiadania świadków naoczuych jeszcze żyjących), po wyciągnięciu z domu męczyć miały kobiety, a po śmierci pastwić się nad nim w sposób, którego nie chcę podać historyi. — „Niechaj zaginie ta plama!....“

Maurycy Sikorski widząc, że za mojem zbliżeniem się do nich rozpierzchli się na wszystkie strony, chciał korzystać z tej chwili; z strzelbą w ręku wypadł z domu, i przebijając się przez chłopów, puścił się drogą, gdzie najmniejsze stały gromady, by potem przez płot pałacowego ogrodu, dostać się którędy najbliżéj do Horożańskiego lasu.

Uciekając, zawołał po imieniu na swego przyjaciela Müllera.

Müller jak powiedziałem powyżej, miał sobie przeznaczone stanowisko w sypialnym pokoju. Tam zatem siedział przy oknie i widząc co się dzieje, spokojnie oczekiwał, kiedy na niego przyjdzie kolej śmierci.

Bratowa stała obok niego, i myśląc że Ferdynand znajduje się w sieni lub innym pokoju, zachowywała się mężnie, i poglądała w okno, czy nie ujrzy nadchodzącego wojska.

Ale wojska, jak nie widać, tak nie widać!

Widząc uciekającego Sikorskiego, i słysząc jego wołanie, zawołała:

— Panie Maksymiljanie! ratuj się Pan, — Sikorski ucieka!

— Gdzie? gdzie? — zapytał Maksymiljan Müller.

— Tam — o tam! — odpowiedziała pokazując mu Sikorskiego, ucierającego się właśnie z chłopami.

Jednym skokiem już stał Maksymiljan na stole, rzucił się w okno, wyskoczył na ogród, dalej przez płot, przez rów, i już był na drodze.

Chłopi zastępują mu drogę; jednego kolbą, drugiego lufą pchnął silnie, trzeciego wziął na cel — i chłopstwo pierzchło.

Złączywszy się wkrótce z Sikorskim, uciekali obaj, przez płoty, ogrody i pola, — brnąc w zaspach śniegowych, czasem nieledwie po pas.

Chłopi puścili się w pogoń za nimi, i pieszo i konno.

Gdy z Ferdynandem dochodziłem do domu, oni już byli na dole.

Bratowa zaś, gdy Maksymiljan wyskoczył już z okna, wyszła szukać Ferdynanda, i właśnie zobaczyła nas wchodzących. Gdy proch wysadziło w powietrze, powstał pożar także i w kancelarji, a nie można było przystąpić do rato-

wania, gdyż pojedyńcze patrony explodowały bezustannie. Dym tak dusił, że brakowało oddechu, a gryzł tak w oczy, że je otwierać było niepodobnem, przytem gorąco od poża ru szerzącego się już w wnętrzu domu było tak nieznośne, że byliśmy zmuszeni opuścić dom. Ale gdzie? na to trudna była odpowiedź, tem bardziej, że chłopi nauczeni ucieczką Müllera i Sikorskiego, skupili się około domu naszego, ażeby nas nie wypuścić, i spalić żywcem.

Szukamy Ferdynanda i bratowej alę trudno ich znaleść, gdyż dym oczu nie da otworzyć, wołamy; ale gwar i krzyk chłopów, tudzież trzeszczenie pożaru nie dozwala nam nic słyszyć.

— Pewnie wyszli już — powiedział Łagoński — i dodał: uciekajmy — przebijajmy się do aresztu, bo inaczej wszyscy tutaj zginiemy.

Nie było czasu namyślać się.

Zawołałem jeszcze kilka razy Ferdynanda po imieniu, ale gdy żadnej nie otrzymałem odpowiedzi, wybiegłem z Łagońskim Łaszkiewiczem i Bredemajerem z domu.

Chłopi obstępują nas i tą razą z niezwykłą odwagą stawią nam czoło.

Kilka strzałów jednak z pistoletów, krucic lub strzelb, rozprasza ich, i nareszcie po zaciętej utarczce, w której łamie mi się pałasz przy samej rękojeści, dostajemy się do aresztu.

Księdza N... już nie było. Już go chłopi wywieźli do Drohowyża.

Chłopi oblegają nas: Łagoński, Łaszkiewicz bronią przystępu, ja z Bredemajerem stoimy w głębi sieni.

W tem widzę, że Ferdynand wychodzi z domu ze żoną, którą prowadzi. Chłopi zastępują im drogę, którą Ferdynand biedny sam jeden toruje sobie pałaszem. Bratowa postępuje powoli lecz śmiało i z odwagą, jaka jest właściwa może tylko naszym Polkom, a głównie, gdy stają w obronie ojczyzny lub swoich mężów.

Ferdynand śmiało postępuje naprzód i już zbliża się ku stajni. — Chłopi obskakują ich ze wszystkich stron. — Kamienie i kawały cegieł sypią się na nich jak grad; — bra-

towa biedna sobą zasłania męża a brata mojego od ciosów, które zamiast na niego, spadały na nią.

Kilka kobiet i kilku starców staje w jej obronie, wzywając atakujących, aby uważali na stan jej w jakim się znajduje. Kobiety a między niemi i niańka Bolcia, obstępują bratowę, odrywają od męża i uprowadzają mimo jej oporu, w dobrej chęci zaprowadzenia jej do Dyttloffów.

Bratowa ogląda się za Ferdynandem, broniącym się jak lew. W tem przypada chłop jakiś, przedziera się między innych chłopów, otaczających go, i zadaje mu w szerz twarzy przez nos tak silnec ięcie kosą, [1]) że Ferdynand zalany krwią wypuścił pałasz, uchwycił się rękami za twarz, i padł bezwładnie na ziemię. Chłopi rzucili się na niego.

Serce przeszywający krzyk bratowej przekonał mię, że wszystko widziała.

— Ferdynandzie mój!... Boże!... Puśćcie mię! — krzyknęła w rozpaczy, rzucając się w stronę ku Ferdynandowi z taką siłą że trzymające i prowadzące ją kobiety odleciały na parę kroków. Ale zaledwie uwolniła się z ich rąk, padła omdlona. — Zaniesiono ją do jej rodziców (Dyttloffów).

Co we mnie działo się w tej chwili, nie jestem w stanie ani wypowiedzieć ani opisać, a nie mogłem nieść mu ani ulgi ani pomocy, ani nie mogłem z nim razem umierać!

Dziś gdy to piszę, to każda litera, każde słowo które kreślę, wydobywa łzę boleści, ogarnia niewypowiedzianym smutkiem, sprawia ból głowy i gorączkę.

Niniejsze opisanie piszę życiem mojem.

Chłopi, którzy wśród krwawej tej sceny, ciągle nacierali na nas, skupili się przed aresztem po ranieniu Ferdynanda tak tłumnie, że przednie ich szeregi, popychane z zaplecza, formalnie wtłoczone zostały do aresztu. Sień była tak pełna, że musieliśmy się cofnąć do jednego pokoju, który, jak po-

---

[1]) Właśnie w tej chwili nacierali na nas chłopi z taką gwałtownością, że nie mogłem widzieć, czem mu zadano to cięcie. Z szerokiej jednak i głębokiej rany wnoszę, że to nie pałaszem, tylko kosą; — widziałem tylko chłopa przedzierającego się pomiędzy innych, potem musiałem się cofnąć w głąb sieni — a gdy po chwili popatrzyłem ponownie, ujrzałem już całą twarz zalaną krwią, i właśnie gdy z ręki wypadł mu pałasz.

wiedziałem na wstępie, służył na skład sprzętów lub zboża.

W oknach były kraty, — drzwi zamknęliśmy i podparli. W krótce jednak zostały wysadone, a dzikie, pijane chłopstwo wpadło do pokoju.

Straszna to była scena, — bodajby nikt nie był dożył podobnej. Bogdajby nikt w swojem życiu nie był nigdy świadkiem takich okrucieństw, na jakie patrzyć musiałem w tej chwili.

Na kilku ludzi, na nas czterech (a ja już bezbrony) tysiące chłopstwa! Przez okna kamienie i żerdki, ode drzwi cepy, kosy, widły i pałasze!

Bezbronny, — szukałem miejsca, ażeby się gdzieś ukryć, ale niestety! pokój był tak mały i tak próżny — że ukrycie było niepodobnem.

Uzbrojeni: Łagoński, Łaszkiewicz i Bredemajer, stanęli przedemną, i swoją zasłaniali mię piersią. Oni zajęli miejsce w takim kącie pokoju, że z okien nie mogli być nagabywani, ja zaś wcisnąłem się w sam kąt po-za nich, i wytężałem wszystkie władze umysłu nad sposobem wydobycia się z rąk chłopów.

Wszyscy bronili się jak lwy, — osobliwie Łagoński tąk mężny stawiał opór, że po kilkakroć razy zmusił chłopów do odwrotu. Ale w tak małym pokoiku, cóż znaczy pałasz naprzeciw innej ciężkiej broni, a głównie takiej przemocy.

Bredemajer otrzymał wkrótce tak silne cięcie w nos pałaszem, że oblany krwią, osłabł i padł na podłogę.

Chłopi przyciągnęli go do siebie i w naszych oczach porąbali go pałaszami i dobili kołami, gdy drudzy nacierali na nas.

Takiego samego losu doznał drugi z kolei nieszczęśliwy Łaszkiewicz; raniony w prawą rękę, przerzucił pałasz w lewą, i dość jeszcze długo waleczny stawiał opór. Uderzony jednak w głowę ogromnym drągiem, zachwiał się, opuścił obiedwie ręce bezwładnie, i potoczył się właśnie chłopom pod nogi.

Kilku chłopów trzymało Łagońskiego w bezustannym szachu, gdy drudzy rzuciwszy się jak drapieżne zwierzęta na Łaszkiewicza, zabijali go drągami i pałaszami.

— Dzieci! moje dzieci! były słowa jego ostatnie.

Łagoński bronił się najdłużej i — zdaje mi się — z taką przytomnością i uwagą, że podziwiając jego nadzwyczajną zręczność i odwagę, zapominałem chwilami o mojem położeniu. Widząc jednak, że dwóch już poległo w sposób okrutny, czekałem spokojnie, i — jakoś — nie umię sobie tego wytłumaczyć, — bez najmniejszej obawy kiedy na Łagońskiego a potem i na mnie przyjdzie kolej śmierci. A przecież było jakieś uczucie, było coś, — co mię nietylko napawało nadzieją, ale że się tak wyrażę — przekonywało, że nie zginę jak biedni moi towarzysze, albo że to tak być musiało, a może słowa, wróżba Ferdynanda, napawała mię taką nadzieją.

Po upływie mniej więcej półgodzinnej walki, a raczej obrony w tym pokoju, wyrzekł do mnie już po zamordowaniu Bredemajera i Łaszkiewicza, broniący się jeszcze a mnie zasłaniający Łagoński, w niemieckim języku, (zapewne aby go nie rozumieli chłopi):

— Już mię opuszczają siły. *(Die Kräfte verlassen mich).*

Te słowa były dla mnie niejako jakby wyrokiem śmierci. — Te wyrazy przeszyły mię wskróś i obudziły chęć do życia, chęć ratowania się — chciałem żyć koniecznie!

Tym samym językiem powiedziałem mu, ażeby mi oddał pałasz, że ja go wyręczę.

Właśnie jednak w tej chwili zbliżyło się kilku chłopów z kosami, tak ze zwykle zgiętemi, jak i na wprost wbitemi.

Nim Łagoński był w stanie postrzedz grożące mu niebezpieczeństwo, już jeden chłop uchwycił go zgiętą kosą za kołnierz, czy za ramię (tego już nie pamiętam) szarpnął nagle i tak silnie pociągnął, że Łagoński pochylił się naprzód cokolwiek, równocześnie z jego pochyleniem się, zadał mu inny chłop w szyję tak mocne cięcie wyprostowaną kosą, że krew formalnie wybuchła, i w mgnieniu oka oblała całego. Głowa bezwładnie pochyliła się naprzód, pałasz wypadł mu z ręki daleko odemnie, i nieszczęśliwy Łagoński na pół żywy, na pół trup, powalił się jak kłoda, i zanurzył we własnej i swych towarzyszów niewinnej krwi.

Chłopi rzucili się na niego z takiem zacięciem i z taką zaciętością, że rąbiąc go kosami i pałaszami ledwie nie na kawałki, mną nie zajmowali się wcale.

— Boże ratuj mię! — modliłem się w duchu — a jeżeli wola Twa bym zginął, daj zginąć od razu, daj zginąć bez męki!

W rękach nie miałem żadnej broni, ani nawet kawałka kija, tylko na piersiach z pod surduta sterczały dwie już próżne krucice.

Zginąć muszę — pomyślałem — niezaszkodzi jednak, jeżeli ku mojej obronie ostatniej jeszcze użyję próby — i wyciągnąłem obiedwie krucice, a schowawszy je po za siebie, czekałem spokojnie co dalej się stanie.

W tem odezwał się dowodzący tam Dutka: — *Woźmit toti tiła i złożyt je razom, a teperki* — dodał gdy wyniesiono ciała i kawałki pomordowanych: — *berit sia do toho!*

Jeden urlopnik z Ryczychowa zbliżył się do mnie z podniesionym na mnie pałaszem. Ale właśnie w tej chwili uważałem za najstosowniejsze, naciągnąć po za sobą, głośno skrzypiące kurki obydwóch krucic i wznieść je przed siebie tak, żeby lufki obrócone były do góry a kurki do mnie, ażeby chłopi nie dojrzeli braku kapsli.

Widok krucic i usłyszane zapewne naciągnięcie kurków, czego właśnie chciałem, magiczny wywarły wpływ, osobliwie gdy waleczny urlopnik cofnął się i schował po za innych, sprawiły między nimi wielkie zamięszanie, a gdy korzystając z tego zamięszania jednę krucicę wymierzyłem na wójta Dutkę, a drugą rurką niby szukałem między innemi tego walecznego urlopnika, ogarnął ich paniczny przestrach, a na dodatek jeszcze uważałem za stosowne krzyknąć z całych płuc ponurym i ile mych sił groźnym basem: — *Wtikajte, dos't toho, wtikajte bo strylaju!*

Te słowa sprawiły tak powszechny popłoch, że jeden drugiego popychał, przewracał lub szturkał, by tylko czemprędzej wydobyć się z pokoju.

— *Wtikajte!* krzyknąłem ponownie, z większą już odwagą i pewnością samego siebie, gdy ujrzałem, że już kilku tylko było w pokoju. W jednej chwili próżny był pokój, z po za drzwi tylko wyglądał jeszcze jeden na wpół pijany urlopnik. Wymierzyłem do jego głowy pistolet. Tą razą jednak zawiodłem się; tą razą bowiem pomimo że był pijany, urlopnik dostrzegł, że kapsli brakuje. Zawołał na chłopów

ażeby się wrócili i nie bali, bo nie mam nabitych pistoletów, że mi strzelać nie wolno i t. d. Ale oni, nauczeni przykładem na tym, który poległ przy podpalaniu słomy pod kancelarją, nie chcieli się przekonywać.

Pijany urlopnik wszedł do pokoju i widząc, że ja nie strzelam, zataczając się szedł na mnie znów z podniesionym pałaszem.

Nie mając w ręku nic prócz krucic, cisnąłem je na niego, a nie widząc innego sposobu ratowania się, uchwyciłem za worek ze zbożem (mniej więcej ćwierć przenicy) i rzuciłem mu go szczęśliwie o głowę. Urlopnik pijany stracił równowagę i przywalony ciężarem worka, upadł na znak. W tej chwili rzuciłem się na niego, a naguiótłszy mu cokolwiek szyi kolanem, łatwo i prędko przyszedłem w posiadanie pałasza.

Urlopnik się nie ruszał; ja otworzywszy drzwi pokoju, w którym się znajdowałem, stanąłem w sieni. Dym mię ogarnął, areszt palił się już także; siano, złożone na górze, spiesznie szerzyło pożar.

W drzwiach głównych aresztu stało kilku chłopów z pałaszami i kosami. Zaledwie zobaczyli, natychmiast wybiegli na dwór, i po obydwóch stronach drzwi takie zajęli stanowisko, że w razie gdybym chciał uciekać, musiałem narazić się na niechybną zgubę.

W areszcie jednak, wśród dymu i gorąca, pozostać dłużej było niepodobieństwem.

Albo zginę — albo ocalę się — pomyślałem i wyrozumowawszy, że w areszcie musiałbym się spalić — postanowiłem uciekać.

Podszedłem pod same drzwi, by jednym skokiem wyjść z niebezpieczeństwa zastawionych na mnie za drzwiami sideł t.j. wzniesionych po obu stronach drzwi — kós i pałaszów.

Trudno się było odważyć. Obawa jednak przed śmiercią w płomieniach przemogła, i wyskoczyłem z aresztu. Ale zaledwie wychyliłem się ze drzwi, otrzymałem przez cztery palce prawej nogi tak silne cięcie kosą czy pałaszem, że pozbawiony władzy w tych palcach, zaraz przy pierwszem stąpieniu tą nogą, potknąłem się i upadłem w rów. Kamie-

nie, drągi i cegły padały na mnie jak grad; zerwałem się jednak dość prędko i uciekałem dalej, przeskoczyłem płot i dostałem się do ogrodu, chłopi za mną, chłopi przedemną. Jeden zastępuje mi drogę i już z daleka wyciąga ręce ażeby mię łapać.

Zawołałem na niego ażeby uciekał, bo go uderzę pałaszem. On jednak nie dowierzał temu, i chciał mię zatrzymać; uderzyłem go po ręce, i zaraz krew pociekła po śniegu. Chłop odskoczył, inni rozstępywali się przedemną.

Krew atoli coraz większe za każdym mym krokiem pozostawiała ślady. Upływ krwi osłabiał mię widocznie, i czułem, że jestem bliski omdlenia. Podniosłem ze ziemi cośkolwiek śniegu, przyłożyłem do ust, natarłem nim skronie, i nieco ocucony umykałem dalej. Śnieg jednak był miejscami tak wielki, że tylko z wielką trudnością mogłem wydobywać się z niego, a im dalej postępowałem, tem głębiej zapadałem. Nareszcie przekonałem się, że siły opuszczają mię, i że niezawodnie omdleję. — W tem zapadłem w śnieg tak głęboko, że gramolącego się czas dłuższy, już doganiali chłopi. Krzyki ich i połknięcie grudki śniegu nowe we mnie wznieciły siły, i wydobyłem się ztamtąd, ażeby dalej uciekać. Ale po kilku ponownie uczynionych krokach, zaczęło mi się ćmić przed oczyma; nogi drżały podemną.

Poznałem, że niepodobna dalej uciekać, a nie chcąc zginąć od pałasza, który trzymałem w mem ręku, miałem jeszcze tyle siły, że złamałem go na kolanie na trzy kawałki, i nie wiem już dzisiaj dla czego, każdy kawałek daleko od siebie w inną rzuciłem stronę.

Chłopi, ścigający mnie, byli już o kilka kroków. Siły opuściły mię i upadłem na twarz. Miałem jednak jeszcze tyle przytomności, że ręce założyłem na głowę, a głównie zasłoniłem skronie. Palące mię pragnienie zaspokoiłem śniegiem.

To wszystko trwało bardzo krótko, gdyż zaledwie upadłem, rzucili się na mnie chłopi, młócąc mnie formalnie cepami, kołami, drągami i sztachetami, bez względu czy to głowa, czy nogi.

Nie opisuję tego, gdyż wypowiedzieć to wszystko — jeżeli by było możliwem — musiało by wydać się tak nie-

podobnem do prawdy, że nie mógłbym nawet nikomu wziąć za złe, gdyby powiedział: „A to już przesada bez granic!“

Dosyć że tak mię zbili, iż gdym zaczaił się, jakobym już nie żył, — sami powiedzieli:

— *Ne byjte wże, win wże ne żyje, a trupa ne hodyt sia byty.*

Zdarłszy ze mnie surdut, buty, i zabrawszy wszystko co miałem przy sobie, zostawili mię w śniegu. [1])

Wkrótce potem nadeszli chłopcy jeszcze mali, i znowu odbyli rewizje... i chcieli się jeszcze pastwić nademną... ale od tego wstrzymał ich jakiś staruszek, z widzenia znany mi chłop z Horożany.

Zaledwie odszedł staruszek, nadciągnęła druga banda chłopów.

Zobaczywszy mię wyciągniętego na śniegu z twarzą do góry obróconą, kopnął mię jeden nogą w głowę dla próby czy żyję? — Ja nie dałem znaku życia, ale gdy drugi kopnął mię w bok tak silnie, że się przewróciłem na drugą stronę — nie byłem w stanie powstrzymać się — jęknąłem. A ten jęk, który sam mimo mej woli wydobył się z piersi, nakłonił ich do kilkakrotnego obracania mię tym samym sposobem, a gdy za każdem takiem uderzeniem nowy wydobywał się jęk, dało to niejako hasło do nowych okrucieństw.

Gdy już byli pewni, że nie żyję, związali mi nogi sznurem i za nogi zawlekli mię przez pól ogrodu aż pod płot, przez który mię przerzucili i dalej aż pod stajnię, gdzie były złożone wszystkie trupy.

Chcąc przekonać się, co się około mnie dzieje, zlekka i cośkolwiek tylko otworzyłem oczy.

— *O!* — krzyknęła jakaś pijana baba stara, która zobaczyła to na moje nieszczęście. — *O!* — wołała — *dywit sia, ta toj pesi syn szcze żyje — ta win widmykaje oczy, a byjte że jeho!* i t. d...

---

[1]) Zdarty ze mnie surdut, przywdział zaraz w mych oczach jeden z urlopników. Ta jednak zdobycz nietylko że mu nie przyniosła żadnej korzyści, ale naraziła go nawet na niebezpieczeństwo. Gdy bowiem z dumą wdziewał go na siebie, pęknął mu przez całe plecy a nadto nowa nadbiegająca hurma chłopów, widząc jakiegoś czarno ubranego, chciała go także jak nas, wziąć w swoje obroty.

I na trzeci zawód bili mię bez miłosierdzia, a tą razą bili mię także i w pięty. — Ale dla czego? nie umię sobie wytłumaczyć.

Horożańscy chłopi prosili za mną, ale gdy to nic nie pomagało, pomyślałem, że teraz jeszcze jednego trzeba użyć środka, a właśnie dobra ku temu nadarzyła mi się sposobność.

Jakiś chłop przypadł bowiem do mnie, mówiąc do chłopów:

— *Et, wy ne umijete, ja wam pokażu jak sia byje!*

I uderzył mię drągiem w głowę tak silnie, że myślałem iż jeszcze jedno takie uderzenie, a zakończę życie; ale gdzie tam? jeszcze kilka razy uderzył, a ja przecież nie straciłem nawet przytomności.

Gdy przestał mię bić, odegrałem na prędce obmyśloną rolę, do której nie wiem zkąd nabrałem siły. Nagle bowiem wyciągnąłem się — wyprężyłem, rozdziawiłem usta, ze dwa lub trzy razy, i chrypnąwszy jak umierający, zostawiłem usta otwarte.

— *A wydysz* — zawołał ten chłop — *tak treba byty!*

— *Szkoda jeho!* — zawołał smutnie i gniewnie Paweł... — *szkoda jeho, to buu dobry czołowik!*

— *Ee!* — zawołał inny — *Czomu szkoda? iden pes a druhy sobaka!*

— *Ne wirte Lachowi* — zawołała ta sama baba, a dodając — *może win szcze żyje* — schyliła się do mnie, i kozikiem wierciła mi w pięcie.

Ból to był straszny, okropny. Już chciałem krzyknąć, gdy nową zajęta sceną, odstąpiła odemnie.

Właśnie przynieśli Ferdynanda, okrutnie pokaleczonego.

Horożańscy chłopi chcieli go ratować, i odnieść do rodziców żony (Dyttloffów). Inni jednak na to nie pozwolili, i mordując go, przynieśli już prawie nieżywego pod stajnię, i rzucili na mnie i na Mikołaja B... który zbity okrutnie, przyczaił się także, i leżał obok mnie.

Rzucony tak gwałtownie, jęknął nieszczęśliwy. — Na to przyskoczył do niego Paliej, wójt Nowosiółki, i mówiąc: *A! ty sze żyjesz?* — zanurzył w nim szeroki sztylet, zrabowany w pałacu.

Gorąca krew bratnia oblała mię; — to za wiele już było dla mnie. Na moich piersiach czułem ostatnie jego drgnięcie, czułem ostatnie jego przy skonaniu ziewnięcie...

To było dla mnie tak przerażające, że zapragnąłem śmierci. Nie chciałem żyć, chciałem umierać koniecznie. Zdawało mi się, że z końcem mego życia skończą się moje cierpienia, a koniec tych cierpień uważałem za coś tak błogiego, za coś tak szczęśliwego, że określić tego niezdolne me pióro; mniemałem, że dość nie cierpieć by być szczęśliwym, dość jeźli straci się wszelkie czucie.

Tak byłem pewny, że z tym bratem tracę jedynego na świecie przyjaciela, że w pierwszej chwili postanowiłem narażać się tak długo, póki mię nie zabiją.

Wydobywając ostatnie me siły, lekko zesunąłem trupa Ferdynanda z mych piersi, i oparłszy się jedną ręką na ziemi, podniósłem się i usiadłem.

— *Ty zbóju!* — zawołałem na mordercę brata mojego — *zabyj teper i mene, kołyś zabyu brata moho.*

I nadstawiłem mu pierś.

Paliej uśmiechał się dziko, dolna warga pokryła wierzchnią, mocno rozwarte i krwią zabiegłe oczy zaiskrzyły się strasznie.

— *Pamitaj!* — zawołałem. — *Strasznaja bude smert' twoja, douho budesz konaty, całyi lita budesz sia muczyty, nim zdochnesz jak pes!*

— *Ha!* — krzyknął wściekle Paliej — *i ty choczesz, iszcze zyjesz, pesi synu? naj i tobi bude!*

Domawiając tych słów, podskoczył jak tygrys, i w same piersi pchnął mię tym samym sztyletem.

Ale jego sztylet ugodził w stalową sprzączkę od szelki pod kamizelką, tak że wcale nie zostałem raniony. Pchnięcie było tak silne, że nie mogąc się utrzymać na jednej ręce, niezwłocznie upadłem, a gdy zaraz podniósłem się napowrót, — był Paliej tak tem mojem ocaleniem przerażony, że upatrując w tem jakieś czary zapewne, przeżegnał się po trzykroć, a krzycząc potem: — *Wtikajte ludé! win nesamowyty, win dit'ka maje pry sobi!* — uciekł odemnie. Wszyscy w pobliżu stojący żegnali się także i uciekali.

*

Gdybym wówczas był jeszcze przy siłach, byłbym niezawodnie strasząc ich sobą jak widmem, uciekł z łatwością. Ale o tem ani marzyć nawet nie mogłem. Cały bowiem zbity, opuchnięty, aż czarny, miałem nadto ranę na nodze, która przez gwałtowne i niemiłosierne nie ściąganie, ale zdzieranie buta, tudzież od zimna i razów nabrzmiała ogromnie.

Westchnąłem do Boga, i złożyłem mu dzięki za ocalenie, które uważałem za skazówkę, że niepowinienem był pragnąć mej śmierci.

Między innemi słyszałem, jak jąkiś chłop doradzał, ażeby pójść do Dyttloffa i przerznąć go piłą. Inny jednak w następujący sposób odradził od tego:

— *Idy koły choczesz. Ja ne pidu, ja ne durny, ta win by meni zaraz kazau daty sto kijyu.*

To postępowanie jest mi dotąd niewytłómaczonem, a głównie że nie tknęli człowieka, którego właśnie nienawidzili — bo wyznajmy szczerze, — surowo obchodził się z nimi.

Znowu nowa nadciągnęła banda, a widząc mię jeszcze żywego, chciano mię męczyć na nowo, ale niektórzy chłopi z Horożany stawali w mojej obronie, a nawet sam Dutka wezwał ich do tego, mówiąc:

— *Dajte mu wże pokij, ta to dobra detyna, taj sędzia buu dobry czołowik, ale szoż, koły tak musiłyśmy zrobyty.*

I widziałem, że pomimo całej jego srogości, ciężko mu jakoś było na sercu.

— *A wydysz panyczu* — mówił do mnie — *na szoż wam toho buło, my tomu ne wynni...*

To znowu inną razą pytał mię:

— *Skaży myni, panyczu, gde to sut toti noży, kotrymy to chtiłyśte nas rizaty?*

Zaprzeczywszy mu to, starałem się przekonać go o prawdziwości tego, co mu powiedziałem.

Wśród mojej z nim rozmowy, odwołano go do wsi, i ja znowu zostałem oddany na pastwę nowym bandom, które zmieniały się często.

Gdy znowu zaczęli mnie bić, czułem, że wkrótce ulegnę pod ich ciosami.

Wpadłem zatem na koncept:

— Stójcie! — zawołałem słabym już głosem do otaczających mię chłopów, o twarzach zupełnie mi obcych. — Stójcie! mam wam coś bardzo ważnego powiedzieć.

— *Tabo poczekajte!* — zawołali niektórzy — *naj howoryt, tabo ne byjte wże, może win pretiż szoś skaże.*

I przestano mię bić.

Podniosłem się znowu, i usiadłem podpierając się rękami.

— *Oto moi ludy, muszu wam skazaty, szo na moju hołowu wełyka nałożona suma hroszi. Widstawit mene do cyrkułu, i jeżeli meni ne wiryte, związyt mene — tam distanete tolko hroszi, szo bude dość dla was i dla waszych dity. A jak mene zabyjete, któż wam da wiru, szo to ja a ne kotry inny Lach, tylko do mene podobny? A sze i toto choczu wam skazaty, szo treba sia hutko zwijaty, bo widy Lwowa pride neńka try tysiaczy Polakiu. Jak ony pryjdut, budut były siu z wamy, taj może mene zabyje kotra kulka, szoby nawet i ne na mene wymirena.*

— *A czy ty praudu howorysz?* — zapytali.

— *Prysiahny szo to prawda!* dodali.

— *Bichme, dobryi ludy, szo to taka prauda, jak czystaja je kropla wody z kiernyci!*

— *Sany!* — zawołali otaczający mię chłopi. — *Sany! dawajte sany!* — wołali.

Wtem nowa nadchodząca banda zapytała:

— *Na szo sany?*

— *Treba jeho widwezty!* — odpowiedzieli chłopi, otaczający mię w półkole.

— *A zabyty psiakrou!* — wrzasnęli tamci.

— *Ne zabyty! widwezty!* — krzyknęli pierwsi, i wszczęła się między nimi kłótnia. Jedni chcieli mię zabić, drudzy odwieźć, by wziąć pieniądze.

Z kłótni przyszło między nimi do bójki.

Paweł..., który wśród całych tych scen nie mógł mię ratować bez narażenia się na niechybną śmierć, czekał tylko sposobności, by mi przyjść w pomoc.

— *Zabyty joho!* — krzyknął w tłumie tamtych.

A przyszedłszy potem do pierwszych, zawołał:

— *Widwezty! widwezty joho! szo to ony majut nam tutki do rozkazu? a nuże chłopci!...*

I podjudziwszy tym sposobem obiedwie bandy, doprowadził do tego, że się zaczęli czubić.

Sam zaś przybiegł jeszcze z trzema chłopami do mnie i za nim się spostrzegłem, już mię w silne uchwycili dłonie, i po-za stajnię, ogrodami, zaułkami, przy zapadającym już zmroku, przynieśli do jednej chałupy.

Gdy się to stało, byłem już ze wszystkiego obdarty. Leżąc zatem na śniegu kilka już godzin, prawie całkiem nagi, gdyż koszulą, jaką jeszcze miałem na sobie, zupełnie była poszarpana, przeziąbłem tak okropnie, że moich wybawców prosiłem na miłość Boga, by mię tylko złożyli czemprędzej na przypiecku.

Paweł.... po dłuższym dopiero czasie, uczynił zadość mej prośbie.

W chałupie, z gospodarstwa nie było nikogo.

Po chwili dopiero, wbiegła do chaty stara, podpita baba.

— *Cyt!* — zawołał Paweł.... i dodał: — *majete wełykoho hoštia, treba joho ratowaty, win ne wynen niczoho!*

— *A kotry to?* — spytała baba.

— *Nasz panycz, brat sędzioho* — powiedział z cicha Paweł.

Pijana baba, jak wściekła zaczęła się rzucać na nich, i to wyklinać ich, to płakać i żegnać siebie, mnie i chałupę, wołając na całe gardło, że gdy ja niesamowity i mam djabła przy sobie, sprowadzę jej do chałupy, i na całą rodzinę wielkie nieszczęście.

Wszelkie perswazye ze strony moich obrońców, nic nie pomogły. Baba jak szalona, wyleciała z chałupy, i dała znać Dutce. Tylko Paweł.... pozostał przy mnie. Inni chłopi uciekli z bojaźni przed Dutką.

Kilku chłopów i Dutka weszli wkrótce do izby, i zciągnąwszy mię z pieca, zanieśli napowrót pod stajnię.

Nie tyle bałem się śmierci, ile zimna. Rzewnie prosiłem Dutki, by mię nie kazał zabijać.

— *Ne bij sia teper panyczu!* — powiedział do mnie łagodnie — *ne bij sia teper, koły sia udajete do mene. Budu was boronyty i ne dam was zabyty!*

I rzeczywiście dotrzymał słowa. Gdy który uderzył mię jeszcze, zaraz krzyczał na niego, i odpędzał odemnie. Ale on kierując wszystkiem, nie mógł być ciągle tylko koło mnie.

Tymczasem noc już zapadła.

O! była to noc ciemna, noc czarna jak dusze sprawców tej rzezi, a straszna jak okrucieństwa, jakich się dopuszczano w tym dniu!

Noc ciemna jednak nie pokryła, nie zasłoniła niewinnie rozlanej krwi. Płomienie dogorywających budynków (nasze mieszkanie i areszt), czerwone rzucały światło na śnieg i wszystkie przedmioty, wszystko — zatem i twarze morderców zdawały się być zalane krwią.

Wywierało to na nich wpływ nie mały. Wielu uciekało do domów, gdzie z bojaźni gromadzili się tłumnie.

Karczmarz tamtejszy, żyd, korzystał wiele w tym dniu. Widziałem na własne oczy, jak za parę butów dawał chłop zrabowaną setkę, a nadto zobowiązał się pojechać z nim bezpłatnie do Lwowa, gdy tego zażąda.

Drogi, brylantowy pierścionek bratowej, kupił żyd niby jako mosiężny, i z szklannym kamieniem, za kwartę wódki, utrzymując, że on takiego pierścionka nie potrzebuje, chyba dla dzieci do zabawy. Jednak że go chętnie kupuje, bo wie, że mając z porządnym gospodarzem do czynienia, jest pewny, że ten mu kiedyś jak będzie miał czasu na tyle, umłóci z półkopy zboża.

Stare monety brata srebrne i złote, zakupił żyd także niby dla dzieci i niby jako blaszki; inne pozabierali chłopi, i w moich oczach rozdawali dzieciom.

Drogie i doborowe książki brata, po części popalono, podarto, albo do zawijania przedawano żydowi po krajcarze. Później znachodziłem znaczną ilość książek u antykwaryuszów lwowskich.

Zegarek z kurantami i fortepian, połamali i porąbali chłopi jako złego ducha w drobne kawałki. A gdy po pierwszem uderzeniu siekierą pękły struny fortepianu, uciekali chłopi jak przed piorunem, i dopiero później gdy przeżegnali się, przystępowali dalej do dzieła zniszczenia.

W tym względzie postępowali jak dzieci.

VIII.

Dwaj przyjaciele.

Już późno, przywieźli jeszcze dwie ofiary. Był to Sikorski, i jego towarzysz Maksymiljan Müller.

Koleje, jąkie ci obaj przebyli w tym dniu, zasługują, abym je o tyle, o ile mi z wiarygodnego źródła wiadome, opisał dokładnie.

Powyżej powiedziałem, że gdy M. M. połączył się z Sikorskim, uciekali obadwa przez płoty, ogrody i pola, brnąc w zaspach śniegowych, czasem nieledwie po pas, oraz że chłopi konno i pieszo puścili się za nimi.

Po wielu trudach i mozołach, oblani potem z nadzwyczajnego wysilenia, dostali się już w pobliże lasu Horożańskiego.

Las Horożański, połączony z Komarzańskim jestto stary, odwieczny i gęsty bór, który pomimo wielkiej nawet zawiei śniegowej, mało tylko dopuszcza śniegu do wnętrza swojego.

Tam uciekali dwaj przyjaciele, tam była ich nadzieja, tam szukali ocalenia Już zbliżali się, już tylko kilkadziesiąt zaledwie kroków przedzielało ich od lasu, już spodziewali się a nawet pewni byli, że ujdą strasznej pogoni, gdy oto widzą przed sobą kilkudziesięciu w siekiery uzbrojonych chłopów, wychodzących z lasu, którzy na odgłos: „łapaj! łapaj!“ zajęli w obec obudwóch uciekających taką postawę, że musieli zwątpić o swem ocaleniu.

Śmierć przed sobą — śmierć za sobą, — jeszcze nie tracili nadziei! Łudzili się jeszcze tem, że swoją odwagą zdołają odstraszyć swoich przeciwników. Obróciwszy się plecami do siebie, wymierzyli broń tak do goniących jak do tych co wyszli z lasu, i wezwali ich, aby ustąpili, gdyż w przeciwnym razie, dadzą do nich ognia.

Tą razą jednak — wystąpił z pomiędzy chłopów jeden najodważniejszy, kilka kroków naprzód, odsłonił swą pierś i wyrzekł głosem stanowczym:

— *I szoż z toho, szo mene jednoho zabyjesz; dywy sia skolko nas sze je!*

I wskazał na hurmę stojących za nim chłopów.

Po takiem wystąpieniu, stracili obadwa nadzieję, a czując, że gdy nie mogą się już ocalić, nie powinni na próżno, bo bez żadnego dla nich skutku, zabijać bliźniego, spuścili strzelby.

Lecz cóż im pozostawało, cóż ich oczekiwało? Śmierć niechybna, śmierć męczeńska!

— I cóż teraz robić? — zapytał Sikorski.

— Nie ma co wiele radzić — odpowiedział M. M. i dodał: — Ty masz pojedynkę, ja dubeltówkę, zakomenderuję: raz! dwa! trzy! — palniemy do siebie, i legniemy obadwa. Lepsza śmierć krótka, niżli długa męczeńska!

— Dobrze! — odrzekł Maurycy — rachuj głośno, wyraźnie, a po słowie „trzy!“ damy ognia do siebie.

— Zgoda! — zimno i stanowczo dorzucił M. M.

Odstąpili od siebie na trzy kroki w takiej pozycyi aby strzał nie mógł paść między chłopów, oglądnęli strzelby, ostrożnie poprawili ostatnie kapsle, naciągnęli kurki, a potem podawszy sobie dłonie do wzajemnego uścisku ostatniego, pożegnali się — jednem ciężkiem westchnieniem, ostatnią o dobro kraju zanieśli modlitwę do Boga — i zmierzyli do siebie.

Müller zakomenderował, i po słowie: „trzy!“ padły dwa wystrzały. Huk ich powtórzony po kilkakroć razy, ponurem echem rozległ się po borze. Obaj przyjaciele zachwiali się, i padli.

Chłopi, poglądający na całą tę scenę dosyć obojętnie, prędko zbliżyli się do nich, a widząc ich zalanych krwią, widząc, że już nie żyją, zostali tą sceną wzruszeni tak dalece, że uklęknąwszy koło nich, odmówili pacierze.

Sprowadziwszy potem sanie, włożyli na nie obudwóch, i ruszyli z miejsca.

Zanim atoli przystąpię do dalszego opowiadania, muszę poprzednio nadmienić, że gdy strzelali do siebie, M. M. strzelił równocześnie z wymówieniem; trzy! i ugodził Sikorskiego poniżej serca. Sikorski zatem już chwiejąc się jedną tylko ręką dał ognia do M. M. i siedm lotek wpakował mu

w wnętrzności. Obadwaj zatem żyli jeszcze, pomimo że rany ich były śmiertelne.

Gdy ich włożono na sanie, i konie ruszyły z miejsca, odzyskał Sikorski przytomność a nawet i siły tyle, że podniósłszy się, usiadł na saniach, i ranę obok serca przycisnął swą dłonią.

Trupia bladość na spokojnej twarzy, oczy w słup postawione, i nieruchoma, milcząca postać Sikorskiego, bojaźnią przejmowały chłopów, otaczających sanie.

Żaden z nich nie miał odwagi zbliżyć się ani przemówić do niego.

Gdy jednak przyjechali do wsi, zaraz hurma chłopów otoczyła sanie. Sikorski nieszczęśliwy, — wyciągnięty ze sani, dobity został drągami.

M. M. zaś, jakkolwiek przyszedł do przytomności przyczaił się i udawał zabitego.

Jako trupa złożono go koło mnie pod stajnią.

IX.

Hapka, wiejska dziewczyna.

Gdy byłem pewny, że przy ciemnej już nocy nie będę widziany ani słyszany, spytałem M. M. z cicha:

— Czy żyjesz?

— Żyję! — dostałem w odpowiedzi — ale ginę z pragnienia, gorączka mię pali. Sikorski, gdyśmy strzelali do siebie, wpakował mi nabój lotek w wnętrzności.

W tem ujrzałem z daleka postać zbliżającej się do nas kobiety.

— Cicho! bo zginiemy! — powiedziałem do Maxymiljana i umilkłem.

Nareszcie postać ta zniknęła nagle przy samej stajni. Po chwili dopiero z po-za stajni z drugiej strony, zbliżyła się do nas ukradkiem, i przy słabem świetle już dogorywa-

jących budynków, starała się między trupami szukać jakiejś twarzy.

Ja przymknąłem oczy, udając zabitego. Gdy mię poznała, wzięła mię za rękę.

— *Wże zymnaja ruka,* — powiedziała z cicha sama do siebie. A potem dodawszy: — *Neszczasływi ludy! Hospod' Boh naj sia teper zmyłuje nad wamy!* — uklękła i modliła się za nasze dusze,

Wachałem się co robić? Nareszcie zdecydowałem się przemówić do niej:

— Hapka! — zawołałem z cicha.

— *O mij Boże!* — wymówiła tak głośno, że lękałem się, iż to zwróci uwagę — *to wy żyjete panyczu, och biednyi wy! och czomuż ja ne mohu was ratowaty! Waszoho brata uże zabyły, naj ich Hospod' Boh skaraje, taj sudyt!*

— Cicho, na miłość Boga; — powiedziałem, i dodałem: — zlituj się, daj mi kroplę wody, ginę z pragnienia!

— *Ach ja sia boju, szoby i mene ne zabyły. Ałe* — dodała po krótkim namyśle — *pretiż poczekajte, ja sia zaraz wernu!*

I rzeczywiście nim kilka upłynęło minut, przyniosła garnuszek mleka letniego,

— *Napyjte sia, wody wam ne dam, toje lipsze bude dla was.* —

Byłem bezwładny, bo zbity i przeziębnięty, prosiłem jej zatem, by mi podniosła głowę i podała mleko.

Gdy to uczyniła chętnie, prosiłem jej ażeby także i Maxymilianowi podała.

To mleko może było wybawieniem nas od zupełnego przemarznięcia, gdyż kilka już godzin leżałem na śniegu.

Obok stajni była wozownia, do której podczas pożaru poznosili chłopi niektóre rzeczy. Między innemi, były tam materace i kołdry.

Poczciwa dziewczyna z narażeniem własnem — bo za to byliby ja zabili niezawodnie, — przywlekła materace z wozowni, z największą trudnością złożyła nas na nich, i poobtułała kołdrami.

Ten czyn niezawodnie wybawił nas od zguby, ocalił nam życie.

*

Oby Bóg wysoki zlał na cię szlachetna dziewico tyle łask, ile człowiekowi potrzeba do prawdziwego szczęścia w życiu doczesnem i wiecznem, oby ci Bóg błogosławił we wszystkich twoich zamiarach i przedsiewzięciach!

Nazwiska jej nie wiem, imię jej: „Hapka“. Znałem ją tylko ztąd, że czasem przychodziła do izby czeladnej do pomocy przy praniu lub innej jakiej robocie. Wątpię, czy z nią więcej nad dwa lub trzy razy mówiłem.

Odchodząc, a raczej uciekając, pożegnała nas słowami:

— *Hospod Boh' naj bude z wamy!*

Zaledwie oddaliła się, nadeszli chłopi, a widząc nas w takim stanie, chcieli nas już pozrzucać z pościeli, gdy im dano znać, że nadchodzi wojsko.

X.

Wojsko i indagacja na śniegu.

Rozbiegli się wszyscy. Jedni z niewiadowej przyczyny pouciekali do domów, inni pobiegli naprzeciw wojska.

Poglądałem także w tę stronę, gdyż od wojska oczekiwałem jeżeli nic innego, to przynajmniej ulgi jakiejś w cierpieniu, przynajmniej że zostanę wybawiony od śmierci i zamarznięcia.

Rzeczywiście wkrótce ujrzałem najpierwej huzara na koniu, jadącego powoli i ostrożnie.

Właśnie w tej chwili runęła z łoskotem druga część powały w naszem mieszkaniu i roznieciła pożar, którego płomienie, głównie na drogę rzucały światło.

Huzar zwrócił konia, i popędził czwałem napowrót.

Po chwili nadjechało trzech huzarów, a o kilkadziesiąt kroków za nimi cały szwadron z majorem, i praktykant gubernialny na czele.

Major podzielił swój szwadron na trzy oddziały, i sam z jednym zajął stanowisko naprzeciw nas, złożonych pod stajnią.

Krzyki chłopów ustały. Kiedyś tylko niekiedyś szczęk pałasza lub rżenie konia, wietrzącego zapewnie krew, przerywały ciszę, która właśnie nastała w tej chwili.

Dutka zbliżył się do majora, uchylił czapki, i z dumną postawą złożył mu raport.

Major nie rozumiał go w prawdzie, ale obecny praktykant był mu tłumaczem.

Uważałem bacznie na wszystko, a gdy domniemywałem się, że Dutka ukończył swój raport, korzystałem zaraz z tej przerwy, i ile sił moich, jak najgłośniej krzyknąłem w języku niemieckim:

— Panie majorze, ratuj nas pan!

Poczciwy major usłyszawszy moje wezwanie, rzucił wzrokiem w tę stronę, a dorozumiawszy się zkąd pochodził, zsiadł zaraz z konia, szybkim krokiem zbliżył się do mnie, i nie bez współczucia zadawał mi niektóre pytania.

Wskazawszy na M. M. i na innych jeszcze żyjących, prosiłem go, ażeby nas najpierwej umieścił gdzieś w jakimś ciepłym pokoju, oraz ażeby niedozwolił chłopom pastwić się nad nami — i ażeby nam dał straż wojskową.

Natychmiast uczynił zadość mej prośbie, a głównie co do straży. Ale zaledwie nas opuścił i nim wydał żołnierzom odnośne rozkazy, już przypadli do nas chłopi, pozrzucali nas z pościeli, i ile tylko mogli, szturkali i bili.

Chłopstwo widząc łagodne obejście się żołnierzy z nimi, tak się rozzuchwaliło, że pomimo zakazu i pomimo straży, jeszcze nas szturkali lub szarpali za włosy i t. d.

Pan praktykant później znów przybliżył się do mnie i jeszcze na śniegu rozpoczął indagację,

Trząsłem się cały od zimna, tak mocno, że mówić nie miałem już siły. Praktykant oświadczył mi, że jeżeli zaraz nie powiem mu całej prawdy, nietylko nie każe przenieść mię do pokoju, ale nadto niezwłocznie wyda mię chłopom.

Dowódzca szwadronu odwrócił się na to oświadczenie i rzuciłem na niego wzrokiem, w którym się malowała pogarda; i pojmuję to bardzo dobrze, że jako honorowy człowiek, jako żołnierz, byłby pewnie odważnie stawił nam czoło, ale na zamiar pastwienia się nad rannymi, musiał się wzdrygnąć.

Bełkocąc ledwie nie skostniałym językiem, odpowiadałem na pytania praktykanta tak niezrozumiale, że nic nie mógł ze mnie wydobyć, pomimo, że aż do samych mych ust przyłożył swe ucho.

Dowiedział się jednak tyle, że ja o niczem nie wiem, i że jestem niewinny.

Kto wie, jak długo byłby mię indagował, gdyby nie pan major, który snać oburzony tem postępowaniem, oświadczył mu stanowczo, że przecież widzi, iż mówić nie jestem w stanie i że przód powinien nas umieścić w ciepłym pokoju.

Zanim poznoszono do dwóch pokojów pałacu potrzebną dla tylu osób pościel, i przygotowano inne, niezbędnie dla chorych i poranionych potrzebne rzeczy, naprzykład bandaże, szarpie i i.d. co uskutecznił wojskowy lekarz, znów parę minęło godzin; i dopiero raczej zawleczono niż zaniesiono nas do przeznaczonych dla nas pokojów, gdzie do pielęgnowania rannych przeznaczono kilku chłopów.

W tych pokojach złożono: M. Müllera, Łomżyńskiego, Bilińskiego, Mikołaja B.., Baranowskiego, gumiennego, którego raniłem przy podpalaniu kancelarji, i mnie.

Ciała poległych: Sikorskiego, Łagońskiego, Łaszkiewicza Bredemajera, Waligórskiego, Bielewicza, powyż wzmiankowanego dziada i podobnoś jeszcze trzech chłopów; tudzież obudwóch mych braci: Henryka i Ferdynanda, złożono w spalonej kancelarji, i przysypano popiołem.

Jeszcze przed nadejściem wojskowego lekarza, robili nam chłopi zimne okłady z delikatnością, rozumie się chłopską; każdy z nas był pokiereszowany niesłychanie, ja jednak mimo wszystkiego najmniej — tamci bowiem mieli połamane ręce, nogi lub żebra i t. d.

Łomżyński jednak z nas wszystkich miał się najgorzej, utracił kilka palców u rąk i nóg, na głowie, na szyi na piersiach i brzuchu miał rany okropne, i powątpiewaliśmy wszyscy o jego życiu.

Chłop, który mu owijał rany, ujrzawszy jeden palec mocno, bo więcej może niż do połowy przecięty, uchwycił Łomżyńskiego silnie za rękę, i bez wszelkiej ceremonii, zębami odgryzł mu ten kawałek palca. Łomżyński był tak

przeziębnięty i tak zbity, że straciwszy już czucie, słaby tylko jęk wydał z swych piersi, a chłop roześmiał się dziko, i wyplunąwszy palec z ust, wybiegł trzymając go w ręku, jakby z tryumfem jakim na podwórze, ażeby wszystkim ukazać go chłopom.

Ten wypadek posłuży za dowód, jak obchodzili się z nami ci, co nas mieli pielęgnować.

Ale zawsze tak rządzi Bóg wielki, że zsyłając wielkie na ludzi, zda się, nie do przeżycia, klęski i nieszczęścia wlewa równocześnie taką nadzieję, że mimo wszystkiego, jeszcze pozostaje chęć do życia.

Tak też działo się z nami i tak działo się ze mną. Utraciwszy braci, a jak mniemałem i ojca (myślałem że go na drodze zabito), straciwszy mienie całe tak, że nagle nic nie pozostało z tego, na co długie pracowało się lata, — utraciwszy wszystkich przyjaciół-towarzyszów, nareszcie widząc i czując, że nie uiściliśmy się z naszego zadania — co było dla nas najboleśniejszem, — pocieszaliśmy się tem, że na innych punktach wzięła sprawa nasza pomyślniejszy obrót, pocieszaliśmy się nadzieją, że powodzeniem naszej sprawy w innych stronach, pomszczona będzie męczeńska śmierć poległych ofiar.

XI.

Czułość praktykanta podczas rewizji.

Wśród tego, gdy dla naszego pomieszczenia czyniono w zamku przygotowania, odbywała się smutna a raczej okrutna scena w mieszkaniu p.p. Dyttloffów. Tam bowiem udał się praktykant na rewizję: a tam znajdowała się nieszczęśliwa w dniu tym owdowiała bratowa, która, jak powiedziałem powyżej, w błogosławionym znajdowała się stanie.

Przelękniona powyż opisanemi wypadkami, w rozpaczy za mężem dopiero zamordowanym, wcześniej może niż się spodziewała, ponownie zostać miała matką sieroty.

Gdy złożona na łożu macierzyńskich boleści, znajdowała się w stanie przesilenia, właśnie pan praktykant otoczywszy poprzód wojskiem dom cały, wszedł do niego. Zrewidowawszy inne pokoje, zmierza swe kroki do pokoju gdzie leżała bratowa. Matka jej zastępuje mu drogę, a wyjawiając mu cały stan rzeczy, błaga i prosi ażeby wstrzymał się na chwilę, ale on odpycha p. Dyttloffowę, matkę bratowej, i z łoskotem wchodzi z kilku żołnierzami do pokoju położnicy. Najpierwej zbliża się do jej łoża, rewiduje ją mdlejącą, i każe zrzucić z łóżka, dla odbywania i w niem rewizji.

W kilka minut po tej rewizji — powiła bratowa córkę, której na pamiątkę że. przyszła na świat w dniu zamordowania jej ojca, dano na chrzcie św. imię: „Ferdynanda“.

XII.

Drohowyże, i wywiezienie do Lwowa.

Co dalej się stało tak w ogóle, jak z każdą z osób tu wymienionych, wspomnę tylko w krótkości.

Na drugi dzień wywieziono nas obdartych lub nagich, pomimo mrozu, do Drohowyża. Tam w koszarach departamentu stadniczego, urządzono dla nas jeden pokój, gdzie nas pielęgnowano — po ludzku, i obchodzono się z nami dość szlachetnie, po wojskowemu wprawdzie, — ale honorowo — więcej łagodnie, niż surowo.

Na drugi dzień zaraz jak nas przywieźli byliśmy prawie wszyscy tak niebezpiecznie słabi, że nam przysłano spowiednika, i wszyscy też, z wyjątkiem M. M. spowiadaliśmy się i przyjęli przenajświętszy Sakrament.

M. Müller nie mógł się spowiadać, bo był zupełnie nieprzytomny, i przez cały tydzień naszego tam pobytu nie otworzył oczu, i z odjętą mową, zczerniały z boleści, bezwładny; a gdy w kilka dni po naszym przyjeździe, oświadczono nam, że wozy są dla nas przygotowane, i że tylko

M. M. zostaje, żegnaliśmy go wszyscy z tem przekonaniem, że go już nigdy w naszem nie zobaczymy życiu.

Lekarz jednak tamtejszy, — wojskowy — podobnoś także z departamentu stadniczego, człowiek nietylko ludzki, ale jak to udowodnił — niepospolitych zdolności, po mistrzowsku wywiązał się z swego zadania, — gdyż z pomiędzy wnętrzności czyli błony brzusznej (nie wiem jak to nazwać po lekarsku) wyciągnął siedm lotek tak zręcznie, że M. M. jakkolwiek po dłuższym dopiero przeciągu czasu, jednak zupełnie przyszedł do zdrowia. Zresztą ten sam szlachetny lekarz pielęgnował i nas, i zaopatrywał wszystkich tak po ludzku i tak dobrze, że poczuwam się do obowiązku złożyć mu niniejszem nietylko w mojem ale oraz wszystkich moich kolegów imieniu najczulsze podziękowanie i zapewnienie, że jego ludzkie postępowanie z nami, — pozostanie na zawsze w naszej pamięci, i że pewnie każdy z nas pragnie gorąco, ażeby się wydarzyła sposobność złożyć mu dowody naszego szacunku.

Jak tylko przywieziono nas do Drohowyża, dowiedziałem się, że chłopi przywieźli tam w sam dzień rzezi mojego ojca, Dyttloffa, Nahlika, Kożmiana i prócz kilku innych nieznanych mi z nazwiska; Bogumiła Bredemajera [1]), który chcąc się wywiązać z polecenia, otrzymanego od Ferdynanda, spieszył do Horożany, i na nieszczęście wpadł w ręce chłopów.

Także dowiedziałem się tam, że gdy w parę dni po owym strasznym dniu chowano ciała pomordowanych, zalegli cmętarz wszyscy chłopi z należących do Horożany sześciu wiosek, i podczas pogrzebu rzewnemi zalewali się łzami.

Gdy atoli w roku 1848 bratowa moja wystawiła pomordomanym nagrobek, rozwalili go ci sami chłopi, którzy w 1846 roku płakali nad grobem pomordowanych.

Jak powiedziałem powyżej, po siedmiu czy ośmiu dniach, wywieziono nas jeszcze chorych, poranianych do Lwowa — i przypadkowo, pod konwojem całego batalionu, i podobno kilku dział.

---

[1]) Brat rodzony zamordowanego Jana Bredemajera.

Co się tam działo, na teraz nie opisuję, — to tylko nadmienię, że Koźmiana, Dyttloffa, Mikołaja B..., Baranowskiego, Bogumiła B..., Bilińskiego i mojego ojca, wypuszczono z braku dowodów mniej więcej po upływie półtora roku, nas zaś trzech w następujący sposób skazano:

Ksiądz N... został skazany na 5, M. Müller na 10, a ja na 18 lat ciężkiego więzienia w kajdanach, którą to karę mieliśmy odsiedzieć na Szpilbergu (Hradczyn kopcu) a jak my więźniowie nazywali „na Grajgórze".

Amnestja roku 1848 otworzyła bramy więzienia wszystkim naszym, z wyjątkiem Erazma Czajkowskiego, Justyna Begijowicza, którzy siedzieli już po siedm lat na Hradczym kopcu, dalej z wyjątkiem, Sikorskiego, Eustachego Szymańskiego i mnie. Nas wyłączono od amnestji, a mnie głównie z tego powodu, że zabicie podpalacza, który faktycznie wszystkim nam zagrażał zgubą, zniszczeniem, śmiercią straszną w płomieniach — policzono mi za pospolitą zbrodnię, za niepolityczne morderstwo.

Później dopiero w skutek deputacji do Najjaśniejszego Pana, zostałem i ja uwolniony.

A gdy po mojem uwolnieniu wróciłem do domu — niestety, przekonałem się jasno, że słowa ojca mojego: zła wróżba wypowiedziane po rozbiciu familijnego puhara, nietylko że po części sprawdziły się zaraz na dniu 21go lutego 1846, ale oraz że śmierć całej niemal mojej familji, zmusiły mię uwierzyć, że jest coś ukrytego w wielkiej naturze, w przeznaczeniu rodzin pojedyńczych i narodów, czego przy największem wysileniu, człowiek odgadnąć nie jest w stanie.

XIII.

Epilog.

I oto na teraz skończyłem moje opowiadania, które ile możności i o ile pewne dozwalały mi względy, skreśliłem

sumiennie; a skreśliłem nie bez ofiary, najczęściej bowiem wypadało mi pisać o sobie, lub o kimś z mojej familji. To zaś, narażało mię na zarzut, że „Powieść o Horożanie“ kreśliłem z osobistych względów, t.j. że więcej pisałem o sobie i o mojej familji, niż o innych uczestnikach tych scen, albo że w powieści niniejszej ogłosić pragnąłem jeden epizod z życia mojej famililji. Poczucie obowiązku podania wypadków Horożańskich do wiadomości publicznej, przemogło jednak wszelkie tego rodzaju obawy w nadziei, że „Powieść o Horożanie“ będzie także jakkolwiek maluczką tylko, lecz zawsze przecież przysługą dla kraju, gdyż w najgorszym razie, będzie niejako bodźcem dla innych, i nie jeden może pamiętnik tego rodzaju, wyszedłszy na jaw, uzupełni ów krwawy epizod z dziejów naszej ojczyzny.

Zresztą pojmie każdy myślący — że będąc sam uczestnikiem tych scen, musiało mi najwięcej pozostać w pamięci to, czego sam doznawałem lub widziałem, oraz, że głębiej musiało utkwić to, co odnosiło się do mnie lub do moich najbliższych, t.j. do ojca braci i t.d. — Przekonawszy się bowiem z wystąpienia włościan przeciwko nam, że sprawa spiskowych zepchniętą została z wytkniętego jej toru, — więcej uwagi zwracałem na nich, niż na inne osoby, i ztąd też pochodzi, że o sobie i moich pisałem więcej.

A postawiwszy się raz na stanowisku zupełnie bezstronnem, pisałem wszystko, co dyktowały prawda i wewnętrzne przekonanie, a w szczegóły zapuszczałem się często jedynie dla tego, że uważałem to za potrzebne do dokładnego ocenienia całej sprawy.

Wyznaję atoli, — że jako 18to-letni młodzieniec, — nie umiałem zachować tyle zimnej krwi — by nic nie spuścić z oka i ażeby wszystko śledzić badawczym wzrokiem, jakby to był uczynił na mojem miejscu każdy dojrzały a wykształcony mąż.

Historyk, pragnący wyśledzić wszystko, co odnosiło się do naszej sprawy, oraz przyczyny wystąpienia włościan, którzy najlepsze jak nam się zdawało dla nas chęci, zamienili tak nagle w największą nienawiść i złość, niemniej badacz duchowej istoty człowieka, mógł był zebrać jako niemy świadek tych scen, bardzo obfite materjały. Ja jednak jakkol-

*

wiek od samego początku aż do końca nie straciłem przytomności zmysłów, znajdowałem się często w stanie gorączkowym, w którym będąc jednym przedmiotem zajęty, zwracając często w jednę tylko stronę całą moją uwagę, może nie słyszałem, nie widziałem, co się dziać mogło tuż w mojem pobliżu, a może i niejedno już uleciało z mojej pamięci. Podałem wszystko co wiedziałem i widziałem.

* *
*

Opisawszy powyższe wypadki, smutny, przykry dla mnie spełniłem obowiązek. Smutny mówię, bo każde słowo kreślone w powyższym pamiętniku, czyli jak tytuł opiewa: powieści, wzbudzały we mnie wrażenia, jakich doznawałem w owym dniu boleści i jęku, który znowu jednę kartę dziejów ojczyzny naszej zapełnił krwawem opisaniem pożogi, rabunków i mordów, w owych dniach, które hańbą wieczną napiętnowały wiek XIX; i jeszcze raz powiadam, smutny obowiązek, bo każdy nakreślony wiersz, każda stronnica przypominała mi żywo ówczesne sceny, śmierć moich towarzyszów, śmierć moich braci i śmierć tylu ofiar, poległych w tym samym czasie w Tarnowskiem, Bocheńskiem i Wadowickiem i t.d.

Utrzymują powszechnie, że czas niszczy wszystko, a nawet że osłabia wrażenia, że na smutną przeszłość rzuca mglistą zasłonę, i tem samem stopniowe sprowadza zapomnienie tego co boleśnie zraniło serce, krótko mówiąc, że nawet łagodzi i goi trawiące nas od dawna cierpienie. Tą razą przekonałem się, że to jest mylne twierdzenie; są bowiem wrażenia, których nie traci się nigdy, są chwile, które się pamięta do grobu, są cierpienia, które śmierć tylko łagodzi i goi.

Jakie były powody, jakie przyczyny, jakie pobudki owych scen nie tylko w Horożanie, ale i po innych obwodach Galicji? nie do mnie należy osądzać. Wyrok w tym względzie wydała już mniemam opinja publiczna, a ostatecznie osądzi je kiedyś historja, jak niegdyś sądziła pobudki i przyczyny ruchów chłopskich we Francji roku 1358, a w południowych Niemczech, Austrji i w Węgrzech w drugiej połowie XV stulecia, jak osądziła wypadki w Bawarji roku 1525 i jak rzeź na Ukrainie roku 1768.

Historyków a nie moją to rzeczą wykazać, czy przyczyny i pobudki owych ruchów chłopskich, dadzą się porównać z pobudkami i przyczynami mordów, wyprawionych roku 1846?

Była to straszna katastrofa. Lud nasz własny rzucił się na nas, krwi potoki cały niemal zalały kraj; nie oszczędzano nikogo, mężczyźni czy kobiety, dzieci i starcy padali pod katowskiemi nożami własnego ludu, własnych swych braci, suknia nawet kapłańska nie zasłaniała od razów morderczych, domy boże napadano i rabowano, tak że nie mogły służyć za pewne schronienie.

Tysiące ofiar męczeńską poległy śmiercią, reszta ocalała, dostawszy się do więzienia; dzieci, sieroty pomordowanych, odarte, na pół nagie i wygłodniałe, tułały się z miejsca na miejsce, i zabłądziwszy w lesie, ginęły z zimna i płaczu, a matki, żony i siostry w rozpaczy na próżno szukały swoich. Cały kraj zalał się łzami, i jakby z jednej piersi bolesny wydał jęk, a jęk ten obił się o sklepienie nieba i wezwał sprawiedliwości boskiej.

A Bóg też zesłał najpierw na ciemne narzędzia tych morderstw srogie ukaranie. Zawitała piękna wiosna nasza, ale owa zawsze wszech życia nadzieja, przyniosła z sobą w tym krwawym roku zarodek śmierci dla tych, którzy mordowali niewinne ofiary. Z wiosną nadszedł tak zwany przednowek i głód, i znów tysiące wyginęło z głodu i udręczeń wyrzutów sumienia, i padali jak słoma po polach, po gościńcach; matki własne swoje gotowały dzieci, brat starszy młodszego zabijał brata, rąbał na kawały, wkładał do garnków, gotował i (nie mogę wyrazić się inaczej) na pół surowego pożerał. A bywały wypadki, że gdy przetrząsano łachmany

niektórych z głodu pomarłych, znaleziono u nich nie raz znaczne nawet sumy pieniężne.

Dla czego cierpiąc głód najokropniejszy, nie korzystali z posiadanych pieniędzy? nie do mnie należy rozwiązywać. Psychologowie najlepiej osądzą, czy z bojaźni? czy woleli raczej zginąć śmiercią głodową, niż żywić się za pieniądze ofiar, które własną zamordowali ręką? albo nareszcie, czy z przyczyny pomięszania zmysłów, w którym to stanie nie wiedzieli nawet że mają pieniądze, któremi mogą okupić sobie życie?

Żądza łupu i propaganda ówczesnego rządu popchnęła nasz lud na drogę zbrodni bratobójstwa.

Ale, jak pisze w „Postępie“ w N. 9 z 1848 roku pan Marjan Sroczyński, czy w tej piersi serce tak swobodnie bije, jak pierwej? O nie! głos sumienia na chwilę zamilknąć może, ale po wytrzeźwieniu z szału tem silniej się odzywa. Od społeczeństwa może nie doznali kary, ale poza mgłą zabobonu i uroków widmo zemsty spostrzegać myśleli. Silna między nimi była wiara, że duchy zabitych Czaplickich krążą po Horożanie. Każde nieszczęście ich wpływowi przypisywali. Niektórzy dawali wprawdzie na mszę i wypominki za duszę Czaplickich, ale nagrobek postawiony przez żonę ś p. Ferdynandowi Czaplickiemu rozrzucili.

Kara boża nie ominęła i tych którzy mordowali w Horożanie, lub jakikolwiek w tej rzezi brali udział. Słusznie powiedział jeden z filozofów: Sumienie jest najsroższym katem zbrodniarza!

Sumienie w piersiach morderców nie tylko nie ucichło, ale przeciwnie odzywało się co raz głośniej, coraz sroższe czyniło wyrzuty, i tak we dnie jak w nocy widzieli mordercy w swej wyobraźni, cały aż do olbrzymich rozmiarów spotęgowany obraz krwawych scen, które wyprawili.

Jeden chłop z Horożany, z którym zeszedłem się przypadkowo, opowiadał mi mniej więcej w następujący sposób o strachach, które się ukazywały mordercom, i które jak utrzymywał, wielu widziało ludzi.

We śnie zdawało im się, że widzą jak z krwi sączącej się z rozwartych ran trupiej twarzy unosi się para gorąca, i z całą siłą pchając się im (mordercom) do ust i do nosa,

dusi ich i oddech zamyka; lub że pobladła twarz trupa otworzywszy oczy, w nich wlepia swój wzrok, i z piersi głuchy, bolesny i przeszywający wydaje jęk i płacz, który obiwszy się o ucho mordercy, budzi go ze snu, zrywa się, księżyc przyświeca jasno, a on widzi krew przed sobą, przeciera oczy w nadziei, że zniknie straszne widmo, ale przeciwnie, z każdego kąta ciemnej izby wypływa struga krwi, lub straszna jakaś ukazuje się postać; to krwią oblana twarz którego z zamordowanych, poglądająca na niego błagalnym wzrokiem, to inna wyszczerzając zęby uśmiecha się do niego szyderczo, szatańsko. Tu sterczy ręka, owdzie noga odcięta, tam widzi palce odcięte, które mnożą się szybko i całą zajmują izbę, a wszystkie kiwają na niego; nareszcie każdy palec przeistacza się w głowę, której krwią zalana twarz groźnie pogląda na niego, na koniec do każdej głowy przyrasta tułów i wszystkie postacie, to pomordowani, to dzieci ich, do niego wyciągają ramiona, każda mruga na niego lub z cicha, lecz przerażająco szepce mu coś do ucha, morderca zatyka sobie uszy, ale słyszy głos zamordowanego: „Wziąłeś mi życie!“ lub głos sieroty: „Oddaj mi ojca!“

Przerażony morderca zatyka sobie uszy, zasłania oczy, wydaje okrzyk przestrachu i wypada z chaty.

Spiący jego domownicy budzą się przelęknieni, wybiegają za nim i wołają po imieniu. Morderca myśląc że to widma, ucieka, domownicy gonią za nim, on przyspiesza kroku, wytęża ostatnie swe siły, nareszcie znużony pada bez zmysłów.

Tym sposobem wielu wyginęło.

Tak jak mi opowiadano, zginął Dutka, tak Palej, tak ksiądz Horożański i wielu innych.

Oto taki był koniec tych, którzy nas mordowali i naszych. Wierzę mocno i niezachwianie, że pierwej czy później podobna kara, podobna śmierć z wyroku sprawiedliwego Boga czeka wszystkich tych, którzy nieczyste mają sumienie.

Oni poginęli, wymarli, a z nas wielu żyje! Czyli dla tego tylko ażebyśmy za ich dusze odmówili pacierze?

Ha! niechaj i tak będzie, idźmy za przykładem Chrystusa, przebaczmy jak On przebaczał na krzyżu, zanieśmy jak On o przebaczenie krótką a szczerą modlitwę do Boga!

A nasi męczennicy? o! ci nie potrzebują już naszej modlitwy! Oni w łasce u Boga błagają najwyższego Sędziego o sprawiedliwość i pomyślność dla naszej ojczyzny!

W numerze 12. „Dziennika literackiego“, autor pamiętnika o rzezi Horożańskiej, wezwał księdza N.... podówczas proboszcza w Rumnie, aby się wytłumaczył, dla czego otrzymawszy dnia 20go wieczorem od komitetu kierującego odwołanie całego powstania, dopiero nazajutrz rano o tem dał znać do Horożany. Na to wezwanie ksiądz N... następujące na nasze ręce przesłał oświadczenie:

— „Nie tego samego wieczora (20 lutego) jak autor powieści o Horożanie, źle zainformowany fałszywie podał, ale dopiero dnia 21go lutego, o godzinie ósmej rano otrzymałem przez wysłaną od komitetu rewolucyjnego panią W... uwiadomienie o wypadkach Tarnowskich, oraz polecenie, aby zgromadzonych w Horożanie powstańców do rozjechania się natychmiast zawezwać, gdyż powstanie na teraz odwołanem zostaje.“

„Pojmując nadzwyczajną ważność tego rozkazu, nie czekałem aż mój furman konie zaprzęże, natychmiast siadłem na sanie dopiero co przybyłej pani W... i pospieszyłem do Horożany.“

„Niestety, przybyłem za późno. Wójcia i gromady, przedwcześnie uwiadomieni o powstaniu, chociaż wedle planu spiskowych dopiero o wpół do dziesiątej miał przybyć komisarz rewolucyjny, i przeczytać zgromadzonemu ludowi proklamację i do udziału zawezwać, — ściągnęli przez urlopników z pobliższych wiosek kilka tysięcy włościaństwa, uzbrojonego w kosy, cepy, pałki, a nawet i w strzelby, i trzymali już od kilku godzin przed mojem przybyciem związkowych w oblężeniu w domu Czaplickiego. Nikogo nie dopuszczali do nich, a wszystkich później przybywających aresztowali natychmiast i osadzali w areszcie dominikalnym, po drugiej stronie drogi stojącym. Taki los spotkał i mnie, i z tej przyczyny nie mogłem się porozumieć z oblężonymi i zdać sprawę z posłannictwa mego.“

ks. A. N...

Wyświecenie to księdza N... jest dostateczne i wszelki cień winy z jego osoby usuwa.

Odpowiedź na tłumaczenie księdza N...

Odczytawszy powyższe tłumaczenie księdza N. jeszcze w rękopiśmie, odpowiadam nań niezwłocznie, a głównie i jedynie dla tego równocześnie, ażeby ksiądz N. tuż obok swojego tłumaczenia wyczytał moją odpowiedź, która go przekona, że nie na mnie ciąży wina fałszywego podania.

Jużciż ja przecież nie mogłem wiedzieć kiedy ksiądz N. otrzymał rozkaz: „odwołać powstanie!“ tem bardziej, że po owych smutnych wy-

padkach tylko podczas naszego pobytu na Hradczym kopcu (Szpilbergu) miałem sposobność uczynić w tej mierze jakieś zapytanie. Gdy jednak ksiądz N. był wówczas mocno cierpiący, nie chciałem poruszać tej sprawy, która czy to słuszny, czy niesłuszny był zarzut, musiałaby go była dotknąć boleśnie, a tem samem pogorszyć stan jego zdrowia.

Wyszedłszy zaś z więzienia nie zeszliśmy się nigdzie do dnia dzisiejszego, a tu i owdzie słyszałem znowu tak jak i w więzieniu, że ksiądz N. 20 lutego otrzymał ten rozkaz. Nr, 8. „Postępu“ z roku 1848 str. 30 utwierdził mię w tem przekonaniu tem mocniej, że powiada tam autor p, M. S. opisujący: „Morderstwa popełnione w Horożanie w roku 1846.“ „I w Horożanach nie byłoby było krwi rozlewu gdyby nakaz, odwołujący powstanie, był wcześniej doręczony.“

Nie czytałem w żadnym dzienniku zaprzeczenia ze strony księdza N. ani nie słyszałem ażeby to był uczynił, pomimo że się to widocznie odnosiło do niego. Dziś jednak, gdy ksiądz N. zaprzecza temu stanowczo, oraz jasno i z odwołaniem się tłumaczy rzecz całą, miły zda mi się spełniam obowiązek, jeżeli dodam z mej strony, że znając nieskazitelność charakteru księdza N. całkowicie jestem przekonany o prawdziwości jego tłumaczenia.

KONIEC.

REJESTR.

		Str.
I.	Horożana wielka, i jej mieszkańcy	5
II.	Kilka dni przed powstaniem	13
III.	Wyjazd do Gródka wśród burzy	16
IV.	Huzary w Lubieniu, i zwiady	27
V.	Powrót do Horożany, i przyjazd związkowych	29
VI.	Noc ostateczna	35
VII.	Rzeź	40
VIII.	Dwaj przyjaciele	80
IX.	Hapka wiejska dziewczyna	82
X.	Wojsko i indagacja na śniegu	84
XI.	Czułość praktykanta podczas rewizji	87
XII.	Drohowyże i wywiezienie do Lwowa	88
XIII.	Epilog	90

„PAMIĘTNIK WIĘŹNIA STANU“

PRZEZ AUTORA

„Rzezi w Horożanie“

1846—1848.

WSTĘP.

Dziś, — gdy narody w nieustającej są walce z rozmaitemi stronnictwy o rozmaite zasady i narodowe prawa, — gdy wśród tych walk publiczna opinia wynosi te lub owe pojedyńcze jednostki do wysokości mężów godnych powszechnego zaufania i najwyższego poważania, a na innych wydaje wyrok potępienia, — gdy jedni poświęceniem i nieustanną pracą około publicznego dobra sami sobie budują okazały tron, a inni niegodnymi czyny własne swe rusztowanie, — gdy wśród tych walk i powszechnego przesilenia wznoszą się pojedyńczy mężowie czynu i serca, a upadają bierni i bezduszni, — albo nareszcie gdy wśród tych walk giną ludzie poświęcenia, a całe nawet rodziny padają ofiarą nienawiści stronnictw lub zbiegu stosunków, wynikających z zatargów tego rodzaju, — oraz gdy się dźwigają i potężnieją, lub omdlewają albo znikają nietylko całe stronnictwa ale nawet rządy, państwa, królestwa, — na cóż, — w czasach tak obfitych w różnorodne zdarzenia i wypadki stanowiące po największej części ułamki z dziejów całego narodu, — na cóż powtarzam, — pisać nam powieści, których tło mniej historyczne, mniej prawdziwe, a więcej fantastyczne?

Wprawdzie to od najpierwszych lat naszego niemowlęctwa kołysani, bawieni i niejako aż podziśdzień żywieni czystą, dźwięczną melodyą pieśni dziejów ojczystych, — mimo woli lgniemy z uczuciem niewypowiedzianej błogości do wspomnień przeszłości naszych ojców, z niewysłowioną radością dozwalamy spoczywać myśli naszej długo — długo w dziedzinie tych drogich nam wspomnień, — lecz żywa myśl nasza przelatując jak błyska-

wica różne chwile z życia naszego narodu w ogóle i szczegółowo rozmaite chwile z życia pojedyńczych, wielkich, z łona Polski powstałych mężów chętnie zatrzyma się przy tych wzniosłych postaciach, zawiśnie nad niemi i przebiegając z miejsca na miejsce rodzi — fantazyę — a wówczas, — w tej bujnej fantazyi z gorącem w sercu pragnieniem uimaginowanej przyszłości tworzą nasi najznakomitsi nawet pisarze jakkolwiek często mistrzowskiej sztuki obrazy plastyczne i prawdopodobne, jednak nierzeczywiste, — bo nie z żywego życia wzięte, bo często nawet nie zupełnie historyczne ich tło.

Pisanie powieści ani z życia wziętych, ani osnutych na tle historycznem zostawmy naszym sąsiadom, marzącym o filozofii systemach, które wzniesione może nawet na pięknych, lecz wątłych podstawach, runąć muszą za lada najlżejszym powiewem głębszego myśliciela.

Zostawmy to innym a mianowicie tym narodom, których dzieje nie są tak czyste i nie tak nigdy i niczem nieskalane, jak dzieje Polski.

My mamy tyle do pisania, że gdybyśmy chcieli opisać wszystkie ważniejsze do publicznej sprawy naszej odnoszące się zdarzenia — zabrakłoby nam może i rąk i głów i czasu. Na cóż więć marzyć i myślić nad tem, co może było albo coby być mogło, gdy z tego co stało się rzeczywiście, czerpać możemy wielkie nauki i wielkie odnosić korzyści?

Myśmy tyle przeboleli, tyle przecierpieli, po więzieniach, kazamatach i Sybirach, tyle przemyślili, myśmy w ogóle tyle nabyli doświadczeń i tak bezustannie krwawe pobieramy nauki i tak jest nas wielu liczących się do tego narodowego legionu, że zaprawdę niemal każdy z naszych przyjaciół, z naszych znajomych, jako jednostka jako cząstka narodu polskiego, mógłby dostarczyć do dziejów ojczystych tak obfitego materyału, że spisane z niego księgi całe, byłyby drogą spuścizną dla naszych potomków. A z śmiercią naszą zginie nietylko ów materyał, ale oraz i wszelka pamięć tych, którzy jak piękna, jasna, na ciemnem tle nieba wśród nocy błyszcząca gwiazda, przyświecali nam po przez cały wątek swojego żywota swojemi wzniosłemi czyny i poświęceniem w chwilach dla nas stanowczych, bo w chwilach trudnych, w chwilach żalu, smutku i

bolu, w chwilach zwątpienia i upadku ducha. Oni to cucili nas z letargu naszego, oni to światłem swojem budzili nas ze snu, oni swojemi słowy podniecali naszego ducha i oni dźwigali nas gdyśmy upadali pod ciężarem naszej niedoli i rzadkich w dziejach narodów nieszczęść i klęsk.

Naszą zatem powinnością wszystko co nam wiadomo zapisać do księgi narodu i przechować potomności w spuściznie, bo wiadomości o wypadkach, zdarzeniach politycznych, w których czy to czynny braliśmy udział, czy tylko niemymi byliśmy świadkami, nie jest już naszą własnością, ale własnością ogółu, pojedyńczy bowiem ludzie, mężowie żywotną narodu są cząstką i należą do niego, — koleje zatem jakie przechodzili i przechodzą pojedyńcze onego jednostki, są kolejami całego narodu.

Kilku znakomitych naszych pisarzów nakłoniło mię pisać w dodatku do „Rzezi w Horożanie“ dalszy z mego życia pamiętnik, — a „Dziennik polski“ w numerze 152 pisząc o „Albumie“ p. Henryka Nowakowskiego i wzywając do rapsodów pamiętnikowych prawdziwym był dla mnie bodźcem do tego.

Zasiadam zatem do tej pracy w szczerej dobrej chęci.

Zdarzenia i wypadki, które opisywać zamyślam, i których czy to czynnym czy niemym byłem świadkiem, obejmować będą peryod tylko lat dwóch. Wstrzymywać się będę ile możności od wszelkich uwag, zostawiając je kompetentniejszym od siebie, ale opisywać będę prawie wszystko z wymienieniem nazwisk prawdziwych z wyjątkiem tych, które przemilczyć pewne nakazują mi względy.

W dziele „Rzezi w Horożanie“ zaledwie tylko nadmieniłem o kolejach, jakie przechodziłem po dniu 21 lutego 1846 roku. Teraz atoli przystępuję do więcej szczegółowego opisania, nietylko tych kolei, ale oraz do opisania cierpień moich towarzyszów więzienia.

I.

Brygidki i czarna buda.

Dnia 1go marca 1846 roku, mniej więcej około godziny pierwszej z południa, wjechało do Lwowa kilka wozów chłopskich rogatką Stryjską.

Z wyjątkiem ostatniego, leżało na każdym z tych wozów po dwóch albo więcej mężczyzn, przykrytych żołnierskiemi derkami. Oprócz leżących, siedziało nadto na każdym z tych wozów po kilku żołnierzy w pełnej zbroi i z bagnetami na karabinach. Na ostatnim wozie oprócz oficera, siedziało dwóch lekarzy wojskowych, i nie bardzo już młody mężczyzna, w uniformie urzędnika, blady, suchy, dość słuszny, smaglawy i z okularami na nosie. Był to urzędnik, dowodzący konwojem.

Obok wozów jechało konno kilku huzarów, którzy czekając już na rogatce, przyłączyli się do konwoju.

Rysy twarzy leżących na wozach, trudno było rozpoznać, gdyż prawie wszystkie były czarne z pobicia i poranione. Niektórzy z nich okryci byli ledwie nie całkiem plastrami na głowie, czole, policzkach albo nosie. Na niektórych twarzach widać było życie, inne zaś miały wyraz martwy, a oczy były przymknięte. Każde mocniejsze szturknięcie wozu o bruk, wydobywało z piersi ich mocny i głośny jęk, a mimo tego wozy pomykały szybko, bo nikt nie zważał na boleść, zadawaną konwojowanym. Wozy mówię pomykały szybko, jakby uciekały z wielką jakąś zdobyczą, albo przed ścigającym nieprzyjacielem. Żołnierze broń trzymali w ręku, i na wszelki wypadek w pogotowiu. Urzędnik,

jadący ostatnim wozem, z pod oka na wszystkie oglądał się strony, a na jego twarzy niezwykła malowała się obawa. Na wybladłą twarz wystąpiły kolory, a po każdem oglądnięciu się, ramiona wzniosły się w górę, a głowa jakkolwiek pochylona, poruszała się jak na śrubie to w prawo, to w lewo, to po za siebie.

Leżący na wozie mężczyźni, byli to wiezieni z Drohowyża ranni, ocaleni z rzezi w Horożanie, a między tymi zaraz na pierwszym wozie, obrócony twarzą do innych wozów, byłem i ja, zkąd pochodzi, że bacząc na wszystko, nic nie uszło mojej uwadze.

Placem zwanym „Ferdynanda,“ po nad Pełtew wieziono nas do Brygidek.

W mieście zdaje się wielkie panowało przerażenie, wielka obawa. Gdy nas wieziono, każdy z przechodniów przystanął wprawdzie, ale tylko na chwilę — westchnął, rzucił na nas żałośnem okiem, i odszedł. — Niektóry palcem wskazał na niebo, potem zacisnął dłoń i zaiskrzył oczyma, wkrótce jednak jakby się upamiętał, oglądnął się w koło z obawą, czy nie postrzeżono mimiki jego, i dalej ruszył w swą stronę. Kobiety tylko, zacne, nieocenione Polki nasze, mniej jakoś okazywały bojaźni, a jedna z nich dostała się aż blisko wozów, i nie zważając na groźby żołnierza, zawołała w głos:

— Nie bójcie się! Bóg was nie opuści.....

Nie dosłyszałem już reszty, gdyż hurkot najeżdżającego powozu przygłuszył jej wyrazy, a jak nas przeminął, już jej nie było.

Dzięki tej nieznajomej za tych kilka słów pociechy!

Tu i ówdzie widziałem niejednę gładko ogoloną twarz z tryumfującym uśmiechem na ustach.

Zresztą wszędzie i u wszystkich, malowało się widocznie wielkie współczucie, a to dodawało nam wszystkim otuchy, i napawało nadzieją.

Mojemi oczyma na wszystkie powodziłem strony, szukając jakiejś twarzy mi znanej, pragnąłem widzieć wszystkich moich znajomych, tylko obawiałem się, by matka moja lub siostra nie zobaczyły mnie w takim przykrym stanie. Wiedziałem bowiem, że dla ich serca straszny byłby to cios.

Nie szukałem na próżno. Koło wałów, naprzeciw gmachu teraźniejszego poczty, ujrzałem jednego z moich znajomych. Przejeżdżałem koło niego dość blisko, widziałem jego zdziwienie a potem łzę w oku. Powitał mię ręki skinieniem, nareszcie odwrócił się, i powolnym krokiem w przeciwną udał się stronę. Był to Soter S., niegdyś słuchacz filozofii w Tarnopolu, z którym razem stałem na stancji. Ucieszyłem się że mię poznał, bo — pomyślałem — przynajmniej jeden poczciwy człowiek wie o tem, że mię tu przywieziono.

Widok Sotera S. przywołał wspomnienia z lat dziecinnych, i na chwilę zapomniałem o położeniu w jakiem się wówczas znajdowałem. Zatrzymanie wozu przypomniało mi' że jestem pod strażą.

Wszystkie wozy stanęły przed bramą więzienia w Brygidkach. Jeszcze nie mogłem przypatrzyć się zewnętrznej postaci murów tego złowrogiego gmachu, gdy rozwarła się brama, i wozy wtoczyły się na podwórze.

Znać, nie poczyniono jeszcze przygotowania na umieszczenie rannych, gdyż długo, długo czekaliśmy na nasze przeznaczenie. Niecierpliwość nasza dochodziła najwyższego stopnia. Ranni, pobici, skatowani, niewygodną podróżą i długą niesłychanie znużeni (z Drohowyża aż do Lwowa, nie odpoczywaliśmy nigdzie,) w gorączkowym znajdowaliśmy się stanie, a nadto na wpół nadzy, przykryci tylko pojedyńczemi kocami żołnierskiemi byliśmy na wskróś przeziębnięci.

Zaraz po wjeździe na podwórze, owionęło nas tak nieprzyjemne powietrze, żeśmy dostawali nudności. Nieznośny i hałaśliwy brzęk kajdan, uwijających się po podwórzu zbrodniarzy, raził nas mocno, a widok krat wszędzie, naokoło, przekonywał wyraźnie, że odtąd gmach ten będzie naszem mieszkaniem.

Oprócz aresztantów i żołnierzy, widzieliśmy jeszcze inne po cywilnemu ubrane osoby obojej płci. Byli to zdaje się urzędnicy tamtejsi, i ich tam zamieszkałe familije. Obstąpiono wozy i przypatrywano się nam, ot tak, jak rzeźnicy w jatkach przypatrują się, gdy na wozie leżą powiązane barany, przeznaczone na rzeź. Nie mogę zaprzeczyć, — było widać i tu gdzieniegdzie rodzaj politowania, ale ponajwiększej czę-

ści nacechowane były wszystkie twarze wyrazem zimnej obojętności i zupełnego braku czucia.

Niektórzy z tych panów, odezwali się do nas z perorami i naukami. Ktoś z przypatrujących się, (nie wiem czy to żołnierz czy który z urzędników, bo go nie widziałem tylko słyszałem,) zbliżył się do wozu gdzie leżał Baranowski, i zaczął przedrwiwać naszą odwagę i nasze zwycięztwo.

Szewc Baranowski atoli splantował go krótko, mówiąc:

— Przyjdzie kryska na Matyska....

Na te słowa oburzył się niesłychanie ten k t o ś, i byłoby może przyszło z tego powodu do ostrzejszych wyrazów, gdyby właśnie w tej chwili nie byli nadeszli lekarze, i tak zwany ferwalter z kilką ludźmi. I był też rzeczywiście już czas, ażeby nas gdzie umieszczono. Czekaliśmy bowiem na podwórzu przeszło od godziny. Jednych znoszono, a niektórym według widzimisia złazić kazano z wozu Rozumie się, że jeden z lekarzy jadących z nami, wskazywał palcem, którego z nas mają znosić a który zleźć może bez obcej pomocy. Wojskowy chirurg najniższego stopnia, młokos w całem tego słowa znaczeniu, przystąpił do mego wozu, i wskazując na mnie, powiedział do ferwaltera:

— *Der kann schon allein herunter.*

A potem zwrócił się do mnie, i zawołał tonem niegrzecznym:

— *No! Marsch herunter!*

Oburzony takiem postępowaniem, udałem że tego nie słyszałem.

— *No!* — szarpiąc mię zawołał głośnicj ten malec.— *Kriech er herunter, schnell! versteht er?*

— *Wer?* — nie ruszając się wcale, zimno zapytałem.

— *Du! du!* — wrzasnęło chirurgczątko i dodało — *kriech herunter, tummle dich!*

Czułem, jak wszystkie zadrgały mi nerwy, że krew uderzyła do mózgu, i „*Dutzen Sie nicht! junger Mann!*“ — podniesionym jednak poważnym odpowiedziałem tonem, i dodałem: — „*Dutzen Sie nicht, — ich bin nicht Ihresgleichen,— vergessen Sie sich nicht, — Sie haben nicht mit einem gemeinen Verbrecher zu thun, — ich bin ein Staatsgefangener!*“

Ostatnie słowa wymawiałem już wprawdzie nie z tak wielkiem uniesieniem, ale zawsze z naciskiem i taką powagą, że zmięszany i zawstydzony chirurg odszedł co prędzej do wozu innego, gdzie już grzeczniejszym przemawiał tonem.

Ja wprawdzie mogłem już chodzić powolnym krokiem, choć zawsze jeszcze kulejąc, złażąc atoli z wozu, naraziłbym się na uderzenie w nogę, w której rana była jeszcze otwarta. Zresztą zrabowany w Horożanie zupełnie, — miałem na sobie tak podartą bieliznę, a raczej tylko przypomnienie bielizny, (bo tylko kawałki,) że na myśl iż złażąc, nie powiodło by mi się może uniknąć wypadku, któryby przypatrującą się płci żeńską zmusił do zasłonięcia oczów ze zgrozą, zapłoniłem się sam przed sobą. Wyłuszczyłem te powody ferwalterowi, i ten uwzględniwszy moje położenie, kazał mię owinąć w derkę, i znieść z wozu.

Złożono nas wszystkich w jednej kaźni. Byli tam: Ekonomowie Biliński i Buczyński, dalej szewc Baranowski, dzierżawca Łomżyński i ja.

Wkrótce nadszedł poczciwy lekarz wojskowy, który opatrywał nas jeszcze w Drohowyżu, tudzież lekarz z Brygidek i ferwalter. W obecności brygidzkiego lekarza zaopatrzył nam rany, pożegnał się z nami i wyszedł.

Zamknięto kaźnię na kłódkę, i pozostaliśmy sami.

Brygidek opisywać nie myślę, byłem tam bowiem zanadto krótko, i w tak prawdziwie gorączkowym stanie, że ztamtąd nie wiele pamiętam takiego, coby mogło zająć uwagę czytelnika. To tylko sobie przypominam, że złodziej jakiś, skazany na odsiedzenie kary w Brygidkach, przydany nam był jako dozorca słabych.

Taki dozorca miał tytuł „krankfotra“ [1])

Ten, wielkiego dla nas znaczenia urząd piastujący złodziej, który — powiedziawszy nawiasowo — starannie i sumiennie nas pielęgnował, doradzał nam, ażebyśmy się nie przyznawali do niczego, i mimo wszelkich dowodów i świadków, przeczyli wszystko.

---

[1]) Ten pokręcony tytuł pochodzi zapewne z niemieckiego słowa: „Krankenwärter“ albo „Krankenvater.“

— Ja znam wszystko — mówił — ja znam, co panowie są co innego jak my, co panowie chcą Polski i nie chcą naszego cesarza, oni chcą mieć swojego króla, ja znam to wszystko, to je rychtyk, nie wiem czy mają recht, ale to iszcze tak chutko ne budzie; ja buł w wojsku, pry regimenci, (nie pamiętam już którym) *zweite Batalion, zehnte Kompani, vierte Zug*, to ja wim, co je najlipsze, nic nepowidzieć; ja buł już i pri *„Krisgerycht“* i znam co to je *„verher“* a jak człowik co skaże, uże *aus*. Wun tak budzie tiahnut idno słowo za drugiem, co już człowik nic ne poradzi.

Oto jest mniej więcej treść rozumowania i mała słaba próbka połamanego języka naszego ówczesnego „krankfotra.“

Wypada mi jednak tu dodać, że rozmowa tego rodzaju toczyć się mogła wówczas tylko, gdy żołnierz ze straży kryminalnej a zwany przez nas „pałkarzem,“ zadrzymał się trochę, osobliwie gdy kolej przyszła na jakiego staruszka. W kaźni naszej bowiem, zamykano zawsze jednego z strażników w tym celu, abyśmy nie rozmawiali ze sobą. Wydarzało się jednak, że czasem sam strażnik pozwalał nam rozmawiać, i sam z nami rozmawiał, a nawet nas uczył, jak się mamy zachować przy indagacji. A główną zasadą nam zalecaną zawsze było: milczenie, zaprzeczanie wszystkim zarzutom, i ażeby nikogo nie zdradzić.

Nauki tego rodzaju wcale nie były nam potrzebne. Każdy z nas, czy to szewc czy ekonom, czy dzierżawca i t. d. pojmował sprawę, i wiedział co mu czynić wypada.

Jak długo tam byłem, nie pamiętam — wiem tylko, że nie dłużej jak dni siedm.

Po upływie tego krótkiego czasu, gdy jeszcze mocno kulałem i całe ciało było zbolałe, gdy kłucie w boku i w piersiach jeszcze dokuczało za każdem odetchnięciem, zawołano mię do kancelarji.

Rozmaitemi korytarzami — wązkiemi i szerszemi, ciemnemi i jasnemi — nareszcie rozmaitemi schodami, raczej zawlokłem się niż zaszedłem gdzie mię przyprowadzono.

W oczach mi się ćmiło, szumiało w uszach, gorączka paliła, nogi drżały z osłabienia. Usiadłem na jakiemś krześle, ale nic nie widziałem przed sobą, prawie nie czułem, jak mię przyodziano w jakiś obcy, zapewne zamieniony sur-

dut podarty, który miał być niby moim, i jednym z tych, które chłopom odebrano w Horożanie. Na nogi założono mi pantofle. Rozkaz ażebym wstawał i wychodził, ocucił mię nieco. Wyprowadzono mię na podwórze, i zatrzymano przed jakąś budą, czarną, zaprzągniętą czteroma aresztantami. Była to zwyczajna buda o dwóch kółkach, w której zwykle przewożą aresztantów z Brygidek do Karmelitów, i które często, po dziś dzień jeszcze widujemy po ulicach Lwowa.

Otworzono drzwiczki do tej budy raczej dla psów niż dla ludzi, i kazano mi tam wleźć. Wpakowałem się tam z trudnością i przy pomocy strażnika, który zatrzasnąwszy drzwiczki z łoskotem, czemprędzej zamknął je na klucz. Dwóch z przodu ciągnących, a dwóch z zaplecza popychających złodziejów, na dany znak strażnika, dowodzącego tym orszakiem, raźnie ruszyło z miejsca; otworzono bramę, i już znajdowaliśmy się na ulicy.

W tej budzie ani siedzieć, ani stać, ani leżeć nie można. Trzeba się skulić, i dla odetchnięcia świeżem powietrzem, nachylić do małego, znajdującego się tam miasto okna okrągłego otworu. Tym otworem wyglądałem na ulicę, i widziałem przechodzących. Wszyscy przechodzili obojętnie, rzucili okiem na budę i myśląc, że ciągną jakiegoś zbrodniarza, złodzieja, rabusia albo mordercę, nie powstrzymywali kroku — wszyscy szli dalej.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Pierwsza przechadzka po Lwowie, i pierwszy krok do więzienia Karmelitów.

Gdy minęli już ze mną plac Ferdynanda, już w pobliżu sądu kryminalnego, ujrzałem wychodzące ztamtąd trzy osoby czarno ubrane, dwie kobiety i jednego mężczyznę. Kobieta w podeszłym już wieku, szła w pośrodku, po lewej stronie opierała się na ramieniu młodego mężczyzny, a po prawej, na ręce młodej jeszcze panienki. Przeczuciem jakiemś wiedziony, z daleka wlepiłem w nich wzrok. Widziałem, że wyszedłszy z furtki kryminału stanęli, jakby odpoczywali — tymczasem zbliżyliśmy się znacznie, i mimo tego że obiedwie panie oczy chustką miały zakryte, poznałem po prowadzącym ich mężczyźnie, że to była moja matka i siostra, a ów mężczyzna mój brat. Właśnie schodzili ze schodków kamiennych; matka moja była blada, oczy miała zapłakane, cała twarz wyrażała boleść do niewypowiedzenia, jednem słowem była złamana cierpieniem; siostra moja wprawdzie także podtrzymywała upadającą matkę, widziałem jednak wyraźnie, że sama postępowała tylko z wysileniem największem. Nagle postrzegłem, że matka moja jakby tknięta elektrycznym prądem, drgnęła cała, żywo podniosła zwieszoną głowę, wzrok swój wlepiła w budę i stanęła jak martwy posąg, jak wryta.

Nie wiedziałem co robić? Szybko cofnąłem twarz moją z otworu, ażebym nie był poznany — czułem bowiem, że w takim razie musiała by była okropna nastąpić scena.

Drżałem w całem tego słowa znaczeniu jak listek, nareszcie postanowiłem krzyknąć, zawołać ich po imieniu Chciałem wykonać ten zamiar, ale głos mój zamarł mi na ustach, — jakbym oniemiał, — zdawało mi się, że stygnę, — że krew, która przed chwilą z takim nawałem uderzyła mi do głowy, spływa, uchodzi, — mimo zimna i lekkiego mego ubrania, pot mię oblał całego, i opadłem z sił; pomimo że nie straciłem przytomności, byłem bezwładny.

Silniejsze szturknięcie budą, ocuciło mię Nachyliłem się do otworu, i przekonałem się, że jestem w bramie prowadzącej do więzienia Karmelitów; kosze na oknach wskazywały jasno, gdzie się znajduję. A te kosze znane mi były od dawna. Przypomniały mi one lata dziecinne, przypomniały mi one że się tak wyrażę pierwsze me kroki, pierwszą moją przechadzkę po Lwowie Gdy małą jeszcze dzieciną, przywieźli mię moi rodzice do Lwowa, umieścili na stancji, gdzie mię poruczyli opiece gospodyni i starszym mym braciom. Gdy mię pobłogosławili, pożegnali i już odjechali, było płaczu niemało. Pierwsze z ojcem i matką rozstanie, zanadto było dla mnie bolesne, ażeby mię tak łatwo można było utulić od płaczu; wówczas jeden ze starszych mych braci, ów w Horożanie poległy Henryk, zaproponowawszy przechadzkę, ujął mię za rękę i wyprowadził na miasto.

Wielkie, okazałe gmachy, kamienice, nie zajmowały mię wcale; turkot przejeżdżających pojazdów głuszył, rozmaitość i gwar przechodzących, raziły mię, a piękne po sklepach wystawy i dziecinne zabawki, które mi kupował, nie zdołały powstrzymać łez moich, rozczulonego wówczas dziecka. Tak przyszliśmy aż na ulicę Halicką naprzeciw powyżej opisanej bramy więzienia.

Henryk wskazał na kosze u okien. „Patrz“ — przemówił do mnie uroczystym głosem — „patrz! tam za temi koszami w ciemnicach osamotnieni siedzą nasi bracia w kajdanach. Dla swych przekonań, narazili się oni na cierpienia i męki. Tam mój Władziu siedzą oni osamotnieni, bez ojca, bez matki — żadnego do nich nie przypuszczają człowieka— nie widzą nigdy dziennego światła, pożywieniem ich mały tylko kawał suchego chleba, napojem ich mętna, nieczysta i nieświeża woda, ich posłaniem podłoga wilgotna i garść sło-

my zmierzwionej, ich ozdobą ciężkie na nogach i rękach okowy, kajdany. A przecież mój Władziu, nie płaczą oni, przeciwnie, dumni z swego dla ojczyzny cierpienia, wypogodzone mają oblicze, i gładkie czoła, i jasne, wesołe oczy, i serdeczny, pełen gorącej miłości dla wszystkich uśmiech na ustach."

Henryk przestał mówić, a ja zawstydzony, dawno już miałem łzy otarte, jego mowy jak to i u rodziców, od najpierwszych lat słuchałem z wielką uwagą, i widać trafiła do przekonania i serca, gdy aż do dziś dnia pamiętam wszystkie prawie jego wyrazy.

I jeszcze wiele opowiadał mi brat o tych więzieniach, to o Konarskim, o Łukasińskim, to o wielu innych naszych męczennikach.

Gdy później kiedykolwiek iść miałem na przechadzkę, zawsze prosiłem brata, ażebyśmy szli koło Karmelitów. On chętnie zgadzał się na to, i każdą prawie razą wpajał we mnie uczucia, jakie tkwić powinny w sercu każdego Polaka.

Ale wracam się dalej do mego opowiadania: Rzuciłem okiem na kosze, i — jak powiedziałem — poznałem je. Byłem słaby, ale duma, że i ja liczę się obecnie do rzędu męczenników... dodała mi siły. Zresztą niewiele czasu miałem do myślenia, gdyż wkrótce zatrzymała się buda, strażnik otworzył drzwiczki, i dał znak, ażebym wyłaził. Wygramoliłem się z tej nieznośnej, strasznej budy, i stanąłem tuż pod jakiemiś drzwiami, prowadzącemi do jakiejś sieni. Nie dano mi się oglądnąć, tylko kazano iść naprzód. Prowadzony, wkrótce przykulałem do jakichś drzwi, które otworzono. Nie pamiętam już tego pokoju dokładnie. Wiem tylko, że wzrok mój padł najpierwej na ścianę, i zobaczyłem kajdany i kłódki — na podłodze także kajdany i kłódki, równie jak i na krzesłach. Dalej postrzegłem dwa kancelaryjne stoliki, jeden przy oknie, a jeden tuż koło drzwi po prawej ręce. Przy stoliku pod oknem, siedział jakiś urzędnik, którego nie pamiętam. Przy stoliku zaś koło drzwi, zajęty był pisaniem inny mężczyzna, którego postać stoi po dziś dzień w mojej pamięci. Wzrostu niskiego — od stóp do głów jakby jednakowej, dość znacznej grubości, głowa wielka, twarz pełna, okrągła, rumiana, oczka maleńkie schowane, i okularami za-

słonięte. Wyraz twarzy w ogóle — nie mogę powiedzieć — ażeby był złośliwy — albo ażeby dowodził zdolności przynajmniej podobnych do wynalazcy prochu — malowała się tam tylko potrzebna na takiem stanowisku przebiegłość i przezorność, zupełne zadowolenie z siebie i z swego ówczesnego położenia, dalej wesołość objawiająca się lekkim uśmiechem, zakrojonym prawie zawsze na namiętnych małych usteczkach, niemniej dowcip, nareszcie burzliwość temperamentu, tudzież zamiłowanie w wygodach a mianowicie w jedzeniu, i w ogóle niepohamowana żądza dogodzenia sobie. Jednem słowem wyraz jego twarzy, był wyrazem samoluba, ale takiego, który nietknięty, nie tknął nikogo a nawet wtenczas, gdy mu kazano — jak to później przekonałem się — czynił to w sposób przekonywujący, że serce jego nie było kamienne. Był to tamtejszy dozorca więzienia, którego i ja nazywać będę kerkermajstrem. Nazwisko jego podobno Loos.

— Przepraszam — powiedziałem wkrótce po mojem wejściu do pokoju — przepraszam, ale muszę usiąść, gdyż jestem słaby i zanadto zmęczony podróżą w tej czarnej budzie!

I usiadłem na najbliższem krześle, pomimo że żaden z obecnych urzędników nie odpowiedział na to ani słowem, ani nawet skinieniem.

Strażnik który mię konwojował, stojąc u drzwi w wyprężonej postawie, dalszych oczekiwał rozkazów.

Po chwili dopiero uczułem, że mi jest zimno. Trząsłem się na całem ciele. Widocznie przeziębiłem się w budzie, gdyż podróż tę odbywałem boso tylko w pantoflach — zresztą prócz bielizny i podartego ciasnego surduta cienkiego — w którym nie mogłem się zapiąć, nic nie miałem na sobie — a były to przecież pierwsze dnie miesiąca marca.

Dopiero może po upływie pół godziny, powstał kerkermajster, wyciągnął, wyprężył się, ziewnął, przetarł oczy nie zdejmując okularów, obrócił się do stojącego przy drzwiach strażnika, i niemieckim zapytał językiem:

— Czy jest co nowego?...

— Nic — odpowiedział strażnik, i na rozkazujące: *ist gut!* kerkermajstra, salutował, zrobił zwrot lewo w tył i wyszedł.

Kerkermajster po wyjściu strażnika poglądnął na mnie, obejrzał od stóp do głów, i mówiąc niby sam do siebie po niemiecku: „Jak ten tu wygląda!“ zapytał mię o imię, nazwisko, miejsce i rok urodzenia i t. d., a w końcu, za co zostałem przyaresztowany?

— Przyaresztowano mię w Horożanie — odpowiedziałem — ale za co, sam nie wiem.

Uśmiechnął się na to dwuznacznie do swego, pod oknem siedzącego kolegi, i jak wszystkie poprzednie moje odpowiedzi, zapisał.

Wtem drzwi się otworzyły z łoskotem, i śmiało, prędkim krokiem, wszedł do pokoju mężczyzna już niemłody, wysoki, szczupły, włos czarny dość starannie zaczesany, cera twarzy jego była żółtawo-smaglawa, a wązkie cienkie usta, zamykające się szczelnie jak klapki, były sine, jak to bywa u ludzi cierpiących na epilepsję, albo których zaledwie zdołano wybawić od śmierci utopienia się; nos ściągły kończaty, oko czarne i świdrujące, twarz cała gładko ogolona, miała w sobie coś, co wzbudzało nietyle obawy ile wstrętu i odrazy. Cały był czarno i wykwintnie ubrany, rozumie się, iż główną odgrywał rolę nowomodny fraczek. Na jednym z długich kościstych palców, błyszczał osadzony w złotym pierścieniu pięknego ognia, wielki soliter. Kto to był, nie wiem do dzisiaj.

Wszedłszy do pokoju, badawczem na mnie poglądnął okiem, a potem zapytał:

— Czy to ten?

— Tak jest — odpowiedział wyprostowany kerkermajster [1])

— Cóż mówi? — było drugie pytanie.

— Powiada, że nie wie za co.

— Jak tylko nie wie, to dać mu kajdany, i wsadzić pod numer drugi. tam sobie przypomni — powiedział zimno, surowo, i marszcząc brwi.

---

[1]) Wszyscy urzędnicy kryminalni, dozorcy więzienia tak we Lwowie jak w Bernie, Krakowie i Wiedniu, mówili zawsze po niemiecku; dla tego nie nadmieniam już, jakim mówili językiem.

— Dobrze! — z pokorą odparł pan Loos, i zaraz przywoławszy jednego z strażników, kazał mi w obecności tego dopiero opisanego jegomości, założyć kajdany.

Kajdany były na rękę i nogę. Gdy mi je zakładano, nadstawiłem lewą nogę mówiąc, że na prawej jeszcze jest rana.

— Kajdany nie są na rany, rana jest na palcach, a kajdany na nodze — powiedział ów przybyły urzędnik, i założono mi kajdany na prawą nogę i lewą rękę.

Podczas tej operacji, żółtawo-smaglawy pan ani na chwilę nie spuszczał mię z oka, i badał wyraźnie. jakie to na mnie uczyni wrażenie. Na mnie atoli założenie kajdan żadnego nie mogło uczynić wrażenia, gdyż nie pojmując nawet więźnia stanu bez kajdan, byłem na to przygotowany.

Po wyjściu tego urzędnika, odbył kerkermajster, a raczej strażnik w jego obecności rewizję tak ścisłą, że nietylko zaglądał do wszystkich kieszeń, ale macał poły, rękawy, kołnierz surduta, a nawet rąbki bielizny.

Po uskutecznieniu tej rewizji, zadawałem to kerkermajstrowi to strażnikowi rozmaite, do ojca odnoszące się pytania, ale na wszystkie otrzymałem jednę i tę samą odpowiedź, to jest, że nic nie wiedzą.

Nareszcie dano mi dwie czarne miski, i drewnianą łyżkę do ręki. Nie mogłem pojąć, co to znaczy — później dopiero wyjaśniło się wszystko.

Teraz moje dziecko *(Jetzt mein Kind)* — wyrzekł kerkermajster — pójdziesz za tym strażnikiem (*Wachmann*) — i wskazał na obok stojącego. Strażnik wyprowadził mię na jakiś korytarz, do którego zdaje mi się, gdyby mi miano głowę uciąć — nie trafiłbym dzisiaj — takie tam bowiem kręte prowadzą drogi. Z tego korytarza zeszliśmy po kilku schodkach do innego korytarza długiego. Po prawej ręce był szereg okien do wpół zamurowanych, a po lewej szereg kaźni o żelaznych drzwiach, o wielkich żelaznych zasuwkach, dwóch do trzech cali szerokości, i o kłódkach olbrzymich rozmiarów — zdaje mi się, że nie przesadzę — cokolwiek mniejszej objętości, jak dno kapelusza, nazwanego cylindrem.

Dwaj na straży będący żołnierze, z pułku węgierskiego, chodzili pojedyńczo z jednego w drugi koniec korytarza,

tak że jeden mijał drugiego, i tym sposobem ciągle zmieniali swoje stanowisko. Prócz tych dwóch żołnierzy, stał zaraz przy pierwszej kaźni jeden strażnik w pełnej zbroi, to jest z karabinem i ładownicą — widocznie jako kontrolujący żołnierzy.

Zbliżając się do tego korytarza, zawołał prowadzący mię strażnik po niemiecku:

— Panie wachmistrzu!

Tej chwili z jakichś ubocznych drzwi po za nami, wyszedł pan wachmistrz z ogromnemi w ręku kluczami. Była to z tego pana wachmistrza wysoka, barczysta kreatura. Na głowie miał czapkę kapralską z dwugłowym orzełkiem, dalej twinę koloru dzikiego, a ciżemki sznurowane i opięte spodnie niebieskie, wyszywane sznureczkami czarnożółtemi, dowodziły że jeszcze niedawno służył w jednym z pułków węgierskich. Był to młody jeszcze, nawet przystojny mężczyzna, czerwone atoli oczy świadczyły, że może za często zaglądał na dno kieliszka, a cały ruch jego, niemniej wystająca broda i usta jakby do przekleństwa ułożone i zaciśnięte, przekonywały na pierwszy rzut oka, że ten człowiek jest nadzwyczaj niecierpliwy, i jeszcze więcej złośliwy.

Zbliżywszy się do nas, ponuro popatrzył na mnie, stanął na chwilę, roześmiał się dziko, radośnie, a potem odskakując odemnie jakby w pomięszaniu zmysłów, rzucił się do drugich drzwi z kraju; z ogromnym łoskotem odsunął zasuwy, tem głośniej odemknął dwie kłódki, potem silnem uderzeniem nogi popchnął drzwi w głąb kaźni, i zapraszał z urąganiem:

— *Ich bitte hinein zu spazieren.*

Zaledwie wszedłem do kaźni, z całą forsą pochwycił za klamkę, i z hukiem przerażającym zatrzasnął za mną drzwi, zaryglował i pozamykał na kłódki.

Cela więzienna.

Prawie zaraz za progiem kaźni stanąłem, ażeby przyzwyczaić oko do niezwykłej ciemności pomimo że w oknie nie było kosza. Ciemność atoli pochodziła ztąd, że małe okno umieszczone wysoko, w górę tylko rzucało światło, przytem mur gruby nie dopuszczał światła więcej, jak do połowy kaźni.

Po chwili chciałem postąpić naprzód, ale bolącą właśnie nogą utknąłem o niepostrzeżony drugi próg, znacznej wysokości, i niebędąc jeszcze oswojony z kajdanami, zaplątałem się w nie i upadłem. Zaledwie podniosłem się, i chciałem przypatrzyć się nowemu mojemu mieszkaniu, gdy nagle usłyszawszy nigdy jeszcze nie słyszany brzęk, stukot, łomot, hurkot, otwarły się drzwi, i przerażający wachmistrz ukazał się w nich:

— Co ropisz, co firapiasz?

Wypatrzyłem się na niego zdziwiony, i widać musiałem się go pytać moim na twarzy wyrazem: „Czyś ty zwarjował, czy oszalał,“ gdyż jakkolwiek nie odpowiedziałem mu ani słowa, obrócił się prędko, zatrzasnął drzwi i znowu po swojemu zamknął je z takim samym łoskotem jak pierwej. Wkrótce usłyszałem że odchodzi, gdyż na kamiennej posadce każden krok głośnem odzywał się echem.

Teraz dopiero przypatrzyłem się wnętrzu mej kaźni. Miała ona, (jak to później obliczyłem), dziesięć i pół kroków długości, a siedm i pół szerokości, wysokość była dość znaczna, u góry sklepienie. Zaraz przy drzwiach po prawej ręce stał dosyć wielki piec żelazny, który pewnie zapomniał jak wygląda drzewo, a na nim ołowiany kubek do picia wody, po lewej tuż przy drzwiach także, stało jakieś wielkie, drewniane, bardzo brudne naczynie, którego znaczenie jednym z mych zmysłów odgadłem zaraz; w odległości pół może stopy od tego naczynia, ujrzałem nienakryty ogromny ceber wody, zaraz za nim po lewej stronie stał tapczan, czyli jak tam nazywano: prycza, cięgnąca się od cebra, aż do

samego okna; ta prycza zajmowała tyle miejsca, że idąc obok niej odedrzwi do okna, dwóch ludzi minęłoby się tylko z trudnością. Na pryczy nie było nic, jak zresztą nic więcej nie było w całej kaźni. Przez okno małe, wysokie z silnemi kratami, nic nie można było zobaczyć, gdyż wydrapawszy się nawet na nie z wielkiemi trudnościami, widziałeś z niego tylko wąziutkie, wysoko oparkanione podwórze, w szerokości najwięcej 3—4 kroków, przeznaczone dla straży chodzącej pod oknami całego szeregu kaźni.

Na drzwiach i murze wyczytałem wiele nazwisk, ale te były mi zupełnie nieznane.

Na murze pod pryczą postrzegłem miryady stonóg i różnego rodzaju robactwa, nareszcie pleśń, grzyby, przegniłą z wilgoci podłogę, i dziury prowadzące aż do kanałów umieszczonych w pobliżu mej kaźni, gdyż przypierały do kaźni nnmeru 1go, a powziąłem to przekonanie ztąd, że wkrótce postrzegłem kilka szczurów, przechadzających się swobodnie po brudnej, błotem i niechlujstwem narośniętej podłodze mej kaźni.

W drzwiach postrzegłem mały kwadratowy otwór za szkłem, z małemi zewnątrz drzwiczkami blaszanemi czy żelaznemi; wkrótce po mojem wejściu do kaźni widziałem kilka razy zaglądającego tem okienkiem strażnika. To okienko nazywano powszechnie „wizytyrką,“ a i ja nie będę odtąd zmieniać tej nazwy.

Zlustrowawszy uważnie i dokładnie każdy zakątek mego więzienia, znużyłem się i na nagiej położyłem pryczy. Długo atoli leżyć nie mogłem, gdyż z pobicia zbolałe jeszcze ciało, nie dozwalało na twardym odpoczywać tapczanie. Usiadłem zatem i zacząłem dumać.

Krwawe sceny Horożańskie tak żywo stanęły przed memi oczyma, że czułem, iż mógłbym dostać pomięszania, a głównie gdy przypomniawszy sobie postrzeżoną przed parą godzinami bladość mej matki, począłem wyobrażać sobie jej smutek, jej rozpacz po stracie dwóch synów, i w ogóle całe jej położenie. Jeszcze w kancelarji u kerkermajstra naprożno pytałem się: „Gdzie jest mój ojciec? czy żyje? Co się z nim stało? i t.d. Niewiadomość o ojcu niepokoiła mię mocno, i pogorszała moje położenie. Tysiące przypu-

szczeń, tysiące myśli roiło się po głowie, i wzmagało coraz bardziej gorączkowy mój stan. Przypomniawszy sobie znane mi z opowiadania i opisania cierpienia i męki naszych męczenników i ich męztwo, sam przed sobą wstydziłem się płakać, a przecież łez cisnących się do oczu, powstrzymać nie miałem siły.

Już się zciemniło zupełnie, na korytarzu ucichło, i prawdziwie jak to mówią, grobowa nastąpiła cisza, którą przerywała tylko co dwie godzin następująca zmiana straży, a w kaźni pisk goniących się szczurów. Godzina upływała za godziną, i już może zbliżało się do północy, a ja jeszcze ani pomyślałem o potrzebie snu. Zawsze jeden z morderców, to Dutka, to Palij z nożem, rzucający się na brata mego, albo inny jaki, jak straszne widmo stał przed memi oczyma; zdawało mi się, że jęki i płacz mordowanych dochodzą mię zkądsić z dala, i że coraz żałośniejsze, to mocniejsze to słabsze, to już konających przybierają tony. Czułem, że tak nie wytrzymałbym długo, a chciałem żyć, pragnąłem żyć koniecznie dla mojej „matki,“ dla familji.

Zerwałem się z pryczy, i począłem macając w ciemności, chodzić po kaźni. W modlitwie szukałem pociechy. Prosiłem Boga, by mi dodał siły znieść wszystko cierpliwie, co mi przeznaczył w niezbadanym swoim wyroku, żeby czuwał nad moją matką, nad ojcem, nad wszystkimi moimi, którzy jeszcze pozostali przy życiu.

Wszystkich dokładałem starań, aby przynajmniej na chwilę zapomnieć sceny Horożańskie, ale naprożno. Nareszcie tak mi się przykro zrobiło, taki ogarnął mię żal, taki smutek, że jakkolwiek głośne tłumiłem łkania, rozpłakałem się jak dziecko, chociaż już byłem młodzieńcem.

Płakałem długo — długo, — nareszcie osłabłem, i nie miałem już sił ni chodzić ni siedzieć; chciałem się położyć i wylazłem na pryczę, wszędzie gdzieś utykałem, i zawsze uderzyłem się, i zawsze tylko w ranną nogę; wylazłszy na pryczę, tak mocno trąciłem się kajdanami w samą ranę, że aż krzyknąłem.

Tej chwili odezwał się do drzwi ponury i gniewliwy głos: — *Was ist's?...*

*

Rzuciłem okiem ku drzwiom, i przez wizytyrkę ujrzałem światło z korytarza, i przy niem twarz strażnika. Nic nie odpowiedziałem, a strażnik znudzony widać czekaniem, zamknął wizytyrkę.

Nocna rewizja.

Już było późno, — bardzo późno, kiedy uspokoiwszy się nieco, ułożyłem głowę na ręce, w nadziei, że tym sposobem jeżeli nie będę mógł spać, to przynajmniej lepiej niż chodząc lub siędząc wypocznę. W rzeczywistości już zacząłem usypiać, gdy nagle, zwrócił moję uwagę nadzwyczajny brzęk, stuk, huk, trzask, w kaźni sąsiedniej pod Nrem 1.

Nie mogłem połapać się, ani pojąć co to znaczy; dziwaczne i groźne jakieś nasuwały się myśli. Przyszły mi na myśl męki Konarskiego i innych, i byłem tego przekonania, że pewnie wyprowadzili albo przyprowadzili kogoś na indagację, przy pomocy tortury. Nim jednak zdołałem zastanowić się nad tem dokładnie, gdy ta sama scena powtórzyła się u mnie. Drzwi otworzyły się, i do kaźni wszedł kermajster w szlafroku, a za nim, dwóch strażników z latarkami. Gdy jeden z nich poświeciwszy latarką, zaglądał pod pryczę, nachylił się i niby tam patrzył, a widocznie w głowie mu to nawet nie było, a drugi zaglądał do okna, obmacał kraty, a potem zbliżył się do mnie i oglądnął kajdany.

Była to nocna rewizja, która odbywała się zawsze z takim łoskotem, a osobliwie, gdy na rewizję przychodził wachmistrz, albo gdy on otwierał drzwi. Kerkermajster zaś jeżeli sam drzwi otwierał, czynił to ile możności najciszej, widocznie, ażeby nikogo nie budzić.

Jak tylko kerkermajster wszedł do kaźni, zdziwił się widać niemało, gdy postrzegł, że nie mam siennika, gdyż zaraz zapytał mię co to znaczy, i dla czego nie upomniałem się ażeby mi dano co mi się należy. Oświadczyłem mu, że nie będąc jeszcze nigdy w więzieniu, nie mogę wiedzieć

co mi się należy. Kerkermajster zgniewał się na stojącego u drzwi wachmistrza, i nakazał mu, ażeby mi natychmiast przyniesiono siennik i derkę — ale niestety, pan wachmistrz oszołomiony gorzałą, prędko zapomniał o otrzymanym rozkazie, gdyż siennik otrzymałem dopiero nazajutrz rano. Żaliłem się kerkermajstrowi, że mam ciało bardzo zbolałe, że spać nie mogą, że w kaźni bardzo nieczysto, że nieznośne powietrze, że mi bardzo smutno samemu, i t.d.

Kerkermajster — muszę wyznać sumiennie, okazał mi wówczas wiele współczucia — i mimo że już było znacznie po północy, rozmawiał ze mną przeszło pół godziny, i — wyznaję, w moich dziecinnych żalach — pocieszał mię ile mógł i jak mógł. [1])

Porządek dzienny i wikt.

Kerkermajster wyszedł, odbył po wszystkich kaźniach kolejno rewizję, i znowu ucichło na korytarzu, a ja czekając na siennik, przesiedziałem noc całą bezsennie na pryczy. Co moment musiałem z siebie zrzucać to stonogi, to nieznośne obrzydłe szwaby, to innego rodzaju plugawe robactwo, a przytem niemało dokuczało mi zimno.

Rano zaledwie dnieć zaczęło, otworzono sąsiednią kaźnię, potem moję a następnie wszystkie; wachmistrz stanął we drzwiach i krzyknął:

— No! a nu!...

Popatrzyłem się na niego, nie wiedząc czego chce, i spytałem:

— Czego?...

— Finosz...! — To znaczyło bym wynosił ceber i t.d.

Zawrzało we mnie, popatrzyłem się na niego z pogardą i odwróciłem się z gniewem.

[1]) Przez cały czas samotnego mojego więzienia, gdy przyszedł na nocną rewizję, rozmawiał ze mną czasem i godzinę, przynosił pozdrowienie i różne wiadomości od ojca, i tym sposobem osładzał gorzkie chwile samotnika.

Znać opamiętał się, bo kazał to uczynić posługującym, (już skazanym) złodziejom.

W godzinę później znów otworzono kaźnię, i złodzieje z cebrem wody wnieśli mi także bochenek chleba razowego, a następnie siennik, poduszkę wypchaną słomą i koc.

Głód mi dokuczał, więc skoro zaryglowano i pozamykano na kłódki, wziąłem chleb do ręki. Był cokolwiek większy jak dwie pięści razem złożone, waga jego atoli jeśli się nie mylę, wynosiła jeden funt. Chciałem go jeść, bo jego zewnętrzna postać jakoś mi właśnie przypadła do smaku, ba! ale jakżeż go tu jeść kiedy tak twardy, że wszelkie próby ażeby go ugryźć, albo przynajmniej kawałek ułamać, spełzły na niczem; lecz czegoż nie dokaże przemysł człowieka, gdy go do tego zmusi ostateczność? Oto wrzuciłem chleb w ceber wody, i po kilkakrotnem wyjmowaniu i wkładaniu napowrót, powiodło mi się po upływie (nic nie przesadzam) dobrej półgodziny porobić trzonkiem drewianej łyżki dziury przez środek jego, potem przy pomocy ręki, kolana, i wytężenia całej siły, przełamać go na dwoje, i skubiąc z trudnością spożyć powoli.

Mimo tego, że chleb był razowy, twardy, i skóra najmniej — ale wyraźnie najmniej — dobre pół cala grubości, smakował mi bardzo, tylko że mi go było jeszcze za mało. Byłem jeszcze głodny.

Koło pierwszej godziny z południa, usłyszałem szybko i coraz głośniej zbliżający się brzęk kajdan, nareszcie silne jakieś stuknięcie, a w końcu za porządkiem otwierano kaźnie i znowu stukano, i z kolei otworzono kaźnię moję. [1])

Na korytarzu ujrzałem kilku aresztantów w właściwym ubiorze aresztanckim, w pośrodku nich dwa czarne dębowe cebry z żelaznemi obręczami, dalej dwóch strażników i wachmistrza. Złodzieje stojący przy cebrach, trzymali w ręku drewniane łyżki, olbrzymich rozmiarów. Nie pojmowałem co to znaczy, wkrótce atoli przekonałem się, że to był obiad.

— Miski! — zawołał wachmistrz.

---

[1]) Przy każdem otworzeniu kaźni, żołnierze z karabinami ustawiali się przy murze naprzeciw drzwi otworzonych.

Podałem miski, i do jednej nalano mi jakichś pomyj zupełnie czystych, co nazwano rosolem, a do drugiej coś klejowatego, czerwonawo-ciemnego, a raczej czarnego koloru, i powiedziano że to fasola. I rzeczywiście gdybym nie był słyszał, że w pierwszej misce ma być rosół, a w drugiej fasola, nigdy bym nie był odgadnął znaczenia tego trudnego rebusu.

Długo — długo — stałem nad temi miskami, nim namyśliłem się, że gdy głód przyciska, jeść trzeba co dają. Wziąłem łyżkę rosołu, ale niepodobna było go przełknąć. [1]) Postanowiłem jeść fasolę, a raczej drugą zupę, zrobioną z dobrze rozgotowanej fasoli, zapewne także rozpuszczonej wodą. W pierwszej atoli łyżce, gdy ją już przysunąć chciałem do ust, postrzegłem tak ogromnego szwaba, że z obrzydzeniem największem, daleko rzuciłem łyżkę od siebie, i cały dzień nic już nie jadłem, pomimo że wielki dokuczał mi głód; — mięso zaś, które zatknięte na jakimś patyczku, dawano tylko we czwartek i w niedzielę, było tak twarde, że nie mając ani noża ani grabek, niepodobna było je podrzeć w palcach jak tygrys, i jeść albo połknąć niepogryzione, a pogryźć je — zbolały i zęby i szczęka.

Jak długo byłem w więzieniu u Karmelitów, prócz chleba nic prawie nie jadłem, gdyż dnia nie było jednego, bym coś obrzydliwego nie znalazł w jedzeniu. Rano bochenek twardego chleba, na południe albo nieczysta fasola, albo groch, albo nareszcie kasza, każde z tych rozrzedzone do formalnej zupy, nazwanej przez złodziejów „sałamachą“, dalej woda nieświeża, dawana raz na dzień, i nieczyste, zabijające powietrze, oto całe było ówczesne pożywienie czy to więźnia stanu, czy pospolitego zbrodniarza, znajdującego się w więzieniu tak zwanem Karmelitów.

Jak długo tam byłem, — a minuta za minutą, godzina za godziną, dzień za dniem, naliczyłem zdaje mi się ośm miesięcy, — byłem ciągle, zawsze głodny do tego stopnia,—

---

[1]) Później dowiedziałem się od złodziejów, że ten rosół preparowany jest z wygotowanych już raz kości — nadto że z tego rosołu tłustość zbierają, a resztę rozpuszczają wodą.

że jakkolwiek nie należę do rzędu żarłoków, — długą czasem chwilę pieściłem się nadzieją, że i dla mnie nadejdzie godzina, w której będę się mógł najeść do sytu, — rozumie się, — nie myślałem tu o innych jakichś lepszych, pożywniejszych potrawach, nie, pragnąłem tylko chleba, dużo chleba, gdyby nawet takiego, jakim mię raczono każdego poranka.

Ale wracam dalej do mego opowiadania.

Krótkie wspomnienie indagacji.

Po południu, — gdyż nie po obiedzie — powoli jakoś upływały godziny, — żelazny piec, w którym zapalono rano jeszcze, ostygł prędko, jedno otworzenie kaźni bowiem, wywiało całe ciepło, zmusiło mię położyć się na sienniku, i nakryć kocem. Samotność czuć mi się dawała coraz dotkliwiej; jakieś oczekiwanie, jakaś niepewność i nareszcie pytania: co dalej ze mną będzie, czy nie uwięzili braci moich Juljana i Aleksandra, jedynej podpory matki i siostry — i co w takim razie poczną one obiedwie? Pocieszałem się wprawdzie tem, że gdy nie należeli do niczego, nie mogą być przyaresztowani, ale nasłuchałem się nieraz rozmaitych opowiadań, że więziono także i zupełnie niewinnych a posądzonych, więc przypuszczałem wszystko i na nowo coraz bardziej wzmagał się mój niepokój.

Wkrótce usłyszałem gdzieś w pobliżu jakiś jęk, płacz i prośby, a potem słyszałem wyraźnie że kogoś bili, słyszałem każde uderzenie i każdy po uderzeniu wydobywający się jęk. — Ile naliczyłem, nie pamiętam do dziś — wiem atoli, że było tego coś wiele. Głos tego nieszczęśliwego był jakiś dźwięczny, przyjemny, żałośny. Usiadłem na ziemi przy drzwiach, i z niewypowiedzianą boleścią i z bijącem sercem przysłuchiwałem się tej zgrozą przejmującej scenie. Byłem pewny, że to jeden z na-

szych, oraz że i mnie to czeka. Po egzekucji długo — długo jeszcze brzmiał w moich uszach i krzyk i płacz i jęk.

Nareszcie zciemniło się zupełnie, snu nie było, a natomiast sceny Horożańskie znów owładnęły umysł, i w gorączkowy wprowadzały stan, i znów jak upłynionego wieczora ten sam ogarnął mię smutek, i znowu — wyznaję dzisiaj ze wstydem — nowe zaczęły się beki, z tą atoli różnicą, że jak dnia piewszego tak i teraz niegłośne lecz ciche. Nie mogłem już leżyć — wstałem i łaziłem po kaźni. Nagle gdy wracałem od okna ku drzwiom, z cicha lecz nadzwzczaj szybko otwarły się drzwi, i stojący w progu wachmistrz krzyknął:

— Fichocz! — to znaczyło „wychodź!“

Chodząc, przy brzęku kajdan, nie słyszałem, jak wachmistrz na palcach skradał się do drzwi, i otworzył je nawet bez szmeru. Zainformowany, czy niezainformowany, dosyć że tę sztukę nadzwyczaj głośnego albo nadzwyczaj cichego otwierania kłódek i zasuw do wysokiego doprowadził stopnia.

Nie miałem co brać na siebie, czapki nie miałem żadnej, więc tak jak byłem — w aresztanckiej bieliźnie, którą mi dano u Karmelitów, w surducie powyż opisanym i pantoflach, wylazłem raczej niż wyszedłem z kaźni.

Wachmistrz postępował naprzód, ja szedłem za nim, a za mną strażnik. Noc była ciemna; bo gdyśmy wyszli na podwórze nic nie widziałem przed sobą, i szedłem tylko za głosem kroków wachmistrza. Wiatr zimny, mroźny, zawiał i przejął mię dreszczem. Prowadzono mię jakiemiś zakątami, zaułkami, małemi wązkiemi korytarzami.

— Gdzie mię panowie prowadzicie i z czyjego rozkazu?— spytałem.

— *Ich weiss nicht* — zimno i z drwiącym uśmiechem odpowiedział wachmistrz.

Wyszedłszy z kaźni, przeżegnałem się, i do Boga zaniosłem modlitwę, by mi dał siłę do zniesienia wszystkiego co mi przeznaczył. „Ojcze!“ modliłem się w duchu! „Boże! z pokorą znosić będę męki i katusze, lecz broń mię, ach broń, ażeby wśród tych mąk nie zmiękła ma dusza, bym nie został większym od innych złoczyńców zbrodniarzem, bym nie został zdrajcą — bym jak Judasz, nie zgubił przyjacie-

la lub jakiego kolegi". Byłem pewny, że mię prowadzą do indagacji, byłem przygotowany na wszystko najgorsze.

Po kilku minutach wprowadzono mię na jakiś korytarz, oświecony, w dali, niby w pośrodku korytarza były drzwi, a przy nich kilku strażników. Naprzeciw tych drzwi były schody, któremi udałem się za wachmistrzem. Na pierwszem piętrze wszedł wachmistrz w jedne z licznych drzwi, a mnie kazano czekać.

Po chwili wyszedł wachmistrz, i dał znak bym wszedł do wskazanego mi pokoju.

Drżącą ręką uchwyciłem za klamkę i otworzyłem drzwi. Zaledwie atoli postąpiłem krok jeden do pokoju, i gdy jeszcze drzwi nie zamknąłem za sobą już jakiś małego wzrostu mężczyzna, który czekając na mnie, w groźnej przy drzwiach ustawił się postaci, szybko ku mnie rzucił swą rękę, tak że dwoma palcami o mało nie wydłubał mi oczów, tem groźniej popatrzył na mnie, i nim odetchnąłem, nim się ukłonić mogłem i popatrzyć gdzie jestem, już przeraźliwym wrzasnął do mnie głosem:

— Gdzie są te papiery, któreś pan z Mateuszem zakopał?...

A słowa te wymawiał tak prędko, iż zdawało się, że słowa te nie wychodzą, lecz że jakaś elektrycznej szybkości maszyna, prędkiemi, po sobie następującemi strzałami wydaje je z ust.

Przyznam się, że zagadnięty tak niespodzianie, tak nagle, i z taką po innych zapewne sądach niepraktykowaną i niesłychaną natarczywością, — nie wiedziałem co robić? Nie chcąc atoli dać czekać długo na odpowiedź, ażeby wahaniem się mojem nie popaść w podejrzenie, że się namyślam, co by tu na to powiedzieć, — powolnym i na pozór niby obojętnym odrzekłem głosem:

— Spa-li-ły się.

— A co to były za papiery? — pytał mię u drzwi dalej i z tą samą natarczywością ów mężczyzna; ale, — do razu tylko uchodzi sztuka. Połapałem się, że zbłądziłem tą odpowiedzią i że powinienem był wyprzeć się wiadomości o tych papierach. Mówię zatem, połapałem się szybko, i z tą samą jak pierwej obojętnością odpowiedziałem:

— Nie wiem?!

— Jak to nie wiesz? — zawołał i powtórzył: — Jak to nie wiesz, kiedyś je zakopywał? Zkąd je wziąłeś? Na co je zakopywałeś i dla czego? — pytał dalej, głaszcząc swoje faworyty ręką jedną, a gryząc paznogcie u palców ręki drugiej, i zatapiając we mnie badawczy swój wzrok, strzelający jakby iskier żarem z maleńkich, zda mi się czarnych oczu.

Jak wiadomo, wiedziałem dobrze o śmierci brata mego Ferdynanda, bo na moich zginął on piersiach, ale jakbym o tem nie wiedział, odpowiedziałem spokojnie:

— Nie wiem, ani co to były za papiery, ani jakie, ani zkąd, wiem tylko że zkądsiś wydobył je brat Ferdynand, i kazał mi je zakopać, co uskuteczniłem niezwłocznie; jeżeli atoli zależy panu na tem tak wiele, to jestem pewny że Ferdynand, który jako naczelnik w Horożanie niezawodnie znajduje się tutaj albo jeszcze w Brygidkach, — opowie panu Dobrodziejowi wszystko dokładnie, ale — dodałem — pan dobrodziej daruje że się zapytam, czy jestem na komisji i mówię z panem konsyljarzem, czyli tylko z osobą prywatną?

— No! — innym tonem zaczął wspomniony powyżej mężczyzna — ja jestem urzędnikiem, i ty moje dziecko jesteś na komisji, odemnie zależy twoje szczęście, cała przyszłość, twoje życie albo śmierć. Wiesz dobrze co zrobiłeś, jakiej okropnej dopuściłeś się zbrodni...

Tu przerwałem mu i prosiłem, by pozwolił mi usiąść, bo jestem znużony.

— Siadaj siadaj moje dziecię! — łaskawie pozwalał pan urzędnik, z czego korzystałem natychmiast, i dalej słuchałem uważnie.

— Siadaj moje dziecko siadaj! ja wiem żeś ty znużony, zmęczony, no i cóż, bardzo was tam bili, he? No! ale ja wiem wszystko. Nieszczęście! Nieszczęście! — załamał ręce i zaczął chodzić po pokoju. Po chwili zwrócił się do mnie i ciągnął dalej.

— Ha! ale cóż robić, kiedy Pan Bóg tak chciał? ja wiem — mówił niby ciszej — że wy w waszem pojęciu nie pragnęliście nic prócz dobra ojczyzny, pojmuję to dobrze, wszak i ja to czuję. — Czyż mię ta sama co was nie ro-

dziła ziemia, czyż to w moich żyłach inna płynie krew, czyż ja nie jestem tak dobrze jak wy także Polakiem; ty atoli dziecię moje gorętszą wszystko bierzesz krwią. My obadwa naprzykład zarówno kochamy tę ziemię, zarówno pragniemy jej dobra, ale ty objawiasz tę miłość inaczej, a ja inaczej, ty, — niedoświadczone dziecię, wyznajesz tę miłość szczerze, otwarcie i głośno, — ja zaś mąż doświadczony, przechowywać muszę moje najdroższe, najczystsze, najszczytniejsze uczucia, w najtajniejszej, najskrytszej głębi mojej istoty, by nikt mię nie zgłębił, nikt nie odgadnął mej myśli, a te moje w najtajniejszej kryjówce serca mego, żelazną siłą mej woli w karbach, na więzach trzymane uczucia, są dla mnie skarbem najdroższym, bo dla mnie więcej niż dla ciebie owocem zakazanym. Ty nie mając nic, nie tracisz nic. Ja jestem urzędnikiem, mam żonę, dzieci, cóżby z niemi się stało, gdyby mię uwięziono? ale gdyby nawet nie to, zachodzi pytanie, któżby mię mógł na tem tu zastąpić stanowisku? kto po mnie na mojem miejscu mógł i chciałby czynić dobrze moim nieszczęśliwym rodakom? kto im dopomagać, jeżeli ja miałbym już ręce związane? Widzisz moje dziecię, nie sądź, że w tym tutaj urzędzie wszyscy są twymi wrogami, i tutaj, w tych kancelarjach biją szlachetne serca. Ale cóż, kiedy cała sprawa a między temi i wasza Horożańska, zły wzięła obrót; teraz powinno wam wszystkim zależyć głównie na tem, ażeby się ratować. Wasza sprawa źle, bardzo źle stoi, jesteście wszyscy uwięzieni, i niestety — dodał niby z ubolewaniem kiwając głową — niestety, wszyscy zdradzeni!.... Ale — rzekł po niejakim namyśle, — głównie o ciebie mi chodzi, ty Władysławie, jedyna nadzieja i podpora nieszczęśliwej, opuszczonej matki, ty, niepowinieneś zginąć, ty musisz być ocalony. Zostaw to mnie, a czyń co ci mojemi usty doradza prawdziwie ojcowskie serce. Powiedz wszystko co ci wiadomo, nie taj nic, bo wszystko zdradzone, przy komisji i przy indagacji uderz się w piersi, wyznaj twoją winę bez pytania, i proś o przebaczenie, a ja polecę cię łasce cesarza i da Bóg, wszystko będzie dobrze... Tu tylko szczere wyznanie winy może być ocaleniem dla ciebie. Ojciec twój przyznał się do całej winy, wyznał wszystko o tobie i wszystkich, prosił o uwzględnienie dla ciebie, i zdaje mi

się, że jeżeli mię posłuchasz, wszystko zakończy się dobrze. Nie poglądaj na mnie z niedowierzaniem, bo ja jedynym tutaj jestem twoim i twego ojca przyjacielem. Jeżeli wszystko sam wyznasz, będę mógł zaraz coś uczynić dla ciebie, a przedewszystkiem zaraz każę zdjąć ci kajdany, i pozwolę widzieć się z matką, która tak tego pragnie gorąco, i uwzględnię każdą twoją prośbę.

Skończył mój sędzia, i czekał widocznie, co ja odpowiem. [1])

Mnie — postępowanie tego rodzaju jeszcze w dzieciństwie dobrze było znane z opowiadania, więc pomyślawszy sobie chwilę, powiedziałem z wielką na pozór szczerością:

— Wysoko umię cenić szczęśliwy traf losu, który mię przy indagaji oddał w ręce tak zacnego sędziego, który — widzę to jasno — pragnie mi pomódz i wydobyć z tego okrutnego więzienia. Pan komisarz niechaj będzie pewnym, że cokolwiek mi tylko wiadomo, wszystko wyjawię bez ogródki — i nic nie zataję, muszę atoli dodać, że mi bardzo mało wiadomo, bo brat jako dziecku, nie wiele mi powierzał. Pytaj pan, a ja ręczę słowem prawego człowieka, odpowiadać będę wszystko to, co mi podyktuje sumienie. Z tego co pan mnie powiedział przed chwilą, zanadto mocne powziąłem przekonanie o wielkim charakterze pańskim, i mniemam, że nie zawiodę zaufania, jakim mnie pan dobrodziej obdarzać raczy, a gdy pan tak mi radzi, więc wyznam wszystko, i nawet rodzonego oszczędzać nie będę brata.

Przestałem mówić, a mój sędzia nie zdołał ukryć radości, i powiedziawszy słodziutko: „zaczekaj pan chwilę, ja zaraz wrócę,“ wyszedł szybkim krokiem.

Po chwili wrócił z jakimś mężczyzną, którego rysów twarzy nie pamiętam wcale, pomimo że długi czas aktuarjuszował referentowi, który mię indagował. Tyle tylko utkwiło

---

[1]) Powyższy ustęp jest chociaż może niedosłownym, to zawsze rzetelnym zbiorem, oddającym dokładnie myśl tego, co mój sędzia w rozmaitych czasach indagacji, w miarę potrzeby do mnie przemawiał, albo przynajmniej chciał abym tak rozumiał, a podaję to jedynie dla tego, by czytelnik miał wyobrażenie, jak nas indagowano za czasów systemu meternichowskiego.

w pamięci, że gdy indagator podczas indagacji wyszedł czasem z pokoju, a ja zagadałem do niego — milczał zawsze jak grób, i tylko raz widocznie z polecenia namawiał mię, bym wyznał prawdę, poznałem atoli, że pomimo praktyki u tak znakomitego sędziego, nie nabył owej swemu pryncypałowi właściwej biegłości i zręczności w wlewaniu swego przekonania.

Aktuarjusz zasiadł, ułożył papier, przyciął pióro, oświadczył że jest gotów, i wkrótce rozpoczęła się indagacja.

Najpierwej pytał: *ad generalia*, to jest: o imię, nazwisko, miejsce i rok urodzenia, o rodziców i familję, dalej o całą przeszłość, a nakoniec o powód mego aresztowania.

Z powyż opisanej rady mego szlachetnego przyjaciela, widziałem jak na dłoni, że nic nie wiedział, i że maca tylko w ciemności nocy, tembardziej, że z śmiercią poległych musiał zginąć wszelki ślad tego, czego właśnie pragnął się dowiedzieć odemnie a co do pozostałych przy życiu i właśnie tych, którzy byli wcieleni w tajemnice wszystkiego, zanadto byłem pewny, że nie uchylą zasłony z tego, co wówczas nie powinno było być odkryte tym, do których to nie należało.

Powtórzyłem zatem indagującemu wszystko to, co panu Sumperowi na śniegu. Rozumie się, że główną wszystkiego winę zarzucałem albo ś. p. bratu zamordowanemu, albo innemu z poległych, na których świadectwo odwoływałem się często, bo gdy fakt wystąpienia zbrojnego był jasno dowiedziony, musiałem coś przecież powiedzieć. Gdy się pytał zkąd wzięły się kufry z bronią, opowiedziałem mu mniej więcej jak następuje:

— Pewnego dnia — którego? nie pamiętam dokładnie, graliśmy wszyscy wista. Wtem ktoś zajechał; brat wybiegł do niego i zaprowadził go do kancelarji. Gdy po dłuższej chwili poszedłem do kancelarji brata, zastałem tam jakiegoś pana bardzo wysokiego, — włosy miał rude ale wąsy nie wiem czy farbowane, czy co, bo jakieś ciemniejsze, oko czarne, a nos rozpłaszczony i t. d. Równocześnie postrzegłem tam dwa kufry — które zapewne musiał przywieźć ten pan i znieść z moim bratem, a które to kufry jak się to okazało później, zawierały broń. Brat Ferdynand unikał odpowie-

dzi na moje w tej mierze czynione zapytania, więcej zatem nic mi o broni nie wiadomo.

Nie wiem czy dla tego, że było już późno, czy że pan sądzia był zadowolony z mojego zeznania, uwolnił mię tego wieczora i kazał odprowadzić do kaźni.

Przyszedłszy do kaźni, nowy miałem już przedmiot do myślenia, i znowu bezsennie cała upłynęła noc.

Ile dni siedziałem tam samotnie, nie pamiętam, wiem atoli, że ta samotność czuć mi się dawała dotkliwie, i że była nie do zniesienia.

Pewnego wieczora, już dobrze o zmroku przechadzałem się po kaźni jak więzień, — zamyślony, i w rozmaitych marzeniach zatopiony. Pamiętam jak dziś, cieszyłem się nadzieją, że przecież kiedyś dostanę kolegę niedoli, wiedziałem bowiem, a raczej domyśliwałem się tak znacznej liczby więźniów, że na pojedyńcze ich umieszczenie, miejsca zabraknie.

Morderca towarzyszem.

Nadzieja moja wkrótce smutnie została rozczarowaną.

W tej właśnie chwili moich marzeń dostania kolegi, niezwykły o tej porze usłyszałem brzęk kajdan, zbliżający się coraz bardziej do mojej kaźni, niemniej poznałem kroki zbliżającego się wachmistrza. Stanął pod moją kaźnią, zaglądnął do wizytyrki, ale spotkawszy się z moim wzrokiem zamknął ją szybko, a natomiast odsunął rygle, odemknął kłódki i otworzył drzwi, w których ukazała się w kajdanach postać człowieka ubranego całkiem biało, to jest w ubiorze aresztanckim [1]).

Wstępujący do mojej kaźni, trzymał jedną ręką kajdany zakute na obiedwie nogi, a w drugiej ręce dwie miski i łyżkę.

[1]) Aresztanci jeszcze nieskazani, mają zimowy ubiór całkiem biały.

Gdy wachmistrz zamknął drzwi napowrót, przekonałem się, że to będzie mój towarzysz.

Już zciemniło się, nie mogłem zatem przypatrzyć mu się dokładnie. W pierwszej zaraz chwili, jakoś nie bardzo przedstawił mi się dobrze, klnąc bowiem: — *Naj joho hrom trisne!* — rzucił miskami o ziemię tak mocno, że się w drobne rozsypały kawałki, a postrzegłszy to, zawołał w większym jeszcze gniewie:

— *Naj ich diť ko wożme, taj i mene!*

— Cóż wam takiego? — spytałem.

— *Et! dajte meni pokij, wziau diť ko duszu, ta naj sobi do sto matery wożme i tiło!*

— A cóż to tak wielkiego, cóż za nieszczęście, za cóż wy się tutaj dostali? — znowu zapytałem z pewną nieśmiałością.

— *Za szczo? za szczo?* — zapytał, a potem dodał — *ot szo to douho howoryty, babu'm zabyu, taj wże; a — koły diť ko wziau duszu, taj jak howoru, naj sobi wożme i tiło!*

To powiedziaszy rzucił się na pryczę, i ułożył się do spania.

Zgrozą przejęty, cofnąłem się o trzy kroki, i długo nie mogłem się oswoić z myślą, że moim towarzyszem będzie odtąd pospolity morderca.

Wkrótce przekonało mię mocno jego chrapanie, że usnął.

— Źle — pomyślałem, — usnął prędko bez troski o przyszłość swą straszną, bez wyrzutu sumienia, usnął spokojnie, usnął bez modlitwy, nie westchnąwszy do Boga, nie zrobiwszy nawet znaku krzyża świętego: w nim przygasły już wszystkie szlachetne uczucia. Z nim siedzieć, z człowiekiem tak zakamieniałego serca, to niepodobna, byłby to stosunek przykry, byłaby to formalna męka, formalna tortura.

Postanowiłem dołożyć wszelkich starań, aby go nakłonić do modlitwy, pobudzić w nim uczucia człowieka, i tym sposobem nawrócić go ile możności. Na prędce obmyśliłem sposób mojego z nim postępowania, a z planu tego okazało się, że trzeba działać zaraz bez zwłoki, pod wpływem znużenia i pochodzącego ztąd gorączkowego stanu, pod wpływem wrażenia, jakie spraw'ć na niego musiało nowe wię-

zienie u Karmelitów, niemniej pod wpływem groźby strasznej kary, jaka go czeka po śmierci, która nastąpić musi niebawem.

Uzbroiwszy się w odwagę i pomyślawszy sobie: „niechaj się co chce dzieje!“ śmiało przystąpiłem do niego, wstrząsnąłem go silnie za ramię, i zawołałem:

— Człowiecze!

Zerwał się nagle i przecierając oczy, cichym, wyraźnie bojaźliwym, przerywanym zapytał głosem:

— *Czoho? Czoho choczete? Kto wy? Czy wże czis? Czyśte wże pryjszły po mene?*

Te wszystkie pytania zadawał z widoczną trwogą, a to właśnie było mi potrzebne.

— Człowiecze! — zawołałem do niego po rusku — uspokój się, ja nie przychodzę po ciebie, ja równie jak ty jestem w areszcie, ale moja zbrodnia a twoja, to wielka różnica, żal mi ciebie, dla tego cię przebudziłem, by cię upamiętać. Popełniłeś zbrodnię straszną, której nie mogą ci przebaczyć istniejące prawa, ale nie popełniaj zbrodni drugiej, której nie przebaczy Bóg! Czy wiesz człowiecze biedny, że dnie, a może godziny twego życia są już policzone, czy wiesz, że może wkrótce staniesz przed sądem Boga, przed którym zdać musisz rachunek, czy wiesz, że kara, jaka czeka cię tutaj, jest karą tylko światową, doczesną — jeżeli nie będziesz modlić się, jeżeli nie będziesz na klęczkach błagać Boga o przebaczenie, to wówczas czeka cię tam, na tamtym świecie kara nieustająca nigdy, kara wieczna? Czyż ty nie masz już ani serca, ani sumienia, ani religji, ani nie wierzysz w Boga i jego miłosierdzie bez granic? Czy nie wiesz, że Chrystus Pan na krzyżu przebaczył zbrodniarzowi, przebaczył takiemu jak ty mordercy, i ten morderca został zbawiony?

— *A szoż wy za człowik taki?* odezwał się trwożliwie, — *czy wy ksiondzom, szo tak howoryte jak czołowik pyśmienny, jak gdybyśte czytały z kniżki. Ta bo wy howoryte Bihme hejby Lach — hejby szoś! Ałe skażit-że meni, na szo sia meni mołyty* — zapytał smutnie na pół z płaczem — *na szo meni toho to sioho, koły wże propało wsio, ta ja znaju szo*

mene powisiat, taj znaju szom zabyu własnoju duszu, wże meni Hospod' Boh ne prebaczyt!

— Jakto! — zawołałem z ofuknięciem — jak śmiesz mówić coś podobnego, jak śmiesz wątpić o nieskończonem miłosierdziu Boga? Świat i ludzie nie przebaczą ci nigdy, ale Bóg najdobrotliwszy ojciec nasz, który widzi nietylko każden nasz krok, każden czyn, ale każdą nawet myśl naszą, jeżeli przekona się, że prawdziwie żałujemy za grzechy nasze, jeżeli widzi w nas niezłomne, stałe postanowienie już nieobrażać go nigdy naszemi zbrodniami, naszemi grzechy, jeżeli postrzeże że postanowiliśmy miłować odtąd wszystkich ludzi, o! wówczas bądź pewny, że ulituje się Bóg, i największą nawet przebaczy nam zbrodnię.

Potem dodałem z powagą i niejako z rozkazem:

— Powstań z tego legowiska, rzuć się na kolana, uderz czołem o ziemię, błagaj Stwórcę i Pana o przebaczenie, wzywaj jego litości, nie proś by ci tu przebaczano, lecz aby dusza twoja została zbawiona, błagaj i proś póki skruszony do łez, nie padniesz bezwładny, wówczas poznasz moc Boga, ulżysz twemu sercu, odetchniesz swobodniej, i często zapragniesz takiej modlitwy!

Skończyłem, ale mój towarzysz od dawna już padłszy na kolana, w prawdziwej skrusze korzył się przed Panem nad Pany, — a wizytyrka była otwarta, w wizytyrce poznałem twarz wachmistrza, a pod drzwiami słyszałem szydercze jego i strażników śmieszki.

Dumny atoli ze skutku gorących mych słów, poważnie chodziłem po kaźni.

I znowu noc cała minęła bezsennie, towarzysz mój bowiem podniosłszy się z ziemi nieprędko, rzucił mi się do nóg, i z prawdziwie szczerem uczuciem wdzięczności, dziękował mi ze łzami, że nawróciwszy go do Boga, przywróciłem mu jego spokojność. Potem mniej więcej, opowiadał mi po rusku dzieje swego życia:

* *

*

Rodzice moi mieli grunt chłopski, (nie pamiętam już gdzie) o który sąsiedzi wytoczyli im proces. Rodziców moich

nie pamiętam, bo mię odumarli jeszcze w dzieciństwie. Opiekun mój przegrał proces, powoli przyszło do tego, że wypędził mię wśród zimy z chałupy. Tułałem się z chałupy do chałupy, z wsi do wsi, obdarty i na pół nagi. Przeziębnięty na wskróś, z ranami na rękach i nogach powstałemi z odmrożenia, zakradłem się nieraz do chlewa lub stajni, i tam czasem przespałem, czasem tylko przeleżałem noc całą, bo dokuczający głód spać mi nie dawał. Często zaspałem, i znaleziony w cudzej stajni — zostałem obity jako złodziej.

Z wiosną wracałem do wsi mego urodzenia, pasłem to gęsi to bydło, i przez lato było jako tako... Zima atoli zawsze straszną była dla mnie, mimo tego jednak, przyszedłem do tego wieku, że jeden z gospodarzy wziął mię do siebie do pomocy, i później zostałem parobkiem. Już mi się lepiej powodziło, gdy ktoś plotek narobił, i gospodarz mię oddalił. Zgryziony, zmartwiony, jak to bywa u chłopów, poszedłem do karczmy — przepiłem co miałem, i już nie wiedziałem co robiłem, — drugi jakiś parobek — pijak, włóczęga, — przyczepił się do mnie, i w pijaństwie namówił mię, aby wyjść za wychodzącą z karczmy starą babą, i przy ciemności nocy zabić ją i odebrać pieniądze. Pijany, nie zastanawiałem się nad tem, i wyszedłem z nim z karczmy. Wkrótce połączyliśmy się z babą, i rozmawiając z nią po pijanemu, doszliśmy aż do rzeki, po nad której brzegi jej wypadła droga. Tam rzuciliśmy się na nią obadwa, przemogliśmy ją prędko, kozikiem poderznęli gardło, (czy podobno całkiem ucięli jej głowę. P. a.) odebrali pieniądze, których było cztery ewancygiery, i — widocznie za karę Pan Bóg odebrał nam rozum — ażeby nie poznali żeśmy ją zarznęli, głowę wsadziliśmy do wody, a nogi wystawili — niby, że się utopiła. Rozumie się nazajutrz postrzeżono ciało jej do połowy w wodzie; wyciągnięto, przekonano się że została zamordowaną, i zaraz nas przyaresztowali, bo widziano żeśmy za nią wyszli. Wypieranie się nie pomogło nic, w końcu przyznaliśmy się do winy, i przywieziono nas tutaj. Oto cała historja [1])

[1]) Dowiedziełem się później, że ten zbrodniarz skazany został tylko na dwa lata więzienia.

Skończył opowiadanie, a ja znowu dawałem mu nauki, i dzięki Bogu doprowadziłem do tego, ze rano i wieczór modlil się zawsze na klęczkach, był spokojny, cichy, potulny, i posłuszny.

W kilka dni później, dostałem drugiego tego rodzaju towarzysza, szewca, rodem z Uhnowa. Przywieziono go za kradzież koni czy wołów. Pamiętam że Jan mu było na imię. Ten atoli nie był już tak potulny jak tamten chociaż morderca; był to (czy urlopnik, czy wysłużony już żołnierz) złośliwy, zacięty, mściwy, uparty i przebiegły, zatwardziałego serca zbrodniarz.

Tego samego dnia, wpakowano do mojej kaźni jeszcze dwóch złodziejów, a dnia następnego jakby w nagrodę, przyjemnej doznałem niespodzianki.

Henryk Kamieński, więzień stanu.

Koło godziny 11. przed południem, wprowadzono bowiem do mojej kaźni towarzysza nowego, miłego, był nim Henryk Kamieński — więzień stanu, należący do znanej całej Polsce sprawy Narajowskiej, gdzie to kilkunastu, podobno 30 powstańców pod dowództwem Teofila Wiśniewskiego, stoczyło formalną utarczkę z szwadronem Huzarów z Narajowa. Rotmistrz na wiadomość o zbliżających się powstańcach wypadł z łóżka w bieli i mimo zimna — dosiadłszy w takim stanie konia, pomknął do Brzeżan, a jakiś podobno porucznik dowodził szwadronem. W potyczce tej podobnoś 11 padło Huzarów a 30 było rannych, ze strony powstańców zaś tylko Karol Kamieński otrzymawszy postrzał w prawą rękę, lewą ręką podchwycił wypadający mu z ręki pałasz i tym bronił się z niezwykłą walecznością a po skończonej utarczce dowiedziawszy się, że wszystko stracone, walcząc z tysiącznemi przeszkody i niebezpieczeństwy, ranny jeszcze, emigrował za granicę.

Od chwili w której przybył Kamiński, — było mi już weselej; osobliwie w dniach pierwszych. Dokąd stało materji,

spędzaliśmy całe dnie i noce na pogadance. Później nauczaliśmy złodziejów, i staraliśmy się wpłynąć na ich polepszenie.

Henryk Kamieński, mając pieniądze, nie miał tego szczęścia jeść karmelicką sałamachę, dostawał bowiem za drogie pieniądze wikt od kerkermajstra. Mnie nie pozwolono korzystać z małego zasiłku pieniężnego, który mi przysyłała matka; zaledwie wyjednała mi, że mi pozwolono używać pościeli domowej i że dano mi bieliznę i suknie, między któremi poznałem niektóre po moim bracie Henryku, który jadąc do Horożany, niektóre rzeczy, między temi i suknie prawie wszystkie, zostawił we Lwowie. Smutna to była dla mnie spuścizna.

Henryk Kamieński opowiadał mi o wyprawie Narajowskiej, o odniesionem zwycięztwie, i od niego dowiedziałem się po raz pierwszy o rzezi Tarnowskiej, Bocheńskiej i t.d., on opowiadał mi, ile tysięcy naszych uwięziono w Galicji, między innymi o Teofilu Wiśniewskim, a mianowicie jak chłop, u którego ś. p. Teofil przechowywał się w pasiece, wydał go władzom, dalej jak jeden z więźniów w Złoczowie, podobno pan Kozakiewicz oznajmił komisji śledczej, że w księdzu odprawiającym nabożeństwo — poznał Teofila Wiśniewskiego; dalej opowiadał mi także o znanym nam mile tak z swoich prac jak z swego charakteru, Henryku Szmidzie, o jego prawdziwie bohaterskiej sile charakteru, i jak go męczono podczas indacji, gdy w roku 1840, w sprawie spiskowej był uwięziony; między innemi że szpieg, którego wsadzono do więzienia Henryka Szmitta, rozmaitych używając fortelów, ażeby go wybadać, ściskał go we śnie za mały palec, i zadawał mu rozmaite pytania — (był to zdaje się, jakiś rodzaj magnetyzmowania), Henryk Szmitt atoli oparł się temu wszystkiemu, i wyszedł zwycięzko; o tym uwięzionym prawił mi H. Kamieński tyle dobrego, tyle zaszczytnego, że jakkolwiek wówczas nie znałem go jeszcze osobiście, już powziąłem dla niego niezwykłą cześć, i całą ukochałem go duszą.

Po kilku tygodniach wspólnej naszej niedoli, nie pozostawało nam już wiele do mówienia, i znowu nastąpiła nieznośna jednostajność. Radziliśmy sobie atoli, jak było można, H. Kamieński abonował książki z czytelni p. Winia-

rza, te jednak czytywaliśmy tak prędko, że czasem po parę dni nie mieliśmy ani jednej, tem bardziej że tylko w pewnych dniach można je było wymieniać, a najczęściej nie dochodziły regularnie.

Słuch więźnia i pukanie.

Nie mając co czytać, ani o czem rozmawiać, uciekaliśmy się do jednego z naszych zmysłów, t. j. do słuchu, i w tym szukaliśmy jakiejś rozrywki. Słuch więźnia stanu jest tak wprawny, tak doskonały, że nic nie ujdzie jego uwadze.

Cały dzień i noc prawie całą słucha on bezustannie, wie co się dzieje na korytarzu, wie co się dzieje po kaźniach sąsiednich i na górze, i co pod oknami

Jeden z nas siedział zawsze pod drzwiami, przyciągał do siebie drzwi otwierające się na zewnątrz kaźni, i przez szparę przypatrywał się kto wchodzi lub kogo wprowadzają na korytarz, i kogo wyprowadzają; tym sposobem wiedzieliśmy najdokładniej, kto siedział we wszystkich kaźniach na naszym korytarzu, kiedy wyprowadzono na przechadzkę a kiedy do indagacji, kiedy przyprowadzono więźnia nowego, a kiedy przeniesiono go na inny korytarz.

Pewnego dnia usłyszeliśmy w kaźni sąsiedniej głośne pukanie do muru. Jeden z złodziejów, któremu to już nie było pierwszyną siedzieć w Karmelitach, natychmiast przyskoczył do muru, i odpukał wzajemnie. Na to odpowiedziano sześcioma uderzeniami w ścianę.

— Tam jest sześciu! tryumfująco zawołał złodziej, i w odwecie uderzył trzonkiem drewnianej łyżki tyle razy, ilu nas było w kaźni.

Wkrótce atoli dało się słyszeć innego rodzaju pukanie, na które już H. K. zbliżył się do ściany. Pukał coś długo, i odpukiwano mu nawzajem, nie zrozumiawszy atoli nic, zaprzestał tej bezowocnej pracy, narażającej według ówczesnych karmelickich przepisów, na gromy pana wachmistrza, lub pierwszego lepszego strażnika.

Nie miałem o tem wyobrażenia, nie pojmowałem, w jakiby to sposób można się pukaniem porozumieć dokładnie, i rozmówić dość szybko. Henryk K. wytłumaczył mi jasno w następujący sposób:

— Najpierwej mój bracie — uczył H. K. — puka się na 24 liter, a to rozumie się tak: Najpierwej bierze się najpotrzebniejszych 24 liter, i nad każdą pisze się za porządkiem cyfry od 1 do 24, naprzykład:

1. 2. 3. 4. 5. 6. 7. 8. 9. 10. 11. 12. 13. 14. 15. 16. 17. 18. 19. 20. 21. 22 23. 24.
a, b, c, d, e, f, g, h, i, k, l, ł, m, n, o, p, r, s, t, u, w, x, y, z.

i zamiast wymawiania, sylabizowania liter, puka się tyle razy, ile wymaga tego każda litera słowa, które chcesz pukać. Rozumie się, że to pukanie odbywać musisz regularnie, ustając nieco po każdej literze, aby towarzysz, do którego pukasz, mógł rozróżnić literę od litery, i słowo od słowa, gdyż po zakończonem słowie, wytrzymuje się trochę, a potem pytając się niejako czy rozumiał, uderza się w ścianę drewienkiem trzy razy, a to raz z małem wytrzymaniem, potem szybko dwa razy, naprzykład: jeżeli chcesz pukać „jak się masz?“ uderzasz w ścianę do wzywania go trzy razy — gdy ci odpowie tak samo, uderzasz trzonkiem łyżki lub jakiem drewienkiem 9 razy *j a k s i ę m a s z* — gdyż litera *i*, ma cyfrę 9, li- 9. 1. 10. 18. 9. 5. 13. 1. 18. 24.
tera *a* — 1, a litera *k* — 10 i t. d.. Za każdą literą powinien ci przeciwnik odpowiedzieć jednem uderzeniem, na znak, że rozumiał, — w przeciwnym zaś razie, skrobie się w ścianę, a to znaczy, że nie rozumie; jeżeli zaś kto nadchodzi, albo nie chce ażeby dalej pukano, trzy razy uderza się w ścianę pięścią, i natychmiast ustaje ta czynność.

Gdy w ten sposób dobrze umiesz już pukać, wówczas umawiasz się także za pomocą pukania, ażeby alfabet złożony z 24 powyższych liter, podzielić na cztery rzędy, jako to:

	1.	2.	3.	4.	5.	6.
1.	*a,*	*b,*	*c,*	*d,*	*e,*	*f,*
2.	*g,*	*h,*	*i,*	*k,*	*l,*	*ł,*
3.	*m,*	*n,*	*o,*	*p,*	*r,*	*s,*
4.	*t,*	*u,*	*w,*	*x,*	*y,*	*z,*

Jeżeli w ten sposób chcesz pukać jaką literę, wówczas pukasz najpierwej znak, do którego litera należy rzędu, później która z porządku; przestankiem małym odróżniasz rzędy, od tego, na którem litera stoi miejscu, i tak słowa „jak się masz?“ pukasz tak:

j a k s i ę m a s z?
2-3, 1-1, 2-4. — 3-6, 2-3, 1-5. — 3-1, 1-1, 3-6, 4-6

Najpierwej zatem nauczyłem się pukać od Henryka Kamieńskiego, co uskuteczniłem za pomocą napisania sobie tego na cztery rzędy podzielonego alfabetu na murze. Później atoli tak się wprawiłem, że rzeczywiście pukałem tak szybko, jak telegrafem. W pierwszych dniach pukałem bardzo powoli i głośno, potem zaś i prędko, i cicho, osobliwie gdy najsurowiej zakazane nam było pukać. Jeżeli atoli w kaźni sąsiedniej, nad kaźnią lub pod kaźnią, to jest na wyższym lub niższym piątrze znajdzie się dwóch dobrze pukających, nikt na korytarzu nie jest w stanie, osobliwie w nocy usłyszeć pukania. Podczas nocnej ciszy bowiem dostateczne jest, gdyby najlżejsze pukanie, nawet główką od szpilki, bo jak mówię, wprawiony słuch więźnia usłyszy wszystko.

Jak obadwa pukają dobrze, i są już w dalszym toku rozmowy, wówczas często pukają pierwszą słowa literę, i już rozumieją się dokładnie, — bo jedno słowo wypływa z drugiego.

W nocy, gdy już wszystko ucichnie na korytarzu, można się rozmawiać nietylko z kaźnią sąsiednią, ale nawet z kaźnią trzecią lub czwartą.

Czasami zaś z obawy, aby ktoś niepotrzebny, a także umiejący pukać, nie podsłuchał, przerzuca się porządek alfabetu podług umowy tak, że tylko ci dwaj mogą się porozumieć.

A dwaj pukający znają się po pukaniu tak dobrze, że nikt ich naśladować nie może.

Więźniowie tak znają swoje pukanie, jak się zna głos mowy swoich przyjaciół. Gdy w której z sąsiednich kaźni pukano z dalszym sąsiadem, zaraz pozna więzień, czyja to ręka uderza w ścianę, i czyja odpowiada.

A pierwszy skutek pukania, pierwsze słowo sąsiada, wypowiedziane tym sposobem, ileż to sprawia przyjemności,

jakież wielkie czyni wrażenie! Jakaż to radość, gdy więzień nietylko dowie się nazwiska sąsiada, ale nadto rozmawiać z nim może według upodobania, może z nim dzielić swoją boleść, swój smutek, swoje utrapienie, poznają się wzajemnie, doradzają sobie, — nareszcie nadzieja, że jeżeli ten lub ów opuści mury więzienia i zostanie uwolnionym, doniesie familji swoich sąsiadów wszystko, o co na przypadek uwolnienia był proszony, zaraz w pierwszych dniach poznania, wiele dodaje otuchy. Zresztą, ileż to razy jeden pociesza drugiego, ileż razy wzywa do wytrwałości lub dodaje odwagi?!...

Zagajewski i dziura w moście.

Pierwsza próba mojego pukania, pomyślnym uwieńczoną została skutkiem; po półgodzinnej pracy dowiedziałem się, że obok mnie siedzi niejaki Zagajewski, słuchacz filozofii (imienia nie pamiętam) więzień stanu, i kilku złodziei.

Pukając potem z nim częściej, poznałem że to był młodzieniec tak niepospolitych zdolności, obszernych wiadomości jak rzadkiej dobroci serca, i niezwykłego hartu ducha.

Później, gdy poznaliśmy się bliżej, oświadczył mi, że rozmowa za pomocą pukania jest mu niedostateczną, że zatem do mojej kaźni wywiercić musi w murze dziurę, co przyrzekł uczynić w ciągu dni pięciu.

Podług umowy, gdy dał nam znać kiedy wierci, wszyscy chodziliśmy po kaźni, rozmawialiśmy głośno, i tem głośniej brzęczeli kajdanami, aby niezwykły szmer wiercenia nie zwrócił na korytarzu uwagi strażnika lub żołnierza.

— Ale — zapyta niejeden z łaskawych czytelników — ciekawy jestem, czem wiercili dziurę w murze, grubości najmniej półtora łokcia, gdy rewidowani przy wprowadzeniu do więzienia tak ściśle, żadnego przecież mieć nie mogli narzędzia tego rodzaju.

Na to odpowiem krótko: Więzień, nie mając co robić, co czytać, co mówić, jednem słowem nie mając żadnego za-

jęcia, tem więcej ma czasu do myślenia, i nie w ścisłem tego słowa znaczeniu, prawie z niczego tworzy rozmaite rzeczy. Nóż, dłuto, piłkę, igłę, ołówek, zapałki, fajkę, tytoń, i papier — posiadała mimo najsurowszego zakazu każda prawie kaźnia, gdzie dłuższy czas siedział który z więźniów stanu, rozumie się samo przez się, że z wyjątkiem ołówka, zapałek, tytoniu i papieru, wszystkie powyż wymienione, więźniowi niezbędnie potrzebne narzędzia, były do użytku naszego doskonałe, pomimo że były własnego wyrobu...

Nożem ułupało się kawał deski z pryczy, na tym kawałku przywiązało się dłuto, i wierciło się w ścianie doskonale, nie zważając na to wcale, że na dłoni powstały pęcherze, albo że zakrwawione są palce.

Przed upływem dni pięciu, słyszeliśmy wyraźnie, że wkrótce już ukaże się dłuto w kaźni naszej; zapukałem mu zatem by się wtrzymał do nocy, gdyż jeszcze nie mamy gotowej zatyczki, ażeby przy rewizji nie postrzeżono dziury.

Przygotowaliśmy dobrze wygnieciony chleb, i rozmoczyliśmy zeskrobane wapno, aby tym sposobem zrobić dokładnie przystającą zatyczkę, i pobielić ją wapnem. Rzeczywiście, jeszcze tego wieczora powiodło nam się wszystko jak najlepiej; dłuto ukazało się w naszej kaźni, zatyczka przystawała do ściany tak dobrze i tak gładko, że na drugi dzień sami musieliśmy się dobrze przypatrywać, by poznać, gdzie się znajduje.

Mój Boże! jakaż to dla nas była niczem niewypowiedziana radość, gdyśmy dłuto w naszej ujrzeli już kaźni? Ile to nadziei, że już nie sami będziemy, i że wspólnie znośniejszą nam będzie nasza niewola, i nasze troski, i nasze smutki, i nasze cierpienia.

Niestety, tylko raz czy dwa razy rozmawialiśmy z Zagajewskim tym otworem, gdyż w parę dni po przewierceniu tej ściany wyprowadzono go z tej kaźni, i odtąd po dzień dzisiejszy mimo mojego starania, nie słyszałem nic o nim, ani o miescu jego pobytu.

Zaledwie go wyprowadzono, zaraz jeden z jego towarzyszów, (złodziej) z płaczem nam opowiadał, że go wzięto tak nagle i tak niespodzianie, oraz że to był biedny panicz

ale tak dobry, tak kochany, że płaczą za nim jak gdyby za matką swoją.

Nas wszystkich także przykro dotknęła ta wiadomość, i myśmy go pokochali serdecznie, pomimo że poznaliśmy się dopiero od niedawna, ale Zagajewski — przynajmniej jak dla mnie — miał w sobie tyle pociągającego, jego głos pełen życia, pełen energji, był tak dźwięczny, tak miły, jego wesołość tak luba, serce tak dobre, myśli tak wzniosłe, chęci i poświęcenie tak wielkie, że tak Henryk Kamieński jak i ja, mocno uczuliśmy jego stratę — a dziś, po upływie lat kilkunastu, nie pojmuję jak się to stało, że ten takich nadziei młodzieniec, jakby zniknął ze świata.

W kilka dni później, jeden ze złodziejów, świeżo do tamtej kaźni (pod 3cim Nrem) przybyły, zdradził, że tam znajduje się przewiercona ściana, i zaraz kołkiem zabito dziurę, rozumie się nie bez hałasu, i rozmaitej, z tego powodu wytoczonej indagacji.

Sąsiedzi.

Wkrótce potem dostaliśmy nowego sąsiada. Był nim Juljan Goslar, słynny już wówczas więzień stanu. Zaledwie atoli poznaliśmy się pukaniem, już go wzięto z tej kaźni, a przyprowadzono innego, Józefa Kapuścińskiego. Z tym atoli mało mogliśmy pukać, gdyż jego strzeżono więcej niż innych, a do naszej kaźni jak i do wszystkich innych tylu napchano złodziejów rozmaitego kalibru, że przy ciągłym hałasie nie można było słyszyć cichego pukania, a niektórzy z nich nietylko w rozmaity sposób pukać przeszkadzali, ale nawet denuncjowali.

W kaźni pod Nrem pierwszym siedział Jan Andrusikiewicz, organista słynny ze sprawy Hohołowskiej. Nie mogłem go pukać nauczyć, ani do rozmowy wyciągnąć do okna. Razu tylko jednego zastukał do ściany na znak abyśmy przyszli do okna, i oświadczył nam, że siedzący z nim złodzieje

pilnują go i denuncjują, jak tylko chce pukać, albo rozmawiać się przez okno.

Czarna Łapka.

Nie było już ani z kim pukać, ani rozmawiać, więc smutno i powoli płynęły nam godziny, dnie i miesiące. Siedzieliśmy już podobnoś trzy miesiące, gdy po raz pierwszy wyprowadzono nas na przechadzkę, to jest na podwórze Karmelitów. Przyznaję się, że nie pamiętam już dokładnie położenia tego miejsca, na którem przenaczono nam kilkanaście kroków; wiem tylko, że to wszystko było tak oparkanione, albo w takim zakątku, że prócz dachów z odległych domów, i obłoków, nic nie ujrzało oko. A przecież i w ciemności zaprawione oko więźnia, sięgało daleko, i szukało czegoś, co pragnęło serce, i — znalazło. W dali, w okienku na dachu ujrzeliśmy kilka postaci kobiecych, witających nas to ręką, to chustką białą.

Nieznacznie, ażeby nie dostrzegli strażnicy, towarzyszący nam na przechadzce, i stojąca tam straż — odpowiedzieliśmy skinieniem ręki. Pokazywano nam jakieś znaki, ale nie mogliśmy tego zrozumieć. Mimo tego po upływie wyznaczonego na przechadzkę czasu, to jest po upływie godziny, wróciliśmy do kaźni uradowani, szczęśliwi naszem odkryciem.

Cały dzień rozmawialiśmy tylko o tem, wyobraźnia tysiące tworzyła przypuszczeń, tysiące myśli rozmaitych roiło się po głowie, odtąd znośniejsze nam było nasze więzienie, jakaś w nas wstąpiła nadzieja, byliśmy pewni samych siebie, ich powitanie uważaliśmy za rodzaj czuwania nad nami, i w ich pobliżu jakby pod skrzydłem anioła stróża, czuliśmy się bezpieczni i pełni odwagi.

Kto nie doznawał tego, kto sam nie był więźniem, nie uczuje, nie oceni tego, ile ulgi, ile pociechy sprawić może jedno przyjaźne spojrzenie, jedno skinieniem ręki szczere powitanie?

Nazajutrz i my ujrzeliśmy na przechadzce ową wszystkim więźniom pod nazwiskiem „Czarna Łapka“ znaną postać anioła pocieszyciela.

Była to jedna z tych zacnych Polek naszych, u których to nasze cierpienie, ich było cierpieniem, u których jedna łza nasza, wyciskała z ich oczu łez całe zdroje, jedna z tych Polek, które to na widok więzów naszych nie padają omdlone, ale zacisnąwszy drobnych rączat swych dłonie, z nami pragnęły ginąć w świętym ojczystej miłości zapale, z nami były gotowe dzielić wszelkie trudy i cierpienia, i dla nas narażały często swą wolność, swe życie, a nawet, jak bywały wypadki — narażały się na znoszenie obelg i potwarzy na dziewiczą ich sławę; jedna z tego najliczniejszego zastępu Polek naszych, których chęci do czynów i poświęcenia tak wielkie, i których serce, myśl i dusza, i cała ich istota tak wzniosła, tak czysta i nieskalana, jak dzieje naszego narodu! A tą Polką, znaną więźniom pod nazwiskiem „Czarna Łapka“, była Aleksandra Swobodówna [1]) wówczas 15letnie dziewczę.

W jednej z kamienic leżących naprzeciwko podwórza, gdzie przechadzali się więźniowie, mieszkali jacyś znajomi pani Swobodowej; tam zatem chodziła zawsze panna Aleksandra z swą siostą Albertą i innemi paniami, które miały kogoś z familji w więzieniu, i po całych dniach, od rana do nocy wysiadywała na strychu, i witała każdego przychodzącego na przechadzkę i odchodzącego więźnia, niemniej porozumiewała się z nimi sposobem podobnym do pukania, i podług alfabetu podzielonego na cztery rzędy. Rzędy alfabetu odznaczała poruszeniem ręki z góry na dół, a porządek w szeregu poruszaniem ręki od lewego na prawo.

Schwytana kilkakrotnie na uczynku, surowy otrzymała zakaz, nie ukazywać się więcej w okienku na dachu. Leszka atoli — tak nazywaliśmy ją czasami — nie tak łatwa do odstraszenia, gdy szło o niesienie ulgi w cierpieniu więźni, przychodziła jak pierwej codziennie, ale czyniła już wszystko z wielką ostrożnością, już cała nie ukazywała się w oknie,

---

[1]) Poszła za mąż za pana Titza, i od kilku lat bawi na Węgrzech.

tylko — wystawiwszy swoją, w czarną rękawiczkę ubraną rączkę, powyż opisanym sposobem porozumiewała się z nami, i rozmaite zawsze pocieszające donosiła nam wiadomości. A że najczęściej nie było nic widać, jak tylko czarną rączkę, zatem z tej przyczyny ją całą nazwano „Czarną Łapką“, szanowaną i poważaną przez nas wszystkich, i właśnie dla tego będąc pewnym, że wszyscy ówcześni więźniowie moje podzielą zdanie, — ośmielam się jakkolwiek nieupoważniony, złożyć Jej imieniem wszystkich — szczere nasze podziękowanie.

Cygan i jego nauki, dawane złodziejom.

Przykro mi, że od tak pięknej, wzniosłej, — przejść muszę do innej, brzydkiej postaci, ale cóż począć, gdy tak wypływa z porządku mego opowiadania:

Pewnego dnia wprowadzono do nas mężczyznę, liczącego lat najwięcej 25, brunet w najściślejszem tego słowa znaczeniu, gęsty kruczy włos długi, zaczesany był dosyć starannie, czoło niskie, poorane zmarszczkami w górę od nosa w promienie wystrzelonemi, wielkie, piękne, czarnemi długiemi rzęsami osłonięte czarne oko, nie miało już białka tej czarnemu oku właściwej czystości; cośkolwiek bowiem zabiegłe krwią, zmieniło się w kolor różowy; nos ściągły, a sine szczelnie zamknięte i jakby do muśnięcia ściśnione usta, kiedyś tylko niekiedyś śnieżnej białości odsłaniały zęby, smagławy, dziubaty, wzrostu niskiego i jakkolwiek gibki i smukły, zbudowany był dobrze, a pierś wypukła, ramiona po wojskowemu w tył trzymane i długie kościste ręce, świadczyły wyraźnie, że niepospolitej jest siły. Miał on na sobie długi surdut granatowy, jasną jakąś kamizelkę, na długiej szyi niedbale zawiązaną jedwabną chustkę czarną, i czysty, biały, wyłożony kołnierzyk, zresztą — prócz butów wysokich, nie pamiętam nic więcej. Cała postać i rysy twarzy jego, miały w sobie coś przyjemnego, a przecież coś odtrącającego.

Do kaźni wszedł śmiało, poważnie, widocznie lustrując nas wszystkich badawczym wzrokiem. Nas powitał uprzej-

mie: dobry wieczór panom, innych zaś pozdrowił zaledwie ledziuchnem skinieniem głowy. Powitaliśmy go wzajemnie, a po chwili spytali o nazwisko, zatrudnienie, i za co go przyaresztowano?

Dżianez romanes? (Rozumiesz po cygańsku?) — zapytał mię z cicha.

— Nie rozumiem tego! — odpowiedziałem.

— A więc — wesoło wyrzekł zwrócony do nas — moje nazwisko, zatrudnienie, moja godność i charakter jest to, że jestem z urodzenia Cyganem, a że pan — mówił obracając się do mnie — jesteś czarny, dla tego myśląc, że i pan może jesteś Cyganem, przemówiłem po cygańsku. Jak się nazywam? daję słowo honoru — sam nie wiem, tą atoli razą nazwałem się Piotrem Kalinowskim, gdyż tak mi się nazwać teraz wypadało. Między swoimi atoli nazywam się zwykle Franciszkiem, a co do mego przyaresztowania, to...

I przerwał, oglądnął się na złodziejów, jakby się pytał czy go nie zdradzą, a potem ciągnął dalej.

— Co do mego przyaresztowania, to dalipan sam nie wiem jeszcze, za którą z mych sprawek, zdaje mi się atoli, że za *grandę* (rabunek).

— Co to jest? — spytaliśmy — my tego nie rozumiemy, i tylko domyśliliśmy się, że za coś wielkiego.

— Nie wiecie? — powiedział tonem dowodzącym, że teraz już domyśla się wszystkiego, i zawołał: — Aha! to panowie za polityczne! teraz już wiem wszystko!

— Tak — powiedzieliśmy — za polityczne.

— Źle!... źle panowie! — zaczął dalej — źle robicie, że nas nie dopuszczacie do tego. Nas, nas, — pokazując na siebie, mówił znacząco — nas powinniście użyć, nas powinniście zapytać, nas się poradzić, a my wszystko wiemy, wszystko pojmiemy i potrafimy robić jak potrzeba; my jesteśmy wszędzie i nigdzie, dziś tu, jutro tam, znamy wszystkich i wszystko, każdy kątek kraju, my wytrwali na wszystko, nam wszystko jedno, czy to pogoda czy słota, czy chłodno czy głodno... Na odwadze nam nie zbywa, a zdrady nie bójcie się. Cygan nie zdradzi nikogo kto mu zaufa i dobrze z nim się obchodzi.

Uśmiechnęliśmy się na to nic mówiąc ani słowa, a cygan inaczej widać pojął ten uśmiech, bo tak mówił dalej:

— Bo i na cóż wam moi panowie wdawać się z tem niedołężnem, dzikiem, głupiem chłopstwem, które za kwartę wódki sprzeda was wszystkich? do czego to? — Was jest dosyć, a wszyscy jesteście i sprytni i odważni. Wam potrzeba tylko przebiegłości, zręczności, zgody, i krótko mówiąc, głowy dobrej i odwagi. Chłopa batem, puknąć na niego raz i drugi, i będzie posłuszny jak pokorne dziecię!

— Co to? zawołał jeden ze słuchających złodziejów, zdaje mi się że urlopnik — co to, oni tu panów na cisara buntujut, naj toho i takich riczy ne mówią, bo zaraz zaklupaju do wizytyrki!

— *E! daftry dabui trakaressa?* [1]) — zawołał cygan, strasznie zaiskrzył oczyma, i rzuciwszy się jak tygrys, w mgnieniu oka był przy nim, i rozkazującym, nawpół głośnym, nawpół cichym rzekł do niego tonem: — Stul pysk durniu, kpie, błaźnie jeden, podły, „niklawy frycu hołotniku,“ — tu — pokazując i nadstawiając mu koniec buta swego — tu całuj kpie, to cię wyrwę z tego „kwaczu,“ a jeżeli nie, to albo cię ubiję zaraz, tej chwili, albo zgnijesz tu jak kot zdechły pod płotem!

Złodziej przestraszył się, umilkł, inni złodzieje także przerażeni niemało, zaczęli powstawać na denuncjanta, a my bojąc się aby nas najniewinniej nic wplątano w tę sprawę, tudzież ażeby nie pogniewać cygana, prosiliśmy go, by zaprzestał mówić w tym przedmiocie, i wkrótce powiodło się nam złagodzić i uciszyć wszystko.

Udobruchał się cygan, i po chwili zaczął nam opowiadać ułamki z swego życia, rozmaite cygańskie wyprawy na kradzież i rabunki, życie cyganów w ogóle, i ich zwyczaje.

To wszystko atoli jest albo wcale nie zajmujące, albo zanadto obrzydłe, albo nareszcie w ogóle, a osobliwie co do życia cyganów, powszechnie znane. Zamilczam zatem o tem, a przystępuję do tego, jak swojem opowiadaniem uczył złodziejów kraść, chodzić po cichu, wyjmować szyby aby nikt nie słyszał i t. d.

---

[1]) Jestto przekleństwo cygańskie, którego znaczenia nie pamiętam.

Tu winienem dodać, że dosyć dobrze mówił po polsku, mogę nawet powiedzieć, czysto po polsku.

Najpierwej przypominam sobie, że drwił niesłychanie z wszystkich w ogóle, a głównie z siedzących w naszej kaźni złodziejów. Wyśmiewał wszystkich złodziejów kieszonkowych, i tych co to zakradają się po dziesięć razy, a zawsze uciekają z bojaźni.

— My — mówił — my cyganie pogardzamy tymi wszystkiemi złodziejami, co to dla błahej jakiejś rzeczy, narażają swoją wolność lub życie; u nas jeżeli się kradnie, to już na wysoki stopień. Ot tak, żeby przynajmniej dłuższy czas można sobie odpocząć i być poczciwym człowiekiem, bo — wierzajcie mi panowie, gdyby mi powiodło się okraść albo zrabować jakiegoś bogacza, porzuciłbym to rzemiosło, i byłbym już na zawsze poczciwym człowiekiem, ale cóż?— wśród cyganów, wychowany w lesie, przysposobiony tylko do kradzieży albo do rabunku, nie jestem zdolny do czego innego, bym rzetelnym sposobem mógł sobie zarobić na kawałek chleba, — mnie to życie obrzydło, wprawdzie to nasze życie jest czasem, n. p. w lecie bardzo wygodne, — z wyjątkiem, gdy trzeba dzielić trudy wyprawy — wygodne mówię, bo po wyprawie, żyje się bez troski, z dnia na dzień, spi się pod gołem niebem, zje co bądź, a towarzystwo i.... przyjemne i wesołe. Czasami atoli n. p. w zimie, nieznośne jest nasze życie. Ja też zawsze w jesieni staram się zarobić sobie wcześnie tyle, by potem przez zimę żyć sobie w jakiejś mieścinie spokojnie. Ta równość i jedność u nas jest czasami dobra, ale czasami staje się to powodem do wielu złego. Na nasze kobiety n. p. nie zawsze liczyć można. Często się zdarza, że kobieta wyda swego kochanka, aby połączyć się z drugim. Dalej ślubów u nas nie ma, jak nie ma religii, a to prawdziwie moi panowie nie podoba mi się. Ja n. p. mam młodą, piękną żonę (kochankę) kochamy się bardzo, dawała mi często dowody swojego poświęcenia, osobliwie gdy przyszło do jakiejś walki, stawając w mojej obronie, biła się jak lew. Ale cóż mi z tego? Wprawdzie nie posądzam ją o to, ale przypuszczam, — pierwszy lepszy cygan zbałamuci ją, i już dla mnie przepadła. Jabym jej przebaczył, chociażby mnie to bardzo bolało, i nie chciałbym

już innej, ale inny cygan zabiłby ją zaraz — jak to u nas wydarza się często... Ale powiedział westchnąwszy głęboko— na co troszczyć się tem naprzód, i może niepotrzebnie zatruwać sobie i tak już gorzkie tutaj życie. Wracam się do złodziejów:

— Nie ma nic podlejszego, jak chłop złodziejem. Rzadko tylko zdarzają się między nimi ludzie z odwagą i przemysłem złodziejskim. My nigdy z chłopami nie wchodzimy w spółkę. Jeżeli nie trafi się nam do spółki jaki człowiek tak — z pańska — albo żyd, to sami idziemy na wyprawę. Chłop to takie niezgrabne zwierzę, że nawet po cichu chodzić nie umie, a jeżeli wlezie do pokoju gdzie spią, to się tak boi, że co chwila się cofa i ucieka. My przeciwnie, idąc na taką wyprawę, musi nas być najmniej trzech, najpierwej wyjmujemy szybę, co następującym uskuteczniamy sposobem: Szmata albo bibuła smaruje się błotem albo klajstrem z mąki, taką szmatę przykładamy do okna, i powoli delikatnie ciśniemy dopóty, póki szyba nie pęknie, póki nie włamie się w głąb okna. Odgłos pęknięcia ginie, gubi się w klajstrze tak dalece, że nic nie słychać. Potem wyjmuje się kawałki szkła, wkłada się rękę w głąb okna, otwiera się je zupełnie, zdejmuje buty, i gdy jeden włazi do okna, drugi stoi za oknem, i uważa, czy jakie nie grozi niebezpieczeństwo, i w takim razie daje znać by umykał kolega znajdujący się w pokoju, trzeci zaś, czatuje na ulicy: Tym sposobem wszyscy są zabezpieczeni, i mają czas do ucieczki w razie potrzeby. Broni używamy wtenczas tylko, gdy zostaniemy napadnięci, zresztą nie zabijamy nigdy, chyba w nadzwyczajnych wypadkach. Chłop głupi chcąc chodzić po cichu, stąpa na palcach — my przeciwnie, chodzimy na piętach, i — mówił pokazując — i spuszczając potem palce powoli, sprawiamy się tak cicho jak kicia. Co pod ręką, zabieramy i dajemy przez okno, a ten podaje dalej i t. d.. Chłop zaś jest tak głupi, że za najlżejszym szmerem albo ucieknie, albo z bojaźni zabije, my zaś czynimy to tylko w ostateczności, której chłop osądzić nie zdoła.

Opowiadając, uczył tym sposobem innych złodziejów. A ztąd pokazuje się, jak zgubna jest metoda, wsadzania po kilku złodziejów razem.

Rozumie się, że występowaliśmy przeciwko temu, i wszelkich dokładali starań, aby cygana i innych złodziejów siedzących w tej kaźni, na lepszą naprowadzić drogę. Zdaje nam się, że nasza wymowa i nasze rady nie były całkiem bezskuteczne. Przynajmniej nam tak przyrzekł cygan, że odtąd inne zupełnie prowadzić będzie życie, i stanie się odtąd poczciwym człowiekiem.

— Ale — mówił czasami — moi panowie! cóż moja chęć pomoże, gdyby najlepsza? jeżeli jako cyganem wszyscy pogardzają, nikt mu nie ufa, nikt nie wierzy, każden się boi, zresztą będąc już kilka razy w kryminale, któż mię przyjmie? Ot, żebym mógł być jakimś dozorcą lub lokajem, pewnie służyłbym gorliwie, wiernie i dobrze, tylko jeżeli by się ze mną obchodzono po ludzku; w przeciwnym bowiem razie, umknąłbym prędko, i znowu wrócił do dawnego rzemiosła.

Ze złodziejami mówił po złodziejsku.

Język zatem złodziejski nabił nam się tak mocno w uszy, że po dziś dzień wiele jeszcze zostało w pamięci, a reszta wraz z obszernemi rozmowami w notatkach.

Zmuszony żyć w takiem towarzystwie, czuję po dziś dzień całą jego brzydotę, nie chcę zatem dalszem opisywaniem życia złodziejów i ich ochydnego języka karmić szanownego czytelnika, w przekonaniu, że opis tego rodzaju, uczynić by musiał wrażenie i nieprzyjemne i przykre, a wolę raczej wrócić do dalszego opisu kolei więźnia stanu.

Znowu wspomnienie krótkie o indagacji.

W pierwszych dniach mojego pobytu u Karmelitów, byłem powoływany do indagacji tylko kilka razy, potem zaś mimo mych próśb, ażeby prędzej ze mną kończono komisję, kilka upłynęło miesięcy, nim znowu zostałem zawezwany przed mego sędziego oblicze.

Jakżeż zostałem rozczarowany, gdy po upływie tak długiego czasu, zamiast oczekiwanego postępowania łagodnego, spadły na mnie ze strony mego sędziego niesłychane gromy.

— Wszystko! — były pierwsze mego sędziego piorunujące słowa — wszystko co pan podałeś do protokołu ohydnem jest kłamstwem! Jesteś zupełnie zepsutym młodzieńcem, niepoprawnym zbrodniarzem, ale teraz inaczej będziemy mówić ze sobą. *Sie sind nicht nur ein Hochverräter, aber annoch ein schrecklicher Verbrecher, ein gemeiner Mörder, und nebst dem ein Brudermörder! Sie haben einen Doppelmord begangen.*

Zarzut, że zabiłem brata mojego — jakkolwiek fałszywy, niesłuszny, gdyż w obec zaszłych wypadków w Horożanie, było to nietylko nieprawdopodobnem, ale nawet niemożliwem, zelektryzował mię formalnie. Zacząłem się bronić, zbijać ten zarzut, dowodzić niepodobieństwo, ale to wszystko było na próżno — mój sędzia nie wierzył, bo — jak mówił — miał na to jasne dowody, bo zeznał to jakiś chłop, czy ktoś ze służby domowej.

Dalej zarzucał winę mojemu ojcu: nietylko że wiedział o wszystkiem, ale oraz, że sam należał do sprzysiężenia. Nie pamiętam już czy mi kazano świadczyć przeciw ojcu, czy nie; czy mi odczytano paragraf, uwalniający mię od świadectwa przeciw ojcu, czy nie; czy korzystałem z tego paragrafu lub nie, dosyś że ojca, 70letniego starca, ile mych sił starałem się bronić przedewszystkiem, prosiłem by go wypuszczono, zaklinałem, błagałem ze łzami, ze łzami mówię, bo niestety wówczas byłem jeszcze tego zdania, że szczere łzy, zdołają poruszyć ludzi....

Indagacja trwała do późna w nocy, a ja przez kilka godzin odpowiadałem stojąco, bo tak atakowany, nie widząc krzesła wolnego, nie śmiałem o nie prosić. Jeszcze w ciągu indagacji zmęczony, głodny i spragniony, oglądałem się za wodą, która w karafce zwykle stała na stole; tą razą nie było jej; — nie mogąc już wytrzymać, prosiłem mego sędziego, by był łaskaw kazać przynieść wody.

Oglądnął się po pokoju, i nie ujrzawszy zapewne karaki, otworzył drzwi, i ordynansowi (strażnikowi) kazał przynieść wody.

Nie wiem co się stało i dla czego, ale wody jak nie było tak nie było; pojmuję, że sędzia mój łatwo mógł o tem zapomnąć, a ja nie śmiałem przypominać.

Jestto na pozór taka drobnostka, że nawet nie zasługuje, ażeby o niej wspominać, gdy atoli właśnie ta drobnostka zapewne mimo woli i chęci sędziego, prawdziwą była dla mnie torturą, i o mało nie obaliła mię z nóg, nadmieniłem o tem dla tego, ażeby temi krótkiemi słowy zwrócić uwagę sędziów w ogóle, że przy indagacji długiem staniem, i niezaspokojeniem pragnienia, nietylko sprawia się więźniowi niewypowiedzianą przykrość, ale nadto, jeżeli inkwirowany słabego jest charakteru, zmusi go to powiedzieć, raczej podać do protokołu co było i nie było, co widział i nie widział, krótko mówiąc, poda cokolwiekbądź, ażeby tylko czemprędzej wydobyć się z tego nieznośnego położenia, i wrócić do kaźni.

Nazajutrz, czy w parę dni później, przywołano mię ponownie. P. konsyljarz czekał na mnie z jakąś księgą w ręku; gdy wszedłem, odczytał mi z niej paragraf, mocą którego śmiercią ma być karany, każdy zbrodniarz stanu; po przeczytaniu ponawiał zapewnienie, że tylko szczere wyznanie winy i łaska cesarza, może być dla mnie zbawieniem.

Co mówiłem nie pamiętam, wiem atoli to, że indagujący gniewał się niesłychanie, że prosił i groził.

Wprawdzie dziwne było żądanie, bym się przyznał do tego lub owego, gdy moje przyznanie się do winy, musiało by być w dalszem tego następstwie, obwinieniem mojego ojca. Lękając się zatem zaszkodzić ojcu, przeczyłem wszystko, często nawet nieloicznie, gdyż czasem przeczyłem wcale niezważając na to, że jasne przeciw mnie świadczyły dowody.

Więcej nie chcę pisać o mojej indagacji... bo indagacje ówczesne, prowadzone były wszystkie według jednego systemu, wszystkie toczyły się skrycie, tajemnie, rzadko tylko kiedy zasiadali asesorowie, którzy zwykle przysłuchiwali się indagacji tak gorliwie, że zdrzemawszy się na piękne, czasem ledwie nie pospadali z krzeseł, albo sofy.

Wypada mi jeszcze nadmienić, że przed ukończeniem mojego procesu, otrzymałem innego referenta czyli sędziego. Ten atoli, jakkolwiek bardzo ze mną postępował surowo,

zawsze nim mię o coś zapytał, pierwej aktuarjuszowi podyktował pytanie.

Każdą razą gdy byłem na inkwizycji, pytałem się przy odejściu, czy to już ostatnie przesłuchanie? zawsze jednak otrzymałem w odpowiedzi: „nie wiem, to się okaże; jak długo nie przyznasz się pan do winy, nie będzie końca.

To oczekiwanie, ta niepewność — to największa dla więźnia męczarnia.

Komisja miesięczna.

Co miesiąca prawie, przychodził jeden z panów konsyljarzy z jednym z praktykantów na komisję do każdej kaźni. Wówczas zadawano nam rozmaite pytania. Niektóre z tych pytań, były formalnie jakby ironią z naszego położenia, niektóre zaś wydawały się nam śmieszne, naprzykład:

— Czy panowie jesteście zadowoleni?

— Czy wam co nie brakuje?

— Czy się panowie nie macie na co uskarżać?

— Czy panowie jesteście kontenci z wiktu? i:

— Czy panowie nie macie co do żądania lub proszenia?

Te pięć pytań, każda tego rodzaju zadawała komissja, i zapisywała nasze odpowiedzi.

My z naszej strony, odpowiadaliśmy nawzajem zawsze jedno to samo, a mianowicie:

— Stosujemy się do naszego położenia.

— Pragniemy wolności i tej nam brakuje.

— Uskarżamy się na gburowate obchodzenie się wachmistrza z nami, który traktuje nas na równi ze złodziejami, i jesteśmy zmuszeni oświadczyć, że jeżeli ten pan wachmistrz nie ustanie postępować z nami w ten sposób, przyjść może przy pierwszej lepszej sposobności do następstw, obliczyć się niedających.

— Dalej uskarżamy się na tegoż p. wachmistrza, że przychodząc w nocy dwa razy na rewizję, która nie jest tak

niezbędnie potrzebną, wpada do kaźni z takim łoskotem, że nie możemy myślić inaczej, jak tylko, że tenże p. wachmistrz przydany jest tutaj na nasze udręczenie, gdyż pomijając już wszystkie inne jego bezprawia, jakich się dopuszcza, w nocy wyrabia krzyki, że całkiem wybija nas ze snu, który tak niezbędnie jest nam potrzebny.

— Uskarżamy się na to, że wodę dostajemy tylko raz na dzień.

— Uskarżamy się na zupełny brak świeżego powietrza.

— Uskarżamy się na to, że w kaźni jest niechlujstwo, brudy, i rozmaite plugawe robactwo.

— Uskarżamy się na to, że do jednej kaźni napchano za dużo osób. (Było nas czasem w jednej kaźni po 7, po 8 a nawet po 9 osób.) i:

— Uskarżamy się na to, że wyznaczone na przechadzkę pół godziny czasu, jest za mało.

— Z wiktu nie jesteśmy kontenci, bo jeść te ochłapy jest niepodobieństwem, te ochłapy bowiem nietylko że są złe, ale nadto nieczyste.

Nakoniec:

— Prosimy, aby siedząc już tutaj tyle miesięcy, kończono z nami proces. Oraz prosimy, aby nam pozwolono widzieć się z familją.

Nasze odpowiedzi często zapisywano, czasem jednak przybyły na taką komisję p. konsyljarz — spiesząc się zapewne na obiad, albo na przechadzkę — wszedł do kaźni, oglądnął nas od stóp do głów, uczynił jakieś zapytanie, lecz zaraz wyszedł.

Przekonaliśmy się, że to było najlepsze, bo i na cóż miał się trudzić zapisywaniem, gdy nigdy a nigdy nasze odpowiedzi, nasze skargi albo prośby nie były uwzględniane.

Zawsze się pytano, zawsze obiecywano, i zawsze — niedotrzymywano.

Lekarz karmelicki.

Złodzieje mi doradzali, ażebym uczyniwszy się chorym— zażądał lekarza tamtejszego, i prosił o lepsze jadło, to jest o porcję szpitalną.

Byłem słaby w rzeczywistości, bo kaszlałem bez ustanku i nie miałem snu, usłuchałem zatem ich rady, i oświadczyłem wachmistrzowi kilkakrotnie, że jestem słaby i proszę o doktora.

Wachmistrz jakto mówią, jednem uchem wysłuchał, a drugiem wypuścił, i nic nie zrobił.

Oświadczyłem kerkermajstrowi, że tyle razy prosiłem o lekarza, i nie mogę się go doprosić.

Nazajutrz przyszedł lekarz do kaźni. Powiedziałem mu że jestem słaby, że kaszlę, że cierpię na bezsenność, i że proszę o wikt szpitalny.

Lekarz ujął mię za rękę, pomacał puls, przyłożył rękę do głowy, zapukał do piersi, posłuchał trochę, i powiedziawszy potem, że jestem zdrów, że mi nic nie brakuje, że to tylko imaginacja, i że on nie może mi zaordynować porcji szpitalnej bo to zależy od referenta i p prezesa, [1]) wyszedł z kaźni.

Widząc tak ograniczoną władzę lekarza, nie prędko zdobyłem się na to, by go o to prosić ponownie.

Wachmistrz, tudzież ołowiany kuflik, i wyrok.

Z wachmistrzem wszyscy więźniowie w wiecznej byli wojnie. Jeden z więźniów, kuflikiem cynowym tak silnie zamalował go w twarz, że siną malowankę i ranę nosił pod okiem kilka tygodni.

---

[1]) Dopiero przed samem wyjściem z Karmelitów, dostałem tak zwaną „porcję szpitalną,“ mało co lepszą od porcji złodziejskiej.

Ja miałem z nim także niemałe zatargi, pomimo że unikałem tego jak najbardziej.

Pewnego dnia rozmawialiśmy z Andrusikiewiczem przez okno. Wachmistrz jak kot zaczaił się pode drzwiami, cichutko pootwierał kłódki, pootwierał rygle, i właśnie gdy ja siedziałem na oknie i rozmawiałem, otworzył drzwi, i oczywiście złapał mię na uczynku. Jego obowiązkiem było przypomnieć mi zakaz, zabronić mówić dalej, i w ostatecznym razie, donieść o tem referentowi.

Wachmistrz atoli, pomimo że natychmiast zeskoczyłem z okna, wpadł do kaźni z największą furją, i począł przemawiać do mnie słowami, do jakich nie byłem przyzwyczajony.

Wezwałem go, ażeby powstrzymał się od takich grubiańskich wyrazów, oraz że jeżeli mu się podoba, może mię skarżyć. Widać, źle mię zrozumiał i myśląc zapewne, że ja się go proszę, tem więcej zaczął sobie pozwalać; z tego wszystkiego pamiętam jeszcze, że po rozmaitych wyrazach w wybuchu swojego gniewu, powiedział mi grożąc swym palcem:

— *Wart du Polak, ich werde dich schon lehren!*

— *Pack dich!* — krzyknąłem na to z całego gardła, i ściągnąwszy w mgnieniu oka kajdany z ręki, uchwyciłem jak mój jakiś poprzednik, także za kufel ołowiany, a powtórzywszy! *pack dich!* — dodałem prędko — *oder ich haue dir damit den Schädel entzwei!*

Równocześnie zamierzyłem się, by wykonać to niezłomne postanowienie, wachmistrz atoli sparzony na gorącem, wolał dmuchnąć na zimne, gdyż jednym skokiem był już na korytarzu; żołnierze stojący przed drzwiami, najeżyli na nas bagnety, i przypuścili szturm do naszej kaźni.

Na takie kolące *dictum*, my uważaliśmy za potrzebne dmuchnąć na gorące, i nim zdołali dosięgnąć nas zimnem żelazem, drzwi już były zamknięte i podparte.

Cygan pierwszy zawoławszy na złodziejów: *a nu chłopci!* — rzucił się do drzwi i podparł, do czego i my pomagaliśmy niemało.

Aufmachen! aufmachen! — krzyknął odważny wachmistrz, gdy otrzymał już sukurs — *aufmachen!* — powtórzył.

— *Wird nicht aufgemacht,* — powiedziałem — *bis nicht eine Commission erscheint.*

— *Aufmachen!* krzyknął znów wachmistrz — *oder ich lasse die Thüre erbrechen!*

— *Beim Becken!* — zawołał Kamieński, i dodał: — *erbrechen Sie sich den Schädel an der Thüre!*

Korytarz był pełny rozmaitej zgrai, powstał wielki krzyk, hałas, tartas, rwetes, a do drzwi dobywano się ciągle.

W kilka minut ucichło nagle na korytarzu, i dały się słyszyć kroki w pobliżu kaźni. Otwarła się wizytyrka, a w niej ukazała się twarz któregoś z panów konsyljarzy, czy któregoś z panów urzędników.

— *Bitte! machen Sie auf!* — zawezwał nas grzecznie.

Otworzyliśmy drzwi, on wszedł do kaźni.

Na zapytanie, opowiedzieliśmy mu rzecz całą i prosili, by na miejsce wachmistrza przeznaczono kogo innego.

W kilka dni później rozwarły się drzwi, powolnym, poważnym krokiem weszło dwóch urzędników, i na zadośćuczynienie za zniesione obelgi — odczytano mi wyrok, na mocy którego skazany zostałem za obrazę Jego Wysokości IMci Pana Wachmistrza, na trzy dni postu o chlebie i wodzie.

Żałuję, że nie pamiętam, czy przeciw temu wyrokowi wolno mi było założyć rekurs.

Rozumie się samo przez się, że przyjąłem ten wyrok z pokorą i z wysiloną powagą, ponowiłem atoli moją prośbę, aby wachmistrza z Karmelitów oddalono, albo mnie przeniesiono do więzienia w małych koszarach „gdyż — dodałem, nie ręczę za następstwa, jakie wyniknąć mogą z gburowatego postępowania wachmistrza.

— Nie zawsze — mówiłem — jestem usposobiony łagodnie, czasem bywam w usposobieniu, gdzie mi żywo stoi przed oczyma moje położenie, gdzie widzę jasno jak na dłoni, że prócz życia nie mam nic do stracenia, w usposobieniu rozdrażnienia, w którem czuję się niepohamowaną żądzę pomszczenia każdej obelgi, nawet od takiego wachmistrza... Mówię to panom wyraźnie i jedynie dla tego, ażebyście to postępowanie wachmistrza i nasze zażalenie przedstawili komu należy, i w podobnym wypadku nie na mnie zwalali całą odpowiedzialność.

Powiedziano mi, że wachmistrz jest grzeczny i porządny człowiek; że nie można mu nic zarzucić, tudzież że ja winienem zachowywać się spokojnie, gdyż w przeciwnym razie będą zmuszeni postąpić ze mną surowiej.

Ś. p. Zacharek, strażnik, i pierwsza karteczka.

Na tem skończyły się moje z wachmistrzem zatargi; potem już nigdy sam nie wszedł do kaźni, tylko zawsze stał w progu, albo przysyłał kaprala, nazwiskiem Sereniuk. Był on, że tak się wyrażę, drugim odźwiernym — rozumie się do kaźni — i podwładnym wachmistrzowi. Nazajutrz przysłał go do mnie, ażeby mi założył inne kajdany — próbował, przymierzał, nareszcie założywszy mi najmniejsze, powiedział, że tych już nie zdejmę. Rozśmiałem się na to, i w mgnieniu oka zdjąłem je w jego oczach. Ręka więźnia bowiem, jeżeli tylko w stosunku do całej budowy ciała nie jest większą, tak się ułoży przez przyzwyczajenie, tak ośliźnie, że każde z niej zsuną się kajdany. Kapral wziął mi miarę na ręce, i za parę dni przyniósł mi inne kajdany.

Zaledwie założył mi je na rękę, poznałem, że zdejmę je bez trudności, oświadczyłem mu jednak, że tych nikt już nie zdejmie.

Między strażnikami rozmaici byli ludzie, byli źli ale byli i dobrzy. Pomiędzy najgorszymi był jeden, którego złodzieje nazywali „Cygan“, dla tego, że był rzeczywiście czarny jak Cygan, — prawdziwe jego nazwisko nie jest mi wiadowe. Gdy on stał pod oknem na straży, wówczas nikt nie próbował mówić przez okno, gdyż denucjował niezwłocznie. Jeżeli atoli przyszła kolej na strażnika, dziś już ś. p. Zacharka, wówczas wszyscy więźniowie bez ceremonii wylazili na okno, i rozpoczynała się pogadanka. Chodziło o to tylko, by do wizytyrki nie zaglądnął który z strażników, ale i na to była rada: u drzwi samych naprzeciw wizytyrki, stawiało się na straży jednego ze złodziejów w takiej po-

stawie, by sobą zasłonił całą wizytyrkę. Gdy kto zaglądnął, krząknął złodziej, i wszyscy zeskoczyli z okna.

Zacharek był to poczciwy starowina, słuszny, szczupły, z podstrzyżonym, szpakowatym już wąsem, i takimże włosem. Prawdziwa poczciwość i dobroć serca, najwyraźniej malowała się na jego twarzy.

— Moi panowie! — mawiał do nas często — czuję ja wasze położenie, i ubolewam nad waszem nieszczęściem. Przyzwyczajeni do wygód, tu znosić musicie wszelkiego ro dzaju niedostatek i cierpienie, a za co? za dobre serca wasze.

Pewnego dnia byliśmy już gotowi do wyjścia na zwykłą naszą przechadzkę; szparą w drzwiach widzieliśmy, że Zacharek towarzyszył więźniom, przez okno, przez szpary parkanu postrzegliśmy, że z kaźni sąsiedniej już wracają. Rzeczywiście, wkrótce rozwarły się drzwi, Zacharek ukazawszy się we drzwiach, zawołał nibyto w gniewie: „No! prędzej na spacer!“ i odwrócił się od nas, jakby nienawidził nas tak mocno, że znieść nie mógł nawet naszego widoku.

Zaledwie przybyliśmy na przechadzkę, poczciwy Zacharek oglądnął się na wszystkie strony, potem zbliżył się do mnie, i zapytał:

— Panu Władysław na imię?

— Tak — odpowiedziałem.

— Pańska siostra nazywa się Julcia?

— Tak! i cóż, cóż? — zapytałem prędko.

— No! — powiedział z cicha — ja coś mam dla pana, ale! — dodał oglądając się znowu i kładąc dwa palce na ustach — ja mam coś dla pana, ale tego pan nie mów nikomu. Temu panu drugiemu co to siedzi z panem, można powiedzieć, ale więcej nikomu. Pańska siostra dała mi bilecik mały do pana.

Wtem nadszedł jeden ze złodziejów, i przerwał mowę. Ja nie mogłem się utrzymać z radości, z niecierpliwości, pobiegłem za Henrykiem Kamieńskim, i opowiedziałem mu wszystko.

Henryk Kamieński zaraz na to poradził. Pod jakimś pozorem przywołał złodzieja rozmawiającego z Zacharkiem, a ja udałem się do niego, i nieznacznie odebrałem karteczkę, tudzież scyzoryk, ołówek, i kilka cygarów.

Mój Boże! tej karteczki zdaje mi się, nie byłbym oddał za żadne pieniądze. Zacisnąłem ją w dłoni, i rękę położyłem na sercu, zdawało mi się, że siostrę, matkę ukochaną i braci przyciskam do siebie.

A ileż to siły było potrzeba, ażeby powstrzymać się od wybuchu radości, jak wielkiego panowania nad sobą ażeby niby obojętnie i z cicha, a przecież na pół głośno — (aby nikt nie odgadnął co dzieje się w wnętrzu) zapytać się:

— Czy pan ją widziałeś? Czy widziałeś moją matkę? Czy zdrowa? Czy zdrowi? Co się dzieje z moim ojcem? Co z braćmi? Co mówiła? Co mówili? i t.d.

Te wszystkie pytania, które wydobywając się z piersi z takim natłokiem pchały się do ust, że zaprawdę tamowały oddech, zadawałem na pozór tak zimno, i niby tylko od niechcenia, że widocznie uderzyć to musiało Zacharka, gdyż zwiesiwszy, opuściwszy ręce z podziwienia, zapytał:

— Pan ponoś nie tak mocno kochają swoją matkę i siostrę, jak oni pana?

— O! moi dobrzy, kochani! — kocham ja ich nad własne me życie, i powiedzcie im to, ale mówię dla tego tak obojętnie, bo obawiam się, by kto nie poznał, że rozmawiam z wami o czemś, co mię więcej zajmuje. A teraz proszę was, czy będziecie tak dobrzy, tak grzeczni, tak łaskawi, zanieść im także odpowiedź?

— Chętnie — odrzekł Zacharek, i dodał: — chętnie to uczynię, i jestem o to proszony, a chociażbym i nie był o to proszony, to bym to uczynił, bo mi tej pani, pańskiej mamy bardzo żal, ta ona ledwie nie wypłacze sobie oczu. Pan niech tylko wygotuje małą karteczkę, a jak ja przyjdę na straż, czy to na korytarz czy na podwórze, albo znowu aż na przechadzce, to mi pan da albo przez szpary w drzwiach albo przez okno, tylko!...

I znowu przyłożył palec do ust.

— Bądźcie spokojni! — odpowiedziałem, i powolnym odszedłem od niego krokiem, a nawet nie zbliżałem się do Henryka K., gdyż i z tego mogli wówczas jakieś wyprowadzać wnioski, a nietylko my, ale licząc od strażnika, aż do najwyższego urzędnika, wszyscy byli kontrolowani, wszyscy dozorowani.

Zwykle wydawała nam się przechadzka tak krótka. Pół godziny minęło tak prędko, żeśmy nawet nie wiedzieli kiedy. Tą razą jednak, ledwie nie liczyłem każdą minutę. Ta krótka naszej przechadzki chwila, zdawała mi się tak długa, że stawała mi się wiekiem. Nareszcie, pamiętam jak dzisiaj, wybiła godzina szósta, godzina powrotu do kaźni. Z ręką w kieszeni a z karteczką w ręku, szedłem powoli jak wszyscy, i jak zwykle obojętnie na wszystkie oglądałem się strony, pomimo że uczułem — wówczas po raz pierwszy w mem życiu — iż, jak to mówią, pali mi się pod nogami.

Ale i na tem nie skończyła się własna próba mojej cierpliwości.

Weszliśmy do kaźni, zamknięto kaźnię na zasuwy i kłódki, sąsiedzi poszli na przechadzkę, i ucichło już na korytarzu, a przecież jeszcze nie byłem u okna, jeszcze nie zaglądnąłem do mego skarbu, jeszcze nie przeczytałem karteczki, gdyż często po powrocie z przechadzki, zaglądano wizytyrką do kaźni.

Po chwili dopiero, i po porozumieniu się z Henrykiem K., niby zadumany stanąłem przy oknie, powoli wyciągnąłem karteczkę, i wyczytałem z niej mniej więcej następujące wyrazy:

„Kochany i drogi mój bracie!

„Oddawca jest wypróbowanej poczciwości człowiekiem, na jego ręce zatem przysyłam ci niniejszą karteczkę z wezwaniem, ażebyś nam odpowiedział, rozumie się samo przez się, z największą ostrożnością, zawsze bowiem trzeba mieć na względzie, że wydarzyć się może jakiś niespodziewany wypadek, i karteczka dostaćby się mogła w niewłaściwe ręce. Nieszczęśliwa matka nasza żąda, ażebym przedewszystkiem przesłała ci macierzyńskie jej ucałowanie, niemniej zapewnienie, że jedyną jej modlitwą jest prośba o uwolnienie ojca i ciebie, tudzież o wasze zdrowie. Z ojcem pozwolono nam się już widzieć, również korespondujemy ze sobą przez oddawcę. Ojciec się broni ile może; bądź zatem i ty wytrwałym. Pisał nam ojciec, że wszystko przeczysz, trzymaj się już tego i nie daj się niczem złudzić, bądź stały, znoś wszystko mężnie, jak znosili polscy męczennicy; my jesteśmy zupełnie spokojni i zdrowi, nie martw się zatem nami;

krótki jeszcze czas a musicie być wolni wszyscy. Obecnie staramy się najusilniej, ażeby nam pozwolono widzieć się z tobą, co nam przyrzeczono. Donieś nam jakie jest twoje więzienie, czy suche, i jak się z tobą obchodzą. Pamiętaj że Maksymiljan żyje. Co dzień prawie widzę cię z okna na strychu, jak się przechadzasz. Kto siedzi z tobą, z jakiej sprawy, i czy żyjecie w zgodzie, i kto siedzi w sąsiedztwie? Dla czego nie zdejmują ci kajdan? Matka polecająca cię Bogu, nie mniej i ja, całujemy cię i t.d.“

Ten list bez związku, pisany widocznie na prędce, na poczekaniu, ucieszył mię niezmiernie; dałem go potem czytać Henrykowi Kamieńskiemu, z którym do późnej rozmawiałem nocy.

Jakkolwiek list ten żadnej na pozór ważnej nie zawierał wiadomości, wiele atoli dowiedziałem się z niego. Zaraz po odczytaniu zniszczyłem go tak, że śladu nawet nie zostało po nim.

Odtąd korespondowałem dość często z siostrą i matką. Jak tylko poczciwy Zacharek był na straży, albo otrzymywałem albo mu dawałem kartkę.

Pierwsze odwiedziny u Henryka Kamieńskiego.

Nazajutrz przed południem wezwano Henryka Kamieńskiego do kancelarji. Byłem pewny, że go powołano do indagacji. Jakież atoli było moje zadziwienie, gdy po upływie pół godziny z wesołą wrócił twarzą. Radość malowała się w oku, a serdeczny, wesoły uśmiech wił się na ustach, i — w ręku trzymał dwie pomarańcze.

— Cóż to jest? spytałem — zkąd ten śmiech, zkąd ta wesołość, ta radość?

— Żona moja! — powiedział — widziałem się z żoną.

Potem zamyślił się.

Popatrzyłem na niego, widziałem, jak wyraz niedawno wesoły, radośny, nagle zmienił się w smętność; nareszcie łza zakręciła się w oku, i spłynęła po twarzy.

— Tak! tak! — mówił niby sam do siebie urywanym głosem — żona moja, kochana, droga żona moja, była, lecz już jej nie ma, już jej nie widzę, i może już nie zobaczę nigdy.

Kończąc te słowa, rzucił się na pryczę, i oczy zakrył rękoma.

Jego smutek, jego boleść zasmuciła i mnie: pojąłem, ile takie widzenie sprawia radości, a ile takie rozstanie zadaje boleści.

Łza w jego oku, przypomniała mi wiersz Schillera: *„Männliche Thränen, sind heilige Thränen!“*

(„Męzkie łzy, łzy święte!“)

I uszanowałem te łzy, — nie przerywałem mu jego myśli, nie chciałem ukajać jego boleści — bo wówczas już poznałem, że są cierpienia, któremi pieścimy się czasem tak chętnie! Czułem że Henryk K. ukrywa łzy, wydobywane wspomnieniami błogiej przeszłości, wspomnieniami szczęśliwych chwil, spędzanych z ukochaną żoną, o której rozmawiał ze mną tak często, z uczuciem prawdziwej miłości.

Tyle szczęścia więźnia ile błogich wspomnień z czystej, niczem nieskalanej przeszłości!

Długo, długo nieruchomie leżał na pryczy; wniesiono jego obiad, ale nawet nie przytknął go do ust. W parę godzin dopiero powstał z tapczanu, i napozór uspokojony zbliżył się do mnie, opowiadał swoją z żoną rozmowę, i cieszył się nadzieją, że wkrótce znowu odwiedzi go żona.

I znowu nastąpiła dłuższy czas niczem nieprzerywana monotonność, i coraz nieznośniejsze było nasze położenie.

Od czasu naszego uwięzienia, upłynęło już przeszło sześć miesięcy, a proces nasz jeszcze nie był ukończony. Wiedząc że bywały u nas wypadki, iż po sześć a nawet po siedm lat, (n. p. spiskowych z pułku Mazzuchelli) tudzież uwięzionych za sprawę Przemyską, dalej za sprawę Guta i za inne sprawy, trzymano w inkwizycji politycznych więźniów, obawialiśmy się, że i nas potrzymają z lat kilka, lecz z rezygnacją poglądaliśmy w przyszłość.

W kilka dni po odwiedzeniu żony Henryka K., wydarzyła nam się następująca przygoda:

Niepowodzenie wachmistrza w zamierzonej zemście.

Przedewszystkiem winienem nadmienić, że na przechadzce wolno nam było ćmić lulkę lub cygara, w kaźni atoli wzbroniono tak dalece, że nie wolno było mieć ani lulki ani cybucha. Zostawiono nam tylko tytoń, a cybuchy stały oparte o mur, naprzeciw kaźni.

Paliliśmy zatem tylko raz na dzień, a to przecież było za mało. Przemyśliwaliśmy więc nad sposobem, w jaki można by przyjść do cybucha. Wpadliśmy na kocept, ażeby z chleba zrobić cybuch. Zgnieciono zatem chleb, i wyrobiono na masę, na patyczku zrobiono z tej masy rurkę, a zamiast bursztyna wsadzono szyjkę od flaszeczki. W kilka dni masa wyschła na kamień, tytoń miał Henryk K., fajkę niby przez zapomnienie przyniósł z korytarza po przechadzce, zapałek dostarczył poczciwy Zacharek, i — mieliśmy do palenia wszystko potrzebne. Chodziło tylko o to, by te zakazane skarby dobrze przechować. Wszystko zatem przechowaliśmy w murze, i zatkali w sposób podobny, jak zatykaliśmy wywierconą w murze dziurę.

Pewnego razu jeszcze przed zmierzchem przyszło nam do głowy palić koniecznie. Pozapalaliśmy zatem cygara i fajkę. Henryk K. nawet dla uczczenia odwiedzin swej żony, uraczył cygarem nawet Cygana i wszystkich złodziejów. Ledwie atoli skończyliśmy palić, i zaledwie ukryliśmy wszystko w schowku naszym, zaglądnął do wizytyrki wsławiony u nas wachmistrz, i postrzegłszy dym, udał się zaraz do kerkermajstra, i sprowadził go z sobą.

Kerkermajster widocznie niezadowolony był z tej denuncjacji; przekonawszy się atoli, że cała kaźnia pełna jest dymu, spytał ktoby tu palił.

— Jakto palił? co palił? — spytaliśmy razem z Henrykiem Kamieńskim.

— No! — śmiejąc się dobrodusznie zapytał kerkermajster — kto z panów palił cygaro albo fajkę?

— Co? — zapytaliśmy, udając niesłychanie zdziwionych — co? cygaro albo fajkę? wszak my o tem dobrze

wiemy, że tu palić nie wolno. Wachmistrzowi dym się zapewne albo przewidział, albo gdy paląc słuchał długo pod drzwiami, pewnie przez szpary naszedł dym do kaźni.

— Ha! — łagodnie odrzekł złą polszczyzną kerkermajster — panowie widzicie, że nie mogę tego tak lekko pominąć, muszę zrobić rewizję.

— A i owszem — odpowiedzieliśmy — i owszem, tym sposobem przekonasz się pan najlepiej, kto ma słuszność, czy my, czy zagniewany na nas wachmistrz?

Zwołano zaraz kilku strażników, umiejących szukać najlepiej, i najpierwej osobiście rewidowano nas wszystkich, potem rzeczy — dalej pryczę, podłogę, ściany, koło pieca i t.d., ale wszystko było na próżno.

Kerkermajster wzruszył ramionami, wachmistrz zacisnął zęby ze złości, że nie mógł się pomścić, strażnicy z niedowierzaniem poglądali na siebie, a my na pozór obrażeni fałszywą denuncjacją, śmialiśmy się w duchu z wachmistrza, tudzież że się nam powiodło wywieść w pole strażników, wydoskonalonych w szukaniu.

Nazajutrz około 11tej godziny rano, otworzył wachmistrz drzwi kaźni, i słowami: *„Ich bitte in die Kanzelei!“* wezwał mię, bym wychodził spiesznie.

Byłem pewny, że na indagację, albo że mi wyczytają *Pater noster* za wczorajsze palenie, a może nawet wydadzą wyrok, bym znowu pościł ze trzy dni.

Pierwsze odwiedziny matki.

Zaprowadzono mię znowu do budynku kryminalnego sądu, na pierwszem piętrze.

Otworzyłem wskazane mi drzwi, i ujrzałem tam dwóch czy trzech urzędników. Rzuciwszy atoli okiem na prawo, jakżeż wielkie było moje zadziwienie, gdy postrzegłem siedzącą tam matkę moję i siostrę. Prawdziwie, że w pierwszej chwili nie wiedziałem sam co to znaczy, czy to we śnie, czy na jawie?

Pomimo tego, że siostra uprzedziła mię karteczką, że może dostaną pozwolenie widzenia się ze mną, było to dla mnie jakoś tak niespodzianie, że w ścisłem tego słowa znaczeniu nie wiedziałem co robić, nie wiedziałem czy ukochanej, drogiej matce rzucić się do nóg, uściskać je i ucałować jej ręce, czy zawisnąć na jej szyi, i na wklęsłych policzkach wycisnąć długi, synowskiej miłości gorący pocałunek. O! nigdy, nigdy nie zapomnę tej chwili! Dziś, po upływie lat tylu, pamiętam nietylko całą jej postać, ale każden, najdrobniejszy nawet wyraz, który jak błyskawica przemknąwszy po twarzy, był mi zrozumiałym obrazem jej uczuć, jej myśli, duszy całej. Pamiętam — jakby dziś dopiero — jej walkę, jaką toczyła ze sobą, ażeby ukryć przedemną swą boleść, swój smutek i łzy.

Cała czarno ubrana, siedziała na krześle jakby nieruchoma; dopiero rozpatrzywszy się bliżej, dostrzegłem, że ręce jej trzęsły się jak w paroksyzmie febry, usta, — które widocznie zmuszała do lekkiego wesołości uśmiechu, drgały i mimo walki wewnętrznej zwijały się do płaczu, na wklęsłe policzki, widocznie chorobliwy, mocny wystąpił rumieniec, a wytężone, we mnie utkwione oczy, płonęły ogniem macierzyńskiej miłości. Widziałem, jak chciała powstać na me powitanie, ale zabrakło jej sił. Wyciągnęła ku mnie swe ręce, ja przyspieszyłem kroku, ująłem rękę jej, by przytknąć ją do ust, lecz matka odciągnąwszy rękę, pochwyciła mię w swoje ramiona, przycisnęła do siebie, swemi oblała mię łzami, i upieściła jak niegdyś w dzieciństwie. Ja trzymałem tylko jej rękę, i mocno, mocno przyciskałem do ust, gdyż przypomniawszy sobie, że nam dzieciom, nie wolno było w twarz ucałować naszych rodziców, tylko na wyraźne ich pozwolenie, i tylko dla nadzwyczajnych łask i wielkich, niepospolitemi zasługami zjednanych względów — nie śmiałem oddać ani uścisku, ani pocałunku. Matka biedna odgadła mię zaraz, bo poglądając na mnie z wyrazem boleści, i głębokiej miłości, szepnęła z cicha głosem jakby proszącym:

— Uściskaj! ucałuj mię!

Z uczuciem niewypowiedzianej radości, rzuciłem się jej na szyję, ale zaledwie lekko zdołałem dotknąć się mojemi usty jej twarzy, nagle — cofnęła się — zbladła, i zawołała głośno:

*

— Co to? ty masz kajdany?!

I trzymając je w ręce, szybko powstała z krzesła, upamiętała się wszakże, gdyż nim zdołałem odpowiedzieć, już poważnym dodała tonem:

— Tak! tak! prawda! zapomniałam się, zapomniałam, mówiła powoli, puszczając kajdany i przecierając ręką po czole — że jesteś w więzieniu; zimne żelazo dotknęło mej ręki, i przeraziło mię. Ale — dodała przypatrując mi się troskliwie, i z wyraźnem przerażeniem — jakże ty wyglądasz okropnie? zeszczuplałeś, zmizerniałeś, wychudłeś na szczypę, oczy zapadły ci w głąb, co to? tobie wypadają włosy?

I lekko ujęła jeden pukiel mych włosów, a gdy przesunąwszy po nich swojemi palcami, ujrzała znaczną ich liczbę w swem ręku, powiedziała z żalem zwrócona do urzędnika:

— Mój Boże! takie dziecko zamykać!

I pokazała mu wypadłe, w jej ręku znajdujące się włosy.

Milczący urzędnik, przysłuchujący się rozmowie wzruszył ramionami, i zrobił gest, jakby chciał powiedzieć: „Ha! cóż robić?“

Wśród tego zbliżyła się siostra, i zawisła mi na szyi. Widziałem, że tylko z największą trudnością zdołała wstrzymać się od łez.

— Nie bój się — mówiła po przywitaniu — nie bój się, nie obawiajcie się, ty będziesz wolny, i wszyscy będziecie wolni, nic ci nie będzie, nic ci się nie stanie. Znoś wszystko mężnie, cierpliwie...

Tu coraz bardziej podnosiła głos, i wpadając w coraz większy zapał, nie zważając na obecność urzędników, tak mówiła dalej:

— Powtarzam ci, nic się nie bój, bo na ziemi rządzi także i Bóg. On nie dozwoli, abyście niewinnie cierpieli długo, On potężniejszy nad wszystkich, On was uwolni, On skruszy twoje i innych niewinnych kajdany, i On skruszy, w proch obróci wszystkich złych, wszystkich tych, którzy dziś....

— Przepraszam panią! — odezwał się obecny urzędnik, przepraszam, ale to tutaj nie należy. Pani inną razą nie otrzymasz pozwolenia widzieć się z bratem, jeżeli pani w ten sposób będziesz przemawiać.

— Wszak ja nic nie mówiłam złego — tłumaczyła się siostra — wszak to mój braj, którego tu dręczą, męczą, katują, którego tu chcą zamęczyć do reszty, czyż mi nie wolno wzbudzić w nim wiarę i nadzieję w Bogu? Czyż mi nie wolno przemówić do niego słowami pociechy? Czyż...

Matka przerwała jej słowem i skinieniem, wiedziała bowiem, że na jej twarz mocny wystąpił rumieniec, że oko błysnęło ogniem, wyrażającym rezygnacją i gniew kobiety, siostry kochającej swego brata, którego cierpienie pragnęła pomścić, bogdaj temi kilku wyrazy.

I rzeczywiście nie spodziewałem się wówczas nigdy u mojej siostry tyle cywilnej odwagi, — z drugiej strony przypuszczałem, że — może ją gotowi jeszcze i zamknąć.

Te wszystkie, tak szybko po sobie następujące wrażenia, wprowadziły mię w stan jakiś dziwny; stałem jak niemy — miałem tyle do mówienia, a ledwie słów kilka wydobyłem ze siebie, słuchałem, a tysiące innych myśli, pchało mi się do głowy.

— Mój Władziu! moje drogie dziecko! — zaczęła znowu matka, i łzy zakręciły się w jej oku — moje dziecię! niestety, ale sprawdziła się wróżba, mój Boże! Ferdynand! Henryk!...

I tu nie mogąc się już powstrzymać, zakryła oczy rękoma, zaczęła płakać, a łkania jej przeszywały mą duszę i rozdzierały serce.

— Wizyta skończona! — przerwał zimno urzędnik — czas przeznaczony upłynął.

I obróciwszy się do mnie, powiedział:

— Proszę ze mną — i wskazał na drzwi, przy których oczekiwał mię strażnik.

— Ale na miłość Boga! — zawołały matka i siostra, dopierośmy przyszły, przecież się z nim pożegnamy!

— Możecie to panie uczynić, lecz spiesznie, bo czas przeznaczony już upłynął.

Przyjemne, radośne było powitanie, — rozstanie atoli smutne, łzawe.

Biedna matka! nie mogła się oderwać odemnie. Całowała, ściskała, tuliła do siebie, chociaż sama płakała, błogosławiła i Bogu i Matce Boskiej oddawała w opiekę. Siostra

zaś siląc się do wesołości, do uśmiechu, mnie chciała tym sposobem dodać odwagi, i gdy byłem już w progu, jeszcze zawołała do mnie na pozór wesoło, głośno i naśladując ojca mojego poważnie:

— No Władziu! wytrwale! cierpliwie!...

Drzwi zamknięto, i już nie dosłyszałem reszty jej słów.

Zaraz za drzwiami strażnik wziął mię w swoją opiekę, i zaprowadził do kaźni.

Zanim przystąpię do dalszego mego opowiadania, winienem wytłumaczyć, co oznaczały słowa matki: „Niestety! ale sprawdziła się wróżba!“

Oto rzecz ma się tak:

* *
*

W roku 1845, mieszkali moi rodzice jeszcze we Lwowie, a mianowicie na ulicy św. Jana, w kamienicy konsyljarza Wajdowskiego. — Na Zielone święta, zjechało się nas pięciu braci do rodziców. Podczas naszego u nich pobytu, zamierzaliśmy pewnego popołudnia wyjść na przechadzkę; wyszedłszy atoli z pokoju, ujrzeliśmy w sieniach studentów grających w piłkę, w tak zwaną: „kipi kasza, kipi groch!“ Pomimo żeśmy byli jak to mówią — stare już chłopy — strzeliło nam coś do głowy — i zagraliśmy ilu nas było w piłkę i tak graliśmy zapalczywie, że nam aż ręce popuchły. Ja nie mając już chęci dać się walić dłużej starszym, zatem silniejszym odemnie braciom, przestałem grać pierwej, i wyszedłszy przed bramę, zamyśliłem się — nie pamiętam — czy o spuchniętej ręce, czy o czem innem. Wtem postrzegłem jakiegoś już wiekowego, poważnie wyglądającego Izraelitę, który stanąwszy naprzeciw bramy, oparł się o topolę, i we mnie utkwił swój wzrok. Ubior jego był czysty, nie był bogaty, ale i nie ubogi, na twarzy blady, oko wielkie, i mimo widocznie już podeszłego wieku, pełne jeszcze ognia, piękne wysokie czoło, poorane lekko zmarszczkami, świadczyło o niepospolitym rozumie, nos orli dodawał mu powagi, usta wydatne, przyjemne, przyciągały, a wielka, siwa broda, spadająca na piersi, wzbudzała we mnie szacunek dla niego.

Przypatrzywszy mu się dokładnie, odwróciłem się na bok, uważając zbyteczne wpatrywanie się w kogoś nieznajomego, za niegrzeczność. Odwróciłem się i — znowu zamyśliłem się, tą atoli razą myślałem o poważnym Żydzie. Wkrótce postrzegłem, że ów Izraelita zbliża się do mnie, nie spuszczając mię z oka.

— Dobry dzień panu — kłaniając się lekko, zagadnął mię dobrym dosyć akcentem.

— Dobry dzień — odpowiedziałem, i odkłoniłem się wzajemnie.

— Proszę pana — przemówił znowu Izraelita — proszę pana na słowo, mam coś z panem pomówić.

Powiedziawszy: "Służę panu!" zbliżyłem się do niego, i na jego żądanie, towarzyszyłem mu kilkaset kroków od domu. Rozmawiając, szliśmy krokiem powolnym.

On pierwszy wszczął rozmowę, i zaczął od mego temperamentu i wszelkich do tego temperamentu przywiązanych własn ści, dalej wyliczał mi szybko z nadzwyczajną bystrością umysłu prawie wszystkie moje wady, dalej dobre przymioty, nareszcie dawał mi niektóre przestrogi i nauki, a w końcu powiedział mi niejedno, co do mojej przyszłości.

Między przestrogami upominał: ażebym, obudziwszy się ze snu, pomyślał poprzód, co mam do czynienia w ciągu dnia całego, i jak to czynić należy? ażebym w najkrytyczniejszej chwili nie tracił nadziei, tudzież bym na piersiach choć małą jaką nosił blaszkę, lub kruszcu jakiego kawałek i t.d.

Co do przyszłości mówił między innemi: że wkrótce widocznie tylko dłoń Pana nad Pany, ocali mię z wielkiego niebezpieczeństwa, dalej że wkrótce utracę dwóch najbliższych i wielu innych z mojej familji i t.d. i t.d. Potem zapraszał mię, bym poszedł z nim do domu. Ja atoli bałem się jakoś tego człowieka, który nie znając mię i odemnie nieznany, tyle powiedział mi prawdy — i tyle najskrytszych prawie mych myśli, odmówiłem mu zatem wręcz oświadczając, że się go boję.

— Nie masz się pan czego obawiać — rzekł mi na to z wielką powagą — nie jestem ani czarnoksiężnikiem, ani wróżbitem — powiedziałem to panu tylko jako znawca natury człowieka, jako badacz ludzkiej istoty; kto to posiada, się-

gnąć może daleko, kto to posiada, czytać może nawet w księdze przyszłości.

Tak rozmawiając, doszliśmy aż do skrętu na Ulicę Halicką; chciałem go już pożegnać, lecz na wezwanie: „Chodź pan ze mną jeszcze kilka kroków, a pokażę panu, gdzie wkrótce będzie pańskie mieszkanie", poszedłem dalej; on przyspieszył kroku, ja zdumiony jego wiedzą, zatopiony w myślach o tem co usłyszałem z ust jego, postępowałem za nim milcząco, on także nie mówił ani słowa, aż przyprowadziwszy mię przed bramę Karmelitów wskazując na gmach więzienia, rzekł głosem smętnym: „Tam!"

Potem podniósłszy rękę do góry, wskazał palcem na niebo, i nie spuszczając ze mnie badawczego wzroku przez chwilę, znacząco lecz cicho dodał: „Ale!..."

Nareszcie na znak pożegnania przytknął do ust dwa palce, i rzuciwszy mi tym sposobem całusa, odwrócił się odemnie, i szybkim odszedł krokiem.

Poglądałem za nim, póki nie zniknął mi z oczu. Uszedłszy kilkadziesiąt kroków, obrócił się szybko, i jeszcze raz rzucił mi całusa.

Wróciłem do domu zamyślony; braci już nie zastałem, już wyszli. Udałem się wprost do matki, i opowiedziałem jej całe zdarzenie.

Matka atoli nie wierząca nigdy w żadne tego rodzaju wróżby ani zabobony, roześmiała się na to i radziła, ażebym dzieciństwami tego rodzaju nie zaprzątał sobie głowy, a raczej wziął się do książki. Widziałem atoli, że moje opowiadanie uczyniło na niej wrażenie.

* *
*

Jak to w młodym bywa wieku, że lada drobnostka zajmuje, zacierając przynajmniej chwilowo w pamięci ważniejsze nawet zdarzenia, i ja zapomniałem o tem, i dopiero zacząłem nad tem myślić na nowo, gdy słowa; „niestety! ale sprawdziła się wróżba!" usłyszałem w więzieniu z ust matki.

Rzeczywiście, dziwne i niepojęte było dla mnie to zdarzenie, i — nie ostatnie w mem życiu. Ale o tem później,

w dalszym ciągu mego opowiadania. Teraz atoli wracam się do chwili, w której skończyły się pierwsze w więzieniu odwiedziny matki i siostry.

Wróciwszy do kaźni, opowiedziałem wszystko Henrykowi K., który ucieszył się niemało, że i mnie spotkała jakaś przyjemność. Mnie jednak te odwiedziny, jakkolwiek po części uspokoiły, tak przeciwnie z drugiej strony, w wielki wprowadziły niespokój.

Żałowałem, że nie powiedziałem im tego lub owego; zdawało mi się, że nie przywitałem i nie pożegnałem ich dość szczerze, dość serdecznie, i obawiałem się, że matka widząc mię tak wynędzniałego, martwić się będzie bez granic, i wyobrażać sobie moje położenie o wiele gorzej, niż było w samej istocie, nie mogłem sobie przebaczyć, że ich tak mało pocieszałem, że ich nie uspokoiłem ile możności co do mej przyszłości, nakoniec, że nie pytałem się nawet o braci, bratowę, krewnych i znajomych, że ich nie kazałem pozdrowić i t.d. Ale po głębszej rozwadze, co jednak nie tak nastąpiło prędko, uspokoiłem się, bo przyszedłem do przekonania, że to wszystko było niepodobnem do uskutecznienia, gdyż czas wyznaczony na odwiedziny, zanadto był krótki. Kilka dni układałem w mej głowie, co im mam powiedzieć, gdy przyjdą ponownie. I rzeczywiście po upływie kilkunastu dni, znowu mię przywołano do kancelarji, i znowu zastałem tam matkę i siostrę. Będąc niejako na ich odwiedziny przygotowany, jakoś mi lepiej wszystko poszło po myśli, i matka rzeczywiście była spokojniejsza, tembardziej, że wolno jej było uwiadomić mię o otrzymanem przyrzeczeniu pana prezesa kryminalnego sądu, że wkrótce przeniesiony zostanę do lżejszego więzienia, do tak zwanych „Małych koszar“, tudzież, że tam będziemy się mogli widywać częściej, nakoniec że tam nie będę siedział ze złodziejami, tylko z podobnymi mnie więźniami stanu.

Wróciwszy do kaźni, opowiedziałem znowu wszystko Henrykowi, a między innemi, także i o mojem przeniesieniu do „Małych koszar.“

Henryk K. jakkolwiek cieszył się, że do lżejszego dostanę się więzienia, zmartwił się niemniej odemnie, że rozstaniemy się z sobą może na zawsze, może na wieki.

Pożegnanie.

W kilka dni po ostatnich moich odwiedzinach, wpadł koło południa wachmistrz do kaźni, z wezwaniem, bym się zbierał coprędzej, gdyż wkrótce przyjdzie po mnie, i zabierze mnie wraz z rzeczami.

Nie było wiele do zbierania: pogniłą w wilgoci pościel i pogniłą bieliznę związałem do prześcieradła, i już byłem gotów.

Zaledwie to uskuteczniłem, już rozwarły się drzwi i wachmistrz naglił do opuszczenia kaźni.

Szczerze, serdecznie pożegnałem się z Henrykiem, zostawiwszy mu wzajemne zapewnienie dozgonnej pamięci i przyjaźni. Pozdrowiwszy nareszcie złodziejów i przemówiwszy do nich kilka słów szczerych, ażeby nie zapominając naszych im dawanych rad i nauk, zaprzestali trudnić się kradzieżą i rabunkiem, a stali się poczciwymi ludźmi, pożegnałem tę kaźnię, w której ucierpiałem tyle, pożegnałem tę kaźnię, w której tyle wylałem łez, w której tyle nacierpiałem się wiecznego głodu, w której tyle bezsennych spędziłem nocy, w której obrzydłe, ochydne szwaby, robactwo inne, nareszcie wachmistrz, myszy, szczury, które łapaliśmy za pomocą miski, oraz nędza, niechlujstwo, wilgoć, zimno i nieczyste, okrutne powietrze nadokuczały mi tyle, pożegnałem ją z mocnem życzeniem, bym jej nigdy więcej nie oglądał w mem życiu.

Jeszcze raz uścisnąłem dłoń Henryka i wyszedłem z kaźni, na której progu przeżegnałem się i zrobiłem przed siebie znak krzyża świętego.

Na widok krzyża zaśmiał się wachmistrz, a stojący wówczas na straży poczciwy Zacharek, potakując moje postępowanie, rzekł do mnie głośno, rzucając wzrokiem pogardy na odwróconego właśnie wachmistrza:

— Dobrze, dobrze, panie! kto z Bogiem, Bóg z nim!

— Dziękuję wam! — powiedziałem do niego, i żegnając go skinieniem ręki, dodałem:

— Bóg z wami!

— *Bitte! bitte!* — surowo zapraszał wachmistrz, kiwając kluczami, ażebym prędzej pospieszał za nim.

Wyszliśmy na podwórze Karmelitów; przed drzwiami stał kryty powóz fjakierski, na koźle siedział jeden strażnik, a za powozem stał drugi, a obaj przebrani po cywilnemu. Otworzono drzwiczki, jeden ze złodziejów, który niósł moję pościel z kaźni, wpakował zawiniątko do powozu, potem ja wsiadłem na wezwanie wachmistrza, a on zajął miejsce koło mnie. Zielone firanki, znajdujące się przy oknach w środku powozu, zasunął wachmistrz starannie, potem zapukał do przedniego okienka, fjakier zaciął konie, i wyruszyliśmy z tego okrutnego miejsca.

Sekretarz Hohenauer, i spotkanie.

Szybko minęliśmy ulicę Halicką i rynek, i szybko ulicę Krakowską; dopiero koło kościoła Panny Marji wolniej toczył się powóz, gdyż natłok ludzi nie dozwalał pospieszać. „Hau"! fiakra, odzywało się bezustannie. Wachmistrz czasem usunął firanki i wyglądnął przez okienko, tak atoli, że ja nigdy nic nie widziałem. Na Żółkiewskiem, koło kościołka św. Mikolaja, zboczyliśmy na lewo, i wkrótce zatrzymał się fiakier. Gdzie atoli? nie wiedziałem, bo wszystkie okienka szczelnie były zasłonięte.

Strażnik zeskoczył z powozu, i wkrótce zapewne na dany znak, otworzono bramę. Wjechaliśmy na podwórze, i zajechali po przed same drzwi wchodowe. Znowu otworzono drzwiczki powozu, wachmistrz wyskoczył, ja za nim; znowu nie dano mi się oglądnąć, tylko naglono, bym szedł do kancelarji.

W kancelarji zastałem tamtejszego sekretarza — dziś już ś. p. Hohenhauera. Był to mężczyzna w wieku najwięcej 25—27 lat, wzrostu miernego, włosa ciemnego lecz nie czarnego, bardzo bladego lica, i gdyby nie szpecące go faworyty, możnaby go było nazwać przystojnym, bo oko same

miało wyraz dosyć przyjemny, oprawa — była dość ładna, a nos rzymski, i składne usta, mimo niezwykłej swojej bladości miały w sobie coś, co nie budziło wstrętu, chociaż nawet był niejako reprezentantem tych, co nas więzili.

Nie wiem dla czego, i po dziśdzień nie umię sobie tego wytłumaczyć, dla czego ja, — może tylko ja jeden — lubiałem go dosyć, a właściwie może nie tyle go lubiałem, ile z niewiadomej mi przyczyny każdą razą, kiedy go postrzegłem, czegoś nad nim ubolewałem, żałowałem go. Zresztą jestto nawet dla psychologa niełatwe zadanie do rozwiązania, jeżeli powiem, że więźnia pociągało coś do swojego dozorcy, który jeżeli nic złego, to pewnie nic dobrego nie zrobił. Zdawało mi się, że wyraz jego twarzy, że wzrok jego przemawiał do mnie: „Widzisz! ja nie jestem złym, i ja mam serce, ale jestem za słaby, bym się mógł oprzeć sile moich stosunków, jestem niejako zmuszony być twoim ciemięzcą, chociaż boleję nad tobą, — ja czuję, ale jestem ofiarą srogiego losu, ja cierpię tak mocno, że umrę!“

I rzeczywiście, kiedykolwiek popatrzyłem na niego, zawsze mi przyszło na myśl: „on nie pożyje długo,“ i — żal mi go było. —

Pan Hohenauer był słabem, bezwładnem, martwem narzędziem, w ogromnem kole maszyny....

W kancelarji spisano moje rzeczy, oświadczono, że sąd pozwolił mi korzystać z małego zasilku pieniężnego, który złożyła moja matka, i kazano odprowadzić do kaźni.

Podczas ostatnich odwiedzin powiedziała mi matka, że w „Małych koszarach“ będę miał przyjemniejszych kolegów. Cieszyłem się zatem niezmiernie, że ceremonia w kancelarji skończyła się prędko. Pragnąłem jaknajspieszniej poznać moich nowych towarzyszów niedoli.

Zgodny i przyjacielski towarzysz, jest wielką ulgą, prawdziwą pociechą w więzieniu. Niezgodny zaś, przykry, nudny — jak to okaże się w późniejszym rozdziale mego opowiadania — jest prawdziwą męczarnią, istną torturą.

Zanim przystąpię do dalszego mego opowiadania, muszę nadmienić, że po wszystkich w ogóle więzieniach, niczego nie obawiają się dozorcy i strażnicy tak bardzo, jak tego, ażeby więzień z kaźni jednej, nie zszedł się z więźniem

kaźni drugiej. Pochodzi to głównie ztąd, że czasem zetkną się z sobą znajomi i należący do jednej i tej samej sprawy, a jedno słowo, rzucone niby od niechcenia, sposób powitania, skinienie ręki, mrugnięcie oka, jednem słowem najlżejszy znak, jest często dla nich skazówką dalszego przy indagacji postępowania.

Z kancelarji wyprowadzono mię najpierwej na jakiś długi korytarz, z licznemi celami po lewej, a tyląż oknami po ręce prawej. Prowadził mię kapral, znany mi z więzienia u Karmelitów, nazwiskiem Sereniuk, piastujący w małych koszarach urząd dozorcy więzienia.

Zaledwie wstąpiłem na korytarz, ujrzałem w połowie tegoż korytarza jednego z więźniów, i prowadzącego go zapewno na przechadzkę strażnika.

— Nej sze ban ruci! [1]) zawołał do mnie stary kapralisko.

Wiedziałem dobrze, że on chciał powiedzieć: „Niech się pan wróci!“ ale udając że nie rozumiem, powiedziałem:

— *Ne maju nic w ruci!* — i szedłem dalej, wytężając mój wzrok na nadchodzącego więźnia.

— Ale ne sze ban wruczi! to ne wolno! — zawołał zgniewany już kapral, ale ja brzęcząc głośno kajdanami, udałem że nie słyszę, i przyspieszonym krokiem szedłem dalej.

Strażnik prowadzący tamtego więźnia, także widocznie sam już nie wiedział co począć z bojaźni, on chciał także go cofnąć a nie śmiał jakoś go szarpać, zresztą widział, że już było za późno. Gdyśmy się już zbliżyli na kilka kroków do siebie, strażnik tamtego więźnia a kapral mnie naglił, byśmy szli prędzej. My atoli właśnie jakby zmówieni zwolniliśmy kroku, przypatrzyliśmy się sobie wzajemnie, i przechodząc koło siebie, na powitanie podaliśmy sobie dłonie do braterskiego uścisku.

Więzień przechodzący kolo mnie, był to w ścisłem tego słowa znaczeniu, mężczyzna piękny i młody; przy męzkiej budowie wzrost mierny, włos i oko czarne, piękne i ślicznie oprawne, wysokie, jasne, pogodne, piękne czoło, nos

[1]) To znaczyło: niech się pan wróci.

kształtny, usta miernie wydatne, lekko przymknięte, miłe, przyjemne, a właściwa więźniowi blada cera twarzy, dobrze odbijała przy gustownem jego czarnem ubraniu. Zresztą cały wyraz twarzy, niemniej postać cała, była szlachetna, a jego chód, każde jego poruszenie, podanie i ściśnienie ręki, jego dźwięcznym głosem wymówione: „nazwisko?“ wszystko wyrażało, jasno wskazywało wyższe, tak intellektualne jak i moralne wykształcenie.

Podając sobie dłoń, wymieniliśmy nazwiska. Był to Karol Kaczkowski, słuchacz praw, uwięziony za tak zwaną sprawę lwowską.

Prawie równo dochodziliśmy do przeciwnych sobie końców korytarza, a zbliżając się już do drzwi, jak na komendę obróciliśmy się obadwa, i pożegnali skinieniem ręki.

Rozczarowanie. — Tylko mglisty obraz więźnia stanu.— Kilka dni samotnie spędzonych.

Którędy prowadzono mię dalej z nadmienionego korytarza, nie pamiętam. Wiem tyle tylko, że w końcu jakiemiś wąziutkiemi, krętemi schodami; zdaje mi się, że w połowie piętra zatrzymał mię kapral przy małych jakichś drzwiach, przy samych schodach.

Serce mi biło z radości, że przyjdę między swoich, że w ich towarzystwie znajdę pożądaną, i po tylu smutnych przejściach potrzebną rozrywkę, że w pośród nowych towarzyszów, może tak dzielnych, jak właśnie ten którego spotkałem, odetchnę cośkolwiek.

Kapralowi pilno widać było, bo spiesznie otworzył kłódki, uchylił drzwi, i do nowej wpuściwszy mię kaźni, czemprędzej ją zamknął i odszedł.

Rzeczywiście, że w pierwszej chwili nie mogłem się połapać, co się ze mną stało, nie mogłem tego ani zrozumieć, ani pojąć; czy to żarty, czy drwinki, czy nareszcie pomyłka? Przyrzeczono mi kaźnię lepszą, wygodniejszą, weselszą,

i towarzyszów, nie złodziejów, nie rabusiów, nie morderców jak u Karmelitów, ale więźniów stanu.

Jakież wielkie było moje zadziwienie, gdy zamiast tego wszystkiego, ujrzałem się w malutkiej, ciemnej ciupce, omaleńkiem, bardzo wysoko znajdującem się okienku z kratami i koszem, — do którego dostać się było niepodobieństwem; nareszcie gdy miasto wyimaginowanych kilku dzielnych kolegów, zastałem w kącie ściany tylko wielkiego pająka, trzymającego w swych szponach brzęczącą i bezskutecznie szamotającą się muchę, która chcąc się wydobyć z strasznego tego objęcia, formalną toczyła z nim walkę.

Jednym rzutem oka, pojąłem całe moje położenie, poznałem oczywisty zawód, przekonałem się, że ze mnie zażartowano.... Bo samotność, o! to straszne cierpienie. Gdy się nie ma z kim mówić, gdy się nie widzi nikogo, gdy wieczna panuje w około cisza, gdy nie ma jeszcze co czytać, o! to wówczas trudno wystarczyć samemu sobie, osobliwie gdy się jest dzieckiem albo jak ja wówczas, 19letnim młodzieńcem. Myśli się, myśli, całą przeszłość snującą się jak z kłębka przechodzi i głową i sercem, zastanawia nad każdym minionym czynem, zdarzeniem, wypadkiem, rozbiera się wszystko dokładnie i waży, przypomina się koleje i wypadki i przypadki naszych znajomych i krewnych lub przyjaciół, i wtenczas dopiero gdy sami cierpimy, umimy ocenić co kogo bolało lub boli, i w jakim stopniu; wówczas dopiero poznajemy, że nie umieliśmy ocenić ani korzystać z chwil narzucającego nam się — tak zwanego — szczęścia.

To wszystko zajmuje nasz umysł i serce, ale to wszystko nie wystarcza do dostatecznego zajęcia całej naszej wewnętrznej istoty, to wszystko znuży, zmęczy, znudzi, a często snują się po głowie czarne jakieś myśli, które się pragnie oddalić od siebie, wówczas pragnie się koniecznie jakiegoś nowego, duszę zajmującego przedmiotu. I — wówczas nie wie się co robić dalej, jakie wynaleźć dalsze zajęcie;— a więc chodzi się po kaźni, z kąta w kąt, ogląda się wszystko, każdą kropkę, każdą plamkę na ścianie, na oknie, na drzwiach, na podłodze, liczy się na piędzie, na cale to szerokość, to wysokość, to długość ścian, to deski, to gwoździe w podłodze, nareszcie oblicza się ogniwa kajdan, przypatru-

je się ich kształtowi i grubości, i porównywa z innemi, albo zdejmuje się i przywdziewa napowrót kajdany, a gdy i to wszystko nie wystarczy, chętnie się szuka robaczka, muszkę, pająka, śledzi się każdy ich ruch, i bawi się ich widokiem.

W tej małej celce, czuje się wyraźnie brak powietrza, i sił nie staje odetchnąć; a pierś czuje że ciasno jest jej w tem miejscu; w chodzie, pragnie więzień rozpędzić się koniecznie, i gdzieś pobiedz w niebliskie strony — może dla tego, że do przejścia się, pozostaje mu właśnie tylko kilka niedługich kroków; oko nie widzące nic prócz kształtów cienia, poglądające na wieczną jednostajność, na brudne ściany, na kosz i mały tylko kawałeczek firmamentu nieba, jakżeż chętnie bawiło by się widokiem odmiennych barw, chciałoby się pieścić zielenią murawy, czerwienią kwiatów, różnobarwnością łąki i połyskiem wody.

A jakżeż mocno czuć się daje więźniowi brak przyjemnej woni, — woń wiejącą z ogrodów, lasów i rzek, chwyta w swej myśli całą swą piersią, i zdaje mu się w jego wyobraźni, że tem już oddycha powietrzem. Lada najlżejszy szmer atoli lub brzęk własnych kajdan, budzi go z błogich tych marzeń, i rzuca w objęcia smutnej rzeczywistości.

A ucho więźnia, które prócz dźwięku żelaza i własnych swych westchnień, nie słyszy nic więcej, jak tylko monotonny chód strażnika, jakżeż chciwie chwyta każdy niezwykły stuk, wszelki głos mowy ludzkiej, świegotanie wróbli siadających czasem na koszu, i kroki przechodzącego koło kaźni dozorcy.

Jakżeż to pożądliwie pragnie się usłyszyć głos przyjaciela, głos matki, siostry, lub kogokolwiek ze swoich, głos człowieka, byle tylko nie strażnika, byle tylko nie dozorcy albo sędziego.

Z jakiemże to uczuciem nigdy niewypowiedzianej radości, chwyta więzień każdy zalatujący go z dala melodyjny głos pieśni narodowej, czy to smętnej czy wesołej, lub pobożnej?

Więźniowi brakuje wszystkiego; prócz Boga pozostają mu tylko myśli smutne, tem smutniejsza samotność i łudząca, zawodząca nadzieja.

Tą nadzieją pocieszalem się i ja w tej nowej, samotnej celi mojej. „Ha! — pomyślalem — da Bóg, zniosę ja to wszystko cierpliwie, ale przyjdzie czas w którym... wszystko stanie mi żywo w pamięci, i... pomyślę z rozkoszą, że te koleje należą już do minionej, dawno upłynionej przeszłości“....

U więźnia stanu, dojrzałego już męża, bywają chwile, w których dumnie kroczy po kaźni. Gdyby w takiej chwili zaglądnął ktoś do jego samotnego mieszkania, zapomniałby poglądając na niego, że to cela więzienna, po której w kajdany okuty przechodzi się więzień; poglądając na więźnia samotnika, poglądając w takiej chwili na niego wzrokiem badawczym, ujrzałbyś go w szlachetnej postawie z podniesioną głową, z jasnem wypogodzonem czołem, na które kiedyś tylko niekiedyś lekki ukaże się mars; widać zadowolony ze siebie, a lekka chmura na czole i zmarszczone brwi świadczą o sile jego duchowej, niepospolitym rozumie i niezwykłej mądrości, zdolnej do utworzenia olbrzymich planów; ujrzałbyś oko pałające płomieniem dowodzącym niepohamowaną żądzę czynu; ujrzałbyś usta, na których wije się uśmiech, na wpół szyderczy a na wpół pełen goryczy, i poznałbyś, że ten uśmiech wyraża pewność samego siebie, że ten uśmiech jakby przemawiał do ciebie:

— „Jam dziś w okowach, w kajdanach, jam potulnym dziś więźniem, lecz zdejmcie te okowy, puśćcie mnie, a wówczas siłą ducha mego stanę z wami do walki, puśćcie mnie, a ja zgniotę, zniszczę waszą potęgę, puśćcie mnie, a wkrótce będziecie się czołgać, padniecie na kolana, i czołem uderzycie przedemną!“ — Nakoniec ujrzałbyś ręce zaplecione na piersiach, i jednę dłoń przylgniętą do serca, a gdybyś wówczas, właśnie w tem mgnieniu oka rzucił twój wzrok na całą jego postać, na wyraz jego twarzy, przekonałbyś się, że to ciśnienie dłoni do serca, to uścisk braterski przesłany całej ludzkości, to miłość gorąca dla wszystkich, to miłość, którą pragnąłby przelać w świat cały, to przebaczenie tym, których nienawidzi, to nareszcie owo szlachetne i wspaniałomyślne przebaczenie bez granic, które stało się zgubą niejednego narodu, przekonałbyś się że to wyraz chęci tulenia do siebie nieszczęśliwych i uciśnionych.

I ja, odurzony takiem postępowaniem, niedotrzymaniem przyrzeczenia danego mej matce, wpadłem w gniew, w zapał, i dumą jakkolwiek nie dojrzałego męża, lecz dumą młodzieńca przejęty, chodziłem po kaźni, przypominając sobie dzieje naszego narodu, zgłębiając całą przeszłość, i porównywując wszystko z obecnym stanem, zatopiłem się w myślach, i w końcu tworzyłem.... zamki w powietrzu.

Już się zciemniało, a jeszcze chodziłem, jeszcze myślałem, wpadając w coraz większy zapał w tworzeniu moich zamków; waliłem, niszczyłem, w proch obracałem zepsute rudery i zbójeckie jaskinie, a stawiałem, wznosiłem piękne, okazałe gmachy, a wszystkie lane były ze spiżu, a wszystkie spoczywały na skałach z granitu, wszystkie były okrągłe, o tysiącach bram otwartych dla wszystkich, a tylu oknach, że którędykolwiek rzuciłeś okiem, wszędzie od góry do dołu i odwrotnie, wszędzie widziałeś wdzierające się światło jasnych promieni, a wśród panującej naokoło ciemności nocy, wisiała u szczytu mego gmachu wielka lampa, która elektrycznem swem światłem daleko, daleko i jasno przyświecała sąsiadom; — nad każdą bramą znajdował się napis: „Wstęp dla ludzi chęci i czynu, niemniej dla uciśnionych i nieszczęśliwych.“

A na szczycie nidealizowanego zamku mego, zatknięte były chorągwie, a na każdej było jakieś godło: „Jedność. Zgoda. Miłość. Praca. Wierny czyn. Dla dobrej sprawy, poświęcenie bez granic. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego“ i t. d. A w środku gmachu wzniesiona była wspaniała świątynia, a w wnętrzu jej ołtarz, u góry z napisem: „Jeden Bóg. Kochaj bliźniego, lecz więcej jak siebie samego!“ — Na straży przed zamkiem nie było nikogo, bo mieszkańcy jego nie zasypiali nigdy, nigdy nie drzemali, bo w zamku wiecznie był dzień, i czyn, i jedność, i zgoda, i poświęcenie bez granic, — bo w zamku był jeden za wszystkich — wszyscy za jednego.

Dumny z mego utworu, coraz spieszniej i spieszniej kręciłem się po małej mej celce, i dopiero gdy czarna ogarnęła mię ciemność, rzuciłem się znużony na pościel.

Cela moja była jak powiedziałem powyżej, przy samych wschodach, korytarza nie było tam żadnego, i nawet nie sta-

ła tam straż, była zupełnie osamotniona, odcięta od wszystkich kaźni.

Zdala tylko, i dopiero o późnej godzinie, dochodziły mię głosy pukania.

Warto było przysłuchać się temu, ze wszystkich stron odzywającemu się pukaniu z odległych kaźni. To ciche, to głośniejsze, to powolne, to szybkie. Jedni pukali trzonkiem od łyżek, inni gwoździami, inni szpilkami, inni znowu czem innem, itd. Ktoby nie wiedział co to jest, mniemałby że to jakaś fabryka, w której rozmaite maszyny są w ruchu.

Przyzwyczajony do szybkiego pukania, słuchałem z wielką uwagą by coś zrozumieć. Przekonałem się atoli, że to było niepodobnem, gdyż pukano na całkiem inny sposób, bo pukano nie na 4 ale na 3 rzędy. A i w tych zmieniony był porządek alfabetu, zatem nic nie rozumiałem.

Gdy na chwilę ucichło pukanie, przyskoczyłem żwawo do ściany, i zacząłem pukać w nadziei, że przecież się będę mógł z nimi porozumieć.

Zaledwie jednak kilka razy uderzyłem w ścianę, otworzył strażnik wizytyrkę i zawołał:

— Tu ne wolno klupat.

Unikając wszelkiego sporu i skarg, zaniechałem dalszego pukania, i udałem się po całodziennem próżnowaniu na spoczynek, czyli do spania.

Jeszcze się nie rozebrałem zupełnie, gdy o moje uszy obił się płacz. Zbliżyłem się do okna, i przekonałem się, że tak było w istocie.

Był to głos wyraźnie jeszcze dziecinny, a najwięcej — głos młodzieńca. Rzewne a głośne jego skargi i żale rozczuliły mię mocno i wzbudziły we mnie żal nie do opisania.

— Boże! mój Boże! — żalił się płacząc biedny młodzieniec, — zmiłuj się, zmiłuj nademną! czuwaj nad moją matką, i miej ją w Twojej opiece!

Słyszałem z uczuciem boleści, jak formalnie zachodził się od płaczu, a wyrazy: „Matko: biedna, nieszczęśliwa matko moja!“ wielekroć powtarzane, krajały me serce.

Wszak i ja miałem matkę, matkę ukochaną, wszak i ja czułem jej boleść, wyobrażałem sobie jej rozpacz!

Pomimo ciszy nocnej, nie mogłem rozpoznać, z której strony dochodziły mię te, serce przeszywające żale młodego więźnia. Wylazłem na okno, i nie zważając na strażnika stojącego pod memi drzwiami, zawołałem głośno:

— Kto jesteś?...

A gdy nie usłyszałem żadnej odpowiedzi, zawołałem jeszcze głośniej:

— Uspokój się, nie trać nadziei w Bogu, a wszystko zakończy się lepiej jak sądzisz... Jest nas tu więcej, a wszyscy znosimy los nasz cierpliwie — a dodawszy potem: — dobranoc! — zeskoczyłem z okna w przekonaniu, że za tak wielką zbrodnię, jak to wówczas sądzono, skazany zostanę niezawodnie znowu na trzy dni postu o chlebie i wodzie.

Nie wiem atoli czy strażnik nie słyszał, czy nie robił z tego użytku, czy nakoniec nie było go może, dosyć że tą razą uszło mi to bezkarnie.

Dnie następne upływały bardzo powoli i smutnie; pomimo że u Karmelitów tyle wycierpiałem, pomimo że tyle doznawałem tam rozmaitych przykrości, nakoniec — że kaźnia moja pod Nrem 2, strasznem, okrutnem była więzieniem, żałowałem że ją opuściłem, bo równocześnie ze zmianą miejsca mego więzienia, utraciłem w Henryku Kamieńskim przyjemnego towarzysza, a oraz przykro mi było, że on tam pozostał.

Nie wiedząc co robić z nudów, przypatrywałem się dwom pająkom, które rozprzestrzeniwszy nad oknem swe sieci, w ukryciu czyhały na zdobycz, która wpadnie w ich zastawione sidła.

Pewnego dnia miałem sposobność przekonać się naocznie o okrucieństwie pająka. Nad oknem u samej góry, wisiała w powietrzu sieć pająka ogromnego, który zwykle chował się do małej, zręcznie ukrytej komóreczki z pajęczyny, poniżej była sieć pająka drugiego, mniejszego, ale liczącego się zawsze do rzędu wielkich pająków.

Przez parę dni postrzegałem, że ów wielki pająk spuszczał się do sieci pająka mniejszego, i pajęczyną zrobił sobie formalną drogę do niego.

W kilka dni pająk mniejszy, otoczony był cały a raczej sieć jego silną pajęczyną z góry aż do dołu. Wielki

pająk spuścił się, i jedną łapkę wyciągnął do mniejszego, mniejszy zbliżył się a wielki odskoczył. Taka scena odbywała się kilka razy; byłem pewny że to zabawka, ich ruchy przypominały mi młode, figlujące kociątka, jak to jeden kotek ściga drugiego, jak się wywracają i biją łapkami. Uważałem jednak, że mniejszy pajączek zbliżał się do tego wielkiego z widocznem niedowierzaniem. Ośmielony jednak figlami starszego, zbliżał się coraz więcej; przyszło do tego, że mały pajączek zawiesiwszy się na jednej nici, obrócił się do góry łapkami, i jednę z nich jakby podawał wielkiemu. W tej chwili rzucił się na niego wielki pająk jak strzała, uchwycił w swe szpony, i nim by kto był w stanie naliczyć trzy, już go tak silnie owinął niezmiernie szybko wysnuwaną ze siebie pajęczyną, że nim skoczyłem do niego, już było za późno, już nietylko nie żył, ale nadto wielki pająk wpiwszy się w niego, wyssał go tak prędko, że gdy się zbliżyłem, zastałem tylko łapki jego, i przejzroczystą błonkę z całego korpusu.

Z oburzeniem i wstrętem odszedłem od okna, i mimo woli zamyślilem się nad tem.

— Stwórco wielki! — pytałem w duchu — czyż każde z twych stworzeń przeznaczone jest do cierpienia? Czyżby się obejść nie mogło bez tego? Czyż między tak małemi stworzeniami, istnieje także podstęp i zdrada? Dla czego w ogóle twory Twoje na świat przyniosły z sobą obok pierwiastku dobrego zarodek złego? Czy dla tego, abyśmy dobre cenić umieli?

Na wszystkie pytania odpowiadałem sam sobie, a do myślenia miałem dość czasu.

W kilka dni po mojem przybyciu do Małych koszar, powołano mię do kancelarji, i zastałem tam matkę i siostrę, i jeszcze jakąś 14- albo 15letnią panienkę. Przy przywitaniu oświadczyła mi matka, że to nasza krewna, której jeszcze nie znałem, panna Aleksandra Swobodówna. Domyślałem się zaraz, że całe pokrewieństwo pochodziło ztąd, iż innym sposobem nie pozwolono by jej odwiedzać mię w więzieniu. Wówczas atoli nic jeszcze nie wiedziałem, że to owa słynna nasza „Czarna Łapka.“ Mimo tego atoli coś pociągało mię do niej, i nie byłem w stanie na dłuższą chwilę oder-

wać od niej mych oczu. Do dziś dnia pamiętam całą szlachetną jej postać, i piękne rysy jej twarzy. Wzrost jej był mierny, a smukła i kształtna jak niekażde 15letnie dziewczę, a zresztą włos czarny i szklący, oczy także czarne jak tarki, a pełne i w długie rzęsy oprawne, cośkolwiek smętne, myślące, pełne wyrazu duchowego życia, a brwi tylko jakby wązkie smugi czarne, ślicznie odbijały od gładkiego czoła, ledwie nieśnieżnej białości, nosek cośkolwiek orli, dowcipny, różowe usteczka lekko wydatne, złożone do uśmiechu, w którym maluje się i boleść i słodycz, a białe policzki z dołkami lubego wdzięku, krasił rumieniec lekki jak tchnienie. Całość wyrażała myśl starszą i głębszą nad wiek, łagodność, dobroć i wykształcenie, a ruchy i mowa dowodziły wychowanie dobre, bogobojne, wychowanie polskie.

Odwiedziny w małych koszarach trwały nieco dłużej jak u Karmelitów, ale niemniej jak tam, odbywały się zawsze w obecności urzędnika a mianowicie w obecności pana Hohenauera, który usiadłszy od nas najdalej na trzy kroki, przysłuchiwał się każdemu słowu. Było tyle do mówienia, ale obecność niepotrzebnego świadka krępowała mowę i zatruwała każdą spędzoną tam chwilę, na którą czekało się cały tydzień. W małych koszarach bowiem przeznaczony był na odwiedziny tylko dzień niedzielny.

Matka moja zdziwiła się niesłychanie, gdy dowiedziała się odemnie, że siedzę samotnie. P. Hohenauer tłumaczył się rozmaicie, w końcu oświadczył, że zaraz każe mię przenieść do innej kaźni, gdzie siedzi kilku więźniów stanu.

Po odwiedzinach, gdy mię napowrót odprowadzono do kaźni byłem znacznie weselszy, gdyż lada chwila spodziewałem się urzeczywistnienia obietnicy p. Hohenauera. Pokazało się jednak, że radość moja była przedwczesną, w sześć dni bowiem dopiero, w sobotę, to jest na dzień przed odwiedzinami wszedł do mej ciupki kapral Sereniuk i wezwał do zebrania się ze wszystkiem, i oświadczył mi, że zostanę przeniesiony gdzie indziej.

Nowi towarzysze i Tunele.

Sprowadzono mię na dół, i wszedłem na korytarz, na którym spotkałem się z Karolem K.

Właśnie gdy wyszedłem na korytarz, otworzył strażnik jednę z licznych na tym korytarzu znajdujących się kaźni, i gdy kapral zbliżał się ze mną do drugich drzwi z porządku, już z otworzonej kaźni wyszło trzech dziarskich wiarusów, którzy zobaczywszy mię, bez wszelkiej ceremonii i żenady, głośno odezwali się do mnie:

— Witaj bracie, będzie nas więcej, a nazwisko?...

Powiedziałem nazwisko, i zapytałem wzajemnie, ale Sereniuk otworzył już drzwi, i wpakował mię do mego nowego, od tak dawna upragnionego mieszkania, — więc nie słyszałem już ich odpowiedzi.

Zaledwie pierwszy do kaźni uczyniłem krok, i tylko pobieżnie rzuciłem w nią mój wzrok, już — że się tak wyrażę, i inaczej wyrażać się nie mogę — inny jakiś owionął mię duch, owiało mię uczucie radośne, rozweseliło się serce.

Najpierwej przyjemnie uderzyła mię jasność i promienie słoneczne, których dotąd w żadnej nie widziałem kaźni, dalej większa jakaś czystość i porządek, a wesołe oblicza i dzielna mina trzech nowych moich kolegów, wlały we mnie życie nowe i jakąś nadzieję.

Jak powiedziałem, było ich trzech: Górski, Wisłocki, i Aleksander Pawlikowski.

Górski, był to górnik z Bochni, w wieku trzydziestukilku lat, niski, szczupły, brunet, z małemi wąsami i faworytami, blady, chorowity.

Wisłocki, były dzierżawca dóbr, niegdyś żołnierz polski, w podeszłym już wieku, silnie cały zarośnięty, — włos gdzieniegdzie przebijający siwizną, wzrostu słusznego, kościsty ale szczupły także, bo zmasakrowany przez chłopów, osłabiony i defektowy.

Aleksander Pawlikowski, były ekonom, młody mężczyzna, w 24tym roku życia, blondyn z czubem na głowie, miał

żwawe, pełne życia siwe oczy, czoło rozumne lecz uporne, nos perkaty, dowcipny i capią bródkę. To wszystko atoli było mu do twarzy, czyniło go bardzo przystojnym, tembardziej, że zgodny i wiecznie wesoły, nie troszczył się nigdy o przyszłość, nigdy się nie zasmucił, i swojemi dowcipami, i bardzo grzecznemi, umiarkowanemi żartami, rozweselił wszystkich. Jednem słowem, był to chłopak jak to mówią „czupurny“, i jestem pewny, że on nie dałby sobie nikomu w kaszę... dmuchnąć, ani w danym razie nie zaspałby gruszek w popiele. Cała jego postać i wyraz cały mówiły wyraźnie: „Dajcie mi szabelkę, dajcie mi konika“..

Jakkolwiek sam nic o sobie nie mówił, zdaje mi się atoli, że pod Narajowem, (należał bowiem do tej sprawy) pewnie nie był ostatni...

— A witaj że nam! były pierwsze słowa trzech moich kolegów, którzy zbliżywszy się do mnie, podali mi swoje dłonie, i szczerze uścisnęli moją. — Witaj nam bracie! kolego, towarzyszu niedoli...

— Jakośto — dodał Wisłocki — lżej nam będzie znosić razem i smutek, i troski, i niewolę,

— E! — wesoło przerwał zaraz Leszek — ktoby się tu smucił, troszczył, dają nam darmo i wikt i stancję, próżnujemy wiecznie, codzień idziemy na przechadzkę, troszczyć zatem nie mamy się o co. Niechaj się troszczą ci co nas tu wsadzili, a smucić się chyba dla tego, aby się nasi cieszyli wrogowie. Właśnie weselmy radujmy się, śpiewajmy mazury, krakowiaki, i wojenne piosenki, to przynajmniej nam nie zaszkodzi, a im popsuje humor.

— No — pomyślałem — tu widzę idzie inaczej, żeby to oni wiedzieli, jakim ja w pierwszych dniach mego siedzenia u Karmelitów byłem beksą, pewnie by mię wyśmiali i wyszydzili.

— Co to bracie? — zapytał znów Leszek — coś bardzo wyglądasz mi wyblichowany, musiałeś ty przebyć djable jakieś rekolekcje? Jak się nazywasz, i z jakiej ty sprawy? Bo my... — i wymienił powyż wyrażone trzy nazwiska, z krótkim opisem sprawy, do której należał.

Opowiedziałem im w krótkości wszystko, co od dnia 21go lutego 1846 roku przebyłem tylko — wyznaję, zatai-

łem im jedno, to jest, że u Karmelitów zmiękłem aż do łez. Gdy każden z nich opowiedział mi tylko nie wielą słowy, historję swojego życia i jakie przechodził koleje, przekonałem się jasno, że wszyscy w swoim sposobie nie mniej okropne od moich przechodzili koleje, a gdy przytem wszystkiem na ich wesołe, niepospolitą siłę ducha wyrażające popatrzyłem twarze, nie miałem w pierwszej chwili dość odwagi, przyznać się do takiej tkliwości.

Wśród naszej rozmowy, kilka razy pukali sąsiedzi do ściany, my atoli zajęci pogadanką, nie zwracaliśmy na to uwagi.

Właśnie gdy skończyłem opowiadanie moje, zaczęto mocno pukać do jednej ściany.

— Już się zgniewał — rzekł Leszek i zbliżył się do ściany.

Gdy przestał pukać, spytałem go do kogo pukał, i co, gdyż nie rozumiałem tego podziału alfabetu. Po lewej siedział J. Jaworski i Grodzki, po prawej zaś Celestyn Domain, Władysław Dydyński i Antoni Lewicki, a nad nami, na pierwszem piętrze, ksiądz Kincel, i ile sobie przypominam, Henryk Schmitt.

Obznajmiwszy się już tak z kolegami jak ze stosunkami, ja przystąpiłem do ściany, i najpierwej pukałem na ich alfabet, potem zaś nauczyłem sąsiadów alfabetu na 4 rzędy, i wkrótce doszliśmy do takiej doskonałości w pukaniu, osobliwie z Domainem, że nadzwyczajnej potrzeba by było wprawy, aby nas kto podsłuchujący mógł zrozumieć. Pukaliśmy na rozmaite sposoby skrócania.

Po kilku dniach od mojego przybycia między moich nowych towarzyszy, opowiedziałem nietylko im o wywierceniu dziury w murze u Karmelitów, ale także i mojemu sąsiadowi Jaworskiemu. Józef zdecydował się prędko do potrzebnego wywiercenia, a że należał do ludzi lubiących wykonać swój zamiar, zatem po upływie dni kilku, dziura była gotowa. Potem my wzięliśmy się do dzieła, ukończyliśmy także naszą pracę, i dalej podaliśmy dłuto.

W krótkim czasie cały szereg kaźni będących na tym korytarzu, miał poprzewiercane mury. Dziury takie nazwaliśmy tunelami, i niemi nietylko rozmawialiśmy wygodnie, ale

podawaliśmy sobie ognia do fajki. Na długim patyku przy mocowaną była bibuła, którą się zapalało, i sunęło przez tunel. Ten patyk otrzymał od nas nazwę lónta. Jeżeli jeden z nas zapalił fajkę, wszystkie kaźnie zaopatrzone były w ogień.

Zastukało się tylko do ściany, sąsiad otworzył tunel, i wsunęło mu się lónt, a on podawał dalej i dalej.

Tunelami posełaliśmy sobie także cygara i tytoń, a jeżeli przy odwiedzinach otrzymał który z nas karmelki albo co innego, także pakowało się do tunelu.

Zwykle wieczorem a raczej już w nocy, gdyśmy się już pokładli, dopiero się rozpoczynała pogadanka przy tych tunelach. Były bowiem wiercone w najdogodniejszem do mówienia miejscu.

Długo, długo nam to uchodziło, ale do czasu tylko dzban wodę nosi.

Pewnego pięknego poranku, słyszymy jakiś wielki rajwach w kaźni sąsiedniej, ba! nareszcie i do nas otwierają kaźnię, i wprost do naszych tunelów; zdaje się, że któryś ze strażników musiał podsłuchać rozmowę. W godzinę później znowu otworzono kaźnię, i nasze biedne tunele pozabijano ogromnej wielkości i grubości kołkami.

Ale że chcieli zrobić to zanadto dobrze, więc też przedobrzyli. Grube kołki rozszerzyły tylko nasze tunele, lecz nie uszkodziły. Zaczęliśmy koło tych kołków wiercić patyczkiem maleńkim i powoli, powoli, przy naszej wytrwałej około dobra tego tunelu pracy, ochwialiśmy kołki, i nareszcie wyjęli. Odtąd byliśmy już bezpieczni, bo kołki wbite przez dozorców w ścianę, zasłaniały nasze tunele, które już pozostały na zawsze nieruszone.

Jeżeli zdarzyło się czasem że któremu z nas, albo sąsiadowi wypadało przesłać jakąś większą paczkę, która niestety nie mogła się zmieścić tunelem, wówczas urządzało się pocztę w następujący sposób: gdy noc już zapadła, wówczas długi szpagat, — który powiedziawszy nawiasem, kręcił się często z nici wyciąganych z płótna siennika — związywało się, jak do gry w pierścionek; na jeden koniec przywiązywało się kamień, na drugi ową paczkę pocztową, wydrapywało się do okna chwytało się kraty by nakoniec nie upaść jeszcze na głowę, nareszcie przez kosz zarzucało

się do sąsiedniego kosza kamień. Sąsiad oczekujący tego, porywa kamień i tak długo obraca do siebie i od siebie sznureczek, póki wzmiankowana nie przyjdzie poczta, paczka.

Pewnego razu zabawna wydarzyła się scena, podczas przesyłki pocztowej. Nie pamiętam w której to kaźni siedział samotnie jeden z więźniów, z Tarnowskiego. Zrabowany zupełnie, ledwie uszedł z życiem — przywieziony został do Lwowa, a następnie do Małych koszar, na wpół prawie nagi, tak dalece, że z tego powodu nie mógł nawet wychodzić na tak zwaną tam przechadzkę, a po strażniczemu, „szpacir“, to jest, był tak nieszczęśliwy, że nie mógł z braku sukni wyjść pod strażą na podwórze zwane ogrodem, by wciągnąć w siebie cośkolwiek świeżego powietrza.

Koledzy siedzący nad nim, na pierwszem piętrze, udecydowali posłać mu pocztą powyż opisaną, ubiór kompletny. Widać atoli nienależeli do rzędu owych płaksiwych z Karmelitów, bo figle były im w głowie. Przeznaczony ów kompletny ubiór wypchali bielizną i innym prowiantem, i tak pozwiązywali, że to wszystko miało kształt silnego, rosłego mężczyzny.

Przygotowawszy wszystko, uwiadomili sąsiada na dole, że idzie poczta, i poczęli na sznurku spuszczać powoli sukiennego człowieka.

Żołnierz stojący na straży, myśląc że to więzień ucieka, krzyknął:

— „Holberda?“ *(Halt wer da?* czyli: Stój! kto idzie?)

Ci atoli pochowawszy się za kosze, nie zważając na to wcale, powoli coraz dalej spuszczali; żołnierz ponowił swoje „Holberda“ a gdy i na trzecie wezwanie żadna nie nastąpiła odpowiedź, dał ognia.

Strzał rozległ się po całych koszarach, straż cała wybiegła na podwórze dowiedzieć się co to znaczy, hałas, krzyk, rwetes i t.d. W chwili jednak gdy nasi wiarusy usłyszeli, że wszystko zaczyna być w ruchu, i że żołnierz z kimsiś rozmawia z daleka, — czemprędzej spuścili ową pocztę, więzień na dole przygotowanym na to haczkiem drewnianym przyciągnął do siebie, odwiązał szpagat, i przez kraty wciągnął do kaźni.

*

Na nieszczęście żołnierza odbyło się to przy ciemności nocy tak zręcznie, tak szybko, i właśnie wówczas gdy on się odwrócił, że nagle postrzegł iż człowiek ów czy widmo zniknęło mu z oczu; nie wiedział co się z tem stało i co to było.

Zaraz wpadła rewizia do kaźni, z której spuszczać się miał jakiś więzień przez okno. Z największem zadziwieniem przekonali się, że są wszyscy więźniowie, oraz że krata nie tknięta.

Na zapytanie kaprala: „kto spuszczał się oknem?“ udali zdziwionych, i oświadczyli, że to zapewne było przywidzenie.

Dopiero w kilka dni później, gdy postrzeżono owego więźnia na dole inaczej ubranego, domyślili się wszystkiego, lecz żadnego z tego nie robili dalszego użytku.

Na całym korytarzu, pomimo że to w więzieniu, panowała we wszystkich kaźniach wesołość. Przechodząc korytarzem, słyszałem w każdej kaźni wesołe rozmowy, śmiechy, pieśni, albo pukanie z sąsiadami z pierwszego piętra.

I ja odżyłem między moimi kolegami, i u nas było wesoło. Rzeczywiście nikt się nie troszczył o przyszłość, usuwaliśmy myśli tego rodzaju, a o wyroku nikt nawet nie pomyślał. Zresztą było nam to zupełnie obojętnem, jaki pod tym względem spotka nas los.

Wednie zajmowaliśmy się wyrobami z chleba, do czego Leszek był mistrzem i udzielał nam nauki tego. Także wyszywaliśmy na chustce nazwiska wszystkich więźniów którzy tylko byli nam znani.

Co wieczora zaś musiał każden z nas coś opowiadać.

W tem celował Wisłocki głównie miał dobrą wymowę, i dobry, zajmujący opowiadania sposób.

Między innemi opowiadał nam, jak utrzymywał stanowczo, prawdziwe zdarzenie, które umieszczam poniżej, nie ręcząc wcale za dokładność w opowiadaniu, zdaje mi się atoli, że nie wiele zboczę od opowiadania Wisłockiego.

Opowiadanie Wisłockiego.

Tu las był rzadszy, słychać z głębi ryk, trask łomu,
Aż z gęstwy jak z chmur wypadł niedźwiedź na kształt
[gromu.

Mickiewicz.

„Książę Karol Radziwiłł — zaczął Wisłocki opowiadać, ma tak głośne w ojczystych wspomnieniach imię, jako możny pan, co majątkiem i rozległością włości swoich, wyrównywał wielu udzielnym książętom, a prawdziwie wspaniałomyślną szczodrobliwością przewyższał wszystkich, — jako polski pan, którego obszerny dwór był rycerską szkołą starodawnych rycerskich przymiotów i obyczajów — że każde o nim wspomnienie znajdzie i u was miłe przyjęcie.

Dzielny jeździec, doskonały szermierz, celujący strzelec, był oraz namiętnym myśliwym; i nie myśliwym na dzisiejszą drobniutką skalę, ale myśliwym, dawnego, dzisiaj zupełnie nieznanego rodzaju, i pierwszym pomiędzy myśliwymi swoich czasów.

Polowanie tego księcia, nie było to miniaturowe polowanie naszych czasów, gdzie kilkunastu jeźdźców razem, pędzi za trwożliwym zającem, a ułowienie jego przy pomocy kilkunastu psów, sławi jego wielkie dzieło rycerskiej odwagi.

Polowanie księcia Karola Radziwiłła, były to istne wyprawy wojenne, z bronią wszelkiego rodzaju, z strzelcami różnych stopni, i godności, różnemi pociągami i przyborami, z namiotami, pachołkami i ciurami, a nareszcie z kuchnią i tem co odgrywało i odgrywa tak ważną rolę w sztuce myśliwskiej, to jest z piwnicą, bo owe polowania nie trwały dzień lub kilka, albo dni kilkanaście, lecz kilka tygodni. To też pochód myśliwski księcia Karola Radziwiłła, równał się pochodowi wojennemu licznej armji. Ale też nie goniono za biednemi szarakami, ani nie łamano sobie głowy po całych tygodniach, nad zastawieniem siedł na tchórzliwego lisa. A cóż dopiero myślić tam o jakichsić przepiórkach, słomkach, bekasach, wróblach i podobnego rodzaju biednem ptactwie,

które nasi dzisiejsi myśliwi z całodziennej wyprawy niosą z taką duma, jak niegdyś wodzowie rzymscy, zbroję na nieprzyjacielu zdobytą!

Wilk, — przynajmniej wilk, dzik, a szczególnie niedźwiedź, słowem zwierzęta takie, od których z samego widoku bledniejąą z przestrachu dzisiejsi fraszkowi myśliwi, — oto, panie kochanku! była ulubiona zwierzyna książęcego strzelca. To też panie kochanku! — zanim kto stanął w szeregach myśliwskich księcia Nieświeskiego, wprzód poznał się dobrze z oszczepem i rusznicą, i dobrze oswoił się z widokiem owych drapieżnych panów puszcz i borów litewskich; bo to panie kochanku! co strzał to zwierz, a zwierz, — od którego stąpania jęczała ziemia, od którego uderzenia padały drzewa, a od którego ryku daleko drżały gęste bory. „Pudło“ było coś rzadkiego, a strzelec co odznaczył się niem, szedł ukryć wstyd swój w daleką lasu gęstwinę.

Takie były myśliwskie wyprawy księcia Karola Radziwiłła, takie strzały jego towarzyszy, i taki zwierz który padał od tych strzałów.

Książe, była to epopeja myśliwstwa, nietylko w dziejach naszych, ale i w dziejach całej Europy. Chwałę myśliwskich jego czynów, opowiadały sobie z przestrachem wilki, dziki, i niedźwiedzie w norach litewskich, gdy uszły śmierci cudownym sposobem; chwałę jego opowiadały sobie tłumy myśliwych, w których była tak bogata lesista Litwa; a tę chwałę powtarzały usta wszystkich europejskich myśliwych, i usta wszystkich ludzi, których poezją, była czynna i z niebezpieczeństwy połączona dziarskość dzielnego ramienia, nieustraszonej odwagi i nieznużonej wytrwałości na trudy wszelkiego rodzaju.

Dla tego sądzę, że każdy wypadek owej charakterystycznej postaci z owych pamiętnych czasów, znajdzie w was ciekawych słuchaczy.

Było to pewnej, nadzwyczaj pogodnej i pięknej jesieni, która nastąpiła, — jak to często dzieje się u nas, — po brzydkiem i słotnem lecie. Przymuszoną nieczynność podczas lata pragnęli więc Nieświescy myśliwi hojnie wynagrodzić sobie podczas tej, dla polowania w ogóle najwłaściwszej pory roku.

Wyszło hasło z Nieświeskiego zamku, i wielki panował w nim ruch. Goniec za gońcem opuszczał bramę, inni przygotowując się do podróży, siodłali i wyprowadzali konie, sekretarz i kilku pisarzy rozpisywali zapraszające listy, a książę własną ręką robił na niektórych przypiski. Marszałek, łowczy, koniuszy, kuchmistrz, piwniczy i inna służba, otrzymawszy z własnych ust księcia rozkazy, krzątali się pilnie, i zawrzało w zamku, — w zamku był gwar.

Na wszystkie strony rozesłani gońce, zapowiedzieli dzień polowania, co lotem błyskawicy powtarzało tysiące radośnych ust.

Wkrótce jak pod wytknięty sztandar zwycięzkiego wodza, zbiegły się z bliska i z daleka tłumy myśliwych, a w każdego oku błyszczała radość, a ręka i noga rwały się niecierpliwie do boju — z nieprzyjaciołmi, — którzy władają bronią strasznych kłów i pazurów.

Nadeszła nareszcie oczekiwana chwila, i wszystko wyruszyło z zamku.

Pies księcia, ogromne brytanisko, nazwiskiem „Dido“, wyruszył także, i biegł obok księcia szczekając. Był on zawsze, wyjąwszy, gdy książę stał na stanowisku, — nieodstępnym księcia towarzyszem. We dnie i w nocy leżało ogromne to psisko u stóp swojego pana; na polowaniach nawet, kiedy na psy trąbiono, i sfory już były w porządku, nie zapomniał książe nigdy na wiernego Dida, wyciągnął piszczałkę, którą zawsze nosił przy sobie, zagwizdał, a donośny głos dochodził zawsze do ucha psiarczyka, który na łańcuchu prowadził Dida, i wraz z inną służbą podług wydanych rozkazów postępował za myśliwymi, albo na oznaczonem miejscu, oczekiwał głosu piszczałki. Dido znał dobrze głos ten, i z niecierpliwością największą przysłuchiwał ciągle, a gdy ozwał się głos, wtedy psiarczyk zaledwie tyle miał czasu, by go spuścić z łańcucha; bo często, jednym silnem rzuceniem się, jednym skokiem przewracał psiarczyka i wraz z łańcuchem w wielkich susach pędził za głosem piszczałki, przedzierał się przez najgęstsze zarośle drzew, i walcząc z krzakami do których czepiał się łańcuch, przybywał na miejsce swego przeznaczenia, i z głośnem szczekaniem rzucał się łasząc na

pana. Teraz więc także biegł koło pana, i dopiero w pobliżu lasu został oddany rezerwie.

Polowanie rozpoczęło się nareszcie. Polowano dzień jeden i drugi i trzeci, ale niestety! — książę nie był w humorze, zwierza rzadko tylko można było dopatrzyć, i nic nie pomagały sfory książęce; zwierza nie było, — ukrył się bowiem gdzieś w knieje daleko. Zniecierpliwiony książę zżymał się, gniewał, nakoniec kazał przywołać łowczego.

— A cóż panie kochanku? — zawołał książę, gdy zoczył przybywającego łowczego — czyliż nie będzie już lepiej, czyliż na to pospraszałem gości, aby wyśmiano mnie? ah! to, — rzecz niesłychana! odkąd zapamiętam, — a przecież to panie kochanku — było się nie na jednem polowaniu, i nie jedno dawałem w mem życiu, ale coś takiego, a nawet coś podobnego ani widziałem ani słyszałem, już kilka dni trwa polowanie, i zaledwie ubito kilka dzików i jednę wilczycę. A! — to już za wiele, bym mógł znosić cierpliwie, oh! — dodał grożąc i zapalając się w gniewie — panie kochanku! tak źle nie będzie, dosyć już tego!

I znowu zapytał gniewnie:

— Czyliż taka dla mnie twa wierność, czy tak wypełniasz moje życzenia, a twój obowiązek? Czy tak mi zawsze chcesz służyć? — A co to o mnie powiedzą wysocy goście, którzy przybyli z daleka niby na sławne polowanie? he?

— Oj! to mi łowy! daj go katu panie kochanku. Jedna wilczyca i parę dzików — przemówił książę sam do siebie, i znowu gderając zapytał łowczego:

— Czy słyszysz aspan, panie łowczy? jedna wilczyca i parę dzików, a kilka dni polowania! czy słyszysz? wstydź się aspan, to coś niesłychanego!

I jeszcze długo gderał i hałasował. Łowczy chciał coś przemówić, usprawiedliwić się, lecz książę nie przypuścił go do słowa. Nareszcie udobruchał się, gdy ujrzał że zawstydzony łowczy stoi ze spuszczoną głową zmartwiony.

Jako przebiegły myśliwy, wydał łowczemu nowe rozkazy, i obiecał nakoniec, jeźli polowanie... powiedzie się dobrze, nowemi go obdarzyć względami.

— A teraz — dodał, będąc już w lepszym humorze, idź aspan panie łowczy najpierwej do koniuszego, i przychodź z nim razem, później wypełnisz, co poleciłem względem polowania.

Książę najlepsze miał serce, nie mógł więc przenieść na sobie, ażeby nie obdarować łowczego, którego złajał niesłusznie, wiedział bowiem dobrze, że zwierz czasami instynktem wiedziony, przeczuje niebezpieczeństwo i umknie w przeciwległe, dalekie, lasów litewskich obszary; i wiedział że łowczy nie winien, — lecz nudy gości, których chciał przyjąć najlepiej, wprowadziły księcia w zły humor, i na łowczym wywarł swój gniew.

Wkrótce nadszedł łowczy z koniuszym, a książe ozwał się do ostatniego w te słowa:

— Aby łowczy spieszniej wypełnił moje rozkazy, wydasz mu aść panie koniuszy jednego z świeżo do polowania utresowanych koni wierzchowych z rzędem. A jutro — dodał do łowczego zwrócony — spodziewam się, że polowanie odbędzie się lepiej.

Koniuszy i łowczy skłonili się nisko i spiesznym odeszli krokiem, książę zaś udał się do namiotu rozbitego w lesie, na suty obiad, z którym wszyscy czekali na niego.

Nazajutrz zajęli stanowiska wszyscy myśliwi, jeszcze przed brzaskiem dnia. Książę tylko spóźnił się, i postępywał za łowczym, który go prowadził gęstwiną lasu na niebezpieczne stanowisko, a najulubieńsze dla książęcego myśliwca.

Dla myśliwca najlepsza pora, ranek przed brzaskiem słonecznym, gdyż wtedy, a najdalej o świcie powraca gruby zwierz ze żeru.

Droga, którą łowczy prowadził księcia, była nieznośną; wprawdzie stanowisko do którego dążyli obydwa, nie było tak bardzo odległe, ale rozmaite bagna, manowce, rowy, parowy, wąwozy, doliny, pagórki i t.d., które trzeba było obchodzić, niezmiernie utrudzały drogę, i nudziły niecierpliwego myśliwca.

— A moje stanowisko? — zapytał zniechęcony książę, i dodał gniewnie: — cóż u licha panie kochanku, czyż nie dojdziemy dzisiaj do niego?

— Już nie daleko, proszę księcia pana — odpowiedział łowczy — krzaki miniemy wkrótce, zaraz będziemy w gęstwinie, obejdziemy parów niewielki, cośkolwiek dalej potoczek mały, a za nim na prawo, i...

— I jeszcze dziesięć mil drogi! — przerwał mu książe.

— Ja chciałem powiedzieć, i zaraz stanowisko księcia pana.

— No no! znam ja wasze kawałeczki, i wasze, „niedaleko“, pamiętam je od upłynionego roku.

Co chwila, co kilkadziesiąt kroków pytał się książe: „A co, daleko jeszcze? Czy już blisko? a kiedyż tam u licha? i t.d. ale łowczy wywijał się zręcznie, zagadywał, opowiadał, nareszcie przyprowadził do mety.

— Oto właśnie jesteśmy, tutaj na tym pagórku — rzekł, jest stanowisko, ręczę że najlepsze. Ztamtąd na prawo stoi pan Stanisław, a na lewo tuż przy tym potoku pan Piotr z sąsiedztwa. Książe pan raczy tylko bacznie śledzić przed sobą, gdyż właśnie tędy musi przechodzić ścigany zwierz.

— No! to dobrze panie kochanku — rzekł książę, a łowczy oddalił się spiesznie.

Ranek był chłodny, a czyste, tu i owdzie tylko lekkiemi obłoczkami ukraszone niebo, zapowiadało dzień pogodny i jasny; wiatru nie było, lekki tylko wietrzyk czasami potrącił liśćmi.

Myśliwi na swych stanowiskach zachowywali najgłębsze milczenie; ptactwo niespodzianymi gośćmi spłoszone, przerwało ranną swą piosnkę, a przypatrując się z wierzchołków drzew przez gęstwinę zarośli — nieznanym i przez swe milczenie podejrzanym postaciom, czasami i to tylko w oddali świergocąc, odzywało się urywanym głosem z cicha i lękliwie. Nareszcie i te niewinnych ptasząt bojaźliwe pienia ustały, i cisza panowała dokoła, a las oniemiał cały, jakby dotknięty siłą zaklęcia, jakby w oczekiwaniu stanowczej chwili w jego wnętrzu rozpoczynającego się boju; myśliwi więcej do posągów niźli do istot żyjących podobni, śledzili z wytężonym wzrokiem i słuchem najlżejszy szmer liści, i najsłabsze nawet drgnienie, spadających w ciemną gęstwinę słonecznych promieni.

Już upłynęło blisko dwie godziny: a nic nie zapowiada, ani dla słuchu, ani dla wzroku niecierpliwie oczekiwane-

go rozpoczęcia boju; psy tylko niekiedyś odezwą się w dali, i utną.

Aż nareszcie uderzył o uszy krótki, głuchy i urywany głos jakiś, wkrótce znowu drugi, potem głosy te coraz ostrzejsze i wyraźniejsze, następowały szybko po sobie — coraz bliżej rozchodzą się po całej przestrzeni, aż nakoniec las cały zabrzmiał tysiącami głosów myśliwych, psów zaciekle ujadających, ściganych zwierząt, i raz poraz padających strzałów.

Książęca rusznica także raz po razu witała celnym ogniem spłoszonego zwierza, a wnet pokryły mnogie trupy myśliwskię pobojowsko.

Książę był uradowany, i mówił z cicha do siebie:

— Dobrze panie kochanku, dobrze panie kochanku!

Koło południa zwierz w inną obrócił się stronę, więc posunięto linię dalej w głąb lasu; łowczy miejsca wyznaczył, i stanowiska zmieniono.

Książę znużony i głodny, zaglądał czasami do torby — czasami zaś tylko jak inni, szukał w manierce posiłku; zresztą oparty o drzewo, lub siedząc na gałęzi, oczekiwał cierpliwie wieczora, w którym miała nastąpić solenna uczta.

Huk wystrzałów następujących w małych tylko przerwach jedne po drugich, rozlegał się daleko, a kilkakrotny odgłos, nowy doganiał strzał; szelest, przez gęstwinę zarośli przedzierającego się zwierza, psów ujadanie, skomlenie, „pst“ albo „pilnuj!“ sąsiedzkie, — czasami „pudło“ potem głośne „ha! ha!“ czasami „hop! hop!“ albo trąbka myśliwska, — bezustannie było słychać na przemian, a że przytem szczęście służyło myśliwym, — zwierz padał za zwierzem, — każdy więc zajęty, znajdywał się więcej w gorączkowym niżli naturalnym stanie; namiętność myśliwska rozwinęła się w dniu tym w całej okazałości, — osiągnęła, że tak powiem, szczyt najwyższy.

Nie dziw więc, że żaden z myśliwych nie postrzegł czarnemi chmurami pokrywającego się nieba, i ciemności nadchodzącej nocy.

Już zmierzchało się w lesie cośkolwiek, i trudno przychodziło na cel wziąć zwierzę, a przecież o powrocie nie pomyślał nikt jeszcze.

*

Właśnie co wypuszczono nowe sfory, a zwierz umęczony, wyparty z legowiska nowemi, świeżemi siłami, padał pod strzałami zapalonych myśliwych.

Wtem — nagle, — zaczęły spadać najpierw wielkie lecz rzadkie krople deszczu; nareszcie po całodziennej ciszy i spokoju zahuczał wicher, miotając jak kłosem, konarami stuletnich dębów; tymczasem chmury nadciągnęły bliżej, deszcz puścił się rzęsistszy, ognista wstęga czarne przerznęła chmury, piorun uderzył w pobliżu, deszcz lunął nawalny, — i straszna, niepamiętna zawyła burza wśród litewskich borów.

To wszystko nastąpiło tak szybko, że nikt nie wiedział co począć? Błyskawica za błyskawicą, piorun uderzał za piorunem, drzewa trzeszczały, a niektóre z korzeniem wydarte, łamiąc sąsiednie gałęzie, z takim padały łoskotem, że aż wstrząśnięta ziemia, drżąc za każdem uderzeniem gromu, głuchym odpowiadała jękiem.

Najodważniejsi zadrzeli przed tą straszną walką żywiołów, druzgoczących często całe lasów obszary; wszyscy zapomnieli o trąbce, psy zostawiono, i uciekano bez ładu, ażeby coprędzej ujść z lasu.

Książę został sam jeden, i przy swej tuszy uchodził zwolna; zapomniano o nim, i nikt nie przyszedł mu w pomoc. Po chwili dopiero usłyszał książę głos jednego z swych gości myśliwskich, gdy wzywał o pomoc; książę odezwał się i wkrótce połączywszy się z panem Stanisławem, starali przedrzeć się pomiędzy krzaki, by trafić do swoich; ale naprożno! Wszyscy bowiem zniknęli w ciemnościach lasu i nocy, — i daleko już byli zapewne, gdyż trąbka księcia nie była słyszana, — a coraz więcej i więcej wzmagająca się burza, szum, łomot, i walenie się drzew, nawałnica, grzmoty i pioruny, pochłaniały i trąbki głos; zresztą gdyby nawet usłyszano trąbkę — trudno byłoby poznać, czyja to trąbka i z którego odzywa się miejsca? Nakoniec, — wszyscy tak mocno przerażeni, i sobą tylko i swem ocaleniem zajęci, że pewnie nikt nie pomyślał o daniu pomocy.

Tymczasem noc zapadała coraz głębiej, nareszcie ściemniło się tak bardzo, że jeden nie widział drugiego, a wraz z ciemnością wzmagała się burza; łyskawica tylko oświecała czasem grubą ciemność, i według jej przelotnego światła

postępowali omackiem; książę zadyszany drżał równie jak jego towarzysz z wilgoci i z wrażenia szalonej burzy.

Pan Stanisław, jeden z bliższych właśnie przyjaciół księcia, towarzyszący mu obecnie, przypomniał mu piszczałkę, o której może poraz pierwszy zapomniał książę; była ona jedyną dla nich nadzieją, gdyż głos jej był nadzwyczaj ostry i donośny.

W istocie, nie zawiodła ich nadzieja, po kilkunastu bowiem minutach ciągłego gwizdania, usłyszano odzywające się najpierw w odległej dali, a potem coraz bliżej i bliżej dochodzące, mocne, urywane, i jakby rozpaczliwe szczekanie ulubionego książęcego psa, któren pewno od dawna z ostatniem sił wytężeniem szukał swego pana wśród gromów i nawałnicy. Tuż po znanym głosie Dida, przejmującym księcia nieopisaną radością, słyszyć się dał równie znany głos trąbki.

Któżby podołał wysłowić radość księcia? Całą siłą tchnął powietrze z swych płuc do trąbki, dając głośną odezwę na radośne hasło.

— Dzięki Ci Panie! — rzekł książę z pokorą, zwróciwszy oczy ku niebu.

A potem zwrócony do pana Stanisława, powiedział wesoło:

— No! panie kochanku! jużeśmy oswobodzeni, — jeszcze chwil kilka, a będziemy u naszych, — dalej panie Stanisławie, naprzód panie kochanku!

Lecz wnet zagasła nadzieja, co zaświeciła na chwilę naszym zbłąkanym.

Zaledwie bowiem dokończył książę swych słów, burza co ustawać zaczęła powoli, zawyła jeszcze mocniej jak przedtem, wicher zahuczał, wstrząsł z korzenia odwiecznemi drzewy, i znowu straszna nawałnica, jak olbrzymi potwór zaryczała w litewskim borze; gęstemi potokami zaszumiała woda we wszystkich wklęsłościach, a nasi myśliwi brnęli po kolana. I psa szczekanie, i trąbki głos, i wszelka nadzieja znikły od razu.

Rozpaczliwy wzrok księcia i jego towarzysza, szukał darmo pociechy w około siebie, szum tylko wezbranej wody, tylko wichru wycie, tylko straszny huk gromów, wstrząsał

rozległym borem, a raz poraz tylko ślepiące światło błyskawicy oświecało ten widok spustoszenia i zgrozy.

Znużony książę ledwie trzymał się na nogach, ale dobywając ostatnich sił, jeszcze raz zagwizdał. A ponieważ w tej właśnie chwili poczęła ustawać burza cokolwiek, więc zatrąbił także i pan Stanisław, chociaż już zwątpił o wszelkiej pomocy.

Wtem usłyszeli głośne pluśnięcie, jakgdyby coś ciężkiego wpadło do wody, — ucichło na chwilę — lecz wkrótce jeszcze bliżej słyszeć się dało pluskanie; strach przejął obydwóch, książę wydobył pistolet, odciągnął kurek, i chciał strzelić w tę stronę, zkąd słyszeć się dawało pluskanie; wymierzył na oślep by strzelić, ale na darmo, gdyż proch zamókł na panewce, — już sięgnął po rożek ażeby świeżego nasypać prochu, gdy nagle rzuciło się coś na niego gwałtownym skokiem, a książę uczuł na twarzy swojej, gorący oddech ulubionego psa swego, który go witał przerywanym jękiem radości.

Ta wierność psa, który, zdawało się, — tylko sam jeden nie lękał się niczego i narażał swe życie, ażeby dostać się tylko do pana, wlała w naszych rozpaczających myśliwych napowrót otuchę i siły. Zaraz po wylaniu swej radości, począł Dido postępować naprzód, w pewnym stałym kierunku, wracając się ciągle do pana jak gdyby go wzywał, by za nim postępował bezpiecznie.

Zaledwie zrobili kilkaset kroków, obił się o ich uszy głos trąbki; książę odpowiedział natychmiast, i wraz z panem Stanisławem szybszym ruszyli krokiem ku stronie, zkąd ich dochodził głos trąbki; nagle Dido zaszczekał i przyskoczył do księcia.

Książę znał psa swojego i jego zwyczaje, zatrzymał zatem pana Stanisława, i powiedział mu z cicha:

— Stójmy panie kochanku! Dido nie szczeka darmo, musiał coś zwietrzyć. Może zwierz jaki gruby... — i z całej siły zagrzmiał w swą trąbkę. Trąbka słyszana już pierwej, odzywała się jeszcze bliżej i coraz bliżej słyszyć się dawały jakieś krzyki, jakieś niewyraźne i pomieszane głosy. Pan Stanisław naglił do pospiechu, lecz książę nie miał już siły by naprzód postąpić, więc odpoczywał oparty o drzewo.

W tym momencie zaczęła burza szaleć na nowo, wicher silniej niż poprzód wstrząsnął drzewami — zabłysło — piorun z przeraźliwym łoskotem uderzył, i rozdarł na dwoje w pobliżu księcia stojące drzewo.

Znowu księcia nowa opanowała trwoga, — lecz wnet ustąpiła uczuciu radości, gdy przy jaskrawem świetle błyskawicy ujrzeli tuż przed sobą powóz z końmi, a w około niego kilku ludzi. — Rozdzielał ich wprawdzie od powozu jar głęboki ale nie tak długi, ażeby go w krótkim czasie obejść nie można.

Był to łowczy książęcy, który od niejakiego czasu z wiernością poświęcającego się sługi, zmoczony i zdyszany, wśród gromów i nawałnicy szukał swego pana.

W kilka chwil potem, siedział już książę wraz z swym towarzyszem w wygodnym powozie.

Dwaj nasi myśliwi przemoknięci do nitki, trzęsąc się od zimna, jechali otuleni w płaszcze, służba szła koło powozu i koni, a łowczy i Dido szukając miejsca do przejazdu, postępowali przed końmi powoli. Światło w latarniach gasło co chwila, a zapalane powtórnie, gasło ponownie.

Łowczy żadną miarą nie mógł rozpoznać, w której znajdują się stronie? i nie dziw, bo to był bór prawdziwie litewski, a jak mówi nasz wieszcz:

Któż zbadał puszcz litewskich przepastne krainy,
Aż do samego wnętrza, do jądra gęstwiny?
Myśliwiec krąży koło puszcz litewskich łoża,
Zna je po wierzchu, ich postać, ich lice;
Lecz obce mu są ich wnętrzne serca tajemnice.

Burza ustała już, a jeszcze długo błądzili nasi podróżni, często musieli nawracać, często książę musiał wysiadać z powozu, i już ustawały konie — nim łowczy radośną oznajmił nowinę, że widać światło w pobliżu.

— Sto czerwonych złotych — zawołał książę — jeżeli znajdziemy tam nocleg!

— A odemnie — dorzucił pan Stanisław — dostaną w takim razie ludzie księcia po dziesięć dukatów.

I wysiedli obaj z powozu, i z niecierpliwością oczekiwali łowczego, który pobiegł z kucharzem, ażeby naocznie przekonać się co spieszniej, zkąd pochodziło to światło.

Wkrótce powrócił łowczy i oświadczył, że jest wprawdzie chałupka o jednej izbie, i że w niej prócz lichego kaganka na oknie, jednej ławki koło drzwi, i trumny za piecem, nie ma nic więcej.

— A z trumny, proszę księcia pana — dodał żegnając się kucharz — widać palec przez dziurkę od wieka.

— Wszelki duch chwali Pana Boga! — zawołali przerażeni słudzy.

— No, no! panie kochanku, zobaczymy, zobaczymy — rzekł książe ciszej, tą wiadomością widocznie zniechęcony, lecz prędko stłumił to uczucie, i wziąwszy kucharza i łowczego, kazał się prowadzić.

Pan Stanisław towarzyszył księciu.

Po kilku minutach przybyli na miejsce. Dido był pierwszy w chałupce, i swoją tam bytność głośnem zapowiadał szczekaniem. Po nim wszedł książę z panem Stanisławem, za nimi łowczy i kucharz.

Dido stał blisko trumny — szczekał i warczał. Książę przywołał psa, kazał przynieść świece z powozu, a zapaliwszy je, rozkazał wieko zdjąć z trumny by się przekonać, czy w niej w istocie nieżywa spoczywa istota.

Kucharz lękał się, lecz widząc iż łowczy bierze się bez wszelkiej obawy do dzieła, zaczął mu także pomagać.

Wśród tej roboty zrobił łowczy uwagę, iż nie ma poco rozbijać trumnę, gdyż skoro palec wystający z trumny jest zimny i martwy, trup zatem tylko może być w niej.

Książe poprzestał na zdaniu łowczego, i zaniechano dalszej roboty.

Książe i pan Stanisław postanowili nocować w tej chałupce, i wkrótce poznoszono z powozu wszystko, co tylko niezbędnie było potrzebne, — mianowicie: bieliznę i suknie do przewdziania, podróżną pościel, świece woskowe, nareszcie wino i różnego rodzaju przekąski, w jakie tylko zaopatrzył się kucharz na prędce, gdy oświadczył mu łowczy, że jedzie szukać księcia pana.

Nasi myśliwi przebrali się szybko, i tem prędzej z żądzą prawdziwie zgłodniałych, rzucili się do jadła i picia. Nie zapomniano o nikim, a najmniej o wiernym psisku, któremu byli winni swoje ocalenie.

Kilka wypróżnionych butelek węgrzyna, wprowadziły wszystkich w usposobienie wesołe, i nawet u służby, która przed chwilą dopiero, żegnając się przed trumną, wykrzykiwała: wszelki duch chwali Pana Boga! i rozmaite odmawiała modlitwy, wszelka zniknęła obawa. Wszyscy byli weseli, długo więc śmiano się jeszcze, i opowiadano to o polowaniu, o ubiegłym dniu, to o burzy, która im taką niespodziankę sprawiła i co z jej powodu doznawał każdy z osobna przykrego.

Koło północy dopiero, gdy wszystkich głowy schylać się poczęły pod snem nieopartym, wyliczyli książe i pan Stanisław, wierni danemu słowu, przyobiecane dukaty, i rozdawali je ludziom. Prócz tego znieść kazał książe wino z powozu, i każdy ze służby dostał po dwie butelki węgrzyna.

— No! panie kochanku! — zawołał książe do łowczego zwrócony, — pieniądze macie, i wina dobrego po dwie butelki, ale spać nie pozwalam, — noc całą, — na nogach, macie karty, więc grać, — przy trzymaniu straży koło powozu i koni, zmieniać się trzeba podług porządku, a gdyby coś było ważnego, to panie kochanku — zbudzić nas trzeba.

Po tych słowach kazał rozebrać się książe, i spać się położył.

Tymczasem burza ustała zupełnie; ale niebo w czarne przyodziane chmury, osłoniło las cały kirem grubej ciemności, na dworze cicho i głucho, liść nie zaszeleścial nawet, czasem tylko ponuro ozwała się sowa lub inny ptak nocny; — w chacie także cicho i głucho, gdyż milczy służba, bo spać się pokładli panowie. Dido tylko drzemiąc u stóp pana, przez sen zawarczał niekiedy, a czasem podniósł wielki swój łeb, spoglądnął na trumnę, i wyszczerzył zęby, a gdy znużenie przemogło, opuścił łeb swój na łapy, zdrzemnął nareszcie, i — usnął.

Książę przymuszał się do snu, ale naprożno. Pan Stanisław przeciwnie, usnął bardzo prędko. Przy drzwiach na

ławce paliły się swiece woskowe, a po rogach ławki, siedzieli łowczy i kucharz, i grali cichaczem w marjasza.

Książe zaciągnął pokrycie aż na głowę, by nie słyszyć podejrzanego warczenia Dida, a szczególnie by nie widzieć trumny, której widok był dlań nieprzyjemnym i rażącym. Czasami jednak uchylił mimowolnie przykrycia, i powiódł wokoło siebie niespokojnym wzrokiem. Nareszcie przemogło znużenie, i książę usnął powoli.

Zapewne niespokojność księcia wydać się może dziwną, nam, ludziom teraźniejszym. Ale nie zapomnijmy oraz, że od owej chwili, upłynęło blisko sto lat, a sto lat ważniejszych w historji oświaty, jak w innej epoce kilka nawet wieków, bo w przeciągu tych stu lat postąpił duch ludzki w każdej gałęzi wiedzy tak daleko, że myśl badawcza doszła aż do tajnych głębi życia ludzkiego. Wiele z tego, co dla ówczesnych ludzi było przedmiotem podziwienia, jest dla nas rzeczą pospolitą; wiele z tego, co dla ówczesnych ludzi było niedocieczoną tajemnicą, jest dla nas rzeczą tak powszednią i łatwą do pojęcia, jak wschód i zachód słońca.

Prosty umysł ludzi ośmnastego wieku, nie kusił się o rozdarcie tajemniczej zasłony otaczających go zjawisk.

Nie posuwamy się do tej śmieszności, odmawiać wiekom ubiegłym zasługi położonej w sprawie oświaty, ale oświata jest to olbrzym, posuwający się czasami bardzo spiesznie, ale najczęściej tylko powoli i tylko w ciągu wieków. A jak wiadomo, książe Karol Radziwiłł, nie był człowiekiem filozoficznych badań, lecz człowiekiem czynu, nie był to ów nad książkami ślęczący uczony, ale mąż czynny udział w życiu biorący, i jednem słowem nie był to filozof, ale zacny rycerz. Koń, szabla, rusznica, łowy, i wszystkie rycerskie sprawy, sprawy rycerskiego ramienia, i rycerskiego serca, o to te, były jego filozofją.

Kogóż więc zadziwi, że rycerz, którego filozofja mieściła się w sercu, pojmował wszystko sercem, i że krytyczny rozum dzisiejszej wygórowanej oświaty, dziwnem znaleźć może niejedno z ówczesnych wyobrażeń.

Książe Karol Radziwiłł był człowiekiem swego czasu, a więc miał, i prawie musiał mieć wady i zalety swego czasu.

Któż zresztą rozwiązał lub zdoła rozwiązać dokładnie wszystkie zagadki życia? kto policzył i wymienił wszystkie struny duszy, wszystkie potajemne i niewidome węzły co nas łączą z otaczającym światem?

W dziedzinie twórczej czynności i myśli olbrzymiej, któż od czasów Cezara stanąć może obok Cezara Napoleona? A przecież wiadomo, że ten uczuwał jakiś rodzaj trwogi i niepokoju, jeżeli wstając z łóżka włożył obuwie przypadkiem najpierw na inną nogę jak zwykle. Ale pomimo tego Napoleon był i pozostał Napoleonem. Cóż więc dziwnego, jeżeli tę naturalną odrazę, którą każdy uczuwa do trupa, uczuł także i książe Karol Radziwiłł? Ale pomimo tego książe Karol Radziwiłł był i pozostał znakomitym panem rycerskim, z czasów ostatniej rycerskiej epoki.

Prawie każdy z nas, dzisiaj żyjących, byłby niezawodnie niedał ułudzić się pozorem, byłby usunął się z rażącego miejsca, albo byłby był w razie jakiejś wątpliwości trumnę otworzył, i zbadał stan rzeczy.

Tym sposobem uniknąłby nieprzyjemnej chwili i nieuzasadnionego przestrachu.

Wprawdzie nie można powiedzieć, że książe wierzył albo lękał się strachów, duchów, upiorów lub istot z niewidomego w opowieściach gminnego ludu istniejącego jeszcze świata, lecz będąc zawsze otoczony licznym orszakiem przyjaciół lub dworzan, nie czuł potrzeby zastanawiania się nad tem, w obecnym więc wypadku, do którego przystępujemy na nowo, pozostała mu tylko lękliwa niepewność, „wierzyć albo niewierzyć?“

Łowczy tymczasem poszedł z kolei do pilnowania powozu i koni, a woźnica i lokaj zostali w izbie na straży, atoli winko, którem raczyli się szczerze, przemogło nad chęciami czuwania, i pogrążyło ich we śnie.

Po kilkunastu minutach snu, głośniejsze psa warczenie obudziło księcia, — uchylił zatem przykrycia, i bojaźliwem okiem powiódł zwolna po izbie: woskowe świece, które na rozkaz księcia palić się miały noc całą, były nieobjaśnione, i tylko ciemne światło rzucały na izbę, — służba czuwać mająca, spała, woźnica leżał na ziemi, drugi służebny zaś spał przewieszony przez ławę, Dido łeb podniósł do góry,

najeżył sierść, nastawił naprzód uszy, wyszczerzył zęby, i gotów do skoku, poglądając na trumnę warczał zajadliwie. Nareszcie padł wzrok księcia na trumnę: przypatruje się — natęża wzrok, i własnym oczom nie daje wiary, przeciera oczy, patrzy, i widzi zdziwiony, że palec wystający z wieka trumny, porusza się lekko.

Nieustraszony książę przeląkł się może po raz pierwszy w swem życiu; pot na przemian zimny i gorący, polał się z czoła przerażonego księcia, serce zabiło jak młotem, a włosy stawały na głowie; tymczasem palec poruszał się coraz mocniej, a książę był tak przerażony, że lękał się głośno zawołać na służbę, — budzić pana Stanisława, wstydził się, zarzucił zatem kołdrę na głowę, uszy przytkał rękami, a sen, co uleciał mu z powiek, zastąpiła gorąca modlitwa.

Wkrótce ucichł pies, a trwożliwa ciekawość spowodowała księcia odsłonić uszy i twarz; pierwszy rzut oka padł na trumnę; — a z największem przerażeniem spostrzegł książę, że wystający palec schował się pod wieko, teraz nie mógł już wątpić, przekonał się, iż lekkie palca ruszanie, nie było złudzeniem. Trącił więc z lekka, a potem mocniej spiącego towarzysza, ale napróżno, — pan Stanisław spał jak zabity.

To jeszcze większą przejęło go trwogą, — zawołał zcicha na sługi — ale niestety! i ta nadzieja spełzła na niczem, a z trumny wydobywać się zdawał głos jakiś, stłumiony, ponury. Dido podniósł się, nadstawił uszy z większą uwagą, i głośniej zawarczał niż poprzód.

Książę, przywiedziony do ostateczności, chciał właśnie głośno zawołać na służbę, gdy wtem podnosi się nagle wieko trumny, i pada z łoskotem na ziemię.

Zrywa się książę i siada, Dido zaś szczerzy zęby, warczy, sierć jeży — nareszcie ośmielony czuwaniem pana, rzuca się z głośnem szczekaniem na trumnę; lecz bojąc się zapewne bliżej przystąpić, gryzie i szarpie za wieko.

Głośne Dida szczekanie, nie obudziło nikogo. Wszyscy prócz księcia spali jakby uspieni czarodziejską ręką. Trup tymczasem spoczywa w trumnie spokojnie, pierś tylko jego wzdyma się lekko. Po chwili otwiera oczy, a straszny wzrok jego pada na księcia, nareszcie wyciąga swe ręce, porusza

palce wychudłe, i obie ręce opadają zwolna z trumny na ziemię, a Dido, co zawsze odważny, co z wilkiem staczał już walki, co już borykał się może nieraz z niedźwiedziem, utracił odwagę — gdyż chociaż skoczy ku trumnie, to cofa się zaraz z przestrachem do pana.

Książę napróżno potrąca pana Stanisława, woła i krzyczy napróżno, — nikt jego nie słyszy głosu, gdyż wszyscy jakby snem wiecznym uspieni.

— Boże! — zawołał książę — ratuj mię Panie!

A zwróciwszy się do trumny, wyrzekł głośno i śmiało:

— Wszelki duch chwali Pana Boga! — i przeżegnał się z uroczystością.

Na to zagadnienie podnosi się trup mozolnie, siada i wspiera się ręką na trumnie. W tej chwili rzuca się Dido na niego z wściekłością, ale cofa się tem prędzej, gdyż trup szybko wyłazi z trumny; — zarośnięty, wyschły, wysoki i straszny, staje na nogi, i wolnym, czasem tylko zachwianym krokiem, wprost postępuje ku księciu.

Książę powstaje aby za kindżał uchwycić, ale drgają kolana, chwieje się i pada na pościel chce krzyczyć, lecz przestrach odjął mu mowę, otwiera usta, sili się, ale głos zamarł na ustach. Straszna ta postać grobowa staje przed nim na parę kroków, zatapia w nim wzrok obłąkany, przeciąga usta, i kłapie zębami, pierś jej wzdyma się gwałtownie, wydaje głos jakiś bolesny, niby do jęku niby do śmiechu podobny, ale dla księcia ponury i groźny, nareszcie drga konwulsyjnie, i długie swe ręce z pokurczonemi niby szpony palcami, wyciąga ku niemu.

W tej ostateczności, odzyskuje książę zmysły i siłę, zrywa się, chce za kindżał uchwycić, ale napróżno, gdyż trup już postąpił ku niemu, chwyta go za ramię, i wstrząsa nim silnie. Książę woła, lecz jak poprzód nikt go nie słyszy, usiłuje wydrzeć się, — napróżno, — kościste palce z trumny powstałego przeciwnika pochwyciły go mocno, i już go druga zimna objęła ręka; nadarmo kopie pana Stanisława nogami, nadarmo szamocze się z trupem.

Rozpoczyna się walka, ale straszny wzrok przeciwnika przeraża księcia, — książę słabnie po chwili i chwiać się poczyna, trup objął go konwulsyjnie i trzyma mocno.

— Dido! — woła książę na wiernego psa, który właśnie szarpał z wściekłością nogi przeciwnika.

— Dido! — krzyknął książę powtórnie, a pies rzucił się zajadle na trupa, pochwycił za kark, zacisnął szczekę, wstrząsnął, i jednym zamachem obalił na ziemię.

Książę mocno trzymany upadł omdlony na trupa, przygniatając go swoim ciężarem. W tem nadszedł łowczy, i przerażony, ujrzał krwią zbroczonego księcia, leżącego na trupie, którego Dido trzymając za gardło, szarpał zaciekle.

Książę wodą skropiony, wkrótce odzyskał przytomność, a trupa włożono do trumny, wiekiem przykryto, i odmówiono pacierze.

Na drugi dzień dowiedziano się, że to był człowiek nieznanego pochodzenia, i w lesie zdziczały — nikt nie wiedział zkąd przybył — nie żył z nikim, do nikogo nie mówił, żywił się korzonkami i zwierzyną, widziano go często, jak skórę zdejmował z niedzwiedzia, potem rozniecał ogień, przypiekał mięso, i pożywał nawpół surowe. Nikt nie śmiał zbliżyć się do niego, gdyż wtedy strasznie zawracał oczyma, groźnie powstawał z miejsca, i uchodził w lasy.

Na kilka dni przedtem zdarzeniem, znaleziono go wpół martwego koło tej pustej chałupki, wniesiono go do niej — a gdy zaglądnięto w parę dni później, zdawało się, iż zakończył życie. Zrobiono trumnę, włożono ciało, i zapalono kaganek.

Nazajutrz miał być pochowany.

Nie podpada więc żadnej wątpliwości — kończył Wisłocki — iż ten nieszczęśliwy był tylko w letargu.

Jeszcze kilka dni z towarzyszami.

I skończył swoje opowiadanie, a my długo, długo porównywali w myśli życie teraźniejszej generacji, z ówczesnem naszych przodków życiem, i — jak to później okazało się z toku naszej dalszej rozmowy, tak Wisłocki jak Górski powzięli stałe, niezłomne przekonanie, że coraz bardziej wkrada

się do nas zgubna dla kraju i cały naród niszcząca zniewieściałość, że z każdym rokiem, ba nawet z dniem każdym coraz bardziej malejemy na duchu, pomimo że tu i owdzie jak piękne meteory niebieskie, pojawiają się piękne, wzniosłe postacie, godne, ażeby je porównać z owymi, żelaznej woli i spiżowego hartu ducha mężami wielkiej przeszłości naszego narodu.

— Gdzież naszych przodków odwaga? Gdzie — pytał dalej Wisłocki — naszych przodków męztwo? Gdzie naszych przodków wytrwałość wielka, długa, niechwilowa, lecz całe życie trwająca? gdzie to stałe, pełne rezygnacji poświęcenie naszych niedawnych jeszcze przodków, którzy to czy na jawie czy we śnie, tylko dobro pospolite mieli na celu i w myśli w sercu i w czynie, którzy tylko o szczęściu pospolitem śnili, marzyli, myśleli, dla tego szczęścia, bez osobistych widoków na przyszłość, całe poświęcali lata, całą przyszłość, całe życie swoje, którzy dla dobra ogółu wyrzekali się domowego szczęścia, porzucali domy, porzucali ojców, matki, siostry, żony, kochanki i wszystko, co im było najdroższe? Gdzież są tacy mężowie, którzy nie licząc wroga rzucali się na niego z prawdziwie męzką odwagą? Gdzie są mężowie podobni do bohaterów z pod Grochowa, Ostrołęki, Wielkich Dębów i Igania? Oh! — mówił uśmiechając się szyderczo — oh! wiem, wiem że wielu jest gotowych poświęcić wszystko w chwili uniesienia, w chwili zapału, ale gdy zimna nastąpi rozwaga — niknie ich jak błyskawica przelotny zapał, ginie ich męztwo, ginie odwaga. Wiem, że w słowie wiele jest męztwa, wiele odwagi, tem więcej poświęcenia, ba wierzę nawet, że wiele dobrych jest chęci, ale — dodał wzruszając ramionami — cóż mi z chęci? chęci to tylko prawie zachcianki! a ja, moi bracia — kończył w swoim zapale — ja.. ja chcę, ja żądam, ja wymągam woli, woli żelaznej, woli nieugiętej, niechwiejącej się, gdy przyjdzie do czynu. Chęć, to tylko podrzędny dar nieba, wola zaś, to nieoceniony, od Boga nadany nam skarb, który powinniśmy cenić wysoko, pielęgnować starannie, i wzmacniać, by coraz głębsze, i coraz silniejsze w naszem wnętrzu zapuszczała korzenie! Niestety! ja woli nie widzę, w ostatnich czasach, a mianowicie w ostatnich dniach przed mem uwięzieniem,

postrzegałem tylko chęci uginające się jak kłosy, za najlżejszem tknięciem, za lada najlżejszym powiewem nie wichru, nie druzgoczącej, łamiącej burzy, ale za lada najlżejszym powiewem niewieściego zefiru!

Poczciwy, dzielny Wisłocki trząsł się na całem ciele gdy kończył te słowa; i na poparcie słuszności swojego twierdzenia, przytoczył odwrót z pod Tarnowa i Sanoka.

Górski stanął po stronie Wisłockiego, i przytaczał Gdów i Kraków, pomijając zdradę.

Ja milczałem; Leszek słuchał uważnie, i na pozór obojętnie, widziałem atoli, że po każdym, naszej generacji uczynionym zarzucie, coraz silniejszy na jego twarz występował rumieniec, że coraz mocniej zaciskały się wargi, że coraz więcej chmurzyło się czoło, oraz, że z jego oczu coraz wydatniej piorunujące sypały się iskry.

Gdyby ktoś z obcych, z nieznajomych, był mu się wówczas przypatrzył bliżej, byłby był mniemał niezawodnie, że groźny, w wnętrzu jego kipiący wulkan, jest bliskim strasznego wybuchu, niszczącego wszystko w swojem pobliżu.

Ja atoli poznałem go już o tyle, o ile był zdolny zapanować nad sobą.

Rzeczywiście przekonałem się wkrótce, że słusznie tyle przypisywałem mu siły.

Zaledwie skończył Wisłocki i zaledwie dokończył Górski opowiadanie o Gdowie, zmienił się wyraz jego twarzy, i niby żartem, a przecież na serjo odezwał się Leszek:

— Protestuję moi panowie! protestuję najsolenniej, najuroczyściej!...

— Jakto ojcze? — spytał stanowczo zwrócony do Wisłockiego, którego dla jego wieku zwykle nazywał ojcem — jakto możecie ojcze zarzucać nam zniewieściałość, brak odwagi, brak męztwa, brak wytrwałości, jak możecie utrzymywać, że z każdym rokiem, z dniem każdym malejemy coraz bardziej? Jak nakoniec można nam zarzucać brak poświęcenia, i brak czynu i woli? O! wiem ojcze, dlaczego tak mówicie; smutne wypadki bieżącego roku, i tem smutniejszy los, jakiego doznały obwody: Tarnowski, Bocheński, Wadowicki i t. d., a raczej jakiego doznali mieszkańcy tych obwodów, napoił was tą goryczą, tembardziej, że główną wi-

nę tych wypadków srogich przypisujecie Sanoczanom i Tarnowianom, a właściwie małej tylko ich garstce, utrzymując, że gdyby nie ich odwrót z pod Tarnowa i Sanoka, wszystko wzięło by było zupełnie inny obrót, oraz że zajęcie Tarnowa i Sanoka, a następnie innych może miast lub miasteczek, byłoby było inaczej usposobiło nasz, jak zwykle każdy inny po stronie silniejszego stający lud, co zapewne w dalszem następstwie byłoby było rzeczywiście odwróciło okrutną klęskę, która dotknęła nasz kraj; ale mój ojcze, właśnie ta klęska naszego kraju, właśnie ta naszych ojców, matek, braci, żon i dzieci niewinnie przelana krew, właśnie te świeżo nad ich ciałami wzniesione, usypane mogiły, czyż nie dowodzą miłości do kraju, poświęcenia, męztwa i odwagi? Czyż to nie jest poświęceniem bez granic, że wielu, wielu z naszych męczenników raczej wolało bezbronnie zginąć okrutną śmiercią, niż zabijając braci swoich w własnej obronie, utwierdzić ich w tem przekonaniu, że cały nasz ruch przeciw nim jest wymierzony? Czyż to nie jest pytam się poświęceniem, a oraz dowodem męztwa i bohaterskiej odwagi? A nareszcie, ciągnął dalej, wpadając cokolwiek w zapał — jeżeli w tym względzie nie przyznacie mi słuszności, czyż owe garstką kilkunastu pod Narajowem odniesione zwycięztwo, także nie świadczy o męztwie i odwadze, a Hohołów? czy zapomnieliście o tem, a cóż oznaczają wszystkie po całym kraju nami i nam podobnymi zapełnione a raczej przepełnione więzienia?... A Gdów? o! o Gdowie wiele by było do mówienia... i ten fakt oceni późniejsza historja. A co do mężów woli i czynu, mamy ich także niemało; dziś, — tu, w tem więzieniu, gdzie głuche, zimne tylko mury przynoszą nam wieści, dziś, bardzo tylko chwiejne wydawać możemy wyroki w tym względzie — to przyszłość okaże; gdy kiedyś — może po wielu latach, wolni i zdrowi opuścimy więzienne progi, usłyszymy niejedno i poweźmiemy przekonanie, że jak nigdy tak i obecnie nie zbywa nam nietylko na mężach czynu i woli, ale nawet na licznym, bardzo licznym zastępie prawdziwych bohatyrów.

— Dosyć, dosyć! przekonałeś mię chłopcze, przekonałeś mię, ot, darujcie mi, darujcie staremu, żem może zanadto i niesłusznie na własnych powstał braci, ale rzeczywiście od-

gadłeś mię bracie, Tarnowska i Sanocka sprawa ta była główną mego wybuchu pobudką.

Kto wie, jak długo byłby toczył się spór, gdyż Leszek gotował się znowu do dalszej odpowiedzi, — gdyby właśnie jeden ze sąsiadów nie był wezwał Leszka do tunelu.

Tunelem doniesiono nam, że jeden z sąsiadów wrócił właśnie z odwiedzin i przyniósł wiadomość, że temi dniami już kilkunastu więźni wywieziono do Berna, że ich wywieziono partjami po 8, i że tym sposobem wszystkich będą wywozić, nakoniec że i jego excelencja pan Krieg smutnego doznał przypadku, że jakiś kozioł czy cap pobódł go niemiłosiernie, i jak słychać na śmierć.

Te wiadomości były dla nas tak wielkiej wagi, że uznaliśmy za stósowne nietylko donieść je naszym sąsiadom po drugiej stronie, ale nadto zastukawszy do powały, wywołaliśmy do okna więźniów pierwszego piętra.

Leszek wyskoczył do okna, wdrapał się na nie, i uchwyciwszy za kratę, chrząknął, chrząknięcie odezwało się z góry.

— Jesteś? — zapytał zcicha.

— Jestem! — odpowiedziano.

— Czy słuchasz?

— Słucham!

— *Ruhig!* — odezwała się straż chodząca pod oknami, i dodała — *nicht reden!*

Nikt atoli żadnej na to nie zwracał uwagi, i rozmowa toczyła się dalej, choć ciszej.

Winienem tutaj nadmienić, że straży stojącej pod oknem nie tak łatwo zrozumieć, gdy tylko cośkolwiek rozmawiają ciszej, kosz bowiem z desek złożony według konstrukcji swej budowy niesie echo do góry.

Gdy Leszek ukończył opowiadanie, zapytał któryś z więźniów odnośnie do wypadku pana Kriega: „Czy na śmierć?“

— Nie wiem! — odpowiedział Leszek — zdaje się atoli że żyje!

— Żałujemy mocno. — krótko odezwał się głos.

— Jakto? — zapytał Leszek — czy tego że żyje?

— A! broń Boże! żałujemy, że mu się taki bolesny wydarzył wypadek. — Czy jest co więcej nowego?

— Nic — odparł Leszek i zeskoczył, gdyż słysząc na korytarzu brzęk kluczów, został przez nas ostrzeżony.

Rzeczywiście kapral Sereniuk wszedł do naszej kaźni, i wprost udał się do okna; nie mówiąc ani słowa, wylazł na pryczę, stanął przy oknie, i bez ceremonii zamknął nam i tak mało powietrza przypuszczające okienko na kłódkę.

Znając już naturę pana kaprala, przyjęliśmy to z wielką na pozór pokorą, przyrzekając jaknajuroczyściej, że więcej już nigdy ani jednego słowa nie wypuścimy przez okno, poczęstowaliśmy go tabaką, której szczyptę raczył łaskawie przytknąć lekko do swego kapralskiego nosa, potem zastąpiliśmy mu drogę, i nawpół żartami, nawpół niby serjo, to tędy to owędy przystąpiliśmy do miłego jego kapralskiej godności połechtania; zaczęliśmy mu schlebiać niemało, mówiliśmy mu o jego godności, o znaczącem jego stanowisku, o znanem powszechnie szlachetnem sercu niezwykłej dobroci, że on nie jest stworzony na kaprala, na dozorcę więzienia, że jemu niezawodnie Pan Bóg przeznaczył coś lepszego, tylko ciężcy jego wrogowie przeszkadzają mu do tego i t. d. i t. d., jednem słowem, dopięliśmy tego, że wrócił się stary kapralisko, i otworzył nam okno.

I w tem celował Leszek. Umiał on jakoś przemówić do prostej duszy kaprala, który mimo wszystkiego nie liczył się do najgorszych. Leszkowi główne należało się podziękowanie, za ocalenie nam świeżego powietrza.

A okno w naszej kaźni, wielką odgrywało rolę. Po pierwsze, że okno nasze wychodziło naprost bramy, po drugie że mieliśmy w naszym koszu jaknajwygodniej wyrzniętą dziurę, z doskonałą niewidzialną zatyczką, a po trzecie, że za pomocą dwóch zwierciadeł, (z których jedno u góry cośkolwiek po nad kosz wystawione, a drugie u dołu przeciw górnego było położone) widzieliśmy wszystkich przechodzących a raczej bramą wchodzących; — widzieliśmy gdy kto szedł w odwiedziny i kto odchodził, oraz widzieliśmy, gdy przywieziono jakiego więźnia.

Zresztą przyjemnie było stanąć przy otwartem oknie, i czy to we dnie czy w nocy, patrzyć na nasze niebo, milsze, droższe dla nas od włoskiego, i każdego innego nieba.

Podczas ciemnych nocy użalaliśmy się między sobą na brak światła, i prawdziwie zapragnie się mocno ujrzyć świecę lub lampę.

*

— Poczekajcie! — zawołał pewnej nocy Leszek — poczekajcie! jutro sprawię wam bal, jutro będziecie mieć świecę.

Wiedząc że to niepodobne, uśmiechnęliśmy się tylko, i stoczyli rozmowę na co innego.

Nazajutrz atoli kazał sobie Leszek przynieść funt świeżego, młodego i niesolonego masła. Gdy mu przyniesiono, ukręcił knot, oblepił masłem dość grubo, i świeca była gotowa.

W nocy drzwi i okna pozatykaliśmy szczelnie kocami, ażeby żadna, nawet najmniejsza nie została szpara, i — zapaliliśmy świecę.

Po chwili zapukał strażnik do wizytyrki.

— A co tam? — spytaliśmy, zerwawszy się z pryczy, by być w pogotowiu na wszelki wypadek.

— A czemu to u panów tak ciemno? — pytając zagadnął strażnik.

— Bo noc, a jakżeż to pan chcesz, aby było widno, dajcie nam lampę albo świecę, to będzie nam jaśniej.

Strażnik zamknął wizytyrkę i odszedł.

Nazajutrz ta sama powtórzyła się scena, z tą atoli różnicą, że strażnik niezadowoliwszy się naszą odpowiedzią, przywołał kaprala. Nim jednak kapral był wstanie otworzyć drzwi, koce już były na swojem miejscu, my na pościeli, a nasza maślanna świeca i zgaszona i schowana.

— Co tu tak słychasz? — zapytał kapral.

— My nic nie słyszymy — była odpowowiedź.

— Ale co tu tak smerdzi?

— To pewnie knot ze świecy. — I wskazaliśmy na jego latarkę.

Pokręcił się kapral po kaźni, pozaglądał do każdego kąta, nareszcie nieznalazłszy nic podejrzanego, opuścił ją.

Tak, mniej więcej, jak na więzienie, dość wesoło upływały nam godziny, dnie i miesiące. Gdy atoli, żaden z nas nie miał większych funduszów, nie mieliśmy co czytać, ani nie mogli na naukę pożyteczną obrócić naszego czasu.

Czułem to mocno, i lękając się ażeby najpiękniejszy wiek do nauki nie przeminął daremnie, zwróciłem na to przy pierwszych odwiedzinach uwagę mej matki.

Matka, która spieniężała wszystko, co jeszcze pozostało z ocalonego, ażeby tylko ile możności poratować ojca, i

przynajmniej dostarczeniem zasiłku pieniężnego nieść mu ulgę w więzieniu, niewiele mogła uczynić dla mnie.

Pewnej niedzieli atoli, przyszedłszy na odwiedziny, oświadczyła mi, że uzyskała tyle u pana prezesa sądu kryminalnego, że wkrótce przeniesiony zostanę do innej kaźni, w której siedzieć będę z towarzyszem niepospolitych wiadomości naukowych.

Ucieszyło mię to mocno, pomimo że nadzwyczaj przykro mi było opuszczać poczciwych i zgodnych, i wesołych moich towarzyszów.

Znowu pożegnanie. — Znowu towarzysz.

Rzeczywiście, po upływie dni kilku oświadczył mi kapral, że zostanę do innej kaźni przeniesiony, oraz ażebym się przygotował, bo wkrótce przyjdzie już po mnie.

Przykre to było rozstanie; widziałem, że każdemu z towarzyszów łzy zakręciły się w oczach, i że wszyscy posmutnieli, i jakoś ciężko zrobiło im się na sercu. Obstąpili mię wszyscy, i każdy chciał jeszcze pomówić słów kilka, a każdy chciał mię czemś udarować koniecznie. Lecz cóż można mieć w więzieniu? a przecież każden niósł mi chętnie co miał, cały więzienny swój skarb.

— Kochany Władysławie! — przemówił najpierwej poczciwy Leszek — ot wiesz co, może już nie zobaczymy się nigdy, albo Bóg wie kiedy? Przyjmij odemnie przy naszem rozstaniu na pamiątkę te szachy, nad których robotą kilka w tem więzieniu spędziłem miesięcy, przyjmij także i tę chustkę, na której i ty wyszyłeś kilka nazwisk towarzyszów niedoli, własną twą ręką. Przyjmij to i nie zapominaj o Leszku, który cię ukochał jak brata.

Domawiając tych słów odwrócił się prędko niby szukając darowanych przedmiotów; tymczasem widziałem z boku, jak ukradkiem otarł łzę jedną.

Nie mogłem powstrzymać się, — szybko zbliżyłem się do niego, i uściskałem go serdecznie.

Wisłocki ofiarował mi jakiegoś gnypa kawałek i paczkę zapałek, a Górski przyniósł mi w darze wprawdzie złamaną ale ponownie zaostrzoną już igłę.

W więzieniu takie drobnostki, rzeczy, których bym nie podjął na ulicy ze ziemi, odgrywają wielką, niepospolitą rolę, bo wszystkie one są zakazane, a przecież w więziennej celi niezbędnie potrzebne.

Żegnając się z sąsiadami, dostałem od Jaworskiego dłuto do wiercenia w murze.

Z Józefem Jaworskim, zapoznam czytelnika w dalszym dopiero toku mego opowiadania, tu zaś to tylko nadmienię, że w więzieniu pozazdrościć by można sąsiada tak wesołego humoru, i jak on silnego hartu ducha.

Wszedł nareszcie kapral. Pożegnałem się z dziarskiemi towarzyszami mymi serdecznie, zabrano me rzeczy, i opuściłem tę kaźnię w której odżyłem cośkolwiek, i w której idąc za przykładem jej mieszkańców, nauczyłem się znosić cierpliwie i po męzku, gdyby nawet najprzykrzejszy los więźnia stanu.

Zaprowadzono mię na inne zupełnie skrzydło więzienia, na pierwsze piętro, i wprowadzono do kaźni drugiej czy trzeciej z kolei, gdzie jednego tylko zastałem więźnia.

Gdy zamknięto kaźnię, zbliżyłem się do niego, i pierwszy podałem mu rękę.

Nowy mój towarzysz badawczym zmierzył mię okiem, nareszcie ukłonił się nisko, nadzwyczaj grzecznie — niesłychanie skromnie, i podał wyprostowane palce, nie oddając uścisku dłoni.

— O! — pomyślałem — inne było powitanie Leszka, inne tych towarzyszów których właśnie opuściłem — i przykro mi się zrobiło, i ogarnął mię żal. Szedłem do tej kaźni pełen nadziei, pełen otuchy, a zaraz przy pierwszem powitaniu — tak zimno, tak obojętnie zostałem przyjęty.

I na mnie przyszła kolej zbadać mojego kolegę, więc ja rzuciłem także na niego badawczy wzrok.

Nie dotrzymałem atoli placu. Poglądnąwszy na niego, spotkałem się z jego wzrokiem, i ogarnęła mię jakaś nie-

śmiałość, i wzrok jego zmusił mię, że tak wyrażę się, do odwrotu, czyli do popatrzenia w inną stronę.

— O! kiepsko! — pomyślałem — znowu widzę zażartowano ze mnie. Powiedziano mi że mój towarzysz ma to być jakiś nadzwyczaj światły i bardzo przyjemny człowiek, a tu — jeżeli nie mylę się — zastałem jakiegoś Jezuitę. — I znowu rzuciłem okiem na niego i „Jezuita," oczywiście Jezuita!" utwierdziłem się w mem przekonaniu.

On stał w skromnej postawie, i milcząc śledził mię okiem.

Byłem całkiem pewny i najzupełniej przekonany, że to Jezuita, a do tego koniecznie jeden z familji Gonzagów, bo podobniuteńki do świętego Alojzego z Gonzagi, i tak, zupełnie tak ubrany, jak niegdyś w Tarnopolu mój prefekt, z tą tylko różnicą, że nie miał różańca u paska. W pierwszej chwili podobnoś przemówiłem do niego nawet *„per Pater"* czy „ksiądz dobrodziej".

Ale bo też trudno było myślcć inaczej, nawet według dzisiejszego mojego pojęcia. Nowy mój towarzysz nie mógł liczyć więcej nad lat 26, nie bardzo jasny blondyn, miał włos krótko, przy samej głowie strzyżony, twarz, a raczej głowa cała, jakkolwiek najzupełniej proporcjonalna, była niepospolitej wielkości, czoło wysokie, szerokie, wydatnem, z marmurowemi, ledwie widzialnemi prążkami i silnym porostem brwi, dowodziło nietylko niepospolitego talentu, ale oraz siłę charakteru mocnego, nieugiętego, i — że się tak wyrażę — niewzruszonego jak skała z granitu, o którą bez uszkodzenia jej obijają się wieki całe — burzą pędzone fale, bałwany rozbukanego morza; wielkie, pełne, siwe, piękne oko, spoczywające długo bez mgnienia na miejscu, a pełne ognia, świadczyło nietylko o myśli głębokiej i lotnej i szybkiej i dokładnej, bo badawczej, nietylko o niezwyklej energji, ale oraz o pięknej, wzniosłej i szlachetnej duszy i wielkiej dobroci serca. Nos kształtny, a jak koral czerwone usta wydatne, wskazywały namiętność, przymknięcie ich atoli, niemniej ostre zagięcie pod czołem i pod dolną wargą przekonywały o sile panowania nad sobą i swemi namiętnościami, mocny rumieniec na policzkach widocznie był chorobliwy. Ubrany był wówczas w czarny długi płaszcz bez kołnierza,

a sięgający prawie po kostki i w fałdy tak ułożony i tak opasany, że w pierwszej chwili wydawał się jak toga zakonnika reguły świętego Ignacego Lojoli, a dodać do tego całą twarz gładziuteńko ogoloną, oraz dość niski ukłon i postawę całą niezwykle skromną i niby nieśmiałą, musiało w pierwszej chwili utwierdzić mię w przekonaniu, że to zakonnik, a gdy płaszcz czarny miałem za togę, że to Jezuita koniecznie.

Poukładałem mą pościel i kilka sztuk białej bielizny, i już czas dłuższy siedziałem na pryczy, a nowy mój towarzysz położywszy się na twardej jak moja pościeli, wziął książkę do ręki, i zatopił się w niej całkowicie, i jakby mię wcale nie było, ani jednego do mnie nie przemówił słowa.

Nie podobało mi się to wcale, ale korzystając z jego zatopienia się w czytaniu, przypatrywałem mu się bliżej i przekonałem się najpierwej, że to nie toga zakonna lecz długi zwyczajny płaszcz czarny, oraz że wyraz jego twarzy ma w sobie wiele łagodnego i wiele przyciągającego do siebie.

Ośmielony tem, postanowiłem oderwać go od książki, i pierwszy przerwać nieznośne milczenie.

— Jestto wprawdzie bardzo niegrzecznie — zacząłem nieśmiało — przerywać w czytaniu, zbytnia może jednak ciekawość pobudza mię do tego.

— Czem mogę służyć koledze? — zapytał zimno.

— Czy dawno tu siedzisz w tej kaźni?

— Dosyć — odpowiedział krótko.

— Czy można zapytać, do jakiej należysz sprawy? — widząc jednak, że jakoś znowu zmierzył mię okiem i coś namyśla się długo, dodałem: — to jest, za co cię uwięziono?

— Nie wiem! a kolegę?

— Mnie uwięziono w Horożanie.

I wymówiwszy moje nazwisko, opowiedziałem mu z całą szczerością, właściwą memu ówczesnemu wiekowi — w krótkości całą Horożańską katastrofę.

Wśród mego opowiadania ani na chwilę nie spuścił ze mnie swych oczu, i słuchał z wielką uwagą. Postrzegłem że moje opowiadanie zajmuje go mocno, bo często rozmaite zadawał mi pytania.

W toku mego opowiadania, i w miarę wzbudzanych mem opowiadaniem rozmaitych wrażeń, widziałem na jego twarzy po raz pierwszy w mem życiu cudną grę uczuć, mieniących się według stopni wrażenia, jak gra słonecznych promieni, łamiących się w czystym wody krysztale.

Zestawione tam były wszystkie uczucia; widziałem niecierpliwość, później niepokój, obawę, nareszcie jakąś nadzieję, obudzone życie pełne energji, tuż zaraz rozczarowanie i walkę wewnętrzną, dalej gniew a obok przebaczenie, nakoniec mocne współczucie i boleść i smutek i żal, a wszystkie te na jego twarzy malujące się uczucia były tak szczere, tak prawdziwe, tak zgodne i tak ze sobą harmonijnie zlane, że całość wyrazu dowodziła niezwykłą dobroć i szlachetność, i pociągała do siebie nieopartą siłą.

To też prędko przylgnąłem do nowego mego towarzysza, który jak to później dowiedziałem się z jego opowiadania, stracił także i ojca i brata w Tarnowskiej rzezi.

Był to Marjan Sroczyński, właściciel dóbr Bolesławia w Tarnowskim obwodzie Brat jego Bogumił, znajdował się także w więzieniu, i siedział podobno u Karmelitów.

Marjan opowiadał mi także niemało ze swoich kolei. W więzieniu zachorował mocno, a nawet wówczas jeszcze gdy go poznałem, pomimo że już znacznie było mu lepiej, obawiałem się o jego życie. Byłem pewny że jest w suchotach.

Główną przyczyną jego słabości, był piec żelazny. Zimna kaźnia zmuszała go porą zimową siedzieć często przy rozżarzonym piecu, a to tak bardzo wysuszyło mu płuca, że dostał ogromnego kaszlu i krwotoku. Pora letnia znacznie przywróciła mu zdrowia, zawsze jednak bardzo był jeszcze osłabiony.

Na całym tym korytarzu, ba nawet w całem tem skrzydle nie było tego ruchu, tego gwaru i tej wesołości, jak na korytarzu który właśnie opuściłem. Całuteńki dzień największa panowała cisza, pukanie nie było tam w zwyczaju, tunelów nie było także, więc we dnie wcale nie rozmawiano ze sobą, zato wieczorem zupełnie inne rozpoczynało się życie.

Wszyscy więźniowie wychodzili do okien, i żwawe i dosyć głośne toczyły się pogadanki, albo smętne, żałośne odzywały się pieśni. A pochodziło to ztąd, że okna

wychodziły wszystkie na ogródek — a raczej podwórze przeznaczone na przechadzkę, i gdzie na straży nie było kryminalnego strażnika, tylko żołnierze z liniowego wojska i ponajwiększej części z pułków węgierskich.

Niektórzy żołnierze byli tak poczciwi, że bez wezwania ofiarowali się do zaniesienia kartki do wskazanego im domu, i do przyniesienia odpowiedzi. Zawodu lub zdrady nie doznaliśmy nigdy z ich strony. Nasze polecenia wykonywali sumiennie i zręcznie i najczęściej bez interesu.

Wydarzało się często, że pan Hohenauer podsłuchiwał pod koszami; wówczas atoli byliśmy zwykle ostrzeżeni przez żołnierza, a to tym sposobem, że gdy poprzód nie wzbraniał nam rozmawiać za zbliżeniem się kogokolwiek na to podwórze, zaczął hałasować i wzywać do zaniechania rozmowy.

Kto siedział obok nas, nie pamiętam, wiem atoli, że pod nami siedział samotnie Łukasz Uścieński, w kaźni okropnie wilgotnej, i podobnej do kaźni pod Nrem 2. u Karmelitów; a obok niego Nikodem Przestrzelski, i jednego z nich nim mu nadesłano z domu zasiłek pieniężny, zasilał Marjan to cygarami, to tytoniem, to innemi wiktuałami, a nawet co wieczora przesyłał mu zwykłą więzienną pocztą cokolwiek herbaty.

A i mnie zasilał Marjan nie mało. W cygara i tytoń zaopatrywała mię matka, mając atoli nadzwyczaj mały fundusik pieniężny do rozporządzenia, musiałem się kontentować wiktem kryminalnym, czyli tak zwaną porcją szpitalną. Odkąd zaś siedziałem z Marjanem, rzadko tylko kiedy pokosztowałem mą porcję, — biorąc bowiem dla siebie wikt od dozorcy więzienia, zamawiał po mojem przybyciu wszystko podwójnie, i prawdziwie więcej niż po koleżeńsku, prawdziwie po bratersku dzielił się ze mną każdym lepszym kęsem. A sposób w jaki ofiarował mi swoją pomoc w tym względzie był tak delikatny, a zaproszenie jego tak szczere, tak chętne, że niepodobna było odmówić. Nadto korzystałem nietylko z doborowych dzieł tak humorystycznych jak naukowych, ale oraz udzielał mi Marjan nauki języka francuzkiego.

Żałuję, że zanadto krótko byłem z nim razem, gdyż każda spędzona z nim chwila, każda na pozór najobojętniej-

sza rozmowa, potoczna pogadanka nieocenionej była dla mnie korzyści.

Pewnego dnia, żołnierz z węgierskiego pułku, chodzący na korytarzu na straży, zapukał do wizytyrki, a potem przez szparę we drzwiach wsunął karteczkę, nieznaną ręką ołówkiem nakreśloną, następującej treści:

„Kochany Władysławie! Według obiegającej wieści, zostałeś w pierwszej instancji na śmierć skazany, apelacja wyrok potwierdziła. Jeżeliby nie nastąpiło wszechstronnie oczekiwane i niezawodnie spodziewane ułaskawienie, giń mężnie, odważnie, byś się stał godnym nazwiska Polaka". Twój przyjaciel N. N.

Pokazałem tę karteczkę Marjanowi, i czytaliśmy ją po dziesięć razy, ale prócz powyższych wierszów nie wyczytaliśmy i wyczytać nie mogliśmy nic więcej, bo nic więcej nie zawierała. —

Łamałem sobie głowę, ktoby to mógł być autorem tej karteczki, ale naprożno, nie było żadnej wskazówki, po której moglibyśmy byli wpaść na trop, zkądby mogła pochodzić.

Nazajutrz przypadała niedziela, więc z niecierpliwością największą oczekiwałem dnia tego, i spodziewanych w tym dniu odwiedzin, by się coś dowiedzieć bliższego i przekonać, czy treść tej karteczki była prawdziwą, albo przynajmniej wybadać, jeżeli będzie można — autora.

A nie dla tego byłem ciekawy, bym obawiał się śmierci, bo jużcić to przecież całemu wiadomo światu, że Polak nigdy nie lęka się śmierci, już to jest jakoś w naturze Polaka, że śmierć niezwyczajna, to jest śmierć niepochodząca z słabości — a do tego jeszcze śmierć poniesiona za jego przekonanie, nietylko nie jest straszną dla niego, ale nawet przeciwnie upatruje w niej coś wzniosłego, coś szlachetnego, coś że tak wyrażę się, niewysłowienie uroczego.

Nawet minister Kaunitz, jakkolwiek zarzucił nam, że żyć nie umiemy, przyznał atoli, że śmierć jest dla nas igraszką.

-- *Die Polen können nicht leben, aber Sie verstehen zu sterben.*

Marjan stał odemnie o tyle wyżej i intelektualnie i moralnie, że mimo naszej woli zamienialiśmy nasze role co

do skromności, a przynajmniej ja, czując z wyjątkiem miłości do kraju w której przewyższać mię nie mógł, w każdym względzie wyższość jego nademną, starałem się ile możności być w obec niego przynajmniej o pięćdziesiąt procent skromniejszym. Po otrzymaniu tej wszakże karteczki, pomyślałem sobie: „Hola! jeszcze tak źle nie jest, jeszcze nie stoisz tak nisko, kiedy jako 19-letniego więźnia stanu skazano cię na śmierć, przecież albo coś musi być na tobie koniecznie, kiedy się tak ciebie obawiają, że cię aż zgładzić chcą z tego świata, albo twoim sędziom przewróciło się w głowie.

— Mój kochany, mój drogi Marjanie — mówiłem w duchu do siebie — uznaję twoją mądrość, uznaję twoją głęboką uczoność, twoją wielkość w obec mnie i tysiąca innych mnie podobnych, ale i cóż uczyniłeś dla kraju? Cóż ci pomoże twa mądrość wielka, kiedy nawet nie byłeś w stanie zasłużyć sobie na szubienicę? Wkrótce z czcią wspominać będziesz me imię, i poczytasz sobie za wielki zaszczyt że ze mną siedziałeś!

A chodząc po kaźni wielkimi krokami i z założonemi rękami, już się zbliżałem do niego by mu to oświadczyć, gdy przyszło mi na myśl, że ta karteczka może nie do mnie była adresowana, może pomylił się żołnierz, albo nareszcie któż może wiedzieć; czy jego ten sam co mnie nie czeka los? Albo może właśnie jego a nie mnie powieszą? i t.d. i t.d.

Dziś, gdy od tego czasu kilkanaście upłynęło lat, dziś po głębokiej nawet rozwadze, po naradzeniu się zimno obliczającego rozumu widzę jasno, że śmierć dla więźnia stanu, czy to Polaka, czy Niemca, czy Francuza, a dojrzałego nawet męża, którego tylko różnica w zdaniu, w sposobie myślenia, tylko różnica w przekonaniu czyni winnym zbrodni więźnia stanu, nie jest karą. Lecz nie tu miejsce, bym nad tem rozwodził się szerzej.

Nadszedł nareszcie dzień oczekiwany, a z nim i godzina, w której zwykle powoływano do kancelarji na odwiedziny; była nią godzina 11ta przed południem. Tej atoli niedzieli minęła właśnie i 11ta i 12ta nareszcie i 1sza i 2ga i 5ta godzina, i już zwątpiłem o odwiedzinach mej matki, gdy koło 6tej godziny wieczorem powołano mię przecież, i zastałem tam oprócz matki i siostry także i bratowę, wdowę po Ferdynandzie, z jej synkiem Bolesławem.

Bratowa zmieniła się niesłychanie, ledwie że ją poznałem; rysy moje przypomniały jej Ferdynanda, i całą szczęśliwie spędzoną z nim przeszłość, i śmierć jego okrutną, i jej obecny stan wdowi, więc też zaraz po przywitaniu w głośny wybuchła płacz, i przez cały ciąg odwiedzin trudno ją było uspokoić, tem trudniej wydobyć z niej choćby słów kilka.

Z siostrą nie mogłem mówić tą razą po cichu ni słowa, i już straciłem nadzieję, gdy właśnie wszedł kapral do pokoju i zbliżywszy się do pana Hohenauera, coś mu zaczął szeptać do ucha.

Siostra korzystała z tego niezwłocznie, i cichym do mnie ozwała się głosem:

— Twój proces — proces sprawy horożańskiej już skończony, instancja pierwsza już wydała swój wyrok, apelacja potwierdziła wyrok i odesłała do Wiednia, zkąd ostateczny rezultat temi nadejść ma dniami. Wywożą ogromnie, wielu już więźniów wywieziono na Szpielberg — spieszą się niesłychanie, bo jak słychać poprzód skazać chcą wszystkich, a potem dopiero ułaskawić. Jakikolwiek na cię zapadnie wyrok, bądź spokojny — i nie trać nadziei...

Właśnie zbliżył się znowu do nas Hohenauer, bo kapral już odchodził, ale widać jeszcze sobie coś przypomniał, bo wróciwszy się odedrzwi, przystanął poglądając na sekretarza. Sekretarz spostrzegłszy to, znów postąpił ku niemu, i kilka cichych wymienił z nim słów.

Jakkolwiek ta ponowna rozmowa sekretarza z kapralem zaledwie trwała może pół minuty, dostateczną była dla mnie krótka jego nieobecność, by się dowiedzieć od siostry, czego mi było potrzeba.

— Jak opiewa wyrok? na jaką karę? — spytałem.

— Nic nie wiem — szybko odpowiedziała siostra — wszystkie atoli dotychczasowe wyroki opiewały na śmierć w obudwu pierwszych instancjach, ale też i wszystkie zmienione zostały w Wiedniu na karę więzienia.

— Czy pisałaś do mnie karteczkę, i przysłałaś żołnierzem?

— Nie!

— Czy nie wiesz kto pisał? wczoraj ją otrzymałem.

— Nie wiem nic o tem.

Kapral jeszcze nie chwycił za klamkę, a pan Hohenauer stał już w naszem pobliżu oparty o krzesło, i po chwili usłyszeliśmy straszne dla nas z ust jego słowa:

— Wizyta skończona!

Pożegnałem się z matką, siostrą, bratową, uściskałem małą jeszcze wówczas sierotę, małego, dziś już ś. p. Bolesława, i już było po odwiedzinach. W parę minut później byłem już w kaźni, zajęty opowiadaniem Marjanowi wszystkiego, co się co do wyroku dowiedziałem od siostry.

Roztrząsaliśmy wszystko przez kilka dni jak najdokładniej, ale nie mogliśmy z tego wszystkiego powziąć nic stanowczego. To tylko zdawało się żadnej niepodlegać wątpliwości, że ta karteczka przecież zawierała coś prawdziwego. Rozumie się, że Marjanowi, jako prawnikowi, nie bardzo wydawało się prawdopodobnem, aby mnie w tym wieku skazano na śmierć, widziałem atoli po jego minie i z niektórych jego mimowolnych wyrazów, że obawiał się ażebym nie padł ofiarą ówczesnego systemu, systemu, który w najniewinniejszem dziełku, odnoszącem się do świetnych dziejów Polski, w najniewinniejszej pieśni polskiej, ba nawet w przyznaniu się do narodowości polskiej, upatrywał zbrodnię stanu. Tego pełnego barbarzyńskich przesądów surowego systemu obawiał się Marjan, i jakkolwiek nie wyrażał mi tego otwarcie, dawał atoli do zrozumienia, że w obec takiego systemu, według którego kryminalny radca jest oskarzycielem, jest obrońcą i sędzią, wszystko, nawet najmniej prawdopodobne jest możliwem, i że od tego okrutnego, tyle lat praktykowanego u nas systemu, nie można oczekiwać niczego dobrego, a przypuścić można i spodziewać się należy wszystkiego najgorszego.

Jestem tego przekonania, że i w pamiętniku umieszczać powinno się wszystko, cokolwiek tylko zapamięta się z odnośnego perjodu życia, zatem opisywać się powinno z bezwzględną prawdą wszystko, nietylko co się wywiera na świat zewnętrzny ale oraz czem w wnętrzu naszem zostaliśmy dotknięci od tegoż zewnętrznego świata, tudzież jak to oddziaływało, jakie to na nas wywierało wpływy.

Wychodząc z tej zasady i na tem mojem przekonaniu oparty, przystępuję do dalszego mego opowiadania z moenem postanowieniem nie ukrywać żadnej nawet myśli ani

doznanego wrażenia, nie zważając wcale czy to lub owo wyda się mądrem lub śmiesznem, złem albo dobrem, wadą czy błędem, i t.d., a opisywać będę wiernie wszystko, tak co do siebie jak co do innych towarzyszów, na których własne czyniłem postrzeżenie.

A pobudką do tego nie jest nic innego, jak tylko to, ażeby i z tej maleńkiej pracy mojej, kiedyś, — po naszej śmierci, — zaczerpnąć mógł badacz dziejów ojczystych, bogdaj słabe tylko wyobrażenie o duchu, jaki ożywiał ówczesnych więźni stanu, a ztąd będzie mógł czynić ważne nawet do ogółu odnoszące się wnioski.

Wracam zatem do chwili, w której zacząłem rozmyślać nad spodziewanem odczytaniem i uimaginowanem wykonaniem wyroku śmierci.

W mniemaniu, że wyrok czytać mi będą — jak dawniej bywało — na rusztowaniu, — postanowiłem najpierwej — rozumie się licznie zgromadzoną publiczność — uprzejmie powitać skinieniem ręki, dalej wysłuchać z uwagą, z godnością mój wyrok, a potem obrócić się żwawo i krzyknąwszy głośno i wyraźnie: „Bracia! Nietraćcie nadziei! Jeszcze Polska nie zginęła, chociaż my giniemy!“ — pożegnać zgromadzonych serdecznem: „Bóg z wami!“

A przyprowadzony napowrót do kaźni, postanowiłem dalej starać się ile możności, nietylko o zachowanie wewnętrznego spokoju duszy, ale oraz ażeby ten spokój malował się tak na mojej twarzy, jak w każdej najdrobniejszej mojej czynności, tak w mowie jak w każdem nawet spojrzeniu.

Widziałem się już w mej wyobraźni idącego na miejsce spełnienia wyroku; śmiało, nie bardzo powolnym krokiem postępowałem naprzód, tysiące tysiące ludu towarzyszyło mi aż na miejsce; ujrzawszy już wznoszący się słup, przyspieszyłem kroku, i donośnym zawołałem głosem do idącego ze mną kapłana: „Prędzej, prędzej kochany Ojcze duchowny! prędzej! — bo każden krok, każda chwila bliżej do takiej śmierci, to znów o krok jeden, i o lat wiele bliższa ojczyzny przyszłość! „I znowu przyspieszyłem kroku.

Marjan często czytywał chodząc po kaźni; wówczas chodził on także, ja atoli w gorączkowem usposobieniu, zatopiony w myślach, nie postrzegłem nawet, że właśnie po-

wstrzymał kroku, i śledził każdy mój ruch; gdy w mej wyobraźni przyspieszałem kroku, przyspieszałem go mimo woli także i w kaźni, ale tak znacznie, że przypatrujący się Marjan z swym lubej wesołości uśmiechem żartując, krzyknął:

— Hou! — a potem dodał — chłopcze, dokąd idziesz, dokąd pędzisz tak prędko?

Poglądnąłem na niego i ocknąłem się, a widząc jego uśmiech, wytężyłem w niego mój wzrok, chciałem się cofnąć napowrót do przedmiotu mej myśli, lecz ponowny uśmiech Marjana, i ponowne jego zapytanie: „powoli, gdzie pędzisz, gdzie lecisz?“ uprzytomniło mię zupełnie, i także na moje usta wywołało uśmiech.

— Czy wiesz gdzie teraz byłem? — spytałem.

— Wiem — odpowiedział Marjan śmiejąc się ze mnie serdecznie, i dodał: — byłeś tam, gdzie jesteś obecnie, w więzieniu *Małe koszary* zwanem, tutaj, w tej kaźni.

Wesoły humor Marjana, i mnie w wesołe wprowadził usposobienie, a nawet chciałem mu opowiadać, czem to w mej wyobraźni tak zajmowałem się mocno, i co to było powodem do tak przyspieszonego kroku, gdy wtem usłyszeliśmy przyspieszony krok kaprala, zbliżającego się do kaźni; rzeczywiście, prędko pootwierawszy kłódki, temprędzej otworzył drzwi i w całem tego słowa znaczeniu wpadł do kaźni zadyszany, i wezwał mię ażebym się zbierał jaknajprędzej, a on tymczasem wygotuje ostateczny rachunek z pieniędzy u niego dla mnie złożonych.

Pytałem kaprala co to znaczy i gdzie mnie powiezą? ale wiecznie kłódką zamknięte usta każdego strażnika i dozorcy więzienia, nie dozwoliły mu odpowiedzieć. Mimo tego byliśmy pewni, że to do wyroku.

Gotów do wyjazdu przystąpiłem do Marjana, i podziękowawszy mu za wszystkie świadczone mi grzeczności, pożegnałem się z nim jak z towarzyszem niedoli, który obok przywiązania umiał sobie zjednać swojem szlachetnem przyjacielskim postępowaniem szacunek i poważanie.

Marjan, który gdy chciał, umiał władać swojem uczuciem i umiał pokryć swoje wzruszenie, napróżno się silił tą razą, nie mógł ukryć wrażenia, jakie na nim uczyniło tak nagłe wywiezienie mię do spodziewanego wyroku.

— Władysławie! — przemówił jeszcze przed ponownem przybyciem kaprala — ja może zostanę uwolniony, oświadcz, co mam w takim razie uczynić dla ciebie, lub co mam oświadczyć twojej familji?

— Jeżeliś tak łaskaw — odpowiedziałem — to odwiedź moją matkę, pozdrów odemnie, i pociesz ile możności.

Potem zaraz wszedł kapral, zabrano me rzeczy i — wyprowadzono mnie z kaźni.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Wyrok i Podróż do Berna.

Na dole czekał już fiakier, a we fiakrze niestety! ujrzałem dawnego mojego znajomego, a tym znajomym był znany już czytelnikom wachmistrz z Karmelitów.

Uśmiechnął się złośliwie, a ręką i szyderczem spojrzeniem zaprosił do powozu. Wsiadłem, i wkrótce wyjechaliśmy z bramy.

Zaledwie minęliśmy bramę, usłyszałem tuż koło powozu donośnym głosem zawołane:

— Władziu! Czy to ty?

— Ja! — wrzasnąłem z całego gardła wachmistrzowi koło ucha, i poznawszy głos mojej siostry, bez ceremonii pomimo jego oporu odsunąłem firankę, i dodałem głośno: — wiozą mię do wyroku, bywajcie zdrowi!

— Nie lękaj się! — zawołała siostra, biegnąc z jakąś panią koło powozu — bądź spokojny! pamiętaj, odważnie! mężnie! Bóg nadzieja!...

I zniknęła mi z oczu, gdyż fiakier zaciął konie, i raźniej ruszył z miejsca.

Wachmistrz zasunął firankę napowrót, i oświadczył, że mię skarżyć będzie przed sądem za stawiany mu opór.

— A! skarż sobie pan i przed Lucyperem! — powiedziałem gniewnie, i odwróciłem twarz moją od niego.

Przywieziony do Karmelitów, wpakowany zostałem nie do kaźni, lecz na strażnicę kryminalnych strażników, z których kilku znajdowało się w tym pokoju. Nie pytałem się o nic żadnego, bo wiedziałem, że prócz Zacharka wszyscy mieli zamurowane usta.

Siedziałem zatem czekając spokojnie i cierpliwie, co się dalej stanie. Jak długo czekałem, nie wiem, nie pamiętam, przypominam sobie atoli, że długo, godzin kilka.

To długie wyczekiwanie, ta niepewność, jaki wypadnie wyrok, nie wzniecała wprawdzie we mnie żadnej obawy, nużyła atoli niesłychanie i w gorączkowy wprowadziła stan.

Jeden ze strażników, którego zawsze miałem za człowieka z lepszem jakiemś sercem, i który właśnie siedział w mojem pobliżu, poglądał na mnie z ubolewaniem, i zdawało mi się, że smutek malował się na jego twarzy.

Spostrzegłszy, że inni w pokoju znajdujący się strażnicy odwróceni w przeciwną stronę, żwawą jakąś zajęci byli rozmową, zapytałem go zcicha:

— Nie wie pan, jaki mój wyrok?

— Wysoki! ciężki! — odpowiedział także po cichu, odwrócił się potem z bojaźnią, i zaraz do tamtych przyłączył się strażników.

— A więc — pomyślałem — więc rzeczywiście wyrok śmierci! — i powstałem z miejsca, zarzuciłem długie me włosy do góry, założyłem ręce, i z dumą, równającą się przynajmniej dumie hiszpańskiego granda, poglądając we drzwi, oczekiwałem z niecierpliwością kiedy mię zawołają.

Przecież nareszcie wpadł zadyszany dozorca pan Loos na strażnicę, i zawoławszy mię głośno po nazwisku, wyprowadził na korytarz.

Na korytarzu czekał mię wachmistrz, i — nie pamiętam już dokładnie — jeden czy dwóch czarno, jakby w żałobie ubranych strażników, w olbrzymich stosowanych kapeluszach.

— Teraz — mówiłem w duchu sam do siebie — teraz wolno ci jeszcze myślić o matce, o ojcu, o siostrze, o wszystkich twoich najdroższych, po wyroku zaś będziesz myślał tylko o Bogu i ojczyźnie, i wielkich jej mężach i męczennikach świętych; tak, wówczas tylko o tem wolno ci będzie pomyślić, gdyż mógłbyś zmiękną i na urągowisko dla twych nieprzyjaciół rozpłakać się nareszcie pod szubienicą. Zresztą pierwszy dzień — sam sobie czyniłem w duchu ustępstwo — po wyroku, możesz poświęcić dla nich, później atoli odrzucisz wszystkie myśli, któreby mogły zmiękczyć twe serce.

*

Pan Loos naglił do pośpiechu, więc też wkrótce minęliśmy i korytarz i podwórze, i znowu wyszliśmy na inny korytarz, nareszcie na schody i na pierwszem piętrze wprowadzono mię do pokoju, gdzie tylko jakiegoś młodego zastałem urzędnika.

— Czy pan się nazywasz Władysław Czaplicki? — zapytał urzędnik.

— Tak jest, ja — odpowiedziałem.

— Jesteś pan powołany do zrobienia ostatniej woli rozporządzenia, gdyż wkrótce usłyszysz pan swój wyrok. Czy masz pan jaki majątek?

— Nie mam żadnego.

— A suknie? a pościel?

— Tak, to tylko,

— A więc? jak pan tem rozporządzasz? Może to oddać pańskiej matce?

— Dobrze.

— Czy pan masz jeszcze co powiedzieć, albo co do życzenia?

— Pragnę, widzieć się jeszcze z ojcem, matką, siostrą i bratem.

— Zapiszę — zimno powiedział urzędnik, zapisujący każdą moją odpowiedź, i podał mi do podpisu odnośny papier.

Po podpisaniu wyprowadzono mię na korytarz, i zatrzymano. To ostatniej woli rozporządzenie utwierdziło mię w przekonaniu, że wyrok śmierci zostanie mi nietylko odczytany, ale nawet wykonany.

Kerkermajster poszedł do sali posiedzeń, wkrótce atoli wyszedł, i wezwał ażebym się przybliżył.

Przed drzwiami sali zdjęto mi kajdany, potem otworzył kerkermajster drzwi, i wezwał grzecznie do wejścia.

Wszedłem śmiało; zrobiwszy trzy kroki, zostałem zatrzymany. Rzuciwszy okiem naokoło, ujrzałem liczne grono panów konsyljarzy, poubieranych w czarne fraki. Rysów ich twarzy ani nie pamiętam, ani się im przypatrywałem. Wiem tylko, że siedzieli po prawej i po lewej ręce sali, a wpośrodku zasiadł prezydujący, trzymający w ręce jakiś papier, który, jak później przekonałem się, mieścił mój wyrok.

Po chwili sprawdzał prezydujący zadawaniem mi kilku pytań, czy w rzeczywistości jestem tymsamym a nie innym więźniem, oskarżonym o zbrodnię stanu, popełnioną w Horożanie. Po sprawdzeniu zapowiedział mi prezydujący, że odczytany będzie mi wyrok, zatem ażebym słuchał z uwagą.

— Dobrze — odpowiedziałem po polsku, pomimo że pan prezydujący wszystko mówił po niemiecku.

Założyłem ręce przed siebie na piersi, i byłem gotów do wysłuchania wyroku.

Pan prezydujący wręczył jednemu z pp. konsyljarzy, czy może innemu jakiemuś urzędnikowi ów wyrok, a ten stanąwszy o trzy kroki po prawej ręce odemnie, znowu mię wezwał do uważania, nareszcze zaczął czytać w języku niemieckim.

Odczytanie wyroku trwało długo, sensu atoli trudno się było dołapać. Myśl bowiem i treść jego główną uchwycić mogłem dopiero przy ostatnim jego słowie. I pomimo, że nie tak bardzo źle władam językiem niemieckim, nie wiele mogłem z niego zrozumieć, bo styl wyroku tak poplątał mnogą ilość paragrafów z datami i liczbami, tak pomięszał ze sobą i tak kręto splótł liczne wyroku perjody, że ledwie byłem w stanie uchwycić najważniejszy dla mnie ustęp, zawarty w ostatnich dopiero wyrazach, to jest: że przez Najjaśniejszego Pana zostałem ułaskawiony na 18 lat ciężkiego więzienia w kajdanach, którą karę odsiedzieć mam na Szpilbergu.

— A no masz — pomyślałem w duchu — wszystkie twoje plany zniweczone, nic z tego, miałeś być powieszony, miałeś zostać wielkim człowiekiem, a tymczasem skończyło się tylko na tęgiej porcji lat, ha! cóż robić?

Nie mogłem dłużej myślić, gdyż zaledwie czytający zwrócił prezydującemu pisemny wyrok, zapytano mię, czy nie mam co do zarzucenia, czy się na ten wyrok zgadzam?

— Rozumie się — powiedziałem, iż nie mam nic do zarzucenia, i że się zgadzam. Zresztą i na cóż by mi się było przydało, gdybym był oświadczył że mam co do zarzucenia, i że się nie zgadzam? Nawet pojąć nie mogę, dla czego zadano mi to pytanie. Zdaje mi się, że to wcale nie było potrzebne.

Prezydujący skinął ażeby mię odprowadzono, a ja ukłoniwszy się grzecznie, wyszedłem na korytarz, gdzie mi zaraz na nowo założyli kajdany.

Gdy wracałem z wyroku, poglądnąłem na kosze więziennych cel. Nagle z jednego z tych koszów usłyszałem głos pytający: „Twe nazwisko?“

Głośno wymieniłem imię i nazwisko.

— Na wiele lat? — donośnym głosem zawołał ten sam więzień.

— Ośmnaście! — była odpowiedź.

— Bywaj zdrów! wkrótce się zobaczymy — ozwał się znowu więzień z za kosza.

— Bywajcie zdrowi! — zawołałem, i naglony przez dozorców, właśnie wszedłem na korytarz.

— Gdzież mię panowie teraz prowadzicie? — spytałem kerkermajstra.

— Do kolegów, którzy także już po wyroku — odpowiedział pan Loos, i właśnie otworzył kaźnię obok strażnicy.

Wszedłem do kaźni, i rzeczywiście pomimo słów pana Loosa, było to dla mnie prawdziwą niespodzianką, zastać tam siedmiu, w całem tego słowa znaczeniu dziarskich wiarusów, którzy powitali mię radośnemi okrzyki, i serdecznem uściśnieniem ręki. Byli tam:

Antoni Radomski i Franciszek Żurowski, mandatarjusze z Sanockiego, skazani obydwa na lat 12, Edward Rylski, były właściciel dóbr z Bocheńskiego, na lat 10; Antoni Morelowski, właściciel dóbr z Sanoka, na lat 10; dalej z Sącza Juljan Krobicki, także właściciel dóbr, na lat 7, i tegoż brat Wiktor, na lat 6, tudzież Franciszek Urbański, dzierżawca dóbr z Rzeszowskiego, na lat 5 skazany.

W oczach każdego z nich malowała się radość, śmiano się i rozmawiano wesoło, i ktoby był nie wiedział, pewnie by nie pomyślał nawet, że to więźniowie skazani na mnogą liczbę lat ciężkiego więzienia. Gdyby nie kajdany, sądziłby każdy, że to kilku wesołych przyjaciół, wybierających się w podróż. Pościel, tłumoki, podróżne torby, suknie rozmaitego rodzaju, fajki, cybuchy, wszystko to porozrzucane leżało to na ziemi, to na pryczy, albo na jakimś odwiecznym stoliku, na którym oprócz szynki, kiełbas, wędlin, serów i t. d.

stał kosz z winem, i kilka już wypróżnionych butelek, dalej cygara i tytoń rozmaitego rodzaju.

Może w godzinę po wyroku, powołano mię znowu do kancelarji, gdzie czekały na mnie matka z siostrą.

— Wiemy już, wiemy! — zawołała matka udając dobry humor — wiemy już, że zostałeś skazany na lat 18 ciężkiego więzienia, i jesteśmy przekonane, że to cię przecież nie martwi, bo bądź pewny, że wkrótce wrócicie wolni. Tak trwać dalej nie może, musi się jakoś rozstrzygnąć, tak albo siak.

— Proszę pani — słodziutko wyrzekł urzędnik, stojący przy nas zaledwie o krok jeden oddalony — to nie należy do rzeczy.

— I owszem — odpowiedziała matka nie patrząc nawet na niego — jeżeli nie może być inaczej, więc mówmy o czem innem. — I oświadczyła mi, że ojciec, który jeszcze nie został uwolniony, prosił, aby mu pozwolono pożegnać się ze mną, a gdy mu odmówiono, przez nią (matkę) kazał mię uściskać, ucałować i powiedzieć, że przesyła mi na tę ciężką podróż swe ojcowskie błogosławieństwo; niemniej oznajmiła mi matka, że krewni i wszyscy znajomi kazali mię pożegnać i t. d.

Jak zwykle przy odwiedzinach, i tą razą przyniosła mi matka kilka ciasteczek, i prosiła mię bym je zabrał ze sobą.

Obecny urzędnik nie wiem dla czego zaczął się tym ciasteczkom przypatrywać i oglądać je na wszystkie strony, nareszcie zaprotestował, oświadczając, że on nie może na to pozwolić, bym te ciasteczka wziął z sobą do kaźni.

— A więc zjedz je tutaj — wzywała mię matka.

— I na to nie mogę pozwolić — oznajmił urzędnik.

— Dla czego? — zapytała siostra. — Czy pan myśli że te ciasteczka może zatrute? O! niech się pan tego nie obawia, jemu — pokazując na mnie — bądź pan pewny, żebym nie dała trucizny — to swój, — to brat.

I z wyrazem..... niechęci odwróciła się od niego.

Po dłuższej atoli pauzie, sam się oświadczył, że pozwala bym je zabrał ze sobą.

Dowiedziałem się od siostry, że Maksymiljan Müler został kaleką w skutek rany, jaką pod horożańskim lasem, za-

dał mu ś. p. Maurycy Sikorski, że utracił w skutek tej rany władzę w nogach, że nie może zatem chodzić, że go tylko przenoszą z miejsca na miejsce, oraz, że jakkolwiek skazany już został na 10 lat ciężkiego więzienia, nie pojedzie tym transportem co ja, lecz później w parę dni z ks. Antonim Nahlikiem, skazanym na lat 15.

Nie mniej oświadczyła mi siostra, że pewnie zaraz wywiezą nas w nocy, albo bardzo wcześnie rano szybkowozem.

— Widzisz kochany bracie! — mówiła siostra — widzisz jak my wiemy o wszystkiem co odnosi się do was, ztąd powziąć możecie przekonanie, jak mocno zajmuje nas wasz los, jak głęboko czujemy waszą niedolę; czujemy i cierpiemy razem z wami, gdyby nam pozwolono, chętnie wasze cierpienia przyjęłybyśmy na siebie. Czuwamy nad wszystkiem, i wiemy co się dzieje w każdym zakątku więziennych cel waszych, przenikamy — cichym dalej mówiła głosem — najskrytsze tajemnice sądu, i ledwie że nie odgadujemy myśli waszych sędziów. I bądź pewnym, że nie mylą się serca nasze, przeczuwając bliski waszych cierpień koniec, jesteśmy pewne, że wkrótce, najdalej do roku wszyscy zostaniecie uwolnieni. O nas się nie troszcz, my sobie przecież przy pomocy Boga damy jakoś rady, i w nadziei prędkiego waszego powrotu, wszystko zniesiemy, wszystko przetrwamy, byle tylko wypuszczono nam ojca naszego, i byleś ty tylko wrócił nam zdrowo. Że zmizerniałeś, wynędzniałeś, — to nic, — skoro wrócisz wpośród nas, naszą miłością, naszem około ciebie staraniem, wynagrodzimy ci wszystkie twoje cierpienia, wpośród nas, z wyjątkiem tego co ci powinno na wieki utkwić w pamięci, zapomnisz prędko nieszczęśliwą przeszłość, i odżyjesz na nowo; ale ojciec nasz! ojciec! — dodała po chwili — starzec 70letni! ten....

I nie mogła dokończyć, chęć powstrzymania łez zatamowała jej mowę, chustką zakryła oczy, i — w głośny wybuchła płacz.

— Julciu! — zawołała matka — Jul... — I także ucichła; chciała uspokoić mą siostrę, tymczasem postrzegłszy jej łzy, jej łkania, nareszcie przypomniawszy sobie cierpienia męża, mojego ojca, i rozstanie się ze mną, mój wyrok, czyż była w stanie powstrzymać się od płaczu? I zkądżeż

po tylu tak nagle doznanych klęskach, zkądżeż w obec nieustających bolesnych wrażeń, miały się wziąć siły do zapanowania nad sobą? Czyż nie musiały się wyczerpnąć całkowicie?

Zresztą wiedziały one dobrze o smutnym stanie w jakim znajdował się ojciec, więc nie bez ważnego powodu płynęły ich łzy.

Tak wiekowy starzec, przyzwyczajony do wygód, otoczony kochającą go żoną i dziećmi, którzy prócz miłości, przywiązania, szacunku i poważania, nie żywili w swem sercu dla niego innego uczucia, przywykły nareszcie do bezustannej czynności i do towarzystwa, siedzieć musiał w nędznej, wilgotnej celi ciemnej, brudnej, bez usługi, w tym wieku niezbędnie potrzebnej, nareszcie w niedostatku i bezczynności.

Wiedziały zatem one już wtedy, że ojciec coraz mocniej zapada na zdrowiu, że prawie całkiem utracił już wzrok, i że jeżeli nie wypuszczą go prędko, tam zakończy swe życie. Niechcąc atoli mię martwić, donosiły mi zawsze, że ojciec jest zdrów i nie upada na duchu. Jakkolwiek to ostatnie zupełną było prawdą, to jednak co do jego zdrowia, rzecz się miała przeciwnie.

Urzędnik trzymając się poręczy krzesła na którem siedziałem, stał zimny jak głaz, i martwy jak posąg. Zimno też, widząc nieustający płacz matki i siostry, przypominał, że przyzwolona na odwiedziny godzina upływa.

To ocuciło obiedwie, i ustały łzy, bo słowa urzędnika formalne wywołały przerażenie, i gdy po tych słowach poglądnąłem na matkę, na siostrę, wyraz ich twarzy jakby przemawiał do mnie: „może to ostatnia godzina z tobą spędzona, może, — gdy po wielu powrócisz latach, i wieści o nas nie będzie, na naszym grobie może już nowy wykopią grób, gdy po ośmnastu latach przebyłych w łzach i cierpieniu, powrócisz, a nas nie zastaniesz już na tym świecie, napróżno może błąkać się będziesz od krzyża do krzyża, od mogiłki do mogiłki, od grobu do grobu, może nawet nie znajdziesz nikogo, ktoby ci wskazał miejsce gdzie zwłoki nasze, byś na grobie naszym westchnął za nami do Boga, i wyschłą, zwiędniałą trawkę twemi skro-

pił łzami; gdy kiedyś wrócisz, może już nie będzie nikogo, by wyszedł na twe powitanie, serdecznie uścisnął twą dłoń, i jak my do kochającego cię przytulił serca, wyssał łzę z oka i otarł pot z czoła.

— Panie! — ozwała się matka do urzędnika błagalnym głosem — panie! zlituj się nad matką, która traci syna, widzisz panie żem już wiekowa, i siły me wątłe, cierpieniem stargane, zlituj się proszę cię tylko chwilę jedną, wszak może go więcej nie zobaczę już nigdy w mem życiu, pozwól, pozwól! zabawić nam małą chwilę dłużej.

— To nie może być, za pięć minut — poglądając na zegarek, zimno odpowiedział urzędnik — wizyta skończona.

I trzymając się dalej poręczy krzesła, wypukiwał sobie obcasem takt marszu jakiegoś.

— Droga moja mamo! — przerwała siostra — niech mama nie prosi, to napróżno, to mi się wydaje, jakby ktoś udawał się z prośbą — i wskazała na ścianę, dotykając ją swą parasolką.

Urzędnik poglądnął na nią, uśmiechnął się złośliwie, zwrócił potem głowę ku oknu, i dalej potrząsając nogą, wypukiwał takt.

Nie opisuję tego, przed mym wyjazdem a raczej wywiezieniem mię do Berna ostatniego pożegnania, a nie opisuję go dla tego, że nie byłbym w stanie skreślić całą boleść, prawie rozpacz mej matki i siostry, ich łzy, ich modły, święte matczyne błogosławieństwo, moje wrażenia, i zimną obojętność urzędnika.

Zamyślony i z boleścią w sercu wróciłem do kaźni; wesołość moich towarzyszów raziła mię.

Zanim przystąpię do dalszego mego opowiadania, winienem przynajmniej pobieżnie zaznajomić czytelnika z niektórymi mymi towarzyszami:

Wiktor Krobicki, najwięcej w wieku 30 lat, średniego wzrostu, okrągły, jak to mówią jakby utoczony, silnej budowy, ciemny blondyn, z piękną, okrągło zarośniętą brodą, dość małym wąsikiem, zakręconym nieco z węgierska, z przyjemnemi usty, przenikliwym wzrokiem i czołem, które jak cały wyraz jego okrągłej zresztą twarzy, i cała postać jego,

świadczyły o niepospolitej odwadze i sile charakteru. Zresztą żywy, sprężysty, wesoły.

Brat jego Juljan, o parę lat starszy, wcale do Wiktora nie podobny, słuszny, szczupły, blady, twarzy ściągłej, włosa i oka ciemnego. Ogólny wyraz twarzy i całej postaci dowodził i przekonywał o flegmatycznym temperamencie, właściwym owym dobrym i łagodnym ludziom, poświęcającym się niezmordowanie głębokim studjom naukowym.

Edward Rylski w 25tym roku życia, wzrostu rzadkiej bo prawdziwie olbrzymiej wysokości, i dość silnej ciała budowy, blondyn, blady na pełnej twarzy, miłego wyrazu, gotów rąbać wszystko, co wlezie mu w drogę.

Franciszek Urbański nareszcie, lat najwięcej 24, wzrostu słusznego, dość silnie zbudowany, włosa i oka czarnego, blady, na okrągłej twarzy wyrazu nadzwyczaj miłego, lubego, łagodnego. Flegmatyk w najściślejszem tego słowa znaczeniu.

Co zaś do Żurowskiego i Radomskiego, tych sobie nie przypominam dokładnie, gdyż nie długo byliśmy ze sobą.

Wróciwszy do kaźni, rzuciłem się na pryczę, głowę podparłem ręką, wlepiłem wzrok w kawałeczek błękitu nieba, ukazującego się w zwyż kosza, i myślą pogoniłem za matką i siostrą.

Wiktor Krobicki postrzegłszy to, zbliżył się do mnie z pytaniem:

— A czego to koleżko tak posmutniałeś? Między nami smucić się nie wolno, mój bracie! jakbyś w więzieniu, które i tak jest już cierpieniem, trawiącem wszystkie siły człowieka, z wyjątkiem sił duchowych, chciał myśleć o ojcu, o matce, o tych którzy najbliżsi ci serca? o! to zawczasu pożegnaj się ze Lwowem, bo pewnie nie będziesz tu już z powrotem. W więzieniu każdy powinien starać się o zachowanie zdrowia i życia — które nietylko jego jest własnością. Życie zawsze jest własnością ogółu, powinniśmy zatem dbać o nie jak o życie obce, a nam i naszej tylko powierzone pieczy, a wspomnienie o drogich nam osobach, o ich boleści zadanej im naszym losem, niszczy zdrowie — zabija.

*

— Ale co to wiele mówić — przerwał Rylski — smucić się tu nie wolno i basta! a jakkolwiek w życiu praktycznem nie zwykliśmy i niepowinniśmy aplikować przysłowia: dobry trunek na frasunek — tą razą na cześć naszego przekonania, za które dźwigamy okowy, i na wieczną pamięć dziś odczytanych nam wyroków, wychylimy wszyscy po kieliszku węgrzyna — a nalawszy kieliszek spory, dodał do mnie obrócony, nawpół żartem a nawpół serjo; — a ponieważ ty między nami zasądzony zostałeś na największą liczbę lat ciężkiego więzienia, zatem — zwracając się do kolegów — pozwolą szanowni towarzysze, że jako ustanowiony z ramienia wszystkich gospodarz, najpierwej w twoje piję ręce.

I wychylił kieliszek — i nalał znowu, i oddał go mnie.

Z ręki do ręki, po starszyźnie, według najwyższej liczby wyrokiem otrzymanych lat, przeszedł kielich kolejno aż do Franciszka Urbańskiego, skazanego na 5 tylko lat.

Franciszek wypił go do dna, a potem w następujących wyrazach nowy wzniósł toast:

— Bracia! różnią nas wprawdzie dzisiaj liczby lat naszych cierpień, ale tak jak dziś, obyśmy nigdy nie różnili się w zdaniu, przekonaniu, obyśmy nigdy nie wahali się ani dla żadnych przyczyn nie wzdrygnęli się wyznawać je otwarcie, głośno, ażeby co do miłości dla kraju i co do poświęcenia bez granic nie istniała między nami nigdy żadna różnica! Oby zawsze i wiecznie panowały między nami uczucia zgody, jedności, żądzy poświęcenia dla czystej sprawy i uczucia szczerej, prawdziwej miłości tak dla kraju, jak dla wszystkiej braci naszej!

— Brawo! zawołaliśmy wszyscy, i dodali — Boże daj!

I znowu kolejno obchodził kielich z rąk do rąk, a każdy z nas odnośnie do słów Franciszka, przemówił kilka jędrnych wyrazów.

Zaledwie ostatni wychylono kielich, otwarły się drzwi, i wniesiono do kaźni naszej ośm kompletnych ubiorów aresztanckich, to jest ośm bluz, tyleż pantalonów z nogawicami po bokach na guziki spinanemi, i tyleż czapek, a wszystko z białego sukna grubości derek, używanych na konie.

Kerkermajster naglił do spiesznego przebrania się, oświadczając, że wkrótce zakuci zostaniemy w żelaza.

Żwawo i z taką chęcią i taką wesołością przywdziewaliśmy wszyscy nowy nasz ubiór, że gdyby ktoś obcy był przysłuchiwał się w jakiemś ukryciu naszym ówczesnym żartom i naszej wesołej pogadance, byłby był twierdził i wyrzekł stanowczo: „to uszczęśliwieni nowożeńcy stroją się do ślubu albo na gody weselne!“

W kilkanaście minut byliśmy wszyscy już w bieli, wszyscy już w naszych nowych ubiorach. Przypatrywaliśmy się jeden drugiemu, i dogadywaliśmy sobie wzajemnie.

Wiktor wyglądał jak rotmistrz w stroju rekruta, Julek i w tym stroju zawsze jak uczony, Edward wydawał się większym niż poprzód i groźniejszym olbrzymem, i zawsze w złotym humorze, a wyraz Franciszka nie zmienił się ani na jotę, pozostał zawsze luby, miły, zawsze łagodny, zawsze anielskiej dobroci serca. I przekonaliśmy się praktycznie, że rzeczywiście nie strój zdobi lub szpeci człowieka; strój, a raczej suknia właściwa zbrodniarzowi, nietylko nie zeszpeciła moich towarzyszów, ale przeciwnie podwyższyła, tem mocniej uwydatniła wewnętrzną ich wartość i do piętna ich duszy wyrytej na twarzy dodała jeszcze cechę heroizmu. I zaraz wówczas poznałem, że wymienieni powyżej towarzysze moi nie należą do rzędu tych ludzi, których zdołały by zmienić uboższe lub bogatsze szaty, kawał cieńszego lub grubszego płutna, kawał drelichu lub aksamitu, poznałem że nie należą do rzędu tych, których zdanie i przekonanie i sposób cały myślenia i charakter cały zmieniają się w miarę lepszego lub gorszego bytu materjalnego, w miarę lepszego lub gorszego powodzenia, albo w ogóle jak wosk naginają się do stosunków i wpływów zewnętrznych.

Tak i ci moi towarzysze, których wymieniłem dopiero, jak niemniej wielu innych, których później poznałem, posiadali hart ducha jak spiż, który łatwiej złamać niż nagiąć do woli.

Jeszcześmy się nie rozpatrzyli dokładnie w naszych nowych sukniach i jeszcze nie nauczyli zapinać mnóstwa guzików, gdy wachmistrz ukazał się we drzwiach, i z malującą się na jego twarzy radością, zawołał mię głośno po imieniu.

Wyszedłem z nim na korytarz, i w pobliżu owego korytarza, na którym znajduje się znana już czytelnikom kaźnia pod Nrem 2gim, zatrzymał się wachmistrz koło płyty jakiegoś kamienia.

Obok tej płyty stał po jednej stronie kowal, trzymający w jednej ręce młot i kleszcze, a w drugiej żelaza i kilka krótkich gwoździ, grubości blisko pół cala, po drugiej stronie zaś, stał oprócz wachmistrza znów jeden z moich znajomych. Był nim ów mężczyzna z pięknym w pierścieniu soliterem, a którego poznałem u pana kerkermajstra.

Kazano mi usiąść na ziemi, i nogi położyć na pomienionej płaskiej płycie kamienia. Wykonałem rozkaz, i wkrótce znalazłem się w niebardzo wygodnej pozycji, bo ażeby siedząc na ziemi wznieść można bez trudności nogi do góry, trzeba się było przyzwyczajać do tego, i przynajmniej czas jakiś pobierać lekcje u Renza albo Beranka i t. d.

Trudno się było utrzymać w równowadze, trzeba było koniecznie użyć pomocy rąk, na których też wsparty, wytrzymałem całą z memi nogami przedsięwziętą operacją kowalską.

Po upływie kilkunastu minut było już po operacji, i ja byłem już ubezpieczony od ucieczki, miałem już na nogach— jak to mówią — na śmierć zakute żelaza.

Jak tylko kowal oświadczył, że ukończył swoją robotę, podziękowałem mu słowami: „Bóg zapłać.“

Poczciwe kowalisko, który rzeczywiście całą tę operację z niewielką wykonywał chęcią, źle jakoś zrozumiał moje podziękowanie, i musiał w tem upatrywać jakieś przekleństwo, bo popatrzył się na mnie jakby chciał powiedzieć: „Ależ mój panie! na miłość Boga! cóż ja temu winien?“

— Dziękuję — powiedziałem mu grzecznie i powstałem.

Mężczyzna ów z soliterem w pierścieniu śledził mię swoim wzrokiem, a ja przypatrywałem mu się wzajemnie.

Na moje kowalowi powiedzenie: „Bóg zapłać! Dziękuję!“ — uśmiechnął się złośliwie, i kazał mię odprowadzić do kaźni.

Wyraz na twarzy owego mężczyzny przemawiał do mnie: „Dopóki jeden jeszcze polak zostanie na świecie, nie będzie dobra na ziemi, bo Polaka nie stworzył Bóg, lecz to

z niebios zstrącony anioł; Polak zesłany został na ziemię, ażeby był plagą ludzkości, i ażeby narodom, pragnącym cywilizować świat cały, wieczne stawiał przeszkody. Zatem precz! precz z Polakami! Śmierć, zniszczenie i zagłada całemu polskiemu plemieniu! to powinno być głównym każdego prawego człowieka i męża stanu zadaniem, to hasłem dla niego, to jego snem, to jego marzeniem, to jego myślą, to czynem."

I rzeczywiście napajał, pieścił się ów mężczyzna widokiem, gdy jednego z Polaków zakuwano w żelaza.

Wróciłem do kaźni, a po mnie wzięto innego a następnie trzeciego i t. d. póki wszyscy nie zostali zakuci.

A i te nie bardzo miłe ozdoby na obudwu nogach wcale żadnego nie uczyniły na nas wrażenia, i wcale nam nie popsuły naszego wesołego humoru, tyle tylko, że w pierwszej chwili, nim przywykliśmy do żelaz tego rodzaju, bardzo utrudzały nam chód.

Nadszedł nareszcie wieczór i już się znacznie zciemniło, gdy przystąpiłem do ściany, ażeby się dowiedzieć, ktoby był w sąsiedztwie nad nami, bo obok nas były strażnice? Na moje zapukanie zaraz odpukano, i zacząłem od słowa: Nazwisko?

Tu atoli był znowu zmienny alfabet, jakkolwiek także na 4 rzędy, ale w każdym rzędzie zmieniony był porządek jednej litery, z trudnością zatem szło porozumienie wzajemne; po dłuższej atoli dopiero przerwie odcyfrowałem alfabet, i zastósowawszy się do niego, mogłem przesłać sąsiadowi zrozumiałe wyrazy.

Ale co ja też mówię: sąsiadowi? to nie sąsiadowi lecz sąsiadce, nad nami bowiem siedziała mile nam znana hrabi na Dębicka, słynna z swego patriotyzmu i poświęcenia bez granic. Wezwany, wypukałem jej nasze nazwiska, i na ile lat został każden z nas skazany.

Hrabina odwzajemniając się, wypukała nam nazwiska nietylko wszystkich sąsiadów — a między innemi Teofila Wiśniewskiego, ale oraz i nazwiska wszystkich do Berna już wywiezionych więźniów, których po wyroku do tej samej gdzie nas wsadzono kaźni.

Pukaliśmy dość długo, a po wynurzeniu jej z naszej strony współczucia i ubolewania nad jej losem, nie mniej po przesłaniu jej kilku słów pociechy, pożegnałem ją w własnem i w moich towarzyszów imieniu, z zapewnieniem wiecznej pamięci i czci.

Pani hr. Dembicka pożegnała nas także, i przez ścianę przesłała nam swoje błogosławieństwo, a w końcu wezwała nas do okna. Nie mogliśmy atoli rozmawiać długo, bo straż chodząca pod oknami, wiele robiła z tego powodu hałasu.

Jakkolwiek wszyscy wiedzieliśmy o uwięzieniu hrabiny Dembickiej, i pomimo że uwięzienie kobiety uczynić musiało na nas bardzo przykre wrażenie, miło nam było że los sprowadził nas tak blizko, i cieszyliśmy się mocno, że mogliśmy z nią rozmawiać i ocenialiśmy wysoko przesłane nam błogosławieństwo.

Wyrok i podróż do Berna.

W godzinę później, po zawieszeniu naszej ściennej rozmowy, znów nas wezwała nasza bohaterka do ściany, i zapukała: „Wszyscy sąsiedzi was pozdrawiają, i żegnają w nadziei, że wkrótce zobaczą się z wami. Teofil Wiśniewski zaś przesyła wam następujące wyrazy: „Rodacy! wierni waszemu powołaniu jako Polacy, nie ustawajcie — po odzyskaniu waszej wolności — w gorliwej pracy około dobra naszej ojczyzny, potężni wolą, siłą ducha, zgody i jedności, i wielcy poświęceniem zjednajcie sobie łaskę nieba, przełamiecie wszystkie zapory i wszystkie usuniecie trudności. Oby nad każdym waszym krokiem czuwał Bóg i błogosławił wasze do powszechnego dobra odnoszące się zamiary. W obec dzisiejszych stosunków czuję, że prawdopodobnie na tym już nie ujrzymy się świecie. Jedźcie z Bogiem, i wracajcie prędko do pracy około dobra kraju.

Serdecznie podziękowaliśmy hr. Dembickiej za tyle mozołu, ile zadała sobie pukaniem, podziękowaliśmy wszystkim

jej sąsiadom, a Teofilowi naszemu przesłaliśmy stósowną odpowiedź.

Potem ucichło pukanie, ucichły rozmowy przez okna, ucichło wszystko na korytarzu, a my uznaliśmy za stósowne udać się bogdaj na chwilę do spoczynku, gdyż zapowiedziano nam, że nazajutrz bardzo wcześnie wyjedziemy do Berna. Z słowa za słowem jednak, z przedmiotu za przedmiotem, trwała nasza pogadanka noc całą, i żaden z nas nie zmrużył nawet oka.

Jeszcze było ciemno, kiedy wszedł pan Loos do kaźni, i wezwał do szybkiego zebrania się do podróży. My atoli byliśmy gotowi, gdyż żaden z nas nie rozbierał się nawet.

Wkrótce zatem powynoszono nasze rzeczy — gdyż niektórzy brali je z sobą — a potem nas wyprowadzono na podwórze, gdzie zastaliśmy dwa szybkowozy z czterokonnym zaprzęgiem, 8 żołnierzy i sierżanta (feldfebla) z pułku zwanego Deutschmeister, nakoniec urzędnika, który dowodził całym konwojem.

Pan Loos przedstawił nam tego urzędnika z oświadczeniem, że od tej chwili jemu jesteśmy całkiem podlegli. Urzędnik zaś, jak to zwykle bywa w takich razach, od tego rozpoczął swoje urzędowanie, że wezwał sierżanta, ażeby nabić kazał w naszych oczach broń.

Po uskutecznieniu tego oświadczył nam, że w razie zamiaru ucieczki z naszej strony albo oporu, jest upoważniony kazać użyć tej broni.

Zapewniliśmy go, że nam ucieczka nie w głowie, a do oporu mogłoby nas zmusić tylko tyrańskie albo niegrzeczne obchodzenie się z nami.

Jeszcze przy wsiadaniu do powozu pożegnali nas z koszów więźniowie, nareszcie otworzono bramę, pocztyljon zaciął konie, i raźnie ruszyliśmy z miejsca.

Już wprawdzie rozwidniło się całkiem, słońce atoli nie ukazało się jeszcze na widnokręgu. Ranek był śliczny, piękny, majowy — jechaliśmy bowiem w ostatnich dniach maja, czy na początku czerwca 1847 roku — na czystym, błękitnym lazurze nieba, nie dostrzegliśmy ani jednej chmurki a pomimo że to jeszcze we Lwowie, świeże nas owionęło powietrze, i wciągaliśmy też je całemi płucami.

Ulice były puste, miasto jakby wymarłe, wszystko jeszcze w głębokim spoczywało śnie; w przejeździe rzuciłem okiem w stronę gdzie mieszkały matka i siostra, i pożegnałem je w myśli; na przedmieściu dopiero rozpoczynało się życie; tu i ówdzie otwierały się to drzwi to okiennice, gdzieniegdzie widzieliśmy już ludzi tak na ulicy jak w oknach. Niektórzy uchylali czapki i żegnali to słowem, to skinieniem ręki, inni zaś przechodzili obojętnie, nie zważając wcale ani na szybkowozy ani na jadących.

Na każdej atoli twarzy, która swe oczy rzuciła na szybkowóz, widzieliśmy współczucie; po żołnierzach na koźle i po sterczących z powozu bagnetach domyślał się każdy, że wiezą do Berna więźniów politycznych, a że wszyscy oświeceńsi czuli co my, więc też z piersi każdego wydobywało się jedno przynajmniej dla nas westchnienie.

Gdy minęliśmy rogatkę grodecką, ozwała się z kozła trąbka pocztarska i każden z nas wyglądał okienkiem powozu, i rzucił okiem na miasto z pytaniem w duszy — „czy też wszyscy wrócimy, czy wszyscy z nas ujrzą jeszcze kiedyś to miasto; może już po raz ostatni poglądamy na nie, i mimo woli przyszła nam wszystkim na myśl znana piosnka:

Bywaj mi zdrowy, kraju kochany,
Już w mglistej nikniesz powłoce, i t. d.

I rzeczywiście nad całem miastem wzniosła się mglista powłoka, którą zobaczyliśmy dopiero z góry za rogatką, i w której Lwów prędko zniknął nam z oczu.

Za miastem zaćmiliśmy lulki lub pozapalali cygara, i podali także konwojującym nas żołnierzom.

Żaden z nas ani jednego nie przemówił słowa, bo długo, długo nie mogliśmy się nasycić widokiem cudnej natury, tak pięknych, tak uroczych okolic Lwowa i upragnioną od tak dawna świeżością woni wiejskiego, czystego, zdrowego powietrza.

Znam okolice Lwowa, znam okolice Krakowa. W Krakowie, więcej swobody ma oko, może sięgnąć daleko, nim się oprze na jakimś przedmiocie, a gdziekolwiek sięgnie, czegokolwiek dotknie, wszędzie spocznie na jakiejś drogiej nam

pamiątce; ztąd pochodzi że Kraków tyle ma dla każdego Polaka uroku.

Okolice Lwowa atoli, są tak ładne, tak piękne, tak cudne, rozmaitość tak wielka i tak urocza, że wątpię czy wiele miast hojniej, wspanialej wyposażyła natura.

I wówczas dopiero, gdy się czuje że te lub owe strony opuszcza się może na zawsze, może na wieki, umie się ocenić bogactwo piękna, którem obdarza nas Stwórca.

Wioski, góry, lasy, rzeki i t. d. szybko znikały nam z oczu, bo szybko toczyły się nasze powozy. W każdym powozie siedziało nas po czterech i po tyleż żołnierzy; w jednym powozie jechał sierżant a w drugim urzędnik; jeden żołnierz siedział zawsze na koźle, bo w pojeździe było miejsca na ośm tylko osób.

W Gródku wstrzymaliśmy się na chwilę, i w powozie wypili kawę. W Mościskach zaś wysiedliśmy, i tam jedliśmy obiad, otoczeni żołnierzami, z karabinami na które naszpikowano bagnety. Pod oknami żołnierze, i na korytarzu żołnierze, a z nami przy stole zasiadł urzędnik.

Do pokoju nie puszczono nikogo, przed oknami tylko stały tłumy ciekawych.

Przy obiedzie bliżej przypatrywaliśmy się urzędnikowi, i poznali w nim Niemca i w ścisłem tego słowa znaczeniu urzędnika, wykonywującego ściśle otrzymane rozkazy. Był grzeczny i tak lękliwy, że obawa jego często zmuszała nas do śmiechu.

Obiad trwał krótko, i zaraz w dalszą wyruszyliśmy podróż.

W Przemyślu zaraz na moście zbliżyło się do nas kilku młodzieńców, uczniów zapewne, wypytywali się nas o nazwiska, i na ile lat jesteśmy skazani i t. d.

Towarzyszyli nam biegnąc za nami aż do budynku pocztowego, gdzie się więcej zgromadziło ludzi.

W jednem z okien pocztowego gmachu, na dole ujrzeliśmy kilka kobiecych twarzy. Od moich towarzyszów dowiedziałem się, że to była pani Gruszczyńska z dwoma córkami. Zaraz po naszem przybyciu przed pocztę, ukazały się w oknie i zaczęły się dowiadywać o nazwiska i lata więzienia. Z poczty atoli wyszedł młody jakiś blondyn, z wy-

muskaną fryzurą i w niebieskich na nosie okularach, rozpędzał lud, i z prawdziwą bezczelnością miotał się w gniewie na panny Gruszczyńskie, i po prostu odpędzał od okna grożąc przyaresztowaniem, potem obrócił się do nas i zapewne nas obsypać chciał swemi niegrzecznościami, gdy na swoje nieszczęście rzuciwszy okiem do powozu, zetknął się z moim wzrokiem, pełnym pogardy, nienawiści, i wyrażającym niejako: „a widzisz niecnych zasad wycackany młodzieńcze, że ziściła się przepowiednia moja!“

Był to jeden z moich znajomych, niejaki pan Wychowski. Znałem go z roku 1845, gdy jeszcze studentem bywał czasami u akademików mieszkających u moich rodziców. Wyelegantowany, wymuskany, wycackany, w niebieskich zawsze okularach, wchodził do pokoju zcicha, krokiem powolnym i wymierzonym. Przy powitaniu dotykał tylko zlekka rękę mu podaną, a słówka nieznośnie cedził przez zęby. Gdzie wszedł, natychmiast ucichła rozmowa, bo pod tym względem bardzo złą miał reputację, — wszędzie się go obawiano, nigdzie nie cierpiano, wszędzie nienawidzono dla przewrotnych zasad, do jakich się przyznawał. Wszystkie najszlachetniejsze uczucia wyśmiewał, wyszydzał. Wierzył tylko w jednego bożka, a tym był cielec złoty. Zarozumiałość jego była niezgłębiona, była bez dna. Wszyscy bardzo zły wróżyli mu koniec, a co do jego przyszłości, doradzali mu ażeby doskonalił swój słuch, — „bo — mawiali mu — będzie ci potrzebny w przyszłym twoim zawodzie.“

Jakkolwiek nie wiem z jakiej przyczyny — mnie obawiał się, w mojej obecności nigdy nie wynurzał swego sposobu myślenia i swych zasad; miałem do niego niewysłowiony wstręt, i pomimo że dotkliwe żarty lub dowcipy nie są i nigdy nie były dla mnie zabawą, ani mi żadnej nie sprawiały przyjemności, nie pominąłem żadnej sposobności ażeby mu dokuczyć jakiemś własnem jego zdaniem, zastósowanem w sposób wystawiający w śmieszność autora takiego zdania.

Jak tylko zoczył mię pan W... zmięszał się niesłychanie, widocznie nie był zadowolony z tego, że go poznałem, odwrócił się prędko i wbrew swemu zwyczajowi, tym prędszym krokiem wszedł do budynku pocztowego.

Nie mając tyle cywilnej odwagi, ażeby stanąć przedemną oko w oko, uciekł formalnie, a nie mogąc zemścić się na mnie, więc wpadł do pokoju państwa Gruszczyńskich, i syczącym, złośliwym głosem pytał je o imię i nazwisko i t. d.

Widzieliśmy atoli przez okno, że pani Gruszczyńska mówiąc głośno! „jeżeliś pan urzędnikiem, przyjdź pan w uniformie, i zachowaj się grzeczniej jak teraz!“ wskazała mu drzwi i zbliżyła się do okna.

Zdeterminowany pan W... opuścił pokój, a my na wezwanie panien Gruszczyńskich, pokazaliśmy palcami, na ile który z nas skazany jest lat.

Piękne ich oczy zalały się łzami; matka nie mogła je utulić od płaczu.

Gdy zaprzężono konie i gdy mieliśmy wyruszyć już z miejsca, pokazały nam na migi, że modlić będą się za nas. Już ruszyły powozy, a myśmy jeszcze długo patrzyli w okno, zkąd na pożegnanie białe powiewały chustki, nareszcie ujrzeliśmy, jak obie uklękły przy oknie i ręce wzniosły do modlitwy. [1])

Już to mówmy co chcemy, a przyznać musimy, że szczere łzy naszych pięknych, a zacnych Polek, zawsze wywierają pewien wpływ nie tylko na nerwowych, wywarły one zatem nie tylko na mnie, ale na wszystkich moich towarzyszów smętne uczucie.

Ot, tak, dzieje się to jakoś mimo woli, mimo wiedzy; każdy z nas posmutniał nieco, zwiesił głowę na piersi, i — zamyślił się.

Pan W... przecież nie mógł być przedmiotem naszych myśli, a więc każdy z nas myślał o pięknych, zacnych Polkach z tkliwem i czułem sercem. Każdemu z nas przykro jakoś było, że to my byli powodem ich łez, i żal nam ich

---

[1]) Właśnie dowiedziałem się, że tak pani Gruszczyńska, jak i obiedwie jej córki, nie żyją. Klęski kraju, troski i zmartwienia, wprowadziły w suchoty te piękne i zacne Polki, a następnie do grobu. Cześć ich popiołom!

Pan Gruszczyński nie ukojony w żalu po tak drogiej stracie, jest podobno jeszcze przy życiu.

było, i za każdą kroplę dla nas wylanych łez, bylibyśmy chętnie kroplę własnej wylali krwi.

Nie prędko wróciliśmy do naszego przed przyjazdem do Przemyśla nieopuszczającego nas wesołego usposobienia.

Przed Przemyślem jeszcze, a raczej na przedmieściu Przemyskiem na trakcie lwowskim, po prawej ręce, nieco przed cmentarzem stoi murowany, mały ale przyjemny budynek, kształtu fortepianu, i ztąd też w Przemyślu znany pod nazwiskiem: fortepianik. Przejeżdżając tamtędy, zdaleka już wychyliłem głowę i poglądałem w tę stronę, czy w tym domku nie zobaczę kogo ze znajomych. Rzeczywiście wszyscy mieszkańcy tegoż powychodzili na nasze powitanie a oraz pożegnanie. Między nimi poznałem tylko pannę Anielę Moszczańskę, z którą w przejeździe kilka pomówiłem słów.

Ów domek był niegdyś własnością, powszechnie tak bardzo szanowanych państwa Moszczańskich, znanych z poświęcenia i miłości ojczyzny.

Ten domek przyjemnej dla mnie pamięci, znany mi był z dzieciństwa, więc też odświeżył w pamięci tak mile spędzone tam chwile: Będąc uczniem drugiej normalnej klasy, tam mię umieścił ś. p. brat mój Ferdynand, a państwo Moszczańscy przyjęli mię tylko przez wzgląd na znajomość i przyjaźń z moimi rodzicami, i było mi tam rzeczywiście jak w rodzicielskim domu. Każden krok mój był pilnowany i kierowany, a w słabości byłem pielęgnowany z prawdziwie macierzyńską troskliwością.

Ale może nie tylko dla tego tak bardzo ukochałem mieszkańców tego domku. Ten domek był za moich jeszcze czasów schronieniem i przytułkiem wielu, wielu z naszych nieszczęśliwych braci. Tam, u państwa Moszczańskich doznawali wszyscy przyjęcia godnego nazwy prawdziwie staropolskiej gościnności. Tam ich przyjmowano serdecznie, i po ojcowsku wyprawiano dalej. Tam schodziła się nasza młodzież, i tam nie słyszałem innej rozmowy, pogadanki, jak tylko o miłości i poświęceniu się dla kraju. Ktokolwiek z naszych przekroczył progi tego domku, sercem i duszą przylgnął do onego mieszkańców, bo był to dom prawdziwie polski i obyczajem, i zwyczajem, i myślą, i mową, i uczynkiem. Gdy kto potrzebował pomocy, szedł do Moszczańskich, gdy ko-

muś z naszych prześladowanych potrzebne było schronienie albo przytułek, wysyłano do Moszczańskich, gdy trzeba było kogoś wyprawić za granicę — także udawano się do Moszczańskich.

Ztąd też powstało, że dłużej niż moi towarzysze milczałem, bo z błogiem uczuciem tonąłem w przeszłości. Tam poznałem późniejszych moich towarzyszów niedoli Justyna Begijowicza i Erazma Czajkowskiego, którzy od kilku lat siedzieli już w Bernie, gdzie nas właśnie dopiero wieziono.

Nigdy nie zapomnę, jak pewnego wieczora młodzi Moszczańscy i Begijowicz stoczyli bitkę z żołnierzami.

Rzecz miała się tak:

W domu nie było jakoś nikogo, dwóch tylko Moszczańskich i Begijowicz stali przed domem na mostku, i figlowali, a ja siedziałem na schodach, prowadzących do domu. Wtem nadeszło trzech pijanych żołnierzy, którzy za zbliżeniem się do mostku zaczęli wyzywać Begijowicza. Moszczańscy ujęli się za nim jako za dzieckiem jeszcze, i ze słowa do słowa przyszło do tego, że żołnierze powyciągali bagnety, i nie na żarty brali się do bicia i kłócia.

— Władku! — zawołał jeden z Moszczańskich — przynieś no moją palestrę!

Skoczyłem prędko do pokoju, i wyniosłem krótką, grubą pałygę, stojącą za jego łóżkiem.

Jakżeż wielkie było moje zadziwienie, gdy wstąpiwszy we drzwi, ujrzałem już jednego żołnierza gramolącego się w rowie, drugi usiłował zedrzyć sobie z głowy czako, które jeden z Moszczańskich zasadził mu zapewne nie bardzo delikatnem uderzeniem aż na brodę, a trzeci żołnierz stał zdaleka i prosił tylko, ażeby oddano mu bagnet.

Moszczański pogroziwszy im, i mając już w ręku palestrę, rzucił odebrany bagnet.

Na nieszczęście atoli nadeszło więcej żołnierzów, i rozumie się, zaraz przybyli na pomoc swoim kolegom.

Nie tak prędko cofnęli się Moszczańscy, palestra uwijała się chwacko, w końcu atoli w obec znacznie przeważających sił, byli zmuszeni cofnąć się do domu, i zatarasować drzwi.

Zołnierze długo dobywali się do drzwi, ale na próżno, a włazić oknem, które trzeba było poprzód powybijać, nie mieli odwagi.

Zabębniono capstrzyk, i żołnierze odeszli.

Rozniosło się to nazajutrz po całem mieście, i między uczniami obiegała pogłoska, że wojsko oblegało fortepianik.

Tę ostatnią scenę opowiedziałem moim towarzyszom podróży; następnie każdy z nich opowiadał coś podobnego, i znowu ożywiła się pogadanka.

Jechaliśmy noc całą bez odpoczynku, tyle tylko zatrzymał się powóz, ile było potrzeby do przeprzągnięcia koni. Rano stanęliśmy w Rzeszowie, i znowu do powozu wyniesiono nam kawę.

Tu winienem nadmienić, że dla widzenia się z Krobickimi, przyjechali do Rzeszowa Wojnarowscy, i Hilary Łempicki, brat czy kuzyn Krobickich.

Przy tej sposobności miałem tę przyjemność widzieć chociaż zdaleka — znajdującego się między nimi Jakóba Wojnarowskiego, słynnego w okolicy Rzeszowa z swej obrony w Ludczy, w roku 1846.

Obronę tę opowiadano mi mniej więcej w następujący sposób:

„W owych krwawych dniach roku 1846, dano mu znać, że w celu rabunku i mordów zbliżają się już i do jego włości złowrogie bandy chłopów.

Wyglądnął zatem oknem, a przekonawszy się, że rzeczywiście ze wszystkich stron nadciągają liczne, dzikie okrzyki wydające bandy chłopstwa, krzyknął na swoich, by mu czemprędzej wyprowadzili, i pewnie, bezpiecznie, osiodłali jego ulubionego karosza, tudzież ażeby zwołali wszystkich dworskich ludzi. Sam zaś opatrzywszy dwururkową strzelbę, nabiwszy ją starannie i założywszy kapsle, przewiesił przez ramię wraz z torbą, napełnioną nabojami ostremi, do ręki wziął długi, do dojeżdżania zajęcy używany harap, i wyszedł przed ganek.

Przed gankiem dwóch ludzi silnie trzymało spinającego się niespokojnie, dzielnego rumaka.

Na widok swojego pana, który to umiał nim władać prawdziwie jak Polak, parsnął poczciwy karosz i zastrzygł

uszami, rozwarł szeroko swe nozdrza, wyciągnął kształtny lśniący swój kark, potem maleńki łebek podniosł do góry, poglądnął na pana i zarżał radośnie, nareszcie aż przysiadł na tylnych, zgrabnych swych nóżkach, i wspiął się w górę, i stanął dęba przed panem.

Kuba (gdyż tak w opowiadaniu nazywano mi Jakóba) dosiadł swego ulubieńca, prawdziwie po polsku, jakby przyrósł do niego a zniecierpliwiony karosz grzebał ziemię kopytkiem.

Pan Wojnarowski, ile dostrzedz mogłem z daleka, był to młody, piękny brunet, miernego wzrostu, silnej budowy i wojskowej postawy.

Wyobrażam sobie zatem, że dziarsko wyglądać musiał wówczas na koniu; mówię wówczas, bo inaczej to wygląda się gdy za jakimś interesem jedziemy ulicą, inaczej gdy jesteśmy w pokoju zajęci czytaniem, inaczej gdy dojeżdża się zająca a zupełnie inaczej, gdy dosiada się konia w przekonaniu, że może żywo nie zsiędzie się już z niego.

Dosiadłszy karosza, kazał przybliżyć się ludziom, i tonem poważnym, decydującym, stanowczym, w następujące do nich odezwał się słowa:

— Jakim byłem wam panem, waszego własnego spytajcie się sumienia, ono wam najlepiej odpowie. Teraz jest pora ażebyście mi złożyli dowody, jak umiecie oceniać wyrozumiałość, bezwzględną sprawiedliwość, rzetelność i dobroć moją. Dziś więcej niż kiedykolwiek żądam od was, ażebyście mi byli posłuszni, i wiernie moje wykonywali rozkazy. Jak wiecie, ze wszystkich stron smutne dochodzą nas wieści, a obecnie i mnie zagraża niebezpieczeństwo, ja nie lękam się tego niebezpieczeństwa, i nie opuszczę was, i nie pozwolę napadać bezkarnie progu mego domu. Ja sam wymierzę rabusiom i zbójcom zasłużoną karę, i właśnie wyjeżdżam spotkać się z nimi, wy atoli musicie mi być pomocni. Zbierzecie ile można jaknajwięcej ludzi, otoczycie dwór i gospodarskie zabudowania dokoła, i bronić będziecie przystępu. Pod własną odpowiedzialnością daję wam najzupełniejsze pełnomocnictwo w ostatecznym razie zabijać nawet upartych złoczyńców, którzyby się ośmielili targnąć na moję własność. Jeżeliby zaś nieszczęście chciało, że którykol-

wiek z was zostałby raniony, wówczas sowite otrzyma ode mnie wynagrodzenie i chleb łaskawy do śmierci, a jeżeliby którykolwiek z was poległ w obronie mojego mienia, niechaj się nie troszczy o swoją familję, gdyby zaś między wami znalazł się — czego nie spodziewam się — zdrajca jaki, który pomocną podawałby rękę złoczyńcom, albo nie wypełnił mojego rozkazu, wtedy — kula w łeb! A wiecie! — dodał w końcu — że ja w każdym względzie dotrzymuję słowa.

Potem pożegnawszy ich skinieniem, i nie czekając nawet na odpowiedź, spiął lekko karosza ostrogą, i wysadził z podwórza.

Chłopi tymczasem przybywający w celu rabowania coraz bardziej ścieśniając koło, coraz bliżej otaczali dwór.

Kuba lotem błyskawicy przełamał na swym rumaku koło wyjącej dziczy, i o kilkadziesiąt kroków zajął stanowisko w zapleczu band uzbrojonych w widły, cepy, kosy, i t. d.

Chłopi zwrócili się do niego.

— Czego?! — krzyknął Kuba. — Czego chcecie?! — powtórzył.

— Przyśliśwa po ciebie ciarachu! — ozwał się jeden z chłopów, zda się dowodzący bandą.

— A czego po mnie? — zapytał Wojnarowski.

— Kozali nom cię odstowić do cyrkułu.

— Kto? i z czyjego rozkazu?

— A dyć wy wiecie z cyjego?!

— Precz! — krzyknął Wojnarowski — precz! precz! do domu! albo -- ja was nauczę!

I znowu spiął swego karosza, wpadł między tłum cały, i począł okładać harapem.

— A do domu! a do domu! — wołał i ciągle okładał harapem.

W pierwszej chwili było to nie lada niespodzianką dla chłopów, więc rozpierzchali się na wszystkie strony, i umykali co stało tchu; wkrótce atoli namyślili się inaczej, i chcieli go otoczyć.

Kuba spiął konia, jak piorun zbliżył się do nich, to tego, to owego trzepnął harapem, i znowu przełamał ich szyki.

Chłopi widząc że tym sposobem nie dadzą mu rady, wpadli znowu na inny pomysł, i wysłali na niego kilkunastu uzbrojonych chłopów już nie pieszo lecz konno.

Wojnarowski długo, długo wzywał ich do rozejścia się do domu, widząc atoli grożące mu niebezpieczeństwo, zaniechał bezskutecznego wezwania dalszego, i chwycił się innego — jak się okazało w dalszem następstwie — praktyczniejszego środka:

Jeszcze raz wezwał do rozejścia się, i równocześnie zagroził, że w przeciwnym razie, strzelać będzie jednego po drugim bez litości, bez miłosierdzia.

Właśnie gdy dokończał ostatnich słów, ujrzał, że kilkunastu chłopów konno wielkiem otoczywszy go półkołem, nacierają na niego.

— Kiedy tak! rzekł do nich głośno — więc dobrze, chcieliście wojny, będziecie ją mieć.

Powstrzymał swego dobrze utresowanego karosza, wziął dowodzącego na cel, wystrzelił, chłop upadł nieżywy na ziemię, spłoszony koń zabitego w bok popędził daleko, a karosz jak strzała zrobioną próżnią wypadł z koła, i zatrzymał się dopiero w odległości strzału.

Nie chcąc z drugiej rurki dać ognia przed nabiciem próżnej, wziął się do nabijania strzelby. Karosz atoli stał tak niespokojnie, że czynił nabicie niepodobnem.

Wojnarowski przekonał się, że bez obcej pomocy nie nabije strzelby; trzeba było koniecznie kogoś, by mu przytrzymał konia. Nie namyślał się zatem długo, puścił karosza, i wyprzedziwszy o tysiąc może kroków ścigających go chłopów na koniach, osadził swego rumaka w pobliżu bandy chłopów, a przywoławszy pierwszego lepszego chłopa, krzyknął na niego:

— Łotrze, trzymaj konia, albo kulą w łeb!

Chłop natychmiast rzucił kosę, zdjął czapkę, przyskoczył, pokłonił się nisko, i potrzymał konia.

Podczas nabijania, żaden z chłopów nie miał odwagi uderzyć na niego.

Pan Wojnarowski nabiwszy strzelbę odpędził chłopa i ścigających go konno chłopów, którzy podczas nabijania przybliżyli się znacznie wyprzedził znowu, i jeszcze raz we-

zwał do rozejścia się, a gdy to nietylko nic nie pomogło, ale przeciwnie chłopi nacierali na niego z większą zaciętością niż poprzód, przytrzymał karosza, wzniósł strzelbę do góry, zmierzył do najodważniejszego, wypalił, i chłopa drugiego powalił z konia. Potem raz czy dwa razy dał skutecznie ognia do pieszych, i rozpędził tłumy.

Gdy zebrali się ponownie, znów ognia dał do nich, i powtarzał to dotąd, póki nie zmusił ich do zupełnego odwrotu, a nawet doprowadził tym sposobem do tego, że ci sami chłopi, którzy go przyszli rabować, postawili mu straż koło domu, i przepraszali i prosili i błagali o przebaczenie.

Służba dworska zagrzana męztwem pana, z pokorą zaprotestowała przeciw straży chłopskiej, oświadczając, że oni sami dadzą im rady, w razie gdyby się znowu odważyli napadać dwór.

I na tem skończyła się cała wyprawa chłopów. Przerażeni tak energicznem wystąpieniem pana Wojnarowskiego, nie mieli ochoty na inne rzucać się dwory.

Wieść o tym wypadku przebiegała z ust do ust i ze wsi do wsi, i lotem błyskawicy obiegła całą okolicę i obwód cały, i była postrachem dla innych.

Powyższe zdarzenie przytoczyłem jedynie dla tego, ażeby do tylu innych jeszcze i ten przyłączyć dowód, ile może silne postanowienie, niezłomna wola, nieustraszona odwaga i przytomność umysłu, a oraz, ażeby wystąpienie Wojnarowskiego posłużyło za przykład jak w podobnym wypadku postąpić w przyszłości.

Konwojujący nas urzędnik, po wielu prośbach i przedstawieniach, ledwie pozwolił Wojnarowskiemu i Łempickiemu, pomówić z Krobickim słów kilka.

Męzkie było ich powitanie i męzkie pożegnanie, uściśnienie dłoni i jedno spojrzenie było dla nich dostateczne, a kilka wzajemnie wypowiedzianych słów uspokoiło jak jednych tak drugich na długo.

Prędko opuściliśmy Rzeszów i w dalszą wyruszyliśmy podróż.

W ciągu całej naszej podróży nie wiele wydarzyło się nam ważnego, godnego abym wspomniał tu o tem.

Wszystkie miasta wyglądały smutno, posępnie, a w każdem z tych miast widzieliśmy jeden albo więcej domów, w których zamiast okien tylko drewniane postrzegliśmy kosze więzienne.

Bo też wówczas było wiele takich domów z koszami. Wszystkie miasta Galicji napełnione były więźniami, — w pierwszej chwili po 21 lutego 1846, liczono w Galicji przeszło 7000 uwięzionych. Mężczyzn też mało było widać, kobiety tylko nasze w ciężkiej pouhierane żałobie i biedne, małe sieroty tułające się z miejsca na miejsce z domu do domu, snuły się po ulicach, a na ich twarzach widziałeś smutek, żal, boleść, rezygnację i oburzenie, bo każda z nich straciła w tym roku albo ojca, albo matkę, dzieci, brata, męża albo kochanka, albo przyjaciela, bo każda z nich straciła kogoś z familji, albo z przyjaciół, albo ze znajomych; albo zostali zabici, albo pozabierano ich z domów. Nigdzie też nie widziałeś wesołej twarzy, każdy zamyślony, z pochyloną, ze zwieszoną na piersi głową szedł posępny, powoli, krok za krokiem jakby obawiał się czegoś.

I rzeczywiście nikt nie był pewny czy noc nadchodzącą przespi w swym domu.

Groźne, straszne, okrutne to były czasy! A więc też duch tego czasu malował się na twarzy każdego miast mieszkańca i jak ów w ustach gminu istniejący upior, pierś człowieka — przygniatał swym ciężarem miasta całe, i powlekał je grubą żałobą.

Wszystko co czarno ubrane uciekało z wiosek, bo wszyscy się bali, nikt nie był bezpieczny, nikt nie był pewnym dnia ani godziny.

Po wsiach, osobliwie zbliżając się już w okolice Tarnowa, wszystko wyglądało także ponuro i zgrozą przejęte. Strach jakiś opanował nasz lud, oprócz tego nic do opisania nędza, głód, i jakaś zaraza. Aż strach nas przejmował, i żal ściskał serce, gdy wszędzie na gościńcach, po rowach, po polach, pod płotami i chałupami widzieliśmy to trupów, to konających z niedostatku, głodu i nędzy. Konające dzieci leżały na trupach swoich rodziców, albo zawodziły i szarpały ich ciała, by z wiecznego obudzić je snu.

Konające matki trzymały w bezwładnych rękach martwe, skośniałe już dzieci. A wszystkie twarze były tak straszne, tak groźne, tak sine, wynędzniałe, czarne, a przecież tak litość wzbudzające, że głębokim przejęci żalem, ze łzami w oczach odwracaliśmy się na przeciwną stronę.

Ale o zgrozo! po drugiej stronie jeszcze boleśniejszy przedstawił nam się widok: przy gościńcu za rowem oparta o drzewo młoda jeszcze siedziała kobieta, czarna, długi, czarny włos rozmierzwiony spadał aż na ramiona, ciemne oko mdłą zachodziło powłoką, usta były zsiniałe, ręce bezwładnie opuszczone na ziemię, na wyschłych piersiach rozmamana brudna koszula, na podołku leżała w brudne łachmany owinięta mała dziecina, która kwiląc słabym już głosem, jednę drobniutką wystawiała rączynę. Wzrok tej nieszczęśliwej matki wlepiony był w dwoje starszych już dziatek, wijących się tuż koło niej w ostatnich zda się konwulsjach.

— Panie! — zawołali Franciszek i Wiktor razem do urzędnika — Panie! na miłość Boga! każ stanąć, i na nasz rachunek, wspomóż tę nieszczęśliwą matkę z naszych funduszów!

Wszyscy poparliśmy ich prośbę, i ludzki urzędnik kazał stanąć pocztyljonowi.

Wyjeżdżaliśmy właśnie na wierzchołek góry, więc wstrzymał pocztyljon konie, urzędnik wysiadł, odliczył kwotę na jaką się wszyscy zgodzili, i zbliżył się do niej.

— Kobieto! kobieto macie tujaj! — zagadnął do niej, ale ona nie odwróciła się do niego, ani nawet w tę nie spojrzała stronę.

— Kobieto! — powtórzył ruszając ją zlekka za ramię. — Ci panowie kazali wam dać te pieniądze!

Nieszczęśliwa odwróciła się, poglądnęła na niego, na nas rzuciła wzrokiem wzywającym litości, nareszcie oczy zmieniły się nagle, wyprężyły się ręce, wyciągnęły nogi, przekrzywiły się usta, ziewnęła, powieki zapadły i — skonała. A małe na podołku niemowlę kwiląc ciągle, drobniuchną jeszcze wystawiało rączynę, jakby na nasze udręczenie naszej chciało wzywać pomocy, a starsze dziatki leżały już cicho, spokojnie; może duch ich już ulciał za matką.

Nietylko my, ale i urzędnik nie mógł znieść tego widoku, wrzucił pieniądze na podołek martwej już matki żyjącego jeszcze niemowlęcia, i wskoczywszy do powozu: „jedź!“ krzyknął wzruszony.

Każdy z nas przebył już tyle w swem życiu, doznał tyle bolesnych wrażeń, a przecież było to może po raz pierwszy w naszem życiu, że przed wrażeniem chcieliśmy uciec. Cofnąwszy się w głąb powozu, pozatykaliśmy sobie uszy rękoma i zamknęli oczy. Ale w naszej wyobraźni postać nieszczęśliwej matki towarzyszyła nam daleko: daleko dolatywały nas jęki i kwilenia konających dzieci i obraz dzieciny, sieroty!

Pocztyljon widać także uciec chciał z tego miejsca przejmującego zgrozą, bo popędził z nami jak wiatrem.

Na twarzy wszystkich tych żebraków, a raczej tych nieszczęśliwych ludzi, malowała się boleść, ale równocześnie boleść niezwykła, i zdanie się na łaskę nieba.

Nie widzieliśmy, by któren z nich wyciągnął rękę, najwięcej jeżeli swym wzrokiem błagał litości.

Przyjechaliśmy do Dembicy rano i właśnie zastaliśmy tam jarmark. Mnóstwo ludzi zaległo rynek, i trudno było przejechać. Chłopi w białych płutniankach i czerwonych czapkach otoczyli powozy, jak tylko się zatrzymały.

— O! — wołali jedni — Poloki! Ciarachy! — i uśmiechali się złośliwie. Drudzy poglądali obojętnie, inni zaś poglądali z rodzajem współczucia, a inni znów odwracali się szybko i uciekali jakby przed wyrzutem sumienia.

Co do Dębicy, sądzę że nie wolno mi pominąć małej na pozór drobnostki, a jednak dowodzącej, ile to serca znaleźć można w prostym czasem ludzie.

Chcę mówić o jednej z mieszczek tamtejszych, o jednej przekupce, przedającej jagody.

Była to już kobieta wiekowa, przyjemnych jednak rysów i wyrazu dobroci na twarzy. Tuż koło naszego powozu rozłożony miała swój kram, t. j. kosze, przetaki i t. d. z jagodami. Jak tylko stanęły powozy, zaraz porwała przetak najpiękniejszych — jakie miała — jagód, zbliżyła się do powozu, i wzniosła go w górę, zapraszając byśmy brali dużo.

— Ależ moja kochana kobieto! — rzekł Franciszek — my nie mamy pieniędzy, zatem i kupić nie możemy, a komisarz który ma nasze pieniądze, nie będzie się tu zatrzymywać, a zatem i płacić nie będzie.

— Panie Boże! — zawołała poczciwa kobieta — a któżby to miał serce brać od was pieniądze? dyć to wy nase dzieci co to za nas cierpicie i krew swoją pselewocie, jo za darmo, za darmo — proszącym mówiła głosem — daję wam panowie, bierzcie dzieci ile chcecie! bierzcie wszystkie, jo wam nie załuję, jo wam od serca daję.

I widać było że szczere miała chęci, że te jagody ofiarowała nam z serca, bo mówiąc do nas, łzy ocierała z swych oczu.

— Dziękujemy wam dobra kobieto! — powiedział Franciszek — ale my nie weźmiemy tego od was daru — dziękujemy wam szczerze, bo wiemy, że szczerze nam ofiarujecie, ale my nie mamy ani gdzie wziąć, ani nie ma już czasu, bo ot widzicie, powóz już rusza.

I rzeczywiście powóz już ruszył, a poczciwa kobieta jeszcze biegła za nami, a gdy widziała, że wziąć już niepodobna, postawiła przetak na ziemi, a sama goniąc za powozem, wołała nawpół z płaczem:

A Bóg niech wos błogosławi dzieci! a niech wos ma w swojej świętej opiece, a Matka Psenajświętszo niechaj wos chroni i broni, i wrocajcie z Bogiem....

I zadyszała się biedna, i ustały już stare jej nogi, i oparła się o jakiś domek, i długo jeszcze poglądała za nami, a my żegnaliśmy ją i dziękowali to czapkami to rękami.

Przyjemnie nam było znaleźć w prostej kobiecie tyle serca, tyle współczucia, ale równocześnie powstała w nas obawa, że może ukradną jej przetak z jagodami, który zostawiła wśród tłumu ludu na ziemi.

Minęliśmy nareszcie Dębicę, w Pilźnie stanęliśmy na chwilę, i w przejeździe pokazywano nam mieszkanie Kapuścińskiego. W Tarnowie już byliśmy bardzo znużeni, chcieliśmy chociaż chwilę odpocząć, ale służbisty urzędnik ściśle się trzymał rozkazów, i jechaliśmy dalej, i minęliśmy Wojnicz i Bochnię. W Gdowie, a raczej za Gdowem, pokazywano nam mogiły usypane na grobach naszej w roku 1846 po-

ległej młodzieży. Przejechaliśmy Wadowice, w Andrychowie zatrzymaliśmy się kilkanaście minut, a potem przez Kenty do Biały.

W pobliżu Biały, jakiś niczem niewypowiedziany smutek ogarnął nas wszystkich. Po raz pierwszy dopiero nastąpiła rozwaga, zaczęliśmy się zastanawiać nad naszem położeniem, a rozbierając wszystko dokładnie, przyszło nam na myśl, czy wrócimy jeszcze kiedy do kraju, który właśnie opuszczamy.

I głośno wypowiedzieliśmy myśl naszą, i pytaliśmy:

— Czy też wszyscy jak teraz jedziemy, będziemy kiedy jeszcze oglądać rodzimą ziemię naszą. Kto wie, może niejeden z nas na obcej ziemi nie pośród swoich złoży swą głowę!...

— Jest na to sposób — rzekł Franciszek — możemy się zabezpieczyć od tego, każdy z nas niechaj weźmie grudkę ojczystej ziemi, niechaj ją przechowa starannie, a jeżeli w strasznej dla nas obczyźnie zechce Bóg którego z nas powołać przed siebie, wówczas przed śmiercią do trumny każe sobie włożyć przywiezioną grudkę, a raczej proch z kości ojców naszych, bo przecież to każda grudka krwią przodków naszych oblana.

Wszyscy zgodziliśmy się na to, i gdy przed Białą zatrzymały się nasze powozy, wysiedliśmy zaraz, i w obec zdumionych żołnierzy padliśmy na kolana, wznieśliśmy ręce do nieba, przesłali Bogu krótką lecz szczerą modlitwę, i pożegnaliśmy ziemię naszą uściskiem i pocałunkiem gorącym. A gdyśmy wsiadali do powozu, każdy z nas trzymał garść ziemi, którą potem zawiązał w chusteczce.

Wjechaliśmy w miasto, powozy toczyły się szybko, i szybko wjechaliśmy na most na Białe, rzece, odgraniczającej Białę od Bilska, Galicję od Szląska. Zaledwie mieliśmy tyle czasu, by ostatniem spojrzeniem jeszcze raz pożegnać ukochany kraj. Wjechawszy w jednę z ubocznych ulic Bilska, straciliśmy prędko z oczu naszych ostatnie miasto Galicji, i już byliśmy w Szląsku.

Mała tylko rzeczka przedziela te dwa sąsiednie miasta pokrewne a przecież jakąż to wówczas postrzegliśmy między niemi różnicę. Wjechaliśmy jakby w inne zupełnie pań-

stwo, i pod innem zupełnie panowaniem: Biała w obec Bilska wydawała nam się wówczas jak liche, ubogie przedmieście zamożnego, bogatego miasta. W Białe ledwie kilka postrzegliśmy osób, wszędzie prawie przebijała się bieda, jakoś niezwyczajnie cicho, spokojnie, ponuro; w Bilsku zaś na pierwszy rzut oka poznaliśmy kwitnący przemysł, handel;— tu wywieszano sukna, tam je czyszczono, ówdzie barwiono, mnóstwo ludzi snuło się po ulicach, rzemieślników bez liku, czeladź to w zielonych to w czarnych fartuchach z zakasanemi rękawami od koszuli, i zabarwionemi rękoma krzątała się czynnie około swego zatrudnienia, a twarze wszystkich ogolone gładko, jakkolwiek wyrażały wewnętrzne zadowolenie i wesołość, raziły oko nieprzywykłe do widoku mężczyzn bez wąsów.

W Bilsku gapiono się na nas, rozdziawiono gęby, a gdzieniegdzie słyszeliśmy wyrazy: *Polaken.*

Za Bilskiem wkrótce ukazały nam się słynne tamtejszych kobiet wiejskich pończochy czerwone i spodniczki krótkie, i kruciutkie stany szpecące niesłychanie.

W pobliżu Skoczowa mówiliśmy kilka słów z włościaninem z tamtejszych stron. Ucieszyliśmy się niemało, gdy zamiast niemieckiego języka usłyszeliśmy mowę polską chociaż zepsutą, bo mięszaną, to jest narzecze mazurskie, przeplatane kilką niemieckiemi słowy.

Już się zciemniło zupełnie, gdyśmy przybyli do Skoczowa. Widać tam już wszystko czekało naszego przybycia, i pokój oświecony i gorejąca lampa w sieni, i oddział wojska i tłum gapiącej się gawiedzi.

Urzędnik wysiadł, wszedł do budynku, po chwili powrócił do nas i oświadczył, że tu nocować będziemy.

Ucieszyło nas to nie mało, bo byliśmy już znużeni, a nadto zasłociło się bardzo.

Tłumy prawdziwej gapiącej się gawiedzi otoczyły nasze powozy, porozdziawiali gęby, wytrzeszczyli oczy, i przy świetle dwóch przy powozie znajdujących się lamp, przypatrywały się nam, jak to u nas czynią tylko żydowskie dzieciaki i uliczniki, gdy w mury miasta naszego wjedzie jaki cudzoziemiec z menażerją. Wyprawiali śmieszki, drwinki, je-

den drugiemu zaglądał przez głowę, i jedni chowali się za drugich.

A wszędzie, naokoło słyszeliśmy często powtarzane: *Polak! Polaken!*

Wtem zdaleka usłyszeliśmy kogoś wołającego: *A! aha! aha!* I nareszcie zbliżyła się ta osoba na kilka kroków do powozów, szyderczo pokłoniła się nisko, czapkę zdjęła do ziemi, i gościnnemi powitała nas okrzykami i słowy:

— *A! a! ihr verfluchten Kerle? Ihr verfluchten Polaken!*

Na nieszczęście ta osoba zbliżyła się także do powozu, gdzie siedział Edward, i wymawiała te wyrazy zaglądając do powozu.

W Edwardzie jakkolwiek zakipiało wszystko: „Co!“ krzyknął tylko dla żartu, głosem podobnym raczej do piorunu, i ku tej osobie wyciągnął swą rękę. Ale nie miał już co uchwycić, odważnej osoby już nie było a nawet gdyby był zlazł z powozu, nie byłby ujrzał nikogo, bo jedno jego słowo: „Co?! wymiotło wszystkich gapiów tak młodych jak starszych.

Tą ważną w dziejach Skoczowa osobą był pocztyljon tamtejszy, jak słyszeliśmy później, żołnierz wysłużony czy za urlopem.

Nim kazano nam wysiąść, upłynęło z pół godziny. Zaledwie weszliśmy do pokoju, i zaledwie ustawiono straż w pokoju, w sieniach i pod oknami, znów tłumy pojawiły się gapiów, i znów dochodziły nas przez szyby śmieszki i drwinki. Uśmiechaliśmy się na to, ale gdyśmy postrzegli, że ruch ten coraz złośliwsze objawia chęci i zamiary, ubolewaliśmy nad taką biedotą tego miasta, i prosiliśmy Boga, by im wrócił rozum i oświecił swą łaską.

Przyszło do tego, że zaczęto rzucać kamieniami, i wojsko musiało wystąpić i rozpędzić tłumy.

O tym wypadku byłbym wcale nie nadmienił, byłbym pominął milczeniem ów wypadek, świadczący o ówczesnem moralnem ubóstwie mieszkańców Skoczowa, zamiar atoli opisu przyjęcia, jakiego doznałem w powrocie ze Szpilbergu, skłonił mię do opisania przyjęcia podczas podróży na Szpilberg.

Konwojujący żołnierze byli tak znużeni bezsennością i podróżą, że pozwolono im udać się na spoczynek, a do nas wyznaczono żołnierzów z pułku Fürstenwärter.

Żołnierz stojący w pokoju, dokuczał nam, ile mu się podobało, nie dał nam palić ani cygarów, ani lulki, ani nawet nie dał nam rozmawiać z sobą, grożąc przebiciem, strzelaniem i tem podobnem.

Byliśmy przymuszeni wezwać pomocy urzędnika. Żołnierz jednak nie chciał przyjąć od niego żadnych rozkazów, miał go bowiem także za jakiegoś rebelanta, i musiano się udać do pana fraitra, i ten dopiero wydał mu inny befelunek.

Rano o świcie opuściliśmy gościnny Skoczów, na kawę przyjechaliśmy do Cieszyna. W Cieczynie zatrzymaliśmy się na rynku. Tam spostrzegliśmy wiele współczucia i ubolewania. Wszyscy stali w znaczącem milczeniu, wszystkich twarze przyoblekła powaga, przechodzący koło powozów grzecznie się kłaniali, ze wszystkich stron witano nas to uchylaniem kapeluszy, to skinieniem ręki, a znanej piękności Cieszynianki poglądały na nas z wyrazem ubolewania.

Gdy już ruszyły powozy, żegnano nas z żywem współczuciem.

Nie pamiętam już dokładnie, we Frydku czy w Freybergu wyprawiono maleńką demonstrację. Gdy bowiem w jednem z tych miast weszliśmy do restauracji, zastaliśmy tam jakby czekających na nas ze 40 mężczyzn. Wszyscy byli w kapeluszach. Zaledwie atoli wstąpiliśmy na próg pokoju, wszyscy nagle powstali, i jakby na komendę wszyscy razem zdjęli kapelusze, i pokłonili się grzecznie i z pewną powagą.

Nie dano nam z nimi mówić, bo tej chwili wpakowano nas do drugiego pokoju.

Gdyśmy wychodzilili, znowu wszyscy powstali, i znowu zdjęli kapelusze, i pożegnali ukłonem i słowy:

— *Gott führe Euch!*

I wyszli za nami aż do powozów, i znów powtarzali!

— *Gott! Gott möge Euch führen!*

A niektórzy dodali:

— *Und hüten, und schützen, und zurück führen in Euer Vaterland.*

Na twarze ich wystąpił pąs, objaw wewnętrznego życia, a oczy tryskały żarem.

Rozumie się samo przez się, że za tak szczerze objawione współczucie, dziękowaliśmy szczerze.

Gdyśmy już wsiedli do powozu, zawołał ktoś z tłumu znaczącym tonem:

— *Geduld! Hoffnung!*

Na to odezwał się Edward:

— *Die Polen ertragen ihre Leiden mit Geduld. Die Polen glauben an Gott, und in den stetten Bewustsein Ihrer gerechten Sache, verlässt Sie die Hoffnung nie!*

Powóz już ruszał z miejsca, więc każdy uchylił krakuski, bo wszyscy jechaliśmy w własnych czapeczkach, i pożegnaliśmy stojących.

Skręcając w bok ulicy, wyglądnęliśmy z powozu, wszyscy stali jeszcze na miejscu, poglądali za nami, i białemi powiewali chustkami.

W Wiszawie [1]) nie mniej miła, nie mniej przyjemna czekała nas niespodzianka. Wjechawszy do tego miasta, wszędzie witano nas serdecznie, każdy z przechodniów uchylał kapelusza, kobiety przystawały i witały i słowy i wzrokiem i ręką. A gdy pierwszy powóz wtoczył się w rynek, jakby na skinienie różczki czarodziejskiej, wszystkie na raz rozwarły się okna, a w każdem oknie stały kobiety, i trzymały w ręku kwiaty i wieńce.

I znowu jakby na dany znak pochyliły się wszystkie, piękne równianki spuszczały z okien, jakby nam chciały pokazać, że kwiatami pragną zasłać nam drogę, a wieńce wznosiły do góry, i dawały do zrozumienia migami, że dla nas są one uwite, że nam się one należą.

Cała publiczność otaczająca nasze powozy, z odkrytą stała głową, a więc i my pozdejmowaliśmy nasze czapeczki, na wszystkie kłaniając się strony.

Lękliwy urzędnik naglił, byśmy coprędzej wysiadali, aby uniknąć dalszej ostentacji.

---

[1]) Inaczej: Wischau, także Wisków.

Wygramoliliśmy się zatem ile możności jaknajprędzej, i weszli do wskazanej nam restauracji. Tam znów liczne oczekiwało nas grono obywateli tak miejskich jak wiejskich; wszyscy powitali nas serdecznie i po bratersku. Wdali się z nami w rozmowę, wynurzali swe ubolewanie, pocieszali jak mogli, i dawali do zrozumienia, że tak długo nie będzie, że stosunki polityczne inny wkrótce muszą wziąć obrót, i zostaniemy uwolnieni.

Gdyśmy mieli wychodzić, napełnili kieliszki, i na nasze wychylili je zdrowie.

Przy wsiadaniu powtórzyła się w oknach ta sama scena, jak przy naszym wjeździe, a gdyśmy jechali obok kamienic, spadały tak do powozu, jak na powóz i na drogę piękne równianki.

Szlachetni mieszkańcy Wiszawy, pozostawili w sercach naszych nietylko miłe, bardzo miłe wspomnienie, ale oraz i uczucie wdzięczności do zgonu.

Wiszawa, była to już przedostatnia pocztowa stacja przed Bernem. Byliśmy ciekawi ujrzyć już raz nasze nowe więzienie na Szpilbergu, a jakkolwiek nie straciliśmy nadziei, przeczuwaliśmy, że nie tak prędko wrócimy do kraju. A w przekonaniu, że nie będziemy mogli już ani widzieć lasów, łąk, gór, rzek, ani oddechać świeżem powietrzem, nasycaliśmy się pięknemi tamtych okolic widokami, i pełną piersią wciągaliśmy w siebie powietrze, kurzacze zaś palili bezustannie tytoń lub cygara, bo wiedzieli, że na Hradczym kopcu to wszystko zabronione jest surowo.

Minęliśmy Giczyn, a za Tuczapami w dali na lewo, ukazywano nam pole bitwy pod Austerlicami, gdzie tyle popłynęło krwi.

Nareszcie zbliżyliśmy się do Berna tak dalece, że już wolnem dojrzeliśmy je okiem. Po nad miastem na lewo, na górze mniej więcej wysokości tutejszej góry piaskowej — czy wysokiego zamku, wznosiły się mury tak zwanego Hradczego kopca (Szpilbergu). Wjechaliśmy nakoniec do miasta, nikt na nas nie zwracał uwagi, bo mieszkańcy Berna przyzwyczajeni byli do takiego widoku. Ten lub ów poglądnął na nas obojętnie, i w dalszą szedł drogę. Zresztą i powozy nasze toczyły się szybko, i szybko też minęliśmy ulice mia-

sta, wjechaliśmy na przedmieście i przejechawszy ulicę Szwabską, (*Schwaben Gasse*), skręcono w bok, potem parę minut na prost, i już byliśmy u stóp Grajgóry — jak Szpilberg żartem nazywali więźniowie.

Ponieważ przeszło od godziny kropił kapuśniaczek, więc oślizła droga, i pocztyljon oświadczył, że nie wyjedzie na górę z takim ciężarem. Na wezwanie urzędnika pozłaziliśmy z powozu, i pieszo dalszą puściliśmy się drogą; kilku z berneńskiej młodzieży przypatrywało nam się z daleka.

Zewnętrznej postaci Grajgóry opisywać nie mogę, bo już uleciała z pamięci, pamiętam tylko mury, mury, i ciągle mury, a po nad murami wznoszące się gmachy o licznych oknach, z których przy naszym wjeździe w ulicę Szwabską powiewały chustki więźniów, którzy nas poprzedzili; a co do wnętrza tego gmachu — o tem potem, niechaj mi jednak wolno będzie uprzedzić, że bardzo tylko skąpe w tym względzie udzielić będę mógł wiadomości bo ówczesnemu nawet dozorcy tamtejszemu nieznane są może wszystkie zakątki tego strasznego więzienia.

Do góry szliśmy powoli i na wszystkie oglądając się strony. Wylazłszy na sam szczyt, odzwyczajeni od dłuższej przechadzki a nadto w kajdanach, byliśmy bardzo znużeni. Kazano nam wsiąść do powozów i pojechaliśmy dalej.

Wkrótce stanęliśmy przed pierwszą bramą.

Przed bramą czekał już na nas urzędnik; zapukano, oddano hasło, i rozwarła się brama.

Jeszcze raz wyglądnęliśmy okienkiem na wolność — rzuciliśmy okiem na Berno, na piękne tego miasta okolice, na łąki, na góry na lasy, na zielone równiny i wśród nich w kształcie węża wijącą się Czerniawę, i — wjechaliśmy w straszne mury Hradczego kopca. Głośno i przeraźliwie zaskrzypiały ciężkie zawiasy, i zamknęła się za nami brama więzienia, jak wieko trumny, jak kamień grobowca.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Grajgóra, czyli świat więźniów stanu.

Mury Hradczego kopca mieszczą w sobie rozległe gmachy. Co chwila nową mijaliśmy bramę, nowe ujrzeliśmy podwórze i nowe budynki, a jeszcze za murami nawet jechaliśmy do góry. Wszędzie straże, wszędzie oddziały wojska, albo tamtejsi strażnicy. —

Te wszystkie ulice kręte i ciemne podwórza mijaliśmy szybko, nareszcie zatrzymano powozy, i kazano nam wysiąść. Nasze rzeczy poznosili strażnicy.

Którędy nas prowadzono? niepamiętam, i zdaje mi się, że pomimo tego, iż tylu z naszych także temi samemi prowadzono krętemi drogami, żaden ich nie pamięta, ani spamiętać jest w stanie.

Najpierwej prowadzono nas — ile mi się zdaje — do magazynu. Tam rozbito nam kajdany, a potem kazano rozebrać się, w ścisłem tego słowa znaczeniu — do naga, i odbyła się systematyczna rewizja, o której zaprawdę nie mieliśmy wyobrażenia. Pozdejmowano nam nawet szkaplerzyki i medaliki z Matką Boską i krzyżyki, a żonatym ślubne obrączki. Nic — o ile „nic,“ można sobie wyobrazić, — nie dozwolono nam zabrać ze sobą.

Każden z nas osobne dostał ubranie numerowane; ja pamiętam, miałem numer 35. Ten numer był wybity na każdej sztuce ubrania, a to składało się: z koszuli zgrzebnej, bez g.... (te bowiem według zdania nie wiem czyjego, nie były nam potrzebne) z drelichowych pantalonów o nogawicach otwartych po bokach do spinania na guziki — jedna nogawica biała, druga w czarne paseczki, — z niemieckiej długiej kamizoli — której jedna połowa biała, druga także

w czarne paseczki, nareszcie z spencera z jednym rękawem i z jedną połową białą, a drugim rękawem i połową drugą znowu w czarne paski, nakoniec z chustki białej, perkalowej na szyję i białego kapelusza. Nadto otrzymał każdy z nas grubą chustkę do nosa, płócienne szkarpetki i pięć rzemyczków ze sprzączkami do kajdan, i skórzany pasek.

Ubranie wydawał nam sam przełożony, pan Thune czy Thun, którego przedstawił nam konwojujący urzędnik.

Nowy nasz przełożony, w wieku 45 do 48 lat, był wzrostu małego, szczupły, włosa nie bardzo jasnego, cośkolwiek w rudawy wpadającego; czoło dość niskie, nos nie mały, sine usta szczelnie zamknięte, oczy bure zakryte były okularami, cała twarz, z wyjątkiem krótkich od ucha do pół twarzy sięgających bakenbartów rudawych, gładko ogolona. Wyraz twarzy: pozorna spokojność, dalej zimna obojętność, przenikliwość, cierpliwość, wytrwałość, w wnętrzu kipiąca burza. Miał na sobie długi, poniżej kolan sięgający sukienny surdut bronzowego koloru, czarną do góry wykładaną kamizelkę z zegarkiem w kieszonce, czarną jedwabną chustkę związaną na dwa fontazie, z której dwa nie bardzo wielkie sterczały fatermerdery, i czarną oficerską czapeczkę z orzełkiem i złotym sznureczkiem.

Zresztą często lubiał poprawiać rękawy swego surduta, albo okulary, czasem bawił się złotym łańcuszkiem u zegarka, albo zdejmował pyłek ze sukni. Starał się najusilniej by sobie dodać powagi, ile możności jaknajwięcej, a zatem wyprostowawszy się po wojskowemu, podparł bok jedną ręką, drugą włożył do kamizelki, lewą nogę wysunął naprzód, głowę podniósł do góry, zmarszczył brwi, i udawał głęboko zatopionego w myślach o wielkich jakichś planach.

Gdy nam rozdano odzienie, oświadczył przełożony, że odtąd przestaniemy żyć dla świata, że właściwie według istniejących przepisów tracimy nawet nazwisko, że odtąd naszem nazwiskiem powinien być tylko numer wybity na sukniach. Dalej opowiadał nam, że według „Hausordnungu“ (porządku domowego) nazajutrz ogolą nam brody i wąsy, i zakują w kajdany, tudzież że tymczasowo nie umieszcza nas na korytarzu więźniów politycznych, którzy przyjechali przed

nami, gdyż nie wypada, abyśmy przed nimi ukazali się tak okropnie zarośnięci.

Nareszcie pożegnał się urzędnik, który nas konwojował, najpierw z nowym naszym przełożonym, a potem z nami, i wyszedł. Nas zaś przełożony i kilku tamtejszych dozorców czyli strażników poprowadziło do kaźni. Prowadzono rozmaitemi korytarzami i schodami, to do góry to na dół, to znowu do góry, to w prawo to na lewo, to na prost i znowu o parę piąter w dół, aż weszliśmy na jakiś długi korytarz, do którego światło dziwnym dochodziło sposobem: na środku i po obu krańcach korytarza znajdowały się trzy murowane, wielkie, ażeby się zrozumiale wyrazić, czworograniaste tunele czy wieżyczki jakby kominy, sięgające od korytarza na samym dole, aż po nad dach gmachu, tam po nad dachem pokrywał je daszek, po bokach zaś znajdowały się okna, i te dopiero puszczały światło swe z góry, z boku, przez wszystkie piątra aż do dolnego korytarza; rozumie się, że na każdem piątrze każda taka wieżyczka zaopatrzona była z wszystkich czterech stron w wielkie okna o bardzo licznych szybach, pokrytych siatką drucianą; we wnętrzu tunelu znajdowała się krata.

Na tym korytarzu rozdzielono nas po czterech, i zamknięto do kaźni. Kaźnie były czyste i suche, pościel czysta i znośna, okno niemałe, kraty i siatka, lecz kosza żadnego.

Wkrótce potem otworzono kaźnie, i dwóch podobnie jak my ubranych rabusiów czy zbójów, wniosło dla każdego z nas po półkwartowym kubku mleka, i podobnoś po dwa maleńkie rogalki na maśle. Mleko było dość dobre, rogalki dość smaczne.

W godzinę później wszedł do nas przełożony, i wszczął z nami pogadankę. Wypytywał się każdego z nas to o to, to o owo, ilu z naszych jest jeszcze we Lwowie, i mniej więcej ilu przybędzie na Grajgórę? Nareszcie opowiadał nam, kogo już z naszych przywieziono na Grajgórę, i że my jutro także na ten sam pójdziemy korytarz, i będziemy się mogli z naszymi towarzyszami niedoli widywać na przechadzce. Nakoniec, że politycznym więźniom na Hradczym kopcu tak źle nie jest, bo Najjaśniejszy Pan sam opieku-

jąc się nimi, stara się ile możności ażeby ulżyć ich cierpieniom, i nie dozwolić żadnego pokrzywdzenia.

Wtem jeden ze strażników ukazał się we drzwiach, i dał znak przełożonemu, że jest potrzebnym. Pożegnał się zatem z nami i wyszedł.

W rozmowie był dość grzeczny, tylko to się nam nie podobało, że w kaźni rozmawiając z nami, stał w czapeczce na głowie.

Zmierzchło się znacznie, więc znużeni podróżą i bezsennością, udaliśmy się na spoczynek. Zaledwie atoli zaczęliśmy usypiać, przeraźliwym głosem wrzasnął nam żołnierz pod oknem przeciągle: „*Wer da! patrul furbei!*„ i na długo wybił nas ze snu. To wołanie powtarzało się regularnie co pięnaście minut, za każdym zatem razem, budziło nas wszystkich.

Długo, długo nie mogliśmy się przyzwyczaić do tego, bardzo wiele nocy spędziliśmy z tego powodu bezsennie.

Nazajutrz rano znowu wniesiono nam mleko, rogalki, po pół bocheneczka pięknego i smacznego chleba.

Po śniadaniu zakuto nas w kajdany, a potem jak rekrutów ostrzyżono i ogolono, pomimo naszego w tym względzie wniesionego protestu.

Po tej ciężkiej operacji, wprowadził nas przełożony na zupełnie inny korytarz, jednak także z opisanemi powyżej tunelami, a ztamtąd na podwórze.

Na podwórzu zastaliśmy chodzących więźniów. Wszyscy powitali nas radośnemi okrzyki, i serdecznem uściśnieniem ręki.

Wymieniliśmy nasze nazwiska, oni wzajemnie, i wzajemnie tysiące zadawaliśmy sobie pytań.

Ile sobie przypominam, zastaliśmy tam już: Mikołaja Kańskiego, dalej obudwóch książąt Woronieckich to jest Henryka i Augusta, — Antoniego Skąpskiego, Michała Tarnawskiego i t. d. Więcej sobie nie przypominam a to z tej przyczyny, że nim z tymi zapoznałem się bliżej, już kilka nowych, po ośm więźniów, przybyło transportów.

Miejsce wyznaczone na przechadzkę mieć mogło do 50 kroków długości, a 30 szerokości. Całe to miejsce otoczone było wysokim murem. Z jednej tylko strony wzniesiony był

*

zamiast altanki daszek opierający się na dwóch słupkach, tam pod tym daszkiem było kilka ławek, i tam w razie większego deszczu, chroniliśmy się wszyscy.

Strażników było na przechadzce zwykle dwóch, a czasem tylko jeden. Przełożony towarzyszył nam prawie zawsze.

Po upływie godziny dano nam znać, że czas przechadzki upłynął. Wszyscy wracaliśmy razem, i na pierwszem piątrze wszyscy weszli do swoich kaźni. Moich towarzyszów zaś, według objawionego życzenia, porozdzielano po kaźniach. Antoniego Skąpskiego, Wiktora Krobickiego, Franciszka Urbańskiego i mnie także, na moje życzenie do jednej wprowadzono kaźni.

W nowem naszem więzieniu, w porównaniu z lwowskiem, uderzyła nas w oczy tak czystość, jak porządek we wszystkiem. Ściany i podłoga były w całem tego słowa znaczeniu białe, dosyć nawet zgrabne łóżka, czyste sienniki, prześcieradła i podszyty koc do przykrycia, i włosienne poduszki. Nad każdem łóżkiem była półeczka, na niej szczoteczka do włosów z etykietą „Londyn“ grzebyczek, szczoteczka do zębów, szklanka i niemiecka szlafmyca biała, a obok półki, wisiał jakkolwiek gruby, zgrzebny, jednak czysty ręcznik. Pościel i bieliznę zmieniano regularnie co Soboty, i gdyśmy w Sobotę z południowej wracali przechadzki, już wszystko w najpiękniejszym porządku, złożone było na łóżku każdego. Okna dość wielkie — jak na więzienną celę — zawsze były czysto utrzymywane. Kraty atoli, a głównie druciana siatka, raziła oczy.

Złodzieje i rabusie pod dozorem strażnika sprzątali w kaźniach podczas naszej nieobecności, t. j. podczas przechadzki, i oni wnosili nam wodę, niemniej śniadanie, obiad i podwieczorek.

Z własnych pieniędzy nie wolno nam było nic kupować, tylko owoce przynoszono nam czasem na przechadzkę, czy jednak miał kto pieniądze czy nie, nie czyniło to żadnej różnicy, gdyż jak pod każdym, tak i pod tym względem wielką zachowywaliśmy równość, jedność, i zgodę. Na żądanie tych zatem którzy mieli pieniądze, wniesiono na przechadzkę kilka koszów z owocami dla wszystkich bez wyjątku, bez różnicy.

Śniadanie i podwieczorek składało się zwyczajnie i według przepisów z mleka i rogalków lub chleba. Jeżeli atoli na czyje żądanie uznał tamtejszy lekarz za potrzebne, dawano winną albo piwną polewkę, albo nareszcie rosół. Na obiad dostawaliśmy rosół, mięso, pieczeń (najwięcej cielęcą, baranią albo wieprzową); nie pamiętam już dokładnie, codzień, czy tylko trzy razy na tydzień coś na leguminę, to jest: ryż, buchty, knedle, śliwki, albo niemieckie — Szmaren i t, d. Dla słabych dawano co przeznaczył lekarz.

Jedzenie każde wnoszono nam zawsze na drewnianej tacy i w kubkach blaszanych czarnych, we środku pobielanych.

Prócz tego otrzymywał każden z nas — rozumie się kto chciał, po pół łuta tabaki, a nawet i więcej. Zdaje mi się, że tabakę zażywali tam wszyscy i pomimo że na wolności nikt jej z nas nie używa — przyznaję, że w więzieniu była ona w braku lulki niezbędnie prawie potrzebną.

Jeden August Woroniecki otrzymał pozwolenie palenia fajki na przechadzce, i dostawał tyle tytoniu, ile potrzebował i jakiego zażądał.

Pozwalano nam książki nietylko do nabożeństwa, ale także i naukowe z wyjątkiem wszelkich historycznych książek lub powieści.

Zresztą nie była dozwolona żadna inna rozrywka. A jeżeli cokolwiek bądź postrzeżono u nas, tej chwili konfiskowano, rozumie się w naszej niebytności. I tak skonfiskowano kilka razy szachy i arcaby z chleba.

Sparzeni kilka razy, przechowywaliśmy je później tak, że konfiskata nie nastąpiła już nigdy.

A ponieważ Wiktor Krobicki lubiał grywać wista, więc postanowiłem założyć fabrykę kart, i niezwłocznie wziąłem się do dzieła następującym sposobem:

Papier z musujących proszków, które otrzymywali słabi, z tytoniu księcia Woronieckiego, niemniej papier z tabaki składałem czas dłuższy, aż uzbierało się tyle, że można było ulepić wielki arkusz tektury; wówczas poliniowałem cały arkusz w kraty wielkości kart, poprzerzynałem, a potem farbą utartą z cegły pomalowałem Coeur i Caro, Pique i Tréfe farbą z palonej szmaty, lub papieru z masą chlebową.

Zrobiliśmy karty i tym sposobem poświęcaliśmy potem wieczory grze wista. We dnie bowiem uczyliśmy się lub czytali, grać zaś nie było można, gdyż jedno zaglądnięcie do wizytyrki, mogło nas pozbawić tej przyjemności, wyrywającej nas z nieznośnej monotonności. Zresztą wieczorem grać mogliśmy swobodnie, bo lampa przymocowana zewnątrz przy wizytyrce, nietylko oświecała całą kaźnię, ale nadto chroniła nas od zaglądania strażnika do kaźni, a graliśmy z takiem zajęciem, jak gdyby to szło o wielki jakiś majątek. Czasem dla odmiany graliśmy w szachy lub arcaby.

Jak tylko zapadał zmierzch, rewidowano kajdany, to samo odbywało się zrana. Przy takiej rewizji zawsze był obecnym sam przełożony. Przy tej sposobności zawsze do nas kilka przemówił słów, i wówczas udawaliśmy się do niego, gdy który z nas czego zażądał. Jeżeli jednak jednemu coś odmówiono, wówczas wielki powstawał rajwach, bo wszyscy tego żądali.

Później, gdy już Grajgóra była nami — że tak wyrażę się — zapełniona, zaludniona, panowała między nami taka zgoda, taka jedność, w każdej najmniejszej nawet drobnostce, że gdybyśmy obecnie — jako ludzie wolni — mogli zachować tę zgodę i jedność, śmiało stawićbyśmy mogli czoło niejednej tej lub owej frakcji, albo całemu stronnictwu, albo w ogóle wszystkim naszym wrogom, a może nawet berłu całego świata.

Rozumie się samo przez się, że przełożeni Grajgóry z każdej najmniejszej drobnostki wielkie robili rzeczy, każdą, jak to mówią — muszkę przeistaczali w wielbłąda, zawsze i wszędzie i na wszystko zapatrywali się tam powiększającem szkłem. Jeżeli ten lub ów zażądał tej lub owej książki naukowej, już cały może i kilkuarkuszowy raport wysyłano do tamtejszego krajowego rządu, a ztamąd wysyłano dalej, i często taka bagatela, o której by mówić może nie warto, opierała się aż o Najwyższy tron, zkąd domagano się zezwolenia. Jeżeli zatem jeden zażądał tego lub owego, nie zdawało się im stosownem uwzględniać prośbę pojedyńczego, a więc zażądali wszyscy, i wówczas dopiero stało się zadość życzeniu.

W początkach nie pozwalano nam innych książek prócz nabożnych. Później atoli, powoli, stopniowo, za pośrednictwem najwyższych władz kraju otrzymywaliśmy — jak nam mówiono — od Najwyższej władzy pozwolenie kupowania i sprowadzania z naszych funduszów rozmaitych dzieł czysto naukowych. Naprzykład pozwolono nam kupować geografię, lecz nie dozwolono żadnej mieć mapy, lub atlasu. Dozwolono dzieła matematyczne, a wzbroniono ołówka, pióra, papieru, lub marmurowych tabliczek.

Później uzyskaliśmy wprawdzie pozwolenie do sprowadzenia map i atlasów, tabliczek jednak nie wolno nam było kupować.

Radziliśmy sobie na to; na przechadzce bowiem, cały mur i powyż wspomniony daszek pokryty był marmurowemi czarnemi płytami, wszędzie zatem leżały kawałki takich płyt, te zabieraliśmy ze sobą do kaźni, i na nich pisaliśmy co było potrzeba. A gdy i tego zakazano surowo, wówczas pisaliśmy na kompaturce książek, a to następującym sposobem:

Tłustością z knedli — które dawali nam nadzwyczaj tłusto — lekko posmarowaliśmy czarną kompaturkę, potem posypaliśmy piaskiem, nareszcie piasek strzepali tak, że tylko biały pyłek osiadł na kompaturce, wówczas pisaliśmy drutem od pończochy; gdy cała strona była zapisana, ścieraliśmy szmatą, posypywali piaskiem na nowo, znowu pisali i t. d.

A gdy o drucie wzmianka, winienem nadmienić, że według tamtejszego „Hausordnungu“, obowiązany był każdy więzień zrobić co tygodnia podobno jednę parę grubych, wełnianych pończoch. Pierwszego z naszych nauczył podobno strażnik, następnie zaś uczył jeden więzień drugiego. Dawano nam na ten cel kłębek ogromny bawełny, grubości silnego szpagatu i pięć drutów drewnianych, grubości zwyczajnego ołówka. Rozumie się samo przez się, że pomimo zagrożenia kazamatą i innemi karami, mało kto oddawał żądaną robotę. Zwykle robili ci tylko, którzy dla słabych oczu czytać nie mogli. Wiem zresztą to tylko, że tak jak inni, i ja za cały blisko rok ledwie zdobyłem się przy pomocy towarzyszów na półtory pończochy, i to wówczas dopiero, gdy

postrzegliśmy, że na serjo zabierają się do wykonania zapowiedzianej groźby.

Na przechadzkę chodziliśmy zawsze po dwa razy na dzień i zawsze po całej godzinie; tam przyjemnie upływały nam godziny, było tam wesoło, gwarno, a często chórem zaspiewaliśmy niejednę pieśń narodową; wszyscy też byli weseli, nie smucił się nikt. —

Pieśni jakieśmy zwykle spiewali były:

Gdyby wolnym być,
Oręż w dłoni mieć,...

Albo znowu:

O wolności i o sławie,
Nuci młodzież po Warszawie,
A pod Kownem gwar.

Dalej:

Bracia rocznica — więc po zwyczaju
Niech każdy toastem spłaci,
Ten pierwszy puhar wznieśmy dla kraju,
Drugi dla ległych współbraci!

Niemniej:

Bracia wstańmy wraz!
Ilu jest tu nas!

Lub:

Bywaj mi zdrowy kraju kochany!

Oraz:

Któż me westchnienia, któż me łzy policzy?

Albo Juljana Goslara pieśń, którą utworzył w dzień Bożego narodzenia:

Jakież to błogie dla nas dziś wspomnienie,
Dziś obchodzimy Boże narodzenie!

Tudzież, zapewne mało jeszcze znaną pieśń tego samego autora, którą podaję w całości:

Czyś opuścił nas już Boże?
Z łez się Polski rzeki zlały,
Że krwi Polskiej stanie morze,
Z męki polskiej czyściec cały!

Boże patrz na twe ofiary,
Na tę ziemię z Polakami,
My nie tracim jeszcze wiary,
Patrz i zlituj się nad nami.
Wszak ten naród życie dawał,
Dla Imienia Twego Panie,
I w obronie ludów stawał,
I czcił Twoje przykazanie.
A gdy także je przekraczał,
Za to wiek już pokutuje,
Że z Twej świętej drogi zbaczał,
Szczerze i mocno żałuje.

Nareszcie ową cudną pieśń o jaskółkach, której i treść i melodja tak piękne, tak pełne głębokiego uczucia — jak n. p. pierwsza zwrotka:

Młody wojownik w pośród obcej ziemi,
Wśród obcych ludów nękany niewolą,
Usiadł zajęty myślami tęsknemi,
Nad losem Polskim, i swą własną dolą.
A wtem jaskółki od wschodu leciały,
Młodzian rzekł do nich z wyrazem bolości,
Wyście zapewne nad Polską bujały,
Jakież mi ztamtąd przynosicie wieści?

I wiele, wiele innych pięknych, narodowych pieśni.

Wieczorem po rewizji wszyscy wychodziliśmy do okien słuchać śpiewu odzywającego się z sąsiednich kaźni pierwszego albo drugiego piątra.

Już to głównie celowali i uprzyjemniali nam wieczorne chwile pięknym melodyjnym śpiewem: dwaj Stokowscy, Apolinary i Ludwik, Edward Rylski, Józef Wysocki, Wojciech Włodek, Władysław Dydyński, Robert Nabielak, Juljan Goslar i więcej innych, których niepamiętam już dzisiaj.

Edward Rylski i Wojtek Włodek, cudnie, nasze cudne śpiewali krakowiaki; tem odznaczali się głównie. Śpiewy wszystkich tamtych, albo historyczne, wyrażające heroizm narodu, albo czysto religijne, przemawiały do duszy, wzniecały zapał, podnosiły ducha, albo wyciskały łzę, ci obaj atoli: Edward i Wojtek — gdyż tak nazywaliśmy naszego uko-

chanego Włodka — gdy nadzwyczaj miłym, dźwięcznym głosem zanucili, zaśpiewali krakowiaka, gorącej popłynęła w żyłach krew, szybciej zabiło rozweselone serce, wypogodziło się czoło, zaiskrzyło oko, ścisnęła się dłoń, i tupnęło się nogą aż brzękły — kajdany.

I zwykle na wesołym krakowiaku kończyły się spiewy; potem powiedzieliśmy sobie wzajemnie dobranoc, i — zapominając o naszej niedoli — weseli bo z czystem sumieniem i spokojem w duszy układaliśmy się do snu, który przerwał nam tylko jaki galicyjski rekrut, stojący pod oknem na straży, i krzyczący nieznośnie: „Holberda! Patrul furbaj!“

Transporty — jak powiedziałem powyżej — po ośm więźniów razem, przybywały — jeżeli się nie mylę, dwa razy w tygodniu. Więźniowie siedzący na drugiem piątrze, mieli z swych okien widok na część miasta, i na przedmieście koło ulicy szwabskiej, a ponieważ transporty przejeżdżać musiały tą ulicą, więc widzieli każden transport, i zaraz donosili nam o tem.

W kilka dni zatem po naszem przybyciu dano nam znać, że jeden transport przyjechał. Rzeczywiście na drugi dzień podczas przechadzki nowi przybyli towarzysze, oprawieni jak my wszyscy. Między tymi byli także ks. Antoni Nahlik i Maxymiljan Miler. ks. Nahlik z natury już bardzo delikatnej kompleksji, był nadto wówczas słaby; przykro było się patrzyć na niego, wycieńczonego jakkolwiek tylko na fizycznych siłach, a zakutego w ciężkie kajdany. W ciężkie mówię, bo — ile mi się zdaje — każdego kajdany ważyły podobno ośm funtów; jeden tylko ks. Franciszek Szajnok, skazany na lat 12, dla nadzwyczaj nikłej budowy ciała i wątłych sił, miał lżejsze od nas kajdany i ważące o połowę mniej od naszych.

Przywitałem się z księdzem Nahlikiem, a potem zbliżyłem się do Maxymiljana, którego strażnicy wnieśli na przechadzkę. Oko jego było jasne, wesołe, czoło wypogodzone, a na ustach wił się uśmiech serdeczny; podałem mu rękę, i uściskałem go szczerze i w oku z łzą radości, a oraz smutku i żalu. Cieszyłem się że żyje, w myśli dzięki składałem Bogu, że go ocalił i zachował przy życiu, nie mogłem atoli powstrzymać się od wynurzenia mu mojej boleści z po-

wodu jego kalectwa, skurczona bowiem błona brzuchowa, czy jakiś inny defekt, następstwo z odniesionej rany, niedozwalało mu nietylko wyprostować nóg, ale nadto stracił w nich władzę zupełną.

Później już nigdy nie dozwoliliśmy, ażeby go kto inny prócz nas wynosił na przechadzkę. Nie mogąc chodzić, siedział zwykle pod daszkiem, a kilku z nas ofiarowało się codziennie na przemian bawić go na przechadzce; i zawsze liczne otaczało go koło.

Nic nie było dla nas tak przykrego, tak bolesnego, jak gdy musieliśmy się patrzyć na cierpienia, któregokolwiek z naszych towarzyszów. Najlżejsza słabość zamienić się tam może na słabość okropną, sprowadzającą śmierć. Wiadomo bowiem powszechnie, że na chorego największy wpływ wywierać może wyobraźnia, a każda prawie słabość już sama przez się działająca na nerwy, sprowadza tę ważną, najgłówniejszą przyczynę jej pogorszenia, a cóż dopiero w więzieniu, a jeszcze do tego w obcym kraju, a nadto na grajgórze?

I bardzo słusznie, a raczej bardzo właściwie nazwano tę górę, to straszne więzienie „Szpilbergiem“ a my „Grajgórą“, bo rzeczywiście jest to góra, na której żywioły natury, — wichry i burze zawsze i nieustannie, wiecznie, szaloną, przerażającą wyprawiają grę. Świst, szum, huk, i wycie i zawodzenie wiatrów nie ustaje tam nigdy prawie, zdaje się nietylko że lada chwila wiatr wydmie okna i drzwi, ale nadto że cały obali gmach i rozsypie w gruzy.

Takie wieczne wycie zatem wątpię, ażeby nie rozniecało coraz mocniej trawiącej wyobraźni, a dodać do tego ponury głos dzwonów, prawie nigdy w Bernie nieustający i obijający się rażąco o uszy słabego, czyż nie musi działać pogorszająco na stan złożonego słabością więźnia? Czyż mimowoli nie musi przypominać mu śmierć i pogrzeb? Słabość sama przez się jest już okropną męczarnią, ale często zanadto małą by mogła rozbudzić litość tych, których, pieczy chory jest powierzony.

A śmierć na Hradczym kopcu, to straszna! samo wspomnienie przejmuje, przeraża. A pogrzeb tamtejszy, to obrządek okrutny!

*

W słabości, gdyby nawet najcięższej, nie zdejmują kajdan; według istniejących wówczas przepisów, czy to zbój czy rabuś czy morderca czy więzień stanu, według jednego i tego samego systemu był traktowany, wszyscy zarówno jednym i tym samym podlegali ustawom, przepisom, los wszystkich i w ogóle ich życie lub śmierć zawisła od ka prysu lub humoru strażnika, dozorcy, nadzorcy, komendanta wojskowego tamtejszego, albo lekarza. Ten lub ów przedstawił wyżej to lub owo, tak lub siak, uczynił propozycję według swego widzimisię, i stało się zadość jego życzeniu, i wydano i wykonano na więźniu wyrok większej, wyszukańszej męki, lub ulgi w męczarni. Życie więźnia człowieka, ceniono mniej jak ceni się życie domowego zwierzęcia.

Więzień chorował i konał w żelazach, po śmierci dopiero rozkuwano żelaza, martwe ciało — nie wkładano, bo i któż z obcych miałby tyle uczucia, tyle serca, tyle litości, lecz wrzucano do skarbowej trumny, złożonej z sześciu, nawet nieohyblowanych desek białych, nie zabijano lecz przymknięto wieko, zamiast na marach złożono na noszach podobnych do drabiny, czterech zakutych zbrodniarzy uchwyciło za nosze i pod przewodnictwem jednego czy dwóch podobno strażników, wynicsiono na cmentarz. Tam wykopano jamę, potem odkryto wieko, przechylono trumnę, i ciało nieszczęśliwego stoczyło się zupełnie nagie do grobu, który następnie przysypano ziemią.

Z naszych okien widzieliśmy często pogrzeb tego rodzaju. Aresztanci niosący ciało zmarłego, zawsze wracali z trumną.

Winienem tu nadmienić, że gdy nas przywieźli na Grajgórę, przynajmniej co do politycznych więźniów, znacznie zmieniono ten surowy system.

Nieszczęście chciało, że jeden po drugim zachorowało dwóch więźniów, najpierwej Śleczkowski, a potem w tej samej kaźni gdzie ja siedziałem, Fr. Urbański. Pierwszy zapadł na febrę gastryczną czy żółciową, drugi zaś na nerwówkę.

Słabość obydwóch dotknęła nas boleśnie; przywołany lekarz tamtejszy zajął się nimi gorliwie, i Śleczkowski wkrótce wyszedł z niebezpieczeństwa, co do Franciszka je-

dnak oświadczył wyraźnie, że się obawia, ażeby równocześnie nie dostał zapelenia mózgu. Wszyscy narobiliśmy ogromnego halasu, i zażądali, ażeby przywołano jakiego znakomitego doktora z miasta, jeżeli się ten nie czuje na siłach wyleczyć go z pewnością.

Nasze żądanie było bez skutku. Wprawdzie nie pamiętam już dokładnie, ale zdaje mi się, że na nasze nalegania rozkuli im żelaza po upływie pięciu czy sześciu dni słabości, a nie mogło to pierwej nastąpić, gdyż jak z wszystkiem tak zapewne i w tym razie odnosili się także nietylko do tamtejszego krajowego rządu, ale aż do Wiednia.

Lękając się, ażeby Franciszek rzeczywiście nie dostał zapalenia mózgu, wyjednaliśmy tyle, że dwa razy na dzień przynoszono ceber lodu, a świeżej wody tyle razy ileśmy zażądali, lekarz bowiem zalecił zimne okłady na głowę. Przez trzy dnie i noce zmieniało się nas trzech siedzących z nim razem, i co kilka minut zmienialiśmy okłady.

Franciszek gorący jak w ogniu, leżał bezwładny i bezprzytomny; jak w dniach zdrowia tak w ciągu całej swojej słabości był spokojny, cichy; bolał, cierpiał, nie wydawając jęku nawet, często tylko chwytał się za głowę.

Od bezustannego wykręcania okładów, aż nam puchły ręce, aż do krwi z dłoni zlazła nam skóra. Troskliwe atoli nasze starania, wkrótce pożądanym uwieńczone zostały skutkiem. Po trzech czy po czterech dniach bowiem otworzył Franciszek oczy, i powoli odzyskał przytomność, a następnie, stopniowo siły i zdrowie.

Zdaje mi się, że zbyteczną by było opisywać radość, jaką nas przejęło wyzdrowienie jak jednego, tak drugiego towarzysza niedoli.

Tamtejszy lekarz, młody jakiś człowiek, ile nam się zdawało, szczerze się nim zajmował, więc też tak Franciszek jak i my wszyscy złożyliśmy mu nasze podziękowanie.

Wkrótce po wyzdrowieniu Franka, przeniosłem się do kaźni, gdzie siedział Maxymiljan Miler i Edward Rylski. Wówczas dopiero dowiedziałem się, że Maxymiljan jest zdrów zupełnie, i że cała jego słabość jest tylko udana. Tym sposobem chciał wyjednać swoje uwolnienie.

Wiadomość ta była mi niejako nagrodą po smutku, jakiego doznawałem podczas słabości mego przyjaciela.

Maxymiljan przechadzał się często po pokoju, wtedy atoli jeden z nas stał zawsze przy wizytyrce, ażeby ją zasłonić w razie gdyby kto zaglądał do kaźni.

Cośkolwiek poniżej wizytyrki znajdowała się w każdych drzwiach masiupeńka dziureczka, którą zaledwie przepchać by można groszek niewielki. Ta dziurka pokryta była zewnątrz kaźni blaszką podnoszącą lub spuszczającą się podług woli, i nazywała się „kukerl.“

Edward, który tak strażnikom jak i przełożonym płatał rozmaite figle, postanowił odzwyczaić strażników od częstego do tej dziurki zaglądania.

Wieczorem zatem, gdy zapalono już lampę — a wówczas właśnie zaglądano najczęściej — usiadł sobie przy drzwiach ze słomką, napełnioną tabaką. Pomimo że strażnicy chodzili tam w nocy w berlaczach, ażeby ich nikt nie słyszał gdy się zbliżają cichaczem do podsłuchiwania lub zaglądania, zawsze usłyszał ich każdy więzień jeżeli tylko chciał. Edward zatem także słyszał ciche ich kroki, i wówczas przytknął słomkę do dziurki, a jak tylko podniosła się powyż nadmieniona blaszka, dmuchnął w słomkę, i zasypał tabaką ciekawe oko. Równocześnie jednak udawał kichnięcie, ażeby w danym razie wyprzeć się winy, a jeżeli który ze strażników albo przełożony zaglądnął we dnie do wizytyrki, ażeby przekonać się co my robimy, tak głośno krzyknął: „czego?“ że przerażony strażnik lub przełożony nietylko zamknął wizytyrkę czemprędzej, ale nadto odskoczył na kilka kroków.

Później pytany o to, tłumaczył się: że chcąc ażeby go słyszano przez drzwi, musiał krzyczeć głośno.

Gdy jeszcze siedziałem z Franciszkiem, przypominam sobie następującą scenę:

Nie wiem z jakiej przyczyny wpadła do sąsiedniej kaźni, to jest do Maxymiljana Milera rewizja, której przewodniczył sam przełożony. My nie wiedzieliśmy o tem, tylko słyszeliśmy, że o niezwykłej porze otworzono kaźnię, i że stukano tam w sposób niezwyczajny. Skąpski myśląc że tam nie ma już nikogo, zapukał do ściany na znak, ażeby Edward zbliżył się do okna, a gdy nie otrzymał żadnej odpowiedzi,

zapukał ponownie. Na to odstukał mu Edward znacząco, to jest, że teraz nie może tego uczynić.

Wkrótce usłyszeliśmy zamykanie sąsiedniej, i otwieranie naszej kaźni, do której wszedł sam nadprzełożony, pan— jak się nazywał — Ritter von Adelsberg (czy Adelsburg). Pan Adelsberg był wzrostu słusznego, silnej budowy ciała, szatyn, przystojny na twarzy, bez żadnego, (z wyjątkiem niezwykłej zarozumiałości i dumy) wydatniejszego wyrazu. Szczycił się zawsze, że był paziem u dworu, i że jest szlachcicem.

Wszedłszy w czapeczce urzędowej do kaźni, przystąpił do Wiktora Krobickiego i zapytał:

— Kto stukał do kaźni?

— Nie wiem — odpowiedział Wiktor.

Zwrócił się zatem do Franciszka, i to samo zadał mu pytanie.

— Nie wiem — odrzekł także i Franciszek.

Nareszcie gdy i odemnie tę samą usłyszał odpowiedź, zapytał Antka Skąpskiego.

— Ja! — śmiało i z powagą, rozumie się w niemieckim języku odpowiedział Antek, dodając zaraz, że uczynił to jedynie dla tego, że słysząc takie stukanie, obawiał się czy nie zachorował Maksymiljan, więc niepokojony tą myślą, chciał dla wywiedzenia się przywołać kogo do okna.

Nadprzełożony czyniąc mu z powodu takiej bagatelki wyrzuty tonem i sposobem niegrzecznym, wywołał także i ze strony Antka ostrzejsze wyrazy.

Nadprzełożony tem urażony począł wyliczać mu swoje rozmaite godności:

— Czy wiesz pan — mówił — z kim pan masz do mówienia?

— Nie wiem — odpowiedział Antek.

— Jestem byłym paziem dworu, byłym wojskowym, szlachcicem i pańskim nadprzełożonym.

Skąpski, słuchając z powagą i z założonemi po napoleońsku rękoma, zapytał go na to patrząc mu w oko z największą flegmą i obojętnością:

— Czemdalej? *(Und was weiter?)*

Nadprzełożony całkowicie tą odpowiedzią zdeterminowany, uznał za stósowne odwrócić się, i opuścić kaźnię.

Już to tak z przełożonym jak z nadprzełożonym w bezustannej byliśmy walce, ale jak powiedziałem powyżej, trzymając się ściśle zasady „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego," łatwiejszym było dla nas zwycięztwo. A tę jedność do tego posuwaliśmy stopnia, że nawet gdy jednemu n. p. przyniesiono na śniadanie lub podwieczorek przydymione mleko, lub w ogóle złe jakie jedzenie, tej chwili wszyscy bez wyjątku szturmowali do drzwi i zwracali je, dopominając się o inne.

Pewnego razu po takim wypadku, gdy zwróciliśmy mleko czy podobnoś knedle z łojem, wszedł sam p. nadprzełożony, i oświadczył nam:

— *„Wenn ich als Kawalier es essen kann, so können Sie es auch"*.

My zaś odpowiedziawszy mu *„de gustibus non est disputandum"* zwróciliśmy jedzenie.

Jeżeli jednemu z nas było coś potrzeba, wówczas wszyscy udawali się do przełożonego i domagali się tego tak długo, póki nie otrzymał; często opierało się to o komisarza, zsyłanego do nas na komisję; o tego komisarza oparły się także nasze skargi co do robienia pończoch, co do nocnych „Halberda! patrul furbaj!" niemniej co do golenia brody i wąsów.

A główną dla nas pobudką do wzbraniania się od golenia wąsów i brody, była wiadomość o strasznym, okrótnym wypadku z Henrykiem Hubickim, który wypadek opisał, i przechodząc koło naszych kaźni, do kaplicy kościelnej, w dziurkę czyli „kukerl" włożył dziś już ś. p. Robert Chmielewski.

Dziś nie pamiętam już dosłownie krótkiej treści podanej nam karteczki, mniej więcej atoli zawierała ona co następuje:

„W roku 1847 — długoletnia nasza jednostajność, przerwaną została przeniesieniem nas na zupełnie inny korytarz, z powodu czynionych przygotowań na umieszczenie znacznej liczby nowych ofiar ówczesnego systemu. Na tym korytarzu siedzieli Justyn Begijowicz i Erazm Czajkowski, a za nimi Henryk Hubicki i Jan Gudziak, Henryk Hubicki o ile dostrzedz mogłem, dziurką czy szparą we drzwiach — i jak sły-

szałem z opowiadania, był to mężczyzna słusznego wzrostu, silnej budowy ciała, i nadzwyczajnej, prawdziwie olbrzymiej siły, włosa i oka ciemnego, i rzadkiej w ogóle męzkiej piękności. Jak sam mówił, należał wraz z Gudziakiem do sprawy zwanej „z zimnej wody“ i za zbrodnię stanu skazany był na lat 7. Gdy nas przeniesiono na ów korytarz, siedział już podobnoś lat przeszło 6, nie licząc w to lat spędzonych w inkwizycji. Zaraz po naszem przybyciu na ten korytarz, usłyszeliśmy jego silny i piękny, dźwięczny głos, i cudną melodję naszej najulubieńszej, najdroższej nam pieśni narodowej. Po odspiewaniu pierwszej zwrotki, przerwał mu Begijowicz niemniej dźwięcznem odspiewaniem zwrotek następnych, po czem wszczął rozmowę z Henrykiem. Zaledwie kilkanaście przemówili słów, wpadł pan Thun do kaźni Justyna i Erazma, zakazując im wszelkiej z sąsiadami rozmowy; a na ich przedstawienia, ażeby tego od nich nie wymagał, że oni nie wyrzekną się nigdy tej przyjemności, i że tylko nieczłowiek, *(Unmensch)* żądać może od nich coś podobnego, — zagroził im kazamatą, szelkami i gruszką słodką [1]).

Mniemam, że zanim przystąpię do dalszego opowiadania o Hubickim, będzie na miejscu skreślić bliżej co to są — a raczej co to były kazamaty na Grajgórze, co to są szelki, i co znaczy „słodka gruszka“.

Zabudowanie gdzieśmy siedzieli, składało się z szeregów kaźni na dole i na dwóch piątrach, w fundamentach atoli, w podziemiu były jeszcze trzy piątra, to jest trzy szeregi cel, stopniowo coraz głębiej w ziemi zbudowane. Pierwszy, t. j. najbliższy powierzchni ziemi szereg kaźni, miał jeszcze u góry maleńkie o jednej szybce okienka umieszczone bardzo wysoko, przy samej powale, i tak, że równały się z powierzchnią ziemi; ostatnie zaś dwa szeregi kaźni, wbudowane jeszcze głębiej, żadnych już na świat wychodzących nie miały okienek; znajdowały się one tylko nadedrzwiami od strony korytarza, na który tylko tunelem dochodziło świa-

[1]) Winienem tu nadmienić, że tak szelki jak słodką gruszkę zakładano tylko mordercom, podpalaczom, złodziejom i t. d. przynajmniej nie słyszałem, ażeby je zastosowano kiedy do więźniów politycznych.

tło z góry. Szczury, myszy i inne robactwo znajdowało się tam w większej zapewne liczbie, jak u Karmelitów pod Nrem 2gim.

Szelki — które zakładano za krnąbrność, były to obręcze żelazne, za pomocą których przykuwano więźnia stojąco do ściany w pozycji jak gdyby był rozkrzyżowany, a ażeby nie krzyczał, wsadzono mu w gębę żelazną, także do muru bocznemi klamrami przybitą maszynkę w kształcie gruszki; w środku tejże znajdowały się dziureczki tak urządzone, że gdy ów męczennik chcąc krzyczyć, w jednę, którąkolwiek zadął stronę, z drugiej sypał mu się do ust miałko tłuczony pieprz.

Nie dodając z mej strony żadnych co do przytoczonego ustępu uwag, przystępuję dalej do treści kartki Roberta:

„A że tak Erazm jak i Justyn siedzieli już w kazamatach — gdyż po dwudziestym pierwszym lutego 1846 roku, wsadzono nas tam wszystkich — więc przejęci zgrozą, zaprzestali dalszego z przełożonym sporu. [1])

Nie tak atoli stało się z H. Hubickim i J. Gudziakiem. Ci obaj siedząc już na Grajgórze lat tyle, tak bardzo z jakiegoś powodu znienawidzili przełożonego i wszystkich tamtejszych dozorców, i strażników, że obojętni na skutki, żadnego z nich nigdy nie przypuścili do kaźni. Przełożony zatem nie mając odwagi wejść do nich, wysłał ówczesnego nadprzełożonego pana Brajera czy Bajera. Ten nieograniczony samodzierżca, król Grajgóry, tej chwili kazał wpakować Gudziaka do kazamaty. Szlachetny Henryk Hubicki chcąc dzielić los swego towarzysza, oświadczył, że tylko przemocą zdołają go oderwać, rozłączyć od Gudziaka. A że na Grajgórze doświadczano już siły Hubickiego, zatem z obawy wywołania jej, użyto podstępu — i rozłączono ich, i każdego z nich do innej wsadzono kazamaty. Po upływie trzech tygodni osłabł Gudziak tak mocno, że już nie o własnych wy-

[1]) Winienem tutaj objaśnić, że według ówczesnego systemu obchodzono się z politycznymi więźniami lepiej, gdy obawiano się zwycięztwa powstańców, a zaledwie upadło powstanie, obchodzono się z całą srogością i dla tego wrzucono po 21 lutego 1846 roku wszystkich więźniów w lochy podziemne.

szedł ztamtąd siłach, na sienniku — gdyż tylko nagi siennik dawano do kazamaty — wyniesiono go z tego strasznego, ciemnego podziemia, a tak siennik jak aresztanckie suknie jego, nadgryzły myszy i szczury.

Nadzwyczajne zdrowie Hubickiego zaś, nie zachwiało się jeszcze tą razą, wyszedł o własnych swych siłach, i został złączony z Gudziakiem, który nie prędko przyszedł do zdrowia. Hubicki dostał w skutek wilgoci jakichś wyrzutów na wierzchniej wardze, golenie zatem wąsów tępą brzytwą, sprawiało mu niewypowiedziany ból, więc oświadczył, że nie da się golić z tego powodu; gdy jednak mimo tego chciano go golić, i zagrożono kazamatą, wówczas i Gudziak chcąc także odwzajemnić się Henrykowi, i wzajemnie okrutny dzielić z nim los, także nie pozwolił, ażeby mu skrobano twarz. Nadprzełożony atoli tej chwili kazał wsadzić Hubickiego do kazamaty, a Gudziaka zostawił w kaźni, jakby odgadując że tym sposobem — to jest rozdzieleniem i większą wygodą w czasie mąk Hubickiego, sroższe mu zada cierpienie.

Gudziak rzeczywiście zmartwił się nieszczęściem tak mocno, że w ciężką zapadł chorobę. Znając szlachetny jego charakter, jakby na urąganie zaczęto mu dogadzać; znosić to piwną to winną polewkę, to inne jakieś potrawy, które dawano zwykle w słabości, a w końcu przywołano nawet lekarza. Gudziak atoli powyrzucał wszystko, nie przyjął rad lekarza, który mu oświadczył, że ma nerwową gorączkę. Kazał sobie tylko przynosić wody po kilka razy na dzień. Silna, żelazna wola jego odniosła zwycięztwo. Przez przeciąg dni dziewięciu, tylko trzy razy zjadł po kilka łyżek rosołu, zresztą nic prócz wody nie wziął do ust, i wyzdrowiał o tyle, o ile po tylu męczarniach można było być zdrowym.

Nieszczęśliwy Hubicki, którego w kazamatach podobno golono przemocą, po upływie pięciu tygodni zapadł mocno na piersi, i dostał krwotoku. Pan Thun zawiadomił o tem nadprzełożonego pana Bajera zaraz, i zażądał ażeby mu przywołano lekarza.

Pan Bajer atoli jako nadprzełożony i komendant twierdzy, nie uwierzył nietylko tą razą, ale nawet gdy po upływie dni kilku, ponownego Hubicki dostał krwotoku, a po-

*

tem trzeci i czwarty nastąpił krwotok, nie wezwano lekarskiej pomocy. Przy piątym krwiotoku dopiero, gdy nieszczęśliwy Hubicki stracił mowę i przytomność, wyniesiono go na sienniku. Wilgoć jednak tak mocno przeżarła siennik (a może i szczury), że gdy go niesiono, porwały się końce siennika, i słaby wypadł na kamienie i potłókł się tak mocno, że go do kaźni Gudziaka przyniesiono zakrwawionego, i z sińcami na całem ciele. Potem przywołano wprawdzie lekarza i pielęgnowano starannie, ale Hubicki nie odzyskał już ani mowy ani przytomności, i w cztery godzin później wyzionął ducha.

Domyśliwaliśmy się tego, bo na korytarzu niezwykły panował ruch, i aż do kaźni zaleciał nas zapach jałowcu. Zresztą Gudziak przechodząc na przechadzkę koło naszej kaźni oznajmił nam śmierć jego grzmiącym i pełnym bolu i rozpaczy głosem w następujących wyrazach:

— Koledzy! dziś o godzinie trzeciej z południa, wyzionął ducha Henryk Hubicki.

Było to dnia 17go lutego, 1847 roku. [1])

Jakie — pisał dalej Chmielewski — uczyniła na nas wiadomość ta wrażenie, możecie sobie wyobrazić, opisać je atoli nie jestem w stanie. Kilka nocy spędziliśmy bezsennie, i kilka dni nie byliśmy w stanie przytknąć do ust jedzenia.

Śmierć towarzysza w więzieniu przeraża nie do opisania. Jakkolwiek to nie jednę w naszem życiu przebyliśmy burzę, niejednym dotknięci byliśmy ciosem, niejedną klęską, niejednego doznaliśmy już zawodu, krótko mówiąc, jakkolwiek przebolało się już nie mało, wiele, bardzo wiele, wierzajcie — że śmierć Henryka była dla nas ciosem obalającym nas na długo tak fizycznie jak i moralnie, bo serca na-

---

[1]) Przypuszczam, że karteczka nie zawierała wszystkiego, co powiedziałem powyżej, bo być może że wplątałem tam kilka słów, które później słyszałem od naocznego tego wypadku świadka, t. j. od Jana Gudziaka. Ale jest to fakt znany wielu więźniom, i nie podlegający żadnej wątpliwości, tembardziej że wówczas już siedzieli nasi na Grajgórze, i także nam to opowiadali, bo i do nich dolatywał zapach jałowcu, którym kadzili po śmierci. Zresztą podobnoś nawet widzieli jak go chowano, kupiono mu białą trumnę, i z tą już nie wracali aresztanci.

sze o mało nie pękły z bolu i żalu. Więcej nie mogę już opisać, co niedzieli idąc do kościoła, możemy tym co teraz sposobem korespondować ze sobą. Całujemy was wszystkich serdecznie.

Jakkolwiek dawniej, już zaraz w pierwszych dniach naszego pobytu na Grajgórze, postanowiliśmy nie dać sobie golić ni wąsów ni brody, zwlekało się to jakoś z dnia na dzień. Po otrzymaniu atoli tej karteczki od Roberta byliśmy tak oburzeni, że postanowiliśmy jednogłośnie zaprotestować odtąd stanowszo przeciw goleniu. Pobudzili nas także do tego towarzysze z drugiego piątra doniesieniem, że stopniowo, powoli, doprowadzili do tego, że im nie golą tylko podstrzygają brody i wąsy.

Pierwszy dzień w którym miano nas golić, przeznaczyliśmy, że tak się wyrażę, na wykonanie zamachu stanu, t. j. że każda kaźnia zaprotestowawszy i oświadczywszy nasze postanowienie, odprawi z niczem golibrodę.

Wkrótce nadszedł ów dzień. Golibroda — jeden z tamtejszych strażników — chodził od kaźni do kaźni, ale naprożno, i prosił i groził, i perswadował, ale wszystko naprożno, ani jednej nie ogolił brody, ani jednego nie oskrobał wąsa, ani nawet jednego swojemi palcami nie dotknął się nosa.

Była to dla niego strata nie mała, bo od każdego wąsa, od każdej brody pobierał 1 czy 2 krajcary. Popędził zatem coprędzej do przełożonego, i doniosłszy mu o buncie, o rewolucji o sprzeciwianiu się istniejącym przepisom grajgórskim, o wykroczeniu przeciw regulaminowi, przeciw Hausordnungowi Grajgóry, oskarzył nas nareszcie o opór stawiany jego strażniczej mości, i sprowadził pana Thuna do kaźni.

Pan Thun szedł od kaźni do kaźni, wszędzie groził, prosił, przedstawiał, lecz wszędzie jedne i te same usłyszał słowa:

— Więcej nie damy się golić!

Przełożony sprowadził nadprzełożonego, a nadprzełożony sprowadził komisarza rządowego. Niestety, i ci obadwa ostatni usłyszeli to samo.

Przełożony zapewne z wyższego rozkazu pozabierał niektórym książki, zresztą ucichło, a my oczekiwaliśmy kie-

dy wielka spadnie na nas burza brzemienna w grzmoty i pioruny, a raczej podziemia i kazamaty.

W parę dni przybył komisarz, i wezwał nas imieniem krajowego rządu, byśmy tymczasowo dali się golić, a Namiestnictwo uczyni zapytanie do Wiednia, oraz oświadczył, że spodziewa się pomyślnej dla nas odpowiedzi.

Zaprotestowaliśmy także i przeciwko temu, i po dłuższych układach kapitulowaliśmy w ten sposób, że przystaniemy na strzyżenie.

Jeden z więźniów miał mu nawet następujące po niemiecku powiedzieć wyrazy:

— Postanowień naszych nie zwykliśmy zmieniać, nie zmienimy zatem postanowienia powziętego co do niegolenia wąsów i brody, choćby nas wszystkich spotkać miał los naszego nieszczęśliwego Henryka Hubickiego.

Nie wiadomo mi, co na to odpowiedział komisarz?

Tego samego dnia wniósł Władysław Dydyński, znakomity nasz skrzypek prośbę do tego komisarza, ażeby mu pozwolono skrzypców do kaźni. W kilkanaście dni później, rzeczywiście otrzymał własne skrzypki, jednak bez smyczka; pozwolono mu wszakże grać codzień godzinę u przełożonego w kancelarji, zkąd aż do naszych kaźni dochodziły i o nasze uszy obijały się cudne to drżące, to śmiałe, to smętne, łzawe, płaczące, to znów wesołe tony, zlane w melodyjną harmonję.

Szkoda tego niezwyczajnego, bo znakomitego talentu! Lękam się, czy nie zmarniał w więzieniu, bo więcej niż dwa lata przerwy w ćwiczeniu dla muzyka, to śmierć, zadana jego talentowi.

Władysław Dydyński, skazany był na lat 12.

Brat jego młodszy, dziecię prawie, cudnej piękności młodzieniec, brunecik, jak to mówią, krew z mlekiem, zapadł tam na suchoty. Z niewypowiedzianym bolem w sercu spoglądaliśmy na niego, niknącego coraz bardziej i widoczniej z każdym dniem, z każdą godziną.

Był to młodzieniec rzadkiej dobroci serca, chęci i poświęcenia. Pomimo że wmawialiśmy w niego zdrowie, słodko, żałośnie uśmiechał się na to, bo wiedział o swej słabości, czuł że śmierć zbliża się do niego olbrzymieni kroki.

— O Boże! — mawiał czasem wzdychając — nie chcę, nic nie pragnę, nie żądam nic więcej od Ciebie, jak tylko byś mi pozwolił raz jeszcze ujrzyć mi drogą, ojczystą mą ziemię, nie pragnę nic więcej, jak tylko raz w lecie ujrzyć w Polsce piękną, boską naturę, a potem zakończyć życie na rodzinnej ziemi. [1])

Zawsze był luby, wesoły, i nigdy nie tracił humoru. Tylko gdy zakaszlał się mocniej i nastąpił krwiotok, pobladły piękne jego lica, ucichł, zniknął nagle mocny rumieniec, wówczas westchnął ile dozwalały płuca, wznosił do góry gorączkowym ogniem płonące oczy, i cichym mawiał głosem:

— Oj! nie zobaczę ja już podobnoś ukochanej Polski!

I bezwładny padał na łóżko.

Przywołany lekarz popatrzył, zadał lekarstwo, nieznacznie poruszał głową lub wzruszył ramionami i wyszedł. Bo zresztą i cóż miał robić? Na jego słabość nie było lekarstwa.

Obok tylu wzniosłych postaci, znajdujących się w tym oddziale na Grajgórze, nie mogę pominąć Henryka księcia Woronieckiego. Był to mniej więcej siedmdziesięcioletni staruszek, trzymający się jeszcze czerstwo i zdrowo pomimo licznych, jakie przechodził kolei. Jakkolwiek skazany na lat 10, na czas zatem, który w jego wieku powątpiewać kazał, czy ujrzy jeszcze kiedy rodzinny kraj, nigdy na jego twarzy nie ujrzałeś wyrazu smutku albo cierpienia. Wesoły, przyjemny, uśmiechający się mile, nie dał się nigdy nikomu zasmucić ani na chwilę. Stary polski żołnierz, w roku 1831 został majorem, był zawsze gotów wziąć oręż do ręki i dosiąść konia, i na dane hasło pójść za przykładem ojców, przodków naszych. Opowiadał nam często ustępy z swego życia, i wymownem opowiadaniem ogrzewał wszystkich, i rozniecał zapał i zamiłowanie do sprawy ojczystej.

Niemniej piękną, wzniosłą postacią był Stanisław Brześciański, skazany na lat 20, także mniej więcej 80letni mężczyzna. Nie mogę powiedzieć starzec, bo kto tyle co on we-

---

[1]) Doczekał się tego, ale też nic więcej nie mógł wyprosić od Boga. Wkrótce po uwolnieniu zakończył życie na łonie opłakującej go rodziny.

wnętrznego posiada życia, tyle i tak gorących uczuć, tyle prawdziwie młodzieńczego zapału, tyle hartu ducha, tyle w ogóle siły tak fizycznej jak duchowej, ten zaiste jakkolwiek starzec, doświadczeniem i rozumem wznieść się jest zdolny do wysokości czynu, na który zdobyć się może tylko mąż dojrzały, w pełnej sile wieku.

A było tam także trzech górali: Jacenty i Jaśko Kajsowic, pierwszy wójt, a drugi przysiężny, i Janek Stercula, wszyscy trzej z Sandeckiego, z słynnego Chochołowa, i wszyscy trzej na 3 lat skazani.

Pierwsi dwaj, poważni wiekiem dojrzałym, a wszyscy trzej miłością i poświęceniem dla kraju zasłużyli, ażebym niniejszem przekazał ich pamięci potomności, tem samem zapisał ich na karcie dziejów ojczystych.

Jakkolwiek zawsze i wszędzie poważaliśmy ich wszyscy i wszyscy postępowaliśmy z nimi jak z braćmi, zachowywali oni zawsze granice dowodzące o wiedzy, że tak moralnie jak i intelektualnie wyżej staliśmy od nich.

Nieoceniony, i przez wszystkich ukochany i szanowany i poważany nasz Mikołaj Kański, który w tym oddziale wielu z naszych, a między tymi i mnie udzielał nauki w rozmaitych przedmiotach jako to: języka i literatury ojczystej, geografji, historji, matematyki, astronomji, ekonomji, i t. d. wiele czasu poświęcał młodemu Jankowi Stercule, i z wielkiem zamiłowaniem oddawał się temu.

Janek, młodzieniec najwięcej 18 do 20 letni, wysoki, zgrabny, smukły, gibki jak góral, o ciemnych czarnych włosach, i pięknem czarnem oku, kształtnym nosie, i mało wydatnych lekko przymkniętych ustach, miał wyraz twarzy w ogóle miły, przyjemny, a że wszędzie i zawsze złotego, bo poczciwego serca składał dowody, więc wszyscy kochaliśmy go serdecznie i często żartowaliśmy z nim, figlowali i borykali się razem. Janek był chętny do nauki, pojmował szybko i dokładną miał pamięć.

Ale gdy powyżej nadmieniłem o Mikołaju Kańskim, skazanym na lat 18; z uczuciem niewypowiedzianej radości pragnę nieco bliżej zapoznać z nim czytelnika, rozumie się o tyle, ile jestem w stanie. Mikołaj Kański, wówczas w wieku 25 lat, wzrostu miernego, miał włosy ciemne, oczy jak

mi się zdaje jasne, piękne, jasne czoło, i kształtne miłe usta. Twarz w ogóle niełądna, wyraz atoli całości i dźwięczny głos mowy, miał w sobie coś tak przyjemnego, tak miłego, tak przyciągającego do duszy, że nie kochać go było niepodobnem, a rzadkiej bardzo rzadkiej dobroci serce, a w postępowaniu takt, konsekwencja i umiarkowanie i wyrozumiałość, niemniej brak wszelkiej zarozumiałości jednały mu wszystkich szacunek, a prawdziwie olbrzymie jego wiadomości naukowe, bystre i dokładne pojęcie, wytrawne zdanie we wszystkiem, siła i nieskazitelność jego charakteru w ogóle, niemniej kazały go koniecznie poważać. W mocnem przekonaniu, że wszyscy, którym wówczas z prawdziwą znajomością rzeczy i nadzwyczajną cierpliwością i tak chętnie tak szczerze, ot, jak własnej braci udzielał nauki, czują to samo co ja, niechaj mi wolno będzie nie tylko od siebie, ale oraz imieniem tych wszystkich najczulsze złożyć mu dzięki.

Jeszcze jednej nie wolno mi zapomnieć postaci, to jest o Józefie Jaworskim, skazanym na lat 10, a znanym już czytelnikom z mego opowiadania, o pobycie w małych koszarach we Lwowie.

Józef Jaworski, stolarz ze Lwowa, w wieku 30 lat, wzrostu słusznego, silny, barczysty, był włosa i oka czarnego, i w ogóle bardzo przyjemny, na twarzy szlachetnego i siłę ducha znamionującego wyrazu. Posiadał on wykształcenie, nie wielu rzemieślnikom jak on stolarzom właściwie. Z historją polską, jeografją i statystyką dosyć był obznajomiony, matematyce poświęcał się z zamiłowaniem, nadto mówił językami: polskim bardzo dobrze, i używał wyrazów doborowych, po niemiecku nieźle i cokolwiek po francusku, to jest tyle, że mógł czytać, rozumieć i być zrozumianym; umiał rysować, zresztą poświęcał się naukom z takim zapałem, że w całem tego słowa znaczeniu trzeba go było hamować; całą wiedzę ludzką chciałby był, że tak wyrażę się, połknąć od razu. Zdanie jego było dość trafne, pojęcie łatwe, nareszcie skromny, grzeczny, uprzejmy, a przy wykształconem sercu przebijała się u niego w każdym kroku, mowie i czynie wielka miłość ojczyzny i poświęcenie bez granic.

A gdy jest mowa o pojedynczych więźniach, ich charakterze i usposobieniach, i gdy nie wszystko jeszcze znikło

i uleciało z pamięci, niechaj mi wolno będzie zatrzymać się chwilkę jeszcze przy kilku z tych towarzyszów niedoli, co to także według swego przekonania nieśli dla dobra kraju nietylko życie w ofierze; przy tych, którzy prócz życia narażali nie niepewną jeszcze swą przyszłość, ale mniej więcej świetny swój byt materjalny już ustalony, albo którego ustalenie prawdopodobnie nastąpićby musiało, to jest chcę mówić (wielu już nie pamiętam) z Żelisławie Bobrowskim, właścicielu dóbr ziemskich, skazanym na lat 12, o Bonawenturze hrabi Bukowskim, na lat 12, i o Auguście księciu Woronieckim, na lat 10.

Żelisław Bobrowski, mniej więcej w wieku 50 lat, wzrostu słusznego, szczupły, blady, brunet, słabowity, zapadający coraz bardziej na zdrowiu. Pozornie wydawał on się może zbyt surowym, przypatrzywszy się atoli bliżej, trudno było nie dostrzedz w nim wielkiego ducha i dobroci serca. W rozmowie przyjemny, objawiający wielką znajomość ludzi, myśl głębszą i niepospolity zasób wszechstronnych wiadomości.

Bonawentura hrabia Bukowski liczyć mógł najwięcej lat 38 do 40, wzrostu słusznego, dobrze zbudowany, twarz ładna i młodsza nad wiek, wyrażała łagodność, rozum i szlachetność.

August książę Woroniecki w wieku, ile mi się zdaje, 35 lat, niski, silnej budowy, jasny blondyn, o kręconych włosach, niebieskiem oku, przyjemnych rysach i okrągłej twarzy. Wyraz jego twarzy: rezygnacja, obojętność na dalsze koleje losu i rzadka poczciwość.

A wszyscy trzej, jak i wielu innych także zamożnych, nie pojmujących nawet niegdyś jakby to być mogło, by nie mieć tego czego się chce, pragnie, żąda, żyjących przed swem uwięzieniem raczej w zbytkach niż w wygodzie, znosili z prawdziwie szlachetną dumą, po męzku swój los, i zresztą pomimo że byli tam więźniowie z rozmaitych warstw społeczeństwa, wielkim taktem i godnością umieli się do nich zastosować, i z wszystkimi żyli w koleżeńskiej zgodzie, i byli też kochani, szanowani i poważani. Umieli wejść w swoje i swych towarzyszów położenie, potrafili szybko przeniknąć ducha, jaki przeważnie istniał na Grajgórze, więc w od-

powiednią uderzali strunę, i uderzeniem stosownego akordu przyczyniali się nie mało do utworzenia cudnej harmonji. Czuli że jak ich, tak wszystkich jednakowe tam sprowadziło przekonanie.

Może od niektórych czytających me Pamiętniki spotka mię zarzut, i powiedzą:

Na miłość Boga! cóż ten człowiek robi? wszak ci ludzie żyją jeszcze! jakżeż można tak bardzo wychwalać kogoś za życia publicznie? to jest żenujące!

Albo powiedzą może inni:

Jak można wszystkich takiemi jednostajnemi obsypywać pochwałami? czyż tam ani jednego nie było złego? i t. d.

Co do pierwszego, nie pojmuję dla czego mamy czekać aż na śmierć tego, któremu mamy i winniśmy oddać to co mu się należy.

Zresztą pytam się, dla czego pierś walecznego żołnierza przyozdabiają krzyżem za życia nie po śmierci?

Dla czego tego lub owego mowcę, dyplomatę, poetę, literata lub artystę za życia a nie po śmierci wynoszą pod niebiosa liczne dzienniki?

Czyliż wielki harakter, którego nie otrzymuje się wraz z życiem, lecz nad którego wyrobieniem lata trzeba pracować, i do wyrobienia którego, że tak powiem, krwawe, łzawe często staczać trzeba walki z sobą i z losem, i prawdziwie cierniowe nieraz przechodzić koleje, nim w sobie wykształci się siłę niezachwianego niczem harakteru, i niezłych lecz dobrych jego przymiotów, nie zasługuje choćby dla przykładu innych, by choć kilkoma słowy wynurzyć uznanie?

Wykształcenie siły harateru, to nie martwy obraz, nie martwy posąg, którym jakkolwiek jenjalny ale zawsze niejako wraz z życiem otrzymany, aż do mistrzowskiej sztuki doprowadzony talent artysty malarza, rzeźbiarza, nadaje pęzlem lub dłutem tylko tchnienie życia, a nie samo życie, który właśnie dla artysty malarza, staje się tylko przedmiotem, że tak wyrażę się, martwego tylko odbicia, martwego tylko naśladowania!

Co do drugiego, niech mi wolno będzie odwołać się do wszystkich więźniów Hradczego kopca, a mniemam że zechcą przyznać jednogłośnie, iż wszyscy mniej więcej

dzielnymi tam byli bohatyrami, więzionymi tylko za zdanie, za przekonanie, według którego niezachwianie działali.

Chociaż działanie według tego lub owego przekonania, jakkolwiek może być zgubne dla innej sprawy, i czasami wydarza się potrzeba zniweczenia lub uniemożebnienia takiego działania, zawsze jest wielkiem, wzniosłem i szlachetnem, bo działa się nie wbrew, lecz z narażeniem osobistem, niezachwianie, według własnego swego przekonania.

Wracając do mego dalszego opowiadania, zanim przystąpię do drugiego oddziału więźniów, do którego przeniosłem się później, tkwią w mej pamięci dwie jeszcze postacie, którym z radością kilka poświęcę wierszy. Są to, Adam Siedmiogrodzki z Bochni, i Jan Andrusikiewicz, organista z Chochołowa — obaj skazani na lat 20. Adam Siedmiogrodzki wówczas w wieku mniej więcej lat 40, nizkiego wzrostu, drobnej, szczupłej budowy ciała, ciemnego włosa i takiegoż, nadzwyczaj wyrazistego oka, pięknego myślącego czoła, i lekko wydatnych ust, złożonych do łagodnego, miłego uśmiechu. Był to ażeby się krótko i treściwie wyrazić, mąż wielkich wiadomości i w drobnem ciele wielkiej duszy; uosobiona w nim była dobroć sama.

Co do Andrusikiewicza, widziałem go tylko dwa razy, słyszałem atoli o nim tak wiele, że cośkolwiek po dziśdzień pozostało w pamięci.

Jan Andrusikiewicz liczący lat 32, był wzrostu więcej słusznego, i silnej budowy ciała, szatyn, (więcej sobie nie przypominam). W roku 1831 był żołnierzem wojsk polskich. Później został organistą, i dostał się do Chochołowa. Chciwy wiedzy i nauki, korzystał wiele od nieocenionego naszego księdza Józefa Kmietowicza, skazanego na lat 20 do Kufszteinu. Poznał potrzebę oświaty ludu, i jej oddał się całą duszą i całem sercem; oświacie ludu poświęcił się całkowicie. Wytrwale kilka lat pracował na tem tak trudnem polu, nie zrażał się żadnemi przeciwnościami, usuwał wszelkie przeszkody i doprowadził do tego, że go ukochał i uszanował i zawierzył mu lud. A doszedł do tego szkółką wzorową, w której pod kierunkiem księdza Kmietowicza uczył dziatki ludu wiejskiego, i którym rozmaite o wielkich, polskich mężach z ludu czytywał książki, lub opowiadał wymownie. A porą zimową

gdy dłuższe nastąpiły wieczory, chodził na prządki do domów wieśniaczych, i tam gdzie zchodzili się zawsze tak parobcy jak i dziewczęta, prawił im wiele o wielkości Polski, o jej minionej niegdyś potędze, o szlachetnych czynach jej mężów, o czystości całej przeszłości tego narodu, o królu chłopków. — Opowiadał im jak to Polska stawała w obronie uciśnionych narodów całego chrześcijaństwa, jak je ocaliła pod Wiedniem, jak to Ojciec święty za ten czyn wielki błogosławił Polskę, jakie to z tego powodu na cześć i pamięć dnia tego ustanowił na zawsze święto uroczyste, i nakazał czcić tę rocznicę jak wszędzie, tak nawet w samej chrześciaństwa stolicy, w stolicy papieżów, w samym nawet Rzymie. Nie zapomniał także mówić im wiele o męztwie i cnocie i miłości ojczyzny słynnych niegdyś Kurpiów naszych, i o ich bohaterskich z Szwedami staczanych walkach i o ich poświęceniu bez granic.

A gdy w swem opowiadaniu przyszedł do naszego Kościuszki, gdy im wyliczył wielką jego cnotę, jak to on kochał chłopków, jak to on chodził zawsze w krakowskiej tylko sukmance albo miejskiej kapocie, jak to on walczył w obronie uciemiężonego narodu, het! tam, daleko! za morzem! jak to wspólnie z innymi wywalczył im wolność, swobodę, i wrócił ojczyznę, jak jego sława przebiegła świat cały, jak wszyscy, mali i wielcy czołem uderzyli przed jego wielkością, i prawością i miłością ojczyzny i całej ludzkości, i t. d. — o! to wówczas końca nie było pytaniom, każden się pytał to o to, to o owo, a wszyscy garnęli się do niego, dzieciaki otoczyli go w koło, i czasem naiwne dawali pytania.

A każdy chłopek, każdy młodzieniec, mężczyzna czy starzec, niemniej dziewczyna czyli kobieta, znali Polski ważniejsze dzieje, i często między sobą rozmawiali o Kilińskim, to o Głowackim, albo z czasów dawniejszych o bochatyrce Chrzanowskiej, albo o wielkiem, niezrównanem w dziejach Karlińskiego poświęceniu.

Jan Andrusikiewicz, widać dobrze poznał nasz lud, i umiał przemówić do niego, ale bo też żył z nim i wpośród niego. A nie tylko to; Jan Andrusikiewicz tak dalece poświęcił się tej sprawie, że żył tylko dla ludu i w ludzie, on myślał, marzył tylko o tem, w jaki sposób oświecić go i przy-

czynić się do prawdziwego dobra jego, a że osiągnął swój cel, najlepszym jest dwodem, że w końcu stał się ulubieńcem ludu: wieśniacy mu ufali zupełnie, wierzyli mu zupełnie, wierzyli w niego całkowicie. A jak sam mówił: i słowem i czynem i przykładem trafił do przekonania, a pieśnią do serca.

Gdzie tylko dostać mógł jakiego krakowiaka pięknego, przemawiającego do duszy, do serca, albo inną jaką pieśń narodową, tej chwili na wiele rozpisywał rąk, i między umiejących już czytać rozdawał, i równocześnie nauczał ich nuty tej lub owej pieśni. I rozkosz była słuchać tamtejszych chłopaków, parobczaków lub dziewcząt rozmaite śpiewy. Idąc w pole lub wracając do domu wszyscy weseli, z wesołą na ustach szli pieśnią, unoszoną echem daleko przez góry i lasy.

Tak dziewczęta jak i chłopacy i parobczaki, rywalizowali ze sobą o pieśni, uczyli się je na pamięć, i jedni pragnęli umieć więcej od drugich.

A jeżeli rozmawiali z sobą, to przedmiotem rozmowy jeżeli nie gospodarstwo, były pewnie kazania księdza Kmietowicza, albo opowiadania ulubionego organisty.

Nadszedł nareszcie dzień 22go lutego 1846; ksiądz Kmietowicz wydał Andrusikiewiczowi stosowne zlecenia, rozkazy, i wezwał lud do zebrania się.

Na rozkaz księdza, stawiła się podobnoś na podwórzu probostwa wieś cała; starzy i młodzi, dziewczęta i kobiety, chłopacy, parobczaki i starcy, krótko mówiąc, stanęli wszyscy.

Ksiądz Józef oddawszy wiekowym gospodarzom swe mienie w opiekę, stanął na czele młodszych, wraz z Andrusikiewiczem, i na dany znak ów mały lecz dzielny bo ochoczy hufiec wyruszył w pochód.

Kobiety płacząc towarzyszyły mu aż za wieś daleko; gdzie z polecenia księdza Józefa odprawili je mężowie i bracia, przy czem ksiądz Józef dorzucił im kilka słów pociechy.

Całego tego pochodu dziejów nie pamiętam dzisiaj już wcale; znany mi mniej więcej tylko rezultat wyprawy, mianowicie, że finansowa straż na sąsiednich komorach nie była w stanie oprzeć się temu oddziałowi i złożyła broń, a urzędnicy komory oddali pieniądze, na które podobnoś wystawił im Andrusikiewicz czy ksiądz Kmietowicz formalny rewers.

Po uskutecznieniu tego, wrócił z wyższego polecenia cały oddział do Chochołowa, i młodzież porozchodziła się do domów.

Ksiądz Józef oczekiwać tam miał dalszych rozkazów.

Na drugi dzień komisarz finansowy, ile sobie przypominam, podobnoś Fiutowski, zebrawszy chłopów z okolic Nowegotargu, i zabrawszy tamtejszy oddział strażników, wyruszył na Chochołów.

Porozstawiane czaty dały znać Andrusikiewiczowi, i wkrótce cała wieś stanęła pod bronią.

Górale z Andrusikiewiczem na czele, uderzyli na finansową straż, i bardzo prędko zmusili ją do odwrotu.

Ze strony finansowej straży kilku rannych i zabitych zostało na miejscu. Między rannymi był także i komisarz. Górale w swoim zapale byliby go byli niezawodnie położyli trupem, gdyby nie Andrusikiewicz, który go własną zasłaniał piersią.

Ranionego komisarza zaniesiono do mieszkania Andrusikiewicza, i pielęgnowano jak należało.

Odniesione zwycięztwo atoli, nie przyniosło oczekiwanych owoców.

Ze wszystkich stron nadchodziły niepomyślne wieści o niepowodzeniach ówczesnego ruchu. A gdy znaczniejsze na Chochołów nadciągnęły siły, uważał ksiądz Józef Kmietowicz za stosowne, zakazać dalszej obrony, dla niepotrzebnego rozlewu krwi.

Przy aresztowaniu księdza i Andrusikiewicza, o mało znowu do krwawego nie przyszło starcia.

Po dłuższym dopiero czasie powiodło się Andrusikiewiczowi przekonać górali, że wszelkie ich usiłowania byłyby bezowocne a nawet szkodliwe. Głównie przekonał ich wezwaniem, ażeby swe siły zaszanowali i zachowali na późniejszą chwilę.

Górale odstąpili, ale zaraz przyaresztowano z nich podobnoś dziesięciu. Przyaresztowano ich za udział w powstaniu, jako też za opór stawiany strażom w czasie, gdy aresztowano ich proboszcza i ich organistę.

Ich radość i połączony z tą radością smutek, na wiadomość o przybyciu Andrusikiewicza na Hradczy kopiec, nie

da się opisać. Cieszyli się z jego przybycia, jego zdrowiem, i że jest w ich pobliżu; ta radość jednak była dla nich widocznie zatruta, nie mogli się uspokoić, ani nie dali się niczem pocieszyć, że Andrusikiewicz skazany został na lat 20 na całe prawie życie, a oraz smucili się niemało tem także, że Andrusikiewicz w innym był oddziale.

Ze łzami w oczach prosili nas, byśmy wyjednali jego przybycie do naszego oddziału.

Andrusikiewicz zawiadomiony o tem, widząc z ich strony zawsze i wszędzie tyle dowodów prawdziwego przywiązania, pragnął także nietylko przekonać ich, że umie to oceniać, ale oraz i w więzieniu poświęcić się całkowicie ich wykształceniu. A nikt od niego nie mógł na nich wpłynąć korzystniej, bo nikt nie znał lepiej od niego ich zwyczajów, ich sposobu myślenia, ich serca; nikt nie znał i nie mógł znać ich lepiej od niego.

Więc starał się też najusilniej uczynić zadość ich prośbie, a swemu obowiązkowi.

Krobiccy, połączeni z nim węzłem przyjaźni, popierali wstawieniem się do przełożonego jego prośbę, i powiodło się im uzyskać jego przeniesienie do naszego oddziału. Przełożony jednak zastrzegł sobie warunek, ażeby dla braku miejsca, jeden z nas przeniósł się w zamian do drugiego oddziału.

Ja, pragnąc poznać ile możności jaknajwięcej ludzi, oświadczyłem moją gotowość do tej zamiany, która po niejakim czasie równocześnie z przeniesieniem Andrusikiewicza, rzeczywiście przyszła do skutku.

Ale kiedy to nastąpiło, nie wiem, nie pamiętam ani dnia ani miesiąca, przypominam sobie tyle tylko, że po 21tym lutego, 1848 r., gdyż to święto spędziłem jeszcze w pierwszym oddziale.

Na kilka dni przed Bożem Narodzeniem, zasępiły się nieco czoła nasze; — jakoś to przyszło ot tak, samo z siebie, że każdy wstecz cofnął się myślą, i zadumał się nad minioną przeszłością. Każdy z nas przypominał sobie i opowiadał wzajemnie, gdzie to przed dwoma albo i więcej laty przepędzał te święta, i w jakim gronie.

Jakoś to dla nas te święta osobliwszy mają urok, gdzieindziej nie obchodzą tych świąt z taką jak u nas uroczystością, nigdzie nie przywiązują do tych świąt tyle wartości jak u nas, w obczyźnie nie widziałem nigdzie, by się łamano opłatkiem, a znałem nawet tak prozaicznych, że drwili — lub naiwnie uśmiechali się, gdy nas widzieli łamiących się opłatkiem. To też nigdzie nie łączy się z temi świętami tyle wspomnień, ile u nas, ile w naszym kraju, ile w naszej Polsce.

Rocznica tego dnia najważniejszego, najświętszego dla całego świata a najuroczystszego dla Polski, gdy u innych narodów jest dniem obojętnym, a najwięcej uroczystością, świętem tylko czysto religijnem, czysto kościelnem, jest dla nas czemś ważniejszem, bo nadto świętem niejako narodowem wielkiego znaczenia.

Wilja Bożego Narodzenia napawa nas jakąś niewypowiedzianą nadzieją, przypomina nam, że nazajutrz to rocznica dnia wielkiego, w którym narodził się Jezus, ów Jezus, który mężem, — wydźwignął ludzkość z kału materjalnego świata, ukazując wznioślejsze, szczytniejsze bo duchowe życie, ów Jezus w którym uosobione były, najwznioślejsza prawda, najwyższa mądrość, najbezstronniejsza sprawiedliwość, nareszcie miłość, litość, przebaczenie, poświęcenie bez granic, jednem słowem wszystkie cnoty i wszystkie najlepsze przymioty; mąż największy duchem, ów Jezus, którego najgłębszej mądrości nauka najobszerniejsze obejmowała zasada prawdziwej wolności, ów nareszcie Jezus wcielony Bóg, którego na samych pewnikach oparte, i jego usty ogłaszane prawdy i nauki, spotęgowane nieskończenie śmiercią jego, i tysiącami jego naśladowców męczenników, przeszły aż do nas, i niewzruszenie po dziśdzień tkwią w naszym narodzie, i bogdaj tkwić nie przestały na wieki.

I na te to święta zjeżdżają się i zchodzą z daleka i z bliska całe rodziny, krewni, przyjaciele, i wszycy się radują i wszyscy weselą, a gdy wesołość otacza do koła, znikają same z siebie niesnaski i gniewy, i powstaje serdeczność, szczerość i otwartość, a gdy jeszcze jakieś istnieją nieporozumienia, wówczas przy łamaniu się opłatkiem godzi się wszystko, i tem większa potem wyradza się miłość, i

wszyscy sobie wzajemnie bratnie podają dłonie, nareszcie kielich Węgrzyna obejdzie kolejno, i wypogodzą się czoła, rozjaśnią się lica, rozradują się twarze, i pieśń zabrzmi wesoło, ochoczo; pieśń za pieśnią spiewają potem do późna, i bawią się czasem noc całą, czasem do rana, bawią się tak długo, póki ich do rozejścia się nie zmusi znużenie.

To wszystko staje żywo w więźnia pamięci, i każda gdyby najkrótsza chwilka z owych dni szczęścia, które wówczas nieumiało się cenić, ciśnie się gwałtem do głowy. Przypomina, jak to przed temi świętami oczekiwało się przybycia tego lub owego gościa, brata, przyjaciela, przypomina każdą po jego przybyciu spędzoną z nim chwilę, jego opowiadanie, jego koleje, jego wypadki i przypadki, przypomina ów niezwykły ruch, owe krzątania się, owe przygotowania, jednem słowem przypomina wszystko i mimo woli zaduma się więzień, i sam zadaje sobie w duchu pytanie: czy kiedy jeszcze w swem życiu doczeka podobnej chwili? Albo pragnie, by kiedyś w tych dniach powszechnej radości stanął pośród swoich, i opowiadał im swoje koleje.

Mniemam, że nie ma potrzeby opisywać, jak przepędziliśmy święta. A zresztą i cóżbym mógł o tem powiedzieć? Ot chyba tyle tylko, że przeminęło nam rano w kościele, a raczej w kaplicy na modlitwie o lepszą dolę dla kraju, a później na nauce, na dumaniu, opowiadaniu, a tu i owdzie na grze w szachy lub w wista.

Ale gdy mowa o kościele, winienem coś więcej o tamtejszej świątyni pańskiej nadmienić, to jest tyle ile mogę i ile jeszcze pamiętam.

Według szpilbergowskiego hausordnungu, chodzili wszyscy więźniowie do kościoła co niedzielę, rozumie się samo przez się, że każdy oddział z osobna, a często jeden pierwej, drugi później, ten w kościele, a inne w tej lub owej gęstemi drewnianemi kratami przedzielonej kaplicy, na dole lub na piętrze, pod dozorem tamtejszych strażników. Przełożony zajmował lożę.

Nas ze wszystkich stron otaczały kraty, tak dalece, że nigdy nie widzieliśmy nawet księdza odprawiającego mszę. Cóż dopiero co do wnętrza kościoła, tego już nie widzieli-

śmy wcale, tem bardziej, że my umieszczeni na chórze, mieliśmy przed sobą podwójną zasłonę, organy i kraty.

Na organach grywał Andrusikiewicz, a że był w drugim oddziale, więc grał wówczas tylko, gdy na mszy drugi był oddział. Później gdy miał się przenieść do naszego oddziału, wyuczył grać na organach Ignacego hrabię Komorowskiego, z którym później zaznajomię czytelników.

Na samym dole, to jest w kościele a nie w kaplicy, stali pospolici zbrodniarze, czasem kobiety a czasem mężczyźni.

Zbrodniarki idąc do kościoła, przechodziły zawsze po pod nasze okna.

Na samym czele szła zwykle aresztanka, dość młoda kobieta, olbrzymiej wysokości i budowy ciała; wzrok jej, chód, każdy ruch był wyzywający, niejako przemawiający: spróbój no się ze mną, a ja ci pokażę, że jakkolwiek jestem kobietą, pogruchocę ci kości.

Wyraz jej twarzy dowodził jasno zwierzęcą namiętność, złość, odwagę i przebiegłość.

Jak nam powiedziano, ta straszna kobieta dowodziła niegdyś długi czas bandą zbójców, i była postrachem całej okolicy; swojego własnego męża zabiła w sposób okrótny, a potem posiekawszy go na drobne kawałeczki, kwasiła jak kapustę w beczce i trzymała w pokoju. To było pierwszą jej zbrodnią.

Na samym końcu zaś aresztantek, szła młoda jeszcze dziewczyna, w skromnej postawie. Rysów jej twarzy trudno było dopatrzyć, tem bardziej, że widziałem ją tylko z boku, a nie oglądała się nigdy, zresztą oczy miała nawsze spuszczone w dół, i głowę zwieszoną na piersi, a ręce zaciśnięte jakby do modlitwy, czoło zakrywała biała aresztancka chustka, długie ciemne rzęsy zasłaniały oko, cera twarzy blada, przeźrocza, a z ust znikł także rumieniec. Wielkie głębokie cierpienie duszy było widoczne. Wymierzone a przecież chwiejne jej kroki znamionowały tak osłabienie fizyczne, jak niemniej rezygnację i zupełne poddanie się okrutnemu losowi. Cała jej postać zdawała się przemawiać:

— Z ostatniem wytężeniem mych sił idę, i tylko wolą mego ducha dźwigam ciało za sobą, dla mnie niema tutaj

przyszłości, niema tutaj nadziei, a więc naprzód! dalej naprzód! bo jeszcze jeden tylko dzień, może jeden tylko krok, a zdążę do upragnionego celu, a mym celem, mojem szczęściem, mym spoczynkiem... grób! a za grobem, mą nadzieją, miłościwy Bóg!

Była to nieszczęśliwa ofiara, która się poświęciła dla ocalenia ojca. Jej ojciec NN. wysoki urzędnik w Wiedniu, został przyaresztowany za podrabianie banknotów. Córka kochająca ojca nad życie, uniewinniła go zupełnie, przyjmując na siebie całą winę. Jej wyrok opiewał, jak słyszeliśmy na lat 20.

Mój Boże! jakież to przeciwności? — Więźniowie stanu obok pospolitych okropnych zbrodniarzy, a między tymi jeszcze jedna przeciwność: czarna zbrodnia obok poświęcenia i cnoty!

To noc ciemna obok jasnego dnia, — zima i lato; — to serca gorące, szlachetne obok zimnych, zlodowaciałych, skamieniałych serc; — to łza litości obok obrucieństwa; — to źródło czystej wody, obok brudnej kałuży; to modlitwa obok przekleństwa!

Ale nad tem nie ma się co zastanawiać. *Wszak wszystko prawie w ten sposób zestawione jest obok siebie na tym naszym świecie!*

Są przyczyny a zatem i skutki tych przyczyn; jedno wyradza się z drugiego, i ztąd pochodzi, że często takie przeciwności widzimy obok siebie.

Człowiek przychodzący na świat, wraz z życiem przynosi z sobą równocześnie zarodek śmierci, życia odwrotną stronę, największą życia przeciwność; ztąd zdrowie i słabość, czyn i bierność, praca i próżniactwo, radość i smutek, rozum i głupota, płacz i śmiech, wesele i rozpacz, nareszcie chrzciny i pogrzeb i t. d. i t. d.

Ale wracam się jeszcze do kościoła.

W kościele jak powiedziałem powyżej, Andrusikiewicz grywał na organach. — My czasem spiewaliśmy nasze narodowe, religijne pieśni, albo w cichości modlili się Bogu. Na Boże narodzenie spiewaliśmy:

W żłobie leży,
Któż pobieży...

A za każdą strofą przegrywał Andrusikiewicz na organach krakowiaka.

Z kościoła wracaliśmy do kaźni, i tego dnia nie chodziliśmy na przechadzkę. A gdy ta jedyna nasza przyjemność była nam odjęta w tym dniu, najsmutniej zatem przepędzaliśmy święta i Niedziele, tembardziej że jak już raz nadmieniłem, w Bernie dzwoniono prawie bezustannie, a to bardzo przykre czyniło wrażenie.

Czasami kazano nam się spowiadać, niechętnie jednak przystępowaliśmy do tego, bo szpilbergowski ksiądz nienajlepszą miał reputację u więźniów naszych poprzedników.

Pewnego dnia zapowiedział mi przełożony, że nazajutrz zostanę przeniesiony na miejsce Andrusikiewicza, do drugiego oddziału.

Żal mi było opuszczać moich towarzyszów, z którymi już zapoznałem się bliżej i których całą ukochałem duszą. W ówczas atoli nie można już było się cofnąć, już było napróżno żałować.

Nazajutrz po szczerem pożegnaniu się z wszystkimi, rzeczywiście opuściłem moich towarzyszów, i zostałem wprowadzony do nowego oddziału.

Tam zastałem całkiem już inne życie, inny ruch, inne zwyczaje i inne obyczaje, i innych nowych towarzyszów; krótko mówiąc, wszedłem w świat nowy, w dobrze uorganizowany kraj, gdzie na podstawie powszechnego głosowania wybierano posłów do Rady, (rodzaj parlamentu) która wydawała dobrze obmyślane, i do ówczesnego położenia odpowiednio zastósowane ustawy, które w skróceniu podam poniżej.

Ucieszyłem się niemało, gdy między moimi nowymi towarzyszami niedoli zastałem Henryka Kamieńskiego, Aleksandra Pawlikowskiego, i wielu innych znanych mi to z nazwiska, to z pukania.

Wielką to było ulgą na Szpilbergu, że więźniowie wzajemnie i za wzajemnem porozumieniem się, wybierali sobie towarzyszów do kaźni. I rzeczywiście, że siedząc razem czas dłuższy, aby nic nie zakłóciło ich zgody, trzeba było bardzo dobranych temperamentów i haraktarów.

Ten wolny wybór, wywierał bardzo zbawienne skutki. Czasem, na własne życzenie zmieniano się nawet.

W obec takiego urządzenia, nigdy między nami żadnej nie było niezgody, a natomiast bezustannie jaknajwiększa przyjaźń, jaknajlepsza harmonia.

W drugim oddziale siedziałem z Ludwikiem Stokowskim i Władysławem Domaradzkim, skazanymi na lat 15, niemniej z Wojciechem Włodkiem, skazanym na lat 12.

Pierwsze dnie upłynęły na wzajemnem bliższem zapoznaniu się, na opowiadaniu kolei jakie który przechodził, niemniej na obeznaniu się z zaprowadzonemi tam zwyczajami, obyczajami i ustawami, po upływie atoli dni kilku, wziąłem się jak i inni moi towarzysze do nauk.

Winienem tu nadmienić, że z małemi wyjątki czepiła się wszystkich prawie więźniów prawdziwa — jak to mówią — manja uczenia się języka francuskiego z zaniedbaniem innych o wiele ważniejszych nauk. To spowodowało naszych dzielnych ustawodawców, więźniów, do wydania ustawy, ażeby ci więźniowie, którzy udzielali nauk, wybadali poprzód każdego, jaki w razie swego uwolnienia zamierza obrać sobie zawód, by według potrzeb zawodu odpowiednim poświęcał się naukom.

Uczących się było wielu, bo uczyli się prawie wszyscy, podzielono się więc na oddziały i wyznaczono godziny wykładu.

Ile sobie przypominam, Henryk Szmitt udzielał historji i jeografji w jednym, Apolinary Stokowski zaś w drugim oddziale.

Ignacy hr. Komorowski wykładał język francuski i leśnictwo.

Franciszek Romański udzielał nauki gospodarstwa w jednym, a Franciszek Toruński w drugim oddziale, i te koła były najliczniejsze.

Matematyki uczyło się kilku razem, to jest Henryk Szmitt, Apolinary Stokowski, Władysław Domaradzki, Wojciech Włodek i t. d. Ci rozdzielali się potem, nowe tworzyli koła i w tych uczyli innych swych towarzyszów.

Kilku poświęcało się chemiji, kilku naturalnej historji i t. d.

Ludwik Stokowski, który z wielkiem zamiłowaniem oddawał się nauce chemji, i Robert Nabielak, nadto uczyli robienia pończoch.

Ten oddział więźniów był raczej zakładem czysto naukowym niźli więzieniem; od wczesnego rana do późnej nocy wszyscy byli zajęci nauką, a wszyscy uczyli się z taką chęcią, z takiem zamiłowaniem, jakby nazajutrz już ważne zajmować mieli stanowiska. Ale że nasi nauczyciele byli nie tylko zdolni i zaopatrzeni darem wykładania, ale nadto gorliwi, wytrwali i cierpliwości anielskiej, więc też mniej i więcej pojętni uczniowie olbrzymie czynili postępy.

Przybywszy do tego oddziału, zastałem tam wówczas już o jeden przywilej więcej; mieli pozwolenie schodzić się razem do kaźni po 10, a nawet i więcej razem.

Gdyśmy wracali z przechadzki, już wszystkie kaźnie stały otworem, i każdy wchodził gdzie mu się podobało; na obiad zaś i po wieczornej przechadzce wszyscy do swoich wracali kaźni.

Takie zgromadzanie się do kaźni, dozwalało obchodzić razem spólnie narodowe uroczystości, i to uczyniło możebnem odprawienia na dniu 21 lutego 1848 roku, jako w drugą rocznicę krwawych scen 1846 roku, formalnych nieszporów żałobnych.

Ten obchód znany mi jest tylko z opowiadania, gdyż jak powiedziałem powyżej, przybyłem do tego oddziału dopiero po 21 lutego.

Tak w pierwszym jak i w drugim oddziale prosili więźniowie ażeby w dniu tym odprawiono żałobne nabożeństwo w kościele. Pan Thun na którego obchodzenie się z nami użalać się mniemam nie ma powodu, przyrzekł nam uzyskać pozwolenie, aby w tym dniu odprawioną została żałobna msza, o którą prosiliśmy wszyscy.

Gdy atoli dnia tego rano nie wezwano nas na mszę, postanowili wszyscy prosić księdza Antoniego Szersznika, Ignacego Długoszewskiego i Ludwika Gromadzkiego, by odprawili po obiedzie żałobne przynajmniej nieszpory, w jednej z obszerniejszych kaźni.

Z popołudniowej przechadzki wrócili więźniowie mniej więcej po upływie pięciu minut, i zgromadzili się wszyscy

podobnoś do kaźni księdza Szersznika. Na podstawie od krosienek położono cztery deski z łóżek, i przykryto je czarnym kocem, dalej pod ścianą ułożono książki w kształcie piramidy, i między nie zatknięto krzyż, który księżom pozwolono mieć w kaźni, a na kraju rozłożono brewiarz.

Księża zajęli stanowisko przy tym na prędce improwizowanym ołtarzu, więźniowie stali za nimi.

Całe nabożeństwo odbyło się z wielką uroczystością i powagą. Klęcząco odspiewano suplikację i inne nabożne pieśni. Krótko mówiąc odprawiono formalne egzekwje.

W czasie tego nabożeństwa spostrzegł stojący koło drzwi Ludwik Stokowski, przez uchylony nieco kukerl, przełożonego pana Thuna, i natychmiast zawiadomił o tem wszystkich więźniów. Wszyscy oczekiwali, że pan Thun wpadnie do kaźni i przeszkodzi całej uroczystości. Pan Thun atoli słysząc nabożne tylko pieśni, i widząc przez kukerl twarze wszystkich więźniów, obleczone niezwyczajną powagą, prawdziwą pobożnością i szczerą żałobą, uszanował ten żal, ten ból i nie wszedł do kaźni.

Cała ta uroczystość rozczuliła wszystkich, że oko każdego więźnia zwilżyło się łzami.

Na zakończenie jeszcze raz wszyscy uklękli, i zaspiewano: Anioł pański.

Wtem usłyszano odmykanie kłódek. Rozwarły się drzwi, i ujrzano strażnika i jednego zbrodniarza. Przyszli jak zwyczajnie o tej porze po dzbanki na wodę, widząc atoli wszystkich klęczących, i nawet niepoglądających na nich, uklękli we drzwiach, i modląc się także, wyczekali póki nie dokończono śpiewu.

Po nabożeństwie wszyscy rozrzewnieni, ze łzami w oczach, porozchodzili się do kaźni.

Wieczorem ozwały się z okien same smętne pieśni, między innemi następująca Juljana Goslara:

Kiedyż rzucim te więzienia,
Kiedyż przyjdzie czas,
Kiedyż skończą się cierpienia,
Kiedyż ujrzym was?

Wywieźli nas w zachód słońca,
Gdzie Szpilbergu gród,
Lecz nasz związek niema końca,
Bośmy jeden ród!

Daj nam Boże! w lepszej dobie
Ścisnąć bratnią dłoń,
Lub też złożyć w ojców grobie
Tę zbolałą skroń.

A potem:

Smutna brzoza u jeziora,
Kąpie swój żałobny włos,
Młody więzień co wieczora.
Taki szle wiatrami głos:

Powiedz wietrze mej rodzinie,
Jak mi tęskno tutaj żyć,
Jak mi smutno czas tu płynie,
Długoż jeszcze ma tak być?

A wtem zawiał wiatr po gaju,
Od rodzinnej strony wiał,
I więźnniowi w obcym kraju
Tę pociechę w serce wlał:

Niech twą duszę męztwo zbroi,
Żal twój krótko będzie trwał,
Wnet cię ujrzą wszyscy twoi,
Będziesz ich w objęciu miał.

A po każdej takiej pieśni zwykle dodawali wszyscy: Co daj Boże, Amen.

Dnia tego wiele jeszcze innych, pięknych odśpiewano pieśni, ale wszystkie były smutne, żałosne, rozczulające, wydobywające ze zbolałej piersi ciężkie westchnienia, albo wyciskające łzę z oka poglądającego w tym dniu częściej i tęskiej niż kiedykolwiek w stronę rodzinnego kraju, nad którym przed dwoma laty właśnie o tej porze ciężka, w nieszczęścia brzemienna zawisła chmura; w stronę rodzinnego kraju, w którym przed dwoma laty tyle wyciśnięto łez! tyle bratniej wytoczono krwi, i tyle czarnych o pomstę do nieba wołających popełniono zbrodni!

I zachmurzyło i zasępiło się czoło każdego więźnia, i oko mglistą, łzawą zaciągło się powłoką, i jakoś zmalało i jakby otrętwiało, niedbale owisły powieki, jakoś dziwnie jakby do bolesnego uśmiechu ułożyły się usta, pochyliła się głowa i szybkie gorącego serca umilkło tętno, i zabolała pierś i niestało oddechu, i zabrakło siły i odjęło mowę, a nie było snu.

Po śpiewach umilkli wszyscy, nikt nie przemówił ni słowa, i każdy głęboko zatopił się w myśli i dumał nad śmiercią ofiar poległych z własnych braci dłoni. A wieczne po korytarzach, kominach i tunelach Szpilbergu odzywające się zawodzenie żałosne, i dumanie więźniów przeszywające wycie wichrów, przypominały krwawe ówczesne sceny, i pomnażały prawdziwą dnia tego żałobę.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Rzeczpospolita Grajgórska.

Będąc zanadto krótki czas w drugim oddziale, nieobznajomiłem się z tamtejszemi zwyczajami i obyczajami i urządzeniami o tyle, bym co do tamtejszego pobytu i pożycia naszego podać mógł czytającej publiczności dokładniejszy opis. W chęci atoli ażeby czytelnik znalazł w mych „Pamiętnikach“ mniej więcej wszystko, co odnosi się do więzienia na Szpilbergu, wezwałem o udzielenie mi niektórych dat i notatek naszego Apolinarego, w tem mocnem przekonaniu, że wszystkie ówczesne wspomnienia wiernie po dziśdzień przechował i w sercu i w głowie.

Ale co za urojenie z mej strony! Powiedziałem „naszego Apolinarego“ — a nawet nie podałem nazwiska, zdawało mi się, że jeżeli powiem „Apolinarego“, wszyscy koledzy domyślą się o kim jest mowa, bo tylko jeden on był tego imienia chrzestnego. Mniemam jednak że czytelnik wybaczy mi łaskawie; — to zwyczajna i prawie ogólna wada wszystkich więźniów, bo to między sobą wołaliśmy się zawsze tylko po imieniu, i tak weszło to w zwyczaj, że gdy mówimy o którymkolwiek z naszy kolegów, nie wymieniamy nigdy nazwiska. Udałem się zatem do Apolinarego Stokowskiego, sekretarza rzeczypospolitej a właściwie sekretarza poselskiej izby grajgórskiej, który należąc do sprawy narajowskiej, skazany był na lat 20.

Nasz odpowiedzialny sekretarz, później w r. 1848, sekretarz Rady narodowej we Lwowie, w skutek czego do wojska wzięty, dopiero po trzech latach od dalszej służby szczę-

śliwie się uwolnił, liczył wówczas mniej więcej 30 lat, był wzrostu miernego i silnej budowy ciała. Ciemny, krótko strzyżony włos osłaniał — że się tak wyrażę — czworograniaste, gładkie, piękne, ku środkowi nieco wypukłe czoło, znamionujące tak bystre i dokładne pojęcie, jak niemniej siłę harakteru, zimną rozwagę; ciemne, gęste brwi i ostre zagięcie pod czołem, pod którem niebieskie, łagodne spoczywały oczy, silną dowodziły wolę.

Całość miała wyraz prawości, łagodności, dobroci serca, a pomimo to stałości i wytrwałości, co się objawiało także bardzo rzadką siłą panowania nad sobą. Że zaś swem postępowaniem zjednał sobie i przyjaźń i szacunek i zaufanie kolegów, dowodzi najlepiej urząd, jaki piastował w izbie poselskiej gdyż wszelkie urzędа w tej rzeczypospolitej, nadawano tylko dzielniejszym z pomiędzy siebie.

List, który z dołączeniem potrzebnych dat przesłał mi na moje wezwanie, i który umieszczam poniżej, przekona tak czytających jak niemniej Izbę Posłów, że co do Sekretarza, nie można było uczynić trafniejszego wyboru. Nasz Sekretarz bowiem przechował wszystkie wspomnienia po dziś dzień rzeczywiście i w sercu i w pamięci, którą pomiędzy nami celował.

Oto dosłowny list jego:

Kochany Władysławie!

Wezwaniu i życzeniu Twemu, abym ci udzielił niektórych notatek i dat odnoszących się do naszego pobytu i pożycia na Szpilbergu, przezwanym przez nas „Grajgórą“, częściowo tylko mogę zadość uczynić i nikt nie ucierpi na tem, ani Twój „Pamiętnik“, ani czytająca Publiczność — jeżli znaczna część zdarzeń które w małem naszem gronie, wśród jednostajności więziennego życia mogły być zajmującemi a może i ważnemi — pozostaną i nadal — tylko w naszem sercu i w naszej pamięci.

Mnie się zdaje, że tak być powinno.

Posyłam Ci więc dla uzupełnienia Twych wspomnień krótki tylko, ale wierny zarys tego, coś zastał w naszym oddziale, gdy przybyłeś na miejsce ś. p. Jana Andrusikiewicza

Przenosiny te były dla Ciebie wypadkiem dosyć ważnym, — coś podobnego, jakbyś przybył z zabranych krajów, do Rzeczypospolitej krakowskiej, — do której nasz oddział już z tego powodu niejakie miał podobieństwo, że jak tamta, licznymi otoczony był opiekunami.

Przybywszy do naszego grona, nie zajmowałeś się zaraz na wstępie badaniem naszych ustaw i naszej organizacji. Byłeś gościem u nas. Odwiedzałeś dawnych znajomych, uczęszczałeś na nasze naukowe odczyty lub wykłady, krótko mówiąc, rozpatrywałeś się we wszystkiem, co i jak u nas było.

Wypadki 1846 r., wtrąciły wielu naszych rodaków do więzienia, nietylko z różnych warstw społeczeństwa i rozmaitych stopni wykształcenia, ale nawet rozmaitego sposobu myślenia i zapatrywania się na naszą sprawę i jej przyszłość.

Nasz oddział nie stanowił w tym względzie wyjątku, były tam różne odcienia, — które razem połączył los, albowiem jak nas przywożono na Szpilberg, tak początkowo zapełniano nami z kolei cele.

Kilka lub kilkanaście takich cel, stanowiło jeden oddział, który osobno chodził na przechadzkę, osobno do kaplicy, niemając żadnej z innymi styczności. Był sam w sobie kółkiem rodzinnem, niby odrębnym planetą, który miał swój osobny bieg w wielkim systemie więziennym.

Pierwsze miesiące naszego pobytu, przemijały po zabraniu obopólnych znajomości z nowymi towarzyszami na wzajemnych opowiadaniach, co każdy z nas działał przed 21. Lutego, co widział, czego doznał w czasie śledztwa i w ogóle co wycierpiał, — kto był jego referentem, z kim siedział, gdzie i pod którym numerem, kogo miał za sąsiadów i t. d. i t. d.

Gdy ze wszystkiego wyszeptała się już część znaczna, zaczęły objawiać się tu i ówdzie nudy z braku zajęcia. Mieliśmy wprawdzie dość książek, które każdy z nas przywiózł z sobą w zapasie, lecz z początku nie bardzo zabierano się do nich, z wyjątkiem francuskich gramatyk, do których osobliwie młodzież chwyciła się dosyć gorliwie.

Ta pochopność do francuzczyzny bez względu czy po upłynionych latach, oznaczonych wyrokiem, będzie mogła

uczącemu się przynieść jakąkolwiek korzyść w prawdopodobnym dalszym jego zawodzie, spowodowała, że doświadczeńsi zaczęli badać młodszych kolegów, co do ich dotychczas nabytych wiadomości, — ich poprzedniego zawodu i zatrudnienia, oraz co do innych stosunków, z których można było wnosić prawdopodobnie o przyszłem ich zatrudnieniu, a to wszystko w tym zamiarze, aby według tego podać każdemu radę do odpowiedniego kształcenia się, niemniej by z gotowością udzielać im potrzebnych objaśnień i nauk.

To wszystko podobało im się tak dalece, że postanowiono przeprowadzić systematycznie ten plan, t. j. aby w każdej celi jeden wybadał innych swoich kolegów, a ci wszyscy z tych badań zdali potem sprawę.

Z tego opowiadania urosła potrzeba wykładów i odczytów, a co kto umiał, był obowiązanym uczyć innych.

Tym sposobem tworzyliśmy sobie zatrudnienie i wyrosła szkoła — czyli konwikt z wszelkimi podziałami na godziny i przedmioty i z wszelkim rygorem.

Z jednej szczęśliwej i poczciwej myśli coraz nowsze wyrastały pomysły, aż przyszło do tego, że uorganizowaliśmy się w formalną rzeczpospolitę.

Głównym do tego powodem była potrzeba obznajomienia wielu kolegów choć w przybliżeniu, i choć w tak małutkim rozmiarze, jakiemi to ustawami i prawami rządzą się kraje na zasadach demokratycznych czyli ludowych uorganizowane, i jak sądzą się tam wszystkie sprawy.

Ustawy odnoszące się do tej organizacji, dołączam ci do niniejszego listu, są one wiernym obrazem naszego kodeksu praw.

Ktokolwiek zechciałby sądzić i rozbierać takowe, musiałby mieć przy tem na uwadze nasze ówczesne położenie, skład naszego oddziału, i znać dokładnie wewnętrzne nasze stosunki, które ogłaszać w zupełności nie byłoby na czasie.

Odczyty i wykłady zaczęły się już w listopadzie, organizowanie się zaś w rzeczpospolitę, od Bożego narodzenia 1847 do nowego roku 1848, tak że już na trzech króli 1848 były statuta odczytane, i naczelnik jednogłośnie z woli narodu naszego obrany, objął ster rządów, które dzierżył aż

do dnia 23 marca 1848 roku, w którym to dniu wzięły rzeczy zupełnie inny i najpomyślniejszy obrót.

W końcu wypada mi dodać, iż ustawy w tej młodziutkiej, bo zaldwie 10 tygodni trwającej rzeczypospolitej, ciągłym podlegały zmianom i poprawkom.

Właśnie na kilka dni przed naszem uwolnieniem, wyznaczoną została komisja, której zadaniem było przejść wszystkie ustawy, i przystąpić do potrzebnych zmian i poprawek, które w odpowiednich wnioskach przedłożyć miała izbie deputowanych w pierwszych dniach kwietnia.

Podczas rewizji naszej konstytucji, i przy wygotowaniu nowych wniosków zastał nas pamiętny dzień 23 marca.

Uważam za stósowne przypomnieć ci, że naczelnikiem rzeczypospolitej był Ignacy hrabia Komorowski, jego doradcami Józef Wysocki i Jan Andrusikiewicz. Marszałkiem izby, Henryk Szmitt, sędzią pokoju ksiądz Ludwik Gromadzki, a prokuratorem Władysław Domaradzki.

Kończę mój list z tem przekonaniem, że przez ogłoszenie drukiem tych wspomnień, obudzisz przygasłe może gdzieniegdzie uczucia, i doznane w więzieniu wrażenia.

Twój i t. d.

Dołączone ustawy są następujące:

Ustawa organiczna.

Zebrani posłowie pojedynczych gmin [1]) stanowią izbę poselską, i w skutek danego przez kolegów pełnomocnictwa, następującą dla całego towarzystwa ułożyli ustawę organiczną:

1. Władza towarzystwa dzieli się: I. Na prawodawczą. II. Na wykonawczą. III. Na sądowniczą.

2. Jedynym organem władzy prawodawczej jest izba poselska, pod przewodnictwem marszałka, z pomiędzy siebie większością głosów obranego. Obiór ten odbywa się tajnie.

---

[1]) Cela więzienna, w której zwykle było 4 więźniów, stanowiła gminę.

3. Marszałek przewodniczący posiedzeniom izby poselskiej, czuwa nad porządkiem obrad. W wypadku zdań równo podzielonych, swem przystąpieniem do jednej strony rozstrzyga. Na wypadek rozstrzelenia głosów, lub nieporozumienia izby poselskiej, marszałek powstaniem ze swego miejsca, rozwiązuje posiedzenie.

4. Władza marszałka trwa miesiąc; co miesiąc występuje także trzech posłów kolejno podług numerów celi. Tak marszałek jak i pojedynczy posłowie mogą być na nowo wybrani.

5. Posłów obierają gminy z pomiędzy siebie, i dają im instrukcje, której obowiązani są trzymać się, gdyż w razie przekroczenia instrukcji, mogą być przez swą gminę pozwani przed izbę poselską, która jeżli uzna słuszność tego zaskarżenia, oddaje takowe władzy sądowniczej, zostawiając działalność posła w zawieszeniu do rozstrzygnięcia sądowego.

6. Ani gmina bez ważnej przyczyny przed czasem wyżej oznaczonym, posła swego zmieniać, ani władza wykonawcza żadnego posła bez porozumienia się z izbą poselską, nie może karać w ten sposób, aby tenże na przypadającem posiedzeniu nie mógł być obecnym.

7. Na wypadek słabości posła, gmina wybiera z pomiędzy siebie zastępcę,

8. Poseł obrany urzędnikiem władzy wykonawczej, przestaje być posłem, a gmina obiera innego z pomiędzy siebie.

9. Izba poselska zgromadza się zwyczajnie co niedzielę. W nadzwyczajnych razach zwołuje ją naczelnik władzy wykonawczej.

10. Na zwyczajnych zgromadzeniach musi być oprócz marszałka przynajmniej czterech posłów obecnych; na nadzwyczajnych izba poselska ma być w całości zebrana, tak samo i na zwyczajnych, jeżli jaki ważny wniosek ma być uczyniony; w takim razie marszałek izby ma być o tem zawiadomiony, czy to przez naczelnika władzy wykonawczej (art. 9.), czy przez posła, mającego uczynić ważny wniosek.

11. Aby uchwały izby poselskiej były ogólnie obowiązujące, powinno być zgromadzonych przynajmniej 4 posłów oprócz marszałka, atoli uchwały na takiem posiedzeniu za-

padłe, powinny być jednomyślne. W każdym razie powinien mieć każdy wniosek przynajmniej 5 głosów za sobą. [1])

12. Wnioski w ogólności nie mogą być głosowane na temże samam posiedzeniu, na którem wniesione zostały, lecz będą roztrząsane na posiedzeniu następnem, a dopiero na trzeciem wzięte pod głosowanie, a to w celu porozumienia się z gminą i zasięgnięcia instrukcji.

13. W nagłych i ważnych wypadkach, w których posłowie nie mogą zasięgnąć instrukcji od swych gmin, mogą i bez instrukcji głosować, według swego zdania i przekonania. Uchwały w ten sposób zapadłe, obowiązywały ogół towarzystwa tylko do najbliższego posiedzenia. Aby nadal były obowiązującemi, mają być na temże następnem posiedzeniu podług instrukcji przez gminy udzielonych, wzięte pod głosowanie.

O ważności i nagłości wypadków rozstrzyga izba zgromadzona.

14. Wnioski, nie mające na celu ogólnych lub nagłych potrzeb towarzystwa, mogą być przez marszałka odroczone na 2 tygodnie, i potem na nowo wnoszone. Gdyby marszałek nadużył w tym względzie swej władzy, może być pociągnięty do odpowiedzialności.

15. Wnioski, które już raz większością głosów nie utrzymały się, dopiero po sześciu tygodniach mogą być na nowo wniesione; również przed sześcią tygodniami nie wolno czynić wniosków przeciwnych tym, które się utrzymały.

16. Do izby poselskiej należy, wglądać w postępowanie władzy wykonawczej, i odbierać od niej sprawozdania przy składaniu swej władzy; toż samo do izby poselskiej należy, ustanawiać sąd na władzę wykonawczą, w razie jej wykroczeń, w ten sposób, że zaskarżenia wnoszą się do izby poselskiej, która z pomiędzy siebie większością głosów wyznacza trzech członków do wysłuchania skargi i rozpoznania słuszności. Do tej komisji należy oprócz tego prokurator, jako obrońca rządowy.

---

[1]) Całe towarzystwo składało się z 9 gmin, gdyż tyle cel stanowiło nasz oddział. Powyższą tedy liczbę oznaczono, aby w każdym razie była absolutna większość.

17. Obrady w izbie poselskiej odbywają się:

a) Głośno, przystąpienie do wniosku oznacza się powstaniem z siedzenia. Większość głosów rozstrzyga.

b) Publicznie, gdyż oprócz naczelnika władzy wykonawczej, któremu przysługa prawo osobiście lub przez zastępcę (to jest jednego z doradców) być przytomnym, wolno także jednej gminie z kolei znajdywać się na obradach, z zastrzeżeniem zachowania się w milczeniu.

18. Posłom wolno ze swej strony wnioski czynić, bez porozumienia się ze swą gminą, jednak przy głosowaniu nad temi wnioskami, mają się stósować do instrukcji swej gminy.

19. Na posiedzeniach nie wolno mieć mów czytanych, mówiący ma się ograniczać na notatkach.

20. Izba poselska wybiera z pomiędzy siebie większością głosów sekretarza odpowiedzialnego, którego obowiązkiem, zapisać wszelkie uchwały, ustawy i prawa, obowiązujące ogół towarzystwa tak na wewnątrz, jak i na zewnątrz, i odczytać takowe na następnem posiedzeniu dla sprawdzenia, czy dokładnie wypisane zostały.

Ustawy dla Władzy wykonawczej.

Art 1. Władza wykonawcza składa się: z Naczelnika władzy wykonawczej i dwóch doradców.

2. Wybór naczelnika odbywa się w izbie poselskiej większością głosów całego towarzystwa. W tym celu przynosi każden poseł z sobą głosy towarzyszów z swojej gmi ny. Takowe składają się w ręce marszałka, który po obli czeniu — ogłasza wybranego poselskiej izbie.

3. Naczelnik władzy wykonawczej proponuje izbie poselskiej kandydatów na dwóch doradców, których izba poselska większością głosów przyjmuje lub nie.

4. Władza wykonawcza naczelnika, jest tylko przeciwnem zdaniem obu doradców — ograniczoną; w takim wypadku rozstrzyga izba poselska.

5. Naczelnik władzy wykonawczej, ma wolność czynienia wniosków na posiedzeniach izby poselskiej, atoli nie może brać udziału w głosowaniu.

6. W przestępstwach policyjnych ma naczelnik absolutną władzę upomnienia. W przypadkach nieposłuszeństwa oskarża się występnego publicznie, i sprawa toczy się drogą, przepisami oznaczoną.

7. W wypadku słabości naczelnika, lub jakiej innej przeszkody, wstępuje w jego prawa — pierwszy doradca, aż do usunięcia przeszkody — a równocześnie obiera się w sposób wyżej oznaczony tymczasowego drugiego doradcę.

8. Naczelnikowi przysługa prawo mianowania prokuratora.

9. Władza naczelnika i doradców, trwa miesiąc.

10. Obowiązki woźnego pełnią z kolei koledzy — którzy nie piastują żadnych godności lub urzędów; kolej ta zmienia się co tydzień.

Artykuły dodatkowe.

I. Art. 3. i 9. powyższej ustawy zmieniają się w ten sposób, że i doradcy mają być tak samo obierani — jak naczelnik, — oraz że władza tak naczelnika jako i obu doradców, ma trwać trzy miesiące.

II. Po trzech miesiącach ten sam skład władzy wykonawczej w całości nie może być potwierdzony, gdyż naczelnik władzy wykonawczej zupełnie z tego składu występuje, a to dla tego aby się z tem stanowiskiem obznajamiano.

Ustawy dla władzy sądowniczej.

Władza sądownicza składa się z sędziego pokoju — i z sędziów przysięgłych. W pewnych wypadkach rozstrzyga także sprawy władza wykonawcza

Art. 1. W sprawach osobistych — sędzia pokoju jest pierwszą instancją.

*

2. Po bezskutecznem usiłowaniu sędziego pokoju, załatwienia spraw osobistych w zakresie swej władzy, przechodzą takowe w ręce władzy wykonawczej, to jest w wypadku, gdy sędzia pokoju nie mógł istniejącego nieporozumienia zakończyć zgodą. Takowe rozstrzyga tylko władza wykonawcza, bez sądu przysięgłych.

3. Na sędziego pokoju proponuje naczelnik władzy wykonawczej w izbie poselskiej kandydata, którego izba poselska na następnem posiedzeniu większością głosów przyjmuje lub nie.

4. W wypadkach wykroczeń przeciw Ustawom Towarzystwa, władza sądownicza łączy się z władzą wykonawczą; do tej ostatniej zanoszą się wszelkie zaskarżenia.

5 Gdy władza wykonawcza po naradzeniu się uzna skargę uzasadnioną, natenczas naczelnik władzy wykonawczej wybiera się za każdą razą losem, pięciu sędziów przysięgłych, którzy z pomiędzy siebie obierają prezesa, i większością uznają winę lub niewinność, i przez swego prezesa ogłaszają zapadły wyrok.

6. Oskarżony usprawiedliwia się sam lub z przybranym obrońcą. W wypadkach art. 4. objętych, staje prokurator w obronie praw Towarzystwa — którego mianuje naczelnik władzy wykonawczej.

7. Po uznaniu winy przez sędziów przysięgłych, władza wykonawcza wyznacza karę prawem ustanowioną. Naczelnikowi władzy wykonawczej przysługa prawo złagodzenia kary — lub też ułaskawienia.

Ustawy karne.

Celem Stowarzyszenia się naszego jest: Podniesienie godności moralnej każdego z towarzyszów do stopnia właściwego wiedzy wykształconej, i utrzymanie jej na tej wysokości. Z tego względu wypływa potrzeba ograniczenia się tylko na karach, moralną stronę dotykających, karach jeżli

się tak wyrazić można moralnych, które stanowiąc treść ustaw karnych, następującemi zostają objęte artykułami:

Art. 1. Wykroczenia przeciw dobru ogólnemu Towarzystwa, w porozumieniu się z nadzorcami dokonane lub tylko zamierzone (zdrada stanu) ściągają na przekonanego karę śmierci moralnej, t. j. bezpowrotne wykluczenie z towarzystwa [1]) publiczna wzgarda, która i za granice więzienia sięgać może.

2. Wszelkie inne wykroczenia tak przeciw pojedyńczym osobom jakoteż przeciw Ustawom Towarzystwa na zewnątrz lub wewnątrz, karane będą również moralnie, z zachowaniem następującego stopniowania:

a) Upomnieniem prywatnem, (t. j. we cztery oczy) sędziego pokoju, nie wytaczając sprawy dalej.

b) Upomnieniem prywatnem przez naczelnika władzy wykonawczej.

c) Upomnieniem publicznem przez naczelnika władzy wykonawczej, t. j. podczas posiedzenia w izbie poselskiej.

d) Wyłączeniem z towarzystwa na czas ograniczony, t. j. dokładnie oznaczony.

e) Wyłączeniem z towarzystwa na czas nieograniczony.

Art. 3. Wymiar kary polegać będzie na władzy wykonawczej, z uwzględnieniem prawdziwych Ustaw karnych.

Postępowanie sądowe.

W sądownictwie ma być zachowane następujące postępowanie:

Art. 1. Ze względu na Ustawy karne 2. lit. *a*, w wypadku uchybień osobistych między kolegami tejże samej gminy, t. j. w jednej celi mieszkającymi, pokrzywdzony udaje

[1]) Wykluczenie z towarzystwa miało się w ten sposób wykonywać, że wszyscy koledzy, obowiązani byli zerwać z wykluczonym wszelkie stosunki, nawet rozmowy.

się do sędziego pokoju. Tegoż powołaniem jest po wysłuchaniu skargi i usprawiedliwienia zwaśnionych pojednać, a winnego po przyjacielsku upomnieć. Takie sprawy załatwiane przez sędziego pokoju, nie powinny wychodzić z gminy do wiadomości innych.

2. Takież same postępowanie ma być zachowywane w wypadkach uhybień osobistych między członkami rozmaitych gmin.

3. Po bezskutecznem usiłowaniu sędziego pokoju w poprzedniczych wypadkach art. 1. i 2. objętych, przechodzi sprawa do władzy wykonawczej, która takową rozstrzyga po wysłuchaniu obu stron, a na wypadek i świadków.

4. W wypadku wykroczeń przeciw ustawom towarzystwa, sprawa ma być wprost wytoczona przed władzę wykonawczą.

5. Oskarżony staje przed sądem przysięgłych, lub sam, lub z przybranym obrońcą.

6. Sędziowie przysięgli nim przystąpią do swej czynności, podaniem ręki naczelnikowi władzy wykonawczej, obowiązują się pod słowem honoru sądzić sumiennie.

7. Po wysłuchaniu skargi i usprawiedliwienia, po rozważeniu dowodów i zeznań świadków, głosują tajemnie o winie lub niewinności za pomocą białych i czarnych gałek. Dokonawszy tego ich władza rozwiązuje się.

8. Po uznaniu niewinności przez sąd przysięgłych, sprawa sama przez się upada, w przeciwnym razie przechodzi do władzy wykonawczej, która na zasadzie istniejących ustaw z sumienną względnością oznacza karę, który to wyrok od następnego dnia staje się prawomocnym, jeżeli wszelkie formalności były zachowane; gdyż w przeciwnym wypadku:

9. Wolna zasądzonemu droga apelacji do izby poselskiej, o kasację wyroku, i o polecenie dopełnienia brakujących szczegółów.

10. Gdyby oskarżony przeciw któremu z sędziów przysięgłych miał słuszny zarzut, natenczas naczelnik innego przeznacza losem.

11. Gdy oskarżyciel nie udowodni przestępstwa, podlega karze. [1])

[1]) Artykuł ten został później zmieniony.

12. Wyroki oznaczające karę przez władzę wykonawczą w pojedyńczych wypadkach wymierzoną, mają być na posiedzeniach izby poselskiej roztrząsane, a uznane za stosowne, będą stanowiły na przyszłość obowiązujące prawidło dla władzy wykonawczej, a to w celu aby ustawy karne sposobem praktycznym ułożyć.

Ustawy towarzyskie

zastósowane do potrzeb towarzystwa, dzielą się na dwie części:

I. W stosunku na zewnątrz, to jest w styczności z przełożonymi rządowymi i nadzorcami nas otaczającymi.

II. W stosunku na wewnątrz, to jest kolegów między sobą.

I. Co do stosunku na zewnątrz.

1. Z nadzorcami zostawać w stosunku biernym, nie czyniąc indywidualnie najmniejszego sprzeciwiania się.

2. Nie wdawać się z nimi w żadne niepotrzebne rozmomy, wyjąwszy dając odpowiedź na zapytanie, z zachowaniem grzeczności właściwej ludziom wykształconym.

3. O nic takiego nie prosić, czegoby nie wymagała konieczność, a to nie tylko od przełożonych, ale nawet od lekarza.

4. Wszędzie zachować się tak, aby nie dać nigdy powodu do napomnień ze strony dozorców.

5. Przy zwyczajnych miesięcznych, i nadzwyczajnych komisjach czyli wizytach, nie występować z żadnemi żądaniami, bez porozumienia się z naczelnikiem władzy wykonawczej.

6. Przy obrzędach religijnych perjodycznych, przepisanych lub nakazanych, n. p. naukach, spowiedzi i t. p., mają wszyscy brać udział, wyjąwszy w stanie słabości.

7. W wypadku zapytania się nadzorców o istnieniu naszego towarzystwa, ma być każdy otwartym i prawdę mówić, nie czyniąc żadnej w tym względzie tajemnicy.

II. Co do stosunku na wewnątrz.

1. Zaleca się zapomnienie wszelkich uraz dawniejszych aż do sankcji niniejszych ustaw, z jakiejkolwiekbądź przyczyny wynikłych, a to przez cały czas uwięzienia.

2. Gdy nie tylko na zatarciu wszelkich uraz dawniejszych, ale i na przestrzeganiu zrodzenia się nowych, zgoda braterska w towarzystwie polega, ustanawia się więc, aby wszelkie obmowy, plotki i t. p., tak w domu jak i za domem, nie miały miejsca. Przestrzeganie tego polega, w domu (to jest w celi więziennej) na pośle, za domem zaś, n. p. na spacerze, każdy ma czuwać nad tem.

3. Cechą dobrego wychowania jest także wyrażanie się przyzwoite w obcowaniu z otaczającymi; wyklucza się zatem nawet w żartach wszelkie wyrazy rażące ludzi wykształconych.

4. Każdy towarzysz winien jest władzy wykonawczej, jako reprezentacji woli ogółu i rozumu towarzystwa, uszanowanie i posłuszeństwo.

5. Postanawia się, aby każdy towarzysz w wypadku uznania potraw niedobremi (to jest takiemi, że je nie można jeść) odniósł się wprzód do swego posła, nim takowe zechce zwrócić, a to w celu uniknienia przywidzeń lub uprzedzeń, wynikających często ze złego usposobienia.

6. Obowiązkiem każdego posła, wglądnąć w słuszność żądania swego towarzysza, a znalazłszy je uzasadnionem, w sposób przyzwoity upomnieć się o wymianę potrawy, w razie zaś przeciwnym ma towarzysz przyjąć tę potrawę, zostawiając mu wolność zamiany na własną porcję.

7. Ze względu na zdrowie wkłada się obowiązek, aby każdy używał przechadzki z rana i po południu, to jest aby się nie zostawał w celi w tymże czasie, wyjąwszy w przypadku słabości lub innego ważnego powodu. Zaleca się także umywanie ciała zimną wodą.

8. W wypadku słabości którego z towarzyszów, obowiązany każdy pozostać przy słabym podczas przechadzki. W tym względzie ma być zachowaną ścisła kolej, od której tylko ci wolni którzy ze słabym w jednej celi mieszkają.

9. By uczucie honoru prawdziwą i należną cześć miało, postanawia się, aby wyrazy: słowo honoru, nie były powszednio używane, tem mniej na poparcie żartów lub twierdzeń, nie mających prawdy za sobą; raz wyrzeczone, powinny być święcie dotrzymane.

10. Każdemu z towarzyszów, jeżeli z kim nie zostaje w stosunkach poufałych, przysługa tytuł kolegi. Używanie wszelkich innych tytułów się znosi.

11. Wzbrania się, w obcowaniu mianować któregokolwiek, wchodzącego w skład towarzystwa, po tytule urzędu jaki piastuje.

12. Dla ćwiczeń umysłowych postanowione będą schadzki. Dokładniejsze oznaczenie w tym względzie wyda później naczelnik władzy wykonawczej.

13. Dla towarzyszów znajdujących upodobanie w pogadankach, przeznacza się jednę celę na kasyno, w tym celu, aby uczącym się nie przeszkadzali.

14. Każdemu towarzyszowi zostawia się osobiste religijne przekonanie i zapewnia się zupełna tolerancja; atoli surowo się wzbraniają wszelkie rozprawy gorszące, oraz treści religijnej.

15. Wszelkie kółka naukowe, są wolne, z tem jednak zastrzeżeniem, żeby od swego charakterystycznego znamienia nie odstępowały, i nie wyradzały się w stronnictwa, zagrażające spokojności towarzystwa i zgodzie braterskiej. O zawiązaniu się kółka naukowego, jakiejkolwiek treści i dążności, ma być zawiadomiony naczelnik władzy wykonawczej. Zastrzega się i to, aby liczba członków jednego kółka naukowego, nie przechodziła trzeciej części całego towarzystwa.

16. Członek należący do składu towarzystwa, bez słusznej przyczyny takowe odstępujący, tym postępkiem całemu ubliża towarzystwu, ściąga na siebie wzgardę, która w wypadku artykułem pierwszym ustawy karnej objętym, w karę śmierci moralnej przejść może.

17. Gdyby się znalazł ktoś nie wchodzący w skład towarzystwa, ma być uważany jako obcy. Nie wolno jednak takich osób obrażać, gdyż mogą wezwać opieki praw towarzystwa przeciw tym, którzy ich obrazili.

18. Gdyby zaś takie osoby obce dopuściły się jakich wykroczeń, przeciw pojedyńczym członkom towarzystwa, lub całości i ogólnemu dobru towarzystwa, natenczas władza wykonawcza przedsięweźmie środki, jakie uzna za stósowne i potrzebne, aby złemu zapobiedz.

19. Z rana i wieczór za danym znakiem ma być zachowany ogólny spokój, tak zwane *silentium*, a to w tym celu, aby zażdy mógł odprawić modły poranne i wieczorne. Ta cisza trwała pół godziny.

Dodatkowa uchwała.

20. Aby nowych towarzyszów, do naszego oddziału przybywających, do przystąpienia do towarzystwa naszego nie namawiać, tylko w skutek własnego dobrowolnego i wyraźnie oświadczonego życzenia przyjmować.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Radość zatruta i powrót do kraju.

Mniemam, że z tego wszystkiego, co aż do niniejszego opisałem rozdziału, będą mogli wszyscy czytający powziąć wyobrażenie dokładne o więziennem życiu. Zresztą nie wiele już pozostaje mi do skreślenia. Przedewszystkiem poczuwam się do miłego obowiązku cofnąc się wstecz, do oddziału pierwszego, by choć kilką słowy wspomnieć o księdzu Franciszku Szajnoku, z Sanockiego, skazanym na lat 12, a czynię to tem chętniej, bo jestem mocno przekonany, że wzmianką o tym zacnym, tak bardzo przez nas ukochanym i powszechnie szanowanym kapłanie, w sercach wszystkich naszych towarzyszów niedoli przyjemne obudzę wspomnienie.

Kilkanaście to już upłynęło lat od czasu, gdy go widziałem, a przecież tak mocno cała jego postać utkwiła w mej pamięci, że prawie każdy, nawet najdrobniejszy rys jego twarzy jakbym obecnie widział przed sobą.

Wzrostu bardzo nizkiego, budowa ciała szczupła, delikatna, wiek mniej więcej 45 lat, włosa ciemnego, gdzieniegdzie przebijającego już siwizną. Piękne, pogodne a oraz rozumne czoło, oko miłe, przyjemne, łagodne i lekko uśmiechające się usta jego w ogóle cały wyraz twarzy i cała jego postać i każde jego poruszenie i dźwięczny głos mowy, świadczyły o niepospolitej wielkości ducha i bardzo rzadkiej dobroci serca. I rzeczywiście, każde tego zacnego kapłana słowo taką tchnęło dobrocią, taką miłością całej ludzkości, taką prawdziwie kapłańską skromnością i bogobojnością i

poświęceniem się dla dobra powszechnego; iż w nim widziałem niejako uosobione wszystkie najszczytniejsze kapłańskie cnoty i najlepsze przymioty. Każde jego słowo niosło jeśli nie radę to pociechę, albo miłość, albo też pojednanie i przebaczenie.

Wszystkich innych na Szpilbergu znajdujących się księży wielkie przymioty duszy, znane mi są tylko z opowiadania moich towarzyszów. Przynależny im szacunek i poważanie, więcej trzymały mię od nich zdala, i ztąd pochodzi że mniej schodząc się z nimi, ich obraz uleciał mi z pamięci. Księdza Stanisława Szostkiewicza, przypominam sobie tylko jakby przez mgłę; pamiętam tylko bladej twarzy jego szlachetny wyraz. Księży zaś: Ignacego Długoszewskiego, Ludwika Gromadzkiego, Olpińskiego, Józefa Putałkiewicza, Józefa Bereźnickiego, Antoniego Szersznika, Łachetę i Leona Stokowskiego niestety przypominam sobie tylko z nazwiska. O księdzu Nahliku wspominałem już wielokrotnie tak w Pamiętniku niniejszym, jako też i w Powieści o Horożanie.

A teraz gdy już w krótce przystąpić można do opisania chwili, w której nastąpiła radość powszechna, pomięszana ze smutkiem, do chwili, w której pamiętne dla wszystkich więźniów nastąpiło rozłączenie, na dniu 23, marca 1848 roku, chętnie spodziewam się, odczytają wszyscy, kilka wyrazów o naszym naczelniku, o marszałku i prokuratorze.

Co zaś do doradców naszego naczelnika i sędziego pokoju, niestety nic powiedzieć nie mogę, bo podczas tak krótkiego pobytu w drugim oddziale, nie mogłem z nimi jak z wielą innymi zapoznać się bliżej. A nawet i co do pierwszych trzech bardzo tylko skąpe udzielić będę mógł wiadomości; lecz i to mało co mi wiadomo, podam tutaj w nadziei, że kiedyś inne zdolniejsze pióro nakreśli coś więcej.

Naczelnik nasz, Ignacy hrabia Komorowski, w wieku 50 do 60 lat, wzrostu niskiego, bardzo miłego, ujmującego i szlachetnego wyrazu twarzy. Uczeń szkoły krzemienieckiej, później oficer wojsk polskich, był podobnoś kapitanem w głównym sztabie kwatermistrzowskim, pod jenerałem Umińskim. Po ukończeniu szkół podróżował pieszo z Adamem hrabią Zamojskim po Niemczech i Francji, w Paryżu uczęszczał na

naukowe wykłady w wydziale wojskowym i lekarskim. Wykształcony wszechstronnie, tak moralnie jak intelektualnie, znał dobrze świat i ludzi, i dowodził tego wszędzie swoim taktem i postępowaniem pełnym konsekwencji i godności; z kolegami zgodny, uprzejmy, szczery, otwarty, przyjacielski, zdanie wytrawne, oparte na nauce i doświadczeniu, w potrzebnym razie wypowiedział słowa bezwzględnej prawdy, w sposób tak przekonywający, a tak uprzejmy, grzeczny i delikatny, że każdy najchętniej przyjmował od niego czy to radę, czy naukę. Swój los znosił jak przystało na męża, i umiał się zastósować do swego położenia w każdej chwili i w każdym razie, a smutek wówczas tylko malował się na jego twarzy, gdy była mowa o klęskach kraju. Zresztą spokojny i cichy, czasami atoli gdy tego prawdziwa wymagała potrzeba, umiał wystąpić z energją, nieprzekraczającą nigdy granicy odpowiednej tak wykształceniu, jak niemniej dobremu wychowaniu. Dla strażników i przełożonych był grzeczny, zachowywał jednak przy tem powagę potrzebną, właściwą i stósowną w takich razach.

Nie dziw więc, że w obec tylu wzniosłych przymiotów duszy, wszyscy przylgnęli do hrabiego i duszą i sercem, nie dziw że wszyscy go pokochali, i szanowali i poważali jak ojca i uważali jako głowę rodziny, i jednogłośnie bez wyjątku obrali swym naczelnikiem i przynależną otaczali go czcią.

Co zaś do naszego marszałka, zbytecznem mniemam byłoby podawać bliższe jakieś szczegóły, bo i któż z czytających nie zna go ze znakomitych i licznych dzieł jego, obejmujących dzieje naszego narodu? Któż z czytającej publiczności nie zna go ze znakomitych krytyk jego, tchnących taką rzadką i bezwzględną prawdą?

Ktokolwiek bez uprzedzenia, nie zimno, nie obojętnie tylko czytał dzieła i krytyki jego, lecz równocześnie starał się pojąć, przeniknąć ducha i sposób myślenia autora, oraz kto zgłębił wnętrze jego istoty, i kto przeszedł swą myślą uważnie całą bez zmazy, bez skazy czystą przeszłość jego, ten musi widzieć w nim postać niezwykłą; nietylko światło, nietylko naukę, ale uosobioną w nim prawość i bezstronną prawdę.

Co do prokuratora naszego, pomyśli może niejeden z czytających niniejsze pamiętniki, — ten zapewne był w wieku 40 do 45 lat, był wzrostu nizkiego, szczupły, chudy, wymokły, z twarzą blado-żółtawej cery, z małemi, podługowatemi, świdrującemi oczkami, szczelnie zeciśniętemi usty sinemi, z szerokiem, nieco wtył posuniętem czołem, pooranem licznemi zmarszczkami, dalej spiczastym nosem i spiczastą, naprzód wystającą brodą. Takiej atoli dopiero określonej postaci, nie było nawet w żadnym naszym oddziale, a prokurator nasz, Władysław Domaradzki, przeciwnie, był wzrostu słusznego, dobrze i silnie zbudowany, lat liczyć mógł najwięcej 25, jasnego włosa, jasnych, przyjemnych, myślących oczu, pięknego wysokiego, pogodnego i rozumnego czoła, nieco orlego nosa i pięknych, miłych, wydatnych ust. Wyraz twarzy w ogóle szlachetnością, męzką prawdziwie odwagą i dobrocią serca tchnący. Był szczery, otwarty, serdeczny, a że przytem zgodny i dosyć wesoły, wszyscy pragnęli mieć go za towarzysza w swej kaźni.

Klęski kraju, niemniej cierpienia pojedyńczych ludzi czuł mocno i głęboko. W wypowiedzeniu zdania był umiarkowany, w wydawaniu wyroku rozważny, mimo tego atoli sąd jego szybki a trafny i pod każdym względem bezstronny, odznaczał się tak bystrem i dokładem pojęciem rzeczy, jak niemniej głęboką aż do dna istoty czynu sięgającą myślą i sumienną prawością, której wszędzie i zawsze jawne składał dowody. Opowiadano mi, że jeszcze przed mojem przybyciem do drugiego oddziału sądzono kilku nieobecnych, którzy w jakiejś publicznej sprawie postąpili sobie wbrew otrzymanym zleceniom. Władysław Domaradzki — który wówczas nie był jeszcze prokuratorem, przyjął ofiarowaną mu obronę nieobecnych, i z takiem przemawiał czuciem, i z tak niepospolitym talentem wymowy trafiającej do duszy, do serca, do przekonania, że nietylko uniewinnił zupełnie oskarżonych, ale nadto do łez rozczulił wszystkich prawie obecnych.

Władysław Domaradzki, ówczesny nasz prokurator, to piękna, wzniosła postać niezwykła, to postać której duch — by się wyrazić i trafnie i jędrnie — jakby ulany ze spiżu. Gdybym kiedykolwiek w mem życiu pisał jaką powieść,

wówczas do skreślenia ideału, idealnie wzniosłej postaci, do skreślenia mego wymarzonego bohatera, służyłby mi za wzór podobny tylko jemu charakter, tylko jemu podobne przymioty.

A takich ludzi, takich mężów jak w niniejszym opisywalem pamiętniku, więcej było na Szpilbergu. Jednych atoli nieznałem, drugich zapomnialem, o innych zaś tylko slyszalem, jak n. p. o powszechnie uwielbianym księdzu Ignacym Dlugoszewskim, o księdzu Mikołaju Horodyńskim, o księdzu Łachecie, nareszcie o Robercie Chmielewskim, o Eugeniuszu Chrząstowskim, o Lesławie Łukaszewiczu albo o Józefie Wysockim, Juljanie Goslarze, i t. d. i t. d.

Czy wszyscy podziśdzień pozostali niezmienni?

Czy wszyscy w ciągu dalszego swojego życia nie zachwiali się przed pokuszeniem, i nie ulegli zewnętrznym wpływom?

Czy nie ugięli się pod ciężarem losu, jaki przeznaczył im Bóg?

Czy wierni wyznawanym niegdyś zasadom, nie zboczyli z wytkniętej drogi?

Czy nie zaćmil ich uludny blask światowego życia?

Na te wszystkie pytania każdy sam odpowie z osobna, a mnie niechaj wolno będzie wynurzyć nadzieję, że wszyscy tak silni duchem i wiarą, zachowali po dziśdzień czystość swego sumienia i nieskazitelność swego harakteru, a że nieprzestali dążyć do wytkniętej mety tem mocniejsze mam przekonanie, bo widząc jasno, że naszemi kroki kieruje Bóg, i do wspólnego celu boska tylko prowadzi nas ręka! — Zresztą wierząc, że w bezdenną głębię i niezmierzoną przestrzeń własną dłonią wyrzucił Bóg miljony światów, i niczem niewzruszony nadał im bieg, i przeznaczył cel, czyż możemy, czy nam wolno niewierzyć, że ta sama dłoń tak naszemi, pojedyńczych ludzi, jak niemniej całych narodów kieruje krokami i rozmaitemi drogami do wytkniętego prowadzi celu?

Ale nie tutaj miejsce, bym dłużej rozwodził się nad tem, nad czem najgłębsi myśliciele przepędzali nie tylko lata ale całe życie swoje.

Wracam do dalszego opowiadania moich i moich towarzyszów kolei.

W dzień na nauce, wieczorami na rozmyślaniu i na pogadance szybko jakoś przemijały dni i tygodnie i miesiące; od czasu naszego uwięzienia już dwa upłynęło lata. Każdy z nas atoli skazany był na tak wielką liczbę lat, że zaprawdę nie liczyliśmy ani dni ani miesięcy, ani nawet lat. Żyliśmy nadzieją. Od rana do nocy zajęci nauką, nie mieliśmy nawet czasu myślić o rodzinnym kraju, albo o drogich nam osobach. I zresztą czując, że rozmyślanie o naszem położeniu, o kraju i rodzinie niesłychanie trawi życie, każdy z nas unikał tego ile możności.

W naszej celi niedawno jeszcze wesoło, nagle jakoś posmutniało; Wojciech (Stanisław) Włodek bowiem zapadł w ciężką słabość, nie pamiętam już, czy na febre żółciową, czy na nerwową gorączkę. Z nim i przyjemnie i wesoło upływały godziny; gdy zachorował, gdy go wyniesiono do zaimprowizowanego za naszą pobudką na Szpilbergu więziennego szpitalu, mocno uczuta jego nieobecność, wznieciła w nas obawę o niego, i zatęskniliśmy za nim, pomimo żeśmy go odwiedzali dość często, a gdyśmy się przekonali, że stracił przytomność, wielki ogarnął nas żal, i jakoś nie dyło chęci do nauki, i zabrakło wątku do pogadanki, a gdy wieczorem wszyscy zbliżyli się do okiem, wszyscy uczuli jego stratę, bo z naszej celi nie odzywał się już dźwięczny i piękny głos jego wesołych pieśni.

Nareszcie i ja zapadłem na piersi, osłabłem tak mocno, że przez kilka dni nie mogłem chodzić na przechadzkę. Tamtejszy lekarz zapisał mi jakąś maść, od której smarowania dostałem na piersiowej dece wyrzutów. To rozraniło dekę, ale wcale nie uśmierzyło bolu. Pomimo wszelkiej ze strony przełożonego namowy nie chciałem iść do szpitalu, i pozostałem z towarzyszami.

Pewnego dnia, na początku drugiej połowy miesiąca marca 1848 roku, późnym już wieczorym, zwabiły nas do okna niezwyczajne krzyki, między którymi rozróżniliśmy kilkakrotne „wiwat.“ Wyglądnęliśmy oknem, i dojrzeliśmy tłumy ludu w pobliżu, a raczej u stóp Szpilbergu. Nie mogliśmy pojąć co to znaczy, a że tego samego dnia postrzegliśmy na błoniach koło Berna wyraźne, i pomimo znacznej odległości, niewidziane dotąd młodzieży ćwiczenia bronią.

więc tysiące myśli tworzyło się po głowie. Gdy atoli tak ćwiczenia bronią jak tłumne zebrania ludu u stóp Szpilbergu przez dwa dni powtarzały się bez żadnych dalszych skutków, uważaliśmy to wprawdzie za jakieś niezwyczajne zjawisko, jednak nadzieje nasze, że to może zmiana politycznych stosunków, znikły bardzo prędko, i poglądaliśmy na to obojętnem okiem.

Nadszedł nareszcie dzień 23go Marca. Pogodne, jasne niebo zapowiadało dzień piękny i ciepły. Ludwik Stokowski [1]) doradzał mi, bym dnia tego wyszedł na przechadzkę. Wiedząc i czując to, jak szczerze mi życzy, usłuchałem go, i wyszedłem pomimo osłabienia.

Na parę tygodni już przed tym dniem, wyjednaliśmy tyle u przełożonego, że pod murem, otaczającym miejsce przeznaczone na przechadzkę, wystawiono dla nas rodzaj rusztowania, abyśmy ztamtąd poglądać mogli na miasto.

Jak zawsze tak i tą razą, pierwsze nasze kroki zmierzyliśmy do rusztowania. Wylazłszy na nie, spostrzegliśmy kilku chłopaków pod samym murem. Pokazywali nam coś na migi i mówili coś o wolności ale nie przywiązywaliśmy do tego wiele wagi, bośmy to uważali za wybryk dziecięcy. Zawsze atoli jakieś myśli krążyły po głowie, i w piersi każdego wznieciło to jakąś nadzieję, ale nikt nie wypowiadał jej głośno.

Po przechadzce zaledwie wróciliśmy do kaźni, i zaledwie zwyczajny spożyliśmy obiad, rozwarły się drzwi, i przełożony zawołał mię po nazwisku. Zbliżyłem się do niego jak stałem, przełożony jednak kazał mi wziąść kapelusz ze sobą.

Spodziewając się listu od ś. p. matki mej, byłem pewny, że poprowadzi mię do kancelarji. Zdziwiłem się atoli nie mało, gdy zamiast do kancelarji w zupełnie przeciwną poprowadził mię stronę. Na końcu kórytarza otworzył przełożony czarne żelazne drzwi, i o jedno piętro spuściliśmy

[1]) Ludwik Stokowski wzięty został w 1849 roku do wojska, i tam umarł. Leży pochowany w Jozefsztadzie, w Czechach. Ta wiadomość przejmie zapewne wszystkich jego towarzyszów więzienia żalem i smutkiem, gdyż swoją zacnością i prawością i złotem sercem swem, zjednał sobie i miłość i szacunek wszystkich.

sie schodami na dół, potem ile mi się zdaje koło chóru kościoła zboczyliśmy na prawo, dalej kilka schodków na lewo, i weszliśmy na jakiś ciemny korytarz.

Nie byłem w stanie połapać się co to znaczy? Czułem, przeczuwałem jednak, że to nic dobrego. Przełożonemu nie zadawałem żadnego pytania, bo wiedziałem że byłoby na próżno, wiedziałem że nie byłbym nic innego usłyszał, jak tylko zwyczajne *ich weiss nicht.* Postępowałem zatem za nim ile możności jak najprędzej, bo szybkiemi szedł kroki; wkrótce atoli zabrakło oddechu i siły, stanąłem, i oświadczywszy że będąc słabym nie mogę iść tak prędko, prosiłem by zwolnił kroku. Przełożony uczynił zadość memu żądaniu, i postępował powoli. Postrzegłem jednak, że jak to mówią, pali mu się pod nogami, bo często przez zapomnienie przyspieszał kroku, i dopiero oglądnąwszy się za mną przystanął, czekając na mnie z widoczną niecierpliwością. Widziałem na nim jakieś pomięszanie, roztargnienie, był widocznie jakby we febrze.

Milcząc postępowaliśmy dalej ciemnym korytarzem, gdzie tylko okna tunelów dodawały światła; było tam cicho i głucho, i widać nikt tam nie mieszkał w tych celach, stojących rzędem wzdłuż korytarza; kroki nasze po kamiennej posadzce nieznośnem odzywały się echem, i wyznaję, jakiś niewytłumaczony, niepojęty ogarnął mię strach. Przy końcu tego korytarza znów żelazne drzwi otworzył przełożony z łoskotem, i znowu spuściliśmy się w dół jakiemiś wąziutkiemi i bardzo spadzistemi schodkami. Przełożony zwrócił się na lewo w jakąś niby to sionkę a potem jeszcze raz w lewo, i ujrzałem się na długim, ciemnym korytarzu, którego końca dopatrzyć nie mogłem.

Wszystko wskazywało że w bocznych tego korytarza celach nie było nikogo, bo jeszcze nieznośniej odzywało się echo odbijając się w każdej celi z osobna.

Mniej więcej ku końcowi korytarza przystanął przełożony, prędko otworzył drzwi jednej celi i wskazał bym udał się do niej.

— Co to znaczy? — nieśmiałym spytałem głosem.

Ich weiss nicht, — odpowiedział przełożony, i jeszcze raz dał znak do wejścia.

Wszedłem, drzwi się za mną zamknęły na rygle, na kłódki, a ja z bijącem sercem długo stałem zdumiony, zdziwiony, i nic nie widziałem, bo tylko bardzo małe okienko u samej powały a raczej sklepienia wpuszczało światło do nowego mego mieszkania.

Po niejakiej chwili przejrzałem cośkolwiek i rzuciłem okiem w około siebie i przekonałem się, że jestem w kazamacie, którą widocznie chciano przekształcić na zwyczajną celę więzienną w sposób bardzo smutnej dla mnie improwizacji. Czarne, od czasu swego istnienia zapewne wcale niepobielane mury, widocznie i namacalnie na prędce i dopiero może przed krótką pobielono chwilą, gdyż ściany były tak jeszcze mokre, że w całem tego słowa znaczeniu lało się tak ze sklepienia jak z bocznych ścian na ziemię, podłoga świeżo była zalana wapnem, w piecu wcale nie było zapalone, i napróżno oglądałem się za jakim sprzętem, nie znalazłem tam ani łóżka, ani siennika, ani stołka nawet.

Słaby, nie miałem nawet gdzie usiąść. Pragnąłem wiedzieć gdzie się znajduję, to jest w której stronie gmachu, czy pod mymi towarzyszami lub nie? Okno atoli a raczej parę szybek w wielkości wizytyrki było niestety tak wysoko i jak powiedziałem pod samem sklepieniem umieszczone, że ani myślić o tem nie mogłem, bym dostał jej ręką. Siatka druciana, grube kraty, i na lwowską manierę zaaplikowany kosz, do reszty zasłaniały okno i bardzo tylko skromne dopuszczały światło.

Świeże, zupełnie jeszcze mokre wapno dusiło mię tak mocno, że wzmógł się kaszel i ból w piersiach.

Po jednogodzinnem pobycie w tem strasznem miejscu,— gdzie niechcąc pomazać się wapnem, nawet się oprzeć nie mogłem, — osłabłem tak bardzo, że byłem zmuszony położyć się dla odpoczynku i nabrania nowych sił, na gołej, mokrej ziemi. Wilgoć jednak i stęchlizna nie dały leżeć mi długo, podniosłem się zatem, i nie mogąc stać dłużej na miejscu, łaziłem po celi.

Podsłuchując pod drzwiami przekonałem się, że straży nawet nie było na korytarzu. Zresztą, i na cóż by tam była potrzebna? Wszak o ucieczce nawet i marzyć nie mogłem.

Zbliżyłem się do jednej, potem do drugiej ściany, wyjąłem moje pukadło — ów język jedyny każdego więźnia samotnika, i po kilkakroć zapukałem razy, ale w odpowiedzi usłyszałem tylko echo w własnej celi i na długim próżnym korytarzu. To echo, tak smętne, a przecież tak jakoś niegdyś w dziecinnym wieku przyjemne, upragnione i w lesie i w górach między urwiskami skał tak często wywoływane a nawet, że się tak wyrażę, dla dziecka miło zagadkowe, było dla mnie wówczas, w tem osamotnieniu i przykre, i w ówczesnym chorowitym stanie jakieś przerażające. Stąpałem z cicha i naciągałem kajdany by tylko stukiem lub brzękiem żelaza nie wywoływać tego niewidzialnego, niejako wydrzeźniającego się ducha odgłosu.

To moje tak nagłe wyłączenie od innych mych towarzyszów, było dla mnie tak zagadkowe i tak niepojęte, że nie mogłem się uspokoić; chciałem koniecznie rozwiązać to trudne zadanie, ale na próżno natężałem wszystkie władze mego umysłu.

Po dwóch godzinach mego pobytu w kazamacie, postanowiłem przywołać kogoś koniecznie i dowiedzieć się co to wszystko znaczy? Zbliżyłem się zatem do drzwi, i począłem nie pukać lecz chrymać, walić w nie z całej siły. Każdego uderzenia odgłos na dwie rozdzieliwszy się części, najpierwej szybko i głośno, a potem coraz wolniej i ciszej każdej dotykając celi przebiegł korytarz, a wracając z jego obwodu końców, nad moją obadwa echa zetknęły się celą, potem jakby pękły i nareszcie ginęły i gubiły się w próżni.

Widząc, że moje pukanie jest głosem wołającego na puszczy, zaprzestałem dalszego chrymania, i powziąłem zamiar cierpliwie oczekiwać końca.

W godzinę później dopiero usłyszałem otwieranie drzwi korytarzowych; kroki zmierzały w pobliże mej celi, rozróżniłem między temi, nie tylko kroki dwóch strażników, ale oraz kroki kilku więźniów, w czem utwierdzał mię brzęk kajdan.

Na nowo zacząłem walić w drzwi. „*Gleich*“ (zaraz) usłyszałem w odpowiedzi.

Otworzono sąsiednią kaźnię i po chwili zamknięto, i ucichł kajdan brzęk.

Postanowiłem wystąpić z całą energją i albo od nich dowiedzieć się, co to znaczy, albo zawołać, zażądać by przywołano przełożonego.

Odemknięto kłódki, odsunięto zasuwy, i wkrótce ukazały się we drzwiach dwie postacie, znane na Szpilbergu z swej oryginalności; byli to: kapral strażnicki nazwiskiem Buchman i strażnik, Bukowiński.

Od pierwszego nikt nie wydobył innych wyrazów jak tylko: *„Das kann nicht lange dauern“* (to nie może trwać długo.) Drugi zaś, Polak z urodzenia, podobnoś z Jarosławia, do czego nie przyznawał się nigdy, milczał wiecznie jak grób i nigdy żaden z więźniów nie usłyszał od niego nic więcej jak tylko słowa: *„Ich weiss nicht“*, (ja niewiem.)

Pewnego razu zapytał go po polsku Celestyn Domain żartem, czy na tamtym świecie, gdy będzie powołany przed sąd Boga, także na wszystko odpowie: *„Ich weiss nicht“*, i usłyszał w odpowiedzi także zwyczajne *„Ich weiss nicht.“*

Zobaczywszy w progu obadwa oryginały, straciłem nadzieję dowiedzenia się od nich choćby nawet tylko słów kilku, mimo to jednak zapytałem ich co to znaczy, zkąd to pochodzi, za co mię tu zamknięto, dla czego nie dadzą mi łóżka, czemu nie zapalą mi w piecu? i t. d. Rozumie się samo przez się, że gdy na wszystkie zapytania tylko dwie usłyszałem odpowiedzi, to jest, od jednego, że nic niewie, a od drugiego, że to nie może trwać długo, zażądałem, by przywołano przełożonego.

Na to odpowiedział mi Buchmann, że przełożony nie ma czasu, ale, że jak tylko cośkolwiek załatwi ważne swe sprawy, przyjdzie niezawodnie i zapewne każe przynieść, co mi się należy.

Po tej krótkiej rozmowie, w której przecież chociaż cośkolwiek kapralowi rozwiązał się język, a w czem upatrywałem coś nadzwyczajnego, zamknięto celę, i po chwili zgubił się odgłos ich kroków w dali korytarza długiego.

Zaledwie usłyszałem zamknięcie drzwi korytarzowych, tej chwili przystąpiłem do ściany, i kilkakrotnem uderzeniem, wezwałem sąsiadów do pukania. Sąsiad odpukał zaraz i pierwsze me zapytanie było o nazwisko.

Któż byłby w stanie wyobrazić sobie mą radość, połączoną z pewnym rodzajem smutku, gdy mi odpukał dwa jeszcze z dzieciństwa znane nazwiska: Erazm Czajkowski i Justyn Begijowicz. Obudwóch znałem, a z Justynem mieszkałem razem u państwa Moszczańskich w Przemyślu.

Gdy im wymieniłem moje nazwisko, wzajemnie wynurzyli mi swoją radość, a potem liczne zadawaliśmy sobie pytania. Między innemi pytałem ich co to znaczy, że nas wyłączono? jak sądzą, jak mniemają, jakie w tym względzie czynią przypuszczenia? itd. Justyn odpukał mi, że to zapewne amnestja, i że nas tylko wyłączyli. Właśnie dla tego że i mnie wyłączono, nie przypuszczałem amnestji, bo nie mogłem pojąć, z jakiejby to mogło być przyczyny, bym ja właśnie nie korzystał z tego aktu łaski.

Wkrótce po odejściu Buchmana i Bukowińskiego, znowu otworzyły się drzwi korytarza, i znowu kilku sprowadzono więźniów i umieszczono w celi sąsiedniej po stronie Justyna i Erazma.

Tą razą był także przełożony, bo po zamknięciu świeżo przyprowadzonych wszedł do mej celi. Na moje zapytania oświadczył, że nie może mi powiedzieć co to wszystko oznacza, jednak że zaszło coś nadzwyczajnego o czem dowiem się później, oraz że każe wnieść mi łóżko i zapalić w piecu, na koniec bym był spokojny, bo to nie potrwa długo. A gdy przy jego odejściu spytałem, dla czego mię tam zamknięto w tak srogiem więzieniu i z czyjego rozkazu, powiedział mi że to z wyraźnego rozkazu samego gubernatora.

To ostatnie już do reszty wszystkie w mej głowie połamało szyki; tego nie byłem w stanie odgadnąć, a głównie zkąd ja przychodzę aż do samego gubernatora, zresztą cóż uczyniłem tak wielkiego, strasznego, by mię zamykano aż do kazamaty.

W celi mej od dawna było już ciemno zupełnie, a ja słaby i znużony, nie mogąc i nie mając już sił do chodzenia, położyłem się na chwilę koło pieca. Wkrótce atoli mój sąsiad przywołał mię do ściany, i w następujące do mnie odezwał się słowa:

— Idź do okna i słuchaj, jakiś tam na górze niezwykły gwar, słychać tam jakieś śpiewy niezwyczajne i pomięszane głosy radośne, przekonasz się że to pewnie amnestja, a nas wyłączyli, zresztą sądź sam i powiedz nam twe zdanie.

Poszedłem pod okno i rzeczywiście niezwyczajne usłyszałem krzyki, śpiewy i głosy pomięszane, to jest głosy więźniów jednego oddziału pomięszane razem z głosem więźniów oddziału drugiego; o amnestji jednak ani nie marząc, wmówiłem w siebie, że mi się tylko tak wydaje. Zresztą byłem tak osłabiony i tak znużony, i już tak zobojętniały, że nie słuchając długo, odpowiedziałem sąsiadom że nic nie słyszę, i że idę położyć się na ziemię bo mi nie przyniesiono nawet siennika, a nie mam już sił ani stać, ani chodzić.

Noc całą nie zmrużyłem i oka. Nad ranem było w celi tak zimno, że dla ogrzania się musiałem do chodzenia całe wytężać siły.

Jeszcze było ciemno zupełnie, gdy w mojem sąsiedztwie na korytarzu usłyszałem, że ktoś rozmawia po polsku. Ojczysty język i do tego głos dźwięczny i miły zelektryzował mię niesłychanie i nowych dodał mi sił, tem bardziej, że i w tem upatrywałem coś nadzwyczajnego, bo prócz więźniów nikt nie mówił nigdy po polsku. Słysząc rozmawiających bardzo blisko mej celi, zbliżyłem się do drzwi i na wpół żartem, na wpół serjo zawołałem głośno:

— Ot! ktokolwiek jesteś, wolałbyś ze mną rozmawiać po polsku.

Tej chwili kroki zbliżyły się do drzwi, rozwarła się wizytyrka i nieznany mi głos zapytał mię:

— Kto jesteś? jak się nazywasz?

W przekonaniu że może w nocy postawili tam straż wojskową, i że to zapewne żołnierze mówili ze sobą, odwróciłem się niezwłocznie, by nie być widzianym, bo obawiałem się by mię nie oskarżył złośliwie, że go albo buntowałem, albo do czego namawiałem, co jak słyszałem od kolegów wydarzyło się nieraz.

Po chwili gdy nic nie odpowiadałem, usłyszałem ponowne:

— Jak się nazywasz?

A potem:

— Kto jesteś, bracie?

— A! jeźli tak do mnie przemawiasz — zawołałem — to ci odpowiem. — I wymówiłem nazwisko i zapytałem wzajemnie:

— A któż ty jesteś? Czy może jaki polski duch, który nas przyszedł pocieszyć?

— Tak jest, jestem duchem czysto i jedynie tylko polskim, jestem Juljan Goslar.

— Juljan Goslar? — zawołałem do najwyższego zdziwiony i dodałem — jak to, ty Juljan Goslar? a cóż tu robisz? co to znaczy? jakim sposobem dostałeś się tutaj i jakież nam przynosisz wiadomości? —

— Mój drogi bracie! — smętnie przemówił Juljan — smutne, smutne, bardzo smutne dla was są wiadomości, a przecież przyjemne: oto mój drogi bracie, my wszyscy jesteśmy amnestjonowani, a was pięciu wyłączono, to jest: Erazma Czajkowskiego, Justyna Begijowicza ze sprawy dawniejszej, a Józefa Siekierskiego, Szymańskiego i ciebie z roku 1846. Was pięciu wyłączono pod pozorem, że obok zbrodni stanu cięży na was jeszcze zbrodnia morderstwa. Bądźcie jednak dobrej myśli, nie traćcie nadziei, my nie spoczniemy póki nie wyjednamy waszego uwolnienia, a przyjdzie nam to tem łatwiej, bo w Wiedniu zaszły zmiany, i poczciwi Wiedeńczycy nie tylko dla siebie ale i dla nas i dla całej monarchii uzyskali konstytucję, i że się tak wyrażę, krwią swoją okupili wolność naszą, i cesarz przed którym ukrywano prawdziwy stan rzeczy, dowiedziawszy się prawdy, podpisał wiekopomne dwa akta, akt konstytucji i akt łaski, powszechną amnestję. Wszyscy jesteśmy wolni, i jak mary chodzimy po Szpilbergu. Dopiero teraz powiodło mi się odszukać was szczęśliwie, i mam nadzieję że nie odmówią nam tej przyjemności, by pożegnać się z wami. Amnestja i polityczna zmiana ucieszyła nas mocno, wasze jednak wyłączenie uczyniło tę radość niezupełną, zatruło ją mocno. Wszyscy zamiast powszechnej i całkowitej oddać się wesołości, ubolewamy nad wami. Wasze wyłączenie zatruło nam całą przyjemność.

Słuchałem tego wszystkiego z wielką uwagą i z tem większem zadziwieniem; pierwsza atoli myśl moja była o mo-

ich sąsiadach, a mianowicie o Erazmie Czajkowskim i Justynie Begijowiczu, którzy uwięzieni 1839 roku, już tyle w tem strasznem więzieniu przepędzili lat. Szczerze mówię, że moje wyłączenie przyjąłem obojętnie, ich los jednak dotknął mię boleśnie.

Przez tyle lat już tylu uwolniono, a oni zawsze zostawali, ich zawsze wyłączano! To było dla mnie najdotkliwszem.

— Dzięki Bogu! — przemówiłem do Juljana — dzięki Bogu! że jesteście wolni, cieszy mię to niewypowiedzianie, moje wyłączenie jest mi obojętniejsze niżbym był sądził kiedykolwiek, gdyby mi to było przyszło na myśl, los atoli moich sąsiadów, Erazma Czajkowskiego i Justyna Begijowicza, zasmucił i zmartwił mię bardzo. Idź, proszę cię, pociesz ich najpierwej, a gdy wrócisz do kraju, staraj się wyjednać ich uwolnienie. Jeżeli będziecie mogli to nas odwidźcie, bo wszyscy pragniemy pożegnać się z wami. Zresztą jeżeliby mogli wyjednać dla nas wyłączonych od amnestji, byśmy siedzieli razem, albo przynajmniej schodzili się na przechadzce, byłoby to dla nas wielkiem dobrodziejstwem, wielką ulgą i pociechą.

Juljan Goslar przyrzekłszy uroczyście uczynić wszystko co tylko będzie w stanie, pożegnał się ze mną w nadziei, że jeszcze będzie się ze mną widzieć, i wrócił do drzwi moich sąsiadów, z którymi to właśnie on rozmawiał wówczas, gdy na korytarzu polską usłyszałem mowę.

Wkrótce nadszedł strażnik, Bukowiński, i nalegał na Goslara, by poszedł na górę, mówiąc że to nie wolno!

A gdy Juljan Goslar oświadczył mu, że ma pozwolenie od samego nadprzełożonego, odpowiedział mu Bukowiński, że *Hausordnung* starsze od nadprzełożonego, zatem że on nie może pozwolić, i zmusił Juljana do odejścia.

Koło dziewiątej godziny wszedł do mej celi przełożony, i zdziwił się niemało gdy mu się żaliłem i gdy sam postrzegł że nie wniesiono mi ani łóżka, ani wody, jednem słowem niczego. Narobił ogromnego hałasu, i tej chwili wniesiono mi wszystko z dawniejszej mej celi. Równocześnie zapowiedział mi wizytę jego excellencji gubernatora pana Lazańskiego. Także wynurzył mi jak mu to przykro, że nas

wyłączono od amnestji i pocieszał mię nadzieją, że i my wkrótce zostaniemy uwolnieni.

Co zaś do prośby by nas połączył, powiedział, że to nie zależy od niego, tylko od samego gubernatora.

Zaledwie wyszedł przełożony przystąpiłem do ściany moich sąsiadów, by chociaż przez mur przesłać im kilka słów pociechy. Na moje pocieszające słowa i na wynurzenie mego nad nimi ubolewania, następującą od nich otrzymałem odpowiedź:

„Mój bracie, dziękujemy ci serdecznie za twoje dla nas współczucie, bądź jednak o nas zupełnie spokojny, myśmy byli na to przygotowani, podobnego losu doznaliśmy już nieraz a głównie na dniu 21 stycznia 1845, gdy we Lwowie także wielu uwolniono więźniów. Zresztą mój drogi, gdyby podobny wypadek był nam się zdarzył przed kilką laty, byłoby to nas było dotknęło boleśnie, bo przed kilką laty byliśmy dziećmi, dziś atoli tak dalece oswoiliśmy się z tem wszystkiem co boli, dotyka, dolega, co u innych wywołuje rozpacz, że zaprawdę możemy powiedzieć, że w więzieniu przeskoczyliśmy wiek młodzieńczy i nagle — przynajmniej duchem — wzrośliśmy w mężów zimnych, obojętnych na własny ból. A dziś, — dowiedziawszy się o powszechnej radości tylu naszych braci, tak jesteśmy przepełnieni niczem niewypowiedzianą radością, tak weseli, ba nawet tak uszczęśliwieni, że nasze wyłączenie nie jest w stanie zakłócić nam albo zniweczyć błogiego, w naszem wnętrzu tkwiącego uczucia, jakie dziś w naszych powstało sercach, i gdyby nie wasze wyłączenie, to jest twoje, niemniej tych dwóch młodzieńców którzy siedzą obok nas po drugiej stronie, bylibyśmy byli doznali dzisiaj po wielu tu spędzonych latach zupełnej radości, a to wyłączenie znacznie zatruło nam naszą wesołość a przynajmniej przymieszało do naszej radości nieco goryczy. Staraj się wyjednać byśmy siedzieli razem, a przynajmniej na przechadzce schodzili się wszyscy, to będzie nam i lżej i weselej."

„Dobrze" — odpowiedziałem i ręką zastukałem w ścianę, gdyż na korytarzu niezwykły jakiś usłyszałem gwar, i liczne, do naszych kaźni zbliżające się kroki.

Rzeczywiście, zaledwie odszedłem od ściany cały, jakby liczny orszak jakiś zbliżył się pod nasze kaźnie a mię-

dzy mówiącemi rozróżniłem głosy dawniejszych moich towarzyszów; jednę celę otwierano po drugiej i wkrótce na moją nadeszła kolej. Czułem że jakoś mocniej zabiło serce, czułem jakiś niepokój i czułem że w obec moich kolegów dawnych powinienbym pokazać się i z pogodnem czołem, i wesołym na ustach uśmiechem i radością w oku.

Rozwarły się drzwi, a w progu obok Franciszka Urbańskiego, Wiktora i Juljusza Krobickich, Antoniego Skalskiego i wielu, wielu innych dawniejszych moich towarzyszów, ukazał się nieznany mi mężczyzna słusznego wzrostu, brunet, blady i przyjemny na ściągłej twarzy przyobleczonej męzką powagą.

Ów mężczyzna wszedł pierwszy do kaźni, zaraz za nim nadprzełożony, a potem niedawni jeszcze moi towarzysze.

Nadprzełożony przedstawił mi owego nieznanego jako jego ekscellencję gubernatora pana Lazańskiego, który zbliżywszy się do mnie szybkiemi kroki, powitał mię uprzejmie, i wynurzył swój żal z powodu naszego wyłączenia, zaraz atoli zapewnił że ma nadzieję, a nawet że mocno jest przekonany iż i nas pozostałych wkrótce, może nawet po kilkunastu albo po kilku dniach podobny spotka los i także zostaniemy uwolnieni; nim to jednak nastąpi, będzie jego najusilniejszem staraniem jeżeli nie uprzyjemnić nasz pobyt dalszy, to przynajmniej ulżyć cierpieniom.

Potem zwrócił się do nadprzełożonego i polecił mu, by po wyjeździe uwolnionych przeniesiono nas niezwłocznie do cel lepszych na drugiem niedawno dopiero dla spodziewanych ze Lwowa więźniów dobudowanem piątrze, gdzie czyściejsze i wygodniejsze urządzono cele.

Uwolnieni moi towarzysze wnieśli zaraz prośbę, by był łaskaw pozwolić im pozostać u nas aż do ich odjazdu, dalej ażeby nas wyłączonych do jednej albo do dwóch zesadzono cel, oraz by uwolnionym wolno zaopatrzyć nas w tytoń, cygara, zapałki, książki i t. d.

Gubernator pan Lazański chętnie na to zezwolił, wydał nadprzełożonemu w tym względzie stósowne zlecenie, a w końcu zapewniwszy mię jeszcze raz w wyrazach tchnących szczerością, że wszystkich dołoży starań, a nawet sam do Najjaśniejszego Pana wniesie prośbę o nasze uwolnienie, poże-

gnawszy nas ukłonem i słowy, opuścił mą celę, zostawiając mię z uwolnionymi towarzyszami.

Po odejściu gubernatora uwolnieni towarzysze sprowadzili do mojej celi i tamtych czterech wyłączonych od amnestji, potem każdy z osobna serdecznie uścisnął naszą dłoń i nastąpiły wynurzenia, opowiadania i ubolewania nad naszym losem. Wszyscy przyrzekali uroczyście nie spocząć, póki nie wyjednają naszego uwolnienia.

— Gdzież ten lub ów? — pytaliśmy o naszych znajomych.

— Już odjechał do domu w pierwszym oddziale — była odpowiedź. — Jak to? co? kiedy? jak? i t. d. pytaliśmy znowu.

A gdy na raz wszystkim nie można było na wszystkie odpowiedzieć pytania a czasu było nie wiele, więc uradzono by jeden opowiadał wszystko co zaszło dnia upłynionego.

Kto zabrał głos, nie pamiętam, oraz nie ręczę czy wszystkie zapamiętam szczegóły, i czy wszystko będę w stanie podać dokładnie, zdaje mi się atoli, że opowiadano nam mniej więcej w następujący sposób:

Wkrótce po wyprowadzeniu was do kazamat, pootwierano wszystkie kaźnie z kolei i wszystkich nas razem na jedno sprowadzono podwórze. Możecie sobie wyobrazić co się tam działo, gdy wszystkie oddziały nasze zeszły się razem. Witania, pytania, wypowiedzenie domysłów i nadziei, taki to wszystko uczyniło gwar, że trudno było usłyszeć i zrozumieć słowa. Wszyscy szukali was i każdy dopytywał co się z wami stało, gdzie was podziano, dla czego was uprowadzono i t. d.

Po upływie pół godziny otwarły się znane wam drzwiczki, prowadzące na podwórze, i wszedł gubernator Lazański z jakimś papierem w ręku i kilku urzędników. Wszyscy ciekawi dowiedzieć się rezultatu tego zgromadzenia wszystkich, umilkli nagle i jak największa nastąpiła cisza.

Przed odczytaniem aktu łaski, przemówił gubernator słów kilka, a mianowicie że jakkolwiek wielkiej dopuściliśmy się zbrodni, i wszyscy byliśmy skazani na śmierć, najjaśniejszy monarcha w nieograniczonej swej łasce przebacza

wszystko, i z wyjątkiem tych, którzy obok zbrodni politycznej dopuścili się mordu, uwalnia wszystkich.

Po tych mniej więcej słowach, odczytał akt przynoszący nam amnestję. Po odczytaniu tego przystąpił do Stanisława Brześciańskiego, jako do najstarszego wiekiem, podał mu rękę, i przez niego niejako powitał nas wszystkich jako wolnych obywateli. Nareszcie oświadczył nam, że kto nie przywiózł ze sobą własnych sukni, otrzyma staraniem rządu wszystko co mu potrzeba, a nawet potrzebne na podróż pieniądze.

Jakkolwiek w chwili radość była ogólna, powszechna, nie było widać żadnego uniesienia, bo wasze wyłączenie cały osłabiło urok, wszystkich dotknęło boleśnie, i wszystkich wielkim przejęło żalem i smutkiem, a do tego zamącenia powszechnej radości przyczynił się nie mało następujący wypadek:

Gdy już rozkuto nam żelaza, a między wszystkimi i Szymonowi Goreckiemu, należącemu, jak wam wiadomo, do sprawy pilznieńskiej, czyli do sprawy Kapuścińskiego, biorą go z pośród nas, i jak was uprowadzają, oświadczając że jego nazwisko tylko przez omyłkę odczytano między uwolnionymi, i że on także należy do wyłączonych.

Możecie sobie wyobrazić jego przykre położenie, i nasze z tego powodu zmartwienie. Rozumie się że nasze wstawienie i prośby za nim były bezowocne, i dziś dopiero powiodło nam się wyjednać jego uwolnienie, a przyszło nam to tem łatwiej, gdy przekonano się, że w oryginalnym akcie łaski nie było jego nazwiska między wyłączonymi, i pokazało się, że właśnie jego wyłączenie było prawdziwą pomyłką.

Kilku z naszych zaraz wczoraj wyszło do miasta; a zacni i dzielni obywatele Berna, przyjmowali ich z taką okazałością, i z taką ostentacją że na rękach obnosili ich po mieście, że całe wyległo miasto, i że z obawy powtórzenia takich scen, zabroniono nam wychodzić.

Wczoraj odjechał już do domu pierwszy oddział, zdaje się, że składający się z 30 uwolnionych.

I oto wszystko co zaszło dnia wczorajszego.

Nasz towarzysz skończył opowiadanie o upłynionym dla wszystkich ówczesnych więźniów pamiętnym dniu, i na krót-

ką chwilę cisza zaległa celę, i nikt nie miał odwagi pierwszy ją przerwać, bo ciężki smutek osiadł widocznie na twarzy wszystkich wolnych towarzyszów; czuliśmy mocno że oni więcej cierpieli niż my sami, i umieliśmy to ocenić należycie.

Jakkolwiek wszyscy pragnęli najusilniej unikać rozrzewnienia, i wszyscy ile możności — jak to mówią — nadrabiali miną, pomimo tego nie mogli ukryć wielkiego wzruszenia i w oku niejednego z tych żelaznych, spiżowych duchów, co to byli martwi i zimni jak głaz na własne cierpienia, zakręciła się łza boleści i smutku i żalu.

Przerwano nareszcie milczenie, i po kilku otoczyło każdego z nas z osobna, i każdy z nich tysiąc zadawał pytań tak co do rodziny jak co do jej pobytu i co komu ma powiedzieć gdy wróci do ojczystego kraju. Ale nasze zlecenia były krótkie i wszystkich nas jednakowe, nie żądaliśmy od nich nic więcej jak tylko ażeby naszych najdroższych pozdrowić, uściskać donieść o naszem zdrowiu i pocieszyć w smutku.

Z wyjątkiem tych którzy już odjechali upłynionego wieczora, byli tam prawie wszyscy nasi koledzy. Ponieważ naraz nie mogli pomieścić się wszyscy w jednej tak małej celi, zatem zmieniano się bezustannie, jedni wychodzili a drudzy wchodzili. Każdy coś przyniósł i wkrótce byliśmy zaopatrzeni na czas długi w tytoń, cegara, zapałki, papier, ołówki, książki, atlasy i t. d.

Zbliżał się nareszcie wieczór a zatem i chwila rozłączenia się z tymi, którzy mieli odjeżdzać w tym dniu. A była to w całem znaczeniu tego wyrazu chwila ciężka, bo rzewna i tak smutna i tak przykra, że jakkolwiek twarze nasze staraliśmy się oblec pozorną obojętnością a równocześnie otoczyć blaskiem szczęścia z powodu amnestji dla naszych braci z wielkiem, z największem tylko wytężeniem sił naszych byliśmy wstanie wydobyć z siebie kilka pożegnawczych słów.

Jakoś to wszyskto nastąpiło tak nagle, że nie mogliśmy się oswoić ze smutną naszą rzeczywistością; zresztą chociaż w pierwszej chwili przyjęliśmy nasz los obojętnie, później jednak, osobliwie gdyśmy doznali tyle współczucia ze strony opuszczających nas towarzyszów, gdy na ich twarzy wi-

dzieliśmy smutek i żal głęboki, gdy w ich oku dostrzegliśmy łzy, zostaliśmy także rozczuleni i już tak zimno, i już nie z taką rezygnacją poglądaliśmy w przyszłość pomimo że niechcąc odjeżdżającym zatruć pierwszych chwil wolności, sililiśmy się do wesołości, i stlumiliśmy w sobie żal i wstrzymali łzy. I uśmiechaliśmy się i iskrzyły się oczy i rumieniec wystąpił na twarze, ale ten uśmiech był tylko pokrywką rozrzewnienia, ogień w oku tylko odbiciem blasku mozolnie ukrywanych pod powieką kropli łez, a rumieniec na twarzy to stan gorączkowy, w którym krew uderzała do głowy.

Leszek Pawlikowski przyrzekł odwiedzić moich rodziców, i to uspokoiło mię znacznie. Henryk Kamieński pragnąc mię rozweselić, przypominał mi niektóre sprawki to cygana to innych zbrodniarzy którzy z nami siedzieli u Karmelitów, nareszcie wachmistrza, który po mojem przeniesieniu do małych koszar otrzymał przydomek „Szlugmana“ i t. d. Andrusikiewicz przypominał jak to u Karmelitów mówiłem z nim przez ścianę pomimo grubości muru [1]) i jak go uczyłem alfabetu pukania, ja zaś oświadczyłem mu, że jakkolwiek bardzo się cieszę jego uwolnieniem, nietylko ja uczuję mocno jego stratę, bo wszyscy zostaniemy pozbawieni pięknej jego gry na organach podczas nabożeństwa, a głównie cudnej nuty pieśni:

Podobni do martwych węgli
Byliśmy długo nękani,
W ohydne jarzmo nas sprzęgli
Moskiewscy tyrani.
Lecz węgiel martwo nie leży,
W nim tylko iskra usnęła,
Byle zawiał wietrzyk świeży,
Wnetby się w płomień rozdęła, i t. d.

Właśnie gdy rozmawialiśmy cośkolwiek swobodniej i nieco uspokojeni, wszedł strażnik z oznajmieniem, że dla tych

[1]) Poduszką owijałem głowę, przytknąłem do ściany i obtuliłem tak ażeby głos nie rozchodził się po kaźni, i wówczas krzycząc głośno byłem słyszany w sąsiedniej celi, nie narażając się wcale na podsłuchanie straży, bo głos przebija mur a odgłos ginie w pierzanej poduszce.

którzy mają odjeżdżać, jeszcze tylko kilka minut pozostaje czasu.

Ta wiadomość formalnie zelektryzowała wszystkich i raziła jakby piorunem.

Odjeżdżający zbliżyli się do nas i ucałowali i uściskali serdecznie a gdy już mieli wychodzić, zaproponował jeszcze Julian Goslar odspiewanie pieśni, przeistoczonej na prędce w pieśń pożegnawczą.

Kilku z odjeżdżających przyłączyło się do niego, i epórem odspiewano następującą pieśń:

Dziś już rzucam to więzienie
Bo już na mnie czas,
Ach! kochajcie me wspomnienie
Jak ja kocham was!
Słodko było w waszem gronie,
Serce me was zna —
Świadkiem bolu w mojem łonie
Ta płynąca łza!
Daj nam Boże w lepszej dobie
Ścisnąć bratnią dłoń,
Lub choć złożyć w ojców grobie
Swą zbolałą skroń!
Rozchodzim się w zachód słońca
Lub też w jego wschód,
Lecz nasz węzeł jest bez końca,
Bośmy jeden ród!

Ta pieśń odspiewana z niewypowiedzianem uczuciem i łzami lśniącemi w oczach każdego, nietylko na nas wszystkich nadzwyczajne uczyniła wrażenie, ale nawet na przełożonym, który wszedł właśnie do celi naszej, wyraźnie widać było rozczulenie.

Przełożony oświadczał, że nie nalegałby wcale gdyby się nie obawiał że się spóźnią z przybyciem na kolej żelazną, bo za godzinę wyrusza pociąg, a niejedno jeszcze jest do załatwienia, a mianowicie z tymi, którym mają pieniędzy wyliczyć (podobnoś) po kilkadziesiąt złr., nareszcie że muszą się zebrać, popodpisywać kwity na odebrane pieniądze i rzeczy i t. d.

Najprzykrzejszem, najboleśniejszem dla mnie było rozstanie się z Franciszkiem Urbańskim, z którym w jednej celi wiele przepędziłem miesięcy, którego całą ukochałem duszą, którego ukochałem miłością przyjaciela. Uszczęśliwiony jego uwolnieniem, lękałem się pomyślić że może już nigdy nie ujrzę go w mem życiu. Pożegnanie też nasze było takie, jakgdybyśmy się rozstawali na wieki, chcieliśmy mówić ze sobą, ale niepodobna! Chciałem mu powiedzieć: „Bywaj mi zdrów! Niechaj cię Bóg prowadzi!“ Czując jednak, że tych strasznych wówczas dla mnie słów nie byłbym wstanie wymówić bez równoczesnego wylania potoku łez, uścisnąłem tylko jego dłoń i pożegnałem go wzrokiem na — długo — na bardzo długo, bo na lat — czternaście.

Nazajutrz dowiedzieliśmy się od tych którzy jeszcze nie odjechali, że w dworcu czyli koło dworca kolei żelaznej, miał Julian Goslar mowę do bardzo licznie zgromadzonych tam obywateli miasta Berna, i swoją, jemu właściwą mową w taki wprowadził ich zapał, że go obsypano kwiatami, wieńcami, że go zakrzyczano wiwatami, a w końcu obnoszono na rękach wśród nieskończonych okrzyków:

— Niechaj żyją Polacy! *(Es leben die Polen!)*

Zresztą nic ważniejszego nie zaszło w tym dniu, zatem i nie wiele było do opowiadania. Opowiadali nam tylko wiadomości dziennikarskie, polityczne, a nawet przynosili nam dzienniki do celi. Nie czytając jednak dzienników poprzednich, nie wiele mogliśmy z tego rozumieć albo osądzić, ale rozrywało to nieco i jak to mówią zabijało czas.

Rozumie się samo przez się, że w miarę zmniejszania się liczby uwolnionych kolegów wzmagał się nasz smutek, a gdy rozstaliśmy się z wszystkimi, gdy odjechali już wszyscy, gdy pozostaliśmy sami, niewypowiedziany ogarnął nas żal, i wówczas dopiero, może po raz pierwszy odkąd byliśmy w więzieniu tak mocno zatęskniliśmy za krajem. Ale ten smutek, ten żal osładzaliśmy sobie radością i szczęściem uwolnionych, zresztą trwało to tylko tak długo, jak długo istniał stan chorowity, stan nerwowego rozdrażnienia, jak długo istniał stan gorączkowy.

Człowiek zaiste bardzo jest wytrwałą istotą, zniesie wiele, bardzo wiele, i jak przekonałem się w późniejszych

latach, zniesie o wiele więcej od tego, co się przeżyło i doznało do ówczesnej chwili.

W kilka dni później oswoiliśmy się z naszym losem, i wrócił dawniejszy spokój duszy.

Zaraz po odjeździe uwolnionych, przeniesiono nas na drugie piątro, i umieszczono w celach czystych i białych, i jak na więzienie dosyć wygodnych, i o wielkich oknach, z których cudny naszym oczom przedstawiał się widok. Po prawej ręce jak na dłoni leżało miasto, u stóp naszych ulica Szwabska z cudnemi ogrodami, przed każdym, jeden obok drugiego jak w szeregu stojącym domkiem śnieżnej białości, nieco dalej żyzne pola, nareszcie lekkie wzgórza i lasy. Po lewej zaś stronie rozesłały się już wówczas cudną zielenią pokryte łąki i błonia obszerne, które jak piękna wstęga, połyskująca swą wodą przerzynała zgrabnie wijąca się rzeka Czerniawa.

Tym pięknym widokiem cieszyliśmy się jak dzieci, i często po całych godzinach staliśmy przy oknie.

Ja siedziałem z Justynem Begijowiczem i Erazmem Czajkowskim; Leon Szymański zaś i Józef Siekierski razem siedzieli w naszem sąsiedztwie. Z moimi zacnymi towarzyszami i szybko i przyjemnie upływał czas. Prawie dziećmi jeszcze uwięzieni w roku 1839, ośm blizko lat przesiedzieli w murach więzienia. W ciągu tego czasu zmężnieli na ciele i duchu; całe dnie poświęcali nauce, a wieczory i bezsenne czasem noce dumaniu i rozmyślaniu.

Erazm Czajkowski wzrostu niskiego, jasnego włosa, przyjemnych jasnych oczu, pogodnego i rozumnego wysokiego czoła, i wydatnych ust, miał w ogóle wydatne rysy twarzy. Całość rysów poważnej męzkiej jego twarzy, wyrażała nie tylko szlachetność, prawość i dobroć serca, ale oraz w ścisłem znaczeniu tego wyrazu dzielność charakteru.

Justyn Begijowicz wzrostu miernego, dobrze zbudowany, przytem gibki, okrągły, ciemny blondyn, figlarnych oczu, i lekko wydatnych, że się tak wyrażę miłośnych ust, w ogóle regularnych rysów i pięknej twarzy był luby, wiecznie, wesoły, mile uśmiechający się, silnego ducha i złotego serca.

Leon Szymański, jasny blondyn, był to piękny młodzieniec, którego twarz najdobitniejszym była dowodem tkli-

wych jego uczuć, i niewinnego, niezepsutego, niczem nieskażonego młodocianego życia.

Co zaś do rysów twarzy Jozefa Siekierskiego, te ulciały mi z pamięci.

Pewnej niedzieli popołudniu, wszyscy trzej staliśmy przy oknie i poglądaliśmy na ulicę szwabską. Tuż pod nami, za murami, na górze Hradczego-kopca w pobliżu po wyżej wspomnionych ogrodów, postrzegliśmy, ile nam się zdawało i ile mogliśmy dostrzedz, młodą jakąś panią, przechadzającą się po górze, i prowadzącą małą dziecinę za rączkę. Justyn Begijowicz spiewający i pięknie i przyjemnie, donośnym głosem zaspiewał pieśń o jaskółkach: „Młody wojownik w pośród obcej ziemi“ i t. d. Przechadzająca się spiesznie podniosła głowę, i popatrzywszy chwilkę w stronę, zkąd dochodził ją głos, skinęła nam ręką, potem wziąwszy dziecinę na ręce, szybko spuściła się z góry, tem prędzej przebiegła ogród, i weszła do jednego z powyż opisanych domków.

Po chwili w licznem gronie dziewcząt i kobiet, dojrzałych mężczyzn i młodzieży ponownie okazała się w ogrodzie. Snać wszyscy uprzedzeni już przez nią, w nasze poglądając okno, witali nas to ręką, to powiewaniem białych chustek, i opuścili ogród dopiero wtenczas, gdy dla zapadającej nocy nic już nie można było widzieć.

Nazajutrz bardzo wcześnie rano, gdyśmy stanęli przy oknie, już w jednej z pięknych altanek ogrodu ujrzeliśmy jednę dziewicę, poglądającą w okno nasze. Zaledwie nas dojrzała i przypatrzyła nam się rozeznaną przez nas perspektywą, natychmiast udała się do domku i wkrótce wyszła w licznem gronie biało ubranych dziewcząt z wielkiemi trójkolorowemi wstęgami i kwiatami w ręku. Powitawszy nas skinieniem ręki ustawiły się w półkole, w naszych oczach jeden wielki w mgnieniu oka uwiły wieniec, powiązany nadmienionemi wstążkami i oplotłszy się nim dokoła, ustawiły się wszystkie w wyrazistym kształcie kotwicy, nareszcie uklękły, wzniosły ręce do nieba i chórem cudnej melodji nabożną jakąś słowiańską odspiewały pieśń. Potem nagle powstały, wywinęły się zgrabnie z oplotów, a ułożywszy drugi wieniec w kształcie kajdan, znów się ustawiły w półkole

wzniosły do góry kajdany z kwiatów, i w mgnieniu oka w tysiące rozszarpały je części, potem każda o jeden cofnęła się krok, ręką wskazała na rozerwane, na ziemi leżące kajdany, nareszcie każda jednę rękę wzniosła do nieba, nakoniec przesławszy nam przytknięciem ręki do ust szczerego całusa, wybiegły z ogrodu i z wyjątkiem jednej zniknęły nam z oczu.

Odtąd na przemian jedna z tych zacnych Morawianek, od rana do późnej nocy siedziała zawsze w altanie, nie zważając wcale czy to dzień pogodny, czy deszczowy, czy chłodny. Rozmawiały się z nami na migi, na zozmaite znaki, n. p. za pomocą ułożenia chustki w kształcie litery, lub za pomocą wielkich, z całego arkusza wyrzynanych liter, i tym sposobem niewypowiedzianie osładzały nam nasze więzienne życie, i wynagradzały niejako przynajmniej po części utratę drogich towarzyszów. Deszcz nie odstraszał ich wcale, z załamanemi na krzyż rękoma stały często na deszczu nie wchodząc nawet do altany po całych godzinach; wówczas na migi wzywaliśmy i prosili ich i zaklinali, by odeszły, by dla nas w ten sposób nie narażały swego zdrowia, one atoli odmownie na to pokręcały główką, prosząco składały rączki, na znak niejako byśmy od nich nie żądali tego.

Rzeczywiście zadziwiającą była ich wytrwałość, gdyż przez cały czas naszego tam pobytu, od rana do późnej ciemnej nocy, kiedykolwiek wyglądnęliśmy oknem, zawsze jedna z tych zacnych Morawianek była na swem stanowisku, i za każdoczesnem ukazaniem się w oknie, drobniutką rączką lub białą powitała nas chustką.

Dzięki im, i cześć niechaj im będzie za ulgę jaką nieść chciały i niosły z taką rzadką wytrwałością i prawdziwem poświęceniem. A co do nas pięciu, każdy mniemam — jeżeli doczekamy — do najpóźniejszego wieku, w każdym jednak razie do zgonu miłe w swem sercu zachowa dla nich wspomnienie i nieprzestanie nigdy w swych modłach błagać Pana nad Pany o ich dobro i szczęście.

Widząc tyle z wszech stron współczucia, lżej jakoś znosiło się wszystko a nawet by wyznać prawdę, jakoś to mało czuć się dawało cierpienie.

Zresztą winienem wyznać, że i ze strony tak przełożonego jak i nadprzełożonego wiele doznawaliśmy względów.

Chciano nam zdjąć kajdany, my jednak oświadczyliśmy, że dopokąd jesteśmy więźniami, chętnie więźniów nosić będziemy oznaki.

Pewnego dnia gdyśmy wrócili z przechadzki, postrzegliśmy że z okien zdjęto nam druciane siatki, które niezmiernie raziły oko.

Jedzenie, pomimo że nie prosiliśmy o to, dawano nam lepsze i wyszukańsze potrawy. Po obiedzie dostawaliśmy wino. Na śniadanie i podwieczorek zamiast mleka winną lub piwną polewkę. Na przechadzce chodziliśmy dłużej niż dawniej i zawsze prawie towarzyszył nam nadprzełożony albo przełożony, przynosił nam do czytania rozmaite dzienniki, rozmawiał z nami o politycznych zmianach i każdego dnia wróżył nam bliskie uwolnienie. W ogóle i obchodzenie się z nami było wówczas grzeczne, uprzejme i czyniące im zaszczyt.

Tak na przechadzce jak niemniej w celi pozwalano nam palić tytoń i cygara, których dzięki uwolnionym towarzyszom mieliśmy podostatkiem, ku końcowi, gdy już zabrakło tytoniu, otrzymywał każdy z nas kosztem skarbu co 4 dni jedną wielką paczkę „Czarnego“ czyli „Trzech króli.“

Co dzień odwiedzaliśmy słabych towarzyszów, leżących w szpitalu i otoczonych starannem pielęgnowaniem. Zresztą nieustawaliśmy poświęcać się naukom, i tym sposobem szybko upływały nam dnie, a wieczory na wzajemnym opowiadaniu naszych kolei.

Moi towarzysze, którzy jakkolwiek dziećmi prawie dostali się do więzienia, nie jedno już przebyli w swem życiu i nigdy nie brakło im do opowiadania zajmującego przedmiotu. [1])

W kilka tygodni po amnestji przyszła na mnie kolej zakończyć opowiadania o wypadkach horożańskich. Już było po 10. godzinie w nocy, gdy skończyłem opowiadanie. Moi towarzysze Erazm i Justyn udali się już do spoczynku, ja

---

[1]) Opisanie spraw, do których należeli moi towarzysze, podam nieco później do wiadomości publicznej osobno, i w tym celu zbieram już odnośne materjały.

jeszcze chodziłem po celi. Na dworze cały dzień nieustannie lał deszcz, pod wieczór zaś ruszył się wicher, i jakkolwiek drobny lecz gęsty deszczyk zmienił się więcej w nawalny, i miotał i płuskał nam w szyby, a na korytarzach, po tunelach i kominach Szpilbergu zwyczajna w takich razach odzywała się gra.

Już samo takie powietrze przykre na nas czyniło wrażenie, a opowiadanie o wypadkach horożańskich do czego przyłączyły się i wzmianki o niektórych okrótnych scenach tarnowskich, wzmogło je znacznie i usposobiło nas smutnie, i jakby zamurowało nam usta, i milczeliśmy wszyscy i każdy pogrążył się w myśli, wydając od czasu do czasu ciężkie westchnienie, na wspomnienie o tej lub owej ofierze, poległej z ręki ciemnego ludu.

— I czegoż — przerwał milczenie Erazm — zadumaliście się wszyscy tak mocno?... Ten milcząc chodzi po celi i nieznośnie brzęczy swemi kajdanami, a Justyn i wzdycha i wzdycha i końca niema wzdychaniu.

— Wstydził byś się — karcił Justyna na wpół żartem a na wpół serjo — już tyle przesiedziałeś tu lat, i zestarzałeś się w więzieniu, a jeszcze nigdy tyle nie nawzdychałeś się co dzisiaj, jeszcze nigdy — zwracając do mnie mowę kończył Erazm — jeszcze nigdy nie widziałem go tak smutnego, jak właśnie tej chwili i w ogóle cały dzisiejszy dzień.

— Przyganiał kocioł garnkowi, a sam smolny jak węgiel — odzywał się Justyn i mówił dalej — nam wyrzucasz smutek, wyśmiewasz moje westchnienia, a sam dopiero wzdychałeś tak ciężko, i przeszło pół godziny milczałeś tak samo jak my, zresztą przez tyle lat czyż nie znosiłem wszystko wytrwale? Czyż zasępiłem się kiedy? Czy możesz się na mnie użalać, że moim smutkiem kiedykolwiek trułem ci już przez się smutne życie więzienne?

— Ft! — spiesznie począł Erazm — mój drogi! wszak znasz mię już dosyć, ja żartuję tylko, ot powiedziałem, byle wam przerwać zadumę, byle wybić wam z myśli owe straszne sceny, o których rozmawialiśmy nie dawno, bo mając je na myśli, trudnoż się nie zadumać, trudno nie zasmucić się i trudno nie westchnąć przynajmniej, gdy na ich wspomnienie łzy z całym natłokiem cisną się gwałtem do ócz. A co do

smutku mój Justynie, zarówno obadwa byliśmy zawsze weseli, nasz los był nam prawie obojętny, a zatrucie naszej spokojności datuje się dopiero od chwili, w której otrzymaliśmy wiadomość o krwawych wypadkach 1846 roku, boć łatwiej to było znosić co dolegało nam samym, niż widzieć i czuć co boli kraj nasz ukochany.

— Dajmy temu pokój Erazmie — rzekł Justyn — ja cię pojmuję zupełnie, i wiem o tem dobrze, że żartowałeś, a gdybyś nawet był mówił na serjo, nie wznieciłoby to we mnie żadnego gniewu, bo miałbyś może i słuszność po części, gdyż jeżeli ktokolwiek rzeczywiście uczuje coś głębiej, nie koniecznie powinien objawiać to swoim kolegom i swem niewieściem usposobieniem wprowadzać ich w usposobienie podobne. Koniec, basta! a teraz — dodał, poglądając w okno, jeżeli do jutra nie zmieni się na dworze, to prawdopodobnie nie pojdziemy nawet na przechadzkę.

Gdy właśnie domawiał tych słów, usłyszeliśmy na korytarzu niezwyczajne, bo głośne kroki, zbliżające się do naszej celi. Nagle otwarła się wizytyrka, i przełożony zawołał prędko półgłosem, rozumie się po niemiecku:

— Panie! — i wymienił moje nazwisko — będziesz pan miał wizytę!

Nie mogłem pojąć, co to znaczy? i myślałem, że niezrozumiałem go dobrze, i właśnie chciałem się przez drzwi dowiedzieć o tem dokładniej, gdy rozwarły się drzwi, w których przy kilku latarniach w ręku strażników i przełożonego i nadprzełożonego, ujrzałem trzy postacie, wchodzące do naszej celi.

Był to znów Jego excelencja gubernator Lazański i dwóch obywateli miasta Berna. Zdziwienie moje i moich kolegów nie miało granic. Wśród ciemnej i późnej nocy! Wśród ulewy, wśród burzy, w której jak to mówią, psa by nie wygnał, gubernator Lazański? Nie! tego nie mogłem sobie wytłumaczyć!

Moi koledzy, leżąc już w łóżku, jeszcze bardziej ponakrywali się derkami i udawali śpiących, ja zatem sam jeden uprzejmym ukłonem powitałem przybyłych.

Jego excelencja wprost do mnie zmierzył swe kroki, przedstawił mi przybyłych z nim obywateli, wymieniając ich

nazwiska, potem zbliżył się do mnie, i podawszy mi rękę, uścisnął lekko, i w następujące do mnie po polsku odezwał się słowa:

— Miło mi, i chciej mi pan wierzyć, niewypowiedzianie mię cieszy, że w tej chwili zwiastować panu mogę pańskie uwolnienie. Najjaśniejszy monarcha uwalnia i pana; tego momentu otrzymałem stosowne w tym względzie zlecenie, i nie zwlekałem ani jednej minuty, bo wiem jak wielce pożądaną będzie ta nowina dla pana.

Jeszcze raz ujął mą rękę i uścisnął ponownie, i nie puszczając jej, dodał:

— Jeszcze dzisiaj opuścić pan możesz mury Szpilbergu; nadprzełożony otrzymał rozkaz załatwić wszystkie pańskie potrzeby, tak co do sukien, których niemasz pan tutaj, jak co do pieniędzy na podróż. Teraz przemawiam do pana, jako do obywatela wolnego, jedź pan z Bogiem i Bóg niech panu szczęści. Do rządu i do najłaskawszego monarchy nie miej pan żadnej urazy, zapomnij pan o wszystkiem co doznałeś złego, gdyż zawsze tak bywało na świecie i u wszystkich rządów, że więziono najszlachetniejszych nawet mężów, jeżeli tego wymagała polityka państwa, to jest gdy ich sposób myślenia, ich działania sprzeciwiały się utrzymaniu istniejących ustaw, i zakłócały publiczny porządek; zawsze atoli tak jak się to działo także i z panami, odróżniano ich od innych pospolitych zbrodniarzy.

Gubernator Lazański przestał już mówić, a ja stałem jak wryty. Czułem moje wyłączenie, umiałem zatem ocenić, jaki okropny cios zada to moim towarzyszom, pomimo że szlachetne i wzniosłe ich serca radować się będą z mego uwolnienia.

Po małej pauzie zdobyłem się mniej więcej na następującą odpowiedź:

— Przedewszystkiem niechaj mi wolno będzie tak w mo jem jako też i moich towarzyszów imieniu, złożyć waszej ekscelencji najszczersze podziękowanie za ulgi doznawane od czasu łaskawego ze strony waszej ekscelencji w tym względzie danego przyrzeczenia.

— O tem niech pan nie mówi — uprzejmie przerwał gubernator i dodał — dopełniłem bowiem tylko miłego obowiązku człowieka.

— A więc — mówiłem dalej — zbaczam z materji i wasza ekscellencja daruje łaskawie, że śmiem zapytać się, czy zwiastowane mi uwolnienie odnosi się tylko do mnie?

— Tak jest, tą razą tylko do pana.

— W takim razie pozwoli wasza ekscellencja wynurzyć moje uczucie. Jakkolwiek umię ocenić czułe i szlachetne serce waszej ekscellencji, że mimo takiej słoty i burzy, ani na chwilę nie odwlekło się moje uwolnienie, i mimo że z tego powodu słów mi brakuje do wypowiedzenia mego podziękowania, wyznać muszę otwarcie, że wyłącznie tylko moje uwolnienie jakkolwiek powinnoby mi sprawić niewypowiedzianą radość, gdyż w domu oczekują mnie moi stroskani rodzice, i opłakują niezawodnie moją nieobecność, i nie mogą dzielić powszechnej w kraju panującej wesołości, sprawiło i zadało mi tylko wielką boleść, i gdyby moje odmówienie, to jest nieprzyjęcie tego ułaskawienia mogło być skuteczne, chętnie pozostałbym z moimi towarzyszami, i wówczas z prawdziwą rozkoszą dzieliłbym smutny ich los, pozostałbym z nimi, pókiby i dla nich nie uderzyła godzina wolności.

— A więc — żywo przerwał pan Lazańsky — na pańskie pocieszenie przyjm pan w obec tych panów — wskazując na obywateli miasta — uroczyste me przyrzeczenie, że wszelkich dołożę starań, aby uzyskać uwolnienie pańskich towarzyszów, i mniemam że w obec istniejących zmian, nie przyjdzie mi to z trudnością.

Przyrzeczenia gubernatora i nadzieja że na wolności prędzej będę mógł uczynić coś dla nich, uspokoiły mię nieco, podziękowałem zatem ponownie a w końcu z wielką trudnością wyprosiłem sobie pozwolenie pozostać z moimi towarzyszami jeszcze 48 godzin.

Te 48 godzin, jakkolwiek z duszy i serca ofiarowałem je moim drogim towarzyszom, były dla mnie — że się tak wyrażę — czyścem prawdziwym, ich wyłączenie bowiem dręczyło mię niesłychanie.

Mój Boże! — myślałem — układaliśmy plan naszej wspólnej podróży w razie uwolnienia, gdyż nie mogliśmy ani przypuszczać by uwolniono tylko jednego a nie wszystkich razem, i cieszyliśmy się tą nadzieją całe dnie i noce,

mówiliśmy, śnili, marzyliśmy o tem i żyli tem nawet. Tymczasem właśnie mnie uwolniono, a oni jak już tylekroć razy, jeszcze pozostali na dalsze katusze. Erazm Czajkowski znękany niesłychanie tyloletniem cierpieniem, żył już tylko prawie siłą ducha swego. Powszechna amnestja pomimo że sam został także wyłączony, uszczęśliwiła go bardzo; uwolnienie, szczęście innych towarzyszów niedoli dodało mu życia, zresztą i on pragnął wolności, więc i on miał nadzieję, i on cieszył się nią, bo ten tylko traci zupełną nadzieję wolności życia lub lepszej przyszłości, kto nie pragnie być wolnym, kto nie chce życia, kto nie żąda by mu lepiej było na świecie. A teraz gdy mię uwolniono a ich wszystkich znowu wyłączono, czyż nie było prawdopodobieństwo po temu, że oni już pozostaną na zawsze, to jest na tak długo, póki nie odsiedzą swej kary? Czyż nie musieli popaść nareszcie w ową straszną, braku sił żywotnych dowodzącą apatję, ów stopień moralnego znużenia, w którym już nic się nie pragnie, nic się już nie chce, i nic nie żąda? Czy nie musieli niejako zupełnie stracić nadzieję w prędkie uwolnienie? Czyż nie musiało ich to dotknąć boleśnie? Czyż mogło nieprzyjść im na myśl, że nareszcie uwolnią i Siekierskiego i Szymańskiego, a oni nietylko zapomnieni pozostaną sami jedni osamotnieni na całym Szpilbergu? [1])

Wszystkie te pytania zadawałem sam sobie, i sam odpowiadałem na nie, i dziś gdy później przekonałem się że sądziłem błędnie — niech mi wybaczą, że wówczas nie wierzyłem ani wesołemu wyrazowi ich twarzy, ani słowom, wynurzającym radość i nadzieję w bliską, lepszą ich przyszłość. Wierzyłem tylko że się cieszyli mojem uwolnieniem, lecz nie wierzyłem w ich zapewnienia że są dobrej myśli, że są spokojni i pewni bliskiego uwolnienia.

Na czołach moich towarzyszów mniemałem, że widzę zasępienie, w radośnem oku upatrywałem skrytą łzę, w we-

---

[1]) Nie omyliło mię moje przeczucie i niepłonną była moja obawa; po mojem uwolnieniu rzeczywiście jeszcze jeden okrutny moich towarzyszów t. j. Erazma Czajkowskiego i Justyna Begijowicza dotanął cios, gdyż uwolniono Szymańskiego i Siekierskiego, a oni jeszcze raz zostali wyłączeni, i dopiero w miesiąc później uzyskali wolność.

sołym uśmiechu szyderstwo i pogardę do życia, w całości zaś zwątpienie i chęć ukrycia przedemną tego w więzieniu strasznego stanu i — lękałem się o ich zdrowie.

Ile możności starałem się ich upewnić, że wszelkie na mnie możliwe poruszę sprężyny by się za nimi wstawiono i wyjednano ich uwolnienie, a nawet przyrzekłem im uroczyście, że dopóty nie wrócę do domu, póki nie powiedzie mi się uzyskać wysłania deputacji do Najjaśniejszego pana. A uczyniłem to pomimo że się sprzeciwiali temu przyrzeczeniu, niechcąc przyjąć odemnie takiej — jak nazywali — ofiary.

W ciągu tych 48 godzin byłem kilka razy w mieście. Pierwszy mój krok był do zacnych Morawianek. Szedłem tam z bojaźnią, gdyż przełożony zalecił mi bym nie wchodził do żadnego domu, jeżeli nie chcę narazić i siebie i jego na nieprzyjemności. Co przełożony rozumiał pod nieprzyjemnościami nie wiem; doznając jednak z jego strony w ostatnich dniach wiele grzeczności, oraz ażeby mojem postępowaniem nie narazić pozostających jeszcze moich towarzyszów, lękałem się wszystkiego co mogłoby zwrócić na mnie uwagę tak obywateli miasta, jak niemniej tamtejszej policji.

Do kilku wszedłem domków nim znalazłem ten, którego szukałem. Wszedłszy do domku, cichaczem przeszedłem sień, podwórze, i niewidziany wszedłem do ogrodu, i wprost udałem się do altanki.

Młodziuchna, piękna Morawianka, nadobna blondyneczka siedziała w altance, jedną rączką podparła główkę tak, że drobne paluszki kryły się w splotach jasnych jej włosów, druga bieluchna, okrąglutka rączka niedbale leżała przewieszona na poręczy brzozowej ławeczki; na okrągłym kamiennym stoliczku, leżała perspektywa.

Postąpiłem parę kroków naprzód, i ujrzałem ją z boku. Cudne niebieskie oczy o ciemnych długich rzęsach w nasze utkwiła okno i tak była zajęta jakiemiś myślami, że nie postrzegła mego zbliżenia.

Przypatrzywszy się bliżej poznałem że to prawie dziecię jeszcze, że nie mogła liczyć nad lat piętnaście. Lękając się, by w mej ciekawości nie zechciała upatrywać niegrzeczności, śmiałej cośkolwiek postąpiłem naprzód i wszedłem

do altany. Piękna Morawianka postrzegłszy we mnie jakiegoś nieznajomego, nieco przelękniona, zmięszana, zerwała się z ławeczki, prędko otuliła się chustką, i badawczy we mnie utkwiła wzrok, wkrótce atoli jak tchnienie tylko lekki rumieniec na młodziuchnej jej twarzy zamienił się w pąs, niebieskie oczęta, które przed chwilą wyrażały zdziwienie i niejako pytały się: „Czego żądasz i jak śmiesz tu przychodzić?“ zabłysły promieniem radości, a różowe, piękne, wydatne, kształtne usteczka, zwinęły się prędko do miłego uśmiechu, i zaledwie uchyliłem kapelusza i pokłoniłem się grzecznie, dźwięcznym po niemiecku zawołała głosem:

— A! A! poznałam pana! — i swą główkę zwróciła do okna naszego, i wskazując nań palcem, dodała nieśmiało.— To pan! to pan! O dzięki Bogu!

I dopiero grzeczny oddała mi ukłon.

— Tak jest pani — przemówiłem — to ja, z tego okna, ja który za tyle ze strony pani doznanej pociechy, ulgi, za tyle ofiary i poświęcenia taką odpłaciłem się niegrzecznością, że ośmielam się nachodzić panią samotną w ogrodowej altanie. Chciej pani jednak łaskawie nie upatrywać w tym kroku złej mojej woli, jestem wprawdzie wolnym, zakazano mi jednak wchodzić do domu, by nie zwrócić na siebie uwagi i nienarobić rozgłosu. Gdyby mi nie chodziło o moich towarzyszów którzy jeszcze pozostają w więzieniu, nie przywiązywałbym wiele wagi do tego zakazu, do czego — gdy łaska cesarza wróciła mi wolność, nie mają już prawa.

— Ależ — przerwała mi mowę — przecież pan będzie łaskaw i wejdzie do domu. Taki gość miłym będzie dla wszystkich. Moja mama, mój ojciec uczyniliby mi wyrzuty, a moje towarzyszki, które się ze mną zmieniały w altanie, — te nie przebaczyły by mi nigdy, one by się na mnie pogniewały na zawsze; mój Boże! cóż ja zrobię, co uczynię?

W tej właśnie chwili wbiegła do altany inna jeszcze młodsza panienka; przyjemna i miła brunetka i widać dziewczę wesołe o figlarnych oczkach i lubych, do śmiechu złożonych usteczkach; zaledwie bowiem postrzegła mię czarnemi swemi oczęty, snać poznała mię zaraz, bo klasnąwszy radośnie w drobniuchne swe dłonie, zawołała wesoło:

— Aha! aha! już wiem! już wiem! zaraz doniosę, zaraz powiem mamie!

I wybiegła z altany, lotem ptaka przeleciała ogród i wpadła do domku.

W parę minut potem otoczony już byłem licznem gronem mężczyzn, panien, kobiet i dzieci, a wszyscy witali jak znajomego, wszyscy ściskali za ręce jak brata i wszyscy zapraszali do siebie.

Widziałem z wszystkiego, że jeżeli jeszcze parę zabawię tam minut, liczne zgromadzą się tłumy i narobią hałasu, i tym sposobem zaszkodzę — jak mniemałem — i sobie i pozostającym moim towarzyszom. Przeprosiłem ich zatem i oświadczyłem stanowczo, że według danego przyrzeczenia wejść do domu nie mogę i nie wejdę. Potem podziękowawszy pięknym Morawiankom serdecznie za ich poświęcenie, zaleciłem im moich towarzyszów, nauczyłem je rozmawiać się sposobem nigdy niezapomnianej „Czarnej łapki“ naszej, a w końcu pożegnałem się szczerze z wszystkiemi przyrzekając, że jeżeli pozwolą mi moje stosunki i będę kiedy w Bernie, nieomieszkam odwiedzić zacnych naszych przyjaciół. Prosiłem także o wymienienie nazwisk tych panien, które siadywały w altanie, i wzajemnie na ich żądanie wymieniłem nasze nazwiska. Dziś jednak pamiętam tylko trzy nazwiska tych zacnych dziewcząt a te są: Marja Kania, Marja Miczanek i Karolina Polczyk.

Jeszcze raz składam im dzięki, i cześć ich nazwiskom.

Z przykrem uczuciem, że musiałem odmówić gościnnym i szczerym ich prośbom, wyszedłem z tamtąd pospiesznie, przebiegłem kilka pobliższych ulic, kupiłem mały zapas tytoniu, cygarów i fajek dla moich prawdziwie nieszczęśliwych towarzyszów, i wróciłem na Hradczy kopiec.

Zaledwie przywitałem się z mymi towarzyszami z taką czułością jak gdybym nie widział ich od wielu już lat, i zaledwie opowiedziałem im wszystko z mojej małej wycieczki na miasto a raczej do ładnych Morawianek, wszedł nadprzełożony do celi i zaprosił mię do siebie na obiad.

Przyjąłem zaprosiny, i naglony przez niego, znów opuściłem moich kolegów.

Nadprzełożony przedstawił mi swoją żonę i córkę czy jakąś swoją krewną, miłą panienkę. Przy obiedzie rozmawiano o Polsce, i z wielkiem o Polakach uszanowaniem i oddaniem przynależnej im słuszności i czci.

Po obiedzie pokazywał mi pan Adelberg piękny doręczny swój warsztat, w którym codziennie kilka wolnych dla rozrywki przepędzał godzin na piłowaniu i szlifowaniu pięknych Dunaju kamieni. Później prosił mię, bym mu towarzyszył na przechadzkę za miasto.

Jego zaprosiny były tak szczere i tak serdeczne, że nie mogłem odmówić, pomimo że ledwie nie rozpaczałem w duchu na myśl o moich kolegach, gdyż do nich jedynie należał wyproszony czas 48-godzinnego pobytu na Szpielbergu.

Siedliśmy do powozu i wyruszyli za miasto. Pan Adelberg pokazywał mi cudne miasta okolice, i opowiadał to i owo. Ja jednak byłem tak zajęty myślami to o Erazmie, to o Justynie i t. d. że rzeczywiście nic nie widziałem, nic nie słyszałem i nie wiem czy nawet stósowne dawałem odpowiedzi. Zresztą nic mię nie cieszyło; gdy odetchnąłem wonią wiosennego powietrza, ogarnął mię żal, że tylko ja sam a nie z nimi razem używam tej przyjemności, i pragnąłem jak najprędzej być pośród nich.

Odgadnął mię nadprzełożony i kazał nawrócić.

W powrocie wynurzył mi jak mocno ubolewa nad losem moich towarzyszów, i zapewniał i pocieszał mnie, że starać się będzie najusilniej, uprzyjemnić im ten krótki zapewne tylko pobyt na Szpielbergu.

Wróciłem nareszcie na Hradczy kopiec, i stanąłem pośród moich towarzyszów, i nie opuściłem ich aż do samego wyjazdu z Berna, co nastąpiło nazajutrz wieczorem.

Pożegnanie moje z tymi dwoma prawdziwymi męczennikami (siedzieli już po 8 lat), niemniej z Leonem Szymańskim i Józefem Siekierskim, było dla mnie chwilą najprzykrzejszą, jakiej kiedykolwiek doznałem w więzieniu.

Erazm był słaby, cierpiał na uderzenie krwi do głowy i bicie serca, i zażywał lekarstwa, które niestety żadnej nie niosły mu ulgi. Wszyscyśmy czuli, że tylko prędkie uwolnienie ocalić może mu życie. Dla niego pozostawały tylko dwie ostateczności: wolność i życie, albo dalsze więzienie i śmierć.

Po południu dnia tego którego miałem odjeżdżać, wszyscy jakby oniemieli; na pozór wszyscy wesołe mieli miny, a przecież wszyscy milczeli. Zgromadziliśmy się razem aby nam było weselej, ale to wcale nie pomogło, nawet upragniona nie smakowała nam lulka, i cygara nie przytknął nikt do ust. Ponownych zaprosin nadprzełożonego na obiad nie przyjąłem, i jak moi koledzy prawie nic tego dnia nie jadłem, i żadnemu z nas ani nawet na myśl nie przyszło wyglądnąć do naszych Morawianek.

Gdy już zbliżał się wieczór, i gdy już miałem ich opuścić może na długo, może na zawsze, na wieki, nie mogłem, nie miałem tyle siły, by cisnące się do oczu powstrzymać łzy, a gdy jakby na moje udręczenie przystąpił do mnie Erazm Czajkowski i prosił, bym ową z ojczystego kraju przywiezioną gródkę ziemi jemu oddał w upominku, rozczulony zostałem do najwyższego, a niechcąc moim smutkiem zatruwać do reszty ich życia, postanowiłem zakończyć ile możności jak najprędzej przykrą scenę, więc co prędzej dałem mu połowę z przywiezionej ziemi, a drugą połowę zostawiłem sobie, potem uścisnąwszy każdego z osobna, wybiegłem od nich z łzą w oku i bolem w sercu, i z tem przekonaniem w duszy, że szczęśliwy ten więzień, który takich jak oni miał towarzyszów. [1])

Mój Boże! pomyślałem, gdy strażnik zamknął za mną ich cele, dla czegoż, dla czegoż tak okropne cierpienia zsyłasz na ludzi? Dla czegóż każda przyjemność zawierać musi w sobie gorycz albo truciznę? I nie mogłem się uspokoić, i pod pozorem że coś zapomniałem, jeszcze raz wróciłem się do nich i jeszcze raz uściskałem ich dłoń żarzącą, rozpaloną z gorączki; potem wyrwałem się z ich objęcia, wyszedłem z celi, prędko przebiegłem długi korytarz, i w tem mojem pomięszaniu w przeciwną udałem się stronę, przeciwnemi spuściłem się schodkami, i upamiętałem się dopiero gdy spostrzegłem ciemny korytarz i ciemne do kazamat prowa-

[1]) Erazm Czajkowski i Justyn Begijowicz uwolnieni zostali dopiero dnia 1go Czerwca 1848 roku. Gdy w kilka lat później widziałem się z Erazmem, był słaby, mocno cierpiący. Wówczas dopiero objawiać się zaczęły straszne skutki okropnego więzienia.

dzące schodki. Byłem sam jeden, strach jakiś mię przejął, wzdrygnąłem się cały i zdawało mi się, że umarłbym zaraz gdyby w tem strasznem miejscu kazano mi siedzieć jeszcze godzinę. Wróciłem się spiesznie, i przechodząc koło celi mych towarzyszów, zapukałem do drzwi i zawołałem:

— Bywajcie zdrowi! Bóg z wami!

Pożegnałem się z nadprzełożonym a nawet i ze strażnikami, pożegnałem wszystkie dawnych mych towarzyszów cele, w których tyle wylano łez, z których tyle westchnień przesyłano do Boga i do rodzinnego kraju, pożegnałem celę gdzie umarł Henryk Hubicki, pożegnałem w ogóle te mury, z których tyle dla dusz drogich uniosłem pamiątek, i w których tyle rozmaitych doznałem wrażeń, i opuściłem je ze zgrozą w wnętrzu i modlitwą na ustach, by Bóg uwolnił moich drogich jeszcze pozostałych tam braci, i znowu brama zamknęła się za mną, i dopiero uczułem się wolnym, i dopiero wolną odechnąłem piersią, i zaprawdę może nigdy mocniej nie pragnąłem świeżego, chłodnego powietrza jak wówczas, bo twarz mię piekła i z świeżo doznanych wrażeń bolała głowa, i serce biło gwałtownie aż rozsadzało pierś, lecz nie było radośnie, bo w tych murach jeszcze nieszczęśliwi pozostali bracia, bo jeszcze jeden święty spełnić miałem obowiązek.

Przełożony pan Thun towarzyszył mi z grzeczności, a strażnik niósł za mną niektóre książki, cośkolwiek bielizny i mój kapelusz szpilbergowski, który wyprosiłem od przełożonego na pamiątkę.

— Panie Thun! — ozwałem się do przełożonego, gdyśmy już zeszli z góry — jeżeli mi pan chcesz dać dowód swoich jakichkolwiek dla mnie względów i grzeczności, nie odmów mi pan ostatniej prożby, bądź pan łaskaw zaprowadź mię pan na grób Hubickiego!

Długo, długo czekałem na odpowiedź, nareszcie po niejakiem wahaniu się i po ponownych z mej strony prożbach oświadczył mi swoją gotowość, osobliwie gdy strażnik oznajmił, że on właśnie odprowadzał jego zwłoki na cmentarz.

Ta ostatnia grzeczność pana Thuna, dała mi lepsze o nim wyobrażenie, niż kiedykolwiek myślałem, i niech mu

Bóg wynagrodzi, że dozwolił oddać zmarłemu bratu ostatnią przysługę.

Którędyśmy szli i jak wygląda tamtejszy świat umarłych, nie pamiętam, wiem tylko że w jakimś kąciku cmentarza wskazał mi strażnik wklęsły jakiś grób, porosły chwastami i trawą.

Mój Boże kochany! pomyślałem w duchu z niewypowiedzianym żalem, czyż już niema nikogo, by biednemu zmarłemu więźniowi stanu postawił krzyż na znak, że był jednym z prawdziwych wyznawców wiary Chrystusa? I ukląkłem na grobie lecz modlić się nie byłem w stanie; przełożony ukląkł i strażnik także klęczący odmówił pacierz, a ja z kamizelki wyjąłem odrobinę ojczystej ziemi, i posypałem nią grób Henryka świętej dla nas pamięci, potem zawoławszy głośno:

— Henryku! módl się do Boga za nami! — ucałowałem grób jego, zrobiłem znak krzyża świętego, powstałem, uścisnąłem rękę przełożonego i rękę mego niegdyś strażnika, i milcząc wyszedłem ztamtąd wzruszony, cały jak w ogniu, cały w gorączce.

W kilkanaście minut później siedziałem już w jednym z wagonów drugiego rzędu.

Wcisnąłem się w kącik jasno oświeconego wagonu, i nasadziłem na oczy kapelusz, i przymknąłem oczy by nikt nie dostrzegł mojego wzruszenia. Rzeczywiście tyle i takich wrażeń jedno po drugiem za wiele było dla mnie wówczas jeszcze słabego.

Lekkie, jednostajne trzęsienie wagonu i monotonny turkot prędko uspiły mię, po bezsennej, z towarzyszami na pogadance spędzonej nocy, i przebudziłem się dopiero po kilku godzinach.

W moim wagonie był gwar i sprzeczano się o polityczne zdania. Co się tam działo, nie da się wypowiedzieć. Wygadywano, wykrzykiwano, wymyślano na rządy, na urzędników wysokich, a nawet na monarchów.

To wszystko było wówczas dla mnie tak niepojęte, i tak mało obeznany byłem z ówczesnemi stosunkami politycznemi, że mając wszystkich znajdujących się w moim wagonie za szpiegów, zasadzonych na mnie, pomyślałem sobie: *Ne zdurysz pane aptekaru!* Milczałem jak grób, i nie odpo-

wiadałem na ich zaczepki i pytania albo wcale nic, albo bardzo obojętnie i ostrożnie. Nie widząc atoli potrzeby ukrywać nazwiska i zkąd i gdzie jadę, pytany o to wymieniłem nazwisko i oświadczyłem że wracam ze Szpilbergu.

W tej chwili wszyscy powitali mię uprzejmie i serdecznie, i szczerze uścisnęli mą dłoń.

W drugiej przedziałce wagonu, w samym kąciku leżał jak wielka jaka bryła dziwny jakiś mężczyzna, podobny z ubrania do naszego wieśniaka. Przez większą część nocy spał sobie jak najwygodniej. Okryty był jak mi się zdawało chłopskim galicyjskim kożuchem, a na głowie miał czarną bałagułkę. Słysząc jak mię ze wszystkich stron witają, i on się poruszył w swym kącie, usiadł i głową sięgnął aż do wierzchu wagonu, ziewnął głosem lwa, potem przetarł oczy i wpatrzył się we mnie. I ja spoglądnąłem na niego. Był to mężczyzna w wieku mniej więcej 40 do 50 lat, wzrost jego widać bardzo był słuszny, przytem silnie zbudowany i barczysty, włos ciemny, oko czarne, nos rzymski, usta przyjemne, nareszcie czarne, długie wąsy i szeroka, długa i gęsta broda dodawały mu jakiejś powagi, a cały wyraz twarzy dowodził silnej woli i w ogóle niepospolitego hartu ducha.

Przypatrując mi się przez chwilę, wyciągnął także do mnie swą rękę i w niemieckim języku, głosem podobnym raczej do grzmotu, w następujące odezwał się słowa:

— Zacny młodzieńcze najszlachetniejszego w Europie narodu! daj mi także twą dłoń, niechaj ją imieniem własnem i imieniem wszystkich moich jednakowomyślących ziomków, wolnych Amerykanów, także uścisnę.

Podałem mu dłoń i wzajemny oddałem uścisk.

— Rodaków wielkiego waszego ziomka, a u nas nigdy niezapomnianego Kościuszki, wszyscy czcimy i poważamy wysoko, bo tak jak my nie łatwo naginacie karku, i zawsze walczycie w obronie wolności.

Milczałem na to i ani jednego nie odpowiedziałem słowa. Za mnie atoli wmięszał się z nim do rozmowy jakiś pruski obok niego siedzący oficer, i zaczął rozprawiać o wielkich i walecznych czynach Prusaków.

Amerykanin splantował go krótko, wyśmiewając wszystko co pruskie i t. d., czego tutaj powtarzać pewne wzbra-

niają mi względy. Dosyć że przyszło do tego, iż urażony Prusak wybuchnął w gniew, i rzekł w uniesieniu do Amerykanina:

— Pan się zapominasz, jestem oficerem jego królewskiej mości i w mojej obecności nie pozwolę wyrażać się o nim w podobny sposób bezkarnie.

Amerykanin dziwnie uśmiechnął się na to, powoli sięgnął do obszernej kieszeni i wyjął jakieś pudełeczko dość wielkie, otworzył je i zimno jakby cygaro podał oficerowi, mówiąc:

— *Nach unserer Sitte!* (podług naszego zwyczaju!)

Oficer zbladł. W pudełku leżały piękne dwa rewolwery i dwa sztylety.

Amerykanin pogląd nął na niego, uśmiechnął się znowu i zapraszając go słowy:

— *Der eine mir, der andere dir!* (Jeden mnie drugi tobie) — podał mu do ręki jeden pistolet i jeden sztylet, a dodając:

— *Man lösche die Lichter!* (Gasić świece!)

Przygasił równocześnie najbliższe obok siebie światło, i ciągnął dalej:

— *Und wir können im Finsteren tappen!* (I możemy macać w ciemności!) I w tej chwili sięgał do drugiej świecy czy do lampki, by także przygasić. Jakaś pani atoli siedząca obok mnie, niemniej wszyscy obecni tyle narobili hałasu, że zaniechano tego strasznego pojedynku, osobliwie gdy Prusak zaczął się tłumaczyć, że on tego tak źle nie myślał i t. d.

Ten Amerykanin był to hurtowny kupiec z Nowego Yorku, pan miljonowy, jechał on do Petersburga w ważnem jakiemś kupieckiem przedsiębiorstwie.

W Boguminie (Oderbergu) zatrzymałem się chwilę, i dowiedziałem się z jak niesłychaną okazałością i wystawnością, z jaką szczerością i prawdziwie sławiańską gościnnością przyjmowano wracających ze Szpilbergu więźniów, i tam dowiedziałem się także, że tych którzy nie jechali koleją, z podobnąż okazałością przyjmowano w Skoczowie, to jest w tym samym Skoczowie, gdzie jadących nas na Szpilberg ledwie nie obrzucano błotem, i gdzie ciskano na nas kamieniami.

Jakaż to zmiana! i jak wielka zmiana!

Na jednej z pruskich stacyj gdzie zmieniano wagony, zjechaliśmy się z naszą emigracją, i jednym jechaliśmy pociągiem. Przesiadłem się do nich dla towarzystwa, i w ich gronie bardzo przyjemnie spędziłem czas podróży, aż do samego Krakowa.

W Krakowie na dworcu kolei żelaznej tłumy ludu oczekiwały przybycia emigracji. Zaledwie stanęły wagony, tysiączne odezwały się okrzyki:

— Niech żyje emigracja!

— Niech żyje Polska!

— Niech żyje Rzeczpospolita! — i t. d

Gwardja narodowa ustawiona w szpaler, gdyśmy wysiedli z wagonów i ruszyli w pochód do miasta, po trzykroć prezentowała broń i śród radośnych okrzyków i odgłosu muzyki odprowadziła nas do miasta.

Emigranci dowiedziawszy się że wracam ze Szpilbergu, porwali mię między siebie i na samem prowadzili mię czele.

Wszedłszy już do okazałe oświetlonego miasta, gdzie z wszystkich stron sypały się na nas kwiaty i wieńce, dowiedziałem się że idziemy wprost do sali rady narodowej.

Mając zawsze i wszędzie moich towarzyszów w sercu i w myśli, spytałem łączących się z nami obywateli, czy w radzie narodowej nie mógłbym uzyskać posłuchania, by kilka słów przemówić za uwolnieniem moich towarzyszów?

— I owszem! — odpowiedziano mi — my cię zaprowadzimy i wyjednamy głos.

Wkrótce byliśmy w sali jasno oświeconej i przepełnionej radnymi i słuchającą publicznością. Olśniony blaskiem gorejącego światła i znużony doznanemi wrażeniami, nic nie widziałem, nic nie słyszałem. W oczach mi się ćmiło, mieniło, migotało, każdy przedmiot, każdą osobę w wielokrotnie pomnożonej widziałem liczbie, szumiało mi w uszach i wrzało w sercu; dostałem nareszcie zawrotu głowy i o mało nie upadłem na ziemię.

W tem usłyszałem moje nazwisko i pozwolenie do zabrania głosu:

Jeden z emigrantów wyprowadził mię naprzód ku środkowi. Oglądnąłem się w około i mnóstwo ujrzałem powa-

żnych twarzy, dojrzałych już mężów, do których miałem przemawiać; po raz pierwszy w mem życiu do tak licznego grona. Serce zda mi się umilkło wówczas z bojaźni, i zdawało mi się że krew stygnie w mych żyłach, czułem że opuszczają mię siły, ale tem mocniej uczułem przyjęty na się obowiązek, widziałem jasno, że trzeba korzystać z usposobienia, i z panującego wówczas uniesienia. Chciałem zatem mówić koniecznie, postanowiłem to sobie, wezwałem wolę na pomoc, zebrałem siły i przemówiłem.

Co mówiłem i jak, i w jaki sposób malowałem smutny obraz życia i położenia pozostałych jeszcze towarzyszów, nie wiem, pamiętam tylko to, że niezwłocznie wybrano komisję, która miała ułożyć petycję, i zająć się zebraniem i wysłaniem deputacji do najjaśniejszego pana.

Gdyśmy wyszli ze sali rady narodowej, nie rozbierano lecz rozdzierano nas do domów obywateli krakowskich.

Ja dostałem się do domu tamtejszego kupca, pana Louis, bardzo zacnego i powszechnie poważanego obywatela. Bawiłem w jego domu 8 czy 10 dni, to jest tak długo póki z Krakowa nie wyjechała deputacja do najjaśniejszego pana z prośbą o uwolnienie pozostałych jeszcze na Szpilbergu więźniów.

Ten kilkodniowy pobyt w zacnym i prawdziwie polskim jego domu i śród jego rodziny, z miłem wspomnieniem i tem milszem uczuciem, policzam zawsze do owych rzadkich chwil mojego życia, które spędziłem przyjemnie. A że nie mówię, wesoło, to jedynie dla tego, że oddalony od oczekujących i opłakujących mię rodziców nie mogłem być wesoły.

Ale gdy właśnie mowa o Krakowie, nie mogę milczeniem przeminąć sceny, która dotąd tkwi w mojej pamięci.

Chcę mówić o tamtejszym kupcu, młodszym panu Hahnie, nie wiem, nie pamiętam już czy mu Jan, czy Henryk na imię:

Młody, podobnoś Władysław Louis, nie pamiętam już pod jakim pozorem ściągnął mię do sklepu pana Hahna, który widać już o tem uprzedzony, przyjął mię bardzo uprzejmie, bardzo serdecznie. Przy pożegnaniu i po wynurzeniu zwyczajnych w takim razie frazesów grzeczności, przeprosił mię pan Hahn, że mnie zatrzymuje dla małego jeszcze interesiku.

— Służę panu — powiedziałem i udałem się z nim w kącik sklepu.

Pan Hahn przepraszając mię jeszcze raz i mówiąc:

— Wiem że obywatel daleką jeszcze odprawić ma podróż do domu, wiem że jego familję wymordowano, wiem że was zrabowano zupełnie, więc sądzę że nie weźmiesz mi obywatelu za złe, i przyjmiesz odemnie pomoc maleńką, jaką ofiarować ci z duszy i serca pozwalają mi dzisiejsze moje stosunki — gwałtem pchał mi do ręki 100 reńskich.

Jakkolwiek nie przyjąłem tego z najszlachetniejszego serca ofiarowanego mi datku, gdyż miałem wystarczającą mi na podróż sumę, niechaj dzisiaj w niniejszych wyrazach przyjmie moje szczere podziękowanie, a oraz powćmie przekonanie, że dobre tego rodzaju uczynki, nie zapominają się nigdy. Złe zapomina się prędko, dobre zaś pamiętamy do zgonu.

Po upływie 8 czy 10 dni dowiedziałem się, że wysłana do Wiednia deputacja była na posłuchaniu u najjaśniejszego monarchy, i łaskawą otrzymała odpowiedź.

Ta wiadomość uspokoiła mię znacznie, i postanowiłem odjechać do domu.

Będąc jeszcze słabym, nie mogłem wiele chodzić, zatem tylko niektóre ważniejsze zwidziłem pamiątki, poczem podziękowawszy panu Louis za tak gościnne przyjęcie, udałem się na pocztę w towarzystwie mniej więcej 12 letniego wówczas syna pana Louis, ślicznego i najlepszego serca chłopczyny, niemniej w towarzystwie kilku innych osób, siadłem do zamówionego już szybkowozu, i po danem przyrzeczeniu, że jeżeli tylko zdrowych zastanę rodziców i pozwolą mi moje stosunki, wrócę niezadługo.

Opuściłem Kraków i wyjechałem do Lwowa w towarzystwie Władysława Łozińskiego, o którem później i na innem miejscu.

W 48 godzin później wjeżdżałem grodecką rogatką do Lwowa. Powóz szybko toczył się z góry, dla mnie atoli sunął się tylko powoli i niecierpliwość najwyższego dosięgła stopnia. Nic poglądałem na domki, kamienice, nic widziałem przechodzących, nie widziałem nic i nie widziałem nikogo, pomimo że wyglądałem z powozu.

Myślą, duszą i sercem wyprzedzałem powóz, wyprzedzałem konie, wyprzedzałem całe ulice i biegłem, co mówię! leciałem lotem ptaka, by ucałować, by uściskać drogą mi matkę, by kochanemu ojcu rzucić się do nóg i ucałować te nogi, które dźwigały kajdany!

Szybkowóz wtoczył się w gmach pocztowy, wyskoczyłem co prędzej, maleńkie zawiniątko wziąłem do ręki, i jak strzała przebiegłem kilkaset kroków, i z radością w oku i mocniej bijącem sercem, a przecież jakiemś niepokojem w duszy, zbliżyłem się do domu, ówczesnego mieszkania moich rodziców.

Otworzyłem furtkę, przebiegłem krótkie podwórze, i prędko kilkanaście minąłem schodków i maleńką sionkę, uchwyciłem za klamkę i drżącą ręką otworzyłem drzwi.

Wszedłem, rzuciłem okiem przed siebie, i... zapłakałem, lecz nie łzami radości!...

Zakończenie.

Przystępując do opisania niniejszego „Pamiętnika,“ pragnąłem, by obejmował peryjod z lat dziewięciu t. j. od 1846 do 1854 roku, gdy atoli dokładne zestawienie politycznych, w tych latach zaszłych wypadków, których naocznym i czynnym, albo też biernym tylko byłem świadkiem — i więcej wymaga czasu i dopiero w ostatnich dniach zebrać mogłem niektóre do tych wypadków odnoszące się materyały, postanowiłem odłożyć na krótki tylko czas ciąg dalszy mych pamiętników, — ograniczyć się na teraz na tem tylko, co podałem powyżej i na zakończenie niniejszego pamiętnika podać Czytającym — z małemi dodatkami nazwiska — jak mniemam — wszystkich więźniów stanu od 1833 roku aż po dzień dzisiejszy, — w nadziei, że wszyscy odczytają je chętnie, bo w alfabetycznym spisie tych więźniów znajdą niezawodnie jeżeli nie kogoś z rodziny, to pewnie z przyjaciół albo znajomych, albo nareszcie z towarzyszów niedoli jako to:

Uwięzieni w roku 1833.

Bańkowski Antoni, wychodźca.
Bętkowski Amilkar, „
Białkowski Feliks, „ skazany na 15 lat do Kufsztynu (Kufsteinu).
Gajewski Stanisław, wychodźca.
Gostyński Franciczek.
Gostyński Stanisław.
Łobeski Wacław.
Najmanowski Paweł.

Pisarski Józef, wychodźca.
Rogaliński Henryk.
Russocki.
Tetmajer.
Zaliwski Józef, wychodźca skazany na 15 lat do Kufsztyna.

Uwięzieni w roku 1834.

Antkiewicz Piotr, wychodźca.
Bętkowski Amilkar, powtórnie.
Bielowski August, literat. Obecnie znakomity nasz historyk.
Borkowski Karol, wychodźca skazany na lat 15 do Kufsztynu.
Budzyński Michał, wychodźca.
Budzyński Wincenty, wychodźca.
Czarnecki, architekta.
Czechowski Kazimierz, wychodźca.
Chmielowiec Maciej, „
Dąbrowski Henryk, „
Dąbrowski Ignacy, „
Dobrzęcki Józef, kleryk obrządku łacińskiego z Przemyśla.
Dmochowski Henryk, wychodźca skazany na 6 lat do Kufsztynu.
Gajewski Stanisław, powtórnie.
Garnisz Piotr, wychodźca.
Gleinich Józef, „
Golejowski Henryk, wychodźca.
Gorycki Łukasz, „
Jankowski, „
Kluszczyński Felicyan, wychodźca.
Komarnicki Aleksander, urzędnik Zakładu imienia Ossolińskich na 6 lat do Kufsztynu.
Komorowski, wychodźca.
Korytko Emil, akademik Lwowski wywieziony do Lublany, tam umarł.
Koziebrodzki Eugeniusz, właściciel dóbr ziemskich.
Krzeczkowski Władysław, wychodźca, umarł w więzieniu.
Łobeski Władysław, powtórnie.
Łoniewski Franciszek, wychodźca.
Łubieński Feliks, „
Macewicz Stanisław, „
Markiewicz Aleksander, „

Merlo Jan, wychodźca.
Modzelewski Justyn, właściciel dóbr ziemskich.
Najmanowski Paweł, powtórnie.
Nowosielski Jan, wychodźca.
Onysz Jan, wychodźca.
Pieńczykowski Jan.
Radziszewski Wincenty, właściciel dóbr ziemskich.
Rogaliński Henryk, powtórnie.
Roliński Adolf, wychodźca na 10 lat do Kufsztynu, tam umarł.
Rojak Piotr, wychodźca.
Rylski Eustachy, właściciel dóbr ziemskich.
Siemiński Aleksander.
Siemiński Lucyan, literat współpracownik Gazety Lwowskiej.
Słotwiński Konstanty, dyrektór Zakł. im. Ossolińskich na 6 lat do Kufsztynu.
Suski Karol, wychodźca.
Szajnocha Karol, akademik Lwowski. Obecnie znakomity nasz pisarz.
Szarańczkowski Tymoteusz, wychodźca.
Szymański Jan, kleryk obrządku łacińskiego z Przemyśla.
Śmiałowski Józef, słuchacz filozofii.
Trębiński Ignacy, wychodźca.
Tumanowicz Kornel.
Turnel Wincenty, wychodźca.
Tyszkiewicz Jerzy, hrabia, właściciel dóbr ziemskich.
Ulatowski Arkady, wychodźca.
Ulatowski Eugeniusz, właściciel dóbr ziemskich, umarł w więzieniu.
Wachowicz Ignacy, wychodźca.
Wachowicz Paweł, „
Wierzbicki, b. o. w. p. po kilku latach więzienia skazany na wygnanie do Ameryki.
Wiesiołowski Franciszek, hrabia, właściciel dóbr ziemskich.
Włyński Adam, umarł w więzieniu.
Wolański Jan.
Ząbkowski wychodźca, Dyrektor drukarni Zakł. im. Ossolińskich uciekł.
Żaboklicki Wincenty, wychodźca, ksiądz obrządku łacińskiego na 15 lat do Kufsztynu, tam umarł.

Uwięzieni w roku 1835.

Bolewski Dominik, wychodźca.
Horodyński Bogusław, wywieziony do Lublany.
Horodyński Onufry.
Jabłonowski Ludwik, hrabia właściciel dóbr ziemskich.
Kilwein Stanisław, wychodźca.
Łoziński Józef.
Majewski, służący Horodyńskiego Bog.
Nowakowski Józef.
Prohaska Jan, piwowar ze Lwowa, umarł.
Trocznicki Jędrzej, wychodźca.
Wiśniowski Hugo, nauczyciel prywatny.
Wiśniowski Teofil, rządca dóbr Henryka Brońiewskiego.
Zieliński Franciszek, służący Horydyńskiego Bogusł.

Uwięzieni w roku 1836.

Berechulski, uczeń z Sambora, na 3. lat na Hradczy Kopiec.
Cięglewicz Kasper, prawnik, uciekł.
Czajkowski Piotr, uczeń z Sambora na 4 lat na Hrad. Kop.
Czubaty Dymitr, obywatel z Tarnopola.
Damin Alojzy, kleryk obrządku łacińskiego ze Lwowa na 5 lat na Hradczy kopiec.
Gawiński, uczeń z Sambora, na 1 rok na Hradczy Kopiec.
Józefczyk Jędrzej, kleryk obrz. łacińskiego ze Lwowa na 4 lat na Hradczy Kopiec.
Kościelski, uczeń z Sambora na 4 lat na Hradczy Kopiec.
Popiel M. „ „ „ 4 „ „ „ „
Towarnicki, „ „ „ 1 „ „ „ „

Uwięzieni w roku 1837.

Berger Wacław, na lat 4 na Hradczy Kopiec.
Chrząstowski Aleksander, na lat 5 na Hradczy Kopiec.
Chrząstowski Julian.
Chrząstowska Maryjanna właścicielka dóbr ziemskich na 1 rok we Lwowie.
Dłużewski Karol, wychodźca, dostał obłąkania. Wywieziony do Wiednia do domu obłąkanych.
Dorobko, lokaj starosty w Tarnowie na 5 lat na Hrad. Kop.
Fiszer Jakób, na 8 lat do Kufsztynu.

Gersza Michał na 10 lat do Kufsztynu.
Horoszkiewicz Julian, urzędnik izby obrachunkowej we Lwowie na 6 lat do Kufsztynu.
Karasiewicz Antoni, uczeń filozofii w Tarnowie na 5 lat na Hradczy Kopiec.
Kępiński Henryk.
Kępiński Ludwik na 10 lat do Kufsztynu.
Kiszakiewicz.
Kropiwnicki Marceli.
Krzyżanowski Józef.
Latynik Eugeniusz, akademik Lwowski, oddany do wojska.
Łapiński.
Madejewski Teofil, akademik Lwowski, uciekł.
Majewski.
Maresz, ksiądz obrządku łacińskiego, odebrał sobie życie.
Marynowski Stanisław, prawnik na 12 lat do Kufsztynu.
Masiewicz Faustyn, Franciszkanin wywieziony.
Michałowski, na 2 lat na Hradczy Kopiec.
Mulkowski Szczepan, na 15 lat do Kufsztynu.
Nawratil Piotr, właściciel dóbr ziemskich
Olszewski Michał, na 5 lat na Hradczy Kopiec.
Runge Ferdynand, akademik Lwowski oddany do wojska.
Stadnicki Fortunat, na 15 lat do Kufsztynu.
Szlegel, ksiądz obrządku łacińskiego uciekł.
Szumański Ksawery.
Wajda, na 1 rok na Hradczy Kopiec.
Witowski Hipolit, nauczyciel prywatny.
Zaleski Leon, wychodźca na 20 lat do Kufsztynu, umarł we Lwowie.
Zemborski, prowincyał Franciszkanów wywieziony do Morawii.
Zieliński Ignacy, ksiądz obrządku łacińskiego na 5 lat na Hradczy Kopiec.

Uwięzieni w roku 1838.

Cymborski Stanisław, na 7 lat na Hradczy Kopiec.
Gadziński Michał, ksiądz obrządku grecko kat. na 1 rok na Hradczy Kopiec.
Hreczański Dezydery, ksiądz obrządku gr. kat. wypuszczony.

Krzyżanowski Romuald, ksiądz obrządku grecko katolickiego na 4 lat na Hradczy Kopiec.
Kulczycki Teodor, ksiądz obrządku grecko katolickiego na 1 rok na Hradczy Kopiec.
Miejski Sylwester, ksiądz obrząku grecko katolickiego na 2 lata na Hradczy Kopiec.
Minczakiewicz Michał, ksiądz obrządku grecko katolickiego na 3 lata na Hradczy Kopiec.
Ohrymowicz Jan, ksiądz obrządku grecko katolickiego na 2 lata na Hradczy Kopiec.
Pokiński Michał, ksiądz obrządku grecko katolickiego na 2 lata na Hradczy Kopiec.

Uwięzieni w roku 1839.

Bąkowski Feliks, uczeń z Przemyśla na Hradczy Kopiec.
Begijowicz Justyn, uczeń z Przemyśla na 15 lat na Hrad. Kop.
Czrząstowski Edward, uczeń z Przemyśla na 1 rok na Hr. Kop.
Cięglewicz Kasper, powtórnie na 20 lat do Kufsztynu.
Czajkowski Erazm, uczeń z Przemyśla na 10 lat na Hr. Kop.
Czubaty Dymitr, obywatel z Tarnopola, powtórnie.
Dinstel Gustaw, akad. Lwow. na 5 lat na Hradczy Kopiec.
Dumański Alojzy, akad. Lwowski na 5 lat na Hradczy Kopiec.
Fabry Franciszek, uczeń z Przemyśla na 6 lat na Hradczy Kop.
Gudziak Jan, uczeń chirugii na 10 lat na Hradczy Kopiec
Janiszewski Wiktor, uczeń z Przemyśla na 3 lat na Hrad. Kop.
Kotkiewicz, wychodźca, odebrał sobie życie w policyi.
Krzyżanowski, pisarz z Zimnejwody.
Miłaszewski Stanisław, uczeń z Przemyśla na 1 rok na Hr. Kop.
Nowakowski Henryk uczeń z Przemyśla na 6 lat na Hradczy Kopiec, obecnie literat.
Okulski Władysław, rządca dóbr w Zimnejwodzie.
Skrzyszewski Józef.
Smulski Ksawery, uczeń z Przemyśla na 8 lat na Hrad. Kop.
Stokowski Ludwik, strzelec pogr. na 2 lat na Hradczy Kopiec.
Sochański Edward, uczeń z Przemyśla na 8 lat na Hard. Kop.
Tymiński, uczeń Lwowski na 2 lat na Hradczy Kopiec.
Zacharyasiewicz Jan, uczeń z Przemyśla na 6 lat na Hradczy Kopięc, obecnie znakomity powieściopisarz.
Zamojski Marcin, hrabia, właściciel dóbr ziemskich

Ziemiański Wawrzyniec, uczeń z Przemyśla na 8 lat na Hradczy Kopiec.

Uwięzieni w roku 1840.

Bajer Edward, syn aptekarza, uczeń z Przemyśla, umknął i emigrował do Francyi.

Chrząstowski Eugeniusz, prawnik na lat 12 na Hrad. Kopiec.

Dunajewski Albin, „ „ „ 8 „ „ „

Górski Henryk, prawnik.

Haffner, żołnierz z pułku Mazzucheli oddany pod sąd cywilny.

Heller Wojciech, prawnik.

Hubicki Henryk, syn dzierżawcy na lat 7 umarł na Hradczym Kopcu dnia 17 lutego 1847.

Kobylański Marceli, urzędnik rządowy ze Stanisława.

Körner Wincenty, podoficer z pułku Mazzucheli oddany pod sąd cywilny.

Krause Marceli.

Krzyżanowski Mandataryusz.

Kulik Stefan, z pułku Mazzucheli oddany pod sąd cywilny.

Kuszczykiewicz Benedykt, skończony teolog obr. gr. kat.

Lorenz Antoni, żołnierz z pułku Mazzucheli oddany pod sąd cywilny.

Łapczyński Maryan, skończony teolog obrządku grecko katolickiego, później bernardyn.

Łukaszewicz Lesław, literat, wydawca Tygodnika literackiego w Krakowie, wysłannik Towarzystwa demokratycznego we Francyi na 12 lat na Hradczy Kopiec i na wygnanie.

Misiewicz Józef, mandataryusz.

Moszczański Karol, medyk z Wiednia.

Olexiński Tytus, prawnik, umarł we Lwowie 25 wrześ. 1843.

Orłowski Kalikst, prawnik.

Stawski Leander, justycyaryusz na 10 lat na Hradczy Kop.

Stoszyński Feliks, żołnierz z pułku Mazzucheli oddany pod sąd cywilny.

Tarlowski Aleksander, kontrolor fabryki w Łancucie wypuszczony w październiku 1844.

Thürman Ferdynand, prawnik, odebrał sobie życie dnia 23 lutego 1842.

Towarnicki Grzegorz, cukiernik z Przemyśla, umarł w więz.
Wilam Antoni, urzędnik prywatny.
Wilchelm Ludwik, praktykant przy Magistracie Leżajskim.

W tymże roku uwięzieni wojskowi i oddani pod sąd wojenny.

Aganas Wacław, podporucznik z pułku Mazzucheli.
Eichner Emanuel, kadet z pułku Mazzucheli.
Aufenberg Adolf, podporucznik z pułku Sivkowich.
Aufenberg Norbert, podporucznik z pułku Leiningen.
Baborowski, żołnież z pułku Mazzucheli.
Baczyński Jan, kapral z pułku Mazzucheli.
Baliwerda Antoni, żołnierz z pułku Mazzucheli.
Biechini Gustaw, baron, porucznik z pułku Mazzucheli.
Benkner Filip, żołnierz z pułku Mazzucheli.
Bertholi Jan, kadet z pułku Mazzucheli.
Bieli Jan, żołnierz z pułku Mazzucheli.
Birka Kazimierz, żołnierz z pułku Mazzucheli.
Böhmus, podporucznik z pułku Br. Bianchi.
Boss, podporucznik grenadyerów z pułku Arcyksięcia Stefana.
Broniewski Marceli, kadet z pułku Mazzucheli.
Broniewski Roman, podporucznik z pułku Mazzucheli.
Demko Jan, podoficer z pułku Mazzucheli.
Dmitrasinovich Tomasz podporucznik z pułku Mazzucheli.
Fawini, podporucznik z pułku Watlet. Uwolniony 1848 roku ożenił się z wierną mu narzeczoną, która czekała na niego 8 lat i gdy siedział w Ołomuńcu czy Munkaczu, wyjechała za nim i tam naprzeciw jego więzienia najęła pomieszkanie i z nim korespondowała i pocieszającemi słowy niosła ulgę w cierpieniu. Ślub odbył się w kościele OO. Franciszkanów, wśród odgłosu muzyki narodowej i okrzyków „Niech żyją Nowożeńcy!“ i wśród honorowych salv karabinowych Gwardyi narodowej i legionu Akademickiego, który przed kościołem ustawił się w szpaler. Kwiaty i wieńce sypały się ze wszystkich stron na Nowożeńców i do powozu, którym zaraz po ślubie wyjechał do Włoch.
Gwizdalski Antoni, kapral z pułku Mazzucheli.
Hibl Edward, podporucznik z pułku Mazzucheli, umarł w więz.
Jankowski, podoficer z pułku Mazzucheli.

Kaczorowski, kapral z pułku Mazzucheli.
Kalisz Stefan, żołnierz z pułku Mazzucheli.
Kallinger de Aspernkampf, podoficer z pułku Mazzucheli.
Latynik Eugeniusz, podoficer z pułku Hohenek, powtórnie.
Lech Stefan, żołnierz z pułku Mazzucheli.
Lewicki, podoficer z pułku Mazzucheli.
Lilhop Antoni, kadet z pułku Mazzucheli.
Majewski Rajmund, porucznik z pułku Hauswitz.
Mathia Karol, podoficer z pułku Mazzucheli.
Murko, kadet z pułku Mazzucheli.
Marynowski Ludwik, kapral z pułku Mazzu. umarł w więz.
Mizior Tomasz, żołnierz z pułku Mazzucheli.
Nawrocki Tomasz, żołnierz z pułku Mazzucheli.
Nowak, kapral z pułku Mazzucheli.
Obermajer Piotr, podporucznik z pułku Mazzucheli.
Osiada Paweł, kapral z pułku Mazzucheli.
Pieczonka Maciej, podoficer z pułku Mazzucheli
Podrzycki, podporucznik z pułku Br. Bianchi.
Runge Ferdynand, podoficer z pułku Kudelka, powtórnie.
Szolc, podporucznik z pułku Mazzucheli.
Seltner de Seltenhoffer Karol, porucznik z pułku Bertholetti.
Skibiński Feliks, ks. obrz. łac. kapelan z pułku Nugent.
Skrzyszkiewicz, kapral z pułku Mazzucheli.
Solski, dobosz z pułku Mazzucheli.
Sowa Tomasz, foryś z pułku Mazzucheli.
Stanisławski, kadet z pułku Kajser Ulanów.
Starzycki Szczęsny, żołnierz z pułku Mazzucheli.
Stemkowicz Marcin, kapral z pułku Mazzucheli.
Stradiod Edward, podporucznik z pułku Mazzucheli.
Strzelecki, podporucznik z pułku Leiningen.
Suchodolski Józef kadet z pułku Mazzucheli.
Szachłacki, kapitan z pułku Arcyksięcia Stefana.
Tomik Jan, kapral z pułku Arcyksięcia Stefana
Tossetti, hrabia major z pułku Arcyksięcia Stefana.
Weinberger Józef, porucznik z pułku Mazzucheli.
Weinbrenner Franciszek, kapral z pułku Mazzucheli.
Weseli Edward, kapral z pułku Mazzucheli.
Whist Józef, porucznik z pułku Mazzucheli.
Wróblewski Wincenty, kapral z pułku Mazzucheli.

Werner, żołnierz od Grenadyerów.
Ziemiński Antoni, żołnierz z pułku Mazzucheli.
Zimmerman, kadet z pułku Bertholetti.
Żankowski, podoficer z pułku Mazzucheli. [1])

Uwięzieni w roku 1841.

Bętkowski Nikodem, Dr. medycyny.
Bielecki Adam, ks. obrz. łac. proboszcz z Kaczowa.
Bieniewski Geometra, wychodźca.
Bogdański Henryk, urzędnik Magistratu Lwowskiego na 8 lat na Hradczy Kopiec.
Brzechwa, wychodźca.
Chmielewski Robert, wychodźca, wysłannik z centralizacyi w Poitiers i jej sekretarz, na 15 lat na Hradczy Kopiec i na wygnanie. Na Hradczym Kopcu stracił nogę.
Chyrowski Ludwik, urzędnik przy sądzie karnym w Wiedniu.
Domański Adolf, nauczyciel w Czerniowcach.
Dylewski Maryan, Dr. praw, uwolniony w listopadzie 1844.
Gębarzewski Dominik, Dr. praw. uwol. w listopadzie 1844.
Górski Henryk, powtórnie.
Hampel Adolf, Dr. praw i zastępca profesora prawa rzymskiego przy uniwersytecie Lwowskim.
Hefern Robert, Justycyaryusz w Brzozowie.
Heller Wojciech, powtórnie.
Herman Ryszard, właściciel dóbr ziem. uwolniony w list. 1844.
Hićkiewicz Walenty, Dr. praw.
Horodyński Mikołaj, ks. obrz. gr. kat. proboszcz w Batiatyczach na 12 lat na Hradczy Kopiec.
Hubrich Karol, prawnik.
Jaworski Michał, dependent od adwokata, umarł w więzieniu 3 lutego 1844.
Kędzierski Izydor, mandataryusz.
Kincel Tomasz, ksiądz obrz. łac. proboszcz w Nawaryi.
Kniaziołucki Wincenty, prawnik.
Konstantynowicz Bazyli, ks, obr. gr. kat. proboszcz w Balicach.

---

[1]) Wszyscy ci wojskowi skazani zostali po największej części do twierdzy w Munkaczu albo Ołomuńcu.

Korecki Leon Dr. praw.
Kowalski Franciszek, uczeń filozofii w Czerniowcach.
Kozłowski Stefan, prawnik, umarł w więzieniu w kwiet. 1843.
Krotochwil Marcin, dzierżawca dóbr.
Leo Adolf, prawnik.
Lipiński Aleksander, ks. obrz. gr. kat. proboszcz w Styjskiem.
Leśnikiewicz Franciszek, uczeń filozofii w Przemyślu.
Marin Jan, Dr. praw.
Matczyński Konstanty, technik z Wiednia wypuszczony w październiku 1844.
Mochnacki Klemens, skończony teolog obrz. gr. nauczyciel prywaty.
Mochnacki Dymitr, skończony teolog obrządku greckiego nauczyciel prywatny, uwolniony w październiku 1844
Morgenbesser Aleksander, prawnik, praktykant koncept. przy sądzie karnym we Lwowie.
Moszoro Grzegorz. ksiądz obrz. ormiańskiego, Sekretarz Biskupa ormiańskiego.
Orłowski Kalikst, powtórnie.
Pawlikowski Leander, prawnik na 8 lat na Hradczy Kop.
Przysiecki Tytus, praktykant urzędu obwodowego w Tarnopolu, uwolniony w październiku. 1844.
Rajski Tomasz, adwokat we Lwowie.
Raichenberg Ludwik, akademik górniczy w Szemnitz.
Sądecki Franciszek, subjekt handlu w Samborze uwolniony w listopadzie 1844.
Szmitt Henryk, obecnie znakomity historyk.
Sznajder Karol, Dr. praw.
Skowroński Edward, praktykant przy administracyi we Lwowie.
Smolka Franciszek, adwokat we Lwowie.
Śmiałowski Józef, Dr. medycyny z Wiednia, powtórnie.
Spławiński Wincenty, ksiądz obrz. łacińskiego, sekretarz Biskupa w Tarnowie, uwolniony w październiku 1844.
Staniewicz Ignacy, urzędnik izby obrachunkowej we Lwowie.
Wiśniowski Hugo, powtórnie.
Wojnarowski Józef, ks. obrz. łac. proboszcz w Kukizowie.
Wojta Idzi, ks. Dominikan ze Lwowa.
Wolański Franciszek, mieszczanin z Krosna.
Wszelaczyński Seweryn, kancelista urzędu obwod. w Tarnopolu.

Ziemiałkowski Floryjan, Dr. praw, adjunkt wydziału prawniczego przy uniwersytecie Lwowskim.
Zink Augustyn, urzędnik Izby obrachunkowej we Lwowie.
Żardecki, wypuszczony w roku 1843.
Żukowski Karol, medyk z Wiednia.
Żurowski Jakób, urzędnik magistratu we Lwowie.

Uwięzieni w roku 1842.

Czaplicki Ferdynand, mandataryusz w Horożanie obwodu Samborskiego. Został uwięziony wracając z kościoła od ślubu i wywieziony do Lwowa, lecz w kilka tygodni uwolniony.
Kołłodziej Piotr, włościanin z Komarna na lat 4 na Hrad. Kop.
Kościelski Leon, oficyalista prywatny z Komarna.
Kossowski.

Uwięzieni w roku 1846.

Adamski Maciej, z Tarnopola na lat 6 na Hradczy Kopiec.
Andrusikiewicz Jan, organista z Hohołowa, obwodu Sądeckiego na 20 lat na Hradczy Kopiec.
Baranowski, szewc z Horożany obw. Sambor. uwol. po roku.
Bereźnicki Józef, ks. z Tarnowa na 15 lat na Hrad. Kop.
Biliński, ekonom z Horożany obw. Sambors. uwol. po roku.
Bobczyński Aleksander z Sanoka na 20 lat na Hrad. Kop.
Bobczyński Konstanty z Sanoka na 12 lat na Hradczy Kopiec, obecnie naczel. wywiadowczego biura w Londynie.
Boberski Alojzy, wywieziony na wygnanie do Klagenfurtu.
Bobrowski Zelisław z Bochni na 12 lat na Hradczy Kopiec.
Bogusz Lucyan z Sanockiego na 12 lat na Hradczy Kopiec.
Boguszowa, żona Lucyana z Sanockiego umarła po wypuszczeniu z więzienia
Bolechowski Felicyan.
Borzęcki Kolumb, krakowianin na 9 lat na Hradczy Kopiec.
Borzęcki Aureliusz, krakowianin na 10 lat na Hrad. Kopiec.
Bredemajer Bogusław, z Horożany, uwolniony po roku.
Brzezdeń Jędrzej, z Narajowskiej sprawy na 5 lat na Hrad. K.
Brodzki.
Brześciański Stanisław, ze Sanockiego właściciel dóbr ziemskich na 20 lat.

*

Buczyński Mikołaj, z Horożany uwolniony po roku.
Bukowski Bonawentura, hr. właściciel dóbr ziemskich z Sanockiego na 12 lat na Hradczy Kopiec.
Chłędowski Józef, z Wadowic na 10 lat na Hrad. Kopiec.
Chłopicki Ferdynand, z Naraj. na 10 lat na Hrad. Kopiec.
Chłodecki Tomasz, z Naraj. na 15 lat na Hrad. Kopiec.
Chrome Dyzma, z Bochcńskiego na 15 lat na Hrad. Kopiec.
Chwalibóg Henryk, z Tarnowa na 6 lat na Hrad. Kopiec.
Czaplicki Józef, z Horożany wypuszczony przed amnestyą.
Czaplicki Władysław, z Horożany na 18 lat na Hrad. Kop.
Czepelowski Aleksander, z Sanockiego na 7 lat na Hrad. Kop.
Danilewicz Gabryel, z Tarnowskiego na 12 lat na Hrad. Kop.
Dawid Alojzy z Sanockiego na 6 lat na Hrad. Kopiec.
Dębicki, hrabia.
Dębowski Jan, na 7 lat na Hradczy Kopiec.
Długoszewski Ignacy, ks. z Bochni na 8 lat na Hrad. Kop.
Dobosz Aleksander, rolnik z Sądeck. na 10 lat na Hrad. K.
Domain Celestyn z Narajowskiego na 6 lat na Hrad. Kop.
Domański, na 6 lat na Hradczy Kopiec.
Domaradzki Władysław, akad. Lwowski na 15 lat na Hrad. K.
Dominikowski Kajetan z Sanockiego na 6 lat na Hrad. Kop.
Dominikowski Teofil, z Sanockiego na 15 lat na Hrad. Kop.
Domkowicz, z Wadowic na 6 lat na Hradczy Kopiec.
Dwernicki Wincenty, z Sanockiego na 6 lat na Hrad. Kop.
Dydyński Kajetan, z Sanockiego na 8 lat na Hrad. Kop.
Dydyński Władysław z Sanockiego na 12 lat na Hrad. Kop.
Dyttlof Adam, z Horożany obw. Samb. wypuszczony przed amnestyą.
Fogt, na 6 lat na Hradczy Kopiec.
Fraind Aleksander, na 6 lat na Hradczy Kopiec.
Gawroński Franciszek, na 8 lat na Hradczy Kopiec.
Gerlicki.
Gertler Ignacy, ze Złoczowa na 12 lat na Hrad. Kop.
Godowski, ks. obrz. łac.
Gołowski Bonawentura, właściciel dóbr ziem.
Gorecki Szymon, z Pilzna, na 16 lat na Hrad. Kop.
Górski Kazimierz, z Bochni, górnik.
Goslar Jan, z Tarnowskiego, na 10 lat na Hrad. Kop.
Goslar Julian, z Tarnowskiego, na 18 lat na Hrad. Kop.

Grochowalski Zygmunt, z Narajowsk. na 15 lat na Hrad. K.
Grodzki Stanisław.
Gromadzki Ludwik, ks. obrz. łac. z Jasielskiego na 15 lat na Hradczy Kopiec.
Grossman I.
Gruszewski Karol, z Narajowsk. na 15 lat na Hrad. Kop.
Gruszecki, na 6 lat na Hrad. Kop.
Gumiński Jan, właściciel dóbr ziem. na 15 lat na Hrad. K.
Jagielski Jakób, z Sanock. dzier. dóbr na 6 lat na Hrad. K.
Jaworski Józef, stolarz ze Lwowa na 10 lat na Hrad. Kop.
Kaczkowski Karol, słuchacz praw.
Kaczor Wojciech.
Kamieński Henryk, dzierżawca dóbr z Narajowskiego na 10 lat na Hradczy Kopiec.
Kański Mikołaj, słuchacz praw z Bochni na 18 lat na Hrad. K.
Kapuściński Józef, z Pilzna powieszony we Lwowie dnia 31 lipca 1847.
Karczewski Mikołaj, z Narajow. na 6 lat na Hradczy Kop.
Kęszycki.
Kincel Tomasz, ks. obrz. łac. powtórnie. Ze sprawy Horożańskiej na wygnanie do Klagenfurtu.
Kleszczyński Edward, z Bochni na 8 lat na Hrad. Kop.
Kłodziński.
Kmitowicz Józef, ks. obrz. łac. proboszcz w Hochołowie obw. Sądeck. na 20 lat do Kufsztynu.
Kois Jacenty, wójt z Hoholowa na 3 lat na Hrad. Kop.
Kois Janek, przysiężny z Hoholowa na 3 lat na Hrad. Kop.
Kołodziejski.
Komorowski Ignacy, hrabia, właściciel dóbr ziem. ze Złoczowa na 5 lat na Hradczy Kopiec.
Konicki Adam, na 6 lat na Hradczy Kopiec.
Kunicki Marceli, ze Sanockiego na 12 lat na Hrad. Kop.
Kopeć Jan, z Tarnowskiego na 10 lat na Hradczy Kopiec.
Kowats Kajetan, z Sanockiego na 10 lat na Hrad. Kop.
Kowalski Stanisław, z Sanockiego na 10 lat na Hrad. Kop.
Kozoński, na 6 lat na Hradczy Kopiec.
Krasiński Alojzy, właściciel dóbr ziem. z Narajow. na 5 lat na Hradczy Kopiec.
Krobicki Julian, z Sądeckiego na 6 lat na Hradczy Kopiec.

Krobicki Wiktor, z Sądeckiego na 7 lat na Hradzy Kopiec.
Kulmatycki Roman, akademik Lwowski z Narajowskiego na 12 lat na Hradczy Kopiec.
Kuzian, z Horożańskiej sprawy, uwolniony przed amnestyą.
Lebiocki Wojciech, z Sądeckiego na 15 lat na Hrad. Kop.
Leszczyński Emil, z Sanock. właściciel dóbr ziem. na 6 lat na Hradczy Kopiec.
Leszczyński Leopol, z Sanock. właściciel dóbr ziem. na 5 lat na Hradczy Kopiec.
Lewicki Antoni.
Lewiński Piotr, z Narajowskiego na 5 lat na Hrad. Kop.
Lipowski Ferdynand, właśc. dóbr ziem. na 5 lat na Hrad. K.
Lissowski Jan, z Narajowskiego na 15 lat na Hradczy Kop.
Łacheta Franciszek, ks. obrz. łac. na 20 lat na Hrad. Kop.
Łomżyński, z Horożańskiej sprawy, uwolniony po roku.
Łabkowski Zygmunt, właściciel dóbr ziemskich.
Madejewski Leopold, ze sprawy Narajowskiej na 10 lat na Hradczy Kopiec.
Mazurkiewicz Wincenty, wychodźca, adwokat z Lublina na 10 lat na Hradczy Kopiec.
Michalski Jan, z Pilzna, na 5 lat na Hradczy Kopiec.
Minasowicz Piotr, ze Stanisława na 8 lat na Hradczy Kop.
Mirosz Hipolit, z Narajewskiego na 5 lat na Hradczy Kop.
Morelowski Antoni, właściciel dóbr ziem. z Sanockiego na 5 lat na Hradczy Kopiec.
Morgenstern, ks. z Tarnowskiego na 20 lat na Hrad. Kop.
Moskalik Jan, z Sanockiego na 6 lat na Hrad. Kop.
Müller Maksymilian, z Horożany obw. Samborskiego na 10 lat na Hradczy Kopiec.
Nabielak Robert, ze Złoczowa na 7 lat na Hrad. Kop.
Nahlik Antoni, ks. z Horożany obw. Samborskiego na 15 lat na Hrad. Kop., proboszcz z Rumna.
Naronowicz Józef, z Samborskiego na 15 lat na Hrad. Kop.
Neubar Jan, z Sanockiego na 5 lat na Hrad. Kop.
Niedzielski, na 6 lat na Hrad. Kop.
Olpiński, ksiądz na 10 lat na Hrad. Kop.
Papaj Karol, na 10 lat na Hrad. Kop.
Pawlikowski Aleksander, z Narajowsk. na 8 lat na Hrad. K.
Pawłów Onufry, na 10 lat na Hrad. Kop.

Piasecki Stanislaw, z Myślenic na 8 lat na Hrad. Kop.
Pini, słuchacz praw.
Pochwalski Wincenty, z Bochni na 8 lat na Hrad. Kop.
Podoski Ferdynand, z Narajowsk. na 12 lat na Hrad. Kop.
Potocki Ignacy, z Narajowsk. na 7 lat na Hrad. Kop.
Pruski Alojzy, z Narajowsk. na 8 lat na Hrad. Kop.
Przestrzelski Nikodem.
Pulnarowicz, z Sanockiego na 10 lat na Hradczy Kopiec.
Putałkiewicz, ks. z Sanockiego na 15 lat na Hrad. Kop.
Radomski Antoni, z Sanockiego na 12 lat na Hrad. Kop.
Romański Franciszek, z Narajowskiego na 15 lat na Hrad. K.
Romer Teofil, hrabia z Sanockiego właściciel dóbr ziem. na 12 lat na Hradczy Kopiec.
Romer Wilhelm, hr. właściciel dóbr ziem.
Rudnicki Franciszek, z Narajow. na 15 lat na Hrad. Kop.
Rylski Edward, właściciel dóbr ziem. z Bocheńskiego na 10 lat na Hradczy Kopiec.
Rzyczny Antoni, z Tarnowsk. na 8 lat na Hrad. Kop.
Szmitt Henryk, powtórnie na 20 lat na Hrad. Kop.
Serwatczuk Daniel, ze Lwowa na 10 lat na Hrad. Kop.
Siedmiogrodzki Adam, były komornik z Bocheńskiego na 10 lat na Hradczy Kop.
Siekierski Józef, z Pilzna na 20 lat na Hrad. Kop.
Siemieradzki Konstanty, na 10 lat na Hrad. Kop.
Skąpski Antoni, z Sądeck. na 10 lat na Hrad. Kop.
Sleczkowski Wilibald, z Sanock. na 12 lat na Hrad. Kop.
Smagłowski Wincenty, z Tarnopola, niegdyś skazany do kopalń Syberyi.
Sobolewskich dwóch.
Sroczyński Bogumił, z Tarnowskiego na 5 lat na Hrad. K.
Sroczyński Maryan, słuchacz praw, na wygn. do Klagenfurtu.
Stetkiewicz Aleksander, Sanockiego na 6 lat na Hrad. Kop.
Styrcula Janek, góral z Hohołowa, obwodu Sądeckiego na 3 lat na Hradczy Kopiec.
Stokowski Apolinary, słuchacz praw z Narajowskiego na 20 lat na Hradczy Kopiec.
Stokowski Leon, ks. z Sanockiego na 6 lat na Hrad. Kop.
Stokowski Ludwik, powtórnie, z Narajow. na 15 lat na Hrad. K.
Stokowski Marceli, z Narajowsk. na 6 lat na Hrad. Kop.

Stolarczyk, na 10 lat na Hradczy Kopiec.
Sworzeń Antoni, z Tarnowskiego na 8 lat na Hrad. Kop.
Szajnok Franciszek, ks. z Sanock. na 15 lat na Hrad. Kop.
Szeligowski Tomasz, z Narajowsk. na 12 lat na Hrad. Kop.
Szersznik, ks. ze Złoczowa na 12 lat na Hrad. Kop.
Szostkiewicz Stanisław, ks. z Sanock. na 15 lat na Hrad. K.
Szuryn.
Szymański Eustachy, z Tarnowsk. na 12 lat na Hrad. Kop.
Szymański Leon, z Pilzna na 20 lat na Hrad. Kop.
Tarczyński Hieronim, z Rzeszowskiego na 6 lat na Hrad. K.
Tarnowski Michał, z Samborskiego na 15 lat na Hrad. Kop.
Tchórzewski Emeryk.
Terlecki Antoni, z Sanockiego na 12 lat na Hrad. Kop.
Terlecki Feliks, z Sanockiego na 10 lat na Hrad. Kop.
Terlecki Leopold, z Sanockiego na 12 lat na Hrad. Kop.
Terlecki Tadeusz, z Sanockiego na 20 lat na Hrad. Kop.
Torowskiego, na 6 lat na Hrad. Kop.
Turuński Franciszek, z Sanock. na 12 lat na Hrad. Kop.
Ujejski Józef, z Samborskiego na 10 lat na Hrad. Kop.
Urbański Franciszek, na 5 lat na Hrad. Kop.
Wadowski Ludwik, z Sanock. na 6 lat na Hrad. Kop.
Wierzajski Karol, z Narajow. na 5 lat na Hrad. Kop.
Wiktorowski Daniel, z królestwa na 10 lat na Hrad Kop.
Wisłocki L.
Wiśniowski Teofil, uwięziony powtórnie i 31 lipca 1847 powieszony.
Wiśniewski Konstanty, z Bochni na 10 lat na Hrad. Kop.
Wiśniewski Ludwik, z królestwa na 8 lat na Hrad. Kop.
Włodek Wojciech, prawnik na 12 lat na Hrad. Kop.
Wolski Kazimierz, z Tarnowskiego na 6 lat na Hrad. Kop.
Woroniecki August, książe z Sanock. na 12 lat na Hrad. K.
Woroniecki Henryk, książe z Sanock. na 10 lat na Hrad. K.
Wysocki Józef, oficyalista prywatny z Narajowsk. na 20 lat na Hradczy Kopiec.
Wysokiński Karol, z Narajowsk. na 10 lat na Hrad. Kop.
Zagajewski, akademik Lwowski uwolniony przed amnestyą.
Zgrzebny, ksiądz na 20 lat na Hradczy Kopiec.
Ziobrowski.
Żurowski Franciszek, z Sanock. na 12 lat na Hradczy Kop.

Żychoń.

Wszyscy ci, u których wymieniłem na ile skazani zostali lat, byli wywiezieni na Hradczy Kopiec lub do Kufsztenu, albo na wygnanie do Klagenfurtu; ci zaś, gdzie same tylko podałem nazwiska, zostali uwolnieni po części przed amnestyą, a po części amnestya otworzyła im bramy więzienia. Prócz tych wielu było uwięzionych po miastach obwodowych.

Uwięzieni w roku 1849.

Błotnicki Edward.

Bortnik, na 2 lata do Olomuńca, odsiedział całą karę.

Ciągglewicz Kasper, po raz trzeci.

Cymborski Stanisław, na 2 lata, odsiedział całą karę.

Dobrzański Jan, rzeczywisty redaktor „Nowin“ później i teraz „Dziennika literackiego,“ obecnie także „Gazety Narodowej“ — więziony był wielokrotnie i siedział to we Lwowie, to w Olomuńcu, to znowu jako wojskowy (wzięty za karę) w Josefsztacie, nareszcie przyaresztowany w Skolem, wywieziony był do Stryja, zkąd po kilku miesiącach przywieziony do Lwowa, znowu był więziony kilka miesięcy.

Dwernicki Jędrzej, obywatel.

Haliniewicz, także hrabia Osztorb z Antopola, albo Müller zwany, oficer wojsk moskiewskich, przyaresztowany w Żółkwi umknął. Później znów przyaresztowany i do wojska pod nazwiskiem Müller oddany. W roku 1849, gdy moskale wracali z Węgier wydano go we Lwowie w ich ręce, Müller atoli przepiłował kratę i znowu umknął.

Haszka Jan.

Haywas Józef.

Iżycki, ksiądz.

Kiełcz, stolarz.

Kopecki, adjutant jenerała Bema.

Kossowski.

Kreczmer Gustaw.

Krzysztofowicz Jan.

Kurnicki Julian, praw., na 2 lat do Olom., odsiedział całą karę.

Lassowski, szewc.
Lipski Erazm, kapitan byłych wojsk polskich.
Matkowski, krawiec.
Mrozowicki Michał.
Nizinicki Dyonizy.
Pierzchała Wincenty.
Prugar Marcin, stolarz ze Lwowa.
Przygodzki Romuald.
Rapacki Władysław.
Rozwadowski Władysław, kapitan legii akademickiej.
Rudyński Ludwik.
Rybarski Ignacy.
Singer Julian.
Skowaczewski Ignacy.
Sokołowski, cukiernik.
Starczewski.
Szersznik ksiądz, powtórnie.
Tepa Władysław.
Toczyski.
Tyc Seweryn.
Uniszewski Ignacy, od chłopa w głowie ciężko ranny kosą. Tenże chłop dla zdjęcia pierścieni chciał mu odciąć palce siekierą.
Wasylkiewicz Piotr.
Zawada.
Żurowski Walery.

Z więzionych w powyższym roku bardzo wielu przymusowo wzięto do wojska. Prawie wszystkich przytrzymano podczas przeprawy do Węgier.

Uwięzieni w roku 1851.

Błotnicki Edward, powtórnie.
Bolechowski Felicyan, rządca dóbr z Kiewkowic, powtórnie, w sprawie Goslara na 7 lat do twierdzy. W Josefsztacie siedział 3 lata, a w Ołomuńcu 2 lata, razem nie licząc inkwizycyi 5 lat, potem amnestyonowany.
Czaplicki Władysław, jako żołnierz przymusowo wzięty do wojska, przyaresztowany powtórnie, po miesiącu samotnego więzienia na Podzamczu w Krakowie, wyrokiem

sądu wojennego uwolniony z braku dowodów, w godzinę po uwolnieniu po raz trzeci, tą razą w sprawie Juliana Goslara uwięziony na Wawelu, potem wywieziony do Wiednia, zkąd po roku znowu wyrokiem sądu wojennego z braku dowodów uwolniony i napowrót do wojska oddany.

Gablenz Rudolf, technik, w sprawie Wiedeńskiej (zwanej Maja bylego Majora gwardyi Wiedeńskiej, później armii Węgierskiej, który podłożywszy ogień pod siennik spalił się podobnoś w Styczniu 1852 roku żywcem w więzieniu), na 12 lat do twierdzy, po 5 latach został amnestyonowany.

Goslar Julian, powtórnie, powieszony w Wiedniu dnia 2 lutego 1852 roku (wraz z Piryngerem, także Pataki zwanym).

Jaroszewicz Eliasz, malarz ze Lwowa w sprawie Juliana Goslara na 8 lat więzienia wałowego do robót publicznych (Szanzarbeit) po 4 latach w Terezyenstacie amnestyonowany.

Kessler Karol, farmaceuta, w sprawie Juliana Goslara na 16 lat takiego samego więzienia i po 5 latach amnestyonowany.

Klipunowska Agnieszka, wdowa po urzędniku magistratualnym we Lwowie, w sprawie Juliana Goslara, po roku uwolniowa z braku dowodów.

Klipunowski Karol, prawnik ze Lwowa na 10 lat wałowego więzienia do robót publicznych w Terezyenstacie, potem w Józefsztacie, po 5 latach amnestyonowany.

Kottlarski Onufry, urzędnik magistratualny w Tarnowie, w sprawie Juliana Goslara, po roku uwolniony z braku dowodów.

Lange Antoni, technik w sprawie Maja na 6 lat do twierdzy.

Łukaszewicz Lesław, po raz-trzeci, w sprawie Juliana Goslara na 10 lat wałowego więzienia do robót publicznych w Terezyenstacie, gdzie umarł po 3 lat.

Potocki Adam, hrabia, po kilku latach uwolniony.

Rapacki Władysław, powtórnie, znany jako główny kierownik i współpracownik „Przeglądu Powszechnego“ po roku uwolniony.

*

Różycka Anna, córka jenerała Samuela Różyckiego w sprawie Juliana Goslara na 3 lata do Terezyenstatu, gdzie po półtora roku samotnego więzienia zakończyła życie.

Stawarska.

Smagłowski Wincenty, powtórnie, w sprawie Juliana Goslara na lat 12 w twierdzy w Józefsztacie, potem w Ołomuńcu, po 5 latach amnestyonowany.

Szczygielski.

Woliński Sylwery, urzędnik prywatny z Czorsztyna, po roku uwolniony z braku dowodów.

Uwięzieni w roku 1858.

Daniłowicz, uczeń na 2 lata we Lwowie.

Paszkowski Paweł Stanisław, uczeń na 4 lata. Wyszedłszy z więzienia, zakończył życie na dniu 15 października 1862 roku, w skutek zażycia trucizny.

Uwięzieni w roku 1861.

Kaczkowski Zygmunt, właściciel dóbr ziemskich, zaszczytnie i mile znany powieściopisarz, tudzież redaktor „Głosu“ za artykuł „Posłanie do wszystkich rodaków na ziemi polskiej“ przyaresztowany w lipcu 1861 był w inkwizycyi do marca 1862, poczem skazany na 2 lata.

Uwięzieni w roku 1862.

Abancourt Ksawery, redaktor „Dziennika Polskiego“ za artykuł politycznej treści, w inkwizycyi.

Berezowski, uczeń, syn właściciel dóbr ziemskich, z Wodnik.

Cieszkowski Karol, powieściopisarz, redaktor „Czytelni dla Młodzieży“ od 2 stycznia b. r. w inkwizycyi.

Herman syn Ryszarda Hermana, właściciel dóbr ziemskich ze Złoczowskiego.

Kostecki Plato, znany mile z pięknych jego poezyj w ruskiem narzeczu, tudzież współpracownik „Przeglądu Powszechnego“ za artykuł treści politycznej na 2 miesiące.

Pawłowski Antoni, uczeń na 6 miesięcy.

Podlewski Izydor.
Podlewski Roman.
Rewakowicz Henryk, współpracownik „Diennika Polskiego“ za artykuł politycznej treści, na 1 miesiąc — którą karę odsiedział na same święta Wielkanocne.

KONIEC.

REJESTR.

Str.

Wstęp 3
I. Brygidki i czarna buda 7

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Pierwsza przechadzka po Lwowie, i pierwszy krok do więzienia Karmelitów 14
Cela więzienna 21
Nocna rewizja 24
Porządek dzienny i wikt 25
Krótkie wspomnienie indagacji 28
Morderca towarzyszem 35
Henryk Kamieński, więzień stanu 40
Słuch więźnia i pukanie 42
Zagajewski i dziura w moście 45
Sąsiedzi 47
Czarna łapka 48
Cygan i jego nauki, dawane złodziejom 50
Znowu wspomnienie krótkie o indagacji 55
Komisja miesięczna 58
Lekarz karmelicki 60
Wachmistrz, tudzież ołowiany kuflik i wyrok 60
Ś. p. Zacharek, strażnik, i pierwsza karteczka 63
Pierwsze odwiedziny u Henryka Kamieńskiego 67
Niepowodzenie wachmistrza w zamierzonej zemście 69
Pierwsze odwiedziny matki 70
Pożegnanie 78
Sekretarz Hohenauer, i spotkanie 79
Rozczarowanie. — Tylko mglisty obraz więźnia stanu. — Kilka dni samotnie spędzonych 82
Nowi towarzysze i tunele 91
Opowiadanie Wisłockiego 97
Jeszcze kilka dni z towarzyszami 114
Znowu pożegnanie. — Znowu towarzysz 121

ROZDZIAŁ TRZECI.

Str.
Wyrok i podróż do Berna 134
Wyrok i podróż do Berna 148

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Grajgóra, czyli świat więźniów stanu. 172

ROZDZIAŁ PIĄTY.

Rzeczpospolita Grajgórska 215
Ustawa organiczna 219
Ustawy dla władzy wykonawczej 222
Ustawy dla władzy sądowniczej. 223
Ustawy karne 224
Postępowanie sądowe 225
Ustawy towarzyskie 227

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

Radość zatruta i powrót do kraju 231
Zakończenie 276

DB
498
C93
1872

Czaplicki, Ferdynand Władysław
Rzeź w Horożanie i Pamiętnik
więźnia stanu Wyd. 2.

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

UTL AT DOWNSVIEW
D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 09 25 08 01 007 3